



***DOROTHEA  
BENTON FRANK***



***Pojednanie***

*Pieterowi*

### ***Podziękowania***

Lista osób, które przyczyniły się do powstania tej opowieści, jest cudownie długa; podkreślam, cudownie, gdyż na każdym zakręcie drogi wyciągały się ku mnie kolejne życzliwe dłonie z ofertą pomocy i przyjaźni.

Mój szwagier Junius Scott Bagnal Jr. obwoził mnie po rzekach niecki ACE i uraczył większą liczbą informacji, niż byłabym w stanie zebrać przez całe życie. Jego cudowny humor, jego autentyczne pragnienie przyjscia mi z pomocą nie słabły ani na chwilę. No i teraz mam problem z moją siostrą Lynn, że nie od niej rozpoczęłam ten akapit. Ale ludzie - każdy, kto zna moją rodzinę choćby przelotnie - wiedzą, że miłość i gotowość Lynn Bagnal do niesienia pomocy, i to nie tylko mnie dotyczy, są wręcz legendarne. Dziękuję wam obojgu z głębi serca.

Mąż mojej siostrzenicy (a nie mogłoby być po prostu: siostrzeniec?), doktor David Oliver z Savannah, i jego synowie Steven i Ben ryzykowali własne życie, aby nauczyć mnie strzelać do rzutek i do przepiórek, w dobrej wierze dając mi do ręki naładowaną broń. Jestem szczęśliwa, mogąc donieść, że nie padł z niej żaden ptaszek, ani gliniany, ani żywy. A wy, chłopcy, przestańcie już chichotać, dobrze? Dziękuję też Vicky, żonie Davida i jednej z najwspanialszych kobiet Południa; hej, czy nie sądzisz, że nadszedł czas, abyśmy zaczęły nazywać się siostrami? Wszystkim wam, Oliverowie, dzięki za waszą gościnność i serdeczność.

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Michaelowi Hickmanowi z Jacksonboro za wsparcie i podjęcie się roli mojego przewodnika po plantacjach. Wysokie Sosny nadal szukałyby odpowiedniego domu, gdyby nie uwierzył pan w prawdopodobność szalonej kobiety i nie wpuścił jej na swój szlak. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Jacksonboro - żyje pan w jednym z najpiękniejszych zakątków naszej planety.

Na potężną dawkę podziękowań zasługuje Roger Pinckney z Daufuskie Island w Karolinie Południowej. Jego książka „Blue Roots” stanowiła nieocenione źródło informacji i fascynującą lekturę. Każdy zainteresowany kulturą Gullah jest najzwyczajszą gapą, jeśli na jego półce nie stoi jeszcze jej egzemplarz.

Serdeczne podziękowania dla Natalie Daise za całą korespondencję i pomoc w kwestiach duchowych. Podobnie wdzięczna jestem Charlotte O. Gordon, mojej e-mailowej kumpelce, odpowiedzialnej za pisownię słowa *yanh*. To ona właśnie zasugerowała mi, że ten sposób zapisu jest o wiele lepszy od *'eah*. *Yanh*, Charlotte, w zupełności się z tobą zgadzam.

Billy i Pat Bentonowie z Mt. Pleasant w Karolinie Południowej, Ted i Joanne Bentonowie z Winchester w Massachusetts, Jennifer i Michael Bentonowie z Irving w Teksasie - wszyscy zasłużyliście na rundę honorową. Tak, moi trzej bracia i ich wspaniałe żony przodowali w udzielaniu mi niesłabnącego wsparcia. Stacy Hamburger z Isle of Palms w Karolinie Południowej na zawsze zasłużyła sobie na miejsce w moim sercu. Wierzyłam w cud, i proszę! Bingo! Znalazłam Stacy, prawdziwą tkaczkę snów. Gregu Marrs, gdziekolwiek się obracasz, nasz pokój gościnny zawsze czeka na ciebie i na Samanthę.

Nikt nie mógłby wymarzyć sobie lepszych przyjaciół niż Anthony Stith, Larry Dodds, Brigitte Miklaszewski, Shannon Gibbons, Linda Lauren, Dona Hay, Patsy Thomas, Larry Harbin, Pete Dewey, Cheryl i Max Lenkerowie, Fran Pritchard, Joy Casale, Joe Cupulo, Keith i Chris Stewartowie, Sparky Witte, Chip Clarkin i Charlie Moore - kocham was wszystkich. Podziękowania dla całej mojej „grupy książkowej”, a szczególnie dla Cherry Provost, teraz i zawsze, za wprowadzenie mnie w tyle miejsc i za wiarę we mnie. A Adrianowi i Jerry Shelby za ich śmiech i nieodmiennie dobre życzenia pod moim adresem.

Głębokie ukłony dla Roberta i Susan Rosenów z Charlestonu za niewiarygodną gościnność i przyjaźń - nigdy nie przestanę was kochać. Catherine Fry z Columbii - kwiatuśku drogi - dzięki za twoją oświeconą osobę, błyskotliwą mądrość i pokój gościnny. I dalej -Mr Orangeburg i dr Mickey Hay - oto jest, *bubba*, najlepszy dowód, że doceniła was staruszka z Wyspy, za te wszystkie wspaniałe rzeczy, jakich od was doznała.

Okay, teraz wielkie działa. Pat i Sandra Conroyowie. Peter zlecił już rzeźbiarzowi wykonanie gustownego, dowcipnego pomnika was obojga - ustawimy go sobie na trawniku przed domem. Hej, dziękuję wam bardzo. Podziękowania także dla Breta Lotta za jego przyjaźń, dla Anne Rivers Siddons i wreszcie dla Josephine Humphreys i Elinor Lipman, które uświadomiły mi, że ciągle jeszcze żyję. Szczególne słowa podziękowań składam też Marjory Wentworth za to, że pozwoliła mi przytoczyć swój wspaniały wiersz, i za przyjaźń.

Teraz pociski Scud - Leslie Gelbman, Norman Lidofsky, Liz Perl. Zmieniliście cały mój świat i pomogliście mi na tyle sposobów, że wymyka się to wszelkim słowom. Czy kiedykolwiek będę w stanie wam

odpłacić za waszą głęboką wiarę we mnie? Wiedźcie, że nie ma dnia, abym was nie wspominała i nie przesyłała wam w myślach wyrazów miłości i szacunku. Dziękuję wszystkim. Kilka słów podziękowań specjalnie dla wszystkich pracowników Berkley Publishing za ich poświęcenie i lojalność. Jesteście wszechmocnymi aniołami stróżami przemysłu wydawniczego.

Hillary Schupf i Matthew Rich. Nie chciałam opublikować tej książki bez was. Między pieczeniem ostryg a ustawicznym odkrywaniem jakichś nieznanych kuzynów poświęciłam wam wiele zabawnych wspomnień. Ależ przyprawialiście mnie o dreszcze! Jamie Coulter, jeśli ciągle tam jesteś, dzięki za spektakularny grzmot!

Podziękowania dla Joni Friedman, mojej specjalistki do spraw artystycznych, za jej niezwykłą fantazję i polot. Joni, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam swoją książkę na półkach, rozplakałam się. Ty wiesz, co wówczas czułam, dziękuję ci za to.

Mówimy o szczęściu? A co z moją bajeczną, niewiarygodną redaktorką Gail Fortune? Ta kobieta jest geniuszem. Gail dosłownie przepchnęła mnie przez ciemne dni, kiedy książka była zaledwie w zarysie, i zawsze była przy moim boku. Obdarzona wnikliwym okiem, udzieliła mi więcej krytycznych wskazówek, niż zdołałaby to uczynić Millie. Gail, po raz nie wiem który dziękuję ci za twój niezwykły rozsądek, uduchowiony charakter i anielską wręcz cierpliwość. Mówiąc najprościej, bez ciebie moja praca nie byłaby warta aż tyle. Ta książka czyni cię honorową Geechee Girl.

Bardzo wiele zawdzięczam mojej agentce Amy Berkower, która nauczyła mnie orientować się w zupełnie nowym świecie, która wszystko

rozumiała. Dzięki, Amy. Mam nadzieję, że pewnego dnia okażą się warte twoich skrzydeł. Podziękowania dla mojej kuzynki Judy Blanchard za przeczytanie maszynopisu bez słowa skargi, za to z życzliwym wypunktowaniem wszystkich jego słabych stron, a dla Mii i Christiana Tudose'ów oraz dla Kevina Sherry'ego za ich akceptację i życzliwość.

Na koniec szczere wyrazy wdzięczności dla mojej rodziny, Petera, Victorii i Williama. Znaście moje serce lepiej niż ktokolwiek inny. Byliście świadomi zmian w moim życiu i wiecie, jak głęboko jestem wam wdzięczna za to, że daliście mi wolność swobodnego otwierania każdych drzwi. Cieszę się, że was mam, i z każdym dniem kocham całą trójkę coraz bardziej. Bardzo jestem ze wszystkich dumna, a wasze wspaniałe dusze poruszają mnie na tysiące sposobów. Zawsze byliście i zawsze pozostaniecie najbardziej znaczącą częścią mojego życia.

## *Rzeka*

Rzeka jest kobietą, która nigdy nie siedzi beczynnie.

W jej rozedrgane wody wpadają płatki i kości  
liszajowatej ziemskiej skóry.

Podczas gdy nad jej brzegami mężczyźni stawiają rzeźbione ołtarze,  
rzeka w swym biegu zbiera odpady,  
gałęzie czasu i chmury pozbawione szaty własnego odbicia.

Jej suknia jest niczym markieteria  
z pęków żółtych liści,  
popiołów, papieru, blachy i łajna.

Winny, ciemny miód dla świata, słodka krew sączącej się magmy  
pulsującej na powierzchni ciemnego, rozgwieżdżonego  
osadu. Poznaczona czaszkami, skrzydłami i blaszkami liści,

rzeka jest cmentarzyskiem dla wszystkiego, co istnieje.

Wsluchaj się w muzykę  
słonecznego światła, rozszczepiającego się

wewnątrz jej krystalicznych komórek.

Magnes, zegar, kołyska

dla wiatru; trzymająca kubek

napęczniony strugami deszczu.

Ale kiedy rzeka zasypia, jej niebiańskie dzieci wyzbywają się siły  
ciążenia, chwytają garściami ryby

pachnące ambrawą, pokryte diamentową łuską,  
paprotki i strzępy obłoków,  
wkładają bransoletki utkane z deszczu, unoszą się na wysepkach

słodkiej trawy, wpinają się w gwiazdne zaprzęgi,  
chcąc wędrować przez poranioną powierzchnię ziemi, tak jak to  
czyniły ich matki, w poszukiwaniu morza.





*Historia dziedziczenia posiadłości Wysokie Sosny, położonej nad rzeką Edisto w niecce ACŁ w Karolinie Południowej*

Nowo wybudowany dom i 5000 akrów ziemi William Oliver Kent ofiarował w prezencie ślubnym swojej córce Elisabeth Bootle Kent, kiedy w 1855 roku wychodziła za mąż za Henry'ego Wrighta Heywarda IV.

**Elisabeth Bootle Kent** (1838-1911), żona **Henry'ego Wrighta** Heywarda IV (1830-1914)

Wysokie Sosny przeszły następnie w ręce ich jedynej córki: **Olivii Kent Heyward** (1860-1935), żony **Davidą Patricką Loganą** (1855-1935).

Z małżeństwa przyszła na świat trójka dzieci:

**Syn** (1880), zmarły w niemowlęctwie;

**Cassandra Anne** (1881-1956), po zamążpójściu zamieszkała w Filadelfii;

**Amelia Heyward Logan** (1885-1947).

Poślubiwszy Thomasa Payne'a Reardona (1860-1947), Amelia osiadła wraz z mężem w Wysokich Sosnach i urodziła trojkę dzieci:

**Isabelle Marie** (1915-1990), która nigdy nie wyszła za mąż i poświęciła się pracy misyjnej;

**Thomasą Payne'a Reardona Jr.** (1921-1994), który po ukończeniu medycyny praktykował w Savannah w Georgii;

**Lavinie Ann Boswell** (ur. 29 stycznia 1928), żonę Jamesa Nevila Wimbleya II (zmarłego).

Lavinia odziedziczyła plantację i urodziła później dwójkę dzieci:

**Caroline Boswell Wimbley** (ur. 22 marca 1961, żonę doktora **Richarda Case'a Levine'a**, matkę **Ericą Boswellą Levine'a** (ur. 1988), oraz **Jamesa Nevila Wimbleya III** (ur. 28 lipca 1963), męża **Frances Mae**

**Litchfield**, ojca **Amelii** (ur. 1987), **Isabelle** (ur. 1989), **Caroline** (ur. 1991) i **Chloe** (ur. 2000).

(Pierwsze małżeństwo doktora Levine'a z Lois Baum, z którego urodził się syn Harry, zakończyło się rozwodem).

*Przeczytane w charlestońskim „Post and Courier z dnia 10 sierpnia 2000, dział nekrologów*

Lavinia Boswell Wimbley, wdowa po Jamesie Nevilu Wimbleyu seniorze, zmarła w swoim domu w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Powszechnie znana jako Miss Lavinia, odebrała wykształcenie w Ashley Hall i The College of Charleston. Dyplom z historii sztuki uzyskała na Uniwersytecie Karoliny Południowej.

Zmarła była zapaloną sportsmenką, amatorką polowań na ptaki i strzelania do glinianych rzutek; wielokrotnie występowała z wykładami na temat historii malarstwa amerykańskiego, upraw ryżu, amerykańskiego ogrodnictwa i bourbona.

Czarująca gospodyni, zawołana amatorka rozgrywek brydżowych, odeszła, pozostawiając w żalu przyjaciół, Raoula Esteveza (31) i Petera Greera (75), a także syna, Jamesa Nevila Wimbleya III (37), córkę Caroline Wimbley Levine (39) i pięcioro wnucząt. Pożegnanie zmarłej odbędzie się w dzisiaj w domu pogrzebowym Bagnal Funeral w Walterboro w godzinach od 18.00 do 21.00, pogrzeb w czwartek na plantacji Wysokie Sosny o godz. 11.00. Zamiast kwiatów można wpłacać datki na konto Gibbes Art Museum, The Nature Conservancy albo Betty Ford Center.

## *Prolog*

*Nie zostawiaj mnie teraz!*

*2000*

Historia, którą chcę wam opowiedzieć, wydarzyła się naprawdę, ponieważ nawet ja nie potrafiłabym wymyślić niczego równie fantastycznego. Ostatnie pożegnanie matki - sala domu pogrzebowego, pękająca w szwach od żałobników, wszystkich w strojach odpowiednich do okoliczności, stosownie zasmuconych i mocno podekscytowanych - może to nie jest najwłaściwszy moment, aby rozpoczynać snucie opowieści, ale tu właśnie się zebraliśmy, a ja potrafię myśleć wyłącznie o jednym - o ciągu wydarzeń, które doprowadziły do tej właśnie chwili. Bez reszty zawładnęły moim umysłem, zresztą sami wkrótce zrozumiecie dlaczego.

Wyobraźcie sobie tylko: znacie to uczucie, brzemienny moment w waszym życiu, którego nadejście przeoczyliście? Człowiek potem żałuje, że nie zwiastował go dzwonek alarmowy, ostrzegający: *Uwaga, nadchodzi!* Kiedy w lutym w moim mieszkaniu zadzwonił telefon, wówczas nikt by mnie nie przekonał, że w sześć miesięcy później matka będzie spoczywała w trumnie, a ja włożę jej perły, okręcając je na palcu dokładnie tym samym gestem, co ona.

O Boże, przyszedł Raoul. Wybaczcie mi na moment.

- Miss Caroline, w tych ciężkich chwilach pragnę wyrazić pani moje najgłębsze współczucie. Ujął moją **rękę**. Dłonie miał nieco zgrubiałe, ale starannie wymanikiurowane.

- Dziękuję, Raoul, dziękuję - powiedziałam, myśląc jednocześnie, że owszem, jeśli idzie o aparycję, nic mu nie brakuje. Emanował czymś, och, sama nie wiem, czymś zdecydowanie męskim.

- Pamięć o pani matce na zawsze pozostanie w moim sercu. Ona była bardzo piękna.

- Dziękuję, Raoul - powtórzyłam. - Wiem, że matka miała dla ciebie wiele uczucia.

- **Si.** - Szeroki uśmiech rozlał się po jego twarzy. - Taa, to prawda.

Uwolnił moje ręce i odszedł, mieszając się z tłumem. Matka z nim sypiała? Właściwie dlaczego nie?

Na czym to stanęliśmy? Aha, na kluczowych momentach w życiu. No właśnie, taki kluczowy moment. Widzicie, Trip - to mój jedyny brat - zadzwonił do mnie do Nowego Jorku dokładnie w połowie przyjęcia, jakie urządzaliśmy z Richardem, moim mężem, i oznajmił, że matka postradała zmysły i usiłowała go zastrzelić ze Starego Niezawodnego Parkera (innymi słowy: ze strzelby tatusia). Dorzucił jeszcze, że dysponuje pełnomocnictwami matki, i skoro oszalała, umieści ją w zakładzie, gdzie nie będzie mogła nikomu szkodzić.

Wiedziałałam, że to jakaś piramidalna bzdura, bo przecież Trip zawsze był dla matki niczym drugi Mesjasz; przez całe życie rozpływała się nad nim, objawiając niemal religijne uniesienie. Przyznaję, że może to dla was zabrzmieć jak klasyczna uwaga zazdrosnej siostry, ale kiedy poznać bliższe szczegóły, z pewnością przyznacie mi rację.

Przede wszystkim Trip wyglądał kubek w kubek jak tatuś, a tatuś od lat nie żył i jako zmarły natychmiast został przez matkę kanonizowany. Po jego zgonie matka dokonała podręcznikowego wręcz przeniesienia swojej

wielkiej miłości do tatusia na Tripa. Owszem, mój mąż Richard jest psychiatrą i psychologiem. On i ja... no dobrze, o tym za chwilę.

Po drugie, za ową ślepą miłość ten cholerny mięczak Trip odpłacał się jej kompletną obojętnością. Mój brat w sposób wręcz archetypiczny uosabiał te wszystkie cechy, które rękami i nogami kazały mi się bronić przed możliwością poślubienia południowca. Miałam serdecznie dosyć ich związków z matkami i ich archaicznego seksizmu. Ale oczywiście, kiedy sama urodziłam syna, szybciotko uświadomiłam sobie - i równie szybko się tego wyparłam - że w tym punkcie również się co do siebie myliłam.

Biedny Trip, zwykła powtarzać matka z westchnieniem tak ciężkim, jakby przyszło jej dźwigać na własnych barkach całe brzemie tego świata.

Cóż, częściowo się z nią zgadzałam. Trip rzeczywiście miał do niesienia krzyż rozmiarami przypominający Brooklyn Bridge, swoją żonę Frances Mae i jej straszliwe pociechy. Boże drogi, to było dopiero nieszczęście, niewola zastępująca dawne kule i łańcuchy. Dokładnej sekcji Frances Mae dokonamy trochę później; nie bójcie się, nie ominie was to.

A wracając do matki i Tripa, z ich klasycznym freudowskim kompleksem Edypa. Zastanawiam się, jak często matka widywałaby swojego beniaminka, gdyby nasza plantacja nie dysponowała przystanią umożliwiającą Tripowi spędzanie większej części swojego życia na Edisto.

Mój brat był klasycznym typem dawnego, poczciwego południowca. Prawnik z zawodu, z zamiłowania rybak i myśliwy, zawsze gładko wygolony, zawołany tancerz, obdarzony prawdziwie męską postawą i nieskazitelnymi manierami. Do obiadu nieodmiennie zasiadał, rozsiewając wokół siebie zapach wody po goleniu, zawsze podsuwał matce krzesło, zawsze miał dla niej w pogotowiu jakiś komplement. Matka królowała -

udzielna, matriarchalna władczyni, otaczana przez syna wszelkimi względami.

Tak wiele ich łączyło. Poszanowanie dla tradycyjnych niedzielnych obiadów rodzinnych, miłość do ziemi, poczucie przynależności do miejsca i niezłomne przeświadczenie o tym, że każdy dzień należy kończyć mocnym drinkiem albo i dwoma. Frances Mae nigdy nie miało się udać odebrać Tripowi matczynej miłości. Była bez szans. Czasami myślałam, że Trip ożenił się z nią tylko po to, aby pokazać matce, że jest niezastąpiona, że żona może być dla niego co najwyżej surogatem mogącym posiąść jego ciało, ale nigdy serce.

Jednak pechowo dla matki, kiedy Tripowi zaczęło przybywać dzieci, jego hołdy dla niej stawały się rzadsze i nacechowane coraz większą obłudą. A kiedy jeszcze zaczął pić, matka rozhulała się na całego. Ogrodnik Raoul, doręczyciel paczek. Szalała na prawo i na lewo - nazywając rzecz łagodnie. Początkowo sądziłam, że tym sposobem pragnie wzbudzić w Tripie uczucie zazdrości, później jednak doszłam do wniosku, że postawiła sobie za cel do maksimum wykorzystać każdą chwilę życia.

Jej romanse nieźle wystraszyły Tripa i Frances Mae. To właśnie na nich oparli historyjkę o tym, że postradała zmysły. Nie da się ukryć, że zmysłowość w niej szalała - ciał jej ofiar nie sposób zliczyć - ale szaleństwo? Nigdy w życiu. Nasza matka, Lavinia Boswell Wimbley, spowita obecnie w lawendowe i błękitne wzorzyste szaty, była równie zdrowa na umyśle, jak każde z nas.

Moje serce zostało złamane. Widzicie, jeszcze sześć miesięcy temu mieszkałam w Nowym Jorku i wydawało mi się, że w moim małżeństwie

wszystko układa się szczęśliwie. Zajmowaliśmy z Richardem wspaniałe mieszkanie przy Park Avenue, nasz syn Eric rósł bez kłopotów, miałam niewielką, ale świetnie prosperującą firmę dekoracji wnętrz i wszystko szło mi jak z płatka. Drobnym problem od czasu do czasu, doprawdy nic wielkiego, żadnych powodów do skarg.

Nawet mi się nie śniło, że mogłoby mnie spotkać coś takiego. Ostatnie piętnaście, szesnaście, a może nawet i więcej lat poświęcałam zakorzenianiu się w Nowym Jorku i zrywaniu wszystkich, najsłabszych nawet więzi, łączących mnie z niecką ACE w Karolinie Południowej i życiem na plantacji. Dla mnie było ono staroświeckie! Nudne! Wiecznie to samo, dzień za dniem, pokolenie za pokoleniem! Do ogłupienia! Niecka ACE była demonem, z którym musiałam się uporać, i tyle! I każdy mógłby sądzić, że na tym etapie swojego życia jestem wystarczająco dojrzała i doświadczona, by sobie z nim poradzić. Tak więc wpadłam do domu z krótką wizytą, żeby zobaczyć, co z matką, przypatrzeć się wszystkiemu na własne oczy.

Moje stosunki z nią i Tripem od lat były napięte, a dzieląca nas odległość bynajmniej nie polepszała sprawy. Mimo to nie mogłam dopuścić, by Trip usunął matkę z Wysokich Sosen i zapakował ją do jakiegoś zakładu, jeśli nie było to naprawdę konieczne albo jeśli ona sama tego nie chciała. Do dziś pamiętam, co sobie wówczas pomyślałam: trudno, możemy nie mieć ze sobą nic wspólnego, ale w końcu dała mi życie i przynajmniej tyle jestem jej winna.

W domu zastałam dokładnie to, czego się spodziewałam. Matka z przyjaciółkami jak zwykle oddawała się grze w brydża i plotkowaniu o mężczyznach. Millie, zarządzająca plantacją i jednocześnie najbliższa

matki przyjaciółka, nadal praktykowała to samo stare voodoo. Trip jak zwykle pił, Frances Mae jak zwykle była w ciąży i jak zwykle brała do rąk każdą sztukę srebra i omiatała swoimi zielonymi oczami w poszukiwaniu znaków probierczych, a dziewczynki jak zwykle miały diabła za skórą. Żadnych odstępstw od normy.

Uznałam, że moim zadaniem jest otworzyć matce oczy na knowania Tripa. Niech go jakoś utemperuje. A tu niespodzianka. To nie jej trzeba było zdejmować łuski z oczu, tylko mnie, moją klatkę potrząsnąć tak silnie, bym poczuła wibrowanie wypełnień w zębach, moje przeświadczenie o tym, że jestem tym, kim jestem, nicować na lewą stronę. Co więcej, podczas wizyty w domu przyszło mi odkryć, kim naprawdę jesteśmy my wszyscy.

Przez całe lata niecka ACE w Karolinie Południowej przyciągała mnie z niesłabnącą siłą, a ja równie gwałtownie usiłowałam zaprzeczać, by miała nade mną jakąkolwiek władzę. A przecież ACE, miejsce, gdzie rzeki Ashepoo, Combahee i Edisto wspólnie wpadają do St. Helena's Sound, stanowi prawdziwy Eden, z niesamowitym bogactwem ptaków, ryb, kwiatów i krzewów; wielu gatunków nie potrafilibyście nawet nazwać. Rzeki płyną, śpiewają, a ich piękno dosłownie poraża.

Kiedy ACE zawładnie człowiekiem, ten nigdy już się nie wyzwoli. Moglibyście zawiązać mi oczy i parę razy okręcić dookoła w dziale z torebkami u Bergdorfa Goodmana przy Piątej Alei, a mój palec i tak bezbłędnie wycelowałby w kierunku Edisto, podobnie jak igła kompasu zawsze wskazuje północ. Byłam niczym więcej jak przedłużeniem jej nurtu, dopływem, omyłkowo umieszczonym w niewłaściwym miejscu.



Tak więc dzisiejszego wieczoru zebraliśmy się wszyscy w Bagnal Funeral Home w Walterboro przy zwłokach matki. W ciągu kilku godzin, kiedy czuwałam tu z Tripem, Frances Mae, Millie i przyjaciółkami matki, przez salę przewinęło się chyba ze trzysta osób.

Ludzie wspominali zwariowane bale kostiumowe, urządzone przez matkę na przykład z okazji urodzin Kleopatry albo dla wskrzeszenia jakiegoś całkowicie zapomnianego azteckiego święta. Pamiętam, kiedyś sama wystąpiła jako bogini i na łodzi udekorowanej białymi, trzepocącymi na wietrze flagami, popłynęła w dół Edisto jako Wenus wynurzająca się z piany. Trip i ja - wówczas jeszcze dzieci - odebraliśmy to jako straszliwe poniżenie. Jakże jej wtedy nienawidziłam.

Po śmierci tatusia Trip i ja zostaliśmy odesłani do szkół z internatem, a w domu rozpoczęła się parada kochanków. Z początku matka zachowywała dyskrecję, ale kiedy już trochę zasmakowała w nowym trybie życia, tempo uległo przyspieszeniu i zaczęły wybuchać fajerwerki. To wówczas odkryła poezję Roda McKuena i znalazła swój punkt G, posługując się wskazówkami zamieszczonymi w jednym z artykułów w „Cosmopolitan”. Od tej chwili nic już nie było w stanie jej powstrzymać, a ja pogardzałam jej wybujałą cielesnością każdą cząstką swojej istoty.

Dopiero ostatnio zaczęłam patrzeć na wyczyny matki zupełnie inaczej. Nawet jeśli była szokująco niedyskretna, no to co? I tak wszyscy ją uwielbiali. Człowiek musiał przyznać, że potrafiła korzystać ze swojego wyzwolenia. Była Miss Lavinia, Auntie Mame z niecki ACE. Niesamowita dziewczyna.

Rozejrzałam się po tłumie w poszukiwaniu wielebnego Charlesa Moore'a. Rozmawiał z Richardem. Przynajmniej w jego wypadku matka

wykazała się rozsądkiem i nie awansowała go na swojego kochanka, choć wielebny ani chwili by się nie zawahał przed wskoczeniem do jej łóżka. Konieczność zdobywania funduszy wyprawia z ludźmi dziwne rzeczy. No cóż, może coś mu tam zapisała w testamencie. Bóg mi świadkiem, że ciężko się naharował, w nadziei, że coś mu skapnie.

Tylu ludzi przyszło do matki okazać jej miłość i sympatię. Zadziwiające. Oczywiście, na pozór ceremonia przebiegała zgodnie z protokołem, ale przecież pod wygładzoną powierzchnią wyczuwałam silny, podziemny nurt. Powietrze było aż gęste od niewypowiedzianych plotek, brzemienne pragnieniem dowiedzenia się wreszcie... Kto odziedziczy plantację? Co z resztą majątku? Ile zostawiła? Czy Frances Mae przypadnie rola kolejnej królowej w Wysokich Sosnach? Czy ja, córka marnotrawna, która poślubiła tego dziwnego Anglika, w dodatku Żyda i lekarza od czubków, odzyskam rozsądek i odejdę od męża? To była *sytuacja*. Ludek Lowcountry płonął z niecierpliwości, własną niewiedzą doprowadzony niemal do szaleństwa.

Na taki splot okoliczności i kłopotów, którego skutki mogły okazać się opłakane dla reputacji rodziny, mieliśmy jedno określenie: *sytuacja*. Każdą sytuację należało zlikwidować szybko i bez rozgłosu. Legendarne przyjęcia matki, chciwość Frances Mae i moje ponowne pojawienie się na scenie - w hrabstwach Charleston, Collecton i Dorchester pójdą w ruch wszystkie języki, a uszy zapłoną z podniecenia.

Potrząsałam podawanymi dłońmi i dziękowałam żałobnikom za przybycie, wyobrażając sobie jednocześnie pieniądze przechodzące z rąk do rąk. Zakłady w domu pogrzebowym można obstawiać. Zanim fakty staną się własnością publiczną, jak Lowcountry długie i szerokie

pochłaniane będą galony miętowego julepu, a obrotne języki przystąpią do pracy, kreśląc wizje naszej przyszłości na podstawie wziętych z powietrza znaków, sfabrykowanych przekazów i informacji pochodzących jakoby od kogoś z rodziny Wimbleyów.

No cóż, mnie Wysokie Sosny nie dostaną się z całą pewnością. Ja tylko przyjechałam do domu zobaczyć, co z matką, a teraz szczerze pragnęłam wyprawić jej godne pożegnanie. Trip podobnie. Razem z Frances Mae i pod bacznym okiem Millie przygotowali niezwykle wystawny poczęstunek dla gości odwiedzających dom pogrzebowy. Naprawdę starali się, jak mogli, by uroczystość zapadła wszystkim w pamięć. I dopięli swego.

- Módlmy się - zaintonował wielebny Moore.

Szmery ucichły i ludzie powstali z szacunkiem. Trip i ja wcześniej przedyskutowaliśmy z pastorem wszystkie szczegóły nabożeństwa i byliśmy wdzięczni, że wielebny Moore zgodził się ograniczyć do standardowych modłów i obiecał nie rozwodzić się nad charakterem matki. Wystarczył nam już jej nekrolog w „Post and Courier”. Zdaje się, że dla wielu ludzi lektura nekrologów to świetna zabawa. Dziennikarza, który napisał matczyne, należałoby przesunąć do działu ogłoszeń o używanych samochodach.

Podczas gdy my pochylaliśmy głowy, modląc się wspólnie z wielebny, na Lynnwood Drive stu wyfraczonych kelnerów z Atlanty odkorkowywało butelki *veuve cliquot*, układało sushi i ostrygi na kruszonym lodzie i zapełniało srebrne tace wykwintnymi przekąskami, a piętnastoosobowy zespół muzyczny z sekcją instrumentów dętych kończył strojenie. Przygotowano specjalny bar z matki ulubionymi gatunkami

bourbona i całe mnóstwo Sonny's Barbecue, gorących, wyłożonych na srebrnych półmiskach i czekających na wetknięcie w cienkie, hamburgerowe bułki. Gwar przygotowań dochodził mnie niemal tutaj. Tak, Trip i Frances Mae naprawdę nie szczędzili starań, by wyprawić Miss Lavinii pożegnanie stulecia. Przynajmniej raz nie mogłam powiedzieć złego słowa o mojej bratowej.

Jutro po południu, już po rozsypaniu prochów, odbędzie się stypa, skromniejsza i w bardziej tradycyjnym stylu, urządzana przeze mnie i Millie. Też musi się udać. Wszystkie te szczegóły Miss Lavinia zaplanowała w swojej ostatniej woli, my tylko realizowaliśmy jej życzenia.

Po skończonej modlitwie goście żałobni znowu zaczęli krążyć po sali, podchodzić do nas z kondolencjami. Wielu z nich miało łzy w oczach; obie przyjaciółki matki otwarcie płakały, trzymając się pod rękę. Poczułam, że serce mi się kraje. Znałam je od najwcześniejszego dzieciństwa i widok ich rozpaczony naprawdę mnie zabolął.

Wstałam i podeszłam do trumny. Wypłakałam już wszystkie łzy i teraz oczy miałam suche; zresztą matka życzyła sobie, abym podczas czuwania przy jej zwłokach okazała absolutne opanowanie.

Dopiero co odnalazłam drogę do jej serca i niemal natychmiast ją utraciłam; ciężko mi przychodziło się z tym pogodzić. Niechby mnie straszyla do końca życia, modliłam się. Nie ma prawa mnie opuszczać tylko dlatego, że nie żyje.

Jak spokojnie wygląda, pomyślałam, pochylając się nad zwłokami. Żeby przetrwać, potrzebowałam każdej uncji jej mądrości, jej męstwa. Nawet w jednej trzeciej nie byłam taką kobietą, jaką była ona w chwilach

największej słabości. Zbyt długo żyłam jak tchórz, chowając emocje za manhattańskimi strojami, wszystkimi obowiązkowo w kolorze czarnym. Odgarnęłam z czoła matki kosmyk włosów, myśląc o tym, jak szaleńczo ją kochałam i jak wiele lat zmarnowałam, pograżając się w grzędawisku gniewu i urazy. Trip pojawił się przy moim boku.

- Wszystko w porządku, Caroline? - Oczy miał wilgotne.
- Och, tak. Lavinii spodobałaby się ta ceremonia, nie uważasz?
- Zdecydowanie. Kwiatów ma tyle co senator.

To była prawda. Pomieszczenie dosłownie tonęło w kwiatach, ułożonych w kunsztowne bukiety. Trip i ja zamówiliśmy dwie ogromne wiązanki i wieniec z róż. Zapach przyprawiał o zawrót głowy. Trip wyglądał kiepsko, więc go uściśnęłam, niemal widząc uśmiechającą się Miss Lavinie. Oddał mi uścisk z taką żywiołowością, z jaką czynił to, będąc dzieckiem. Potrzebował mnie, czułam wyraźnie.

Matka mogła wymknąć mi się z rąk, ale przecież pozostawiła słodkie ślady swojej obecności. Miłość życia, którą dzięki niej odzyskałam, uzupełnioną wskazówkami, jak ją wykorzystać. Tym razem nie traciłam czasu na starcie. W przeciwległym krańcu sali widziałam dwie moje najnowsze zdobycze; rozmawiali z ożywieniem, zupełnie niczym starzy druhowie, którzy zaprzysięgli sobie braterstwo krwi. Nie mogłam nie zachichotać na ich widok. Josh, stary praktyk Kamasutry z dreadami do pasa, umiejący sprawić, że człowiek odczuwał drżenie także i w takich zakątkach ciała, gdzie nawet nie podejrzewał istnienia zakończeń nerwowych, stanowił kompletne przeciwieństwo Jacka, mojego przyjaciela lekarza, w kaszmirowej sportowej marynarce. Jack miał najpiękniejsze ręce, jakie kiedykolwiek widziałam u mężczyzny.

A tam znowu stał Matthew... Nawet w tych przygnębiających okolicznościach musiałam przyznać, że moje ostatnie romanse mocno przypominały wyczyny matki.

Przesunęłam się wzdłuż tłumu w stronę okna. Na dworze mój syn Eric wraz z całym gangiem energicznych dzieciaków zabawiał się beztrosko kopaniem sosnowych szyszek. Nigdzie nie był taki szczęśliwy jak tutaj, choć przecież znajdował się w samym centrum największych problemów, z jakimi przyszło mi się w życiu zmagać. Wolny od stresu, naładowany energią alfa, czerpał radość z samego faktu, że żyje, że jest dzieckiem. To ACE stanowiło lekarstwo, którego potrzebował.

A może i mnie było ono niezbędne? Przez całe lata wmawiałam sobie, że dla mnie życie tutaj nie istnieje. Ja mieszkałam w mieście i nikogo stąd nie potrzebowałam, ja poruszałam się po wytwornych ulicach i miałam własną rodzinę. Stopniowo zamieniałam się w kobietę wyzutą z potrzeb emocjonalnych.

Akurat. Kiedy tylko okazało się, że matka po raz pierwszy w swoim życiu mnie potrzebuje, wszystkie moje teorie rozsypały się z trzaskiem niewiele donośniejszym niż trzask pękającej skorupki jajka.

Hura, pomyślałam, rozglądając się dookoła. Po raz pierwszy w życiu zgromadziłam w jednym pomieszczeniu więcej mężczyzn niż stara Miss Lavinia. Stworzyłam własną *sytuację*. Byle tylko nie upodobnić się do niej? Podniosłam rękę do szyi, okręciłam perły wokół palca i zaczerpnęłam najdłuższego tchu w historii przyswajania tlenu. Do jasnej cholery, przecież miałam to w DNA.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Moje własne dzieci to mój największy dopust. Wiem o tym doskonale, tak że nie musicie mi tego powtarzać. Na przykład taki Trip. Ten chłopak jest równie leniwy, jak dzień jest długi. Posłałam go na studia prawnicze, pomogłam założyć własną kancelarię, a - Bóg mi świadkiem - ilekroć wyjrzę przez okno, Trip właśnie spuszcza łódkę na wodę. Czy on kiedykolwiek przysiadł fałdów i popracował! Nigdy! Czy kiedykolwiek zajrzał do mnie! Nigdy! A jeśli już wpada do domu, to wyłącznie po zimne piwo. A Caroline, moja dziewczynka! Przykro mi o tym pisać, ale wyrosła na prawdziwą Jezabel. Żyje z własnym profesorem! Studiuje, żeby uzyskać tytuł magistra biznesu! O Panie! W którym miejscu złądziłam? Nie wiem, doprawdy nie wiem.*

RS

# Rozdział 1

*Richard*

*1984*

W wieku dwudziestu trzech lat uważałam, że niezły ze mnie numer. Na Columbia University w Nowym Jorku wstąpiłam przede wszystkim po to, żeby dopieć matce i całej reszcie. *No i czemu, do diabła, chcesz zamieszkać w tak okropnym mieście? Dlaczego nie możesz skończyć studiów w Karolinie? Jeśli już musisz mieć MBA\*, idź na Harvard! Nowy Jork to nie jest miejsce dla dziewczyny takiej jak ty. A poza tym po co ci w ogóle magisterium? Skończy się tak, że wyjdiesz za mąż i całe to studiowanie okaże się wyłącznie stratą pieniędzy.*

Korciło mnie, i to mocno, aby odpowiedzieć, że powodem, dla którego wybieram Nowy Jork, jest chęć ucieczki od ludzi takich jak oni, jednak tkwiąca we mnie w środku dobrze ułożona dziewczyna z Południa nie pozwoliła mi na to. My zawsze staramy się trzymać buzię na kłódkę, choć często są to usiłowania daremne.

Choć tak naprawdę myślę, że na Columbię zdecydowałam się po prostu dlatego, iż chciałam posmakować życia w wielkim mieście, no i wiedziałam, że najtęższe umysły finansowe spotyka się właśnie w Nowym Jorku. Już wyobrażałam sobie siebie w roli osoby kierującej bankiem inwestycyjnym i przeprowadzającej poważne operacje giełdowe.

Wszelako okazało się, że nie to przeznaczył dla mnie Wielki Planista.

*\* Master of Business Administration - magister biznesu i zarządzania*



W ramach zajęć nadobowiązkowych zdecydowałam się na kurs psychologii, tłumacząc żartobliwie, że jeśli nauczę się zgłębiać meandry ludzkiej psyche, może wreszcie będę w stanie pojąć członków własnej rodziny. W szczególności zależało mi na zrozumieniu owego fenomenu, który mnie kazał za wszelką cenę zwiewać z Karoliny Południowej, a im tak kurczowo trzymać się tego miejsca.

W niewielkim audytorium odbywał się wykład dla stu siedemdziesięciu pięciu studentów. Pierwszego dnia, zagubiona i zadyszana, spóźniłam się kilka minut. Profesor Richard Levine zaczął już wykladać. Kiedy pchnęłam drzwi, w sali zapanowała martwa cisza. Profesor urwał w pół słowa i popatrzył na mnie, a wszyscy obecni w sali poszli za jego wzrokiem. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię.

- To miłe z pani strony, że postanowiła pani do nas dołączyć, panno...

- Wimbley - odparłam cicho, marząc jednocześnie, żeby moje nazwisko umknęło z jego pamięci, zanim jeszcze zdąży w nią zapaść.

Levine mówił z angielskim akcentem i wyglądał olśniewająco. Przypominał nieco Steve'a Martina, a obojście miał dyplomatę. Zastanawiałam się, czy jest żonaty. Z ostatniego rzędu, gdzie usiadłam, trudno mi było zobaczyć, czy nosi obrączkę.

- Wykład zaczyna się o ósmej, panno Wimbley, a nie... - popatrzył na zegarek - ...a nie o ósmej piętnaście.

Ten uśmiech pełen wyższości. Jasne było, że doskonale wie, że zrobił na mnie wrażenie. Mogłam to poznać po jego minie.

- Tak, dziękuję panu, przykro mi... - Usiłowałam ukryć swoje zafascynowanie jego twarzą.

- Whittaker, proszę podać to pannie Wimbley. - Wręczył pojedynczy arkusz siedzącemu z przodu chłopakowi.

Papier przechodził z rąk do rąk, wreszcie dotarł do mnie. Musiałam wyglądać na zdezorientowaną, bo Levine odezwał się znowu:

- To program kursu, a nie powołanie na sędziego przysięgłego. Sala roześmiała się. Poczułam, jak gorąco oblewa mi szyję.

Świetnie, pomyślałam, ten facet uzna, że jestem idiotką. Odkaszlnęłam z irytacją. Żarty kosztem innych nigdy mnie nie bawiły. Może byłam przewrażliwiona. A może zwyczajnie zakłopotana?

- Jak to ujął wielki Freud: „Czego pragnie kobieta?” - odezwał się Levine.

Chłopcy zarechotali gremialnie i zaczęli się trącać łokciami, manifestując poparcie dla profesora, najwyraźniej zachwyconego swoim wystąpieniem. Wiedziałam, że jeśli nie chcę, żeby mnie zlekceważył, muszę znaleźć stosowną replikę. Podniosłam rękę.

- Tak, panno Wimbley?

- Jak to ujął wielki Proust: „Wszystkie wspaniałe rzeczy, jakie znamy, zawdzięczamy neurotykom”.

Sala dostała histerii, a wykładowca, demonstrując najszerszy uśmiech i najwspanialsze dołeczki w policzkach, wznosił do góry ręce, jakby błagając o litość. Dziewczyny wrzeszczały i klaskały w dłonie.

- Boże drogi, ta kobieta twierdzi, że Freud był neurotykiem.

- To opinia Prousta, nie moja, panie profesorze.

Levine udał, że wyciąga nóż, wbity w serce. Studenci szaleli.

- Spotkamy się po wykładzie, panno Wimbley. Ledwo mogłam doczekać jego końca.

Poszliśmy na kawę i odtąd moje dni Miss Bon Vivant, szalejącej w klubach tanecznych niczym trąba powietrzna, były już policzone. Od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszałam głos Richarda, zwariowałam na jego punkcie do tego stopnia, że w ogóle przestałam sypiać. Dla niego polubiłam nawet gotowanie. W następny poniedziałek zaprosiłam go na obiad do swojej kawalerki. Przyjął zaproszenie, a wówczas poczułam, że oblewa mnie zimny pot. Przecież ja nie potrafiłam nawet wody zagotować!

Poszłam do Zabar's i z punktu skierowałam się do najgrubszego z ekspedientów, jakiego dostrzegłam za ladą stoiska mięsnego.

Wyobraziłam sobie, że otyły rzeźnik z pewnością będzie wiedział, jaka jest różnica między skórzaną podeszwą a soczystym stekiem. Odczekałam cierpliwie, aż mnie zauważy. Nazywał się Abe; takie imię miał wyhaftowane na kitlu.

- Bardzo kochasz tego gościa? - zapytał.

- Wystarczająco, żeby dla niego gotować - odparłam - a Bóg mi świadkiem, że daleko mi do Betty Crocker\*.

- Dziewczyna z Południa i nie potrafi gotować? Coś mi tu nie gra.

- *Yeah*, mogę się przecież nauczyć.

- Hm. - Popatrzył na mnie, jakbym leżała w witrynie, na pokruszonym lodzie i z natką pietruszki we włosach.

- Za chuda - rzucił w przestrzeń. Zirykowałam się.

- No to sprzedaj mi w końcu jakieś żarcie. On przychodzi na siódmą.

\* *Autorka popularnego w Stanach telewizyjnego programu*

*kulinarnego*

- Weź kotlety cielece. Natrzyj je sokiem z cytryny, odrobiną oliwy z oliwek, posyp świeżym rozmarynem, solą i pieprzem i piecz na ruszcie po trzy minuty z każdej strony. Potem zawiń je w folię aluminiową i daj im jeszcze pięć minut, żeby doszły. Podawaj z pieczonymi ziemniakami i sałatą polaną sosem Roquefort. Aha, i nie zapomnij o pieczywie. Facet będzie jadł ci z ręki.

- Dzięki, Abe - powiedziałam. - Dam ci znać, jak mi poszło.

- Jeśli przyrządzisz mu moje kotlety? Biedny gość nie będzie miał żadnych szans.

Ruszyłam w stronę swojej kawalerki na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Columbus, pogwizdując z cicha, gdy nagle uświadomiłam sobie, że przecież nie mam w domu nic do picia. Co, do diabła, podaje się do cieleciny? Zatrzymałam się w sklepie z alkoholami i odczekałam, aż sprzedawca obsłuży innego klienta. Wzięłam dwie butelki pinot noir i znów ruszyłam w stronę domu, rozpierana fałszywą wiarą w siebie.

Kiedy znalazłam się na miejscu, uderzyła mnie następna myśl. Przecież ja nie mam stołu ani krzeseł! Boże drogi, ależ byłam głupia! Moja kawalerka na pierwszym piętrze miała kształt litery L i była tak niewielka, że komuś przechodzącemu przypadkowo klatką schodową trudno przyszłoby się zorientować, czy właśnie wychodzę z domu, czy raczej akurat wracam. Umeblowanie stanowił wielki fotel z podnóżkiem, stereo, kupa książek na półkach z desek podpartych cegłami i łóżko w alkwie. Dywanu nie miałam. Teraz dysponowałam zaledwie dwiema godzinami, aby z tej ponurej nory wyczarować przytulny kącik. Udałam się do portiera, żeby poradził mi, jak tego dokonać. Oni zawsze wiedzą wszystko.

Miałam szczęście, bo dyżur pełnił akurat Darios, który pochodził z Portoryko i - jak przystało na prawdziwego Latynosa - ilekroć mnie zobaczył, zawsze usiłował poderwać. Teraz przytrzymał przede mną drzwi i wziął torby z zakupami. Miałam zamiar dać mu szansę wykazania się zimną krwią i zdecydowaniem.

- Dobry wieczór, panno Wimbley.

- Darios, jestem w wielkim kłopotcie i potrzebuję twojej pomocy.

W przyćmionym świetle oficyny przetrząsaliśmy zawartość rozmaitych skrzyń, pozostawionych przez innych lokatorów na przechowanie. Nie był to dział meblowy u Bloomingdale'a, więc nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Każdy przedmiot miał swego właściciela, ale to nie przeszkadzało mi ani trochę. Jutro wszystkie wrócą na swoje miejsce.

- Niech pani podejdzie tutaj. Rzeczy Goldbergów. Wyjechali na Hawaje.

-Świetnie.

Najpierw wywłókł dywan.

- Chce pani obejrzeć?

- Po co? Dywan to dywan, reszta nieważna.

Wybraliśmy niewielki okrągły stolik z orzechowego drewna, dwa krzesła o prostych drewnianych oparciach, ustawione jedno na drugim obok kojca z drucianej siatki, i po dziesięciu minutach mój apartament wyglądał o niebo lepiej. Odstąpiliśmy o krok do tyłu, żeby podziwiać efekt.

- Potrzebne pani rośliny - zauważył Darios.

- Jezusie, Darios, ledwo mnie stać na żarcie.

Mój budżet był więcej niż skromny. Tak zdecydowała matka, uznając, że tym sposobem szybciej zmusi mnie do powrotu do Karoliny.

- Za minutkę wracam.

Po chwili zabrzmiał dzwonek i za drzwiami ukazał się Darios, dźwigając dwie ogromne donice z palmami, zabrane z holu. Ustawił je po obu stronach sofy, a ja wręczyłam mu dwadzieścia dolarów. W progu odwrócił się jeszcze.

- Wolałbym choć jednego całusa.

- Uciekaj, łobuzie, bo poskarżę się twojej żonie.

Przez moment znowu poczułam się jak przestępca, ale niebawem mój umysł ponownie skoncentrował się na zadaniu, jakim było - choć głośno nie przyznałabym się do tego za nic w świecie - uwiedzenie Richarda.

Oczywiście obrusa też nie miałam. Przykryłam stół starą kapą na łóżko. Sięgała aż do podłogi. Kwiaty? W żadnym wypadku. Miałam przecież mnóstwo książek; zaprezentują się znacznie lepiej. Wyjęłam z półki trzy niewielkie tomiki. Proust, Flannery O'Connor i poezje Elisabeth Barnett Browning. Ustawiłam je pionowo na podpórkach z brązu w kształcie psów myśliwskich. Ciekawe, czy Richard zauważy Prousta?

Na szczęście miałam dwie wotywnie świece, dwa niewyszczerbione talerze i odpowiednią liczbę sztućców do kompletu. Lniane serwetki? Skąd je wytrzasnąć? Wzięłam czyste czerwone ściereczki do naczyń, w tym samym odcieniu co kapa na łóżko, rozłożyłam na ręczniku na podłodze i szczerze skropiłam krochmalem w sprayu. W końcu część mieszkalna nabrała jako tako przytulnego wyglądu.

Pozostawała jeszcze kwestia łóżka. Takiego mebla w kawalerce ukryć się nie da, tymczasem na moim panoszyły się rozmaite pluszowe zwierzaki, jeszcze z czasów dzieciństwa. Żaden normalny mężczyzna nie poczuje się zdobywcą, otoczony misiami Paddingtonami i psami Snoopy. Wepchnęłam je wszystkie pod łóżko i odsunęłam się. Posłanie bez wątplenia prezentowało się teraz lepiej, ale nadal nie przypominało siedliska rozpusty. Zwykła skrzynia ze sprężynami i materacem na harwardzkiej ramie na kółkach. Nawet bez zagłówka.

Nagle pożałowałam, że nie mam dość czasu i odpowiedniego zasobu gotówki, aby pognać do Laury Ashley i udekorować moje łóżko piękną, śnieżnobiałą pościelą, z poduszkami, które zdobiłyby koronkowe wstawki. Z furją przekopywałam bieliźniarkę, wyciągając z niej wszystko, co chociażby odrobinę kojarzyło się z dziewiczością. Plon poszukiwań był raczej mizerny, ale w końcu udało mi się wygrzebać komplet prześcieradeł ze zdobionymi brzegami, o których posiadaniu kompletnie zapomniałam, i miękki wełniany pled w kolorze głębokiego różu. Energicznie spulchniłam wszystkie cztery żalösne, sponiewierane poduszki, skropiłam je wodą kolońską i uznałam, że to musi wystarczyć. W szampańskim humorze odwinęłam róg kołdry. Może mała drzemka? Roześmiałam się głośno i rzuciłam okiem na zegarek. Kwadrans po szóstej. Czterdzieści pięć minut do rozpoczęcia meczu. Świetnie, teraz prysznic, depilacja i balsam.

W kwadrans później usłyszałam brzęczyk portiera. Włosy miałam mokre, byłam owinięta ręcznikiem, a Richard przyszedł wcześniej. Cholera! Co mogłam zrobić? Nic. Otworzyłam. Richard stał w progu.

- Pośpieszyłem się? - zapytał, wręczając mi bukiet intensywnie pąsowych róż.

- O, dziękuję. Na Boga, nie. Wchodź, wchodź. Ja właśnie... Do licha, czyżbyśmy umawiali się na szóstą trzydzieści? Przykro mi.

Zamknęłam drzwi, czując, że z zakłopotania podnosi mi się gorączka. Doszła już chyba do 107 stopni.

- Nie pamiętam - odpowiedział. - Wybacz. Caroline?

-Tak?

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Kolana ugięły się pode mną i nagle ogarnęło mnie niesamowite uczucie, że spadam swobodnie, unoszona powietrzem.

- Nawet mi się nie śniło, że ktoś może wyglądać tak pociągająco w ręczniku - powiedział swoim niskim, spokojnym głosem.

A niech to licha. Znowu przemówił niczym James Bond. Wystarczył mi jednak rzut oka na swoje białe stopy, bym momentalnie otrzeźwiała.

- Doktorze? Proszę darować Magnolii kilka minut. Musi pójść włożyć krynolinę. Ale może zechce pan włączyć muzykę i otworzyć wino?

- Boże drogi, uwielbiam kobiety obdarzone poczuciem humoru. Gdzie jest korkociąg?

- Druga szuflada na lewo od kuchenki.

Włożyłam kwiaty do zlewu i przemknęłam obok niego. Oczywiście nie omieszkał pociągnąć za ręcznik, a ja wrzasnęłam i roześmiałam się. Ale w łazience zamknęłam drzwi na zasuwkę, po czym w ekspresowym tempie wykonałam fryzurę i makijaż. Wciągnęłam przez głowę małą czarną bez rękawów, nakremowałam nogi i ramiona i wsunęłam stopy w czarne zamszowe sandały na niezbyt wysokim obcasiku. Jeszcze tylko złota bransoletka i kolczyki ze sztucznymi diamentami. Nie ulegało



wątpliwości, że moim zamiarem było go usidlić. Pewnie nie będzie nawet usiłował się bronić.

Kiedy stanęłam w drzwiach kuchni, wręczył mi kieliszek czerwonego wina i westchnął. Spróbowaliśmy trunku, ani na moment nie odrywając od siebie wzroku.

- Muszę zająć się kolacją - powiedziałam. Mój głos brzmiał ochryple i niepewnie.

- A bardzo miałyby mi pani za złe, gdybym panią najpierw pocałował? Cały dzień pieściłem w myślach kształt pani ust.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Byłam tak zdumiona, że nie potrafiłam zapanować nad tym odruchem. Co za uwodzicielka ze mnie!

- Ach, tak? - Znakomicie. Miss Groovy\* znowu w akcji. Podszedł do mnie i wówczas poczułam jego oddech, wyraźnie przesycony pastą do zębów.

- Właśnie tak - powiedział, kładąc rękę na wcięciu mojej talii i przyciągając mnie do siebie.

- Czuję miętę - powiedziałam i natychmiast zapragnęłam się wybatożyć, że palnęłam coś równie głupiego.

Na krótki moment odsunął mnie od siebie i uśmiechnął się.

- Jesteś może na nią uczulona?

- Do diabła, nie - rzuciłam, otwierając szeroko oczy. Z każdą wyduszaną przez siebie sylabą coraz bardziej wychodziłam na kompletną debilkę.

- A lubisz miętę? - dopytywał się.

Nietrudno było się domyślić, że dręczenie mnie sprawia mu przyjemność.

*\* Właśc. Paola Peroni, popularna włoska didżejka.*

-Tak!

- Bo w kieszeni mam cynamonową gumę do żucia, więc jakby co, mógłbym ją włożyć do ust...

- Richard? - Udałam, że robi mi się słabo i osunęłam się w jego ramiona. - Richard, ja umieram.

- Chodź, kociątko. Wuj Richard pogłaszczę cię po wąsikach.

W tym momencie żarty się skończyły. Z chwilą kiedy jego wargi dotknęły moich, zaczęliśmy poznawać smak naszych oddechów, drażnić nawzajem nasze zmysły, dopóki nie wycofaliśmy piłki za trzydziestojardową linię. Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu, usta Richarda w idealny wręcz sposób pasowały do moich, tak że czułam się, jakbym całowała mojego brata bliźniaka. Zaplotłam ręce wokół jego szyi i nawet przy swoim dość wysokim wzroście musiałam wspiąć się na palce, by nasze twarze znalazły się na jednym poziomie. To był pocałunek życia, z gatunku tych, do jakich dochodzi wyłącznie na kartach powieści, nigdy w prawdziwym życiu. Im dłużej Richard mnie przytrzymywał, tym bardziej nabierałam śmiałości.

Przesunął ręce w dół, na moje biodra i pośladki.

- Nie nosisz majtek - zauważył.

- Ups, za szybko się ubierałam.

Jego język badał moją szyję, zatrzymując się co chwila i naciskając lekko.

- Tym razem ci wybaczę - powiedział - ale żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

Uznałam, że najwyższy czas, abyśmy oderwali się od siebie. Jeśli teraz nie przestaniemy, nie przestaniemy przez całą noc. Powiedziałam więc:

- Posłuchaj, *bubba*\*. Miłe dziewczyny z Południa nie rozbierają się do rosołu od razu na pierwszej randce.

-*Bubba*?

Wysunęłam się z jego objęć i zaprowadziłam go do saloniku.

- Ty zostaniesz tutaj, a ja zajmę się gotowaniem, zgoda? Popchnęłam go na wymoszczony poduszkami fotel i podsunęłam mu podnózek pod stopy.

- Caroline, co to takiego *bubba*? I gdzie jest moje wino?

*\* Wyraz wywodzący się z języka gullah (odmiany dialektu czarnych Amerykanów, zachowującej cechy języków afrykańskich, występującej głównie u wybrzeży Karoliny Południowej, Georgii i Florydy); początkowo pieszczotliwe określenie brata; także białego mężczyzny, południowca, często niewykształconego, konserwatywnego, rasisty.*

Przyniosłam jego kieliszek, napełniłam ponownie i podałam mu.

- W tym wypadku jest to określenie pieszczotliwe.

Obiad wypadł nadzwyczajnie i przelotnie pomyślałam o Abe'em rzeźniku i o tym, jak dzięki sprzętom ze schowka Goldbergów i roślinom z holu wykreowałam naszą łódź kochanków.

W tle Wynton Marsalis pobrzmiwał nisko i jękliwie. Opróżniliśmy obie butelki i Richard opowiedział mi o swoim dzieciństwie. Równie dobrze mógł odczytywać ogłoszenia z działu „kupię”, dla mnie i tak każde jego słowo brzmiało niczym poezja.

Jego historia okazała się prawdziwym wyciskaczem łez. Urodził się w Londynie jako jedyny syn modnego i dobrze prosperującego jubilera. Matka zmarła na raka jajników, gdy Richard miał zaledwie dwanaście lat. Ojciec wkrótce się ożenił z rozwódką, która miała trójkę własnych, małych jeszcze dzieci. Z macochą ustawicznie dochodziło do nieporozumień, więc Richard został wysłany do szkoły z internatem. Jako zdolny i wyróżniający się uczeń dostał się na studia medyczne i zdecydował poświęcić się psychiatrii. Właśnie je kończył, kiedy poznał swoją pierwszą żonę, Lois. Z małżeństwa w ewidentny sposób nie wyniknęło nic dobrego poza dzieckiem, synem, którego uwielbiał.

Kiedy opowiadał mi to wszystko, tonęłam w jego orzechowych oczach, poznaczonych plamkami zieleni i złota.

Miedzy daniem głównym a deserem ręka Richarda odnalazła drogę pod moją sukienkę. Zdecydowanie wkroczyliśmy na trakt wiodący prosto do Sodomy.

- Coś leży na mojej nodze - powiedziałam z udanym chłodem.
- Nie przejmuj się, mogę cię wyleczyć z tych przywidzeń - odparł.
- Zamierzam dotrwać do nocy poślubnej.
- Więc wyjdź za mnie.
- W porządku.

Najdziwniejsze było to, że myślałam serio. Od pierwszego spędzonego razem wieczoru wiedziałam, że wyjdę za Richarda. Wszyscy chłopcy z Południa, z którymi kiedykolwiek umawiałam się na randki, byli dobrze ułożeni i w każdym calu przewidywalni. Z pewnością też nie mniej przystojni czy pociągający od Richarda. Każdy z nich był naprawdę

wspaniały. Może to ja wówczas nie czułam się jeszcze gotowa do trwałego związku? Może.

Richard był inny. Przede wszystkim odrobinę niebezpieczny. Tkwiło w nim coś takiego, co wymykało się spod kontroli i nie dawało się obłaskawić. Poza tym był taki wytworny i tak bardzo seksowny. Nie chciałam spędzić ani jednego dnia mojego życia z dala od niego. Nigdy przedtem nie doświadczyłam podobnego uczucia i wiedziałam, że także w przyszłości nigdy więcej nie stanie się ono moim udziałem. W jednej chwili uwierzyłam bez cienia choćby wątpliwości, że oto spotkałam człowieka, który mógłby się o mnie zatroszczyć - gdyby tylko chciał. Było to zdumiewające.

Tej nocy zasnął u mnie na sofie, zapewne zmorzony nadmiarem wina, podczas gdy ja zmywałam naczynia. Poczucie przyzwoitości nakazywało mi go obudzić i wysłać do domu. Ale nie. Byłam jak porażona, oszalała na jego punkcie. Okryłam go starannie, zdjęłam suknię i pantofle i położyłam się do łóżka naga, starając się racjonalnie uzasadnić swój postępek. Tej nocy los będzie rozstrzygał. Jeśli on się obudzi i wymknie do domu, to znaczy, że jest dżentelmenem, a więc odpowiednim materiałem na męża. Jeśli się obudzi i przyjdzie do mnie, dowiem się, jakim mężem będzie w przyszłości. Jeśli prześpi całą noc na sofie, jest dupą wołową.

Gdzieś koło czwartej nad ranem poczułam go obok siebie. Nie, najpierw poczułam jego zapach. Eau Sauvage. Jezus! Chyba spotkałam swój ideał. Podczas gdy jego palce przesuwają się po moim boku, udawałam, że śpię. Jeszcze mocniej przytulił się do mnie i przez chwilę leżeliśmy obok siebie niczym dwie łyżeczki. Zaczęłam znowu zapadać w

sen, myśląc mgliście, że przyjemnie się tak leży, miło i bezpiecznie. Po chwili Richard nieco się odsunął. Nie musiałam się długo zastanawiać, dlaczego to robi.

- Caroline - szepnął.

- Tak?

- Przepraszam, że cię budzę, kochanie, ale... - Richard, chodź do mnie, ja też cię pragnę.

Moje wysłużone łóżko zaczęło trzeszczeć i chwiać się, a jeśli nasze usta zdawały się stworzone dla siebie, to reszta naszych ciał okazała się dopasowana niczym klocki Lego. Richard uczynił mnie tak szczęśliwą, że zapragnęłam głośno krzyknąć, jednak na krzyk nie starczyło mi oddechu. Mogłam tylko chwytać powietrze krótkimi, urywanymi haustami. Kochanie się z Richardem było niczym windsurfing na fali przyływu. Nigdy przedtem nie znalazłam się tak wysoko, równie przerażona i wstrząśnięta jednocześnie. Tak, ten człowiek naprawdę był niczym pogromca. Kiedy słońce wzeszło i obudziło nas, łóżko stało odsunięte od ściany o dobrych parę stóp, a pomiędzy prześcieradeł przezierały nagie materace. Gdyby nie dywan Goldbergów, wjechalibyśmy prosto do saloniku. Rozśmieszyło nas to do łez. Spotkałam swoją drugą połowę.

## **Dziennik Miss Caroline**

*Zdaniem matki, biorąc ślub w Nowym Jorku, Richard i ja popelniamy wszystkie możliwe gafy jednocześnie. Nic takiego wprawdzie matka nie mówi wprost, ale ja i tak wiem. Czego ona ode mnie oczekuje? Że przyjadę do domu i będę biegła na te wszystkie śniadanka i przyjętka, wydawane na cześć młodej narzeczonej przez ludzi, których nie widziałam od miliona lat? Już widzę siebie w kapeluszu z karbowanej wstążki, upiętej na tekturowym spodzie, rozwijającą z opakowań półmiski do casserole prosto ze sklepu Tupperware and Corning. Ktoś zrobi mi zdjęcie i pošle Richardowi, a ten słusznie pomyśli, że do reszty oszalałam, i odwoła ślub. Ale zdenerwowana nie jestem w najmniejszym nawet stopniu. Słowo. Chyba powinnam zadzwonić do matki i porozmawiać z nią. Cokolwiek postanowię, i tak będzie niezadowolona. Trudno, Richard i ja pobierzemy się w Nowym Jorku. On tak sobie życzy, a ja pragnę dokładnie tego samego. Matka nawet go jeszcze nie widziała...*

## Rozdział 2

*Miss Lavinia pragnie zamienić z wami słówko*

1987

- Millie! Nie jadę do żadnego Nowego Jorku. Nie zaczynaj ze mną,

- Owszem, jedzie pani. Ja jadę, Trip i Frances Mae jadą i pani jedzie także. Do czego to podobne, żeby nasza panna Caroline została panią Caroline bez nas, życzących jej szczęścia.

Określiła się na pięcie i wypadła z pokoju, zostawiając mnie bardziej wściekłą niż zmokła kura.

- Chwileczkę, i gdzież to się pani wybiera, pani Smoak?

- Zapakować pani rzeczy, a jak się to pani nie podoba, to trudno, *yanh*.

Byłyśmy właśnie w kuchni, kiedy zadzwonił Trip. Caroline telefonowała do niego, prosząc, aby ją poprowadził do ołtarza. Po co jej to? Przecież sama odeszła lata temu! Jak można poprowadzić kogoś, kogo już dawno nie ma? Powiedziałam Tripowi, że jeżeli on i Frances Mae chcą jechać do Nowego Jorku, to ich sprawa. Ja tam nie zamierzam ruszać się z Wysokich Sosen.

Miałam natomiast najszczerzy zamiar w dniu ślubu Caroline włożyć czarny welon i udać się do rodzinnej kaplicy na rozmowę z duchem mojego najdroższego Nevila. Zabrałabym ze sobą butelkę dobrego szampana, Dom Perignon rocznik 1961, albo może nawet i dwie butelki, żeby uczcić okazję, i z urwiska rzeki Edisto wzniosłabym toast za moją



córkę. Jeśli chce poślubić cudzoziemca, może śmiało uczynić to beze mnie. A ceremonia ma się odbyć w ich mieszkaniu! Nawet nie w kościele!

To żaden ślub, gdyby mnie ktoś spytał. Oni oczywiście nie pytali. Nie zapytali o pozwolenie, nie poprosili o matczyne błogosławieństwo. Moja aprobata tak naprawdę nic a nic ich nie obchodzi. Przez prawie trzy lata Carolie żyła w grzechu z tym człowiekiem, gnieźdząc się w ohydnej ciasnej norze, którą nazywała mieszkaniem. Teraz przeprowadzili się na Park Avenue. Patrzcie państwo, ile w nas pretensjonalności. A siebie samą nazywa dekoratorką wnętrz. Pięknie, pięknie. Władowałam w edukację tej dziewczyny mnóstwo forsy, a ona wybiera upinanie zasłon obcym ludziom. Biedna mała. Gdyby tylko zechciała posłuchać matki!

Wiem, uważa mnie za stare babsko, które nie ma bladego pojęcia o życiu poza granicami Karoliny Południowej. Coś wam zdradzę. Ona również nie ma o tym pojęcia. Wydaje jej się, że może zwać do Nowego Jorku i wyjść za pierwszego konowała, jaki się nawinie? Sądzi, że jest zakochana? Przecież ona nie ma bladego pojęcia o miłości. Ani o mężczyznach. O mężczyzn powinna była mnie zapytać. Boże, przecież ja mogłabym napisać o nich książkę. Wychodzi za tego starucha? To tak jakby wydawała się za własnego tatuśka.

Muszę porozmawiać z Millie. Niech położy temu kres, dopóki nie jest za późno. Niech użyje swoich błazeństw voodoo albo czegoś w tym rodzaju. Oczekałam trochę, bo chciałam, żeby Millie poszła na górę i zabrała się do robienia bałaganu w moich rzeczach. Dobrze wyliczyłam; ledwo poprawiłam włosy przed lustrem w holu i weszłam po schodach, zdążyła już porozwlekać na łóżku połowę moich ubrań.

- Millie, do diabła, chcesz, żebym po tylu latach cię wreszcie wylała?

A ta stara wariatka z furią w oczach ujęła się rękami pod boki i wypaliła:

- Miss Lavinia? Dobrze się stało, że Bóg powołał pana Nevila do swojej chwały, bo gdyby tak zobaczył, co pani wyrabia, serce by mu pękło.

- Wielkie mecyje, Jehoshaphat, Millie. Wiecznie powtarzasz jedno i to samo. Wymyśl coś oryginalniejszego.

- Dobrze, niech pani posmakuje tego, pani Dziedziczko Plantacji, Właścicielko Całego Świata. Nie chce pani jechać, bo trzęsie się pani ze strachu, że Caroline niepostrzeżenie stała się dorosła i teraz nikt już pani nie potrzebuje. I co?

Usiadłam na taborecie przy toaletce, czując, że całe powietrze ucieka mi z piersi.

- Tym razem mocno mnie ugodziłaś, Millie. Jak mogłaś powiedzieć coś podobnego? Najpierw opuszcza mnie mój chłopiec, robi brzuch tej wulgarnej zdzirze i żeni się z nią, a teraz moja dziewczynka wychodzi za cudzoziemca. W którym momencie skręciłam w niewłaściwym kierunku, Millie? Czy możesz mi to wyjaśnić?

Czułam, że robi mi się słabo na sercu. Naprawdę.

- Miss L. ?

Nie zareagowałam. Analizowałam stan moich nerwów. Dam radę się rozplakać czy nie? Udało się. Tamy puściły i łzy niczym dwie wezbrane rzeki polały się po moich policzkach. Kwiliłam przy tym jak dziecko. Nie robiłam tego specjalnie, żeby wzbudzić współczucie Millie, ale efekt był.

- Miss L. ?

Nadal się nie odzywałam. Wstałam z taboretu, podeszłam do łóżka, odrzuciłam wieszaki z ubraniami na jedną stronę i wczołgałam się pod przykrycie. Dla Millie był to znak, że ma zostawić mnie samą. Rzeczy mogła zapakować później. Opuściła pokój, cicho zamykając za sobą drzwi. Miała rację. Pojadę do Nowego Jorku. W końcu jak by to wyglądało, gdyby Millie zjawiała się na ślubie beze mnie? Zresztą wiedziałam, że nie uda mi się powstrzymać Caroline od wyjścia za tego człowieka. Była uparta niczym muł i musiałam mojej córce pozwolić popełnić jej własne błędy.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie twierdzę bynajmniej, że na podróż do Nowego Jorku zdecydowałam się wyłącznie dla zachowania pozorów. Wiedziałam, że moim obowiązkiem jest być na ślubie, a od obowiązków nigdy się nie uchylałam. Nigdy! Przenigdy. No dobrze - może raz - kiedy umarł Nevil. Po jego śmierci byłam bardzo niedobra dla dzieci. Ale wtedy - kompletnie nie zdając sobie z tego sprawy - znajdowałam się w stanie głębokiej depresji. Może powinnam była nawet poddać się odpowiedniej terapii? Ale kto wówczas miał pojęcie o takich sprawach?

Za to teraz wchodzi do naszej rodziny - zaraz, kim to on jest? psychologiem? psychiatrą? - no, w każdym razie ktoś w rodzaju lekarza, więc może wreszcie uzyskamy dostęp do wszystkich leków, jakie nam się tylko zamarzą. Zaraz, a może to jest główny powód, dla którego Caroline zgodziła się go poślubić? Ten sukinsyn najpierw urządził jej pranie mózgu, a potem oszołomił tabletkami! O, dobry Boże. Moja biedna córeczka. Muszę do niej zadzwonić.

Sygnał przebrzmiał sześć razy. Obydwoje gdzieś wyszli. Automatyczna sekretarka odezwała się wesołym, pogodnym głosem

Caroline: *Cześć, bardzo żałujemy, że kiedy dzwoniłeś, nie było nas w domu. Przepraszamy. Zostaw wiadomość, oddzwonimy niezwłocznie. Dziękuję.* Dlaczego ona bez przerwy za coś przeprasza? Naprawdę powinna się tego oduczyć. Przepraszanie jest oznaką słabości, a co jak co, ale kobiety w naszej rodzinie nigdy nie były słabe. Jak tylko oddzwoni, zaraz jej to powiem, choć z drugiej strony aż tak bardzo nie śpieszy mi się do jej telefonu.

Przymknęłam oczy. A może by się tak trochę zdrzemnąć? Ale skoro już miałam przy sobie w łóżku aparat bezprzewodowy, postanowiłam zadzwonić do mojej najdroższej przyjaciółki, Sweetie. Ona mi poradzi, jak postąpić.

- Sweetie? Posłuchaj, mam problem.

- Lavinia? Co się stało, na Boga? Czyżbyś płakała?

- Absolutnie nie. To alergia. Posłuchaj mnie, do licha. Caroline wybiera się za mąż. Za tydzień od dzisiaj wychodzi za tego starucha Richarda, a ja jestem tak wściekła, że najchętniej wytrząsałabym ją po buzi.

- Lavinio, to ty posłuchaj mnie. Caroline jest dorosłą kobietą i czas, abyś zdała sobie z tego sprawę. Jeśli chce zostać żoną tego człowieka, ty nic już nie możesz uczynić w tej sprawie. Absolutnie nic.

- Ale on jest starszy od niej o jednaście lat.

- Od Boba, tego doręczyciela paczek, byłaś starsza co najmniej o sto lat i bynajmniej ci to nie przeszkadzało.

- Patrzcie, patrzcie, jacy to jesteśmy dziś pyskaci. On jest Żydem, wiesz o tym?

- A jakie to ma, na Boga, znaczenie dla kobiety, która odprawia ceremonie sufickie, a w sypialni trzyma posąg **Siwy** wysoki na pięć stóp i mający dziesięć ramion?

- Używam go jako wieszaka na torebki, wiesz o tym doskonale. Nevil i ja kupiliśmy go w Nepalu.

- Tak się akurat składa, że pamiętam, jak kupowałaś go w domu aukcyjnym Christie's, moja droga.

Znienawidziłam ją za jej pamięć.

- Mniejsza z tym. Och, Sweetie, czy wiesz, jak mi ciężko na sercu? Co ja mam robić?

- Jak to co? Spakować manatki, przywołać uśmiech na twarz i wsiąść do samolotu.

- Wiesz, że nigdy nie latam samolotami.

- To dzwoń do Amtraku. Upewnij się, że Caroline ma wszystko, czego potrzebuje. Porozmawiaj z Richardem o szczerości jego intencji i zobowiązaniach, a potem życz im obojgu szczęścia. To bardzo proste, siostró.

Westchnęłam do słuchawki tak głęboko, że mój oddech pewnie rozburzył włosy Sweetie.

- Sweetie, nikt mnie już nie potrzebuje. To takie smutne.

- Lavinio, natychmiast przestań rozczułać się nad sobą i weź się w garść. Ja cię potrzebuję jako przyjaciółki, nawiasem mówiąc, sama się zastanawiam dlaczego, a Caroline potrzebuje cię jako matki.

No dobrze, pewnie myśli, że udało jej się rozłożyć mnie na łopatki.

- Chyba każę Jenkinsowi zawieźć się do Charlestonu. Może zafunduję sobie masaż twarzy i kupię nowe buty. To zawsze podnosiło

mnie na duchu. Właśnie widziałam ogłoszenie w „Post and Courier” o wyprzedaży u Boba Ellisa.

Tak, to mi poprawi humor.

- Lavinio?

-No?

Znowu ten ostry tonik. Jakże nienawidziłam Sweetie, kiedy mnie strofowała!

- Nie zapomnij kupić im prezentu. Zagotowało się we mnie.

- Wiesz co, Sweetie? Czasami wcale nie jesteś miła. Do widzenia!

Nacisnęłam przycisk i rzuciłam słuchawkę na materac. Na litość boską! A niech się wszyscy uduszą w swoim własnym sosie. Co mnie to w końcu obchodzi!

*Caroline Boswell Wimbley*

*i*

*dr Richard Case Levine*

*mają przyjemność zaprosić Państwa na obiad do The Post House 36  
Ulica, róg Park Avenue, w piątek, 25 lutego 1987 roku, o godzinie 20. 00  
RSVP 212-781-4462*

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Właśnie wprowadziłyśmy się do Pierre Hotel, Millie i ja. Millie dostała pokój zaraz obok mojego. O piątej przyjeżdżają Trip i Frances Mae. Mój apartament bardzo mi odpowiada. Składa się z niewielkiego saloniku i obszernej sypialni, z której okien rozciąga się wspaniały widok na Central Park. Święcie wierzę, że żyją tam krokodyle błotne. Boy hotelowy, który wnosił moje bagaże, okazał się bardzo miły jak na Jankesa. Chociaż wydaje mi się, że pochodzi z Turcji albo coś takiego. A może to była Albania? Napomknął, skąd jest, ale nie rozumiałam ani jednego słowa z tego, co mówił. Dałam mu trzy banknoty jednodolarowe. Przyniósł mi lód. Jak się nad tym zastanowić, to do tej pory spotkałam tu prawie wyłącznie cudzoziemców. Chyba jest im przykro być tak daleko od domu. Boże drogi, Nowy Jork to dopiero hałaśliwe miejsce. I dokąd ci wszyscy ludzie się tak bezustannie śpieszą? Ktoś mnie potrącił na Penn Station. Myślałam, że chce mi wyrwać torebkę. Okazało się, że to kobieta, w moim wieku, roztrzęsiona jak nieszczęście. Ale przynajmniej była na tyle dobrze wychowana, żeby przeprosić.*

*Za dwie godziny poznam mojego przyszłego zięcia. Nie myślcie, że go porządnie nie zlustрую, i to co najmniej ze dwa razy. Na szczęście mają w barku Jacka Danielsa. Strzelę sobie kielicha, a potem prześpię się trochę.*

## **Rozdział 3**

### *Strzeż się omyłki*

Przed chwilą dzwoniła Millie. To wspaniałe uczucie, znowu usłyszeć jej głos i wiedzieć, że jest tutaj. Potem ja zadzwoniłam do matki, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Powiedziała, że nie zgłasza żadnych skarg, więc zapytałam, czy aby na pewno połączyłam się z właściwym numerem, a ona na to, że nie widzi w tym nic zabawnego. Zapytałam, czy może chciałaby wstąpić do mnie wcześniej i obejrzeć mieszkanie, ale odparła, że jest zmęczona i marzy jej się wyłącznie odpoczynek. Nie mogłam mieć tego matce za złe, w końcu spędziła całą noc w pociągu.

Żeby zaimponować rodzinie, pokoje zarezerwowałam w Pierre Hotel. Zresztą stamtąd do naszego mieszkania są tylko dwa kroki. Lada chwila spodziewałam się Tripa i Frances Mae i powoli zaczynałam się denerwować. Richard miał wrócić o trzeciej, obiecał, że wyjdzie wcześniej. No cóż, pewnie coś mu wyskoczyło.

Zadzwoniłam do Post House, żeby potwierdzić rezerwację dla sześciu osób. Zaprosiłam też rabina, ale odmówił, gdyż w piątek wieczorem odprawia nabożeństwo. Zdaje się, że drugi rabin wyjechał na weekend czy coś podobnego.

Nasze mieszkanie lśniło czystością. Mogłam sobie wyobrazić matkę przeciągającą palcem po gzymsie nad kominkiem i znajdującą tam kurz. Będzie mile zaskoczona, gdy zobaczy to wszystko, pomyślałam.



Richard i ja zajmowaliśmy niewielkie mieszkanie, z dwiema zaledwie sypialniami, kupione półtora roku temu. Boże, ależ to była wtedy nora. Na dekoratora z prawdziwego zdarzenia żadne z nas nie miało forsy, tak że sama zabrałam się do dzieła. To znaczy Richard pieniądze miał, nie miał zamiaru natomiast wydawać ich na coś równie drobnomieszczańskiego i trywialnego, jak urządzenie wnętrza. Co do mnie zaś, to jeśli istniała jakaś rzecz, której nauczyłam się od matki - jak każda córka, puszczałam mimo uszu dziewięćdziesiąt procent tego, co mówiła - to to, że nigdy nie należy przeproszać za próbę uczynienia naszego świata piękniejszym.

Nie chciałam walczyć z Richardem o pieniądze. Na tym punkcie wydawał się dość drażliwy. W końcu nie święci garnki lepią. Po prostu usiadłam i nakreśliłam cały plan, jak urządzić mieszkanie, dysponując budżetem nie większym od ciasteczka oreo. Byłam pewna, że Richard, gdy zobaczy, w co udało mi się przemienić nasze zapuszczone pokoje, będzie ze mnie dumny. Noce przedmażeńskich rozkoszy spędzaliśmy w mojej niewielkiej kawalerce, podczas gdy w mieszkaniu trwały prace remontowe. Żeby pokryć część kosztów, Richard zrezygnował ze swojego mieszkania w pobliżu Columbia University.

Uwijałam się niczym gołąbka szykująca gniazdko dla swoich piskląt. Żyją w grzechu! Głos matki wypowiadającej te słowa nad rzeką Edisto dobiegał mnie aż tutaj. Jej przyjaciółka, Miss Sweetie, odpowiadała na to: *Myślałam, że mieszkają w Village*. Tu Millie wtrącała swoje trzy grosze: *Humph! To dziecko absolutnie nie jest zdolne do grzechu!* Tak, podczas gdy ja urządzałam mieszkanie dla nas obojga, kontyngent z Południa gdakał i cmokał, wyczekując, co to wyniknie z naszego związku.

I znowu portier w nowym budynku okazał się prawdziwą kopalnią informacji. To dzięki niemu wynajęłam fachowca, który skuł wszystkie tynki aż do cegły. Całkowicie wymieniałam instalacje, przebudowałam kominek i wycyklinowałam podłogi, przebiłam ściany, żeby założyć system klimatyzacyjny, kuchnię zbudowałam praktycznie od nowa i kompletnie odnowiłam obie łazienki. Większość elementów wyposażenia pochodziła z IKEA, a dodatkowe akcesoria kupiłam u Searsa podczas wyprzedaży czwartego czerwca. Szczerze? Wyglądały niemal równie dobrze, jak wszystko, co pokazują w „Architectural Digest”.

Żeby zaoszczędzić na tynkach, w pokoju dziennym zdecydowałam się położyć panele gipsowe Sheetrocka. Na to szło obicie z grubej, białej, bawełniano-jedwabnej tkaniny, którą udało mi się kupić na Trzydziestej Dziewiątej po siedem dolarów za jard. Podłogę pokrywała od ściany do ściany wełniana wykładzina w kolorze kości słoniowej, wytłaczana we wzór jakby z wiklinowej plecionki, wyszperana przeze mnie w potężnych magazynach sieci ABC Carpet. Zasłony uszyte były z białego, mieniącego się jedwabiu, przetykanego metaliczną srebrną nitką, z ozdobnymi wykończeniami w formie kwiatów - materiału z działu z sukniami ślubnymi w centrum odzieżowym. Wszędzie dominowała biel; zdaje się, że kierowała mną romantyczna wizja naszego wspólnego życia, rozpoczynającego się jako czysta, niezapisana karta.

W ostatnim miesiącu, kiedy główne prace były już skończone, zaczęłam przemierzać miasto w poszukiwaniu roślin pokojowych, które poumieszczałam w ceramicznych doniczkach, imitujących chińskie wazy. Fotografie oprawiłam w ramki z czerwonej laki i brązową matę z rogózki. Wszystko razem dało wyśmienity efekt. Nie mogłam się wprost doczekać,

kiedy Richard zobaczy całość, wykończoną w każdym szczególe. Ostatnimi czasy harował niczym maniak, dosłownie we dnie i w nocy, podczas gdy ja co chwila biegałam z biura do mieszkania, żeby jeszcze raz sprawdzić to czy owo. I tak trwało dobry rok. W pionie niemal się nie widywaliśmy!

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy urządziłam dla niego *grand tour*. Było to dokładnie trzy tygodnie temu. Jedyne umeblowanie stanowiły kupione przeze mnie drobiazgi. Fachowcy zamontowali już ostatecznie wszystkie klamki i uchwyty do szuflad i szafek. Wreszcie została zawieszona zasłona do prysznic. Zrosiłam rośliny, żeby liście błyszcząły, i oto Richard nacisnął dzwonek u drzwi wejściowych.

Otworzyłam mu. Richard trzymał butelkę szampana i dwa papierowe kubki. Szliśmy przez pokoje, popijając szampana i uśmiechając się do siebie. Richard zasypał mnie pocałunkami, chwając moją pomysłowość i co chwila wpadając w zachwyty nad jakimś szczegółem. Na podłodze w saloniku spożyliśmy kolację, wyjadając chińskie potrawy prosto z tekturowych opakowań. W którymś momencie wieczoru ochrzciliśmy nasze mieszkanie, kochając się w nim. Potem - nadal to pamiętam - zebraliśmy wszystkie puste pudełka i pojemniki i wystawiliśmy worek ze śmieciami za drzwi, na kuchenną klatkę schodową. Pogasiliśmy światła, a kiedy czekaliśmy na windę, Richard odwrócił się do mnie i powiedział: „Jesteś niesamowita, Caroline, po prostu niesamowita”.

Możecie sobie wyobrazić, jak się wtedy czułam, ile odwagi dodały mi jego słowa? Otwierała się przede mną nowa kariera, kariera zawodowego przedsiębiorcy. Remontując nasze mieszkanie, nabrałam takiej wiedzy o wygładzaniu nierówności w ścianach oraz problemach

elektrycznych i hydraulicznych i sposobach ich rozwiązywania, że zdecydowałam się zostać dekoratorką wnętrz. Wiedziałam, że Richard taki sposób zarabiania na życie uważa za mało ambitny. Nigdy wprawdzie nie powiedział tego na głos, ale mogłam to wywnioskować z tonu, jakim komentował moje opowieści o różnych remontowych szczegółach i próbkach materiałów wykończeniowych. Nie dbałam o to, gdyż wiedziałam, że urządzenie mieszkań sprawi mi więcej radości niż piastowanie funkcji kierowniczkii oddziału Banku Nowojorskiego, filii na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Trzeciej Alei, a takie właśnie stanowisko zajmowałam, odkąd skończyłam studia.

Aż do wczoraj pertraktowałam z facetem z California Closets w sprawie montażu półek w szafie w sypialni. I dopiero dzisiaj rano, kiedy pojawiła się kwiaciarka, żeby udekorować gzysms nad kominkiem na jutrzejszą ceremonię, zaczęłam się denerwować. Przedtem byłam zbyt pochłonięta organizowaniem uroczystości ślubnej i nadawaniem ostatecznego szlifuz mieszkaniu, żeby zmierzyć się z faktem, iż naprawdę wychodzę za mąż. Wychodzę za kogoś, kto wyznaje inną wiarę niż moja rodzina, ma inne obywatelstwo, eks-żonę i małego syna. Za kogoś, kogo moja matka zniełubi od pierwszego wejrzenia. *Yeah*, od pierwszego wejrzenia.

To właśnie z powodu jej dezaprobaty ceremonia miała się odbyć w Nowym Jorku, a nie w Wysokich Sosnach. Na podobną imprezę w domu po prostu nie miałam siły. Zresztą i tak planowaliśmy tylko skromną ceremonię.

Szczerze mówiąc, byłam mocno zdumiona, że matka zdecydowała się na podróż. Wiedziałam, że Millie ją namówiła, żeby przyjechała na

ślub, i to oczywiście pociągiem. Matka nie uznawała samolotów. Mój brat Trip poprowadzi mnie do ołtarza, a moja bratowa Frances Mae jak zwykle będzie wścibiała wszędzie nos.

Popatrzyłam na zegarek. Wpół do szóstej. Gdzie, u licha, podziewa się Richard? Zadzwoił telefon. To był Trip.

- Hej, zdenerwowana? - zapytał.

- Diabła tam, nie - odpowiedziałam.

- Kłamiesz?

- Pewnie, że tak. Zaczęliśmy się śmiać.

- *Yeah*, tylko poczekaj, aż ten gość weźmie cię na postronek. Ani wtedy zipniesz. Dokładnie tak jak ja przy Frances Mae.

- *Yeah*, to się jeszcze okaże. Jak tam twój pokój, w porządku?

- W porządku, w porządku. Frances Mae leży z nogami zadartymi do góry. Mówi, że popuchły jej kostki. Myślę, że rozejrzę się trochę po tutejszym barze. Może znajdę jakichś gości, żeby mi dotrzyмали towarzystwa. Masz ochotę się przyłączyć?

- Jasne. Tutaj krążę od ściany do ściany, coraz bardziej wściekła, i czekam, aż Richard wróci do domu. Stawiasz?

- No - odparł. - Zostaw mu wiadomość. . - Świetny pomysł. Do zobaczenia za dziesięć minut.

Zadzwoiłam do Richarda do gabinetu i rozmawiałam z jego recepcjonistką.

- Czy wie pani, gdzie mogę złapać doktora Levine'a? Mówi jego narzeczona.

- Doktor musiał pojechać w pilnej sprawie na Long Island. Wyszedł już o drugiej. Czy chce pani, abym do niego zadzwoniła?

Long Island? Tam właśnie mieszkała Lois, jego była żona, z synem. Żadnych wspólnych znajomych na Long Island nie mieliśmy, a większość pacjentów Richarda pochodziła z Manhattanu.

- Nie, nie trzeba. Jestem pewna, że wkrótce się pojawi. Dziękuję.

Pewnie pojechał uspokajać Lois. Ostatnio prezentowała niezwykle widowiskowe wybuchy szaleństwa, ponieważ mieliśmy się pobrać. Nawet nie miałam jej tego za złe. Przede wszystkim była głupią krową, że pozwoliła mu odejść. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, jak do tego doszło. Napisałam do Richarda kartkę, przypięłam ją do drzwi i wyszłam.

Na dworze było mroźno, trochę powyżej dwudziestu stopni. W zeszłym tygodniu mieliśmy zadymkę śnieżną, która pozostawiła Manhattan pokryty dwudziestocalową warstwą białego puchu. Kiedy ją odgarnięto, przyszedł mróz. Portierzy wszystkich budynków mieszkalnych musieli wycinać przejścia w zwałach śniegu, żeby ludzie mogli zejść z krawężnika do taksówki bez konieczności forsowania śnieżnych pryzm. Mnie zimno nie przeszkadzało. Nawet bardzo je lubiłam. Ciaśniej owinęłam się połą czarnego płaszcza i szybkim krokiem ruszyłam w stronę hotelu.

O szóstej Trip i ja znacznie już wyprzedzaliśmy matkę i Millie, jeśli chodzi o ilość skonsumowanego alkoholu, choć muszę powiedzieć, że czyniły heroiczne wysiłki, aby nam dorównać, i to w jak najkrótszym czasie. Matka utrzymywała, że zeszczuplałam, Millie, że nic się nie zmieniłam. Matce nie podobało się moje nowe uczesanie, twierdziła, że mnie postarza, Millie uważała fryzurę za szykowną. Matce w Nowym Jorku nic nie wydawało się godne uwagi, Millie uznała miasto za ekscytujące. Frances Mae siedziała w milczeniu, sącząc sok

pomarańczowy i pogryzając orzeszki. O szóstej trzydzieści w końcu pojawił się Richard. Widząc go w drzwiach, wstałam, żeby przyprowadzić go do naszego stolika.

- Oo! - zawołała Frances Mae. - Gorący typek.

- No, owszem - przyznałam.

- Na miłość boską, Frances Mae - wmieszał się Trip, przewracając oczami.

Wzięłam Richarda pod ramię i wyszeptałam mu prosto do ucha:

- Gdzie się podziewałeś, kochanie?

- Walczyłem z Lois, kochanie - odszepnął. - Cudownie dzisiaj wyglądasz, najdroższa.

- Chodź, poznaj moją rodzinę.

Zgromiony władczym spojrzeniem, Richard najpierw skierował się do matki i ujął podaną sobie dłoń w obie ręce.

- Zdaje się, że popełniłem największą pomyłkę mojego życia, pani Wimbley - zaczął.

- Tak?

- Tak. Żenię się z córką, tymczasem wystarczyło, żebym ujrzał matkę, aby ta skradła moje serce.

- Och! To największa bujda, jaką w życiu słyszałam, ale mów dalej, nie przestawaj mi schlebiać. - Matka uśmiechała się promiennie, okręcając perły wokół palca. - Nazywaj mnie Lavinia, dobrze? Chodź, usiądź obok mnie, uroczy człowieku. Trip, czy on nie jest czarujący?

- Po prostu przeuroczy - odparł Trip.

Richard uścisnął dłoń Tripa, obdarzył Frances Mae pocałunkiem w policzek, w końcu zwrócił się do Millie.

Nigdy przedtem nie widziałam Millie prezentującej się tak elegancko. Mimo swoich pięciu stóp wzrostu i stu funtów samego tłuszczu, wyglądała, jakby miała czterdziestkę i ani jednego dnia więcej, choć w rzeczywistości dawno już przekroczyła pięćdziesiątkę. Jej oczy niczym lasery prześwietlały człowieka na wylot, docierając do najgłębszych zakamarków duszy. Zawsze żartowałam, że długi warkocz, który nosi upięty dookoła głowy, służy jej do zamaskowania trzeciego oka. Teraz miała na sobie kostium z blad różowej wełenki boucle z czarną lamówką. Wyglądał na model od Chanel i być może pochodził właśnie z firmowego magazynu. Tak, Millie wyglądała elegancko, ale nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Coś najwyraźniej mąciło jej dobry nastrój. Zbyt dobrze znałam to spojrzenie.

- Richardzie, to jest Millie Smoak. Przez całe moje życie zarządzała Wysokimi Sosnami i nigdy nie miałam wierniejszej od niej przyjaciółki.

- To dla mnie ogromna przyjemność, pani Smoak, proszę mi wierzyć.

- A więc to pan jest tym człowiekiem, który żeni się z moją Caroline - zaczęła Millie, mierząc Richarda wzrokiem i zagładając mu głęboko w oczy.

- Tak, proszę pani, to ja. Mam zamiar nie tylko się z nią ożenić, ale także kochać ją i rozpieszczać aż po kres swoich dni.

- Cóż, lepiej niech pan dotrzyma słowa - odparła Millie i dwie duże łzy stoczyły jej się po policzkach.

- Och, Millie! - Objęłam ją ramionami i uścisnęłam.



- Byłam przy twoich narodzinach, Caroline. - Millie pociągnęła nosem, usiłując zapanować nad wzruszeniem. - Towarzyszyłam ci dosłownie od chwili, kiedy przyszedłeś na świat.

- Wiem, Millie. Kocham cię, wiesz przecież o tym. - Poczułam, że sama jestem bliska płaczu.

- W takim razie - Richard skinął na przechodzącego kelnera - uczcijmy to szampanem.

- Cóż, wołałabym Jacka Daniela z lodem i odrobiną wody sodowej. Przejdzie? - zapytała matka.

- Ja też - zawtórował Trip.

- Zamów trzy - dodała Millie - i mów mi Millie.

- Do diabła, Richard - dorzuciłam, myśląc, że nie kosztowałam bourbona, odkąd skończyłam college - dla mnie też.

Richard zwrócił się do kelnera.

- Dopiero co wszedłem do tej rodziny. Zapomnijmy o szampanie. Dla mnie Dewar's, nierozcieńczony, a dla wszystkich bourbon. I proszę przynieść jeszcze jeden sok pomarańczowy dla mojej szwa-gierki.

Rozegrał to wyśmienicie. Od tego momentu wszystko już mogło ujść mu płazem. Przenieśliśmy do Port House, gdzie zjedliśmy wystawną kolację - ogromne steki, homary na parze, tak potężne, że mogły się przyśnić, zapiekany szpinak i wiejskie frytki. Minęła dziesiąta, a my jeszcze siedzieliśmy przy stole, jedząc i gawędząc.

- Czy ktoś życzy sobie deser? - zapytał Richard.

Ochotę miała tylko Frances Mae, jednak Trip momentalnie ją osadził, że skoro nikt nie zamawia deseru, ona także może się bez niego obejść. Zdaje się, że nieźle ją wystraszył. Trochę mnie zdumiało, że

zwraca się do niej takim tonem. Ja w podobnej sytuacji natychmiast solidnie kopnęłabym męża w goleń, korzystając z osłony stołu. Ale braciszкови też muszę oddać sprawiedliwość - Frances Mae jest okrągła niczym rotunda.

- Wpadniecie do nas na kielicha przed snem?

Znowu wszyscy odmówili, tłumacząc się zmęczeniem. Matka dyskretnie wręczyła kartę American Express szefowi sali, tak że rachunek został uregulowany, zanim Richard zdążył sięgnąć po portfel. Mój narzeczony podniósł się z miejsca i pochylił nad dłonią matki. Przed drzwiami restauracji życzyliśmy sobie dobrej nocy i rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach.

- Byłeś absolutnie czarujący - oznajmiłam, kiedy przecinaliśmy Park Avenue. - Dziękuję ci.

- To bardzo mili ludzie, a ja cię kocham - odparł.

- Dzięki Bogu, ponieważ ja także cię kocham.

Eddie, portier, przytrzymał drzwi, kiedy wchodziliśmy do holu.

- Jedenaście stopni - poinformował.

- Naprawdę? - zapytałam. - Wcale nie czułam zimna.

- Tak jest, jak się człowiek zakocha - skomentował Eddie, ściągając dla nas windę.

Od jutra będę panią Richardową Levine. Co za olśniewające uczucie.

***Carofine Boswell Wimbley***

***i***

***dr Richard Case Levine***

*mają zaszczyt zaprosić na swój ślub 26 lutego 1987 roku Le Perigord  
Park 563 Park Avenue godzina 18. 00 Prosimy o potwierdzenie przybycia  
do 30 stycznia Stroje wieczorowe*

*RS*

## **Rozdział 4**

### ***W drodze do ołtarza***

**1987**

Już tylko kilka minut dzieliło nas od rozpoczęcia ceremonii ślubnej, która miała się odbyć w naszym nowym mieszkaniu. Byłam w sypialni z matką i Millie, usiłując ukoić nerwy ćwiczeniami oddechowymi *ujayia* - techniką ułatwiającą organizowanie prany, którą poznałam na kursie jogi. Teraz jej efekt był znikomy.

- Potrzebujesz czegoś na uspokojenie? - zapytała matka. - Pewnie tak, bo chyba nie chcesz wyjść do gości z obłędem w oczach, trzęsąc się jak galareta. Pięć miligramów tego czy tamtego i od razu poczujesz się lepiej.

Nie odpowiedziałam, tylko jeszcze raz wzięłam głęboki oddech, odwróciłam się od lustra na drzwiach ściennej szafy i popatrzyłam prosto na nią. Dlaczego mi to zrobiła? Nie, nie uda jej się wyprowadzić mnie z równowagi, bez względu na to, z czym jeszcze wyskoczy. Niech się dzieje, co chce.

- Miss Lavinio - Millie rzuciła się na matkę jak lwica - niech pani zostawi to dziecko w spokoju. To jest jej dzień, pani swój już miała. To pani ma obłęd w oczach, nie ona. Kto to widział, żeby wmuszać w narzeczoną jakieś tabletki. Powinna się pani wstydzić.

- Cicho już, staruszeko.

- No, no, ptaszki - wtrącałam ze śmiechem - przestańcie się czubić o tego biednego robaczka.

One to uwielbiają - wyklócać się bez przerwy. Skończyłam się malować i teraz szczotkowałam włosy. Zza drzwi dobiegały mnie głosy gości wymieniających słowa powitania, rozmawiających ze sobą. Wciągnęłam przez głowę suknię - prosty futerał bez rękawów, z krepdeszynu w kolorze kości słoniowej. Millie zbliżyła się, żeby zasunąć mi zamek błyskawiczny.

- Wyglądasz ślicznie, dziecino. Naprawdę ślicznie.

Włożyłam na głowę niewielki, dopasowany kolorem do sukni toczek, przypinając go do włosów małymi szpileczkami. Millie i matka wybuchnęły płaczem, po czym matka podniosła się z szezlonga.

- Ja miałam włosy nieco jaśniejsze niż ty - powiedziała. Myślałam, że podejdzie do mnie i matczynym gestem po raz ostatni poprawi mi niesforny kosmyk albo pocałuje mnie w policzek, ale ona otworzyła niewielką, wyszywaną paciorkami torebkę i wyciągnęła w moim kierunku jakiś przedmiot, owinięty w starą koronkową chusteczkę.

- Posłuchaj, Caroline - zaczęła - zanim ofiaruję ci ten drobiazg, pytam po raz ostatni, czy naprawdę całym swoim sercem pragniesz poślubić tego człowieka?

Zobaczyłam, że mocniej zaciska dłoń.

- Mamo - powiedziałam - wiem, że od pewnego czasu trudno ci jest mnie zrozumieć, ale ja kocham Richarda.

W powietrzu zawisło długie milczenie. Matka pilnie zaglądała mi w oczy, wypatrując w nich śladu samooszukiwania się.

- W takim razie dobrze - skapitulowała w końcu. - Prezent należy do ciebie i nawet jeśli później zmienisz zdanie, nie musisz mi go zwracać.

Natomiast to jest chusteczka, którą twoja praprababka miała przy pasku u

spódnicy ślubnej sukni, kiedy w 1855 roku wychodziła za Henry'ego Wrighta Heywarda *TV*. Ją musisz mi oddać. Każda oblubienica w naszej rodzinie ma ją przy sobie w dniu ślubu, na szczęście. W środku znajdziesz drobiazg ode mnie.

Wzięłam chusteczkę z jej dłoni. Delikatna koronka, zleżała przez te wszystkie lata, została teraz wyprana, złożona w kopertę niczym origami i przewiązana wstążką w kolorze kości słoniowej, w prawdziwie eleganckim stylu, jaki zdawały się prezentować wyłącznie moja matka i Martha Stewart\*. W środku znajdowała się wytworna, niewątpliwie bardzo stara, diamentowa zapinka w kształcie łuku z drobnymi, rżniętymi szafirami na obu końcach.

- Och, mamó! - zawołałam, przytrzymując klejnot na dłoni. -Nigdy nie widziałam równie pięknej broszki.

- Nie dotykaj kamieni - ostrzegła mnie - bo zmatowieją od potu. Daj, przypnę ci na ramieniu.

- Do kogo należała? Nie przypominam sobie, żebym ją widziała.

- A skąd mam wiedzieć? - odparła. - Kupiłam ją wczoraj u Careya Friedmana na Czterdziestej Siódmej Ulicy. To dlatego spóźniłam się na koktajl.

No tak. Przecież nie będzie trwoniła rodzinnych precjozów na związek, który nie w pełni akceptuje. Właściwie było mi to obojętne. Z czasem go zaaprobuje.

- Mamó, bardzo ci dziękuję. Pocałowałam ją w policzek.

- Ostrożnie, dziecko, rozmażesz matce puder.

*\* Właścicielka firmy specjalizującej się w artykułach związanych z urządzaniem i prowadzeniem domu, dekoratorstwem i ogrodnictwem; autorka wielu poradników*

Rzuciłam spojrzenie Millie. Ocierała oczy, ale usłyszawszy to niewiarygodne oświadczenie, wybuchnęła śmiechem. Kręciliśmy głowami, podczas gdy matka odstąpiła krok do tyłu, żeby podziwiać swoje dzieło.

- Świetnie. Wygląda niczym *corsage*\*.

Ujęła moją dłoń i z uwagą obejrzała pierścionek zaręczynowy, z ubolewaniem kiwając głową nad jego skromnymi wymiarami i prostotą. Wreszcie odstąpiła do tyłu. Zaczęłam chichotać, pewnie z nerwów. Od już lat nie widziałam matki w równie złym humorze.

- Kocham cię, mamo - powiedziałam - i nie wychodzę za Richarda, aby ci dokuczyć.

- Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę - odparła - ale pamiętaj jedno, jeśli ci się nie powiedzie, zawsze możesz wrócić do domu.

- Co cię tak bardzo niepokoi w naszym związku?

- Och, Caroline, sama nie wiem. Wy dwoje absolutnie do siebie nie pasujecie, przez co wszystko będzie jeszcze trudniejsze.

Popatrzyłam głęboko w jej bladoniebieskie oczy i odrzekłam:

- Mamo, Richard i ja jesteśmy wykrojeni z tego samego kuponu materiału. Jesteśmy niczym dwa ziarenka groszku w jednym strączku i... nie martw się, wszystko się ułoży.

*\* Bukieciak kwiatów przypinany do sukni.*

- Znakomicie - wtrąciła Millie. - Teraz kolej na mnie. Zdejmuj pantofelek, panno młoda.

- Co takiego?

- Słyszałaś przecież. Daj mi swój pantofelek.

- Który? - Przysiadłam na krawędzi łóżka.

- Wstawaj natychmiast, Caroline, bo suknia ci się wygniecie - zareagowała gwałtownie matka, odrobinę za głośno, jak na moje napięte nerwy.

- Mamo - powiedziałam z wyrzutem. Ale i tak poderwałam się niczym wyskakujący z opiekacza tost.

- Prawy - fuknęła Millie.

Balansując na jednej nodze, ściągnęłam kremowy zamszowy pantofelek. Millie sięgnęła do kieszeni, wyjęła kartkę z życzeniami i kazała mi otworzyć. W środku znajdował się cent owinięty w kawałek koronki. *Mocno Kochaj tego mężczyznę* - napisała Millie - *ale siebie samej także nie zapomnij kochać. Millie Smoak*. Wiedziałam od razu, że cent jest przeznaczony do mojego bucika. Tradycja. Tak samo, jak przedtem się przed nią broniłam, tak w tej chwili kochałam każdy uświęcony zwyczajem gest na świecie.

- Koronkę zrobiłam sama - mówiła Millie. - Nie zgub jej dzisiejszego wieczoru, bo wtedy napotkasz złe *juju*. A cent jest z 1961 roku, z roku twoich narodzin.

- Millie, dziękuję ci. - Zarzuciłam jej ręce na szyję, a ona odpowiedziała mi uściskiem. - To takie podobne do ciebie, o wszystkim pomyśleć zawczasu. - Boże, jak ja ją kochałam. - Jestem taka szczęśliwa, że cię mam. Dziękuję, że przyjechałaś i przywiozłaś mamę.



- No co, czy ten ślub się w końcu odbędzie, czy też będziemy tu siedzieć i pytlować bez końca? Idę zobaczyć, czy twój brat gotowy.

- Przeprowadź Frances Mae, dobrze?

- Skoro każesz - mrugnęła do mnie i zamknęła drzwi - chyba rzeczywiście nie mamy innego wyjścia.

Matka i ja parsknęliśmy śmiechem. Jak na razie wszyscy starali się oszczędzać mi tortury przebywania w towarzystwie bratowej, i to nie bez powodu. Wiecie już, że Frances Mae spodziewała się dziecka, a u niej nigdy nie odbywało się to w taki sam sposób, jak u innych samic ludzkiego gatunku.

Ostatniego wieczoru podczas obiadu dostarczyła nam wystarczająco dużo materiału, byśmy mogli pokładać się ze śmiechu przez najbliższy tydzień. Kiedy udawała się do toalety, stapała ociężale przez całą salę niczym modelka prezentująca suknie ciążowe na wybiegu, z brzuchem mocno wypiętym dla zwrócenia na siebie uwagi i z ręką podtrzymującą krzyż. Z jakiegoś bliżej nieznanego mi powodu - choć może należałoby się nad tym głębiej zastanowić - jej ciążowe suknie zdradzały tendencję do wabienia wszystkich mężczyzn dookoła, podkreśleniem potężnych wymion, gotowych w każdej chwili strzyknąć szampanem. Matka opowiadała, że któregoś wieczoru Frances Mae błagała Tripa, aby w jadalni po obiedzie wymasował jej opuchnięte stopy; od tej pory raz na zawsze straciła cierpliwość do synowej. Może Frances Mae myślała, że jest koniem trojańskim, skrywającym w swoim brzuchu drugiego Mesjasza. Dlaczego Trip w ogóle się z nią ożenił i jak potrafił znieść jej obecność, na zawsze pozostanie tajemnicą jego karmy. Może w poprzednim wcieleniu obmywała jego blizny, naznaczone trędem? W każdym razie Frances Mae

nigdy nie była zwyczajnie w ciąży. Ona bywała brzemienna, i to bardzo brzemienna. O Jezu.

Mieszkanie wypełniało się gośćmi. Czułam wibracje ich głosów. Pojawiło się trochę moich koleżanek z banku i kilku kolegów Richarda. Ich rozmowy rozbrzmiewały w salonie, zlewając się w jeden monotony, płaski szum, przytłumiający dźwięki muzyki granej przez wynajęty zespół kameralny.

Odwróciłam się ku matce. Na jej twarzy malowała się rezygnacja przemieszana z melancholią. Poczułam, że duch słabnie we mnie odrobinę.

- Myślisz o tatusiu?

- Tak, jakże mogłabym inaczej. Moja jedyna córka bierze ślub w zwykłym mieszkaniu zamiast w kościele. I on, którego w takiej chwili zabrakło przy mnie i przy tobie - rzekła głosem pełnym bólu. - Ależ mam, przecież ty jesteś właściwie agnostyczką.

- No to co? O ileż piękniej wygląda ślub w kościele.

- Pozostaje tylko jeden drobny problem. Nie jestem członkiem żadnej kongregacji. Nie mogłam przecież sięgnąć po książkę telefoniczną, wybrać z niej parafii i ustalić terminu, prawda?

- Wiem i biorę to pod uwagę, ale mimo to ślub w salonie wydaje mi się dziwnie nie na miejscu.

- Mam, powiem ci coś, w co wierzę całym sercem. Nawet jeśli tatuś nie jest tu obecny ciałem, to z pewnością pozostaje z nami duchem.

- Mówisz niczym Millie.

- No i dobrze. Pobieramy się tutaj, ponieważ zaprosiliśmy zaledwie dwudziestu gości i ponieważ Richard bardzo pragnął, żeby ceremonię odprawił rabin.

- Boże wielki! Rabin? - Matka opadła na łóżko, kręcąc głową i wlepiając wzrok w podłogę. - Na miłość boską, własnym uszom nie wierzę. Czy chcesz powiedzieć, że przyszedł tu żydowski duchowny i będzie odprawiał ceremonię zaślubin? Twój ojciec przewróciłby się w grobie.

- Bardzo w to wątpię. Słuchaj, mamó. Nie obchodzi mnie, gdzie odbywa się ceremonia, ponieważ wierzę, że Bóg obecny jest wszędzie. Przecież Jezus sam powiedział, że gdzie jest dwóch albo trzech zgromadzonych w Jego imię, tam i On przebywa między nimi. Może nie?

- Mówił o swojej osobie, a przecież nawet ja wiem, że Żydzi nie uznają Jezusa.

- Mamó - uśmiechnęłam się, usiłując rozchmurzyć jej zmarszczone czoło. - Bóg jest Bogiem. Pierwsza osoba boska, druga czy dwudziesta, jakie to ma znaczenie? Czy nie widzisz, że najważniejsze jest, że wychodzę za mąż za człowieka, którego kocham i który mnie kocha, i że zebraliśmy się tu wszyscy razem?

- Może i tak - przyznała w końcu, podnosząc na mnie wzrok. - Ty, Caroline, zawsze ujmowałaś wszystko w sposób absolutnie nie-ortodoksyjny. Nigdy nie było inaczej. Im starsza się robię, tym mniej wiem o tym świecie.

Nie byłam do końca pewna, co chce przez to wyrazić. Chyba czuła się trochę samotna. Popołudniowe słońce wlewało się przez okno i choć na dworze panował lutowy mróz, pokój był nagrany. Obdarzyłam matkę czułym uśmiechem i właśnie miałam powiedzieć jej jeszcze raz, jak bardzo ją kocham, kiedy sarknęła na mnie:

- Masz szminkę na zębach. Zetrzyj ją natychmiast.

- Naprawdę? - Kończyłam przeglądać się w lustrze, kiedy drzwi otworzyły się i do sypialni weszli Frances Mae i Trip. Może powinnam powiedzieć, że nabrzmiały życiem brzuch Frances Mae wtoczył się pierwszy, ona sama zaś pojawiła się kilka chwil później, ale to już byłaby przesada. Na pierwszy rzut oka jednak dokładnie tak to wyglądało.

- Cześć, jak się masz? - przywitałam się z Frances Mae, jakby była moją najlepszą przyjaciółką, lekko pochylając się do przodu, aby ją uścisnąć.

- Pięknie wyglądasz - oznajmiła, przyciskając ręce do piersi. - Trip? Kochanie, daj chusteczkę. Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Dlaczego ja zawsze płaczę na ślubach?

- Doprawdy nie mam pojęcia, dlaczego płaczesz na ślubach, Frances Mae - zauważyła matka sucho, wznosząc oczy do sufitu, a potem przenosząc je na Millie, która stanawszy obok Tripa, przyglądała się przedstawieniu odgrywanemu przez moją bratową.

- Cóż, Matko Wimbley, myślę, że wzrusza mnie niewinność panny młodej i myśl o radosnej przyszłości. Chociaż w twoim przypadku, Caroline, doprawdy trudno mówić o młodziutkiej, dziewiczej oblubienicy, prawda, kochanie?

- Frances Mae - zaczęłam z powagą - widzisz ten kandelabr nad łóżkiem?

- No - przytaknęła, dotykając kącików oczu, pokrytych dziewięćdziesięcioma dwiema warstwami niebieskiego tuszu.

Szeptalam jej teraz wprost do ucha, tak że moje słowa były słyszalne tylko dla niej samej i dla Millie.

- Co noc naciskam guzik i wówczas odsuwa się, odsłaniając trapez.

- Naprawdę? - zapytała z miną panienki z plakatu reklamującego dowcipy o blondynkach.

- Tak, ale nie mów mamie.

- Zdumiewające! Nie widać żadnej szczeliny!

Trip podał mi bukiet, a ja uśmiechnęłam się. Jeszcze zanim wyszliśmy z sypialni, Frances Mae miała kark zeszywniały od wyciągania go w górę, a z dolnej wargi zlizwała sobie całą szminkę.

Zebraliśmy się w holu. Trip podprowadził matkę, a potem Frances Mae do ich miejsc. Millie została przy mnie, stając nieco z tyłu.

- Co, boisz się, że zwieję wejściowymi drzwiami? - szepnęłam do niej, chichocząc.

- Nie, po prostu pilnuję, aby nie trafił nam się żaden nieproszony gość, to wszystko.

- Na przykład Lois?

- Tak jest, *ma'am*.

Lois, pierwsza żona Richarda, która nawet jeszcze wczoraj usiłowała mu wyperswadować małżeństwo ze mną. Znałam wszystkie szczegóły toczonej przez nią kampanii, wiedziałam o każdym liście i każdym telefonie, ale wiedziałam też, że Richard nie jest nią zainteresowany. Chociaż trzeba przyznać, że nie był też z Lois całkiem szczery. Nigdy nie powiedział jej o mnie ani o nas. Nie wiedziała, że zamierzamy się pobrać, dopóki jakieś trzy tygodnie temu nie rozesłaliśmy zaproszeń. Ktoś życzliwy rozpuścił ozór. Ale prawdę powiedziawszy, wątpiłam, aby próbowała wtargnąć tutaj i przerwać ceremonię. Na podobny wyczyn nawet Lois brakłoby odwagi. Była z niej przecież zwyczajna Jenta ze sztucznymi paznokciami z akrylu.

- A mnie się wydaje, że chcesz wiedzieć, jak kroczę wsparta na ramieniu Tripa, zgadza się?

- Zgadza się.

W przyćmionym świetle holu oczy Millie zamigotały. Widziałam, że są wilgotne i że ona sama chce mi coś powiedzieć, tylko nie potrafi znaleźć odpowiednich słów.

- No, wyduś z siebie, co tam masz - popędziłam ją. - Nie mamy całego dnia w zapasie.

- Dobrze - rzekła. - Popatrz na swój bukiet. Włożyłam do niego niewielki woreczek z *gris-gris*. Ostatniej nocy śniły mi się kurczęta, a to nie jest dobry znak. Ten woreczek pomoże ci utrzymać wierność męża. W środku jest wszystko, co trzeba, nawet kawałek korzenia ziela Adama i Ewy.

- Co? - Pogmerałam w kwiatkach i wyciągnęłam czerwoną torebkę, dwa na trzy cale, ściągniętą sznureczkiem. Tym razem przeholowała. - Millie, co to ma znaczyć? Czy myślisz, że wolno ci manipulować wiernością mojego męża?

Trip podszedł do nas i ujął mnie pod ramię.

- Chodź, siostrzyczko, czas już na nas.

- Jedną chwilkę - powiedziałam do Tripa i odwróciłam się jeszcze do Millie. - No?

- Chcesz, żeby chodził na boki? - Millie była śmiertelnie poważna.

Nigdy nie wątpiłam w moc jej czarów. Przez całe swoje życie widywałam ich działanie. Oświadczyłam więc:

- Millie, posłuchaj. Naprawdę doceniam twoje starania, ale tego sobie nie życzę. Jeśli moje małżeństwo ma być udane, nie chcę, aby było

udane dzięki takim zabiegom. To nie byłoby uczciwe. -Oddałam jej torebkę. - Ale kocham cię za to, że się o mnie troszczysz.

- Boże, ależ ty jesteś uparta - powiedziała Millie, a potem pocałowała mnie w policzek i westchnęła, tak jak to tylko ona potrafi.

Nagle porwał mnie straszliwy wir, szalone wody, rwące emocjonalnym tunelem mojego serca. Kilka kroków przez długość holu -i jaka zmiana w moim życiu. Ze wszystkich stron opadły mnie wątpliwości. Czy my dwoje kochamy się na tyle, by razem iść przez życie? Czy znamy się wystarczająco dobrze? Może to była arogancja, może tylko nerwy, a może zwyczajnie nie chciałam wyjść na idiotkę? Zaczęłam drżeć na całym ciele. Bałam się, że zemdleję od nagłego strachu, który wypełnił mnie całą i ogarnął moje ciało niczym tropikalna gorączka.

Ale skoro nosiłam nazwisko Wimbley, musiałam postępować tak, by wszystko odbyło się jak należy. Nieważne co. Przyjęłam ramię mojego cuchnącego bourbonem brata, z podniesioną głową wkroczyłam do salonu, gdzie muzycy grali Vivaldiego, i poślubiłam Richarda przy akompaniamencie powstrzymywanego szloch Frances Mae, mimo zastrzeżeń matki i bez czarów Millie.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Świetnie. Tym to sposobem znalazłam się w owym piekielnym mieście. Pierwsza w nocy, a ja nie mogę spać. Ten bezustanny ryk klaksonów! Czy nowojorczycki nigdy się nie kładą? Na szczęście przywiozłam ze sobą zapas bourbona - minibarek w pokoju świeci pustkami! W Pierre Hotel! Możecie sobie wyobrazić coś podobnego? Ale przynajmniej mają poduszki z gęsiego puchu, czego na przykład nie mogłam powiedzieć o Amtraku. Mój przedział sypialny był niewiele większy od więziennej celi.*

*Co jeszcze? Moja jedyna córka właśnie została panią Levine. Zastanawiam się, czy dzieci będzie wychowywała na żydów. On nie wydaje mi się zbyt religijny. Caroline przynajmniej ma w sobie jakąś duchowość. Na pewno odnajdzie swoją drogę, podobnie jak ja odnalazłam swoją. Och, Nevil, módl się za nią. Wybaczcie na moment, muszę sobie dolać...*



## **Rozdział 5**

### ***Potyczka w raju***

**1987**

Nasz ślub był boski, dopóki nie nastąpiła noc poślubna. Nie pamiętam, które z nas zaczęło tę rozmowę albo jak w ogóle do niej doszło, ale było to już dobrze po przyjęciu w Le Perigord Park. Wracaliśmy pieszo, ostatecznie mieszkaliśmy w pobliżu, przy Park Avenue pod numerem 565, a przyjęcie odbywało się pod 563. Moje ramię splecione było z ramieniem Richarda. Trochę podśmiewałam się z niego, że zaoszczędziliśmy mnóstwo forsy na limuzynach i że będzie mężem zapobiegliwej żony. Richard miał odrobinę w czubie. W porządku. W końcu ślub to stresujące wydarzenie i nawet ja wypiałam trzy kieliszki wina. Zmęczeni też byliśmy nieziemsko. W drzwiach przywitał nas Eddie, portier.

- Doktorze Levine, pani Levine. Witam w domu i moje gratulacje.

- Dziękuję, Eddie - powiedział Richard, wręczając mu butelkę szampana, przyniesioną specjalnie dla niego.

- *Aye*, a potem noc świętowania - mówił Eddie. - Kiedy żeniłem się z Mary Madelaine, cały cholerny pub był nasz. Rodzina, przyjaciele. Dwadzieścia pięć lat minęło, a ja wciąż pamiętam te tańce. Ou! Na samo wspomnienie zaczynają mnie boleć stopy.

Dla mnie było jasne, że stary Eddie już coś świętował, może zachód słońca. Zresztą, Boże, błogosław Eddiemu, był taki sympatyczny. Odprowadził nas do windy i wcisnął guzik.

- Udało się przyjęcie? - zapytał.

- Wspaniale - odpowiedziałam. - Zabierz szampana do domu i nie zapomnij podzielić się nim z żoną.

Drzwi windy otworzyły się i Eddie przytrzymał je, dopóki nie weszliśmy. Pieszcząc wzrokiem butelkę, wydał z siebie ciężkie westchnienie, pełne udanej rozpacz, po czym popatrzył na nas i mrugnął.

- Noc poślubna.

Wiem, co miał na myśli. Wspięłam się na palce, a kiedy drzwi windy powoli się zasuwały, pocałowałam Richarda w policzek i łagodnym dmuchnięciem posłałam pocałunek w stronę Eddiego. Potem zaczęłam chichotać.

- Doktorze Levine, czy ma pan zamiar brutalnie pojąć swoją małżonkę?

- Bezczelny facet, co?

- O tak, bezczelny - powtórzyłam, naśladowując angielski akcent mojego męża, na co Richard uszczypnął mnie w pośladek.

- Au! Hej, zadałam ci ważne pytanie i jako twoja żona domagam się odpowiedzi.

- Och, wiesz co? Zamiast o tym mówić, ja ci to po prostu zdemonstruję.

Przyciągnął mnie do siebie, położył usta na moich wargach, po czym zadarł mi sukienkę aż do pasa i usiłował ściągnąć majtki. Zabawa była świetna, zwłaszcza kiedy na siódmym piętrze drzwi windy otworzyły się nieoczekiwanie i stojąca za nimi pani Jacobson omal nie zemdląca. Popatrzyła na nas ze zgrozą.

- Pojadę drugą kabiną - oświadczyła z niesmakiem.

- To szalenie miłe z pani strony, pani Jacobson - odparł Richard, jak zwykle szalenie uprzejmym tonem, podczas gdy ja niezdarnie usiłowałam osłonić gołe nogi. Kiedy drzwi się zamknęły, Richard zwrócił się do mnie:

- Wracaj tutaj, kobieto.

- Mowy nie ma.

Zaczęliśmy się śmiać, zastanawiając się, czy pani Jacobson doniesie na nas do administracji budynku z powodu naszego niestosownego zachowania.

- Założę się, że doniesie - upierałam się.

- Niech tylko spróbuje. Wtedy powiem, że ona co rano, kiedy wyprowadza tego swojego okropnego małego psa, przeszukuje pojemnik na śmieci, ten na rogu.

- Naprawdę tak robi? - zapytałam ze zdumieniem.

- Oczywiście, że nie, ale będę się zaklinał na honor, że widziałem to na własne oczy.

Winda zatrzymała się na dziesiątym piętrze i weszliśmy do holu.

- Droga pani Levine - zwrócił się do mnie Richard - czy mam przenieść panią przez próg?

- *Absolument* - odparłam, tym jednym słowem wyczerpując niemal całą swoją znajomość francuskiego.

Richard otworzył drzwi, podniósł mnie, stękając przy tym, i dotransportował do sypialni, gdzie bez żadnych ceregieli rzucił mnie na łóżko, i to z taką siłą, że odbiłam się od materaca.

- Idę zamknąć drzwi - powiedział. - Czy mam ci coś podać?

- Na przykład? - zapytałam, obracając na palcu nową obrączkę.

Wreszcie zostałam żoną Richarda, i było to najwspanialsze uczucie na świecie. Po prostu pełnia szczęścia.

Richard przyglądał mi się z osobliwym wyrazem twarzy.

- Podczas gdy ty będziesz napawała się niewolą, ja przygotuję sobie wielką, wspaniałą szkocką.

- Niewolą?

Nie spodobało mi się słowo, którym się posłużył. Odkąd postanowiliśmy się pobrać, nieraz zdarzało mu się mówić podobne rzeczy. Do tej pory zawsze je ignorowałam, niejako podświadomie. Trzasnęły drzwi lodówki, następnie szafki z alkoholami; potem zapadła cisza. Oczekałam kilka minut, a kiedy Richard nadal się nie pojawiał, wstałam z łóżka i poszłam go poszukać. Stał w salonie, w kompletnych ciemnościach, i wyglądał przez okno. Podeszłam do niego, objęłam go ramionami w pasie i przytuliłam policzek do jego pleców.

- Wspaniale pachniesz. Powiedz mi czym, a kupię ci tego całą beczkę.

Milczenie.

- Kocham cię - spróbowałam znowu, z sercem lekko ściśniętym.

Najwyraźniej nie było dobrze. - Richard, co się stało?

- Sam nie wiem - odparł. - Czy mogę ci coś wyznać, ale tak całkiem szczerze?

- Oczywiście. Usiądziemy na kanapie?

- Dobrze. - W kilku krokach przemierzył pokój i zapalił stojącą lampę. - Chodź, usiądź przy mnie.

Przysiadłam na skraju kanapy. Nie odzywałam się, tylko bacznie przypatrywałam się Richardowi, usiłując odczytać jego myśli. Ujęłam go za rękę, a on nakrył moje palce wolną dłonią.

- Caroline - zaczął, marszcząc brwi - są w małżeństwie takie rzeczy, które kocham. Kocham mieć partnera, kocham wracać do domu, wiedząc, że czeka w nim ktoś, kto mnie kocha, kto pragnie dzielić ze mną życie.

- To ja! Kocham cię i zawsze będę cię kochała, wiesz o tym.

- Wiem, najdroższa, ja też nigdy nie przestanę cię kochać. Ale małżeństwo ma i takie strony, które odbieram jako nudne, przyziemne i kompletnie nierealistyczne.

- Na przykład? - Wiedziałam, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

- Na przykład kwestia żoninego posłuszeństwa wobec męża. Nie sądzisz, że to rodzaj niewoli?

- Nie jestem pewna. To znaczy, gdybyśmy tak ty i ja pokłócili się kiedyś, no, powiedzmy, o ubezpieczenia zdrowotne i gdybyś ty obstawał przy jednej polisie, podczas gdy ja wolałabym inną, nie upierałabym się, że koniecznie musi wyjść na moje, tylko zgodziłabym się na wybór, który ty uznałbyś za najlepszy.

- Naprawdę? - zapytał, pociągając łyk whisky. Na jego twarzy malował się sceptycyzm. - Zdumiewasz mnie. Sądziłem, że jesteś, no, nie wiem, jak mam to nazwać. Bardziej nowoczesna.

- Jestem nowoczesna, ale mimo to myślę, że poparłabym twoją decyzję. Richard, wiem przecież, że poślubiłam wspaniałego człowieka. Podziwiam twój intelekt i całkowicie ufam twoim osądom.

- Hm. - Podniósł się i powędrował w stronę kuchni. Ruszyłam za nim. Otworzył zamrażalnik, wrzucił kilka kostek lodu do kryształowego kieliszka i szczerą ręką nalał sobie kolejną porcję dewar's.

- Richard, co ty naprawdę masz na myśli? Pieniądze? Wiesz, że zamierzam pracować. Zrezygnowałam z bankowości, bo mnie straszliwie nudziła. Dekoratorstwem zajmuję się zaledwie od miesiąca, a już zyskałam trzech klientów.

- Tak, to wyśmienicie. Uważam, że kobieta powinna mieć własne pieniądze. Nie byłoby w porządku, gdybyś do końca życia musiała mnie prosić o kasę na każdą rzecz, która ci się zamarzy.

- Zgadzasz się z tobą. No więc, Richardzie - wyjęłam mu z rąk szklaneczkę i odstawiłam na blat stolika - co ci naprawdę chodzi po głowie? Nie jest to kwestia posłuszeństwa czy pieniędzy. Co w takim razie, wierność?

- Ach - westchnął, biorąc z powrotem kieliszek i pociągając długi łyk - właśnie ta stara, przerdzewiała landara. Nie uważasz, że już się mocno przeżyła?

- Nie - odparłam. - A ty tak uważasz?

- Och, posłuchaj, Caroline - powiedział, wracając do salonu. Kopnięciem zrzucił z nóg buty i rozwiązał krawat. Jedną po drugiej rozpinał spinki do mankietów i kołnierzyka i wrzucał do niewielkiej steubenowskiej czarki, stojącej na szklanym stoliku do kawy. Z każdym brzdęknięciem kryształu czułam rosnący ciężar, kamieniem przygniatający moją pierś. Richard oparł stopy o blat stolika i patrzył na mnie z uśmiechem.

- Chyba nie mówisz tego serio?

Stałam przed nim w ślubnej sukni, boso, i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie robię problemu z nic nieznaczącego drobiazgu.

- Zanim zwrócę ci uwagę, że ta pieprzona rozmowa jest cholernie dziwna jak na noc poślubną, chciałabym cię zapewnić, że bardzo serio traktuję kwestię wierności.

- Kochanie - Richard zwrócił ku mnie twarz - proszę, nie bądź wulgarna. To cię poniża. Ale masz rację, może to rzeczywiście nie jest najbardziej stosowny moment na poruszanie tej kwestii.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam, ale taka jest prawda. A moment jest odpowiedni, ponieważ po ścięciu zboża nadchodzi czas zmielenia ziarna na kaszę. Albo na polentę. Tak więc rozprawmy się od razu z tym tematem.

- Posłuchaj, Caroline. - Richard wyciągnął rękę i posadził mnie sobie na kolanach; poddałam się jego uściskowi, ale po chwili zsunęłam się, tak że siedzieliśmy na dwóch przeciwległych krańcach sofy, twarzami zwróceni do siebie. - Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, to zepsuć naszą noc poślubną głupią sprzeczką. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, po prostu boskim stworzeniem, i kocham cię całym sercem. Poza tobą nie pragnę żadnej innej kobiety.

- Dobrze.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli w tym wielkim planie w ciągu najbliższych trzydziestu albo czterdziestu lat naszego wspólnego życia przytrafi ci się jakiś mały skok w bok albo jeśli mnie zdarzy się zabłądzić w niewłaściwą stronę, nie będzie to miało najmniejszego wpływu na moje uczucia do ciebie ani na moją ocenę naszego związku, rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem, ale ja przecież nigdy bym cię nie zdradziła.

- Jestem pewien, że nie - odparł, przyciągając mnie do piersi. Zwinęłam się w kłębek i westchnęłam.

- Najdroższa, a może tak odnaleźlibyśmy drogę do naszego małżeńskiego łóżka? - wyszeptał i pocałował mnie w czubek głowy, gładząc jednocześnie moje włosy.

W jego głosie brzmiała taka czułość, że po raz kolejny poczułam się głupia i naiwna. Cóż takiego powiedział wcześniej, że musiałam się tak złościć? Prawdopodobnie byłam po prostu przemęczona.

Kiedy wyszłam z łazienki w pięknym, białym szyfonowym szlafroku z koronkami, wyszukany u Saksa, Richard spał. Świetnie, pomyślałam, przecież ja wcale nie miałam specjalnej ochoty się kochać. Nasza rozmowa zdenerwowała mnie trochę, poza tym czułam, że bołą mnie wszystkie kości. Zdjęłam z siebie koronkowe cudo, powiesiłam je na wieszaku, wciągnęłam przez głowę starą, białą bawełnianą koszulę nocną i - jak to czyniłam od wieków - wyszczotkowałam włosy i związałam je w koński ogon. Nakryłam Richarda pledem, mając nadzieję, że pijacki sen i zaniedbywanie obowiązków małżeńskich nie wejdą mu w nawyk. Ależ będzie zakłopotany, kiedy się obudzi.

Poszłam do pokoju gościnnego. Miałam nadzieję, że kiedyś stanie w nim łóżeczko dzieciinne. Przecież rozmowa z Richardem nie mogła być niczym innym, jak tylko zwyczajnym żartem. W każdą rocznicę ślubu będę wypominała mojemu mężowi naszą noc poślubną. On będzie się upierał, że to ja swoją dzieciinną niewinnością nakłoniłam go do pijaństwa, ja będę opowiadała, jak wylądowałam w łóżku sama.



Zrzuciłam zagłówki na podłogę, odchyliłam biały pled i spulchniłam wyciągnięte z szafy poduszki. Kochałam ten niewielki pokoik, z lustrami porozwieszanymi na wszystkich ścianach i znakomicie zagospodarowaną przestrzenią. Był niczym wnętrze miniaturowego stateczku, z wykorzystanym każdym centymetrem kwadratowym powierzchni. Przytulny, a zarazem ascetyczny dzięki białym obiciom i połyskowi chromowanych elementów wykończenia. Wśliznęłam się między prześcieradła rozkładanego łóżka i odwróciłam do wyłożonej lustrem ściany. Zgasiałam światło. Boże, ależ byłam zmęczona.

Doszłam do wniosku, że naprawdę nie mam powodu do zmartwienia. Richard po prostu wypił odrobinę za dużo i alkohol rozwiązał mu język. Był przemęczony i stąd to jego bredzenie bez sensu. Przez chwilę obracałam w myślach jego słowa. Może miał i rację, mówiąc o tych okazjonalnych wyskokach? Może to rzeczywiście nie ma nic wspólnego z istotą małżeństwa? W końcu miałam zaledwie dwadzieścia sześć lat, a on trzydzieści siedem. Przeżył więcej niż ja i zdobył większe doświadczenie.

Jak to dobrze, że matka i cała reszta nocowali w hotelu Pierre. Historia mojej nocy poślubnej to sekret, którym mogę podzielić się z Millie, ale nigdy z matką. Ona by tego nie zrozumiała.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Zupełnie nie pojmuję, dlaczego Caroline tak pilno do dziecka. Sweetie twierdzi, że faktycznie powinna się pośpieszyć, z powodu osteoporozy czy czegoś równie idiotycznego, ale co ona tam może wiedzieć. Przecież nie jest lekarzem. Caroline i ja często rozmawiamy przez telefon i wówczas Caroline opowiada mi rozmaite historie. Moim zdaniem, nie powinna decydować się na dziecko tak od razu, ale nie ośmieliłabym się jej tego powiedzieć. Jeśli teraz urodzi, co się stanie z jej firmą? Przecież dopiero co zaczęła ją organizować. I co to za matka, która przez cały czas będzie biegła jak szalona, realizując kolejne zamówienia? Niby to wszystko nie powinno wyprowadzać mnie z równowagi, ale gdy tylko pomyślę, jakie życie mogłaby prowadzić! Gdyby tak żył Nevil! Może Millie coś mi doradzi. Chciałabym wierzyć, że ten człowiek, ten Richard, jest dobry dla Caroline.*

## *Rozdział 6*

### *Na dobre i na złe*

*1987*

Nie udało się nam wyprodukować potomka podczas nocy poślubnej, ale odbyło się to niedługo potem, w pamiętnym wrześnie, który wspominać będę po kres swoich dni. Zanim nadszedł, pożycie małżeńskie wydawało mi się zupełnie proste. Złapaliśmy wspólny rytm i nasze życie toczyło się szczęśliwie i bez przeszkód.

Richard nadal wykładał na Columbii, ja zabiegałam o nowych klientów. Moje z początku niewielkie przedsiębiorstwo dekoracji wnętrz rozrastało się bujnie niczym chwast. Garnęło się do mnie coraz więcej zleceniodawców detalicznych, pewnie z powodu zmian zachodzących w SoHo i Tribeca - prób uczynienia z nich dzielnic mieszkalnych. Stare, opuszczone składy i magazyny zamieniano a to w sklep meblowy, a to w cieplarnię, a to w restaurację. Moje nazwisko stało się w jakiś sposób znane i telefon dzwonił niemal bez przerwy. To właśnie jego ustawicznie brzęczący dzwonek po raz pierwszy uświadomił mi, że widocznie ustaliłam za niskie stawki. Nie podniosłam ich jednak, bo lubiłam być zajęta. Miło też było mieć trochę pieniędzy dla siebie. Nowa czarna kiecka, nowy czarny żakiet; szafa pęczniała od ciuchów - wszystkie kupowałam na wyprzedażach i za własne pieniądze. Richard pewnie by umarł, gdyby się dowiedział, ile zarabiam albo na co wydaję to, co zarobię. Pod wieloma względami był naprawdę wspaniały, ale - jak zwykł mawiać mój ojciec - pod innymi bardziej ślepy niż kret.

Pracowałam właśnie nad wystrojem nowego sklepu w SoHo o dźwięcznej nazwie Om. Było to kolejne miejsce, gdzie sprzedawano absolutnie wszystko, co na naszej planecie zaprojektowano po to, by człowiek mógł się zrelaksować i podziwiać uniwersum. Jeśli ktoś życzył sobie masażu - oferowali stoły z otworami na głowę i krzesła, które poruszały się w jedną i drugą stronę i ugniatały mięśnie pleców, jakby miesiły ciasto na chleb. Mieli pantofle, które masowały stopy podczas chodzenia (baterie należało nabyć osobno). Mieli przełączniki, które przemieniały twoją wannę czy prysznic w jacuzzi albo komorę parową. Gdziekolwiek się człowiek obrócił, tam wykwitwały małe fontanny, przeznaczone do wnętrza. Mieli nawet własną linię kosmetyków do kąpieli i do pielęgnacji ciała, osobliwą kombinację z kwiatów i ziół, sprzedawaną także w płatkach! Bywały takie dni, kiedy widok owych ziół i kwiatów kierował moje myśli w stronę niecki ACE, i wówczas zastanawiałam się, do jakich czarów mogłyby posłużyć Millie.

W sklepie przez cały czas rozbrzmiewała łagodna muzyka, sącząca się przez niewielkie, poukrywane głośniki, skłaniająca umysł do łagodnego dryfowania. W całym wystroju dominowało jasne, naturalne drewno, ręcznie zdobione płytki ceramiczne, naturalne tkaniny i łagodne oświetlenie. Wszystkie etykiety wypisane były ręcznie, kaligraficznym pismem, wszystkie miały celowo niewielkie rozmiary. Było to zręczne posunięcie, w dodatku zgodne z zasadami zen.

Kiedy wszystkie towary znalazły się już na swoich miejscach i sklep otworzył podwoje, na całym Zachodnim Broadwayu nie znalazłby się kupiec, który by nie przyszedł zobaczyć, jak też on wygląda, i przy tej

okazji nie wziął mojej wizytówki. Zanosiło się na to, że czeka mnie pracowita jesień, ale odpowiadała mi taka perspektywa.

Właściwie skończyłam tu już wszystko, co do mnie należało, lecz trochę się jeszcze kręciłam, pomagając rozłożyć towar. Właśnie pochylałam się, podnosząc pudełka pachnących świec, przeznaczone do wyłożenia na ladzie, gdy nagle coś mnie zamroczyło i poczułam, że lecę.

- Caroline, dobrze się czujesz?

To był William Oliver, kierownik, który podbiegł do mnie, usiłując mnie uwolnić od pudełek ze świecami. Za późno. Trzydzieści sześć pachnących kapryfolium świec potoczyło się po podłodze. Pokój wokół mnie zawirował, podłoga wybiegła mi na spotkanie. Cały epizod trwał nie dłużej niż minutę. Na szczęście William złapał mnie, zanim zdążyłam rozwalić sobie głowę, posadził na podłodze i kazał się nie ruszać.

Przez ostatnich sześć miesięcy bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Często wychodziłam z nim na obiad albo do teatru, a Richard nie protestował, gdyż William był zatwardziałym gejem.

- Co się stało? - zapytałam.

-Zemdlałaś, dziewczyno - odparł, zaglądając mi głęboko w oczy.

- Mowy nie ma. W życiu nie zemdlałam - sprzeciwiłam się, przyjmując z jego rąk kubek wody i opróżniając go w kilku łykach. Czułam ogromne pragnienie.

- Cóż, tym razem zemdlałaś, a powód może być dwojaki - zawyrokował, a ja popatrzyłam w górę, czekając, aż zaczną na mnie spadać przyjazne ziarna jego mądrości.

- Po pierwsze? - zapytałam.

- Guz mózgu. Czy w twojej rodzinie zdarzały się przypadki nowotworu mózgu?

- Nie. Jedynie moja bratowa cierpi na tę przypadłość.

- Naprawdę?

- Pomożesz mi wstać?

Podźwignął mnie na nogi.

- W taki razie czy możliwe jest, abyś znajdowała się w odmiennym stanie?

- Pomożesz mi usiąść?

Zaczął się śmiać jak szalony, a potem powiedział:

- No? Wiem, jak się o tym przekonać, i to niezwłocznie.

- Test ciążowy? Gdzie moja portmonetka, natychmiast pędzę do apteki.

- Zaraz, zaraz, kochanie, po co od razu wyrzucać pieniądze. Chodź do łazienki.

Moje obcasy stukały po posadzce, kiedy szłam za nim do części przeznaczonej dla personelu. Nie byliśmy sami. Jakaś dziewczyna myła akurat ręce. Chciałam opłukać twarz zimną wodą. William oparł się o porcelanową, wykładaną płytkami półeczkę, pochuchał na swoje paznokcie i zaczął je polerować o sweter. Po wyjściu dziewczyny odezwał się:

- Chodź no tutaj, blondyneczko, mam zamiar nauczyć cię czegoś, czego mnie z kolei nauczyła moja czcigodna babka, mieszkająca na wzgórzach w zachodniej Wirginii.

- Co to takiego? - Bynajmniej nie byłam pewna, czy nie robi mi jakiegoś kawału.

- To test błękitnych żył. Sto procent pewności.

- O czym ty mówisz, u licha?

- O tym, że zaraz pokażesz wujkowi Williamowi swoje cycuszki i jeśli będą poznaczone grubymi błękitnymi żyłami, to w następnej kolejności zajmiesz się aranżowaniem pokoju dziecinnego.

Roześmiałam się.

- Tu cię mam, przemądrzałku. Chcesz, żebym podciągnęła sweter i pokazała ci piersi? Nie mogę w to uwierzyć.

Jego wzdrygnięcie miało chyba ze cztery, przecinek sześć stopni w skali Richtera.

- Uch, ja też nie. - Oboje zaczęliśmy się śmiać, po czym William dodał: - Jeśli piśniesz słówko choćby jednej osobie, będę cię nazywał kłamczucha aż po kres swoich dni.

- Jeśli chcesz je obejrzeć, będziesz musiał bardzo ładnie poprosić. - Podeszłam i stanęłam tuż obok niego. - Czy możesz przysiąc, że jesteś gejem?

- Przysięgam na kurtkę z rudych lisów, należącą do mojej ciotki Freidy, którą mam otrzymać po jej śmierci, więc bardzo proszę, Missy Caroline, podnieś sweterek i odwróć się do światła.

- Och, dobrze już, dobrze. - Podciągnęłam w górę sweter, prezentując brzoskwiniowy koronkowy biustonosz na fiszbinach i jego zawartość.

William westchnął.

- Całe szkaradne, co?

- Nie, dziecino, całe błękitne będzie o wiele lepszym określeniem.

Spojrzałam w lustro i ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu ujrzałam kilka żył, których wczoraj jeszcze nie było, rysujących się tak wyraźnie, jakby ktoś pociągnął je długopisem.

To wydarzyło się we wrześniu. Teraz był luty i zbliżała się pierwsza rocznica naszego ślubu. Czułam się niczym milion dolarów wolnych od podatku. Richard także cieszył się z powodu mającego przyjść na świat dziecka, choć dla niego nie była to żadna nowość. Dla mnie codziennie od nowa powtarzał się cud.

Niektórym kobietom dokuczają mdłości, innym obrzmiewa całe ciało, dla mnie natomiast ciąża okazała się przeżyciem nieporównywalnym do niczego, co znałam do tej pory. Miałam w sobie siłę i energię amazonki. Sypiałam po osiem godzin dziennie, a sen morzył mnie, ledwo przyłożyłam głowę do poduszki. Rankiem budziłam się z zupełnie świeżym umysłem, ani trochę nie zamroczona. Moja skóra nabrała świetlistej barwy, a moje serce śpiewało.

Przez cały dzień co chwila przykładałam ręce do brzucha i czułam, jak dziecko w środku odpowiada mi. Czasami chwytala je czkawka i wówczas zamierałam bez ruchu, patrząc na moje podskakujące ubranie. Kiedy wierciło się niespokojnie, śpiewałam jemu czy też jej. Na poznaniu płci dziecka nie zależało mi ani trochę. Przepelniało mnie szczęście i nie mogłam się wprost doczekać, kiedy wreszcie wezmę maleństwo na ręce.

Na wadze przybrałam dość sporo. Nic nie mogłam na to poradzić, przez cały czas umierałam z głodu. Mogłam jeść wyłącznie arbuzy - absolutnie nie do zdobycia w lutym na Manhattanie - truskawkowe lody firmy Haagen-Dazs i sałatkę z tuńczyka z krakersami. Widocznie miałam urodzić dziewczynkę, skoro tylko od potraw w kolorze różowym mnie nie



odrzucało. Z niecierpliwością wyczekiwałam dwudziestego maja, wyznaczonego terminu porodu.

Richard kompletnie stracił zainteresowanie romantyczną stroną naszego życia. Od czasu do czasu uprawialiśmy seks, z samego rana albo w środku nocy, szybki i skuteczny, ale kompletnie niewart sfilmowania. Wyobrażałam sobie, że gdy dziecko przyjdzie już na świat, powrócimy do naszej zwykłej gimnastyki.

Z czasem Richard zdawał się tracić zainteresowanie także i mną samą. Bardziej niż kiedykolwiek starałam się go zadowolić, przygotowując wystawne obiady (a wiecie, jaką mękę stanowi dla mnie gotowanie) i wypełniając mieszkanie kwiatami. Nie tylko nasze życie seksualne się wypaliło. Richard przez cały czas j robił wrażenie nieobecnego duchem i coraz dłużej zostawał w pracy. Ja byłam opętana myślą o zbliżającym się macierzyństwie, a jednocześnie za wszelką cenę usiłowałam ukończyć wystrój dwóch sklepów, zanim dziecko przyjdzie na świat. Wolałam pracę od konfrontacji. Zachowanie Richarda złożyłam na karb działania moich hormonów i po prostu przestałam o nim myśleć. Rocznicę ślubu uczciliśmy kolacją w Le Perigord Parc i fotografią Billa T. Jonesa\*, wykonaną przez Herba Rittsa\*\*, kupioną do przyozdobienia mieszkania. Richard oddalał się ode mnie coraz bardziej.

*\* Znany tancerz i choreograf. \*\* Amerykański artysta fotografik (ur. 1952), specjalizujący się w fotografowaniu postaci ludzkich.*

W poniedziałek dziewiątego maja oznajmił mi przy śniadaniu, że musi pojechać do Londynu z wykładem na temat lęków. W poniedziałek, szesnastego maja, wygłosi go podczas konferencji. Wyjeżdżał w piątek.

Tak mną zatrzęsło, że pomyślałam, że jeszcze chwila, a urodzę. Zaraz tutaj, na kuchennej podłodze. Lęki? Wyśmienicie. To jasne, że nie chciałam, żeby wyjeżdżał, skoro zbliżał się mój termin. On z kolei uważał, że dziwaczkę. Pokłóciliśmy się okropnie, wygłaszając pełne pasji tyrady, aż wreszcie osiągnęliśmy następujący punkt.

- Uspokój się, Caroline. Przecież nie będziesz rodziła wcześniej niż dwudziestego albo jeszcze później. Pierwsze dzieci zawsze się spóźniają.

Nienawidziłam, kiedy kazał mi się uspokajać. Czułam się wówczas tak, jakbym utraciła wszelką kontrolę nad swoimi emocjami i nie potrafiła ich okiełznać. Oczywiście natychmiast wybuchnęłam.

- Słuchaj, Richard, to nie jest w porządku. To nie fair wyskakiwać znienacka z takimi planami. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś? A jeśli coś się stanie?

- Nic ci nie mówiłem, bo wiedziałem, że zareagujesz dokładnie tak, jak zareagowałaś, a nie miałem ochoty uczestniczyć w podobnej scenie.

- Jakiś ty miły. - Czułam, że krew zaczyna mi pulsować, a kark pokrywa się kropelkami potu. - Nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

Zacząłam płakać, choć Bóg mi świadkiem, że nie płakałam już z dobrych dziesięć lat. Siedziałam, a łzy spływały mi po twarzy. Richard odwrócił się, wziął z kredensu „New York Timesa”, filiżankę z kawą i kręcąc głową, wymaszerował z pokoju.

-Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że nie chcę uczestniczyć w podobnej scenie. Boże, z każdym dniem robisz się coraz podobniejsza do swojej matki.

To była kropla przepełniająca czarę. Nie byłam podobna do matki i Richard doskonale o tym wiedział, ale ilekroć przegrywał batalię, uciekał

się do tego argumentu, wiedząc, że dzięki niemu wyśle mnie na orbitę. Wciągnęłam trzy razy powietrze i poszłam za nim. Poza ćwiczeniami Lamaze\* i jogą mogłam sobie pomoc jedynie oddychaniem. Richard siedział na krześle i czytał gazetę, jakby nic się nie stało.

- Richard? Jedź do Londynu i wygłaszaj swój referat. Przyjemnej podróży. Ale chcę, żebyś wiedział, że słowa, które wypowiedziałeś, nie wyfrunęły tak od razu przez okno. One zraniły moje uczucia i zmieniły mój stosunek do ciebie. A co najgorsze, odkryły w tobie coś, o czym wolałabym nie wiedzieć.

Spoglądał na mnie protekcyjnie, czekając, aż skończę. Twarz miał zupełnie bez wyrazu.

- Może masz rację, że podczas twojej nieobecności nic mi się nie stanie. I wierz mi, że bardziej niż ktokolwiek inny pragnę, aby te twoje wykalkulowane obliczenia okazały się prawidłowe.

Wreszcie złożył gazetę i wstał.

- No, kochanie, teraz jest lepiej. Nie chciałem cię zranić. Wiesz, jak bardzo cię kocham. - Zaczął zbliżać się do mnie, wyciągając ramiona, ale uchyliłam się. - Jednak czasami...

- Jeszcze nie skończyłam, doktorze Freud.

Nienawidził, kiedy nazywałam go w ten sposób. Na jego twarzy od razu pojawiła się chmura.

*\* Program zdrowotny dla przyszłych matek, także organizacja zajmująca się propagowaniem świadomego macierzyństwa.*

- Może to, co powiedziałaś, było słuszne, ale z pewnością nie było miłe. W twoim świecie bycie miłym nie jest specjalnie cenione, natomiast w moim tak.

- Przepraszam - powiedział. - Masz rację, to było tchórzostwo nie poinformować cię wcześniej o moich planach. Ale, Caroline, proszę cię, bądź odważna. Wrócę tak szybko, jak tylko się da, i przywiozę różne wspaniałe rzeczy dla ciebie i naszego dziecka z kraju mojej matki. Co ty na to?

- Niech będzie - ustąpiłam, nadal czując się wyjątkowo podle.

- Mam doskonały pomysł. Coś, co z pewnością poprawi twój nastrój. Zaproś na czas mojej nieobecności Millie.

Po raz kolejny poczułam się zaskoczona jego przenikliwością. To było idealne rozwiązanie.

- Richard, to wspaniały pomysł. Dziękuję ci.

Naprawdę nie miało sensu dłużej się złościć. Zresztą czy mój gniew cokolwiek by zmienił? Nic - i tyle. Ledwo za Richardem zamknęły się drzwi, chwyciłam za telefon, żeby zadzwonić do Millie. Odebrała po trzecim dzwonku.

- Rezydencja Wimbleyów.

- Hej, Millie, mówi twoja ulubiona niegrzeczna dziewczynka.

- Miss Caroline! Co się dzieje? Czyżbyś urodziła? Boże, jak dobrze było usłyszeć jej głos.

- Jeszcze nie, ale lada moment. Zrobiłam się potężniejsza niż wielkie domiszcze.

- Ależ dziecino, tak przecież musi być. - Poznałam po jej głosie, że się uśmiecha. - Chcesz porozmawiać z matką?

- Głównie chciałam porozmawiać z tobą. Opowiedziałam jej o wszystkim. Po drugiej stronie słuchawki

Millie nagle przycichła.

- Zaraz, kochanie, powtórz jeszcze raz, co powiedziałaś przed chwilą, bo chyba nie dosłyszałam. - Jej głos brzmiał teraz bardzo serio. - Czy naprawdę mówiłaś, że na pięć dni przed spodziewanym rozwiązaniem on chce wyjechać?

- No tak, ale doprawdy musi, zresztą jedzie zaledwie na kilka dni. - Zaczęłam bronić Richarda, myśląc przy tym, że przecież Millie ma rację. Ale jednocześnie coś mi szeptało, że brzydko jest krytykować czyjegoś męża. - Richard nie zostawiałby mnie, gdyby naprawdę nie musiał, tego jestem pewna.

- Dziecino, niech cię nic nie trapi, *yanh*? Nie urodzisz tego dziecka beze mnie, jasne? Nie pozwoliłabym na to. Z pomocą bożą i łyżki z długim trzonkiem w sobotę zjawiam się u ciebie, *okay*?

- Myślisz, że matka nie będzie ci miała tego za złe? - Właściwie powinnam była porozmawiać najpierw z nią, ale poniosło mnie, kiedy Millie odebrała telefon.

- Dziecko, co ta staruszka może mi zrobić? Zwolnić mnie? - Millie roześmiała się serdecznie. Była starsza od matki, co dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, ale czasami lubiła sobie pożartować na temat ich wieku.

Kiedy w sobotę po południu otworzyłam drzwi, stały tam obie, i Millie, i matka. Szczeka mi opadła.

- No co, młoda kobieto, gdzie twoje maniery? Zaprosz matkę do środka i pocałuj w policzek.

- Mamo! Millie! Wchodźcie, wchodźcie. Co za wspaniała niespodzianka.

Pocałowałam matkę w policzek, zastanawiając się gorączkowo, gdzie ją położę spać. Mieliśmy jeden pokój gościnny, bo drugi przekształciliśmy w coś pośredniego między biblioteką a gabinetem. Ja pracowałam tam w ciągu dnia, a Richard wieczorami. Nic nie ugotowałam, lodówka świeciła pustkami (nie zrobiłam żadnych zakupów). Ależ się namieszało. Czy wystarczy mi prześcieradeł? No trudno, jakoś sobie poradzę.

- Przywiozłam ci funtowe ciasto, skarbie - powiedziała Millie. - Teraz niech ci się dobrze przyjrzę. - Odsunęła mnie na odległość wyciągniętych ramion, kładąc swoje silne dłonie na moich barkach. Uśmiechała się od ucha do ucha. - Wspaniale wyglądasz, naprawdę, *ma'am*. A dziecko przyjdzie na świat szybciej, niż się spodziewasz.

- O Boże, Millie, nawet mi tego nie mów.

Jeśli Millie tak twierdzi, z pewnością tak się stanie.

- *Humph*, a teraz ty i Miss Lavinia usiądziecie sobie wygodnie z nogami zadartymi do góry, a ja zaparzę kawę. Potem się zobaczy.

- Caroline, ile dokładnie przytyłaś? - zapytała matka.

- Wystarczająco, aby mogła usiąść na pani i spłaszczyć panią na naleśnik! - zawołała Millie z kuchni.

- Sama się spłaszcz, staruszko! - krzyknęła matka w odpowiedzi. Usłyszałam, że Millie się śmieje. Nagle matka i ja także zaczęłyśmy się śmiać. Matka położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała:

- Jeśli choć przez chwilę przypuszczałaś, że pozwolę tej kobiecie wziąć w ramiona twoje dziecko, zanim ja to uczynię, to musiałaś postradać zmysły.

Poczułam się szczęśliwa, że matka przyjechała; w końcu była moją matką. Albo jej niespodziewana wizyta wywołała u mnie szok, albo Millie dosypała mi czegoś do kawy, w każdym razie bóle zaczęły się zaraz w nocy. Odstąpiłam matce swoje posłanie, a sama powędrowałam do pokoju gościnnego. Millie urządziła się w salonie, rozstawiając składane łóżko za czerwonym lakierowanym parawanem, który wyszperałam w sklepie z antykami przy Dziesiątej Ulicy.

Śniło mi się, że jestem w stodole w Wysokich Sosnach. Najpierw ktoś walił mnie po plecach, a potem coś ścisnęło mi żołądek. Obudziłam się, czując zapach siana. Łóżko było mokre; wody zaczęły odchodzić. Zapaliłam światło i popatrzyłam na budzik. Kwadrans po drugiej. Nie wiedziałam, czy mam je obudzić, w końcu zdecydowałam się poczekać jeszcze chwilę.

Zmieniłam koszulę na sukienkę, w której zamierzałam jechać do szpitala. O drugiej dwadzieścia złapał mnie następny silny skurcz. Co pięć minut? *Okay*, poczekajmy następne pięć, pomyślałam. Umyłam zęby i włożyłam przybory toaletowe do niewielkiej walizeczki, którą spakowałam już trzy tygodnie temu, po czym wywlokłam ją na korytarz. Druga dwadzieścia pięć - kolejny skurcz. Oddychałam głęboko, przytrzymując się kuchennego stołu. Zapaliło się górne światło.

- Wiedziałam. - Millie podeszła do mnie i objęła mnie ramieniem. - Usiądź. Obudzę twoją matkę, ty dzwoń po doktora, a ja powiem temu

cholernemu głupcowi na dole, żeby wytrzeźwiał i sprowadził dla nas taksówkę.

- *Okay.* - To było wszystko, na co mogłam się zdobyć. Zresztą co jeszcze mogłam powiedzieć? Richard! Przecież muszę zadzwonić do Richarda. Podeszłam do telefonu w kuchni, odczepiłam od korkowej tablicy karteczkę z jego numerem i zaczęłam go wybierać. W Londynie było wpół do ósmej rano. Telefonistka w hotelu od razu połączyła mnie z jego pokojem. Słuchawkę podniosła kobieta. Ten głos poznałabym wszędzie. Lois.

- Ha-loo, ha-loo - usłyszałam jej nosowy akcent z Long Island.

Ty wiedzmo, wymamrotałam, odkładając słuchawkę. Zatelefonowałam do doktora, a potem brzęczykiem wezwałam Eddiego, żeby sprowadził taksówkę. Popędziliśmy do Mount Sinai Hospital. Doktor Sheldon Cherry, który był moim ginekologiem, odkąd przeprowadziłam się do Nowego Jorku, oznajmił, że rozwarcie jest wystarczające, by od razu skierować mnie na porodówkę.

-Kiedy ci powiedzą, że masz przeć, przyj! - wołała za mną matka.

- Niech się pani nie przejmuje - śmiał się doktor Cherry - córka jeszcze bardziej niż pani pragnie, aby dziecko wydostało się na świat.

- A widzi pani - wtrąciła Millie - nie ja jedna potrafię przywołać panią z powrotem do szeregu.

Matka ścisnęła moją rękę i odgarnęła mi włosy z twarzy.

- Powodzenia, kochanie. Będę się za ciebie modliła.

- Dziękuję, mamó - odparłam.

Udawałam się do sali porodowej, żeby urodzić dziecko. Mój mąż zabawiał się z Lois, ale teraz miałam pilniejsze sprawy do załatwienia.



Oczywiście czułam się oszukana i byłam wściekła z powodu jego zdrady, ale nosiłam w sobie dziecko, które walczyło o to, aby wydostać się na świat. Na odwet mam jeszcze mnóstwo czasu.

Drzwi otworzyły się szeroko, a potem pamiętam, że przenoszono mnie na stół.

- Przykro mi, że musicie tyle dźwigać - odezwałam się. - Ważę chyba z tonę.

- Tym się nie przejmuj, kochana - odparła położna. - Codziennie to robimy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy już będzie po wszystkim - mówiłam.

- To pani pierwsze? - zapytała siostra.

- Tak. Bardzo już pragnę ujrzeć to dziecko.

- Ja mam szóstkę. - Położna uśmiechnęła się do mnie, zakładając mi na ramię mankiet do mierzenia ciśnienia i monitor serca na pierś.

Przyszedł doktor Cherry. Miał na sobie zielony lekarski strój i z trudem go rozpoznałam. Podniósł prześcieradło i zbadał mnie ponownie.

- Już widać ciemiączko - oznajmił. Skontrolował na monitorze pracę serca dziecka, a potem mojego. - *Okay*, pani Levine, gotowa do rodzenia?

Oddychałam płytko, starając się nie przeć, dopóki mi nie nakaże, choć potrzeba wypchnięcia z siebie wszystkiego potężniała we mnie coraz bardziej.

- Już? - zapytałam.

- Niech pani głęboko zaczerpnie tchu - powiedział - a potem go z siebie w całości wypuści.

Nabrałam powietrza, napełniając nim klatkę piersiową po przeponę i skoncentrowałam się na lampie nad głową. Zaczęłam przecierać ze wszystkich sił i jednym pchnięciem, powoli, uwolniłam główkę dziecka.

- Świetnie, główkę już mamy, teraz niech pani chwilę zaczeka, pani Levine - mówił doktor Cherry, obracając dziecko odrobinę. - Doskonale, a teraz jeszcze raz. Jakie podobne do pani, pani Levine. Ma blond włoski.

- A mnie się wydaje, że przypomina doktora Cherry'ego - wtrąciła położna.

Nie mogłam nawet zachichotać. Kolejne pchnięcie, poczucie dojmującej ulgi, i moje dziecko przyszło na świat. Zapłakało, i to tak głośno, że wszyscy się roześmiali. Doktor Cherry podniósł je do góry. Chłopiec. Rozkoszny, tłuściutki, mały chłopiec z jasnymi włoskami i najbardziej czerwoną twarzą, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Popatrz, kogo my tutaj mamy - powiedział doktor Cherry, kładąc go na moim brzuchu. - To jest twoja mama, synku.

Syn! Był piękny; to zauważyłam od razu. Nawet kiedy płakał, był po prostu uroczy. Moje maleńkie dzieciątko otworzyło oczka, spojrzało na mnie i ucichło. Teraz ja zaczęłam płakać. Dziecko patrzyło na mnie i patrzyło, a ja szlochałam i szlochałam.

- O Boże - powiedział doktor Cherry - dziecko ucichło, za to matka płacze.

Na sali było chyba z osiem osób i wszystkie nam się przypatrywały. Syn studiował moją twarz z niewiarygodnym wprost skupieniem.

- No wiecie - odezwała się jedna z położnych. - Dwadzieścia lat pracuję, a jeszcze nie widziałam, żeby dziecko tak patrzyło na matkę.

Mój syn miał aksamitną skórę, ciemnoniebieskie oczy w oprawie jasnych, grubych rzęs, maleńkie paluszki i paznokietki. W moich ramionach leżała największa miłość mojego życia. Nie dbałam o resztę świata. Cały następny rok mogłam spędzić, po prostu wpatrując się w maleńką, idealną twarzyczkę mojego dziecka, mojego cudu. Wspanialszego prezentu od życia nie mogłam już otrzymać.

W niedzielę po popołudniu Eric Boswell Levine i ja wróciliśmy do domu. Wybrałam dla niego imię, nie porozumiewając się z Richardem. Siedziałam na łóżku oparta o poduszki, karmiąc Erica, kiedy weszła Millie z tacą. Kołyska dziecka i stolik do przewijania znajdowały się po mojej stronie, tuż obok łóżka. Richard nie chciał oddawać gabinetu na pokój dziecienny tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Odpowiadało mi takie rozwiązanie. Chciałam mieć Erica jak najbliżej siebie. Może zatrzymam go w sypialni, a Richarda z niej wykopię?

- *Yanh*, musisz coś zjeść - zaczęła Millie. Stała z tacą obok łóżka i nie ruszała się.

- Dzięki - powiedziałam. - Eric właśnie zasnął. Millie wzięła ode mnie dziecko i ułożyła w kołysce.

- *Okay*, Millie, mów, o co chodzi. Po twojej minie widzę, że coś ci leży na wątrobie. - Schrupałam kawałek kurczaka, którego upiekła dzisiaj rano. Smakował wybornie.

- Twoja matka odpoczywa. Nie chcę, żeby słyszała naszą rozmowę.

- Rozmowę? A o czym?

- O połączeniach telefonicznych. Tamtej nocy zupełnie odruchowo podniosłam słuchawkę.

Skoro tak, to musiała usłyszeć, że w pokoju Richarda odebrała telefon kobieta.

- No cóż - powiedziałam - piękne to nie było, prawda?

- Nie ma sprawy. Chcesz, to go urządę. Sprowadzę na niego haga, niech go ujeździ.

- Już go ujeżdżał. - Hagiem, o którym ja mówiłam, była Lois, bo Millie miała na myśli stworzenie zupełnie innego rodzaju. - Lois go ujeżdżała, ale jeśli chcesz mu podesłać innego tej nocy, to masz moje błogosławieństwo. A najlepiej od razu dwa.

Millie mrugnęła do mnie i powiedziała:

- Wypij herbatę. Dobrze zrobi na twoje dolegliwości.

W niecce ACE obecność hagów nikogo nie dziwi. Wszyscy wiedzą, że są to duchy, które żyją w świecie równoległym do naszego, i że uzdrowiacze voodoo, doktorzy błagalnicy (ktoś taki jak Millie) potrafią je przywoływać. Taki duch wchodzi do twojego domu przez komin, dziurkę od klucza albo jakiś inny otwór i ujeżdża człowieka podczas snu. Niektóre zmuszają do seksu, i to przez całą noc. A kiedy już raz kogoś dopadną, niełatwo jest się ich potem pozbyć. Miałam nadzieję, że Millie uda się zesłać na Richarda wielkiego, starego haga, o cuchnącym oddechu i nienasyconego w żądzach. Richard nie zdawał sobie sprawy, z kim zadarł. Nikt nie będzie bezkarnie strugał wariata z dziewczynki Millie.

Mój mąż wrócił do domu sponiewierany w najwyższym stopniu. Nieogolony, z miną winowajcy. Millie dobrze go załatwiła. Zdecydowałam się nie wspominać ani słowem o Lois. Zachowam to sobie na inną okazję i zużytkuję, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

## Dziennik Miss Lavinii

*Nie było na świecie wspanialszego i bardziej kochającego chłopca niż mój wnuczek Eric. Słodka kruszyna, posyła mi artykuły wycięte z „New York Timesa”, ponieważ myśli, że mogą mnie zainteresować. W tym roku kupię mu pod choinkę miniaturową kolejkę. Trip, kiedy był mały, uwielbiał bawić się kolejką. Powiem wam jedno, Eric jest o wiele mądrzejszy niż te neandertalki, które urodziła moja synowa. Kiedy odbieram telefon, słyszę jego słodki, kochany głos. Cieszę się, że do mnie dzwoni, ponieważ pisanie nie idzie mu najlepiej. Ale to naprawdę kochany malec.*



## *Rozdział 7*

*Eric*

*1995*

Jak większość małżeństw, Richard i ja wiedliśmy spokojny, bezkonfliktowy żywot. Nie miałam żadnych podstaw, aby podejrzewać, że mnie jeszcze kiedykolwiek zdradził. Był dobrym mężem i oddanym ojcem dla Erica. Całkowitej jego wierności pewna być nie mogłam, ale wiedziałam, że nie biega na prawo i na lewo. Nigdy nie znalazłam obcych pudełek zapalek czy numerów telefonów na zgniecionych serwetkach. Postarałam się wymazać z pamięci ten jednorazowy wyskok z Lois i całkowicie skoncentrowałam się na Ericu, swojej firmie i na tym, aby być jak najlepszą żoną, gdyż wierzyłam, że Richard nigdy więcej mnie nie oszuka. Życie w naszej rodzinie toczyło się bez wstrząsów albo przynajmniej nic nie wskazywało na to, aby było inaczej.

Moje dziecko wychowywało się w dużym mieście, a to w niczym nie przypominało mojego własnego dzieciństwa, spędzonego na plantacji. Kiedy byłam mała, niecka ACE stanowiła cały mój świat. W dzieciństwie uprawiałam warzywa, zbierałam pekany, układałam bukiety, pływałam po Edisto i oddawałam cześć przodkom, jak każda typowa dziewczynka z Lowcountry. Na moje wyobrażenie Nowego Jorku składały się wyłącznie obrazki z parady Macy z okazji Święta Dziękczynienia czy przypadkowo ujrzone w gazetach zdjęcia dzieci rozbryzgujących wodę z hydrantu. Z chwilą kiedy Eric zaczął siadać w wózku, ograniczyłam pracę, przyjmując coraz mniej zamówień. Całe godziny spędzaliśmy, włócząc się po muzeach, placach zabaw w parkach i labiryntach Nowojorskiej Biblioteki

Publicznej. Kiedy nadszedł czas oddania go do przedszkola, płakałam jak dziecko. Co ja będę robiła przez całe rano? Czy bardzo będzie mi go brakowało? Nosidełko wyśmienicie spełniało swoje zadanie, a nasze wspólne nowojorskie wyprawy okazały się korzystne także i dla mnie. O sztuce i historii teraz nauczyłam się więcej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Nowy Jork zdawał się mieć do zaoferowania wszystko, a ja - z moim synem jako alibi - czerpałam z tego pełnymi garściami.

Jesienią 1995 roku Eric przeszedł do drugiej klasy. Jego tornister poobwieszany był najprzeróżniejszymi gadżetami i kiedy mój syn zarzucał go na plecy, od razu przybierał postawę zawadiacką i buńczuczną. Miał cztery stopy wzrostu, szczupłą figurkę, wiotką niczym fasolka szparagowa, gęste, jasne włosy i ciemnoniebieskie oczy, które odziedziczył po mnie. Rozpierała go energia i był najśłodszym na świecie stworzeniem.

Eric bardzo polubił naszą codzienną rutynę; wspólną drogę do szkoły, ponowne spotkanie po południu, wyprawy do Central Parku albo do Gardenia Coffee Shop przy Madison Avenue na colę, i rozmowy o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia. Po powrocie do domu pomagałam mu odrobić lekcje, a potem zabierałam się do gotowania posiłku, podczas gdy Eric bawił się nintendo albo lego z Johnem Hillmanem, kolegą z jedenastego piętra.

Eric uwielbiał majsterkować. Na dodatek mój brat - pojęcia nie mam dlaczego - bez przerwy przysyłał mu modele łodzi do składania. Eric bez napominania łapał wówczas za telefon i dzwonił do wuja z podziękowaniami. Trip naprawdę robił to z własnej woli, choć jednocześnie każdy taki podarunek stanowił przypomnienie dla mnie, że ja

nigdy nie ofiarowałam nic jego dzieciom. Eric przynajmniej miał dobre maniery. Ostatnio Trip przysłał Ericowi przepiękny jacht-zabawkę, sterowany pilotem, wymarzony do zabaw w Central Parku. Eric wpadł w zachwyty, ja tylko jęknęłam. No tak, czas najwyższy, żebym posłała jakiś prezent tym okropnym bachorom Frances Mae. Doprawdy Trip nie powinien był tego robić. Eric praktycznie nie znał wuja. W całym swoim życiu widział go może ze dwa razy! A ja i bez udawania sympatii wobec Frances Mae miałam wystarczająco dużo powodów do rozdrażnienia. No, mniejsza z tym; przez cały wrzesień zabierałam Erica do parku z łódką Tripa. W końcu musiałam przyznać, że ze strony mojego brata był to bardzo piękny gest. Sama nie wiem, czemu wprawił mnie w taką irytację.

W połowie października wezwano mnie do szkoły Erica na rozmowę z nauczycielką. Nie zdążyłam nawet dobrze usiąść, a panna Daniels już gadała. Eric ma zaburzoną zdolność koncentracji, niewykluczone, że cierpi też na inne przypadłości. Należy go poddać testom psychologicznym, całej serii, w celu ustalenia natury owych zaburzeń w przyswajaniu wiedzy, potem zaś spotkamy się ponownie, aby przedyskutować, jaką mamy alternatywę. Całą kwestię wygłosiła z absolutnym spokojem, bez najmniejszego nawet śladu emocji. Miałam szczękę na podłodze.

- Bardzo mi leży na sercu ta sprawa - zakończyła.
- Zaburzona zdolność koncentracji?
- Obawiam się, że tak.
- Czy posiada pani odpowiednie kwalifikacje, żeby to ocenić?
- Nie, ale do tej pory nie zdarzyło mi się przeoczyć przypadku tego rodzaju.



Nie podobał mi się ani sposób, w jaki to mówiła, ani ona sama. Co ta kobieta plotła? Eric wcale nie był nadpobudliwy. Energiczny, owszem, ale bardzo dobrze ułożony. Wiedziałam, że nie pisze tak wyraźnie, jak inne dzieci, a jego prace plastyczne są słabsze niż rysunki kolegów z klasy, ale w końcu co z tego? Był przecież taki mały.

Natomiast kiedy się go zapytało o coś z historii, od razy rozbłyskiwały mu oczy. Potrafił opowiadać o wszystkich erach w dziejach Ziemi. Chciałeś dowiedzieć się czegoś o dinozaurach - od Erica mogłeś usłyszeć wszystkie wiadomości na ich temat. Godzinami oglądał Boyda Matsona i National Geografie Explorer, zapamiętując dosłownie każdą informację. Telewizja, wizyty w muzeum, wspólnie czytane książki; niesamowity umysł Erica wypełniony był informacjami i ideami, których ja w jego wieku z pewnością nie posiadałam. Mój syn nie miał żadnych zaburzeń, żadnych, słyszycie!

Nasłuchałam się o takich belferkach jak ta baba, Kostka Lodu, panna Daniels. Niejednokrotnie ostrzegano mnie przed nimi. Same nie potrafią uczyć, a całą winę zwalają na dzieci, nicują je na wszystkie strony, za wszelką cenę pragnąc znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla własnej niekompetencji.

Panna Daniels nie przestawała mówić. Że Eric łatwo się dekoncentruje, że bez przerwy trzeba go napominać, aby „skupił się na temacie”. W tym momencie wtrąciłam, że widocznie lekcje śmiertelnie go nudzą. Skarżyła się jeszcze, że Eric ma problemy integracyjne, że jest samotnikiem. Wielkie rzeczy, mój syn nigdy nie przepadał za piłką nożną. Miał zainteresowania intelektualne. Moja ostatnia uwaga padła na jej ograniczony umysł niczym iskra.

- Pani Levine - oświadczyła, a jej ton doprawdy trudno byłoby nazwać przyjaznym - uczę w szkole od dziesięciu lat i doprawdy nie potrzeba mi wiele czasu, by odkryć, które dziecko w mojej klasie boryka się z problemami.

- Przeprasza, czy ma pani dzieci?

- To bez znaczenia w naszej dyskusji.

A więc nie ma. Sądząc po wyglądzie, przez ostatnich dziesięć lat nikt jej też nie przeleciał.

- Eric ma dopiero siedem lat. Proszę nie wymagać od niego zbyt wiele.

- Pani Levine, jeśli uczeń ma problemy, moim obowiązkiem jest przedstawić to rodzicom i kierownictwu szkoły. Skoro nie przyjmuje pani do wiadomości moich spostrzeżeń, czeka panią rozmowa z dyrekcją.

Opadłam z powrotem na krzesło i wlepiłam w nią wzrok. A kimże ona jest, u licha! Żeby przyczepiać mojemu synowi jakieś etykiety! Stara panna po czterdziestce, z siwiejącymi włosami, ściągniętymi w węzeł z tyłu głowy, w długim drelichowym wdzianku, włożonym ma pasiasty golf, i wielkich okularach. Najbrzydszy babsztyl, jaki kiedykolwiek znęcał się nad dziećmi. I nad rodzicami też. Nie znosiłam jej.

- Proszę go przetestować - powiedziałam - proszę poddać Erica wszystkim możliwym testom, a wówczas zobaczymy.

Jeszcze jej udowodnimy, Eric i ja, jak bardzo się myli. Wykupię całą kolumnę w „New York Timesie”, na której wystąpię o odebranie jej licencji nauczycielskiej i publiczne napiętnowanie. Może nawet osobiście ją wychłoszczę.

W jednej chwili pogodziłam się z tym, że Eric zostanie poddany testom. Powiem szczerze, zaczęłam być ich nawet lekko ciekawa. Chciałam wiedzieć, jak funkcjonuje młody, błyskotliwy umysł mojego syna. Eric różnił się od innych dzieci, to nie ulegało wątpliwości.

Myśl o testach dręczyła mnie przez cały czas, aż wreszcie nadszedł umówiony dzień. A jeśli się myliłam? Nie, przecież nie mogłam się mylić. Kiedy dostaną do ręki wyniki, niezwykle talenty Erica zostaną potwierdzone i wszyscy będą musieli je uznać. Z dziką rozkoszą popatrzę, jak panna Daniels wije się z bólu, skąpiana we własnej, obłudnej, ograniczonej, uprzedzonej i niesprawiedliwej krwi. Ilekroć przypominałam sobie zimny, obojętny ton, jakim zwracała się do mnie, mówiąc o Ericu, miałam ochotę wytraskać ją po głupiej gębie.

Eric był dzieckiem idealnym. A jednak... Jakiś dręczący głos gdzieś w środku szeptał mi, że mogę usłyszeć coś, czego nie będę chciała zaakceptować.

Był piękny listopadowy poranek, typowy dla Manhattanu. Klaksony wszystkich chyba taksówek w mieście rozbrzmiewały pełnym dysharmonii chórem, tysiące samochodów z pasażerami w środku śpieszyły ku swojemu przeznaczeniu z szybkością trzydziestu mil na godzinę, piesi całymi tabunami gnali przed siebie, niosąc aktówki i papierowe kubki, z których kradli po łyku kawy, przystając na moment na skrzyżowaniach. W drugą stronę, w kierunku Central Parku, parli wyprowadzaczki psów, wiodąc ich po pięć, po dziesięć, każdego na osobnej smyczy. Wszyscy przechodnie nosili na twarzy manhattańskie maski, które głosiły wszem i wobec: *Nie zakłócaj mojej prywatności.*

*Mogę być kimś sławnym.* Ich twarze zawsze kazały mi myśleć, że Nowy Jork jest pełen świrów.

Eric trochę się obawiał, jak wypadnie na testach. Kiedy szliśmy Park Avenue w kierunku jego szkoły, mieszczącej się na rogu Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy i Madison Avenue, starałam się zachęcić go do rozmowy.

- Skarbie, nie chcę, żebyś się martwił. Te testy to tak naprawdę rodzaj zabawy, rozumiesz?

- A jeśli zrobię je źle? - Na jego twarzy malowało się napięcie, a mała rączka schowana w mojej dłoni pokryła się wilgocią.

- Nie możesz zrobić ich źle - odpowiedziałam. - To nie jest taki rodzaj testów.

- Chciałbym umrzeć - oznajmił wątłym głosem.

Przykucnęłam przed nim i zajrzałam mu prosto w twarz. Odpowiedział mi spojrzeniem spode łba i odcięciem warg, a był przy tym tak słodki, jak chyba nigdy dotąd.

- Hej, spokój - powiedziałam. - Nawet się nie waż tak mówić.

- Przepraszam - odparł ze wzrokiem utkwionym w szczelinie krawężnika.

- Popatrz na mnie, skarbie. Chcę, abyś rozwiązał je w sposób następujący. Słuchasz mnie?

- Jasne.

- Świetnie. Po pierwsze. Postępuj według instrukcji nauczyciela. Nie śpiesz się, każde polecenie przeczytaj dwa razy (Eric był bardzo niecierpliwy i zawsze rzucał się we wszystko głową naprzód), a potem jeszcze raz. Po drugie, kiedy już będziesz pewny, na czym polega zadanie, wykonaj je. Pisz wolno i starannie. Wreszcie, kiedy już skończysz,

sprawdź wszystko, co napisałeś. Jeśli czegoś nie rozumiesz, zapytaj nauczyciela. Proste, prawda?

- W twoich ustach brzmi całkiem zwyczajnie.

- Postaraj się, dobrze? Dla mnie, przecież potrafisz to zrobić. Głęboki oddech i jazda.

- *Okay, okay.* - Oczy nadal miał niespokojne. Podjęliśmy naszą wędrowkę w kierunku szkoły. - Postaram się, jak umiem najlepiej. Przeczytam polecenia dwa razy, zrobię ćwiczenia i potem je sprawdzę.

- Tego właśnie oczekujemy od ciebie, tatuś i ja, żebyś postarał się to zrobić najlepiej, jak potrafisz. Hej, a co powiesz na mały wypad po szkole? Ty i ja... Koktajl czekoladowy?

- Załatwione.

Chyba trochę poweselał. Dotarliśmy do budynku Smith School. Chciałam odprowadzić Erica do klasy, ale puścił moją rękę i zatrzymał mnie przy drzwiach.

- Mamuś?

- Tak, skarbie?

- Kocham cię. - Zniżył głos do szeptu, aby nikt nie usłyszał jego wyznania.

- A ja cię uwielbiam - odpowiedziałam, uśmiechając się.

- Sam trafię do klasy.

- Jesteś pewien? Trzeba tędy...

- Jestem pewien - odparł. Zawsze odprowadzałam go pod drzwi klasy. - Jestem już duży.

*Mamuś, jestem już duży.* Te słowa przeszły moje serce. Nie ugodziły jak śmiertelne pociski, raczej sprawiły, że zadrzałam; było to

uczucie podobne temu, jakie ogarnia człowieka, kiedy z prysznicą zniecka poci na niego zimna woda.

- Dobrze, kochanie - zgodziłam się, wiedząc, jak bardzo pragnie udowodnić samemu sobie, że potrafi być samodzielny. - Idź, zrób testy i o trzeciej się spotkamy.

W drodze powrotnej potrafiłam myśleć wyłącznie o jednym, w jaki sposób poinformować o wszystkim Richarda. Do tej pory o niczym mu nie wspominałam, uważając, że rozsądniej będzie przez jakiś czas nic nie mówić o moim spotkaniu z panną Daniels.

Jeśli wyniki testów potwierdzą istnienie problemu, Eric zostanie w tyle za Harrym o całe lata świetlne. Harry, syn Richarda z jego małżeństwa z Lois, grał na skrzypcach w dziecięcej orkiestrze w Carnegie Hall (członkostwo-tylko-za-specjalnymi-zaproszeniami), Harry był kapitanem szkolnej drużyny piłki nożnej, przewodniczącym piątoklasistów, mistrzem jazdy na rolkach, celującym uczniem. Harry Rycerz Jedi Teraz i Na Wieki - wielki, nabrzmiały wrzód na moim tyłku.

Oprócz tych wszystkich talentów, jakimi odznaczał się od najmłodszych lat, Harry był największym spryciarzem, tchórzem, kłamcą i krętaczem, jakiego spotkałam w życiu. A kiedy usiłowałam zwrócić na to uwagę Richarda, ten błyskawicznie ucinał wszelką krytykę. Jeśli Harry wziął którąś z zabawek Erica, Richard mówił od razu: *No i co z tego, Eric przecież ma mnóstwo zabawek, więc dlaczego nie miałby podzielić się nimi z bratem.* A kiedy Harry dokuczył Ericowi do tego stopnia, że Eric tracił opanowanie, Richard udzielał reprimendy Ericowi, nigdy Harry'emu. I tak przez cały czas. Wizyty Harry'ego w naszym domu bardzo szybko przekształciły się w rywalizację obu chłopców o miłość i uznanie ojca.

Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to żeby Richard uznał, że istotnie istnieje obiektywny powód, aby wyżej cenić Harry'ego. Tak więc nie puściłam pary z ust. Ćwiczyłam jogę dwa razy dziennie, a i tak mnóstwo było we mnie strachu i nienawiści. Wreszcie zadzwoniono ze szkoły, że mam się stawić w celu omówienia wyników testu.

Spotkanie wyznaczono w gabinecie szkolnego psychologa. Ledwo przekroczyłam próg, a już wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

- Dziękuję, że pani przysłała, pani Levine - powitała mnie doktor Judith Moore, podając mi rękę. - Napije się pani kawy?

Powszechnie uchodziła za osobę genialną, ale jak na mój gust, była zbyt natrętna i gorliwa.

- Chętnie; poproszę czarną - powiedziałam, ściskając jej dłoń.

- Niech pani usiądzie, za chwileczkę wrócę.

Wskazała mi drewniane krzesło, stojące po przeciwnej stronie biurka. Niewielki gabinet wyglądał niczym z reklamy. Stare dębowe biurko, zawalone skoroszytami, beżowe metalowe szafki, prace dzieci przyszpilone do korkowej tablicy i półki uginające się pod ciężarem książek ze wszystkich możliwych działów psychologii, począwszy od ADO i zaburzeń typu obsesyjno-maniakalnego po depresję dziecięcą i samobójstwa nastolatków. Zastanawiałam się, czy na drugim krześle usiądzie niebawem wiedźma - wychowawczyni Erica. Pewnie nie; zbyt wielkiego doznała upokorzenia, by zechciała się pokazać. Źle sądziłam. Weszła razem z doktor Moore, cała rozświergotana. Wstałam, żeby się z nią przywitać. Ostatecznie możemy się zachować jak osoby cywilizowane, pomyślałam.

- Dzień dobry, panno Daniels.

- Dzień dobry, pani Levine - powiedziała, obdarzając mnie skiniem głowy i zajmując miejsce na wprost mojego.

- Cóż - zaczęła doktor Moore, wręczając mi styropianowy kubek z kawą - dobrze, że jesteśmy tu wszystkie. - Obeszła biurko, usiadła, włożyła okulary do czytania, otworzyła dużą kopertę, wreszcie podniosła na mnie wzrok i westchnęła. - Pani Levine, zanim przejdziemy do omówienia wyników testu Erica, chciałabym wytłumaczyć pani, w jaki sposób dokonujemy naszych ocen.

- Doskonale - odparłam. - Byłabym zobowiązana.

- Eric przeszedł całą serię testów standardowo stosowanych w szkolnictwie i sprawdzających rozmaite obszary wiedzy ogólnej, matematyki, przyrody, posługiwania się językiem, umiejętności czytania i tak dalej. Po południu został poddany także dwóm testom psychologicznym, podczas których obserwowane i oceniane było jego zachowanie... - Urwała.

- Tak? - zapytałam. - I co wykazały te testy?

- Wiele interesujących rzeczy. Eric jest niezwykle rozumnym małym chłopcem.

- O, dziękuję pani - powiedziałam. - I słodkim stworzeniem także.

- Tak, to kochany mały chłopiec - wtrąciła panna Daniels, co od razu nastawiło mnie podejrzliwie.

Doktor Moore podjęła:

- Ma ogromny zasób słów. - Wręczyła mi kopię testu do przejrzenia.

- Proszę zobaczyć, trzecia strona u dołu. Operuje słownictwem na poziomie szóstoklasisty.



Pokój wypełnił się ciszą. Przerzucałam kartki, nie będąc całkowicie pewna, jak mam rozumieć to, co czytam. Doktor Moore ciągnęła:

- Co natomiast napawa nas troską, to fakt, że Eric przy wszystkich swoich zdolnościach ma wyraźne problemy z przetwarzaniem bodźców słuchowych i z wykonywaniem precyzyjnych ruchów, przez co sprawia mu trudność przenoszenie danych na papier.

- Ach tak - powiedziałam.

Doktor Moore dała wzrokiem znak nauczycielce, a ta natychmiast wkroczyła do akcji. Otworzyła trzymaną na kolanach teczkę i wyjęła z niej kilka różnych zadań pisemnych.

- Tak wygląda przeciętna praca ucznia w mojej klasie - wręczyła mi zeszyt jednego z chłopców - a tak praca Erica.

Istotnie, bardzo się różniły. Pismo Erica było koślawe, niemożliwe do odcyfrowania. Praca tamtego dziecka - dwukrotnie dłuższa. Zawierała kilka błędów ortograficznych, ale czytało się ją z łatwością. Eric nie używał ani znaków przestankowych, ani dużych liter, tanto dziecko potrafiło zastosować jedno i drugie.

- No cóż, zgadzam się, że istnieje różnica, ale co to właściwie oznacza?

- Oznacza, że Eric powinien skorzystać z porady terapeuty.

- Rozumiem - powiedziałam. Nie rozumiałam i ona wiedziała o tym doskonale.

- Chwileczkę, najpierw chciałabym dokończyć omawianie wyników testu. Proszę zrozumieć, że tutaj, w Smith School, nie jesteśmy odpowiednio przygotowani do nauczania dzieci z LDGT. Przy naszym rozkładzie zajęć nie dysponujemy wystarczającą ilością czasu, aby

zapewnić im terapię zajęciową, warsztaty w grupach i inne ćwiczenia, jakich Eric wymaga.

- Co to jest LDGT? - zapytałam.

- Learning Disabled Gifted and Talented - rzuciła panna Daniels lekko.

Oddychałam głęboko, próbując się uspokoić. Komplement na temat zdolności i talentów bynajmniej nie rekompensował diagnozy, dotyczącej zaburzeń w przyswajaniu wiedzy. Doktor Moore musiała zauważyć moje zdenerwowanie.

- Pani Levine - odezwała się - Eric jest wspaniałym dzieckiem. I naprawdę istnieje wiele metod, dzięki którym może się nauczyć rekompensować swoje braki, jednak Smith School podobnymi możliwościami nie dysponuje. Obawiam się, że wielu dzieciom wyrządzamy niedźwiedzią przysługę, trzymając je tutaj.

- Proszę mi wybaczyć - przerwałam - ale nie mam zamiaru przepuszczać Erica przez maszynkę do testów w tej szkole po to, żeby go od razu posyłać do szkoły specjalnej, gdzie chodzą dzieci z zaburzeniami. Wcale nie jestem przekonana o słuszności takiego kroku.

- Rozumiem, pani Levine - powiedziała doktor Moore - i gorąco zachęcam panią, aby skonsultowała pani wyniki naszych badań z innym specjalistą. Mam tu listę nazwisk moich kolegów, zajmujących się problemami dzieci. Zresztą może się pani udać, do kogo pani zechce.

Wręczyła mi kartkę. Wzięłam ją trzęsącymi się rękami. Doktor Moore ciągnęła:

- Pragnę też podkreślić, i to bardzo wyraźnie, że nie jest naszym zamiarem zmuszać panią, by zabierała pani dziecko już dzisiaj czy nawet

jeszcze w tym roku szkolnym. Moja propozycja brzmi następująco: na razie znajdziemy jakiegoś dobrego OT\*, żeby popracował z chłopcem.

- Tak, to brzmi rozsądnie - zgodziłam się, nie mając bladego pojęcia, czym, u licha, zajmuje się taki OT.

- Posuwajmy się do przodu krok po kroku, pani Levine.

*Do przodu krok po kroku. Problemy z przyswajaniem wiedzy.*

*Przetwarzanie bodźców słuchowych.* Nie mogłam uwolnić się od tych słów. Każą mi zabrać Erica z tej szkoły! A jeśli nie mają racji? Nie mogą jej mieć! Zaprowadzę Erica do innego specjalisty. Zaraz jutro!

Idąc Madison Avenue w kierunku domu, zaglądałam w twarze przechodniów. Czy oni także mają dziecko z takimi problemami jak moje? Czy znaleźli jakieś wyjście? Słowa doktor Moore towarzyszyły mi do samego domu i torturowały mój umysł przez całe popołudnie. Jak mam znaleźć w sobie dość odwagi, żeby poinformować o wszystkim Richarda? Najchętniej zabrałabym Erica i uciekła, gdzie pieprz rośnie.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Bycie matką to najniewdzięczniejsza rola na świecie. Trip znowu przyszedł do mnie po pieniądze, nie zająknął się ani słowem na temat zwrotu poprzedniej pożyczki. Tym razem chciał dziesięć tysięcy. Nie mogę przecież bez końca ładować w niego forsy, więc zapytałam: Trip, kochanie, czy ty zażywasz kokainę, czy co? Wiem, że nie wypada pytać o takie rzeczy, ale przecież muszę znać prawdę. Popatrzył na mnie, jakbym miała dwie głowy, i zaprzeczył. Zdecydowanie w coś się wpakował. A Caroline? Z nią także nie jest dobrze. Po prostu czuję to. Święto Dziękczynienia tuż-tuż, a ja od miesiąca nie miałam od niej słówka.*

RS

## **Rozdział 8**

### ***W roli matki***

**1995**

Kochałam Erica całym sercem, ale sama miłość nie mogła wystarczyć. Z wolna zaczęło do mnie docierać, że syn nie jest moją własnością, to pożyczka, udzielona mi przez niebiosa - jak to określają poradniki dla rodziców - a moim obowiązkiem było przygotować go do życia na własny rachunek i w związku z tym musiałam zrobić jeszcze milion rzeczy, aby pomóc mu opuścić mnie pewnego dnia. Wizja przyszłości, chwili, w której jakaś kobieta zapragnie Erica za męża, przyniosła mi jeden z tych rzadkich momentów, w których człowiek nagle wypuszcza z rąk kierownicę życia. Po raz pierwszy zaczęłam rozumieć, co matka czuła wobec Frances Mae - że wychowała Tripa i kochała go wyłącznie po to, by później Frances Mae jej go ukradła. Myśl, że Frances Mae z nim sypia, że rodzi mu dzieci, musiała przyprawiać ją o szaleństwo.

W jaki sposób sprawić, by Richard ujrzał, że Eric, choć cechuje go odmienny sposób przyswajania wiedzy, jest w każdym calu równie godny miłości, uwagi i szacunku swojego ojca, jak Harry?

Odmienny sposób przyswajania wiedzy, tak to obecnie nazywano - specjalna etykieta dla dziecka. Może przesadzałam, ale w mojej wyobraźni system edukacji bez przerwy wyciągał ośliniony język i przyklepał takie etykiety dzieciakom. Aby to zrównoważyć, zaplanowałam wycieczkę dla całej rodziny, wliczając w to także Harry'ego.

Na weekend wynajęłam dom w Poconos. Kolory jesieni, najwspanialsze widowisko, jakie północna część Wschodniego Wybrzeża mogła zaofiarować swoim mieszkańcom. Najbliższy weekend miał stanowić apogeum owego oszałamiającego spektaklu Matki Natury.

Zapakowałam puzzle, gry, płyty, stroje do jazdy na rowerze, aparat fotograficzny i wszystkie należące do niego utensylia. Ugotowałam wspaniałą irlandzki gulasz z mnóstwem marchewki i pomidorów - w preferowanym przeze mnie na wpół wegetariańskim stylu - i zamroziłam go. Potem przyrządziłam dwie kwarty sosu bolońskiego do spaghetti dla chłopców i kwartę marynary dla siebie. W ostatniej minucie dorzuciłam jeszcze dwie kwarty bezmięsnego chili. Wszystko powędrowało do sporej torby, wyłożonej zamrożonymi kostkami sztucznego lodu, których zadaniem było utrzymywanie produktów spożywczych w chłodzie.

Zabrałam Erica do Gap i kupiłam mu ekstraweter i dzinsy. Posunęłam się nawet do tego, że przez Richarda udzieliłam instrukcji Lois, żeby wyposażyła Harry'ego podobnie. Zależało mi na tym, aby moja rozmowa z Richardem na temat rezultatów testów Erica odbyła się w takim otoczeniu, w którym obaj będą się mogli w naturalny sposób rozluźnić. Stawałam na głowie, aby weekend wypadł jak najlepiej.

Załadowaliśmy wypożyczonego dżipa torbami i sprzętem i ruszyliśmy się w stronę tunelu Lincolna, a potem dalej, na zachód, obierając drogę numer 80 zachodnią. Richard prowadził, Eric i Harry pilotowali go wspólnie, dzieląc się mapami, na których przedtem zaznaczyli trasę żółtym markerem. Dałam im coś na ząb - soczki w kartonikach, banany i krakersy serowe. Jakoś potrafili się dogadać.

- Kiedy dojedziemy do Poconos, pierwszy wybieram pokój dla siebie, ponieważ jestem starszy - odezwał się Harry.

- Nie, nie jesteś - sprzeciwił się Richard. - Ja jestem najstarszy, więc do mnie należy prawo wyboru.

- Rozczaruję was - wtrąciłam - w domku są tylko dwie sypialnie. Jedna z ogromnym łóżem, druga z łózkami piętrowymi. Można też rozłożyć wersalkę w pokoju dziennym, jeśli ktoś ma ochotę tam spać.

- Ja na pewno nie - oświadczył Eric. - Biorę łóżko piętrowe albo mam to gdzieś.

- A gdzie? - zapytał Harry.

- W dupie.

- Eric - upomniął go Richard - w naszej rodzinie nie używamy takich wyrazów.

Jego ton nie był oschły ani surowy, przeciwnie, brzmiał niezwykle łagodnie; Richard wyraźnie starał się, by przy Harrym jak najmniej wprawić Erica w zakłopotanie. Delikatna reprimenda; dwa punkty dla Richarda.

- Przepraszam, tato - odparł Eric. - Powiniennem być powiedzieć, że jest mi obojętne, gdzie będę spał.

- Słusznie - wtrąciłam. - Mogłeś też powiedzieć: moje zainteresowania nie koncentrują się na tym, gdzie będę spał.

- Kondensują? - podchwycił Eric.

- Nie, synku. O kondensacji mówimy, gdy wilgoć ze stanu pary przechodzi w stan ciekły, a koncentracja to skupienie na czymś uwagi.

- Kondensacja! - prychnął Harry. - Ech! Nawet ja znam różnicę.

- Założę się, że tam gdzie panuje wielka koncentracja, ludzie pragną także odrobiny kondensacji - powiedziałam.

Eric zaczął chichotać. Podobnie jak mój ojciec ze mną, zabawiałam się z synem w gierki słowne. Richard tylko kiwał głową. Harry ssał policzek i wyglądał przez okno.

- Albo konsolidacji i kompensacji - dodał Eric i przechylając się przez oparcie siedzenia, poklepał mnie po ramieniu.

- Świetnie - pochwaliłam.

Jechaliśmy dalej. W Tannersville zjechaliśmy z drogi numer 80 i odnaleźliśmy biuro wynajmu Hutsch's Real Estate, gdzie wręczono nam klucze i niedużą mapkę. Ruszyliśmy na poszukiwanie domu. Stał na niewielkiej działce, tuż nad brzegiem jeziora. Trawnik przed domem porastały drzewa mieniające się wszystkimi barwami jesieni; klony, ustrojone w purpurę i oranż, potężne dęby - w złoto. Każdy powiew znad jeziora podrywał w górę wirującą spiralę liści. Było to idealne miejsce.

Rozładowaliśmy samochód i wtaszczyliśmy bagaże. Chłopcy zanieśli rzeczy do swojego pokoju. W chwilę później Harry, z nintendo pod pachą, przybiegł uruchomić telewizor.

- Co chcecie na kolację - zapytałam - spaghetti czy gulasz?

Eric i Harry jednogłośnie opowiedzieli się za spaghetti, więc wyjęłam pojemnik do rozmrożenia. Przygotowałam takie potrawy, które dziewięćdziesiąt osiem procent amerykańskich chłopców pochłania z apetytem. Do tego kupiłam domowy chleb z czosnkiem -lubiany przez nas wszystkich.

Przez szklane, przesuwane drzwi widziałam Richarda. Stał na pomoście, spoglądając na wodę. W późnym popołudniowym słońcu było



tu naprawdę pięknie. Otworzyłam butelkę białego wina, napełniłam dwa kieliszki i wyszłam na dwór, żeby do niego dołączyć. Richard uśmiechnął się, wziął kieliszek i objął mnie ramieniem. Nadal miał na sobie skórzaną kurtkę, podczas gdy ja włożyłam grubą sweter z golfem. Wyglądaliśmy tak, jak tylko może wyglądać szczęśliwa para, choć nie przestawałam bić się z myślami, kiedy i w jaki sposób mam powiedzieć Richardowi o problemach Erica. Nie ukrywam, że wcale mi nie było do tego spieszno. Wreszcie, w nagłym przypiływie odwagi, zdecydowałam się wziąć byka za rogi.

- Richardzie... - zaczęłam.

- Tak? Zastanawiam się, czy można tu gdzieś wypożyczyć kanoe.

- Pewnie tak, znakomity pomysł. Słuchaj, podczas tego weekendu chciałabym porozmawiać z tobą na pewien temat. Może uda nam się skraść kilka minut z dala od chłopców.

Spojrzał na mnie z uwagą.

- O co ci chodzi, Caroline? Coś nie tak?

- Może tak, może nie. W Smith School poddali Erica jakimś testom i teraz nie jestem pewna, jak mam interpretować ich wyniki.

- Rozmawiałem z nimi. Dzwonił do mnie ten babsztyl, doktor jak jej tam.

- Judith Moore. Dzwoniła do ciebie? - Nie posiadałam się ze zdumienia. Jak ona mogła? - I co ci powiedziała?

- Kochanie, wracajmy lepiej do domu. - Richard otworzył przesuwane drzwi. Weszliśmy do środka. Mój mąż zasunął szklaną tafłę, minął mnie i udał się do pokoju dzieci.

- Chłopcy, idźcie i poszukajcie drewna. Potrzebujemy dużo drewna na rozpalkę.

W mgnieniu oka znaleźli się na dworze, wlokąc brezentowe płachty, do których cali szczęśliwi wrzucali rozmaite gałązki i patyki. Przypatrywałam im się przez kuchenne okno; wyglądało na to, że doskonale dogadują się ze sobą. Richard otworzył lodówkę i ponownie nappełnił nasze kieliszki. Ujęłam mój drżącymi rękami.

- Posłuchaj, Caroline, przecież już od dawna, jeszcze odkąd Eric był mały, zdawałem sobie sprawę z tego, że jest dzieckiem, które ma sporo talentów i jednocześnie sporo zahamowań. Widziałem, jak się boryka, nie mogąc się nauczyć pisać swojego imienia, i widziałem też tysiąc innych rzeczy, które usiłował robić, ale nie potrafił wykonać. Wiedziałem, że prędzej czy później to wszystko wyjdzie na jaw, i dokładnie tak się stało.

Pilnie wpatrywałam się w twarz Richarda, szukając w niej jakichś emocji, ale dla mojego męża był to po prostu *fait accompli*. Wiedział o wszystkim przez cały czas, i to tłumaczyło jego stosunek do Harry'ego. To Harry okazał się najsilniejszy z miotu. Eric był w pewien sposób upośledzony, więc Richard zaprzestał troski o niego, podobnie jak samica dzikiego zwierzęcia odrzuca najsłabsze z potomstwa. Myślałam, że moje serce rozpadnie się na kawałeczki..

- A więc to tak - powiedziałam. - Wiedziałeś o tym przez cały czas i nic mi nie powiedziałeś.

- Niczego by to nie zmieniło - odparł.

Usiadłam na tapczanie, zbyt oszołomiona, by wydusić z siebie choć słowo. Z czołem opartym na dłoniach i wzrokiem utkwionym w podłogę,

staralam się zrozumieć wagę faktu, że Richard wiedział, i tego, w jaki sposób oceniał swojego syna. Popatrzyłam na niego.

- Richard, jesteś albo głupi, albo okrutny, albo jedno i drugie.

- Nie mów tak do mnie, Caroline. Nie jestem głupi, okrutny też nie jestem.

Och, potrafisz być, pomyślałam.

- Richard, to klasyczny syndrom dziecka szewca.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszał o podobnym syndromie.

- No, wiesz, że szewc i jego dzieci chodzą bez butów. Przecież z pewnością istnieją rzeczy, które mogliśmy zrobić wcześniej i które pomogłyby Ericowi.

- Wydaje mi się, że - podobnie jak ty - starałem się zwyczajnie odsunąć od siebie ten problem.

To mogłam łatwo zrozumieć. Zastanawiałam się, dlaczego Richard zawsze dobiera słowa w taki sposób, że wioną lodowatym spokojem, i dlaczego we mnie od razy wszystko gotuje się z wściekłości. Może mężczyźni są bardziej pragmatyczni, może ja reaguję zbyt emocjonalnie? Popatrzyliśmy najpierw na siebie, a potem na podwórze, po którym biegali obaj chłopcy. Próbowałam zapanować nad wzburzonymi nerwami.

- To wszystko wydaje mi się takie nieprawdopodobne - powiedziałam. - Popatrz tylko na nich.

Chłopcy ganiali wkoło, prześcigając się w zbieraniu drewna. Zwykła, przyjacielska rywalizacja, najnormalniejsza w świecie rzecz pomiędzy rodzeństwem. Nie zauważyłam, aby tę prostą czynność zbierania drewna któryś z nich wykonywał zręczniejsz czy lepiej, choć

przecież Harry był o wiele starszy. A także niższy i ciemny, podobnie jak Richard i Lois. Eric wyglądał zupełnie jak mój brat i ojciec - wysoki, szczupły i jasny. Dla mnie byli sobie absolutnie równi.

- Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego nie nalegasz, aby Eric grał w piłkę - odezwał się Richard. - To by bardzo dobrze wpłynęło na rozwój jego umiejętności motorycznych.

- Nie wiedziałam o niczym, dlatego gdybyś mi powiedział... - Poczułam, że zbliżam się do stanu wrzenia.

- Nie zrobiłaś też nic, żeby miał więcej przyjaciół. Lois może sobie być diabolicą, ale przynajmniej rozumie, że dzieciakom potrzebna jest także umiejętność przebywania w grupie, a nie tylko bogate słownictwo.

- Richard, przecież nie możesz mnie winić za to, że nasz syn ma kłopoty z nauką. - Z całej siły powstrzymałam się, żeby nie podnieść głosu.

- Nie bardziej niż oskarżam siebie, że nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że one istnieją. Słuchaj, Caroline, Churchill był dyslektykiem, Thomas Edison tak samo. I podobnie pięćdziesiąt procent tych dzieciaków, których pedagodzy i psychologowie kwalifikują jako zdolne i utalentowane. Jeśli chciałabyś poznać moją opinię, to - według mnie - jakiś cholerny błąd tkwi w samym systemie edukacyjnym, a nie w dzieciach.

- Cóż, gdyby od nauczycieli Erica wymagano, żeby byli sympatyczni i mili, oblałabym każdego z nich.

- A to jest podstawa wszystkiego, dobry nauczyciel. Nasi to okropne kreatury. Nie przejmuj się, jakoś się z tym uporamy. Chodź, pomożemy im

przytaszczyć całe to drewno. Wygląda, że wy-zbierali połowę Pensylwanii.

Richard wyszedł, a ja pobiegłam po aparat fotograficzny. Sama nie pojmowałam, w czym właściwie tkwi problem. Skoro Richard się nie przejmował, dlaczego ja tak się gryzłam? Nie mogłam uwolnić się od myśli, że gdybym tylko wiedziała o wszystkim wcześniej... Gdybym! Światło dnia zaczęło już przygasać i na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Mając słońce za plecami, zapędziłam całą trójkę na brzeg jeziora, tak że za sobą mieli już tylko wodę, i wypstrykałam całą rolkę filmu. Fotografie będą stanowiły pamiątkę tego weekendu i mojej rozmowy z Richardem na temat prawdy.

Minał piątek, po nim sobota. Nakrywaliśmy do stołu, przygotowaliśmy posiłki, sprzątaliśmy ze stołu i zmywaliśmy naczynia. Głównie zajmowaliśmy się tym Eric i ja. Richard czytał, a Harry większość czasu spędzał na dworze, kopiąc samotnie piłkę. Gdyby mnie ktoś zapytał, jak można by to zinterpretować, odpowiedziałabym, że Eric z całą pewnością jest całkiem normalny, Richard ma wszystko w nosie, a Harry sercem nigdy naprawdę nie należał do nas.

W sobotę wieczorem, przed ósmą, Eric zszedł na dół, niosąc stary teleskop. Oderwał z rolki kilka papierowych ręczników, wytarł go z kurzu, umieścił sobie na ramieniu i pomaszerował na dwór, w ciemność. Spoglądałam za nim przez okno, jak idzie w stronę jeziora i ustawia teleskop tuż przy wodzie.

W oddali migotały światła domów położonych na przeciwległym brzegu. Noc była wprost wymarzona na pobyt w górach - pięćdziesiąt stopni, przejrzyste powietrze. Zmiotłam ze stołu ostatnie okruchy,

włożyłam kurtkę i wyszłam na dwór, żeby przyłączyć się do Erica. O ścianę szopy stały oparte dwa lekkie składane krzesła, więc zabrałam je i zaniósłam na brzeg.

- Założę się, że nie my pierwsi obserwujemy gwiazdy z tego właśnie miejsca - powiedziałam. - Krzesła stały tuż przy drzwiach składziku.

Eric wymamrotał „hm”, nie przestając ustawiać ostrości soczewek.

- Hura! - wykrzyknął.

- Co takiego?

- Spójrz, mamó, widać Księżyc! - wykrzyknął podekscytowany, ciągnąc mnie do teleskopu. - Idę zawołać tatusia i Harry'ego.

- Idź, idź. - Spoglądałam za nim, biegnącym w stronę domu, ani na chwilę nie przestając gryźć się myślą, jak to możliwe, by dziecko tak pełne życia, tak ciekawe wszystkiego, tak uważające, mogło mieć podobne problemy. Przez okno widziałam, jak Eric usiłuje namówić Richarda i Harry'ego, aby wyszli na dwór i dołączyli do nas. W końcu Richard podniósł się niechętnie i wyszedł; Eric, uwieszony u jego ramienia, ciągnął go w stronę jeziora.

- Usiądź tutaj, tatusiu - mówił Eric - pokażę ci coś. - Ustawił odpowiednio soczewki i odstąpił od teleskopu. - Spójrz, widzisz Księżyc?

Richard przyznał, że istotnie widzi.

- A widzisz tę wielką, ciemną plamę? Galileusz myślał, że to ocean, więc nazwał to miejsce Mare, co po łacinie znaczy „morze”.

- Uczyłeś się tego w szkole, synku? - zapytał Richard.

- Skąd, wiem to z Discovery - odparł Eric.

- Pozwalasz mu oglądać telewizję? - Richard zwrócił się z pytaniem do mnie.

- Czyżbyś nie mieszkał w tym samym mieszkaniu, co my? - zapytałam, otwierając szeroko oczy. - W niedzielę wieczorem Eric i ja zawsze oglądaliśmy razem telewizję.

- A chcecie wiedzieć, dlaczego kratery przez cały czas wyglądają tak samo? - Nie czekając na naszą odpowiedź, objaśniał dalej: -Ponieważ na Księżycu nie ma powietrza, więc nic nie porusza pyłu. Tak samo nie ma grawitacji, żeby przyciągała różne rzeczy. A wiedzieliście, że skały na Księżycu mają dokładnie ten sam skład chemiczny, co ziemskie? Bazalt. Wszystkie pochodzenia wulkanicznego. Serio.

Richard wstał i położył obie ręce na ramionach Erica.

- Synu, to absolutnie fascynujące. Jak sądzisz, o czym to świadczy? Mam na myśli pochodzenie Ziemi i Księżyca.

- Nie wiem. Że się wzięły z Marsa? - Eric szczyrzył zęby od ucha do ucha. - Może bilion lat temu wielki kawał Marsa oderwał się i poszybował w kosmos. Nie wiem. A ty jak myślisz, tatusiu?

- Myślę, że kiedy dorośniesz, sam odpowiesz na to pytanie. Chodź, rozpalimy w kominku, robi się chłodno - zakończył Richard.

- I będziemy przypiekać *marshmallow*? - zapytał Eric.

- I będziemy przypiekać *marshmallow* - potwierdził Richard.

Każdy z nich wziął swoje krzesło, a ja szłam za nimi, niosąc teleskop. Czułam się jednocześnie uspokojona i uradowana tym, co Eric zademonstrował ojcu, i reakcją Richarda na entuzjazm syna. Chyba był nawet z niego trochę dumny. I chociaż nienawidziłam tak często stosowanych przez Richarda gierki, manipulacji typu dziel i rządź, kiedy weszliśmy do domu, nie mogłam się nie roześmiać. Rozciągnięty na tapczanie Harry oglądał telewizję.

- Harry, co to jest *marel* - zapytał Richard.

- Co takiego? - Harry udawał, że jest zaskoczony naszą obecnością.

Przyciszył telewizor, nadawano transmisję z rozgrywek World Wrestling Federation.

- *Mare* - powtórzył Richard. - Co oznacza ten wyraz?

- To węgorz - rzekł Mały Skarb i ponownie zwiększył siłę głosu. - A kogo to obchodzi?

- Raczej murena - odpowiedziałam.

- *Yeah*, to znaczy kondensacja - rzucił Eric i roześmiał się, idąc do jadalni.

- Zamknij się, szczurze, co ty tam wiesz! - wrzasnął za nim Harry.

Choć raz Eric miał dość rozsądku, by nie zareagować na zaczepkę. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób udało mu się wygrać tę niewielką potyczkę w wojnie o zdobycie uznania Richarda, ale przecież triumfował. Zdecydowałam, że potrzeba nam więcej weekendów podobnych do tego.

Kładąc się spać, zastanawiałam się, ile gwiazd widocznych jest tej nocy nad brzegami Edisto. Miliardy albo i więcej. Nie przyćmiewały ich światła miast, tak że wszystkie jaśniały na nocnym niebie niczym odłamki kryształu, migocące krople rosy na ciemnym kobalcie. Eric z pewnością polubiłby ten widok. Miałam syna, którego pociągał kosmos. Powinnam częściej zabierać go do Karoliny Południowej.



## **Dziennik Miss Lavinii**

*Nigdy nie myślałam, że nadejdzie taki dzień, kiedy przed własnymi dziećmi będę musiała mieć się na baczności. Trip doprowadza mnie do szału. Jakby nie było dosyć, że Raoul porzucił mnie dla innej kobiety. Tymczasem jak zachowuje się mój syn? Czy on nie wie, ile nerwów kosztowało mnie odejście Raoula? Powinien się cieszyć -od pierwszej chwili go nie znosił. Zdradzę wam sekret. W małżeństwie z Neuilem przeżyłam wiele lat, byłam mu oddaną żoną, idealną panią domu, ale bzykanie się z ogrodnikiem przyniosło mi o wiele więcej radości niż seks z własnym mężem, którego przecież tak kochałam. Każda kobieta powinna przynajmniej raz w życiu wziąć sobie latynoskiego kochanka. No już, rozkładajmy nogi. Co ja wygaduję? Trip doprowadził mnie dziś do furii. Jestem pod nieustannym ostrzałem. Doprawdy nuży mnie to.*

## Rozdział 9

*Nie da rady, dziecino*

*Manhattan, luty 2000*

Mów głośniej, Trip! W mieszkaniu mam około trzydziestu osób i wszyscy przekrzykują się nawzajem.

Richard, mój nieznośny mąż - nieznośny, ponieważ nienawidził, kiedy wydawaliśmy przyjęcia - po prostu wręczył mi telefon. Pociągnęłam przewód dookoła skrzydła drzwi i schroniłam się w gabinecie, żeby porozmawiać z bratem, który dzwonił do mnie wyłącznie wówczas, kiedy czegoś potrzebował.

- Co mówiłeś?

- Powiedziałem, że mam dosyć. Wszyscy tutaj mamy dosyć matki.

Nie zabrzmiało to dobrze. Telefon od Tripa sprawił, że w moim

żołądku zagotowało się, jakbym połknęła cały słoik *jalapenos*.

Refluks. Już go czułam.

- Co się stało? - zapytałam z największym spokojem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- Co się stało? Przemawia do mnie takim tonem, jakbym wydzwaniał do niej co pięć minut. Już ci mówię, co się stało. Matka absolutnie nie jest w stanie prowadzić samodzielnej egzystencji. Jest niezrównoważona umysłowo, nie potrafi sama zadbać o swoje sprawy i potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował. I to od zaraz.

W końcu do tego doszło. Zawsze wiedziałam, że tak się stanie.

Wiedziałam, że któregoś dnia mój kochany braciszek - poczciwy, dobry

chłopak - i jego wredna małżonka wymyślą jakiś sposób, żeby pozbyć się matki.

- Nie sędzę, Trip - powiedziałam wolno i spokojnie. Urwałam na chwilę, czekając, aż moje słowa przesączą się przez jakąś szczelinę w jego zakutej pale. Wciągnęłam powietrze. - A co wpłynęło na taką, a nie inną ocenę sytuacji?

- Do cholery, Caroline, wolałbym, żebyś nie zwracała się do mnie w taki sam sposób, w jaki twój żydowsko-myślnik-angielski małżonek przemawia do swoich psycholi. Nie odpowiada mi to.

- Przykro mi, że tak to odbierasz. Naprawdę nie było moim zamiarem cię urazić. - Kłamstwo w żywe oczy. - Niemniej jednak nie rozwiążesz swojego problemu, wygłaszając antysemitckie uwagi. Jeśli masz kłopoty z matką, nic ci nie pomoże obrażanie mnie i mojego męża. Zresztą zadzwonię do ciebie później.

- Przepraszam, naprawdę przepraszam.

- Przyjmuję twoje przeprosiny.

- Caroline, dzisiaj po południu matka o mały włos nie odstrzeliła mi jaj. Wierz, że niewiele brakowało.

- Co takiego?

- Spuszczałem na wodę łódkę, a ona wzięła mnie za kłusownika. Tak przynajmniej twierdzi. Zdaje się, że przedtem ucięła sobie dłuższą pogawędkę z Jasiem.

- Jasiem?

- Jasiem Wędrowniczkiem.

- Ona pija bourbona, ale mniejsza z tym. Miała może słońce nad reją?

- Owszem, ale mimo to...

- Jak blisko podeszła?

- Wystarczająco blisko, żebym miał cholernego pietra.

- Och, Trip, przestań. Mogę uwierzyć, że matka była ululana, ale nigdy nie uwierzę, żeby chciała cię zabić. Dlaczego nagle uznałeś jej picie za problem, z którym koniecznie musisz się uporać? Matka od lat zachowuje się w sposób szalony i nieobliczalny. Powinieneś był już dawno się do tego przyzwyczaić.

- Przeoczyłaś jeden fakt, Caroline.

- Mianowicie?

- To nie ja mam problem z matką. To my mamy problem z matką. Celniej nie mógł trafić. Poczułam się paskudnie. Zapragnęłam usiąść albo, jeszcze lepiej, rozplakać się.

- Trip? - Moje serce galopowało w obłąkańczy sposób. - Zadzwoń do ciebie po wyjściu gości, dobrze?

- Ależ tak, jak najbardziej. Przecież podejmujesz gości. Caroline, bardzo przepraszam, że zakłóciłem twoje przyjęcie tak błahą kwestią. Po prostu zadzwoń do mnie w terminie, który będzie dla ciebie najdogodniejszy, *okay?*

Teraz ja byłam wściekła.

- Wiesz co, Trip? Gnida z ciebie. Wielka sprawa. Przecież ja muszę sobie to wszystko najpierw przemyśleć. Uważasz, że mam tak w ciemno udzielić ci zgody na wyrzucenie matki z jej własnego domu, po to, żeby Frances Mae i jej trzy dziewczynki mogły się do niego wprowadzić? Muszę omówić to z tobą dokładnie, usłyszeć wszystkie szczegóły. A

potem potrzebuję trochę czasu na zastanowienie się nad całą sytuacją. To chyba nie brzmi nierozsądnie, prawda?

- Zaczniemy od tego, że twoja zgoda nie jest mi do niczego potrzebna. Jako zarządzający majątkiem matki mam jej upoważnienia, a w naszym ukochanym stanie wystarczą dwa podpisy, żeby zamknąć kogoś w zakładzie dla umysłowo chorych. Ich zdobycie nie będzie dla mnie stanowiło najmniejszego problemu, zważywszy na to, jak się matka zachowuje.

Bez wątpienia matka pożałuje dnia, w którym obdarzyła go pełnomocnictwami.

- Świetnie. - Uświadomiłam sobie, że będę tkwiła przy słuchawce, dopóki Trip nie wyrzuci z siebie wszystkiego, co zamierzał. - No to wal, mów, co się dzieje.

- Matka zerwała z Raoulem i teraz sypia z Jenkinsem.

- Co? - Przecież nie mógł mówić tego poważnie. Raoul, trzydziestopięcioletni wdowiec, pracował na plantacji jako architekt krajobrazu (czytaj: stajenny), na pół etatu i najwyraźniej także po godzinach. Natomiast Jenkins był czarnoskórym zarządcą Wysokich Sosen. Matka i Millie polegały na nim pod każdym względem. Mieszkał w niewielkim domku na terenie plantacji i wiódł niemal pustelniczy żywot. Zresztą miał chyba z tysiąc lat. - Trip, powiedz, że mnie nabierasz.

- Chciałbym. Millie i ja widzieliśmy ją wychodzącą od niego wcześniej rano. Wybrałam się akurat załatać dziurę w asfalcie na naszym podjeździe, a Millie szła do pracy. Oboje ją widzieliśmy, zresztą nie po raz pierwszy.

- Och, Trip, przecież nie musiała chodzić do niego od razu po to.

Pytałeś matkę?

- *Yeah*, pewnie. Podszedłem do niej i wywaliłem prosto z mostu:

„Słuchaj, matka, od jak dawna ty i Jenkins tarzacie się w jednej pościeli?”

- Aleś się popisał.

- Serio, Caroline, ciekawe, co ty byś powiedziała. Przecież wiesz, jaka ona jest. Z miejsca się wyłga.

- Masz rację.

Wyrzałam przez okno gabinetu Richarda. Jeśli matka miała zachciankę wziąć sobie Jenkinsa na kochanka, z pewnością to uczyniła. Deszcz ze śniegiem walił nieubłaganie w dźwiękoszczelne szyby. Te okna to były zmarnowane pieniądze. Paskudny lutowy wieczór. Idealna pogoda na rodzinny kryzys. Jakie to szczęście, że mam tylko jednego brata. Trip wystarczał za cały tuzin.

Musiałam wrócić do gości. Co najmniej dziesięciu z nich byli to ludzie dobrze po siedemdziesiątce i chciałam ich ostrzec, żeby uważali na oblodzone chodniki.

- Trip, daj mi ze dwie godziny, potem do ciebie oddzwonię. Chcę się pożegnać z gośćmi, dobrze?

- Za dwie godziny będę już spał.

Posłużył się starym, wyświechtanym, rodzinnym eufemizmem, oznaczającym: „Będę zbyt pijany, żeby rozmawiać”. Gdybym ja miała taką żonę i takie dzieci, chodziłabym pijana na okrągło.

- Postaram się pośpieszyć.

- A rób, jak chcesz - odpowiedział, rzucając słuchawkę.

I potem się dziwię, dlaczego uciekłam z domu. Przysiadłam na oparciu skórzanej pikowanej kanapy Richarda, stojącej na wprost zwróconego w stronę okna biurka, i wpatrywałam się w telefon. Trip doprowadził mnie do pasji. Po diabła w ogóle wtrącał się w sprawy matki? Matka syjąca z Jenkinsem? Niemożliwe. Oczami wyobraźni widziałam Tripa i Frances Mae układających misterny spisek, mający na celu wyeksmitowanie matki z domu, niczym dwaj rosyjscy mistrzowie szachowi. Mnie pisana była rola rozjemcy i tak już musiało być.

Podejmowaliśmy członków rady nadzorczej z Bellevue, gdzie Richard miał stanowisko naczelnego psychiatry. Inwazję gości mój mąż tolerował z jednego tylko powodu - traktował ją jako swój zwykły zawodowy obowiązek, którego należało dopełnić raz do roku. Wróciłam do salonu. Richardowi wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że wszystko się we mnie gotuje.

Przeciął skosem pokój i zbliżył się do mnie.

- Co cię stało? - szepnął.

- Och, nic - powiedziałam. - Po telefonie od mojego braciszka zawsze dręczą mnie koszmary.

- Rozumiem. Czy chcesz teraz zadzwonić do niego?

- Nie, ale dzięki - odparłam. - Porozmawiam z nim później.

- Dobrze. Spróbuję rozpirzyć to całe towarzystwo na cztery wiatry.

- Znakomicie.

- Jeszcze jedno, kochanie. Będę musiał wyskoczyć do gabinetu po papiery w związku z jutrzejszą poranną naradą. Mogę?

- Jasne - odparłam.

Patrzyłam za nim, gdy się oddalał. Szpakowate włosy, okulary w drucianej oprawie, tweedowa marynarka, flanelowe spodnie. Archetyp psychiatry.

Po wyjściu gości nagle zrobiło się tak cicho, że zaczęło mi dzwonić w uszach. Dochodziła północ. Zadzwoiłam do Richarda, do gabinetu. Nikt nie podniósł słuchawki. Prawdopodobnie zasnął na kanapie, jak zwykle, kiedy był zmęczony. Wszystkim nam się to zdarza, pomyślałam. Jesteśmy coraz bardziej zmęczeni.

Gasząc światło, rozejrzałam się po mieszkaniu. To wszystko Richard i ja zbudowaliśmy przez ostatnie trzynaście lat. Sześć pokoi wypełniały pamiątki z naszych wypraw, półki ugięły się pod ciężarem uczonych dzieł z wszelkich możliwych działów psychologii i psychiatrii, opublikowanych i w maszynopisach. Te należały do Richarda. Stanowiły jego bibliotekę i jego broń. Moje książki traktowały o tkaninach z różnych stron świata, japońskich ogrodach i tajemnych religiach, które przywędrowały do nas na statkach z zachodniej Afryki. Richard zdawał się koncentrować na umyśle ludzkim, podczas gdy ja studiowałam duszę i to, co człowiek ustanowił swoim sacrum. Nasze półki z książkami stanowiły dobry punkt wyjścia do próby zdefiniowania dzielących nas różnic.

Zajrzałam do pokoju naszego syna. Eric spał; kształtna główka na poduszce, na brzuchu otwarta książka, okulary na nosie. Stanowił prawdziwą miłość mojego życia. A - co najważniejsze - przez ostatnich pięć lat był celującym uczniem. Wyszukałam dla niego szkołę na Manhattanie, specjalizującą się w prowadzeniu dzieci utalentowanych, z jednoczesnymi zaburzeniami procesu przyswajania wiedzy. Eric nauczył się pięknie pisać i osiągał znakomite wyniki. Z czytania i historii



przechodził kurs dla szóstoklasistów, a z matematyki i nauk ścisłych dla uczniów dziesiątej klasy. Nawet wieczny malkontent, Richard, musiał przyznać, że Eric wyśmienicie sobie radzi. Richard wszystko w swoim życiu zawdzięczał wyteżonej pracy, bez jakichkolwiek ułatwień, więc domyślałam się, że ciężko mu zaakceptować fakt, iż Eric potrzebuje czegoś innego.

Zdjęłam Ericowi okulary i położyłam je delikatnie na stoliku nocnym. Wyjęłam mu z dłoni książkę. „Bogowie i herosi starożytnej Grecji”. Eric uwielbiał antyk, starożytną Grecję i Rzym, pasjonowały go obce kultury. Byłam szczęśliwa, widząc, że rozwinął własne zainteresowania, gdyż to dawało mi pewność, iż mimo przeciwności odnajdzie swoją drogę w życiu. Wszyscy to czynimy w pewien sposób. Jeśli kochająca matka mogła w tym jakoś pomóc... Pogłaskałam mojego syna po włosach, otuliłam go kołdrą i pocałowałam w czoło. Westchnął i powiedział przez sen:

- Kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham, synku - szepnęłam, gasząc lampę przy łóżku.

Było już bardzo późno, kiedy pozwoliłam sobie nacisnąć przycisk z napisem Ja. Tej nocy naprawdę było mi tego potrzeba. Napelniłam gorącą wodą wannę, wsypałam do niej sól z Morza Martwego i wlałam olejek kupiony u aromaterapeutki przy Madison Avenue. Kąpiel obiecywała odprężenie zarówno dla duszy, jak i dla obolałych mięśni. I duch, i ciało potrzebowały takiego relaksu.

Nie potrafiłam się uwolnić od myśli o Tripie. To, co powiedział o matce, naprawdę mną wstrząsnęło. Richard także nie schodził mi z myśli. Jak on to robił, że w jego obecności czułam się taka nieważna, taka

nieistotna? Był wreszcie Eric, którego Richard, jakby niezdolny zapanować na tym odruchem, bez przerwy porównywał z Harrym. Czy za jego krytycznym nastawieniem kryła się życzliwość? Albo współczucie?

Zanurzyłam się w oleistej wodzie, rozgniatając stopą nierozpuszczone grudki soli. Ogromną, naturalną gąbką przesuwalam powoli najpierw po piersiach, potem wzdłuż nóg. Im dłużej myślałam o Richardzie i o tym, jak odtrącał Erica, tym bardziej traciłam ochotę na kąpiel. Opłukałam ciało pod prysznicem, owinęłam się ręcznikiem i wypuściłam wodę z wanny.

Rozpoczęłam cowieczorny rytuał. To nie w porządku, że z wiekiem lista czynności, jakie należy wykonać przed snem, wydłuża się coraz bardziej. Bowiem ja wieczorami coraz częściej odczuwałam zmęczenie. Jednak przez całe dwie minuty sumiennie szczotkowałam zęby, czyściłam przestrzenie międzyzębowe nicią dentystyczną, płukałam jamę ustną i gardło, wcierałam pod oczy krem, nawilżałam twarz, szyję, dekolt, łokcie i wreszcie nogi. Włożyłam przez głowę białą bawełnianą, włoską koszulę nocną i wyszczotkowałam moje blond włosy, po czym związałam je w koński ogon. Potrzebowały odżywki. No to co? Dochodziła pierwsza, a Richarda nadal nie było.

Ściągnęłam kapę z łóżka, złożyłam ją i umieściłam na półce na pościel. Odsunęłam podglówek i spulchniłam wszystkie cztery poduszki, leżące na naszym królewskim łożu - dwa europejskie kwadraty, podwójny amerykański standard. Jak miły był dotyk świeżych prześcieradeł! Wśliznęłam się między nie. Dawno już nie czułam takiego zmęczenia. Może poczytam z dziesięć minut, żeby mi było łatwiej zasnąć. A może wypiję kieliszek wina? A gdyby tak jedno i drugie? W końcu nie

sięgnęłam po żaden z tych środków, tylko zgasiłam światło i usiłowałam zasnąć. Patrzyłam na cyferki przeskakujące na budziku.

Dochodziła druga, kiedy usłyszałam szczęknięcie otwieranych drzwi. Czerwony alarm - atak furii. Richard wrócił. W niedługi czas potem wgramolił się do łóżka. Nie drgnął mi ani jeden mięsień. Wciągnęłam powietrze. Opium. Duszący zapach, niedający się pomylić z żadnym innym. Nie minęły nawet trzy minuty, a Richard już chrapał. Znałam tylko jedną kobietę, która używała tych perfum. Lois. Byłam zbyt zmęczona, żeby go zabić. Zamorduję go jutro. Z samego rana.



## **Dziennik Miss Lavinii**

*Powiedziałam Sweetie i Nancy o Tripie, o pieniądzach i o tym, że chce, abym przeniosła się do Century City Resort na Hilton Head. Były wstrząśnięte. Dopiero teraz widzę, jaka byłam głupia. Jak się dawałam wykorzystywać. Najwyższy czas z tym skończyć. Już jest mi winien majątek. Przeniecę się, dokąd będę chciała i kiedy będę chciała. Ja tu decyduję, nie on. A majątek stanowi także dziedzictwo Caroline. Wiem, że powinnam do niej zadzwonić i porozmawiać z nią o wszystkim, ale jakoś nie potrafię się na to zdobyć. Dzisiaj szczególnie boleśnie odczuwam brak Nevila.*

RS

## ***Rozdział 10***

### ***Obudź się i poczuj opium***

Nie potrafiłam wymyślić żadnego racjonalnego powodu, dla którego Richard miałby pozostawać poza domem aż do drugiej w nocy. Jego nieobecność była niczym kłujące przypomnienie wyjazdu z Lois do Londynu, kiedy miał się urodzić Eric. A więc nie zaprzestał swoich gier. Uporczywy zapach opium w mojej sypialni doprowadzał mnie do szaleństwa, sprawił, że przez całą noc śniłam o morderstwie.

Śniło mi się, że wyduszam ostatni dech z mojego żalostnego brata, jego żony, bez wątpienia reprezentującej niższy rząd niż człowiek, wreszcie z własnego męża. I jeszcze z Lois. Był to sen somnambulika, ale ileż radości mi sprawił. Rozpierała mnie moc i potęga. Byłam Sinobrodym - albo raczej Sinobrodą, jeśli wolicie - wypędzającym z nich biczem zachłanne żądze, odpłacającym im za ich samolubstwo.

Mojego brata kazałam zanurzyć w głębokiej kadzi, pełnej wrzącej velveety, po czym wypuściłam na niego jego własne psy myśliwskie; labradory Tripa uwielbiają ser i dałyby się posiekać, aby zdobyć choć kąsek. Zalizały go na śmierć. Richarda przywiązałam do krzesła i na jego oczach ciskałam w ogień wszystkie pierwsze wydania Junga i Freuda. Zapocił się niemal na śmierć, aż do całkowitej amnezji. Teraz byli w mojej mocy, wszyscy. Po Richardzie dorwałam się do Frances Mae - mojej nikczemnej bratowej. Porwałam jej farbę do rozjaśniania włosów, uniosłam wysoko nad głową, tak że nie mogła jej dosięgnąć, i patrzyłam, jak jej odrosty wydłużają się bez końca. Wreszcie podałam jej lusterko i upajałam się jej niemilknącym krzykiem. Ale to jeszcze nie był koniec

udręk, jakie jej zgotowałam. Powiedziałam, że matka cały swój majątek zapisała mnie, że jej nie dostanie się nawet złamany grosz. *Moo-hoo-ho-ho!* Przemieniła się w pudła u moich stóp, Nikczemną Czarownicę z Zachodu, krzyczącą z trwogi i rozpuszczającą się w potoku własnych, pozbawionych sodu łez.

I wreszcie Lois. Tłukłam ją po twarzy, i jeszcze, i jeszcze, a jej głowa majtała się na boki niczym łebek gałgankowej lalki. Byłam Dominatrix z kraju Morfeusza, w wieczorowej sukni z nieskazitelnej czarnej krepy, z perłami na szyi. W końcu nie były to ich sny, tylko moje.

Obudziłam się, na wpół zdumiona, na wpół rozbawiona siłą mojej imaginacji, szybko jednak przypomniałam sobie, że w świecie realnym najpierw będę musiała uporać się jakoś z Richardem i Lois, a niebawem przyjdzie mi się zmierzyć z Tripem i Frances Mae, nie wspominając już o matce.

Richarda postanowiłam ukarać całkowitym milczeniem. Jeszcze w szlafroku przygotowywałam śniadanie dla Erica, smażąc jajka i przypiekając w kuchence mikrofalowej dwa plastry bekonu. Eric pił sok pomarańczowy, pakując jednocześnie tornister.

- Chcesz jeszcze soku, kochanie? - zapytałam. Wszedł Richard.

- Dzień dobry wszystkim. Czy mamy bajgle?

Złożył powitalny pocałunek na moim policzku. Nie odzywałam się. Małżeński chłód.

- Caroline, coś nie tak?

- Eric? Czy mógłbyś powiedzieć swojemu ojcu, że bajgle są w zamrażalniku, tuż obok buteleczki opium?

- Tato, mama mówi...

- Słyszałem, co mówi. - Richard wydał z siebie jedno z tych westchnień, oznaczających: *Dlaczego właśnie ja? Dlaczego padło to akurat na mnie? No tak, przecież się z nią ożeniłem...*

Eric wzruszył ramionami, wziął talerz z jajkami na bekonie i zaniósł go do stołu, wachając aromatyczną zawartość. Ja stałam, dzierżąc w jednej ręce łyżeczkę do odwracania jajek, a drugą pocierając oko, co miało oznaczać mój kompletny brak zainteresowania. Udałam nawet ziewnięcie, by obraz mojej urazy został wreszcie wchłonięty przez grubą warstwę gąbki, stanowiącej mózg mojego męża.

- Wiesz co, Caroline - powiedział Richard, sięgając po torbę mrożonych bajgli i wyciągając jeden - myślę, że jesteś typem nieco paranoidalnym. Czy chciałabyś o tym porozmawiać?

Paroidalnym?

- Richardzie, nie zwracaj się do mnie w tak protekcyjny sposób. Może mi jeszcze powiesz, że nie odwiedzałeś Lois ubiegłej nocy?

- Nie. Poszedłem tam odwiedzić mojego syna.

- Twojego drugiego syna - zaakcentowałam, podkreślając jego brak taktu i delikatności.

- Dla mnie jest to hasło do odwrotu - oznajmił Eric, wkładając talerz i widelec do zlewu. - Z drogi. Wychodzę - dodał, kierując się ku drzwiom.

- Poczekaj no, Sigmund - powiedziałam do Richarda - zaraz wracam.

- Wybiegłam na klatkę schodową, gdzie Eric czekał na windę. - Eric, nie zwracaj uwagi na ojca. To dotyczy mnie i jego, ciebie nie, rozumiesz?

- Jasne, mam - odparł, ale w jego oczach widziałam znajomy ból - wiem. Ilekroć Harry i ja jesteśmy razem, on od razu zaczyna zachowywać

się jak przywódca stada i ustalać porządek dziobania. Kompletnie nie potrafi nad tym zapanować. Tata także nie.

- Kocham cię Eric, bardzo cię kocham. Poczekaj, odprowadzę cię.

- Nie trzeba, mam. Oprócz mnie chodzą tamtędy miliony ludzi - powiedział mój syn i uściskał mnie. Drzwi windy otworzyły się i Eric dosłownie wpadł do środka. Zanim jeszcze zasunęły się na powrót, dobiegło mnie jego wołanie: - Ty jesteś najlepsza ze wszystkich!

- Tak samo ty! - odpowiedziałam, przekrzykując brzęczyk towarzyszący zamykaniu drzwi windy.

Odwróciłam się ku drzwiom mojego mieszkania. Właściwie powinnam była powiedzieć: naszego mieszkania, ale w tym momencie nie chciałam uznać, że mnie i Richarda coś łączy. Weszłam do środka, zdecydowana zignorować mojego męża. Jakież sens miała dyskusja? Richard wołał swojego pierworodnego. Wiedziałam o tym, Eric też o tym wiedział, wiedziała Lois i wiedział najdroższy, uroczy mały Harry. Wiedział i wykorzystywał to. Wszyscy to wykorzystywali, łącznie z Richardem. Harry był narzędziem, i ta rola bardzo mu odpowiadała. Zupełnie niczym mały braciszek Tony'ego Perkinsa w motelu Batesów, Harry Bates czający się ze sztyletem za zasłoną prysznic.

Przyznaję, że chciałam przekraść się cichaczem przez hol, ale stary, niezawodny Richard wartował w drzwiach kuchennych.

- Musimy porozmawiać - oświadczył, dając mi znak, że mam iść za nim do pokoju.

Popatrzyłam na niego. Na jego podstarzałej twarzy pięćdziesięciolatka nie malował się żaden, najdrobniejszy nawet ślad skruchy.



- Nie mam siły odgrywać wraz z tobą całej tej psychodramy dzisiejszego ranka. O dziesiątej idę na jogę.

- Ja również mam czas szczerze wypełniony. Myślę, że wiesz dobrze, iż obu moich synów kocham jednakowo.

A więc to tak. Cofająca się linia włosów, siwiejące skronie, okulary w drucianej oprawie, rozpinany sweter z wielbłądziej wełny, ze skórzanymi guzikami, biała koszula, luźne, szare, flanelowe spodnie. Jungowski Król Wyparcia Się Wszystkiego.

- Przeciwnie, o tym akurat nie miałam pojęcia - odparłam, przybliżając się ku zarzuconej przynęcie - podobnie jak wszyscy inni.

- Nie możesz mnie czynić odpowiedzialnym za opinie innych.

- Oczywiście, że nie, ale nawet ty musisz przyznać, że człowiek nie pozostaje bez wpływu na to, co sądzą inni.

- Możliwe.

- Czy poczułbyś się bardzo obrażony, gdybym zapytała, gdzie to się podziewałeś wczoraj do drugiej w nocy?

- To było aż tak późno? - Sięgnął do pudełeczka stojącego na blacie stolika do kawy i zaczął napełniać fajkę tytoniem.

- Owszem.

Odchrząknął, starając się przybrać minę psotnego chłopca.

- Nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przy tej pogodzie niepodobieństwem było złapać taksówkę.

- Jasne. Przyszedłeś do małżeńskiego łóża, cuchnąc tym obrzydlistwem, którym skrapia się twoja eks-małżonka, bo nie mogłeś złapać taksówki. Jezus, że też się nie domyśliłam.

- Caroline, kiedy wychodziłem, Lois pożegnała mnie całusem w policzek, i to wszystko.

Nie miałam zamiaru kupować tych bzdur i do Richarda chyba wreszcie zaczęło to docierać. Przechyliłam głowę, zacisnęłam wargi i zamrugałam oczami, jakbym chciała powiedzieć: *Jasne, kochanie, wczoraj spadłam z wozu wyładowanego rzepą*. Usiłowałam wyminąć Richarda, ale zastawił mi drogę. Chwycił mnie za ramię i zmierzył gniewnym spojrzeniem. Spod jego cywilizowanej powłoki przeziarała wściekłość.

- Puść moją rękę, Richard. Puścił ją gwałtownie.

- Chcę porozmawiać, Caroline. Nie chcę z tobą walczyć.

- W takim razie przestań mnie okłamywać. Więcej, przestań okłamywać samego siebie i wszystkich dookoła. - Dlaczego ilekroć coś przeszkrobał, wyżywał się na mnie? Tym razem nie miałam zamiaru tego tolerować.

- A co to niby ma znaczyć?

- Słuchaj, chciałeś porozmawiać, więc rozmawiajmy. - Odepchnęłam go, usiadłam w jego ulubionym krześle i czekałam.

Spoglądał na mnie, zaskoczony, że starczyło mi odwagi, aby zająć jego miejsce. Wreszcie usiadł naprzeciwko mnie. Cisza.

- No więc powiedz mi, jak to się stało, że ściągnąłeś do domu w środku nocy z tym najbardziej niecodziennym z zapachów, uczepionym ciebie niczym złośliwy wirus. Odrobina Eau de Ex dla podbudowania zaufania żony.

- Caroline, wiem, że jesteś zazdrosna o Lois, ale to twój problem i sama musisz się z nim uporać. Odkąd Lois sprowadziła się do miasta, demonstrujesz swoje niezadowolenie. Zgadzam się, do pewnego stopnia

jest to naturalne, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, jednak zapewniam cię, że naprawdę nie masz powodów do zazdrości, choć przyznaję, czuję się nią polechtany.

- Richard, mój drogi, tym sposobem daleko nie zajedziemy. I nie w tę stronę, co trzeba. Mówimy teraz o twojej wierności. I o godzinie, o której wróciłeś wczoraj do domu. I o bijącym od ciebie zapachu Lois, która robi wszystko, żeby cię odzyskać i która - aby dopiąć swego - przeprowadziła się na Manhattan. Mówimy też o twoim sposobie traktowania Erica, o tym, jak go wyszydzasz na każdym kroku. Richard, brak słów potrafi zranić tak samo, jak słowa.

- Caroline, moja wierność jest niekwestionowana. Wróciłem do domu późno, ponieważ zasnąłem na naszym tapczanie.

- Naszym?

- Przepraszam, na jej tapczanie. Siedziałem na nim z Harrym. Właśnie skończyliśmy czytać jego esej, który musiał napisać, ubiegając się o przyjęcie do Choate. W kominku palił się ogień, było ciepło, wypłem dwa koniaki, w telewizji puszczały stary film... w którymś momencie zwyczajnie zasnąłem. Lois położyła się wcześniej, potem Harry też poszedł do łóżka. Pewnie myślał, że sam się zaraz obudzę. No, w każdym razie później przyszła Lois i zbudziła mnie. Zgodzisz się, że sytuacja była dość krępująca. Kiedy wychodziłem, pocałowała mnie w policzek i tyle.

- Pewnie dosypała ci melatoniny do koniaku.

- To byłoby do niej podobne. A co do moich uwag w obecności Erica, wierz mi, nie chcę go zranić. Szczerze kocham mojego syna. Ale jedno musisz przyznać, skoro ty go rozpieszczasz, wobec tego mnie pozostaje niewdzięczna rola surowego rodzica.

- Wcale go nie rozpieszczam. Okazuję mu swoją miłość.

- Caroline, przyjrzyjmy się faktom, dobrze, kochanie?

- Niczego innego nie pragnę - powiedziałam, myśląc jednocześnie, że jeszcze chwila, a wstanę z krzesła i uduszę go gołymi rękami.

- Eric ma swoje ograniczenia, natomiast Harry, Harry jest po prostu nadzwyczajny.

- Co takiego?

- Harry ma szansę zajść naprawdę wysoko, ale wystarczy, aby mieszkał z Lois, by wszystko zaprzepaścić. Szkoła z internatem byłaby dla niego błogosławieństwem. Staram się wkraczać, kiedy mogę, i służyć mu pomocą. To wszystko.

- Nie, Richard, to jeszcze nie wszystko. Eric nie jest idealny, to pewne, ale bardzo inteligentny. Niestety, cierpi z powodu upośledzenia układu motorycznego, a to uniemożliwia mu zapisanie tego, co ma w głowie. Ale robi wielkie postępy, i ty o tym doskonale wiesz.

- Przyznaję, że istotnie bardzo się poprawił.

- Harry jest w zasadzie socjopata. Przez ostatnich dziesięć lat nie zdarzyło się jeszcze, żeby będąc u nas, nie usiłował skrzywdzić Erica. I zawsze łągał potem jak najęty. Mam nadzieję, że przyjmą Harry'ego do Choate. Może tam go wreszcie nauczą odpowiedniego zachowania.

- Prawdopodobnie się dostanie. Ma wielkie szanse. Zresztą znam kilka osób w tamtejszym zarządzie. - Na samą wzmiankę o sitwie dawnych koleżków najeżyłam się i Richard nie mógł tego nie zauważyć. - Caroline, wszystkie dzieci kłamią. Jest to naturalny proces wyrabiania w sobie odruchu samoobrony.

- Richard...

- *Okey*, przyznaję, że Harry potrafi być trudny. Ale musisz przyznać, że jest też niezwykły.

- Podobnie jak Eric!

Richard ssał fajkę i przypatrywał się mojej twarzy. Na stwierdzenie, że Harry i Eric dysponują równym potencjałem intelektualnym, nie zareagował ani jednym słowem.

- A ponieważ mamy fatalny system edukacyjny, taki dzieciak jak Harry będzie uczęszczał do jednej z najlepszych szkół z internatem, podczas gdy Eric wylądował w specjalce. To nie jest sprawiedliwe.

- Caroline! Przecież i tak nie posłałabyś Erica do szkoły z internatem.

- Nie o to chodzi! Słuchaj, Eric nie jest może geniuszem, ale jest niezwykle inteligentny. A co ważniejsze, jest wrażliwy i wielkoduszny i twoje zachowanie sprawia mu przykrość. Jeśli tego nie dostrzegasz, to nie wiem, jakim cudem dostałeś licencję na prowadzenie praktyki psychiatrycznej.

- Skoro utrzymujesz, że sprawiam mu przykrość, postaram się być bardziej uważający i wrażliwy. Co jeszcze leży ci na wątrobie? Przecież widzę, że czymś się gryziesz. Hołdujesz purytańskiemu, prowincjonalnemu przeświadczeniu, że każdy powinien samotnie dźwigać swoje brzemie.

*Postaram się być bardziej uważający i wrażliwy. Już to widzę. Prowincjonalna? Dlaczego ja zawsze muszę być tą gorszą? Purytańska?* To była jedna z najbardziej drażniących cech osobowości Richarda - umiejętność przerzucania całej winy na rozmówcę. Znowu się nią posłużył. Ale może tym razem miał rację?

- Nic - odparłam, choć korciło mnie, żeby rzucić mu: *A może sam byś raz zrobił coś prowincjonalnego, na przykład wsadził całą swoją wrażliwość do swojej purytańskiej dupy.* Zdaje się, że zbyt wiele naoglądałam się „Rodziny Soprano”.

- Podejdz do mnie, Caroline - powiedział tonem, którego zwykle używał, kiedy obydwójce byliśmy nadzy. - Opowiedz mi o wszystkim, co cię dręczy. Nie chcę, żebyś samotnie dźwigała swoje wypełnione kamieniami wory.

Nagle zobaczyłam światło tuż za nim. Wpadało strumieniem przez okno, tnąc ponurą szarość późnego lutowego poranka ostrymi niczym brzytwa promieniami wiosennej obietnicy. Raptem uwierzyłam, że Richard nie kręci z Lois za moimi plecami i że naprawdę kocha Erica tak samo, jak Harry'ego. Bardzo chciałam w to uwierzyć - potrzebowałam tej wiary. Chciałam opowiedzieć mu wszystko, oczyścić swój umysł, uspokoić serce.

- To Trip - zaczęłam.

- Ach tak - skwitował Richard.

- Właśnie - dokończyłam, kręcąc głową, pełna uznania dla jego przenikliwości. - Matka też.

- O, znakomicie - rzucił, unosząc w górę brwi, odrobinę zbyt rozbawiony, jak na mój gust. - I cóż takiego moja teściowa nabroiła tym razem?

- Trip to prawdziwy dupek - powiedziałam.

- Prawda - odparł, zawieszając głos w niemym stwierdzeniu: *Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.*

- Uważa, że matka sypia z Jenkinsem,

- Absurdalne. Interesujące, ale absurdalne.

- Uważa też, że matka traci rozum.

- Kto wie? Może raczej to on traci swój.

- Jeśli kiedykolwiek go posiadał. A teraz nastąpi *clou*. Twierdzi, że wyśle ją do zakładu. - Wytłumaczyłam, w jaki sposób realizacja takiego pomysłu jest w ogóle możliwa.

Richard był wyraźnie wstrząśnięty.

- Boże wielki, Caroline - powiedział po chwili, która mnie wydawała się ciągnąć w nieskończoność. - Po prostu nie możesz do tego dopuścić. To jasne jak słońce.

- A w jaki sposób mam tego dokonać? Mieszkam tysiące mil od niej, mam męża, syna, którym muszę się zajmować, i prowadzę firmę.

Znowu popatrzył na mnie jak lekarz.

- Jest najzupełniej naturalne, że córka buntuje się przeciwko tego typu nakazom, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę twoje stosunki - czy raczej ich całkowity brak - z Lavinią przez ostatnie lata. Ale, Caroline, ona jest twoją matką, a ty, poza Tripem, jesteś jej jedynym dzieckiem. Nie możesz po prostu stać z boku i przyglądać się, jak pozbawia **się ją** niezależności. Musisz przynajmniej próbować temu zaradzić.

Podniosłam się i zaczęłam rozsuwać zasłony, kontynuując poranny rytuał. Chciałam choć przez chwilę uniknąć wzroku Richarda, spróbować odgadnąć, jakie będą jego następne słowa.

- To znaczy, co mi proponujesz? - zapytałam w końcu. Podniósł się z krzesła i obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

- Myślę, że powinnaś pojechać i sama rozejrzeć się w sytuacji - oświadczył. - Poza tym nie byłaś w domu ponad rok.

- Osiemnaście miesięcy - poprawiłam.

- Przez osiemnaście miesięcy mogło się wiele wydarzyć. Zajmę się chłopcem.

- Erikiem - poprawiłam.

- Erikiem - powtórzył z naciskiem; jego uśmiech wydał mi się nieco podejrzany. - Słuchaj, to będzie nawet dobre dla nas obu, mieć trochę czasu dla siebie, podobnie jak dla ciebie lepiej będzie uwolnić się od tutejszych obowiązków i pobyć trochę z Lavinia.

- Tak, wiem, że masz rację. Zastanowię się jeszcze nad tym. -

*Przynajmniej podczas mojej nieobecności Eric będzie miał na oku ciebie i tę zdzirę, twoją byłą żonę.* Na szczęście w myślach Richard czytać nie potrafił. - Może rzeczywiście pojedę do domu na kilka dni.



## **Dziennik Miss Caroline**

*Tak się martwię o matkę. Na pewno coś tam nie gra, czuję to.*

*Prześladuje mnie myśl, że Trip planuje jakieś draństwo, a matka padnie tego ofiarą. Jak mogę temu zaradzić? Staram się jak najwięcej rozmawiać z nią przez telefon, ale wystarczy, żebym tylko spróbowała zahaczyć o ten niemily temat, matka natychmiast zaczyna protestować. Jest uparta niczym muł. Nie da sobie powiedzieć, że Eric nie jest doskonały. Gdyby wiedziała chociażby połowę z tego, co myślę o Richardzie, natychmiast ruszyłaby do ataku, a gdyby jeszcze dowiedziała się, że spędził noc u Lois, rozgorzałaby niczym ogień. Dzięki Bogu, ja raczej przypominam ojca, z natury jestem spokojna i opanowana. Nie chcę włączyć w bagno sporów między bratem a siostrą. I bez tego mam dosyć spraw na głowie. Pojadę, zobaczę, co się dzieje, a potem wrócę i poproszę Richarda, aby pomógł mi uporządkować ten bałagan.*

# Rozdział 11

## *Miss Lavinia ma głos*

Wydałam na świat dwójkę dzieci i nigdy, nigdy nie miałam ani cienia wątpliwości, że kiedyś staną się one przyczyną mojej śmierci. I jedno, i drugie. Śmierci na skutek irytacji i strapienia. Dokładnie w taki sposób pożegnam się z tym światem. Jedno wyjaśnijmy sobie od razu. Bynajmniej nie usiłowałam zabić Tripa za pomocą Starego Niezawodnego Parkera po dziadku. Czyściłam go tylko, Trip zaczął wrzeszczeć coś do mnie przez cały dziedziniec, no i broń wypaliła. Pocisk utkwił w dębie rosnącym przy domu, płosząc stada gołębi i wron. Przyznaję, że wcześniej wybrałam się z dziewczętami postrzelać do glinianych ptaszków i może też wlałyśmy w siebie co nieco, bo słońce prażyło niemiłosiernie. Wiem, że nie powinnam pić, a potem chwytać za strzelbę. Ale akurat ten incydent przytrafiłby mi się, nawet gdybym opiała się wyłącznie lemoniadą. To był wypadek, słyszycie?

Wieczorem Trip wrócił do Walterboro, do swojej żony i trójki najbardziej piskliwych, mdłych i ckliwych dzieciaków, jakie zdarzyło mi się widzieć w ciągu tych wszystkich dni, które przeżyłam na bożym świecie, a ile ich było, to już nikogo nie powinno obchodzić. Ale najpierw jeszcze węszył, jak... jak sama nie wiem kto, no, F. Lee Bailey albo jakiś inny detektyw, poszukujący dowodów. Wszędzie musiał wsadzić swój nos, choć to przecież nie jego interes. Mam zamiar położyć temu kres, i to natychmiast. Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać, ale że się zabiorę, to pewne.

Dzisiejszego popołudnia znowu zaczął swoje sztuczki. Siedzieliśmy na tyłach domu, na werandzie, pijąc słodką herbatę z moich prześlicznych, wysokich szklanek, które przywiozłam z Irlandii przed laty. Powiedziałam do Tripa, że dzień jest piękny i że tylko patrzeć, jak zakwitnie jaśmin konfederatów, którego zapach tak bardzo kocham. Wiedziałam aż nazbyt dobrze, jak bardzo swędzi go tyłek, żeby czym prędzej spuścić łódkę na wodę i popłynąć na ryby, ale chciałam go zmusić, żeby posiedział ze mną kilka chwil. Nie pozwolę się traktować jak byle kapitan portu. Postanowiłam, że najpierw odsiedzi swoje i pogawędzi ze mną, nieważne, czy mu się to podoba, czy nie. Nie był zachwycony.

A właściwie tak wściekły, że odmówił nawet schrupania ze mną *brownie*, a przecież wiem, że uwielbia te ciastka. Starłam się prowadzić lekką konwersację i w ogóle zachowywać się jak najmilej.

- Jak myślisz, synu, co uda ci się dzisiaj złowić? - zapytałam ze słodyczą w głosie.

- Nic, jeśli będę tu tkwił bez przerwy - odparł. Pomyślałam, że to wyjątkowo niegrzeczna i całkowicie zbędna uwaga, więc powiedziałam:

- Kochanie, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zatrzymywać się tutaj albo gdziekolwiek wbrew twojej woli. Przykro mi, że wolałbyś teraz przebywać gdzie indziej.

Tym mu dopiekłam. Zerwał się i pomaszerował na drugi koniec werandy, w całej okazałości prezentując swój wydatny nos, przez co od razu skojarzył mi się ze smokiem ziejącym ogniem. Zaczęłam w duchu chichotać, ale na zewnątrz udało mi się zachować powagę. Trip wrócił do miejsca, gdzie siedziałam, pochylił się i pocałował mnie w policzek.

- Przepraszam, mamu, nieładnie to wyszło.

- Istotnie - przyznałam - ale już jest w porządku.

- No więc, matko, czy podzielisz się ze mną wiedzą, w jaki sposób udało ci się podrapać kolana, ręce i twarz?

- Trip, to już szczyt bezczelności komentować w ten sposób czyjeś potknięcie.

- No właśnie, mogłem przypuszczać, że wykręcisz się czymś w tym stylu.

- Słodki chłopiec. Naprawdę nie było moim zamiarem pogłębiać twoją frustrację. Po prostu nie mam ochoty rozmawiać na ten temat.

No więc wyobraźcie sobie, że posiedział ze mną jeszcze z pięć minut, a potem pomaszerował prosto do Millie, no i ta wszystko mu wychlapała. Po tylu latach! Jak ona mogła? Tak mnie zdradzić! I potem żadnej skruchy! Nigdy nie powinnam była zgadzać się na to, żeby Trip studiował prawo. Nauczyło go to różnych nieczystych trików i usprawiedliwiania najbardziej podłych posunięć koniecznością roztoczenia opieki nad kochaną staruszką, tak starą, że jedną nogą stojącą już w grobie.

Zarzucają mi, że jestem krewka, ale przecież słuszość była po mojej stronie. Wczoraj wieczorem zatelefonowałam do niego i odczytałam akt secesji. Bez przerwy suszy mi głowę, abym rozważyła możliwość przeniesienia się do domu spokojnej starości. Akurat. Wygłosił całą przemowę na ten temat. Plół w kółko jedno i to samo, jak tam jest pięknie i ilu nowych przyjaciół poznam. Potem zaczął z innej strony, jak straszliwie niewygodne dla niego i dla jego biednej, brzemiennej małżonki jest mieć na głowie dodatkowy kłopot - ciężar opieki nade mną - i że wkrótce będą posiadali czwórkę dzieci, a ich dom jest dla nich za mały. Czy on naprawdę choćby przez ułamek sekundy mógł sądzić, że nie

przejrzałam go na wylot? Powiedziałam mu, że kompletnie stracił zmysły. A gdzie mieszkam i w jaki sposób spędzam czas, to nie ich sprawa. I jeszcze przypomniałam mu - żeby się wreszcie opamiętał - że to nie za moją sprawą Frances Mae znowu jest w ciąży. Po raz kolejny! Ten ma tupet.

A to wieczne wyłudzenie pieniędzy też się musi kiedyś skończyć. Powiedziałam mu: drogi chłopcze, pewnie ci się wydaje, że twoja matka drukuje dolary w piwnicy. Słyszac moją dowcipną uwagę (przecież nie mamy piwnicy), nawet się nie uśmiechnął, przeciwnie, wyglądał, jakby go ona poirytowała. A kiedy go po raz nie wiem który zapytałam, na co mu te pieniądze, wyraźnie się przestraszył. Grosza nie dam. Nie dostanie ani centa, dopóki nie wyzna, co się kryje za tą pożyczką.

Wyskoków Millie też nie mam zamiaru tolerować. Dowiedziawszy się, że nagadała jakichś głupstw na temat mój i dziewcząt, natychmiast pomaszerowałam do kuchni. Millie, spokojnie i beztrąsko, tak jak to ona potrafi, nuciła coś pod nosem, polerując srebra mojej matki, które z kolei jej matka otrzymała w prezencie ślubnym od bliskiego przyjaciela rodziny, potomka samego Roberta E. Lee. No dobrze, tak naprawdę kupiłam je przez Internet u Neimana Marcusa, ale przecież nikt nie musi o tym wiedzieć.

- Millie - zaczęłam ostro. Jej brwi wystrzeliły w górę. Nie ma nic bardziej niemiłego dla ucha niż ostra nuta w głosie damy, chyba że obdarzona nią została w sposób naturalny. Taki dar od Boga. Nic się na to nie poradzi.

- Tak, Miss Lavinio? - Nawet nie podniosła wzroku znad roboty, unikając mojego spojrzenia.

- Millie, czy istnieje jakiś powód, dla którego nie chcesz spojrzeć mi w oczy?

Ostrożnie odłożyła trzymaną sztukę srebra, zdjęła rękawiczki i położyła obok stosu widelców, noży i łyżek. Wciągnęła głęboko powietrze, oparła ręce na biodrach i popatrzyła na mnie z zaciętą twarzą. Boże Wszechmogący, jej oczy naprawdę mogłyby odebrać człowiekowi całą odwagę, jednak przez te wszystkie wspólnie spędzone lata przyzwyczaiałam się już do niej i do jej sposobu bycia.

- No, mów coś - zażądałam.

- Miss Lavinio, jeśli nie chce pani, abym powiedziała prawdę pani chłopcu, proszę zatrudnić inną kobietę do prowadzenia domu. Zbyt mało mi pani płaci, bym miała kłamać przed obliczem Pańskim.

- A więc chodzi o pieniądze?

Była to obrzydliwa odzywka i pożałowałam jej, zanim jeszcze moje wargi zdążyły ją do końca wypowiedzieć.

- Nie, *ma'am*, nie chodzi o pieniądze. Jeśli nie chce pani, żebym mówiła różne rzeczy na pani temat, proszę zachowywać się jak należy.

No tak, obie potrafiłyśmy dopiec sobie do żywego. W rzeczywistości nie miałam jej za złe, ale nie mogłam też tolerować jej zdradzieckiego postępuku ani dać się zastraszyć. Opuściłam rękę na blat z taką siłą, że cały stół aż podskoczył.

- Jesteś zwolniona!

- Nie jestem zwolniona i pani doskonale o tym wie. Kto oprócz mnie by z panią wytrzymał?

- Nie będziesz opowiadała moim dzieciom wyssanych z palca historyjek na mój temat.

Millie opuściła ręce, oparła dłonie o blat stołu i zaczęła przemawiać do mnie łagodnym tonem, zupełnie jakby zwracała się do wariata i namawiała go, aby zszedł z okiennego parapetu:

- To proszę nie dawać mi powodu do ich opowiadania. Gdyby żył pan Nevil, niech Pan zmiłuje się nad jego duszą, od razu ukróciłby te pani zabawy w picie i strzelanie jednocześnie. A teraz niech pani idzie i pozwoli mi dokończyć pracę, bo jak nie, to ja złożę wymówienie i co pani wtedy zrobi?

Miała rację. Całe swoje życie poświęciła moim dzieciom, mojemu domowi i - dobrze, przyznaję - mnie także, tak że nawet dla największego głupca byłoby jasne, że powinnam być Milli za to wdzięczna. Postanowiłam wielkodusznie pozwolić jej wygrać tę rundę.

- Och, Millie, jakże mi przykro. Naprawdę. Czy wybaczysz starej kobiecie?

- Pani nie jest stara, za to my przy pani z pewnością szybciej się zestarzejemy.

- Więc?

- No dobrze już, dobrze. A może tak zdrzemnąłaby się pani trochę? Obudzę panią za godzinę.

Odwróciłam się i wyszłam. Za czasów mojej matki żadna gospodyni nie ośmieliłaby się odezwać w ten sposób do pani. Jednak Millie była kimś więcej niż zwykłą gospodynią; zarządzała całą posiadłością. Zresztą moja matka nigdy nie miała kobiety takiej jak Millie, która nie zawahałaby się zbesztać nawet papieża czy prezydenta, gdyby uznała, że zasłużyli na reprimendę.

Udałam się na piętro. Chłodna kąpiel i drzemka faktycznie postawią mnie na nogi. Millie zna odpowiednie lekarstwo na każdą dolegliwość. Boże, błogosław jej sercu.

Uwielbiam chronić się w zaciszu mojej sypialni, z oknami wychodzącymi na rozległe brzegi Edisto. Rankiem podziwiam z nich wschody słońca, wieczorami wychodzę na taras, i wówczas wydaje mi się, że chowam się na noc do kieszeni Matki Natury. Nevil urządził dla mnie ten apartament wiele lat temu: piękna, obszerna sypialnia, równie wygodna garderoba i najwspanialsza łazienka, jaką udało się wyczarować.

Nevil rozumiał moją słabość do butów, więc kazał sporządzić specjalne przesuwane półki, mogące pomieścić dwieście par, owiniętych w bezkwasowy papier i zapakowanych w oryginalne pudełka. Każda para została najpierw sfotografowana, a zdjęcie nalepione na przód pudełka, tak żebym potem - ilekroć zechcę włożyć pantofle na nogi - nie musiała od razu przetrząsać wszystkiego. Szuflady były wysuwane, coś na podobieństwo drzwi na rolkach, a buty w nich rozmieszczone według kolorów; w pierwszej białe i kremowe, w drugiej czerwone i niebieskie, w trzeciej czarne, w czwartej wreszcie sandały, koturny i klapki. Nie był to może system dziesiątyny Deweya, ale jak na moje potrzeby, zdawał egzamin wyśmienicie.

Kolekcję ubrań miałam równie imponującą. Dawno temu matka uczyła mnie, że rzeczy należy kupować w najlepszym gatunku i koniecznie w stylu klasycznym. Żadnych riuszek ani falbanek. Słuchać własnej matki, co za pomysł? Moja zasada - nowy komplet garderoby na wiosnę i drugi na jesień, i oba jak najwymyślniejsze. Ale mam też prostą czarną suknię na każdy sezon, a wieczorami do kolacji zawsze noszę perły



z Mórz Południowych. Jeśli jakaś rzecz wisi w szafie nieruszana przez dwa lata, zawijam ją w bezkwasową bibułkę i odkładam na bok.

Uwielbiam stroje i każda rzecz, którą na siebie wkładam, odzwierciedla mój nastrój danego dnia.

Żółte i różowe kwieciste zasłony i kapy na łóżko zaczynały już płowieć ze starości, jednak mnie to nie przeszkadzało. Ten pokój był dokładnie taki sam jak wówczas, kiedy żył jeszcze mój najdroższy Nevil. Ależ był z niego wspaniałą kochanek! No dobrze, może nie tak do końca, za to eleganckim mężczyzną był z całą pewnością. Kiedy wchodził do pokoju, moje serce zaczynało szybciej bić, a słodkie odurzenie, w jakie wprawiało mnie przebywanie w tym samym pomieszczeniu, co on, powodowało zawrót głowy. Miano żony Nevila było największym zaszczytem, jakiego w życiu dostąpiłam, nawet jeśli wziąć pod uwagę jego humory. W każdej minucie dnia odczuwam jego brak, choć jednocześnie mam gorącą nadzieję, że nie spogląda na mnie z góry przez te wszystkie minuty. Widząc mnie w towarzystwie tego czy tamtego, bynajmniej nie byłby szczęśliwy; tak mi się przynajmniej wydaje.

Tripa i Frances Mae mój ostatni przyjaciel bynajmniej nie wprawił w zachwyt. Wprawdzie rzadko tylko ośmielali się pisać choćby słówko na jego temat, ale przecież i tak wiedziałam, co myślą. Czy wdowa nie ma prawa do odrobiny szczęścia? Miałam tylko zrywać róże i czekać, aż kostucha zapuka do drzwi i umówi się ze mną na randkę? O, niedoczekanie.

Kiedy Nevil odszedł na swój jakże zasłużony wieczny odpoczynek, uznałam, że wreszcie należy mi się odrobina swobody, odrobina rozrywki,

choćby w postaci młodego mężczyzny przy boku. Krzywdziłam tym kogo czy jak? Mężczyźni od wieków zabawiali się w ten sposób.

Moje przyjaciółki uważały, że Raoul był pod każdym względem wspaniały, przystojny, niezwykle męski. Trip - wiem o tym doskonale - miał go za zwykłego żigolaka. Mojemu synowi i jego żonie zawsze bardziej leżało na sercu ich dziedzictwo niż moje szczęście.

Gdyby tak Trip dogrzebał się prawdy, w jaki sposób podrapałam sobie twarz, wrzeszczałby do ochrypnięcia, aż w końcu potrafiłby już tylko szczekać niczym lis z gęstą kitą. Akurat miałam na sobie te cholerne włoskie spodnie od Armaniego i obcas nowych czólenek od J. P. Toddsa zaplątał mi się w mankiet, kiedy wysiadałam z powozi-ku do polowań na przepiórki. Nienawidzę spodni z mankietami. A co, może mój syn nie zabiera do łodzi zimnego heinekena, kiedy wybiera się na ryby? Panie Boże, ta podwójna moralność! Jak to możliwe, by kobieta taka jak ja wydała na świat takiego świętoszka?

No cóż, każdy z nas ma swój krzyż do dźwigania - tak mawiała moja matka. Moim krzyżem są zapatrywania i chciwa natura Tripa oraz jego pod każdym względem nieodpowiednia żona.

Mam też Caroline, pomyślałam, napełniając wannę. Jest moją córką i kolejnym brzemieniem. Miss Caroline zapowiedziała się z wizytą. Rzeczywiście, czas najwyższy.

Rozbierałam się, nie przestając o niej myśleć, kiedy spojrzałam przypadkiem na moje odbicie w wielkim lustrze. Jak na te lata, całkiem nieźle. Mogłam stanąć w samych majtkach i w życiu nikt by nie zgadł, że sześćdziesiąte urodziny mam już za sobą. Pomyślałam sobie jeszcze, że jeślibym miała ponownie schwytać Raoula w sieci, to rozbierać się przy

nim mogę wyłącznie po ciemku. Pośladki tak mi się dziwnie obniżyły, jakby wybierały się gdzieś na południe -jeśli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Och, Raoul, czemu mi to zrobiłeś? Martha Henderson może mieć więcej forsy, ale takiego widowiska, jakie ja dla ciebie urządzałam, u niej nie obejrzysz. Raoul uwielbiał patrzeć, jak się rozbieram. Nastawiałam muzykę, najczęściej Ellę Fitzgerald albo Cole'a Portera, do tego mrożony szampan, świece, i chłopak od razu czuł ogień w spodniach. To był mój mały sekret. Na ostatnich stronach „New York Times Books Review” reklamują te wszystkie kasety, pokazujące - no wiecie - zachowania intymne. Powiedzmy, że byłam dobrą klientką i niezwykle pilną uczennicą. I zawsze starałam się być jak najbardziej kobieca, ponieważ wiem, że mężczyźni pragną dominować. Pozwalałam mu sądzić, że ma nade mną władzę. Żigolak. Jasne, że żigolak, ale co z tego. Wart był każdego centa, jakiego na niego wydałam.

Wlałam do wanny trochę olejku herbacianego i sprawdziłam stopą wodę. Za gorąca. Przez chwilę rozważałam, czy nie spróbować odebrać Raoula Marcie. Wizja jego młodego, muskularnego ciała i wspaniałego, nigdy niezawodzącego - no, wiecie, czego - kazała mi się zastanowić nad tym pomysłem. Ale w końcu zdecydowałam, że niech go sobie Martha bierze. Wszystko, co Raoul miał najlepszego do zaoferowania, już wykorzystałam, i to co najmniej ze sto razy. Odkrycie jego niewierności zraniło moje ego, ale takie rany szybko się goją. Zresztą już się wam przyznam, płakałam przez cały tydzień. W rzeczywistości Raoul był kimś bez znaczenia, zwykłym ogrodnikiem, który mianował się „architektem krajobrazu” i taki napis kazał umieścić na boku ciężarówki, zupełnie

niczym śmieciarz, który powiada o sobie, że jest „inżynierem sanitarnym”. Nikt się przecież na to nie złapie.

Woda wreszcie ochłodziła i weszłam do wanny, zanurzając się ostrożnie. Nigdy nie będę jedną z tych babć, które w kąpieli łamią sobie główkę kości udowej. Jakie to poniżające, być wyciągana z wody przez wielkich, krzepkich facetów z pogotowia, i to gołą, jak cię pan Bóg stworzył. Okropna perspektywa.

Moje myśli powróciły do Caroline. Za wszystkie pieniądze świata nie potrafiłabym odgadnąć, kiedy i gdzie popełniłam błąd w stosunku do niej. Nigdy nie łączyły nas bliskie więzy, takie, jakie powinny istnieć między matką i córką. Caroline miała niezwykle silną wolę i wiele determinacji, stąd jej upór, by wszystko robić po swojemu. Tę cechę charakteru musiała odziedziczyć po rodzinie ze strony ojca.

Wycisnęłam wodę z gąbki na piersi, myśląc przy tym, że dołożę wszelkich starań, aby weekend w jej towarzystwie wypadł jak najprzyjemniej. Może weźmie moją stronę przeciw Tripowi? Chociaż ona nigdy nie rozumiała mnie naprawdę, i to było takie beznadziejne. Kiedy oznajmiła mi, że wychodzi za tego żydowskiego cudzoziemca, omal nie zemdlałam. W głębi duszy nigdy nie traciłam nadziei, że Caroline wróci kiedyś do domu.

Przede wszystkim zaś nie powinnam była pozwolić, żeby studiowała ekonomię. Od tego się zaczęło. W wieku dwudziestu pięciu lat, ukończywszy Columbia University, była twarda niczym gład. Podobno Nowy Jork potrafi zmienić w ten sposób nawet najdelikatniejsze i najbardziej wyrafinowane osoby. W przypadku Caroline potwierdziło się to w stu procentach.

Za to ten jej chłopczyk! Co za słodki dzieciak. Mali chłopcy mają w sobie tyle uroku, że od razu chce mi się płakać na ich widok. Bardzo bym chciała, żeby go do mnie przywiozła. Jaką człowiek może mieć nadzieję, że w miejscu tak zepsutym, jak Nowy Jork, uda się wychować przyzwoite i dobrze ułożone dziecko?

Panie w niebiosach, westchnęłam, wypuszczając wodę. Wyszłam z wanny i zaczęłam ostrożnie osuszać posiniaczoną i podrapaną skórę. Zobaczę, jak będzie, kiedy Caroline już się tu zjawi. Postaram się to jakoś przeżyć, dzień po dniu. Może poproszę Millie, żeby upiekła ciasto na jej przyjazd. Natarłam całe ciało balsamem Jergen's i narzuciłam przez głowę świeżą bawełnianą koszulę nocną. Mam takie trzy, wszystkie z Victoria's Secret.

Mogłam się założyć, że moje powieki zamkną się same w ciągu trzech minut. Przez okno wpadał świeży powiew znad rzeki. Czułam zapach wody kolońskiej Nevila. Myślę, że odkąd Raoul zniknął z horyzontu, Nevil zaczął mnie odwiedzać. Zawsze wiedziałam, kiedy jest przy mnie. To wielka pociecha.

Moja córka przyjeżdża z wizytą. Jestem szczęśliwa z tego powodu. Naprawdę. Ale jeśli powie mi choć słowo albo weźmie stronę Tripa w sprawie domu spokojnej starości, tak jej dam popalić, że się dziewczynie odechce wszystkiego.

## **Rozdział 12**

### ***Planeta Lavinia - podróż do przeszłości***

Całkowicie odmienny świat ukazał się moim oczom, kiedy samolot linii Continental Airlines przedarł się przez grubą powłokę chmur i zaczął kołować nad charlestońskim lotniskiem. Z miejsca przy oknie widziałam potężniejące wody rzek, mętne przy brzegach, kryształowo czyste w głównym nurcie. Wszystkie trzy rzeki tworzyły wspólne rozlewisko i wpadały do zatoki St. Helena Sound. Morgan Island, Otter Island, Edisto i St. Helen Island. Rozliczne wyspy i wysepki. Fripp Hunting i Harbor Islands. Znałam je lepiej niż daty urodzin moich przyjaciół.

Wzięłam szybki oddech i wymamrotałam do siebie: dom. Dom! Co takiego? Domem był Nowy Jork. Domem byli Richard i Eric. Należałam do Nowego Jorku. Niecka ACE przestała być moim domem piętnaście lat temu i nigdy nie stanie się nim na powrót!

Była natomiast - temu nie mogłam zaprzeczyć - przepięknym miejscem. Miejscem porywającym. Gigantycznym kalejdoskopem moczarów, cieków wodnych, słonych błot, oddychających, pulsujących życiem. Doprawdy trudno się było oprzeć olśniewającemu pięknu tej krainy.

Mnie z wielu powodów niecka ACE napędzała przestraczem, zsyłała koszmarne sny. Tu straciłam ojca, tu mieszkali Trip i matka, a moje stosunki z nimi były tak napięte, tak pogmatwane, że łatwiej mi było kontaktować się z nimi **na** odległość. Towarzystwa Frances Mae także nie potrafiłam ścierpieć dłużej, niż wynosił czas krótkiej, okolicznościowej wizyty. Z rodziną łączyło mnie bardzo niewiele. Większość moich dawnych przyjaciół wywiała do Atlanty, Charlotte albo nawet do

Kalifornii, zresztą Richard i tak by nie zaakceptował żadnego z nich. Nie, nie mogłam się tu w nic angażować - cena emocjonalna, jaką przyszłoby mi za to zapłacić, byłaby zbyt wysoka. Poza tym Nowy Jork promieniował innym rodzajem energii - swego rodzaju ekscytacją, zaspokajającą moje łaknienie.

Tu były Wysokie Sosny, rodzinny dom mojej matki, z którym wiązało się tyle historii, tyle opowieści. Z domem, z ziemią. Plantacja Wysokie Sosny miała w sobie naturalne piękno, przewyższające wszystko, co mógł stworzyć człowiek. Żadne dzieło jego rąk nie zdołałoby przyćmić oślepiającego światła wschodzącego słońca, ognistej łuny zachodu, przede wszystkim zaś lśnienia wód obmywających brzegi, gdzie gnieździły się setki ptaków. Na tle doskonałości niecki ACE, naturalnej, niczym nieskalanej, uwidaczniała się tylko twoja małość. Jaki człowiek mógłby próbować się z nią mierzyć?

Ale stanowiła też pułapkę bez wyjścia, była zdradzieckim żartem obłąkanego demona, bo czyniła ludzi gnuśnymi, letargicznymi imbecylami - mnie udało się wyrwać z jej potrzasku w przypiływie obłąkańczej desperacji. Wiedziałam, że nigdy już tu nie powrócę inaczej niż z wizytą. Nigdy. Teraz przyjechałam wyłącznie po to, aby sprawdzić, jak matka daje sobie radę, gdyż było to moim obowiązkiem. Spełnię go, a potem wracam do domu, do Nowego Jorku.

Będę serdeczna wobec Tripa, Frances Mae i matki. Wezmę sobie do serca to, co powiedział Richard, i nie dam się wyprowadzić z równowagi. Mój mąż zaopatrzył mnie w cały arsenał broni chemicznej - xanax, valium, prozac. Nie będą mi potrzebne - zastąpię je codzienną medytacją, ćwiczeniami jogi i *tai-chi*. Byłam gotowa. Czterdziestopięciominutowa

jazda, jaka mnie jeszcze czeka, zanim stanę twarzą w twarz z którymkolwiek z mieszkańców Wysokich Sosen, dodatkowo mnie wyciszy, pozwoli mi się skoncentrować.

Samolot kołował po pasie startowym, a ja poczułam ogarniające mnie wzruszenie. Pamiętałam jeszcze czasy, kiedy charlestońskie lotnisko był to mały, biały budynek, niewysoka wieża i jeden tylko człowiek, który przez zachrypnięty megafon zapowiadał przyloty i odloty: *Proszę o uwagę, samolot z Nowego Jurku kołuje do bramy numer cztery*. Może z biegiem lat ubarwiliśmy trochę tę historyjkę, ale tylko ona (albo któraś z tysiąca do niej podobnych, równie głupich) potrafiła wywołać uśmiech na twarzy mojej bratowej w porze koktajli. Słodkie nuggety przeszłości - jakież południowiec nie lubi was przeżuwać?

Moja podręczna torba idealnie mieściła się pod fotelem, w schowku nad głową leżał wózek na kółkach. Nigdy nie musiałam się obawiać, że ktoś przez pomyłkę zabierze mój bagaż. Był zbyt znaczący. Purpurowe płótno, czarna skóra. T. Anthony przy Park Avenue wypuścił całą serię płóciennych toreb, wzmocnianych skórą. Kiedy - co nieczęsto się zdarzało - nadawałam je na bagaż, ich czerwień od razu rzucała się w oczy.

Zebrałam wszystkie rzeczy i wolnym krokiem ruszyłam przez niewielką halę przylotów do stanowiska wynajmu samochodów. Po drodze mijałam kioski z koszykami plecionymi ze słodkiej trawy i sklepiki z pamiątkami, których witryny wypełniały cukierki sezamowe, T-shirty, jeszcze więcej koszyków, rozmaite wyroby z porcelany i tace zdobione motywami kwiatów magnolii w pełnym rozkwicie. Muszę przyznać, że ten znajomy widok napęłnił mnie radością.

Przystanęłam przy kontuarze i pokazałam urzędnicze dokumenty.



- Mam rezerwację - powiedziałam - na nazwisko Levine.

- Och, pani Levine, jakże mi przykro. Nie mamy wolnego samochodu, ani jednego, dosłownie nic.

Wcale jej nie było przykro. Pomyłkowo wzięła mnie za Jankeskę.

- Ale ja mam rezerwację - powtórzyłam głosem zimnym niczym ostryga. - Musiała tu zajść jakaś pomyłka.

- Nie, nie, proszę pani, o pomyłce nie może być mowy. Widzi pani, tu mamy weekend w Bridge Run, a tu, dodatkowo, wielki turniej golfowy w Kiawah. Wszystko zajęte, do ostatniego samochodu, i doprawdy w żaden sposób nie potrafię pani pomóc.

- Chcę porozmawiać z pani przełożonym - zażądałam. Do licha, usmażę we wrzącym oleju większą rybę, co mi po tej drobnej płotce nie wiadomo skąd, z kiepską ondulacją na łebku. Otworzyłam portfel i wyjęłam magiczną kartę, tę, która gwarantowała mi samochód nawet w wypadku ataku nuklearnego. Dla Hertza byłam kimś w rodzaju ważniaka. Używałam karty American Express, płacąc za wszystkie zamawiane przeze mnie materiały, i to dawało mi specjalne przywileje w agencji wynajmu samochodów. Przynajmniej raz ja byłam grubą rybą dla kogoś.

Wzięła kartę, obejrzała, uśmiechnęła się z leciutkim szyderstwem i oznajmiła:

- Zaraz wracam.

Po chwili ukazał się jej przełożony, łysiejący, z wydatnym brzuszkiem. Ulatniające się resztki zapachu frytek i kawy otaczały jego oddech niczym lekka pierzynka toksycznych odpadów śnieg.

- Załatwione, droga pani. Dostanie pani mojego taurusa. Ale proszę o kwadransik na doprowadzenie go do porządku. - Nosił identyfikator z nazwiskiem Cephus Jones.

- Zgoda, panie Jones - powiedziałam. - Dziękuję panu. Doceniam pańskie starania.

- Takie mamy zasady, pani Leevine.

A niech tam, pomyślałam, ty wielka, tłusta, wredna, głupia dupo. Naubliżanie komuś w duchu zawsze poprawiało mi humor.

Był piątek, dziesiątego marca. Trip ofiarował się, że odbierze mnie z lotniska, ale odmówiłam. Wiedziałam, że tak naprawdę nie ma na to ochoty, zresztą wolałam własny samochód - środek ucieczki. Z początku matka była raczej przerażona, słysząc, że wybieram się z wizytą, ale podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej zdawała się już nawet wyczekiwać moich odwiedzin.

- Ale nie przyjedziesz, żeby natrzeć uszu swojej starej matce, co? To oznaka największego braku szacunku - strofować rodziców - pouczyła mnie wczoraj wieczorem.

Nie potrafiłam się zorientować, czy żartuje albo czy wie, co knuje Trip.

- Nie mam tego w planach - zełgałam. - A czy istnieje jakiś powód, dla którego powinnam to zrobić?

- Jutro mam spotkanie klubu brydżowego. Jestem gospodynią.

- No to ty się zajmiesz klubem, a ja się w tym czasie zdrzemnę.

- Załatwione - powiedziała, uszczęśliwiona, że moja wizyta w niczym nie zakłóci jej rutynowych zajęć. - Cieszę się, że przyjeżdżasz, Caroline. Brakowało mi mojej małej dziewczynki.

- Ja też się za tobą stęskniłam - zakończyłam rozmowę.

Jak wszystkie dorosłe dzieci, wracające do domu, przepełniała mnie osobliwa mieszanina wyczekiwania i obawy. Ale w moim przypadku owa obawa była dobrze uzasadniona. Zapakowałam bagaż do forda pana Jonesa i skierowałam się na drogę numer 17 południową.

Zastanawiałam się, co mnie czeka w domu. Z pewnością pijany Trip, tłumaczący, że to moim obowiązkiem jest zatroszczyć się o matkę, gdyż taka rola zawsze przynależy córce - niewzruszony pewnik, o ile takie w ogóle istnieją. Frances Mae pragnąca poznać cenę żakietu, który mam na sobie, komentująca moje uczesanie, wreszcie pytająca, czy przywiozłam coś z Nowego Jorku dla jej rozwydrzonych, zepsutych, niewdzięcznych dziewczuch. *Yeah*, kagańce, będzie mi się cisnęło na usta. Dla ciebie też. Już widzę moją bratową, chwytającą kościstymi palcami z francuskim manikiurem kolejne ze sreber matki i pytającą, jak ta zamierza nimi rozporządzić, kiedy odejdzie. W przewrotny sposób zaczynałam nawet tęsknić do tego wszystkiego. *Kiedy ogarnia cię zwątpienie, zwróć się do tego, co znasz*. Nawet jeśli jest to gniazdo krokodyli?

Zaczęłam kręcić gałką w poszukiwaniu Breeze Radio Station, nadającej muzykę plażową. Znalazłam odpowiednią częstotliwość i ruszyłam w dół autostradą przy głośnym akompaniamencie Swinging Medallions. Zdecydowanie potrzebowałam podwójnego zastrzyku, ale przecież nie mojej dziecinnej miłości. Boże, po prostu zajadę do domu, postaram się trzymać z dala od wszelkich kłótni, zobaczę, co matka wyrabia, i wrócę do Nowego Jorku.

Po krótkiej chwili stacja gdzieś mi umknęła, więc wyłączyłam radio. Cisza wprowadziła mnie w nastrój zadumy. Otworzyłam okno i wewnątrz

samochoду niczym duchy wypełniły stare, znajome zapachy, które nadciągnęły, żeby mnie powitać. Woń sosen mieszała się z błotnistym zapachem ziemi. Niebawem w aucie więcej było duchów i wspomnień niż pekanów w lasku, który tatuś i ja zasadziliśmy, kiedy byłam mała. Dawne, słodkie czasy ożyły we mnie na nowo.

Mieliśmy dziesięć sadzonek, z korzeniami owiniętymi w jutowe worki, stojących w jednej linii na platformie tatusiowej ciężarówce niczym żołnierze. Wjechaliśmy w przecinkę i tatuś pokazywał mi, jak się sadi drzewko. Nie pamiętam, czy Trip był wówczas z nami - może nawet i był, ale w mojej pamięci pozostałam tylko ja i tatuś. Przygotowanie kawałka gruntu pod sadzenie zajęło ponad dwa tygodnie.

Najpierw Jenkins przy pomocy czterech robotników karczował drzewa i krzaki, głównie *loblollies* i inne gatunki sosny, które szczególnie upodobały sobie ten zakątek. Następnie zaorał go, prowadząc pług za traktorem, tak by jego ostrze odwalało ziemię na trzy albo cztery cale, oczyszczając ją z trawy i chwastów. W końcu spulchnił glebę za pomocą ciągniętej brony. Ja z tatusiem przyjeżdżaliśmy tu każdego wieczoru sprawdzić postępy prac. Wiedliśmy długie dyskusje, w którym miejscu posadzimy nasze sadzonki i jak głębokie otwory należy pod nie wykopać. Zanim jeszcze nadszedł dzień sadzenia, o uprawie pekanów odmiany Schley Paper Shell wiedziałam więcej niż jakakolwiek inna trzecioklasistka. Wiedziałam, że na jednym akrze kwadratowym może rosnać dziesięć do jedenastu drzew, że dziury w ziemi powinno się wykopać na dwie i pół do trzech stóp głębokości i że długi korzeń palowy nie może zostać podgięty. Wiedziałam także, że orzechy potrzebują dużo wody, co oznaczało, że przez cały pierwszy rok czeka nas podlewanie

sadzonek, ale dzięki temu tatuś i ja codziennie będziemy mieli okazję wyrwać się na wieczorny chłód.

Jenkins woził mnie traktorem podskakującym na polnej drodze. Byłam jeszcze zbyt mała, żeby dosięgnąć umieszczonego wysoko siopełka, więc tatuś podnosił mnie do góry, a Jenkins odbierał w powietrzu z jego rąk. Uwielbiałam smak pekanów i wyobrażałam sobie, że już wkrótce będziemy wspólnie zgniatać ich łupiny. Dopiero później dowiedziałam się, że zanim drzewa obrodzą, zdążę już rozpocząć naukę w college'u. Nie minęło tych dwanaście lat, gdy w katastrofie niewielkiego samolotu straciłam ojca.

Im bardziej zbliżałam się do Wysokich Sosen, tym bardziej przepełniały mnie myśli o tatusiu i o tym, jak zostaliśmy pozbawieni jego obecności. A przecież powinnam raczej skupić się na tym, co czeka mnie w domu teraz. A może wszystko przebiegnie bez zakłóceń? Może z matką nic złego się nie dzieje? Może Trip wydorósł? Może Frances Mae zrobiła się mniej zachłanna? Może blondynki mają więcej radochy? Jasne, pomarz sobie.

W zamyśleniu omal nie przeoczyłam skrzyżowania w Parker's Ferry Road; dostrzegłam go dosłownie w ostatniej sekundzie. Za chwilę N, już mijałam Perry Creek Landing, kościół baptystów Shiloh, afrykański episkopalny kościół metodystów New Bethleem i niesławny Blue Garden Social Club. Po prawej miałam sąsiednie plantacje - Prospect Hills, Wilton Bluff, The Hermitage - aż wreszcie moim oczom ukazało się ogrodzenie otaczające posiadłość matki od frontu.

Podmurówka była z cegieł wykonanych ręcznie ponad sto pięćdziesiąt lat temu, a na niej, w regularnych, około dwudziestostopowych

odstępach wznosiły się niewysokie filary. Przestrzeń między nimi wypełniało przepiękne ogrodzenie z kutego żelaza; każdy pręt skrecony był niczym cukierek i zakończony ostrym szpicem, tak by nikt nie odważył się go przesadzić.

Skręciłam w prywatną drogę, prowadzącą do Wysokich Sosen, i wcisnęłam kod otwierający bramę. Stare wrota zdobiły żeliwne kaczki, indyki i szyszki. Dawniej uważałam je za śmieszne, teraz wydawały mi się nadzwyczajne. Skrzydło otworzyło się i wjechałam wolno w aleję dębów, o pniach obwieszonych festonami hiszpańskiego bluszczu. Samochód podskakiwał na koleinach. Między dębami rosły krzewy azalii, drzewka palmetto i kępki niskich kamelii.

Przez lata starano się przywrócić posiadłości naturalny charakter - rozplanować ją tak, jakby była dziełem Boga, a nie rąk ludzkich. Jedynie różany ogród matki założony był według regularnego wzoru. Po obu stronach drogi ciągnęły się akry żyznej ziemi, na których dawniej rósł ryż i bawełna, a które obecnie przekształcono w raj dla miłośników zabijania ptaków i strzelania do glinianych rzutków. W kilku miejscach rozrzucone były niewielkie oczka wodne, otoczone kępkami azalii, trawy pampasowej, powiewającej białymi kitami, i drzewkami cyprysowymi; kwas garbnikowy wydzielany przez ich korzenie czynił wodę słonawą. Wreszcie samochód minął mostek Dutch Tea i moim oczom ukazał się dom.

Wśród wszystkich plantacji Lowcountry, pamiętających jeszcze czasy sprzed wojny secesyjnej, Wysokie Sosny zajmowały bez wątpienia pozycję królewską. A początki były zupełnie skromne - zwykły dom farmerski. Dwie kondygnacje, regularnie rozplanowane pomieszczenia -

cztery pokoje na parterze i cztery na piętrze. Pierwotna kuchnia znajdowała się w osobnym budynku na podwórzu, z którego do głównego domu prowadziła wytyczona ścieżka. Takie usytuowanie nie było kwestią przypadku. W początkach dziewiętnastego wieku nie udoskonalono jeszcze sztuki stawiania kominów i kiedy - co zdarzało się mniej więcej raz na dwa lata - kuchenne palenisko eksplodowało chmurą gorących popiołów przez komin prosto na kryty cyprysowym gontem dach, ogień trawił budynek aż do fundamentów.

W czasach, kiedy urodziła się moja babka, do głównego korpusu dobudowano dwa skrzydła, jedno z obszerną kuchnią, pokojem kredensowym i pralnią. Oba miały wysokie okna, takie same jak te, które zdobiły fasadę i tylną elewację budynku głównego. Całość otoczono szerokim portykiem kolumnowym, dzięki któremu dom zyskał całkiem nową osobowość. Teraz zdawał się mówić: *Jestem duży, jestem piękny i przetrwam, nawet kiedy wy już przeminiecie.*

Budynek stał na fundamentach z cegły wypalanej z miejscowej gliny, ściany miał z drewna cyprysowego, a dach początkowo z cyprysowych gontów, a później łupkowy. We wszystkich pokojach podłogi były z sosny, a mój ojciec dodał jeszcze mahoniową boazerię w mojej ukochanej bibliotece. Wysokie Sosny przypominały prawdziwą damę, wielką, imponującą i straszącą jak dzień długi. Właśnie, straszącą i nawiedzoną.

Dom stał niewzruszenie i mierzył mnie spojrzeniem, jakby chciał zapytać: *No i gdzie się podziewałaś przez cały ten czas, missy?* Wsiadłam z samochodu i przyglądałam mu się. Musiał odczuć, że podziwiam jego piękno i siłę, gdyż głos rozbrzmiewający w mojej głowie westchnął jakby,

a następnie przycichł. Przebywałam tu zaledwie od dwu minut i już rozmawiałam z domem.

Nagle drzwi się otworzyły i na ganku ukazała się matka. Srebrzyste włosy miała obcięte krótko, nieco poniżej linii podbródka; popołudniowa bryza lekko targała jej jedwabną bluzką. Wydawała mi się nieco niższa, niż ją zapamiętałam, jakby skarłała.

- Halo, Caroline. Potrzebujesz pomocy?

- Nie, mam,o, dziękuję. Zaraz wrócę po rzeczy. - Zaczęłam wstępować na schody, z mocnym postanowieniem, że moja obecna wizyta zacznie się właściwym akcentem - najpierw jednak chcę się przyjrzeć matce i ucałować ją. - Wyciągnęła do mnie ramiona, a ja uściskałam ją i pocałowałam w policzek.

- Och! - jęknęła.

- O co chodzi? - Przyjrzałam się jej twarzy i odkryłam zadrapanie na policzku. - Mam, o, co się stało?

- Och, nic, nie takiego. - Zaczęła zbierać koperty i paczuszki, które przyszły pocztą i teraz piętrzyły się koło drzwi. - Pomóż mi uporać się z tym wszystkim. I przestaw potem samochód. Przyjadą dziewczęta.

- Mam, o, powiedz mi, co ci się stało w policzek? Chciałabym wiedzieć.

- Och, głupstwo, doprawdy. Wyskakiwałam z powoziku, zahaczyłam obcasem o mankiet spodni i upadłam na twarz. Z kolan i dłoni też zdarłam sobie skórę. Każdemu mogło się to przydarzyć.

- Popatrzyła na mnie. Jej oczy ostrzegały mnie wyraźnie, żebym pilnowała własnego nosa.

- No cóż, nasz szczęście, że się na tym skończyło. Hej, daj mi to.



- Odebrałam od niej kolejną paczkę. Matka złożyła je wszystkie w moich ramionach, tak że kiedy wchodziłyśmy do środka, sama miała puste ręce.

- Mamo, co to za przesyłki?

- Caroline! To są różne rzeczy, których potrzebuję. Zamówiłam je z katalogów. Jeśli przyjechałaś, żeby mnie wypytywać, w jaki sposób wydaję swoje pieniądze, możesz od razu się zabierać i wracać do Nowego Jorku.

- Do licha, mamo. Zadałam ci zwykłe pytanie. Przepraszam.

Rzuciłam paczki na ławkę w holu. W tej samej chwili rozdzwonił się telefon.

- Dobrze już, dobrze. Chyba jestem trochę przewrażliwiona. Nie miałam zamiaru od razu odgryzać ci głowy. Boże drogi, zaraz odbieram - dodała, mruczając pod nosem: - Nie wiem, dlaczego to ja zawsze muszę odbierać telefony. Zdaje się, że pani Smoak jest zbyt ważna i zbyt zajęta, żeby się samej pofatygować.

- Pójdę po bagaże - powiedziałam, ale zamiast wyjść, zaczęłam buszować wśród paczuszek i pudełeczek. Przesyłka z księgarni Barnes and Noble, paczka od Saksa przy Piątej Alei i dwie od Williama Sonomy. Pod pudełeczkiem z nadawcą Sculby and Sculby odkryłam przesyłkę z Victoria's Secret. Co moja matka tam zamawiała? Czyżby Trip miał rację? Czyżby matka zaczynała tracić zmysły?

Wyszłam przynieść walizki i przestawić samochód. Popołudniowe słońce świeciło czysto i jasno, powietrze było rześkie, ale łagodne. Przecież to już wiosna. Silny zapach sosen sprawił, że znowu poczułam się jak młoda dziewczyna. Wyjęłam walizkę z bagażnika i postawiłam przy

schodach. Samochód odprowadziłam do garażu z tyłu domu. Matka czekała na mnie na werandzie.

- Czy nadal grywasz w brydża? - zawołała.

- Od wielu lat nie grałam, a czemu?

- Helenę wymawia się bólem zęba czy czymś równie idiotycznym.

Nie może zagrać, więc potrzebuję cię na jej miejsce, bo inaczej całe popołudnie diabli wezmą.

- Och, mammo, nie możesz znaleźć kogoś innego?

- Nie dam rady, za późno już. - Uśmiechnęła się do mnie, a ja wiedziałam, że się nie wymigam. Właściwie prosiła mnie o drobną przysługę. - Rozerwiesz się - dodała - a ja przygotuję te małe sandwicze z wędzoną rybą, które tak lubisz. I z ogórkiem.

- Świetnie, jedzeniem może mnie przekupisz. Spróbuję - obiecałam, wnosząc walizki po schodach - ale uprzedzam cię, że nie grałam od czasów, kiedy opuściłam dom.

Przytrzymała mi drzwi, lecz nie zaoferowała się z pomocą.

- Po prostu graj, jak potrafisz - powiedziała. - Twój dawny pokój czeka na ciebie. A teraz idź, przemyj twarz i włóż ładną sukienkę.

- Nie sądzę, abym przywiozła choć jedną - burknęłam pod nosem, choć przecież wiedziałam, że w walizce mam też sukienki.

Zignorowała moją uwagę i przecięła hol, kierując się w stronę kuchni. Weszłam po schodach, a kiedy otworzyłam drzwi swojego dawnego pokoju, uświadomiłam sobie nagle, że stanowi on świątynię mojego dzieciństwa. Przez te wszystkie lata, kiedy nie było mnie w domu, matka niczego w nim nie zmieniła, nie przestawiła ani jednego drobiazgu.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Czas najwyższy, abym zabrała się ostro do rzeczy i skończyła z tymi wszystkimi nonsensami w rodzinie.*

### **Rozdział 13**

#### ***Bierz się w garść i nie pękaj***

Obecnie podróżowanie samolotami to już nie to, co dawniej.

Nieważne, czy lot trwa trzydzieści minut, czy dwanaście godzin, zawsze po wylądowaniu jestem wykończona, lepię się od potu i wszystko, czego pragnę, to prysznic i łóżko. Wszystko pewnie przez zatechłe, sztucznie oczyszczane powietrze na pokładzie. Tak więc z własnej nieprzymuszonej woli, a nie jedynie na skutek nalegań matki, umyłam twarz niczym grzeczna dziewczynka. Od razu poczułam się lepiej i tylko zastanawiałam się, co takiego tkwi w matce, co od razu każe mi się buntować przeciwko jej zaleceniom. Do diabła, przecież ja też jestem dorosłą kobietą i w dodatku matką.

Wychodząc z łazienki, rzuciłam okiem na zegarek. Druga czterdzieści pięć. Zdecydowałam się szybciotko rozpakować, wiedząc, że matka na dole dogląda swoich ptifurek i kanapek. Właśnie odwieszałam żakiet, kiedy mój wzrok padł na fotografię moją i ojca, stojącą na nocnym stoliku. Usiadłam na brzegu łóżka, ujawszy małą srebrną ramkę w obie dłonie. W piersiach nagle zabrakło mi tchu.

Kiedy zrobiono tę fotografię, miałam trzy, może cztery lata, ale doskonale pamiętam ową chwilę. Niedziela Wielkanocna. Ojciec biegł w stronę aparatu, ze mną usadowioną wysoko na jego ramionach i kurczowo obłapiającą go za głowę. Wyciągnęłam się w poprzek łóżka, odsuwając nogą na wpół opróżnioną walizkę. Miałam oczy i podbródek ojca. Teraz

brakowało mi go bardziej niż kiedykolwiek. Myśl o nim sprowadziła go znowu pomiędzy żywych, nawet jeśli trwało to zaledwie chwilę.

Wyglądałam tak jak on i już samo to podobieństwo upewniło mnie, że kiedyś ja także należałam do tego miejsca.

Najchętniej wyciągnęłabym się wygodnie i zdrzemnęła trochę, ale wówczas matka pewnie wyrwałaby mi z głowy wszystkie włosy, więc co prędzej zerwałam się z łóżka, gotowa zatańczyć, jak zagra Grandę Dame. Kiedy Miss Lavinia organizuje partyjkę brydża o trzeciej, lepiej być o trzeciej. Punktualność - przynajmniej tę jedną cechę miałyśmy z matką wspólną. Może znalazłabym coś jeszcze i spróbowała na tym budować? Odstawiłam zdjęcie na miejsce. Poczułam się bardzo rozsądna, więc dla ugody włożyłam czarną lnianą suknię. Jeśli tylko tyle musiałam zrobić, żeby uszczęśliwić staruszkę, śmiało mogłam to uczynić. Nie zdążyłam jeszcze zejść ze schodów, kiedy wpadłam wprost na Millie, gramolącą się na górę z zamiarem wygarnięcia mi wszystkiego, co leżało jej na wątrobie. Siostra Merlina, Ezoteryczna Cesarzowa, najbardziej tajemnicza ze wszystkich kobiet - Millie - Prestigitorka Wysokich Sosen.

- To już nawet nie zajrzysz do mnie, żeby się przywitać, co? - powiedziała, udając zagniewanie. - *Yanh*, ja upiekłam ciasto diabelskiego kopyta specjalnie dla ciebie, a ty nawet nie raczysz powiedzieć mi dzień dobry? Powinnam przetrzepać ci tyłek. - Śmiejąc się, padłyśmy sobie w objęcia.

- Boże drogi, przykro mi, Millie. - Odsunęła mnie od siebie, żeby zobaczyć, jakie zniszczenia spowodowało we mnie ostatnie półtora roku pobytu na terytorium Jankesów. - Matka chce, abym zagrała w brydża po południu, więc musiałam się szybko rozpakować i przebrać.

- Nie wzywaj Boga bez potrzeby. Zaczekaj, aż będziesz Co potrzebowała.

- Ciasto diabelskiego kopyta?

- Tak, *ma'am*, bardzo odpowiednie dla tak niezdolnej dziewczynki, jak ty. - Stała, ująwszy się pod boki, i kiwała głową. -Zmieniłaś się. Dobrze wyglądasz. Powinnaś się nosić wyłącznie na czarno.

- Ty też, Millie. A ubrałam się na czarno, ponieważ... och, sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

Millie roześmiała się znowu i powiedziała:

- A teraz idź i pomóż matce.

Między za dwie trzecia a minutę po trzeciej dwukrotnie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Ręce miałam zajęte tacą z kanapkami, którą niosłam do jadalni, więc matka poszła otworzyć. Usłyszałam, że wita się z kimś. Szybko wpakowałam sobie do ust kanapkę z rybą i nalałam szklanek mrożonej herbaty.

- Jak dobrze cię widzieć. A gdzie twoja kochana dziewczynka?

Brzmiało mi to na Laure „Sweetie” Mahoney i istotnie była to Laura. Znałam i kochałam Miss Sweetie przez całe życie. Mieszkała na innej plantacji, mniejszej od naszej, i była najnormalniejsza spośród przyjaciółek matki. Podobnie jak ona, należała do sędziów w klubie ogrodniczym i hodowała róże, wielokrotnie nagradzane medalami. Każdego lata uprawiała też całe mnóstwo truskawek i sporządzała z nich najlepszy dżem, jaki w życiu jadłam. Kiedy byłam mała, chodziłam do niej pomagać zbierać i sortować owoce, oczywiście pakując do buzi niemal wszystkie, jakie zerwałam z krzaczka. Wracałam do domu z twarzą umorusaną czerwonym sokiem, lepiącymi się rękami i wyplamionym

T -shirtem, po czym nieodmiennie dostawałam burę od Millie. Nie widziałam Sweetie dobrych dziesięć lat, ale miałam nadzieję, że mogę na niej polegać i że powie mi, co naprawdę dzieje się z matką.

- Miss Sweetie! Jak się pani miewa? - Uściskałam ją.

- Patrzcie, patrzcie, moja Caroline. Jaka duża i jaka ładna.

Przyniosłam coś dla ciebie. Twoja matka powiedziała mi, że przyjeżdżasz. Przysięgam, że dawno już nie słyszałam równie dobrej nowiny. - Wręczyła mi słoiczek truskawkowych konfitur. Wieczko miał okryte czerwoną serwetką w kratkę, przewiązaną czerwoną wstążką. - Jak ci się podoba etykieta? - Na nalepce był napis: NCDNNP. DŻEM TRUSKAWOWY. DOMOWY WYRÓB LAURY MAHONEY. - Sama ją zaprojektowałam na notebooku.

- Na notebooku? Bez żartów. - Oczekiwałam raczej starszej pani z gęsim piórem. - A co oznacza ten skrót?

- Najlepszy Cholerny Dżem na Naszej Planecie. Tylko nie zdradzaj nikomu, bo nie chciałabym, żeby się rozeszło, że używam brzydkich wyrazów. Robię to zresztą tak rzadko.

- Pani sekret jest u mnie bezpieczny. A jaki ma pani komputer?

- Dell, oczywiście. W domu duży komputer z wyświetlaczem LCD, żebym nie przysmażyła sobie starej rogowki. I żadnej beżowej obudowy. Czerwona! Do tego laptop, wagi zaledwie czterech funtów. Pięćset mega i więcej RAM-u, niż mają w górach. Wiem, jak prowadzić interes.

- Interes?

- Matka ci nie mówiła? Kiedy Moultrie wykorkował, powiedziałam sobie: Sweetie, na razie się za nim nie wybierasz, więc potrzebujesz jakiegoś zajęcia. No i zapisałam się do College of Charleston na kursy,

jeden biznesu, a drugi komputerowy. Tego roku mam zamiar wyprodukować dziesięć tysięcy słoików dżemu. Mogłabym na tym poprzestać, ale roją mi się jeszcze pikle.

- Pikle? - Otworzyłam szeroko oczy, podczas gdy ona zmrużyła swoje - widać było, że szokowanie mnie kolejnymi nowinami cudownie ją bawi.

- Owszem, *ma'am*. Na piklach można świetnie zarobić. Nawet dobrze się składa, że Moultrie nie żyje, bo gdyby się dowiedział, ile pieniędzy pochłonęła linia technologiczna, i tak by umarł. Przynajmniej mam zajęcie. A teraz ty opowiadaj. Jak tam twój synek?

- Och, Miss Sweetie, Eric jest wspaniały. To największa miłość mojego życia.

- A Richard?

- Richard to Richard.

- Mężczyźni. Powiem ci, że w niektóre dni nie tylko skrobię się po głowie, usiłując dojść, co czyni z nich takich łajdaków. Wrzód na tyłku. Wszyscy, bez wyjątku. Chodź, lepiej zjedzmy coś.

Matka weszła do pokoju, prowadząc pod ramię drugą ze swoich najlepszych przyjaciółek, Nancy Cotton, zwaną Miss Nancy. Z krótkimi, jasnymi włosami i zielonymi oczami, w błękitnej bluzce i spodniach khaki, Miss Nancy nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Do tego nosiła czarne sportowe buty Prada i białe skarpetki. *Cool*.

- Caroline, chodź, przywitaj się z Nancy!

- Hej, Miss Nancy, jak się pani miewa?

- Świetnie, jak na staruszkę w moim wieku. Ciągle jeszcze się toczę.

Podejdz tu, dziecko, pocałuj mnie.

- Miss Nancy, przecież pani nie jest stara. - Pocałowałam ją w policzek.

- No, taka stara, jak twoja matka, to rzeczywiście nie jestem - rzuciła Miss Nancy z oczami błyszczącymi złośliwie.

- Co takiego? - zaperzyła się matka - a cóż ty za głupstwa wygadujesz, Nancy?

- *Calm a vous*, Lavinio. Doprawdy, moja droga, to przecież okruchy prawdy, ułożone chronologicznie. Czy mogłabym dostać coś do zjedzenia, zanim zemdleję?

- Była na jednej krótkiej wycieczce we Francji i teraz co chwila zamecza nas swoim międzynarodowym ja - skomentowała Miss Sweetie.

Podsunęłam Miss Nancy okrągłą srebrną tacę z kanapkami, a ona przyjrzała się im podejrzliwie.

- No, Lavinio, i co my tu mamy? Widzę, że uparłaś się, by zrujnować moją figurę. Czy mogłabym dostać po prostu pomidory na toście? Bez majonezu.

- Miss Nancy, może pani dostać wszystko, czego sobie pani życzy - powiedziałam. - Będę migiem z powrotem.

- Lavinio - usłyszałam, jak Miss Nancy zwraca się do matki - jak, u licha, taki stary, szpetny sęp jak ty mógł urodzić tak śliczną córkę?

- Przestań kłapać dziobem, tylko nalej mi szklaneczkę sherry, zanim wróci.

- Dla mnie też, mamó! - zawołałam. Do diabła, najlepiej dołączyć do nich z marszu. Nie wstępowałam przecież do AA, prawda? Jasne, że nie.

Zaczęłyśmy grę. Za partnerkę miałam Miss Sweetie. Potrząsając bransoletkami, Miss Nancy tasowała i rozdawała karty. Zaczęłam układać



swoje. Trafiło mi się doskonale. As, król i królowa pik, as kierowy, walet i cztery blotki w tym kolorze, renons w treflach i cztery wysokie kara. Miss Sweetie otwierała.

- Jedno karo.

- Kto tasował? - zapytała matka.

- Ja, Lavinio - poinformowała Miss Nancy uprzejmie. - Twoja odzywka, kochanie.

- Pas. - Matka westchnęła tak głęboko, że omal nie zdmuchnęła mnie z krzesła.

- Jeden pik - rzuciłam, żywiąc cichą nadzieję, że nie palnęłam jakiegoś głupstwa.

- Trzy kiery - mrugnęła do mnie Miss Sweetie.

- Dosyc tego - zareagowała matka natychmiast. - Żadnego dawania sobie znaków przy tym stole.

- *Mon Dieu!* Licytuj, Lavinio - powiedziała Miss Nancy.

- Pas - matka zamknęła licytację, spoglądając na nią spode łba.

Widać było, że coraz bardziej warzy jej się humor. Nie mogłam wprost uwierzyć, że potrafi być tak zacięta i że tak źle znosi przegraną.

Rozłożyłyśmy nasze przeciwniczki na obie łopatki. Nie było w tym mojej winy. Przez większość czasu zresztą pauzowałam, poza tym wydawało mi się, że matka i tak zebrała wystarczająco dużo, żeby wyjść z gry z twarzą.

- Zobaczymy się w niedzielę w kościele? - zapytała Miss Sweetie już przy wyjściu.

Matka i Miss Nancy również stały przy drzwiach, rozmawiając i chichocząc. Byłam bardzo wdzięczna Miss Nancy, że zawsze potrafi wprawić matkę w dobry humor.

- Z pewnością. Tego przedstawienia nie opuściłabym za nic w świecie.

- Mamy nowego, przystojnego pastora - szepnęła do mnie Miss Sweetie, osłaniając dłonią usta. - Zdaje się, że twoja matka robi do niego słodkie oczy. Dopóki w naszym kościele nie pojawił się ten piękny młodzieniec, nie pokazywała się w nim przez dobrych dziesięć lat.

- Sweetie, nie miał ozorem - powstrzymała ją matka.

- W jakim jest wieku? - zainteresowałam się.

- A cóż to ma do rzeczy, skoro wydaje się chętny i może? - odparła matka, schodząc stopień niżej.

- *Il est un hot-tay* - wtrąciła Miss Nancy, unosząc i opuszczając brwi.

- Na Boga, Nancy - powiedziała matka - mam nadzieję, że następnym razem nie wybierzesz się do Chin.

- Gorący typek? Och, dziewczyny, pewnie zależy mu na podwyżce uposażenia - mruknęłam pod nosem.

- Ty, zdaje się, nie znasz swojej matki zbyt dobrze - zauważyła Miss Sweetie.

- On jest wspaniale uposażony - oświadczyła matka półgłosem, zwracając się do swoich przyjaciółek.

- Mamo!

- Skarbie, przecież z mowy ciała mężczyzny od razu można wyczytać, czym dysponuje - wyjaśniła matka, unosząc w górę brwi.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Mamo!

Co tu się działo, u licha?

- Oni wszyscy chcą pieniędzy, Caroline. Doskonale o tym wiemy - powiedziała Miss Nancy. - Ale przecież my też mamy listę naszych potrzeb, *nest-pas*?

Pokiwałam głową, zastanawiając się, do czego mogą być zdolne matka i jej przyjaciółki, chichoczące niczym grupa nastolatków. Pomachałyśmy Sweetie, ruszającej na podjeździe swoim czerwonym mustangiem limuzyną, który wzbijał za sobą cały tuman kurzu.

- Musiała kupić akurat czerwony? - zapytała matka.

- Truskawki, kapujesz? - rzuciła krótko Nancy.

- A jak już rozkręci ten interes z piklami, sprawi sobie zielony, co? - powiedziała matka i znowu zaczęły chichotać.

- Tak myślę - skwitowała Nancy, kierując się w stronę błękitnego bmw.

- *Cool* - powiedziałam.

- Faktycznie - przyznała matka, kiedy wchodziliśmy do domu. -

Wiesz co, Caroline? Lepiej idź i odsapnij chwilkę. Trip i jego żona będą tu o siódmej.

O Boże, pomyślałam, i co jeszcze?

- Przygotuj się na najgorsze - dorzuciła.

- Mamo, czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Możesz. A o co chodzi?

- Czy to prawda, że miałaś romans z ogrodnikiem?

- Caroline, oszalałaś? - Popatrzyła na mnie, marszcząc brwi. -

Dobrze, powiem ci. Lepiej będzie, jeśli usłyszysz prawdę z moich ust, niezdeformowaną przez krzywe zwierciadło oczu twojego brata. Owszem, miałam, i było wspaniale. Przez sześć miesięcy Raoul Estevez i ja

wspólnie zapalaliśmy ogień. Raoul nie był pierwszy i ostatni też nie będzie.

- Mamo, szokujesz mnie. - Oparłam się plecami o drzwi jadalni.

Przynajmniej część z tego, co mówił Trip, okazała się prawdą.

- Caroline, zetrzyj z twarzy ten wyraz potępienia, i to natychmiast. - Matka skrzyżowała ramiona i pokręciła głową. - Dziecko, czy ty nigdy nie czytałaś konstytucji?

- A cóż ma do tego konstytucja?

- Jesteśmy uprawnieni przez naszych przodków do poszukiwania szczęścia. Zastanów się nad tym.

- Konstytucja uprawnia cię do sypiania z mężczyzną o połowę młodszym od siebie?

- Jeśli to czyni mnie szczęśliwą, owszem. Od kiedy to stałaś się taka zasadnicza, Caroline? Życie jest krótkie. Przeżyj je! A teraz muszę iść na górę i chwilę odsapnąć, zanim się tamci zwałą.

Poklepała mnie po ramieniu, łagodnie uniosła moją twarz i delikatnie dotknęła dolnej wargi, po czym ruszyła po schodach. Spoglądałam za nią. W ruchach miała więcej energii niż ja. Poszukiwanie szczęścia.

Uprawnieni do czynienia tego. Muszę się nad tym zastanowić. Była to dziwna, ale interesująca koncepcja.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Jak miło jest mieć znowu córkę przy sobie. Jej to, zdaje się, też doorze robi. Tylko, Boże drogi, dlaczego ta dziewczyna wszystko bierze tak straszliwie serio? Stanowczo powinna trochę wyluzować.*

## **Rozdział 14**

### ***Pora na koktajl***

Gdyby mój ojciec chodził po tym świecie wystarczająco długo, by poznać Frances Mae, byłby gotów przysiąc z ręką na Biblii, że Trip nie umrze trzeźwy. A gdyby jeszcze dożył tych czasów, by być świadkiem straszliwej kombinacji, złożonej z Amelii, Isabelle, Caroline i Frances Mae, doradziłby nieskomplikowane, staroświeckie morderstwo. Z pewnością tak by brzmiało jego zalecenie. Naprawdę w zetknięciu z niektórymi ludźmi człowiek musi szukać pociechy w alkoholu, szczególnie jeśli sam jest z gatunku osobników kochających spokój.

W tym właśnie Trip i tatuś byli do siebie podobni. Obaj należeli do klasy miłych, dobrze wychowanych dżentelmenów starej daty, znających swoje miejsce, wiedzących, kiedy należy zabrać głos i jakie tematy można poruszać w mieszanym towarzystwie. Szanowali obowiązującą od pokoleń tradycję, stanowiącą dla południowców rodzaj Biblii. Polowali dla sportu - nigdy nie zabijali więcej zwierzyny, niż potrafili udźwignąć. Nigdy nie łowili zbyt wielu ryb, nie wypuszczali się na ostrygi, dopóki nie rozpoczął się sezon. Sami reperowali swoje sieci, sami czyścili broń. Postępowali zgodnie z kodeksem honorowym rzeki i lasów, żyjąc tak, jakby na jednym ramieniu siedział im gajowy, a na drugim Chrystus.

Wstawali, kiedy do pokoju wchodziła matka albo jakakolwiek inna kobieta, odsuwali jej krzesło, gdy siadała do stołu, otwierali przed nią drzwi. W towarzystwie dam nigdy nie dyskutowali o polityce ani o pieniądzach, nie opowiadali wulgarnych dowcipów. Jednocześnie przy całej swojej delikatności byli tak męscy, jak tylko może być mężczyzna. Byli dżentelmenami, a od dżentelmenów należało oczekiwać, że poślubią damy. Jak Trip mógł zapomnieć się do tego stopnia, by wprowadzić do rodziny Frances Mae, doprawdy nikt z nas nie mógł pojąć.

Nawet Millie była wstrząśnięta. Ona, matka i ja zawarłyśmy diabelskie przymierze i za plecami Frances Mae wymyślałyśmy dla niej najprzeróżniejsze przezwiska, od Wulgarnego Łupieżcy, to tak na rozgrzewkę, po Sfilcowanego Kołtuna i Gluta, wraz z upływem czasu i ilością pochłoniętego alkoholu. Nazywałyśmy ją Czciicielką Dolara, Złowieszczą Tlenioną Pretendentką do Tronu i Tępym Kłapiącym Paszczą Jaguarem z Jacksonboro. Och, miałyśmy dla niej wiele imion.

W dawnych dniach od dżentelmenów w naszej rodzinie oczekiwano, że poślubią damy, wyrafinowane przedstawicielki śmietanki towarzyskiej, podobnie jak od kobiet, że oddadzą swą rękę dżentelmenowi. Nie sprostaliśmy temu, ani Trip, ani ja. Osoba Richarda mogła niektórym wydawać się osobliwa i dziwaczna, Frances Mae natomiast, o, to była po prostu tragedia.

Kiedy Trip pierwszy raz przyprowadził ją do domu, Lavinia doznała porażenia mózgu. Po raz pierwszy w całym swoim życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Było to latem 1986 roku. Trip ukończył właśnie Carolina School of Law i zaczął aplikację adwokacką.

Najczęściej jednak rozbijał się po mieście swoim nowym kabrio-  
letem, Chryslerem La Baron, którego matka kupiła mu w prezencie. Ja  
wpadłam z Nowego Jorku na weekend. Wyrywałyśmy z matką chwasty w  
ogrodzie, kiedy samochód z piskiem opon zajechał przed dom.

Matka podniosła głowę znad grządki z różami.

- A to co ma znaczyć?

Miała wielki słomkowy kapelusz, chroniący twarz od słońca, i  
przewiewną sukienkę, z ogromnym dekoltem z tyłu, bo chciała opalić  
sobie plecy. Spojrzałam w kierunku domu i zobaczyłam Tripa  
wyskakującego z samochodu z jednej strony, a potem obiegającego wóz i  
otwierającego drzwi od strony pasażera. Wypisz, wymaluj Troy Donahue i  
- zaraz, jak jej tam - Sandra Dee w tym filmie z lat pięćdziesiątych.

- Na grób mojej matki! Przyjechał z jakąś młodą kobietą.

- A niech mnie piekło pochłonie - brzmiał mój komentarz.

Trip nie miał szczęścia do kobiet, chyba że swoim wyglądem i za-  
pachem przypominały labradory. Chrysler bez wątpienia okazał się  
cennym atutem. Stojąc wyprostowane, przypatrywałyśmy się, jak  
towarzyszka Tripa wysiada z samochodu i obrzuca spojrzeniem dom.  
Uśmiechnęła się, z punktu obejmując go w posiadanie. Szympanica z  
odętymi wargami, wykrzywionymi ku dołowi, takie było moje pierwsze  
skojarzenie. Ktoś mógłby pomyśleć, że Trip oferuje jej klucze od jakiejś  
spelunki. Szympanica objęła Tripa ramionami i pocałowała z takim  
zapałem, że mojego brata aż zarzuciło na maskę samochodu. Ani chybi  
posiniaczył sobie kość ogonową podczas tej operacji. Sam trzymał ręce na  
niewielkim, okrągłym tyłku swej towarzyszki i gładził jej pośladki. Matka  
oblała się purpurą; pomyślałam, że jeszcze chwila, a pęknie jej tętnica

szyjna. Sama nie mogłam się pozbiierać ze zdumienia. Chichotałam jak szalona. Znałam tę dziewczynę. Była kelnerką w kawiarni w Jacksonboro. Kelnerka, i to z takimi wargami! Matka przyłożyła dłoń do piersi. Trip wreszcie się opamiętał, przestał łaskotać migdałki Puszczalskiej Barbie i popatrzył w naszą stronę. Tak wyglądało pierwsze spotkanie matki i moje z Frances Mae. Otwarcie, jakich mało.

Obie stałyśmy wrośnięte w grządkę niczym dwa przekwitnięte tulipany, rozognione, z rozdziawionymi ustami. Nawet generał Sherman nie przestraszył żadnej kobiety w naszej rodzinie równie mocno, jak obciśnięta dżinsami Frances Mae Litchfield w białych butach na wysokich obcasach i z nastroszoną strzechą. Już chociażby jej włosy. Tlenione, tlenione, tlenione! Och, nie, nie, nie! W naszej rodzinie kobiety nigdy nie tleniły włosów. Mogły je lekko rozjaśniać, pogłębiać kolor. Ale perhydrol? Nigdy! Nie zdążyło jeszcze być dobrze, a już było coraz gorzej.

Matka ruszyła w kierunku przybyłych. Pilnie następowałam jej na pięty, wołac raczej zarobić kulkę w łeb, niż uronić choć jedno słowo z ich rozmowy.

- Mamo - odezwał się Trip - proszę, poznaj Frances Mae. Twarzy matki nie widziałam, ale nawet patrząc na tył jej głowy, mogłam powiedzieć, że zaciska szczęki, demonstrując swój słynny arystokratyczny grymas rodem z Greenwich.

- Cześć - powiedziałam, występując naprzód i wyciągając rękę, która zawisła w powietrzu, podczas gdy Frances Mae lustrowała mnie niczym leżącą na tafli lodu rybę - jestem Caroline.

Kiedy wreszcie dotarło do niej, że powinna uścisnąć moją dłoń, odskoczyła jak oparzona.



- Cześć - odparła - jezdeś tak samo ładna, jak opowiadał mi twój braciszek. Naprawdę.

Uśmiechnęła się szeroko, potrząsając wytapirowaną strzechą na prawo i na lewo, niczym jakaś pseudo-Farrah Fawcett. Mogła mieć najwyżej pięć stóp wzrostu, podczas gdy matka mierzyła pięć stóp i siedem cali, a ja nawet pięć stóp i osiem. Za jej ordynarny akcent mogliby nas na zawsze wykluczyć z charlestońskiego Yacht Clubu. Jej ramię nie opuszczało talii Tripa.

- Pani musi być Mizz La Vinea - zwróciła się do matki, nie zdając sobie sprawy, że w naszych kręgach towarzyskich jej zachowanie było równoznaczne z uprawianiem seksu w miejscu publicznym.

- Wejdzmy do środka, dobrze? - zaproponowała matka z lodowatą godnością.

- Czemu nie? - odparła na to Barbie, po czym ujęła mojego brata za ramię, przylgnęła do jego boku i uczyniła kolejny fatalny błąd, wstępując przed matką na schody frontowe.

Zobaczyłam, jak nozdrza matki rozdymają się, a potem zapadają do środka. Jej szczeka pozostawała zaciśnięta w wyrazie zdecydowania. Ta obrzydliwa nierządnicą, łazęga nie wiadomo skąd nie dostanie jej chłopca, już ona na to nie pozwoli. Była to pierwsza z naszych licznych pomyłek w ocenie Frances Mae.

Frances Mae Litchfield i James Nevil Wimbley III zawarli związek małżeński przed sędzią pokoju we Florence w Karolinie Południowej. Matki na ślubie nie było. Nie została zaproszona. Położyła się do łóżka i nie wstawała przez całe dwa tygodnie, demonstrując najdłuższe omdlenie,

jakie kiedykolwiek stało się udziałem damy z Południa. Nawet Millie gdzieś zniknęła na dzień czy dwa. Trip zabrał Frances Mae na Bermudy.

Ja byłam już z powrotem w Nowym Jorku, kiedy Millie zadzwoniła z nowiną, że mam bratową. Oboje z Richardem uznaliśmy ślub Tripa za wydarzenie pod każdym względem skandaliczne i postanowiliśmy pójść w ich ślady i też się pobrać. A co, do diabła, po Frances Mae Richard wszystkim wyda się księciem z bajki, pomyślałam sobie. Kolejny błąd w ocenie.

Czas pędził w takim tempie, jakby podróżował concorde'em, i nie sposób było tego nie zauważyć. Frances Mae, Trip i ich trzy dziewczynki z piekła rodem mieli przyjechać na kolację. Gdzie się podziały tamte wszystkie lata? Frances Mae po raz kolejny była w ciąży. Popatrzyłam na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Za piętnaście minut, wraz z ich pojawieniem się, w Wysokich Sosnach rozpocznie się pierwszy akt klasycznego rodzinnego dramatu z Południa. To było nieuniknione.

Otworzyłam wielkie francuskie okno, pozwalając, by mój dawny pokój wypełnił się podmuchem wiatru. Zewsząd zaczęły napływać zapachy, niczym unoszone czarodziejskim dywanem. Wciągnęłam głęboko powietrze. Siedziałam na podłodze w pozycji kwiatu lotosu, mając niczym nieograniczony widok na rzekę Edisto, majestatyczną, pełną muzyki; jej uderzające o brzegi fale wygrywały dla mnie melodię, zupełnie jak wtedy, kiedy byłam małą.

Zamknęłam oczy, próbując opróżnić całkowicie swój umysł. Służyło mi to ćwiczenie. Przed moimi oczami przesuwały się purpurowe i zielone fale, pulsujące, najpierw nabrzmiewające, a potem zapadające gdzieś w

głęb, zastępowane coraz to nowymi falami koloru. Byłam sama, zanurzona w cudownej bryzie, poza zasięgiem zewnętrznego świata.

Gdzieś w oddali zabrzmiał trzask zamykanych drzwi, jak kłapanie potężnych szczęk Lewiatana połykającego swoją przekąskę. Zaraz wszyscy znajdziemy się w jego brzuchu niczym stary kapitan Ahab, dręczeni rodzinną niestrawnością przez kilka następnych godzin. Zapanuję nad sytuacją i nie dam się nikomu rozbroić. Rozbroić. Dziwne słowo sobie wybrałam, rozmyślając o zbliżającym się wieczorze. Czyżby dzielił nas konflikt zbrojny? Zresztą kto wie? Może będzie zabawnie? Może Frances Mae przeszła lobotomię od czasów, kiedy widziałam ją ostatni raz? Miau.

Stojąc na schodach wiodących do holu, widziałam Tripa rozlewającego drinki w salonie. Z niewielkiej garderoby obok dochodził skrzek Frances Mae, raportującej, że jedna z jej wiedźmowatych córeczek przykleiła gumę do zucia do włosów drugiej wiedźmowa-tej córeczce.

- Niech idzie do kuchni i przyniesie od Millie trochę lodu - rzuciłam, przechodząc. - Przyłożysz do włosów i potem guma łatwo się wykruszy.

- Caroline, w samą porę. - Trip wręczył mi kieliszek białego wina. - Niech nasze pojednanie się wreszcie rozpocznie.

Trąciliśmy się kieliszkami. Usiadłam na sofie, naprzeciw matki zajmującej to samo krzesło, co zwykle. Pociągnęłam niewielki łyceczek.

- Dzięki, braciszku, miło cię zobaczyć.

- Ciebie także, siostrzyczko. Nie sądzisz, że matka wygląda dziś szczególnie korzystnie?

Popatrzyłam na matkę, która zaczęła przewracać oczami.

- Dolej tu bourbona, jak przystało na dobrego chłopca, ale nie próbuj mącić mi w głowie - powiedziała. I chociaż udawała gniew, widziałam, jak matczyne oczy się śmieją. W końcu był jej jedynym synem.

Trip wyjął z rąk matki niemal pustą karafkę i przysunął bliżej czarękę z orzeszkami. Zaczęła w nich przebierać, wylawiając *cashews*.

Trip rozlał drinki. Do salonu wpadła jak burza Frances Mae; diabły wcielone, jej córeczki, chowały się za plecami matki.

- Caroline! Miło widzieć cię znowu - zwróciła się do mnie.

Widziałam mięśnie twarzy grające jej pod skórą. Nerwy. Trudno się dziwić. Wstałam, żeby się z nią przywitać.

- Dzień dobry, Frances Mae. Jak się czujesz?

- Och, tak jak się można czuć w moim stanie. Kostki u nóg dają nieźle popalić. A piersi dosłownie mi rozsadza. Chodźcie, dziewczynki, pocałujcie ciocię.

Słyszając uwagę Frances Mae o piersiach, matka kaszlnęła znacząco. Wśród wrzasków i chichotów dziewczynki popędziły niczym spuszczone ze smyczy, trzaskając wszystkimi napotkanymi po drodze drzwiami, do wyjścia, a potem schodami prowadzącymi z werandy na trawnik.

- Są takie niesforne - tłumaczyła Frances Mae. - Próbuję je utemperować, ale twój brat mi nie pozwala. Kiedy ja byłam mała, mój tata potrafił mi wytrzepać smród z tyłka, kiedy nie umiałam się zachować. Pójdę po nie. - Uśmiechnęła się i wyszła, sprowadzić swoje - jak to określiła - pociechy.

- Wytrzepać smród z tyłka - powtórzyła matka głosem bez wyrazu. - Jakie to obrazowe.

- Co masz na myśli, mamo, brak delikatności czy wyrafinowania?

- Hej, odpuśćmy jej dzisiaj trochę, dobrze? Kiedy wrócę do Nowego Jorku, przeprowadzicie sekcję i jej, i mnie, zgoda? - zaproponowałam.

Trip i matka popatrzyli na mnie. Normalnie nie zdarzało mi się stawać po stronie Frances Mae, jednak dzisiaj zrobiło mi się jej zwyczajnie trochę żal. Przybrała na wadze co najmniej trzydzieści funtów, a jej suknia, pochodząca z ostatniej wyprzedaży, marszczyła się na figurze niczym kwintesencja macierzyńskiego piekła. I jak zwykle zapomniała rozjaśnić sobie wąsik nad górną wargą, przez co jej usta do złudzenia przypominały pyszczek makreli. Wiedziałam, że moje myśli są nieżyczliwe, nikczemne nawet, ale Boże w niebiesiach... Odbijała od nas tak bardzo, że naprawdę trudno było się powstrzymać. Zerknęłam na Tripa. Wiedziałam, że czyta w moich myślach. Wychylił długiego drinka i odwrócił się, żeby sobie jeszcze dolać. Podniósł kieliszek w moją stronę. Nagle zrobiłam się zła na niego i na matkę.

- Zaraz wrócę - powiedziałam. - Chcę zobaczyć moje bratanice.

Otworzyłam drzwi frontowe i obrzuciłam spojrzeniem ogród. Była noc, prawdziwa noc w Karolinie Południowej, jedna z takich, które sprawiają, że człowiek czuje się szczęśliwy, że żyje. Wilgotność nieznaczna, delikatny powiew bryzy, zapach kwiatów. Żwirowym podjazdem obeszłam dom z lewej strony, kierując się ku rzece, skąd dobiegały mnie głosy dziewcząt. Z odległości widziałam Frances Mae, przyglądającą włosy Amelii i na nowo zawiązującą na nich wstążkę. Zatrzymałam się na chwilę, przypatrując się tej scenie. Wszystkie trzy dziewczynki nosiły lekkie sukienki do połowy łydki, przy czym sukienki Isabelle i Caroline miały bufiaste rękawy i szczypanki. Sukienka Amelii była doroślej sza, ale w końcu Amelia liczyła sobie już trzynaście lat. Wszystkie trzy

dziewczynki miały pięknie ostrzyżone, postrzępione na końcach włosy, sięgające linii podbródka, z przedziałkiem z jednej strony, z drugiej uchwycone w kitkę, ozdobioną wielką satynową kokardą. Tylko Amelia nosiła przepaskę. Z miejsca, gdzie stałam, wyglądały niczym trzy aniołki, w aureoli niewinności i światła, ale przecież dobrze znałam ich charakterki.

Z lasów w oddali dochodziła muzyka cykad, w powietrzu migotały świetliki. Frances Mae opadła na ogrodowe krzesło i zadarła w górę stopy. Ona naprawdę się starała, przez cały czas się starała. Nie było jej winą, że zawsze mówiła i robiła niewłaściwe rzeczy. Trzeba przyznać, jej angielski trochę się poprawił, a akcent złagodniał. Minimalnie. W końcu skoro Trip się nie skarżył, dlaczego ja miałam zgłaszać pretensje? Trip po prostu postanowił wystawić na próbę swoją wątrobę, to wszystko.

- Frances Mae! - zawołałam. - Pomyślałam, że wyjdę na dwór popodziwiać The Mille Island w płomieniach zachodu.

- Och. - Wyglądała na lekko zakłopotaną, ale w gruncie rzeczy zadowoloną, że ktoś przyszedł dotrzymać jej towarzystwa. - Naprawdę, Caroline, jesteś taka szczupła i elegancka. Przy tobie czuję się gruba i szpetna.

- Nie jesteś ani gruba, ani szpetna, nic podobnego - zapewniłam, kładąc jej rękę na ramieniu.

Na widok mojego zegarka jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Wydała z siebie długie westchnienie, zupełnie niczym matka.

- Czy to prawdziwy Cart-ee-ay?

- Tak, kupiłam go sobie w prezencie na trzydzieste urodziny.

Obrzuciła tęsknym wzrokiem najpierw zegarek, a potem mnie.

- Nie sędzę, aby twój brat kiedykolwiek kupił mi coś równie wspaniałego.

W jej głosie było tyle smutku, że omal nie dałam się nabrać.

- Frances Mae, przeoczyłaś jedną okoliczność.

- Nie, Caroline, niczego nie przeoczyłam. Może kupiłaś go sobie sama, ale to dlatego, że masz zawód. Masz własne pieniądze. Moim zawodem jest być dobrą matką dla dzieci Tripa, kochającą żoną dla niego samego i dobrą synową dla waszej matki. Kocham mój zawód, ale pieniędzy mam z niego mniej niż żebraczka.

- Przed świętami Bożego Narodzenia szepniemy Tripowi coś do ucha. - Po raz pierwszy popatrzyłam na świat jej oczami, przyjąłam jej punkt widzenia, choć jednocześnie nie zapomniałam i o tym, że kobiety grające rolę ofiar zwykle wybierają ją dobrowolnie, kierowane swego rodzaju bierno-agresywnym pragnieniem wzbudzenia litości i jednocześnie podziwu. Tak przynajmniej utrzymywał Richard. A może zbyt długo już pozostawałam żoną psychiatry? Złościło mnie, że Frances Mae ani słowem nie zapytała o Richarda i Erica.

- O, pewnie. Trip jest wspaniałym mężem, ale nawet z jaj byka potrafiłby wycisnąć groszaka.

Skrzywiłam się na wyobrażenie byczych genitaliów.

- Trip? Skąpy?

- Pytasz serio? Prawdziwy dusigrosz. Popatrz na mnie. Czy ja wyglądam jak żona bogatego człowieka? Cóż, Trip Wimbley wydaje pieniądze na trzy rzeczy - na polowania, co oznacza też psy, łowienie ryb, co także oznacza psy, wreszcie na zakłady futbolowe. Jeśli uszczelka puści... O, Caroline, wiem, że nie powinnam brzydko mówić o Tripie. Jest

wspaniałym mężem i kocham go całym sercem, ale kiedy dziecko przyjdzie na świat, nasz dom po prostu się rozpęknie. Tam już nawet szpilki nie wetkniesz.

Od lat nie odwiedzałam ich domu w Walterboro, ale śmiało mogłam sobie wyobrazić, że Frances Mae ma rację. Najwidoczniej wszystkie pieniądze, jakie otrzymywała od Tripa, wydawała na dziewczynki i ich ubrania. Ich dom miał tylko trzy niewielkie sypialnie.

- Chodź, Frances Mae - podałam bratowej rękę, pomagając jej wstać  
- jutro zadzwonimy do California Closet. Powiem Tripowi, że to ja kazałam.

- Niech cię Bóg błogosławi, Caroline. Co za wspaniały pomysł.

- Dziękuję - powiedziałam. - No, zbierajmy te twoje małe tornada i wracajmy do domu na obiad w wydaniu Millie przy stole Miss Lavinii.

Dziewczęta, oderwane od zabawy polegającej na rozhuśtywaniu ogrodowego posągu, dreptały za nami w półmroku niczym kaczki. Frances Mae muskała je ustawicznie, bez przerwy poprawiając coś w ich wyglądzie. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież ona boi się matki. I Tripa także. Przy mnie też nie czuje się najpewniej.

- Puść je przodem, Frances Mae. Chciałabym cię o coś zapytać.

- Dobrze, Caroline. Dziewczęta, idźcie pierwsze, umyćcie ręce. Zaraz was dogonię.

Dziewczęta trzasnęły drzwiami, a my zostałyśmy na werandzie. W wieczornym świetle Frances Mae wcale nie wydawała mi się groźna. Miałam do niej tylko jedno pytanie.

- Frances Mae, czy jeśli szczerze cię o coś zapytam, odpowiesz mi równie szczerze?



- Dlaczego nie miałabym tego zrobić? - W jej głosie brzmiały obronne nutki.

Zignorowałam je i zagadnęłam prosto z mostu:

- Co się tak naprawdę dzieje z matką? Jak myślisz, dlaczego mój brat chce ją umieścić w domu opieki?

Popatrzyła na mnie, a potem przeniosła wzrok na purpurową łunę zachodu, zalewającą horyzont. Czekala na ten właśnie moment i było to po niej widać.

- Co takiego? Caroline, do diabła, o czym ty mówisz? W życiu nie słyszałam podobnych głupstw. - Obrzuciła mnie nieustępliwym spojrzeniem. Na jej twarzy ponownie zagościły strach i nienawiść. Odwróciła się, żeby wejść do domu, zostawiając mnie na zewnątrz.

- Chciałabym zobaczyć, jak będzie próbował - rzuciłam. Słyszac w moim głosie groźbę, przystanęła, odwróciła się ku mnie i uśmiechnęła znajomym, nienawistnym uśmiechem. Potem, niczym wąż w ogrodzie, powoli prześliznęła się przez drzwi.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Króciutko tylko - zaraz muszę zejść na kolację. Nevil, słyszysz mnie teraz? Och, wysłuchaj mnie, proszę.*

## **Rozdział 15**

### ***Podano do stołu***

Do stołu podawała Millie, pewnie na cześć mojego przyjazdu, bo normalnie gotowała coś dla siebie i dla matki, a potem wracała do swojego domu, położonego na terenie naszej posiadłości. Czasami też matka gotowała dla niej. Millie od dawna już przestała być zwykłą pomocą domową. Przejęła zarządzanie całym majątkiem i to ona kieruje teraz Jenkinsem, odpowiedzialnym za niekończące się naprawy i drobne reperacje, jakich wymagają Wysokie Sosny, jeśli mają być utrzymane w należytych stanie. Rosario, która pochodzi z Meksyku, sprząta u Millie, a jej córka Paula zajmuje się praniem. Millie jest także główną dysponentką książeczki czekowej matki; to ona reguluje wszystkie rachunki i kontroluje stan konta. I tylko jej wolno odkurzać większość sztuk miśnieńskiej porcelany z kolekcji matki i polerować niektóre z jej sreber. I to wcale nie dlatego, że matka tak zarządziła, po prostu Millie nie wierzy, by ktokolwiek potrafił to zrobić równie dobrze, jak ona.

Millie prowadzi dom żelazną ręką. Zarabia siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie, do tego dochodzi dom, samochód, ubezpieczenie samochodu, pełne ubezpieczenie zdrowotne, wózek golfowy i dodatkowe gratyfikacje w gotówce. Ale warta jest tego, warta jest dwukrotnie

każdego otrzymywanego centa. Niedługo pewnie przejdzie na emeryturę i ten problem także leży mi na sercu. Co matka bez niej pocznie?

Millie stanęła w drzwiach salonu, anonsując kolację. Odstawiliśmy nasze drinki i ruszyliśmy za matką w kierunku jadalni. Szłam na końcu i chwyciwszy Millie pod ramię, wyszeptałam jej do ucha:

- Millie, musimy porozmawiać.

- *Humph*, mamy o czym, *yanh*? Wpadnij później, dziewczyno, teraz sama nie wiem, w co mam najpierw ręce włożyć - odparła, niknąc w kuchni.

Matka stanęła u szczytu ogromnego mahoniowego stołu, czekając, aż Trip podsunie jej krzesło. Trip rozpoczął ceremonię sadzania dam; najpierw matka, na lewo od niej Frances Mae, na prawo ja, potem Amelia z mojej prawej strony i Isabelle obok siostry, na koniec Caroline, obok Frances Mae. Spełniwszy obrządek, sam wreszcie zajął miejsce dawniej należące do tatusia.

Czekaliśmy na znak matki.

- Przydałoby się więcej mężczyzn w naszej rodzinie - zażartował Trip, robiąc aluzję do tego, że ciężar usadzania tak wielu kobiet spoczywa wyłącznie na jego barkach.

Usposobienie Tripa nigdy nie pozwoliło mu całkowicie zrezygnować z praktyki adwokackiej i pograć się w błogim nieróbstwie. Jego nastrój najczęściej oscylował między gniewem a sarkazmem, czyniąc z mojego brata jakiegoś drugiego Chrisa Rocka w napadzie złego humoru.

- Chleba, dajcie mi chleba - zapiszczała przenikliwie Caroline.

- Caroline - upomniał córkę Trip - wiesz, że zawsze czekamy, aż babcia zacznie pierwsza.

Caroline skrzyżowała ramiona i odeła wargi. Matka popatrzyła na nią, unosząc w górę brwi i opuszczając podbródek. Klasyczna Miss Lavinia, wyrażająca swoją dezaprobatę. Wzięła serwetkę ze stołu, rozprostowała ją starannie i rozłożyła na kolanach. Potem ze smutkiem pokiwała głową i wydała z siebie głębokie westchnienie. Ów gest stanowił wyraz najgłębszego przekonania, że wszystko, co wyszło z łona jej synowej, jest po prostu beznadziejnym przypadkiem.

- Kto ma ochotę na gumbo? - zapytała, podnosząc pokrywkę wazy, gotowa do napełnienia piętrzących się przed nią głębokich talerzy. Z wazy uniosła się para i całą jadalnię wypełnił gęsty, aromatyczny zapach pomidorów, cebuli i owoców morza.

- Nie odmówisz modlitwy, babciu? - zapytała Isabelle.

- Co powiedziałaś, dziecko? - zwróciła się do niej matka, ciągle trzymając w górze pokrywkę wazy.

- Szsz! - syknęła Frances Mae.

- Powiedziałam, że przed jedzeniem należy odmówić modlitwę - wyjaśniła Isabelle.

Prolog w teatrze Miss Lavinii został odegrany i teraz rozpoczynał się akt pierwszy.

-Własnym uszom nie wierzę. Moja wnuczka zwraca uwagę swojej babce! Czy to możliwe? - zaczęła matka niskim, równym głosem, podobnym do tego, jakim zwykle posługiwałam się na chwilę przed wytoczeniem swoich najcięższych dział. Pokrywkę wazy nadal trzymała uniesioną w powietrzu, a na jej twarzy malowało się niedowierzenie.

Przy stole zapadła cisza. Frances Mae zarumieniła się gwałtownie i przygryzła wargi, powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś

nieodpowiedniego. Trip odchrząknął. Nawet ja byłam zdumiona, że matce chce się bawić w rozdmuchiwanie tak drobnego przewinienia.

- Isabelle - zaczął Trip - wiem, że nie chciałaś być niegrzeczna, ale nigdy nie powinnaś zwracać uwagi starszym, kochanie.

- W domu zawsze odmawiamy modlitwę - zaznaczyła Frances Mae cienkim, obłudnym tonem.

Usiłuje wziąć Lavinie na Jezusa. Matka nie podjęła wyzwania.

- Rozumiem - powiedziała głosem drżącym z wściekłości - masz do tego wszelkie prawo. Ale w moim domu nie życzę sobie, aby dziecko udzielało mi reprimendy. Czy naprawdę przekracza to twoje zdolności pojmowania, Frances Mae?

- Isabelle - zwróciła się do córki Frances Mae.

- Nie chciałam ci okazać braku szacunku, babciu - wyrecytowała Isabelle.

Swoje przeprosiny wygłosiła tak szybko i układnie, iż od razu zrozumiałam, że czyni to nie po raz pierwszy. Popatrzyłam na jej twarzyczkę, zaczerwienioną z zakłopotania. Kolejny rozrywkowy obiad w towarzystwie Lavinii był w pełnym toku. Do tej pory tylko mnie i Amelii jeszcze się nie oberwało.

- Mamo, dla mnie nie za dużo, dobrze? - poprosiłam.

- Jak sobie życzysz, kochanie - powiedziała, podając mi talerz.

Gumbo było gęste i sycące. Millie przyrządzała je nieodmiennie według tego samego przepisu. Zaczynała od przysmażenia na chrupko bekonu, potem rumieniła na tłuszczu cebulę i obsmażała paprykę. Dodawała pomidory, wodę, przecier pomidorowy, szczyptę soli i odrobinę cukru, aby złagodzić cierpki smak pomidorów. Do tego dorzucała mnóstwo

posiekanego piżmianu, a na krótko przed podaniem jeszcze krewetki, kawałki kurczaka i parówki. Cały gulasz podawała na puszystym, parującym białym ryżu. Była to jedna z tych potraw, które mogłam łądować w siebie, dopóki nie spadłam z krzesła. Nawet jeśli przez ostatnie lata stałam się kimś w rodzaju quasi-wegetarianki, zjadłabym wszystko, co przyrządziła Millie, poza wielkim stekiem i dziczyzną. Bambi i Elsie. Tego jednego nie.

Matka podała wszystkim talerze, a my czekaliśmy. Nikt nie odważył się nawet tknąć widelca, dopóki ona nie ujęła swojego i nie wzięła do ust pierwszego kęsa. Baczynym wzrokiem rozejrzała się dokoła, czy aby na pewno wszyscy oddają należny szacunek jej pozycji i prawdziwie południowej ceremonii spożywania posiłku. Usatysfakcjonowana, oznajmiła, ujmując w dłoń widelec:

- Czy możemy zaczynać?

Tak też uczyniliśmy. Gumbo rozpływało się w ustach. W jadalni ponownie zmaterializowała się Millie, z koszyczkiem do chleba, plecionym ze słodkiej trawy i wyłożonym piękną starą serwetką. W milczeniu przesuwała się wokół stołu, podając gorące biskwity. Kiedy zbliżyła się do mnie, z jej rozszerzonych oczu odgadłam, że słyszała każde słowo naszej rozmowy przy stole i że nie pochwała zachowania matki.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Millie - powiedziałam. - Ja tak sobie po prostu siedzę, mastykując.

- Wyrosną ci od tego włosy na rękach - zareagowała natychmiast - ty niedobra.

- Wielkie nieba, tu są przecież dzieci - oburzyła się Frances Mae.

- Mastykować to to samo co ssać, przeżuwać - wyjaśniłam. Tak naprawdę chciałam powiedzieć: to znaczy ssać, przeżuwać, ty idiotko.

Trip przewrócił oczami i dolał sobie białego wina. Był to nasz rodzinny dowcip. Kiedy jeszcze żył tatuś, naszym posiłkom towarzyszyło zawsze „słowo dnia”. Tatuś nie ustawał w wysiłkach wtłoczenia jakiejś wiedzy w nasze tępe głowy. Mastykacją podniecaliśmy się co niemiara. Zresztą wszystko, co brzmiało nieprzyzwoicie i choć trochę dziwacznie, budziło nasz nieodmienny zachwyt, a już najbardziej nazwy rozmaitych części ciała.

Trip odchrząknął głośno.

- Tak, Caroline, a co tam słyhać w wielkim mieście? Napijesz się jeszcze wina? - dorzucił.

- Owszem, poproszę - zgodziłam się, w nadziei, że alkohol pomoże mi się odprężyć.

Podniósł się ze swojego miejsca, nappełnił kieliszek matki, a potem mój.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała matka. - Właśnie, Caroline, co słyhać w Nowym Jorku?

- Wiecie co? Myślę, że tutaj dzieje się znacznie więcej.

Tym stwierdzeniem połechtalam ich niesamowicie, ponieważ najbardziej ze wszystkiego moja rodzina kocha wierzyć w to, że Karolina Południowa stanowi prawdziwe centrum wszechświata.

- Och, przestań - zaprotestowała Frances Mae, zarzucając na mnie przynętę - a te wszystkie muzea, a Broadway, a sklepy?

- Muzea są niewiarygodne, przyznaję, natomiast Broadway na wpół umarł. Nic tylko wznowienia. A na zakupy chodzę dwa razy do roku -

skwitowałam lakonicznie. - Opowiedz mi lepiej wszystkie lokalne ploteczki, Frances Mae. Jak się powodzi twojej rodzinie?

Pochlebiona moim zainteresowaniem, zaczęła opowiadać:

- Mama miewa się dobrze, tata też. Ma teraz nową porcelanę.

- Porcelanę? - powtórzyła matka. - Masz na myśli, że kupił matce nowy serwis? Jakie to miłe.

- Nie, *ma'am*, ma nową szczękę. No... do tej mas-ty-kacji.

- *Touche* - podsumowałam. - A jak twoi bracia, ich żony i ich dzieci?

- Wszyscy mają się dobrze, poza Johnnym, którego nie będzie w domu aż do jesieni.

Johnny był jednym z całej gromadki jej żalonych braciszków, który utrzymywał się z pracy na pół etatu w sklepie z bronią w Goose Creek.

- Tak? - rzuciła matka nieobowiązująco - wyjechał w interesach?

- Nie, *ma'am* - wyszeptała Frances Mae pod osłoną dłoni, tak aby dziewczynki nie mogły usłyszeć jej słów - poszedł siedzieć.

- A za co? - zapytałam spokojnie.

- Wystawił czek bez pokrycia - odparła, wciąż szeptem. - Na sporą sumę. On jest taki głupi. Nawet ja wiem, że takich rzeczy się nie robi, zwłaszcza w momencie regulowania zaległych podatków.

Matka i ja pokiwałyśmy głowami, zupełnie jakby powinny za kratkami był w naszej rodzinie zjawiskiem najzupełniej normalnym.

- A jego dzieci? - zapytała matka, niepewna, w jakim kierunku prowadzić dalej rozmowę.

- Erle ma z nimi pełne ręce roboty, to cztery małe dzikusy - powiedziała Frances Mae, z ubolewaniem kiwając głową nad losem bratowej.



- Mogę sobie wyobrazić - skwitowała matka obojętnie. Patrzyłam, jak Trip dolewa sobie wina. Rzeczywiście, kto mógłby mieć mu to za złe?

- Trip, też bym się chętnie napiła, jeśli coś tam jeszcze zostało - powiedziałam. I oni uważali, że matka zachowuje się skandalicznie?

- Niestety, siostrzyczko, wszystko gdzieś wyparowało, zaraz odkorkuję następną butelkę - oznajmił mój brat swoim podrabianym angielskim akcentem.

Ilekcroć miał w czubie, zawsze udawał Anglika. Dawniej brałam to za naigrzanie się z Richarda, teraz rozpoznawałam w tym objawy zwyczajnego upicia się.

- Amelio? Isabelle? Jak tam w szkole? - indagowałam. - Robicie postępy?

- Tak, *ma'am* - odparły unisono. - Ty przecież nie robisz żadnych postępów - dodały, już na dwa głosy, oskarżając się nawzajem o kłamstwo, po czym obie wybuchnęły radosnym chichotem.

- Aha, rozumiem - powiedziałam z rozbawieniem. - Czy nadal lubisz tańczyć, Amelio?

- No, no - odparła, energicznie kiwając głową.

- Isabelle tak samo. A nasza Caroline właśnie zaczęła lekcje tańca w szkole Miss Giny, prawda, kochanie? - wtrąciła Frances Mae.

Caroline, z węsami z mleka nad wargą i pomidorowymi plamami na sukience, także dorzuciła swoje: „no, no”.

- Powinnaś była powiedzieć: „Tak, ciociu Caroline”, a nie „no, no”.

W naszej rodzinie wszyscy kochamy język angielski - upomniała ją matka, próbując uratować swoją wnuczkę od pogrążenia się bez reszty w świecie mowy Frances Mae.

- O tak - dorzuciłam tonem grzecznej małej dziewczynki - mamy romans z tym językiem.

Moja uwaga sprawiła, że Amelia i Isabelle ponownie zaczęły chichotać. Kolejna złośliwość Miss Lavinii wobec Frances Mae i dziewczynek chybiła celu. Nawet matka musiała wstrzymać oddech, bo wiedziała, że aluzja jej dotyczy.

- Och, dobrze już, dobrze, wiem, co sobie wszyscy o mnie myślicie - powiedziała, spoglądając przez stół na dziewczęta, które zaśmiewały się bez opamiętania. - Śmiejcie się, śmiejcie - obdarzyła nas szerokim uśmiechem.

Wrócił Trip i zajął się nalewaniem wina.

- Uważamy, że jesteś rzadkim ptakiem, matko. Naprawdę wyjątkowym - oświadczyłam, wznosząc w jej stronę kieliszek.

- O tak, Matko Wimbley, naprawdę tak uważamy, masz unikatowe upierzenie.

- No, no - zamruczał Trip ze swojego końca stołu.

- A po kolacji... - zaczęła Frances Mae, obrzucając jednocześnie Tripa zabójczym spojrzeniem, w którym czaił się nakaz natychmiastowego spowolnienia tempa spożywania alkoholu. - Przecież prowadzisz - syknęła.

- Nie! - powiedział, nagle zubożniały pod wpływem wina. Teraz wyrzucał z siebie lakoniczne, jedno- najwyżej dwuwyrazowe odpowiedzi.

Podniósł kieliszek w kierunku matki. Uśmiechnęła się i także uniosła swój.

- Dobrze, w takim razie ja siądę za kółkiem - zdecydowała Frances Mae, a Trip tylko skinął głową. - Za to po kolacji dziewczęta wystąpią ze specjalnym programem dla babci i cioci, dobrze, dziewczynki?

- O tak, nie mylisz się, mateczko - odparła Amelia z szelmowskim grymasem.

A to mała spryciara.

- Czyżbyś miała romans z językiem angielskim? - zażartowała.

- Tylko randki - odpaliła - na romans jestem jeszcze za mała.

- Amelio! - wykrzyknęła Frances Mae.

- Myślę, że nasz posiłek możemy uznać za zakończony - obwieściła matka. - Na kawę przejdziemy do salonu.

Dziewczęta odepchnęły krzesła i wypadły z jadalni. Trip jeszcze raz napelnił swój kieliszek, po czym wstał, chwiejąc się lekko, wreszcie wyszedł, wsparty na ramieniu Frances Mae. Matka nie ruszała się z miejsca, tylko spoglądała w moją stronę, jakby wierzyła, że znam jakieś remedium na podobne zachowanie.

- Na swój sposób ona czyni go szczęśliwym, mamó - powiedziałam.

- Tego właśnie nie jestem w stanie pojąć - odrzekła. Prychnęła, przykryła moją dłoń swoją ręką i odezwała się z wielką powagą w głosie: - Ona pragnie mojego domu. Chce, abym poszła do zakładu opiekuńczego, bo wtedy mogliby zająć ten dom.

- Po moim trupie - oświadczyłam z mocą, i było to szczere zapewnienie.

Przedstawienie moich bratanic wymagało podkładu muzycznego. Frances Mae włożyła do odtwarzacza przywiezioną ze sobą płytę. „Cztery

pory roku". Zasiadliśmy na sofie i na krzesłach, czekając na rozpoczęcie spektaklu i dziwiąc się, że w ogóle słyszała o Vivaldim.

Pojawiła się Millie, przynosząc świeżo zaparzoną kawę, oczywiście dzbanek bezkofeinowej, i drugi, mieszanki. Postawiła je oba na niewielkim stoliku, wraz ze srebrnym serwisem. Serwis stanowił jeden z ostatnich prezentów tatusia dla matki. Pamiętam dzień, kiedy jej go ofiarował. To było w Boże Narodzenie. Serwis nadszedł zapakowany w pudełka, błękitne niczym jajko drozda i przewiązane czerwonymi wstążkami. Tiffany. Każda sztuka, nie wyłączając olbrzymiej tacy, umieszczona była na niewielkiej podstawie w kształcie słoniowej nogi, każdą ozdabiały inicjały matki; eleganckie w kroju litery, ręcznie grawerowane. Matka otwierała pudełka po kolei, a my przypatrywaliśmy się temu z zapartym tchem. Serwis wydawał mi się najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam. W idealnie wypolerowanej tacy mogłam obejrzeć ani odrobinę niezniekształcone odbicie swojej twarzy.

- Zjrzyj do czajniczka na herbatę - powiedział ojciec.

Matka popatrzyła najpierw na Tripa, potem na mnie. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie: *A cóż takiego nadzwyczajnego może kryć w sobie czajniczek do herbaty?* Wyjęła ze środka bladoniebieski aksamitny woreczek. Otworzyła go i wówczas naszym oczom ukazały się największe, najbielsze perły, jakie można sobie wyobrazić.

- Z mórz południowych - powiedział tatuś.

Wzruszona jego hojnością matka wybuchnęła płaczem. Tatuś zapiął jej naszyjnik. Od tej pory codziennie wkładała go do kolacji. Rozmyślając o tamtym wydarzeniu, nalałam matce kawy i usiadłam z powrotem, patrząc, jak bezwiednie okręca naszyjnik wokół palców. Trip także nalał

sobie kawy, hojną ręką dolał do niej koniaku i opadł na fotel z podnóżkiem. Sprawiał wrażenie kogoś, kto lada chwila zapadnie w głęboki sen.

Moje trzy brataniczki czekały w holu na wezwanie Frances Mae. Dała sygnał i oto naszym oczom ukazały się trzy małe pociski burzące, na czubkach palców, z rękami wzniesionymi nad głową, prawdziwe baleriny. Najpierw Amelia, potem Isabelle, a na końcu Caroline, z wyrazem takiej powagi i skupienia na twarzy, że nie mogliśmy się nie uśmiechnąć, porozumiewawczo trącając się łokciami.

- Ręce ładnie, dziewczęta - zakomenderowała Frances Mae - ręce ładnie. Środkowy palec do kciuka.

Dziewczynki błyskawicznie poprawiły ułożenie rąk, łącząc odpowiednio palce, i zaczęły wirować po pokoju. Na moment zamarły w bezruchu, tworząc jedną linię. Amelia ruszyła pierwsza. Kręcąc piruety, przecięła pokój, zmierzając w przeciwległy kąt. Następnie przyszła kolej na Isabelle, zdeterminowaną postanowieniem, że jej występ musi przewyższyć produkcję siostry, i wirującą jeszcze szybciej. Wreszcie ruszył Przebrany w Sukienkę Szatan. Brzdęk, brzdęk, brzdęk! Podłogę pokryły okruchy waterfordzkiego kryształu. Przeżona Frances Mae zamarła, Trip skrzywił się, ja tylko czekałam.

- Wyłącz tę cholerną muzykę, Frances Mae - rzucił Trip, nagle odzyskując głos.

Pobladła Frances Mae wyłączyła stereo i muzyka umilkła.

- Nie, Trip, nie, synu, nie możesz przeklinać swojej żony - odezwała się matka. - Przecież Frances Mae jest w błogosławionym stanie, a poza tym ten kryształ należał do twojej części spadku. Za ledwie jeden

przedmiot mniej, który pewnego dnia przypomniałby ci o moim istnieniu. Jedno brzemię mniej.

Wiedziałałam, że matka żartuje, do Frances Mae natomiast zupełnie nie chciało to dotrzeć.

- Co takiego? Czy chcesz powiedzieć, że podzieliłaś już swoją własność między Caroline i Tripa? - zaczęła teraz tonem, jakim rzadko zwracamy się do kogoś, kogo darzymy szacunkiem.

Dała się złapać na haczyk. Kiedy Millie pojawiła się ze zmiotką, żeby zebrać potrzaskane kawałki, matka pastwiła się nad Frances Mae w najlepsze.

- Dziecko moje, oczywiście, że tak - mówiła. - Dawno już podzieliłam moje ziemskie dobra, i to zgodnie z prawem, wszystko na papierze.

- Dziewczęta, zaczekajcie w samochodzie. No, ruszcie się. Moje bratanice popędziły na złamanie karku, zatrzasnąjąc za sobą drzwi frontowe. Frances Mae stała zwrócona w stronę matki.

- To ja wożę cię, gdzie tylko zapragniesz, co tydzień cię odwiedzam, a moje dzieci własnoręcznie rysują dla ciebie kartki i przygotowują prezenty, a ty tak chcesz nas ukarać? Co twoja córka zrobiła dla ciebie ostatnio? - Wyrzucała z siebie słowa i wymachiwała rękami niczym ktoś ogarnięty szaleństwem.

Nikt z nas nie odważył się głośniejszemu odetchnąć, nawet Millie. Matka nie spuszczała z Frances Mae zdumionego spojrzenia, nie mogąc pojąć, że synowa mogła poważnie potraktować jej naprawdę żartobliwą uwagę. Teraz była Miss Lavinia, z twarzą pokrytą szkarłatem.

- Czas zbierać się do domu, Frances Mae - powiedział Trip, nagle zupełnie trzeźwy, wstając z fotela. - Przepraszam, mamó. Każdy z nas ma jakiś krzyż do dźwigania. Twoim brzemieniem są wnuczki-niezgrabki, a brzemieniem mojej drogiej małżonki język rozpuszczony niczym dziki mustang. - Pocałował matkę w policzek. - Dzięki za kolację i przykro mi z powodu kryształ. Jutro ci go odkupię.

- Nie zdołasz. Należał do mojej praprababki, Elisabeth Kent. Dostała go od samego generała Roberta E. Lee z okazji zaślubin z moim prapradziadkiem Henrym Wrightem Heywardem V - recytowała matka z kamienną twarzą.

Kłamała jak z nut. Wygrała wazon na wencie w klubie ogrodniczym, kiedy byłam mała. Przecież pamiętałam to doskonale.

- Doskonale - skwitował Trip. - Czekam w samochodzie, Frances Mae.

- Nigdzie nie czekasz - odparowała piskliwie. - Nikt z nas się stąd nie ruszy, dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkiego. Matko Wimbley, w tym domu obrażano mnie już tyle razy, że doprawdy starczyłoby tego na milion lat. Wiem, jakie zdanie masz o mnie, że nie jestem wystarczająco dobra dla twojej rodziny. Nie dbam o to. Chcesz zapisać wszystko Caroline, zapisuj. Tylko nie myśl sobie, że między nami będzie tak jak dawniej.

Matka, Miss Lavinia, zrobiła się popielata. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się, aby ktoś przemawiał do niej w ten sposób. Powietrze w pokoju zrobiło się tak gęste, że trzeba by chyba maczety, żeby wyrąbać sobie drogę na zewnątrz.

Matka znów dotknęła palcami pereł, popatrzyła przeciągle na Frances Mae i odezwała się:

- Dobranoc, Frances Mae, jedź ostrożnie.

Po tych słowach opuściła pokój, a zaraz za nią Millie. Trip już wcześniej poszukał sobie schronienia w samochodzie, tak że zostaliśmy tylko we dwie, ja i ta królowa między siostrzyczkami Belzebuba.

- Frances Mae, przecież matka tylko żartowała - zaczęłam, próbując ją jakoś uspokoić, ale ślepy gniew zagnał moją bratową tak daleko, że nie sposób było przewidzieć, co zaraz powie albo uczyni.

- Jasne, bo tobie się wydaje, że jesteś taka dama, że nawet nie żujesz jak inni. Nie żujesz? Ja tej rodzinie dałam troje dzieci i niedługo dam czwarte, a ty zdołałaś wyprodukować zaledwie jedno, i to żalosnego debilka.

- O czym ty mówisz, Frances Mae?

- O tym, o czym wszyscy wiedzą, Caroline. Że twój chłopiec jest... jest niedorozwiniętym matosem.

- Gdyby nie to, że jesteś w ciąży, wytrząsnęłabym z ciebie wszystkie wnętrzności, Frances Mae. I tylko temu oraz swojej niewiarygodnej wprost tępotnie zawdzięczać będziesz brak fioletowych sińców pod oczami dziś wieczorem.

- O, jak się ciebie boję - zadrwiła, udając odważną, ale przecież widziałam, że trzęsie się ze strachu, wargi jej drżą i z trudem przełyka ślinę.

Przestraszyłam się, że jeszcze gotowa mi tu zemdleć, bo pobladła jak papier.



- Twój smarkacz ma zdeformowany mózg, więc lepiej trzymaj swój brudny pysk z daleka od moich dzieci.

- Frances Mae, niech Bóg wspomaga twoje nienarodzone dziecko i mojego brata. Jesteś najbardziej prostackim, tępym, chciwym, zazdrosnym, pozbawionym klasy pomiotem, z jakim miałam nieszczęście się zetknąć. Jeśli chcesz wiedzieć, jak wygląda debil, popatrz w lustro, Frances Mae, popatrz tylko w lustro. Siedzi w nim taki jeden szpetny, z wargami tłustymi jak u fladry, i czeka, żeby cię zobaczyć. I możesz sobie mówić, co chcesz, ale nie masz prawa choćby przez pięć minut przebywać w towarzystwie porządnych ludzi, bo hańbisz tylko nazwisko mojego ojca.

- A idź do diabła, ty i twoja mamuśka także!

- Frances Mae, jak długo jestem w tym w pokoju, to jestem u siebie. Moja matka również. Dlaczego nie pójdziesz do domu, zanim cię stąd wywalę na zbity pysk?

- Ulżyj sobie. Jesteś niczym, snobującą się wiedźmą. Brak ci odwagi, aby tknąć psiego gówna, a co dopiero mojej dupy!

- Wynoś się z mojego domu - powiedziałam.

Mój dom. Wróg w odwrocie. Moment triumfu. Frances Mae śliniła się, wstrząsana drgawkami. Oddech miała głośny i chrapliwy.

Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć.

- Przecież twoja mamuśka jeszcze nie umarła! Żyje jeszcze, może nie? No co, żyje? Odpowiadaj, do cholery.

- Frances Mae, mój syn nie jest debilem i dopóki nie cofniesz tych słów i mnie nie przeprosisz, nie odezwę się do ciebie.

Z wściekłości wszystko się we mnie gotowało. Albo natychmiast zejdzie mi z oczu, albo zrobię coś, czego później będę żałowała do końca

życia. Nagle usłyszałam nowy dźwięk, jakby szemranie strumyczka wody. Popatrzyłam na podłogę. Wokół stóp Frances Mae rozszerzała się kałuża moczu.

- A teraz posprzątaj, ty gówniana damo. To twoja wina, bo doprowadziłaś mnie do takiego stanu.

- Dobranoc, Frances Mae.

Nie czekałam, żeby zobaczyć, co jeszcze przyjdzie jej do głowy, tylko odwróciłam się i wyszłam. Boże. Naprawdę nasikała na podłogę. Na pastelowy dywan Aubusson matki! Jeśli dzisiaj w nocy zacznie rodzić i dziecku coś się stanie, cała wina spadnie na mnie.

Ruszyłam powoli przez hol do jadalni, przystając, żeby pogasić światła. Zatrzaśnięte gwałtownie drzwi frontowe omal nie wyskoczyły z zawiasów. Pchnęłam drzwi kuchni, prawie zwalając z nóg -i matkę i Millie.

- Brawo, dziewczynko - powiedziała Millie, dając mi lekkiego klapsa w pośladek.

- Zwycięstwo - obwieściła matka. - A teraz strzelimy sobie po maluchu, żeby nam się lepiej spało.

- Matko - powiedziałam, myśląc o delikatnym kobiercu Aubusson, odorze moczu Frances Mae i o tym, że ja, która rzadko sięgałam po alkohol, wychyliłam już dwa duże kieliszki wina, i to z entuzjazmem - dla mnie podwójną porcję.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*O, Nevil, ten to miał tupet. Umarł przede mną i teraz muszę sama użerać się z tym wszystkim. Mam nadzieję, że na tamtym świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, ponieważ, Bóg mi świadkiem, na tym jej nie uświadczysz. Albo taka Caroline. Jest zbyt łagodna, aby to mogło wyjść jej na dobre. Już miałyśmy zacząć poważnie rozmawiać po obiedzie, kiedy... Boże, litości... Ale zdaje się, że ona też zaczyna dostrzegać to, co i ja widzę. Jestem bliska depresji.*

RS

## **Rozdział 16**

### ***Magia Millie***

Millie i matka, stojąc w milczeniu, w przyćmionym świetle wyszorowanej do połysku kuchni, i spoglądając na mnie wyczekująco, wyglądały niczym dwie niesforne dziewczynki. Szumiąca zamrażarka i zmywarka do naczyń stanowiły zwykły wieczorny akompaniament.

- I co? - zapytała matka.

- Nie mam ochoty o tym mówić - odparłam. - Dalajlama twierdzi, że powinniśmy kochać naszych wrogów, bo to nasi najlepsi nauczyciele. Poza tym to wszystko jest zbyt deprymujące.

Matka uniosła w górę kąciki ust i obdarzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- Boże wielki.

Popijała bourbona z lodem. Wyciągnęła szklaneczkę w moją stronę.

- Chcesz łyczek?

- Boże, ależ to pyszne. Nie próbowałam bourbona już od lat.

- Bourbon z wodą - zauważyła matka - to jedyna rzecz, bez której nie chciałabym dłużej egzystować. - Nalała mi drinka.

Millie, z rękami założonymi na piersiach, stała oparta o zlew, wpatrując się we mnie, jakbym postradała zmysły.

- I jeszcze bez tych paninych papierosów. Idę przynieść zastawę po kawie - oznajmiła. - Kochać swoich wrogów? *Humph*, a co to za nowy rodzaj głupoty?

- A ja idę do łóżka - powiedziała matka.

- Pomogę ci, Millie - zaoferowałam się, całując matkę w policzek. - Ja też niedługo pójdę na górę.

Matka skinęła głową i zdusiła niedopałek papierosa.

- No to dobranoc wszystkim. Millie, dziękuję za wspaniałą kolację.

Naprawdę nie widzę nic złego w tym, że matka i córka obdarzają się nawzajem zaufaniem. Naprawdę nic.

- No dobrze - ustąpiłam. - Słyszeliście naszą rozmowę?

- Po co miałabym o nią pytać, gdybym słyszała? - odpowiedziała pytaniem matka.

Millie stała cicho.

- I co? - powiedziałam, patrząc prosto na nią.

- Myślę, że akcent ma gorszy niż najgorsza biała nędza w całej Karolinie Południowej - zawyrokowała.

- Nasikała na dywan - oznajmiłam.

- Wielkie nieba! - Na twarzy matki odmalowało się zdumienie. - Na mojego aubussona?

- Nie przejmuj się, to zejdzie. Trzeba wyczyścić sodą. - Wodziłam wzrokiem od Millie do matki, oczekując dalszych komentarzy, ale najwyraźniej fakt, że moja bratowa zsikała się na rodowe dziedzictwo, zarygłował im szczęki lepiej niż *rigor mortis*. Przynajmniej na chwilę.

Wreszcie matka odezwała się i wypowiedziała sakramentalne słowa, przywoływane, ilekroć coś wyprowadziło ją z równowagi.

- Cóż, szczęśliwa jestem, że twój ojciec tego nie doczekał. To by go zabiło.

- Bez wątpienia - zgodziłam się.

- Jak na to zareagowałaś? Skłęłaś ją porządnie?

- Chyba nie sądzisz, że dałam jej satysfakcję usłyszenia, jak przeklinam. To by oznaczało, że między nami istnieje jakiś związek, a Bóg mi świadkiem, że nie łączy nas absolutnie nic.

- Moja krew, moja dziewczyna. Nigdy nie przeklinaj w obecności wroga. I co było dalej? - Raz obudzona ciekawość matki nie dawała się tak łatwo zaspokoić.

- Mamo, jestem wykończona. Porozmawiamy jutro.

- Niech będzie - zgodziła się. - Faktycznie masz za sobą długi dzień.

- Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po ramieniu. - Dobranoc, Millie, dziękuję za wszystko.

Byłam zbyt zdenerwowana, by dokonać racjonalnej oceny wydarzeń dzisiejszego wieczoru. Serce waliło mi jak oszalałe, a sen odbiegł mnie zupełnie. Scena z Frances Mae miała w sobie coś z atmosfery Kafki. Jeśli ktoś atakuje twoje dziecko, reagujesz, nie ma innej rady. Wszystkie mądre maksymy typu: „Dotrzyj do źródła”, nie przemawiają do ciebie i nie pomagają. Jeśli ktoś zaatakował Erica, ciśnienie podskakiwało mi natychmiast, daleko wykraczając poza skalę Richtera.

Odwróciłam się do Millie.

- Chodźmy, poszukam sody.

Zdjęłam rolkę papierowych ręczników z chromowanego uchwyty i zaczęłam grzebać w stojącej szafce w pokoju kredensowym, gdzie matka przechowywała środki czystości. Millie czekała. Znalazłszy niewielką buteleczkę, poszłam za nią do miejsca, gdzie Frances Mae zanieczyściła podłogę.

- Wiesz, dlaczego to zrobiła, prawda? - zapytała Millie.

- Millie, przecież widziałam to na własne oczy. Ze zdenerwowania przestała panować nad zwieraczami.

- Może tak, a może nie. Ja bym raczej powiedziała, że w ten sposób chciała zaznaczyć swoje terytorium.

- *Whoa!* Niczym pies myśliwski? Nie wydaje mi się, żeby była aż tak przebiegła.

- A ja sądzę, że gniew i nienawiść są w niej czymś tak naturalnym, że dała im upust, nawet o tym nie myśląc. Postanowiła dać ci do zrozumienia, że zajmujesz jej miejsce i że ona tego nie akceptuje.

- Na Boga, Millie. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówisz, to chyba powinniśmy mieć się na baczności przed jej szaleństwem.

- To ty powiedziałaś, kochanie. I właśnie tak uczynimy.

Opróżniłam buteleczkę i patrzyłam, jak soda pieni się na dywanie. Byłam pewna, że Millie i jej czary uchronią nas przed gniewem Frances Mae. Położyłam na płomień sześć papierowych ręczników, jeden na drugim, potem uniosłam je, ujmując za brzeżki, i rozłożyłam kolejną warstwę. Podniosłam głowę; Millie stała obok mnie z plastikowym workiem na śmieci i następną buteleczką sody.

- Lepiej powtórz tę operację - doradziła - a potem pójdziemy do ogrodu rozprawić się z Frances Mae. Nie będą się nam tu kręciły żadne złe duchy i siały zamęt.

- *Yeah*, lepiej faktycznie coś z tym zrobmy. Jak ją znam, gotowa się tu pojawić, dzierżąc jedną z myśliwskich strzelb Tripa.

Na samo wyobrażenie tej sytuacji brwi Millie wystrzeliły w górę. Moje zresztą także.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała.

- Nie żartuję. Lepiej wyjdźmy stąd.

Wiedziałam, że pójdziemy do domku Millie i do jej magicznego ogrodu. W dzieciństwie uwielbiałam, kiedy dopuszczała mnie do swoich zielarskich i magicznych praktyk. Nie ukrywam, była to forma voodoo. Mimo to nasze odprawiane wspólnie skromne obrządki, mające przynieść rozwiązanie jakiegoś problemu, należały do najwspanialszych momentów, jakie życie w Wysokich Sosnach mogło mi ofiarować. Niemal już pogrzebałam w pamięci podniecenie towarzyszące szykowaniu torebeczek gris-gris i buteleczek zawierających środki na rozmaite dolegliwości. *Yeah*, jeszcze trochę i Frances Mae dostanie, co się jej należy.

- Najpierw musimy zebrać trochę cmentarnego prochu - powiedziała Millie. - Możemy posłużyć się moim wózkiem golfowym.

Proch cmentarny! Wyszliśmy na dwór kuchennymi drzwiami. Był kwadrans po jedenastej. Nocne powietrze pochłodziło nieco, choć miliardy gwiazd i księżyc stojący niemal w pełni promieniowały ciepłym odblaskiem. Millie przekręciła kluczyk i wózek wystrzelił do przodu. Jechaliśmy przez trawnik, mijając przystań dla łodzi, domek Millie, stodołę, wiatrak, lodownię, psiarnię i oranżerię. Następnie skręciliśmy w wąską, wysypaną żwirkiem i muszelkami dróżkę i posuwałyśmy się nią do przodu, żeby w końcu dotrzeć do kaplicy rodzinnej i cmentarza.

Kaplica, wzniesiona w 1860 roku przez Williama Oliviera Kenta, służyła kilku okolicznym plantacjom. Odprawiano w niej nabożeństwa, udzielano ślubów, chrzczono dzieci. Przestała pełnić swoją funkcję, kiedy baptyści wybudowali wielki kościół w Jacksonboro.

Jako dziewczynka często bawiłam się w niej, choć wiedziałam, że jest nawiedzona jak żadne inne miejsce na plantacji. Aby zostać przyjętym



do mojego klubu, należało spędzić w niej samotnie piętnaście minut, udowadniając w ten sposób młodzieńcze męstwo i brawurę. Czasami moi przyjaciele nieźle najedli się strachu, kiedy w starych organach coś zajęczało albo wiatr zaświstał przez wybite szyby. Mnie lęk się nie miał. Fascynowało mnie ciemne, poplamione szkło witraży, stary, zatęchły zapach pobudzał fantazję, każąc wyobrażać sobie rzeczy, które większość dorosłych przyprawiłyby o koszmar nocny. Rwałam się do innego świata i o każdej porze wzywałam moich zmarłych przodków, żeby przemówili do mnie. Wierzyłam we wszystko.

Po śmierci ojca matka, bardziej od niego praktyczna, kazała wysprzątać i odnowić kaplicę. Czasami urządzała w niej prośzone obiady albo koncerty kameralne. Tym sposobem mój klub na zawsze stracił siedzibę.

Moi zmarli krewni spoczywali na niewielkim cmentarzyku, tuż przy kaplicy. Moja prapraprababka Elisabeth Booth Kent Heyward kazała pochować swoich rodziców - a moich pierwszych amerykańskich przodków - w podwyższonej krypcie, na wysokim brzegu rzeki. Ilekroć - o ile oczywiście było tak naprawdę - ich duchy zapragnęły podnieść się z grobu i rozejrzeć po tym świecie, mogły podziwiać najwspanialsze, najbardziej nieprawdopodobne widoki słonecznej tarczy, wschodzącej nad wodami. Grobów było wiele -niektóre malutkie - mogiłki dzieci, które zabrała żółta febra albo wietrzna ospa, inne, duże, z pięknie rzeźbionymi kamiennymi epitafiami, sławiącymi cnoty zmarłych i heroizm poległych w wojnie bohaterów. Niski ceglany murek ze zwieńczeniem otaczał każdą mogiłę, a wyższy, z pilastrami w narożach i prętami z kutego żelaza, cały teren cmentarzyka.

Pokonałyśmy trzy ceglane schodki i pchnęłyśmy żelazną bramę. Zaskrzypiała przeraźliwie, jakby bolejąc nad każdą stratą, poniesioną przez rodzinę w ciągu wieków.

- Boże, Millie, jak sądzisz, czy to miejsce jest nawiedzone? Może powinniśmy przyjść tutaj zaopatrzone w trzy zmieszane oleje?

- *Humph*, właśnie na obecność duchów liczę. Złożymy wizytę panu Nevilovi. Musisz go zapytać, co on o tym myśli.

Potarłam dłońmi ramiona i ruszyłam przez cmentarzyk, mijając kolejne groby, wreszcie przystanęłam przy miejscu spoczynku mojego ojca.

### *James Nevil Wimbley II*

**1927-1974 Ukochany mąż i ojciec**

*Wieczorna gwiazda i zorze, I głos, którego nie zgłuszę*

*I niepotrzebny jęk przy zaporze, Gdy na ocean ruszę.*

Całkowicie opanowana, przysiadłam na niskim murku na skraju ojcowego grobu, wodząc wzrokiem po literach na płycie. Błękitnawa poświata nocy, ostre zapachy i dźwięki dochodzące od rzeki płynącej zaraz za krawędzią urwiska, sam fakt przebywania w miejscu, gdzie pochowano mojego ojca - wszystko to sprawiło, że myślałam wnikliwiej i odczuwałam głębiej.

Millie odeszła gdzieś na bok i po chwili wróciła, trzymając muszlę zabraną z wózka golfowego. Oddaliła się ponownie, stając na samym skraju urwiska; w świetle księżycy jej sylwetka rysowała się wyraźnie na tle nieba. Była moją ochroną, ucieleśnieniem magicznych mocy, wszystkim jednocześnie.

Wiedziałam, czułam, że cokolwiek powiem teraz ojcu, on to usłyszy. Wiedziałam też, że odpowie na prośbę mojego serca. Nie rozmawiałam z nim od lat, ale poddałam się rytuałowi z taką łatwością, jakbym zaledwie wczoraj po raz ostatni przyzywała jego ducha. Uklękałam i zaczęłam odmawiać ułożoną przez siebie modlitwę.

Boże wszystkich rzeczy, matko wszystkiego, pobłogosław duszy mojego ojca, jego rodzinie i tym, którzy go znali i kochali. Proszę, pozwól mojemu ojcu przemówić w moim sercu, gdyż potrzebuję jego rady.

Skoncentrowałam się i czekałam, aż wreszcie mogłabym przysiąc, że ojciec znajduje się teraz w moim wnętrzu.

Tato, nie spodoba ci się to, co powiem. Trip i Frances Mae znęcają się nad matką. Chcą, aby opuściła Wysokie Sosny, żeby mogli się do nich przenieść. A Millie chyba niedługo odejdzie na emeryturę; tak mi się przynajmniej wydaje. Oprócz tego straszliwie pokłóciłam się z Frances Mae dzisiejszego wieczoru. Nie wiem, co mam teraz zrobić. Proszę, pomóż mi. I proszę, pomóż mi też odnaleźć drogę do Richarda i Erica. Kocham cię, tato, i bardzo mi ciebie brakuje. Modlę się za ciebie każdego dnia, ale przecież ty wiesz o tym.

Czując twardą kulę, nabrzmiewającą mi w gardle, usiłowałam się uspokoić, wyciszyć swój umysł, by głos ojca dotarł do mnie jak najwyraźniej. Usłyszałam kilkakrotnie powtórzone słowa: *Bądź moją córką*. To wszystko. Otworzyłam oczy i westchnęłam, niemal spodziewając się, że zaraz ujrzę ojca przed sobą. Zgarnęłam do muszli trochę ziemi z grobu, z tego miejsca, gdzie znajdowało się jego serce. U mojego boku pojawiła się teraz Millie. Odebrała ode mnie konchę, jednocześnie drugą ręką podając mi jakiś przedmiot.

- *Yanh*, daj mu spróbować mojego gumbo. Nikt tak za nim nie przepadał, jak pan Nevil.

Trzymałam w ręku niewielki plastikowy pojemnik, w którym znajdowały się trzy, może cztery łyżki gumbo. Otworzyłam go, wygrzebałam palcem w ziemi niewielką jamkę, wlałam do niej zawartość pojemniczka i przykryłam, uklepując lodowatą glebę. Spojrzałam na Millie, posypującą czymś zebrane do muszli okruchy ziemi.

- O ile znałam tatę, wolałby raczej bourbona - uśmiechnęłam się. - Czego dodajesz, soli?

Sól miesza się z ziemią, aby utrzymać ją żywą razem z duchem.

- Nie, cukru. Masz rację. Następnym razem przyniesiemy mu trochę old crown. Już po północy. Lepiej wracajmy do domu, zanim przypędzi tu Miss Lavinia w koszuli nocnej i znajdzie nas, oblane księżycowym światłem. Po czymś takim twój brat z pewnością zamknąłby ją w wariatkowie. Ja mam mój proszek śmierci, a ty? Otrzymałaś odpowiedź?

- Och, Millie, nie jestem pewna.

- Nie śpiesz się, najpierw głęboko się zastanów.

Wracając, wstąpiłyśmy jeszcze do niej. Millie zajmowała drewniany domek z niewielkim gankiem od frontu. Stare fotele na biegunach, wyściełane niebieskimi i białymi, kwiecistymi poduszkami, i pełne, ciemnozielone, porozwieszane paprotki zapraszały do wejścia. Sam dom był niewielki, sześciopokojowy zaledwie, ale bardzo ładny. Millie zapaliła światła, najpierw w saloniku, a potem w kuchni, do której weszłyśmy, pociągając sznureczek zwisający z górnego żyrandola, połączonego z wiatrakiem. Napęłniła czajnik wodą i zapaliła pod nim gaz. Marzyłam o filiżance herbaty i ona o tym wiedziała.

- Jak tam twój ogród w tym roku?

- Chyba żartujesz sobie ze mnie, dziewczyno. Chcesz herbaty?

- Jasne, dzięki. Niech rozgrzeję zziębnięte kości. - Wiedziałam, że kiedy nadejdzie czerwiec, jej ogród rozkwitnie i zaowocuje wszystkim, co możliwe. Co roku tak bywało.

- Siadaj. Sama mi powiesz, co nagadała ci Frances Mae, że wprawiła cię w aż takie wzburzenie, czy też mam wydzierać to z ciebie kawałek po kawałku?

Usiadłam przy jej nieskazitelnie czystym kuchennym stole, podobnie jak to czyniłam co najmniej tysiąc razy w życiu. Zawsze przychodziłam tu, aby ulżyć sercu; teraz także. Stojak do serwetek z białych patyczków po lizakach, który zrobiłam dla niej kiedyś na obozie letnim, jeszcze jako mała dziewczynka, nadal stał na środku stołu, tkwiło w nim około dwudziestu starannie złożonych serwetek. Millie dotknęła go lekko palcami, nie spuszczając ze mnie baczego spojrzenia. Wreszcie nasze oczy spotkały się.

- Istnieją trzy powody, dla których zaraz opowiesz mi o wszystkim. Po pierwsze, jeśli tego nie zrobisz, nie dostaniesz herbatki, którą zbierałam specjalnie dla ciebie. Po drugie, w równym stopniu, co ty, chcę położyć kres temu idiotycznemu zamieszaniu, spowodowanemu przez twojego brata i jego żonę. Po trzecie wreszcie, ktoś w tej rodzinie musi zacząć się uczyć tego, co ja wiedziałam przez całe swoje życie, ponieważ kiedy odejdę, cała biblioteka powędruje za mną. Teraz ty będziesz moją partnerką. No już, zaczynaj.

Wstała, dając mi trochę czasu na przemyślenie jej słów.

- Tak jakby pozostawiono mi jakikolwiek wybór - powiedziałam.

Stała, odwrócona do mnie plecami, ale ze sposobu, w jaki poruszała głową, mogłam poznać, że się śmieje. Odsunęła czerwoną kraciatą zasłonkę, oddzielającą kuchnię od spiżarki, w której trzymała zioła. Po raz pierwszy od wielu lat ponownie ujrzałam ziołowy arsenał Millie. Na półkach stały rzędami słoje Masona, napełnione różnymi ingrediencjami, niektórymi sproszkowanymi, innymi w całości. Millie postawiła muszlę z ziemią cmentarną na kuchennym blacie i zaczęła zdejmować z półek poszczególne słoiki, zastanawiając się, czego by jeszcze do niej dodać. Zaczepywała zioła pełnymi garściami i wkładała do osobnych, małych miseczek.

Kuchenne okno, to nad zlewem, stanowiło coś w rodzaju niewielkiej cieplarni - z przedłużonym parapetem, osłoniętym taflami szkła, ujętymi w drewniane ramki. Na parapecie stały porostawiane stare gliniane doniczki z pieczołowicie hodowanymi ziołami, które czekały, aż na dworze zrobi się wystarczająco ciepło, by mogły powędrować do ogrodu. Millie sięgnęła ręką i skubnęła parę listków lawendy z niewielkiego krzaczka. Pozwoliła im opaść na krawędź zlewu.

- A gdzie mój rumianek?

Wyciągnęła rękę do kolejnej doniczki i zerwała kilka gałązek.

- Dziękuję ci, matko - rzekła.

Otworzyła tylne drzwi i pokazała mi gestem, że mam iść za nią. Z werandy na tyłach domu zeszliśmy do ogrodu. -Millie!

Dosłownie zaparło mi dech. Rozmarynowy żywopłot po jednej stronie napełniał powietrze upojnym zapachem, przytłumionym jedynie przez woń drzewek herbacianych, słodkim i jednocześnie cierpkim.

Grządki pełne kwitnących hiacyntów, tulipanów i żonkili. I kamelie,

wszędzie dookoła kamelie. Zerwałam z krzaka jeden płatek i trzymając go w palcach, rozmyślałam o tym, jaki cud stanowią kwiaty kameliowe. Miały śnieżnobiałe płatki, poznaczone pasemkami głębokiego różu. Wyglądały niemal zbyt idealnie, by mogły być prawdziwe. Pochyliłam się ku ziemi, wdychając zapach hiacyntów.

- Boże, Millie, co za niebiańskie zapachy. Sama nie wiem, czy chcę zjeść te kwiaty, czy wykąpać się w nich.

Roześmiała się.

- Jedno i drugie. Zanim pójdziesz, dostaniesz ode mnie trochę korzenia aligatora do kąpieli. I gałązkę herbacianego drzewka do sypialni. No, zbieraj się, czeka nas jeszcze robota.

Wróciliśmy do kuchni. Millie nie przestawała mówić, zupełnie jakby to był środek dnia. Moja głowa unosiła się gdzieś w chmurach zwiastujących rychłe nadejście wiosny.

- Marcowa pogoda każe mi myśleć o tym wszystkim, z czym muszę być gotowa przed nadejściem lata. Och, sama nie wiem, co każe mi zawracać sobie głowę koperkiem i bazylią. Nadejdzie czerwiec, nadejdą liszki i pożrą wszystko do ostatniego listka.

- *Yeah*, czerwcowe liszki są gorsze niż szarańcza. Ale czerwiec to także kwitnące jaśminy.

Zagwizdał czajnik, więc przesunęłam go na skraj palnika. Millie przeniosła na stół miseczki z ziołami i muszlę z cmentarną ziemią. Zanim zaczęła mieszać zioła, zaparzyła herbatę.

- *Yeah*, czerwiec to także twoja matka, wariująca na punkcie swoich róż przez następnych sześć miesięcy.

Poprawiłam się w krześle. Millie postawiła przede mną filiżankę i spodeczek.

- Rumianek, skórka pomarańczowa, ziele świętojańskie i mięta pieprzowa.

Zalała wrzątkiem mieszankę ziół umieszczoną na wierzchu czajniczka.

- Będiesz się po tym znakomicie czuć. Podniosłam kubek i zaczęłam grzać o niego dłonie.

- Jak tylko napijemy się herbaty, poszukam diabelskiego ługu i obrzyneków dziesięciopensowych. Potem odprawimy króciutką ceremonię i na koniec pójdziemy odczynić dom twojej matki, zabezpieczyć go przeciw knowaniom Frances Mae i innym złym urokom. No więc powiedz mi w końcu. Nie możemy tu siedzieć przez całą noc, nie mamy na to czasu.

- Ale obiecaj, że nie wpadniesz w gniew.

- Nie obiecuję niczego, dopóki nie usłyszę całej historii od początku do końca.

- No dobrze. Powiedziała, że Eric jest debilem. Och, Millie chciałam ją uderzyć. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam, a ją byłam gotowa stłuc na kwaśne jabłko.

Millie zerwała się z krzesła i wsparła rękami pod boki. W złości robiła się z niej prawdziwa Gullah, tak że wystraszyłam się trochę, patrząc na jej dzikie, nieopanowane ruchy. Omal nie zaczęłam płakać.

- Powiedziała tak? Naprawdę tak powiedziała? Ta kobieta lepiej by zrobiła, trzymając język za zębami. Takie gadanie nie przyniesie nic dobrego dziecku, które nosi pod sercem. Sprowadzi tylko złe *juju*. *Yanh*, ona nie ma racji, a ja ją zaraz...



- Millie, Eric nie jest debilem, jest mądrym, pełnym energii, słodkim dzieckiem.

Podniosłam kubek do ust, a moje oczy napęłniły się łzami. Łzy, wielkie, zdradzieckie łzy, spływały mi po policzkach.

Millie zobaczyła, że płaczę, i gwałtownie urwała swoją tyradę. Westchnęła głęboko, położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała spokojniej:

- Sza, Caroline, z twoim chłopcem będzie wszystko w porządku. Jest doskonały. A ona nigdy już nie odezwie się do ciebie w ten sposób. Niechby tylko spróbowała. Zobaczy wtedy, gdzie wylądje, możesz jej to ode mnie powtórzyć. Najchętniej byłabym jej dołożyła, ale nic by to nie dało... Życie jest rzeką, a woda nie przestaje płynąć. - Pogrzebała w kieszeni i wręczyła mi chusteczkę. - *Yanh*, wytrzymaj nos i mów, co twój tatuś powiedział, dziecino.

- Powiedział: bądź moją córką. Co to może znaczyć, do diabła? Przecież jestem jego córką. - Łzy płynęły mi po policzkach nieprzerwaną strugą.

- Nie wiem, ale to się okaże z czasem. Dziecko, spróbuj opanować jakoś te łzy. No, cicho już, cicho, wszystko będzie dobrze.

Popatrzyłam na Millie. Mocno zaciśnięte wargi robiły wrażenie niemal białych.

- Nienawiść jest czymś strasznym. Nie powinniśmy dopuszczać do tego, aby nami zawiądnęła. Ale nie wolno też mówić takich rzeczy o dzieciach.

- Frances Mae to prawdziwa wiedźma.

-I w dodatku głupia. Ale ona jeszcze dostanie za swoje. No, chodź, skoncentruj się przez chwilę, masz przecież dar widzenia, wiedziałam o tym, odkąd w czepku przysłałaś na świat. Wizji jeszcze nie doznałaś, ale przynajmniej potrafisz słyszeć.

Siedziałam z czołem wspartym na przegubach dłoni, pochlipując jak mała dziewczynka. Czepek. Nasłuchiwałam się o nim wiele razy. Poród odbierała położna z Wysokich Sosen, mając Millie do pomocy. Ku swojemu zdumieniu zobaczyły, że wokół czaszki mam czepek, cieniuteńką błonę, która - tak przynajmniej zarzekała się Millie - wskazywała na to, że jestem obdarzona psychicznymi siłami, potencjałem czy czymś tam jeszcze. Millie zachowała nawet ten czepek, wysuszywszy go uprzednio, rozpostarty na kartonie. Mnie ta praktyka wydała się nieco odrażająca, ale nigdy nie powątpiewałam w słowa Millie. Maleńkie drobiny, których używała, odprawiając ceremonię mające zapewnić mi bezpieczeństwo i ochronę, musiały mieć w sobie potężną moc.

- Boże drogi, dziecino moja, za dużo zmartwień siedzi w twojej głowie. - Zobaczyła, że trochę się uspokoiłam. - Chodź, zrobmy, co mamy zrobić, późno już.

Poczułam spływającą na mnie ulgę. Dobrze było zwierzyć się Millie. Przez całe życie mówiłam jej rzeczy, których nigdy nie powiedziałabym matce. Już samo powierzenie sercu Millie moich problemów było niemal jednoznaczne z ich rozwiązaniem. Choć nie do końca. Złość na Frances Mae wciąż gotowała się we mnie.

Ruszyłam za Millie, niosąc miseczki i muszlę. Skierowałyśmy się w stronę szafy ściennej w dziennym pokoju, w której w każdym normalnym domu wisiałyby płaszcze. Ale nie w domu Millie. Po otwarciu drzwi

ukazywał się ołtarz orishów, anielskich bóstw, czczonych przez religię ife, praktykowaną przez plemię Joruba. Nie muszę chyba mówić, że Millie była jej kapłanką. Nie stanowiło to zresztą żadnego sekretu. Od lat ludzie z całego Lowcountry przychodzili do niej po radę albo po leki.

Ołtarz stanowił osobliwą kolekcję gipsowych i drewnianych figurek chrześcijańskich świętych i glinianych posążków afrykańskich bożków. Jezus, Maria i święty Józef, w rozmaitych wariantach i konfiguracjach - od Świętej Rodziny po samego Jezusa, a ten z kolei raz jako Praskie Dzieciątko, kiedy indziej jako Najświętsze Serce. W samym środku, na niewielkim podwyższeniu, nakrytym biały obrusem, zdobionym po brzegach koronką stanowiącą bez wątpienia dzieło rąk Millie, królowała wielka gipsowa Madonna. Fotografie członków mojej rodziny, rodziny Millie i jej przyjaciół stały oparte o świece osadzone w szklanych pojemnikach rozmaitych kształtów i kolorów. Były tam też gliniane statuetki Ori, Oba-tali, Eshu, Oshun. Ogun, Oyi, Chango i pozostałych szesnastu aniołów, zwanych inaczej *odu*. Kiedy byłam mała, bawiłam się nimi niczym lalkami, podczas gdy Millie opowiadała mi o nich naj-rozmaitsze historie. Każde z bóstw uosabiało inną cnotę, a wszystkie służyły temu, by przypominać swoim wyznawcom, że mają znajdować najwyższe dobro w każdej rzeczy i w każdym z ludzi.

Wiedziałam też, że każda świeca reprezentuje inne bóstwo i że każdy kolor ma specjalne znaczenie. Wśród różnorodnych przedmiotów leżały również sznureczki z nanizanymi muszelkami ślimaków porcenelek i grzechotki z tykwy, przybrane piórkami. Minęło już piętnaście lat albo i więcej, odkąd widziałam ten ołtarz po raz ostatni, i to, co kiedyś skłaniało

mnie do chichotu, teraz przyjął z prawdziwym respektem, jako rzecz całkiem serio.

Millie strząsnęła kilka kropel wody na podłogę, a następnie zapaliła czerwoną świecę, poświęconą Eshu Elegba, potrząsnęła tykwą i powiedziała: „Iba! Elegba esu Iona!” (Pochwalony bądź, Elegba, który panujesz na drogach). Po tej inwokacji osunęła się na dół, dotykając podłogi prawym łokciem i prawym biodrem. To samo uczyniła następnie lewym łokciem i lewym biodrem. Ten przypominający ukłon gest oznaczał, że będzie zanosila modły do żeńskiej orishy. Przedtem jednak musiała przebłagać Eshu, który był pierwszym negocjatorem spośród starszych bóstw.

Zapaliła świecę dla Oyi, bogini cmentarzy, śmierci i ponownego przyjscia na świat. Podobnie jak w wielu religiach Wschodu, wyznawcy ife wierzyli, że pewne rzeczy muszą obumrzeć, by inne mogły się narodzić. Oyi - nieustraszoną wojowniczkę - przyzywano, kiedy ktoś potrzebował ochrony. Była też wichrem i dysponowała wielkimi zdolnościami psychicznymi. Millie wzywała ją w języku joruba, jednocześnie ucierając w moździerz ziemie z ziołami. Potem kilkakrotnie jeszcze potrząsnęła grzechotką i dwukrotnie zadzwoniła ręcznym dzwonkiem. Wreszcie zdmuchnęła świecę i zwróciła twarz do mnie. Wsypawszy proszek śmierci do plastikowego woreczka, odezwała się:

- No, wracajmy do wielkiego domu, zanim słońce wzejdzie. -

Włożyła mi coś do ręki. - To jest relikwia Świętego Jana Zdobywcy, która masz nosić przy sobie, gdziekolwiek się udajesz, a to korzeń aligatora do kąpieli. Będziesz po nim dobrze spała.

- Dziękuję - powiedziałam, wiedząc, że środek Millie na pewno świetnie poskutkuje. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam, to spędzić bezsennie noc, rozmyślając o sposobach zgładzenia bratowej.

Wracaliśmy tą samą wyboistą drogą. W kieszeni Millie grzechotały jej czarodziejskie ingrediencje, w mojej otrzymane od niej korzenie. Poczułam się wreszcie jak w domu. Wprost nie mogłam w to uwierzyć. Tu właśnie było miejsce, do którego przynależałam na tej planecie. Dlaczego przedtem się go wyrzekłam? Teraz, w błękitnym powietrzu nocy, przesyconym zapachem pinii i kwiatów, nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć powodu.

Wyskoczyłam z wózka golfowego. Skierowałyśmy się ku frontowym drzwiom. Millie umieściła pod schodami ług, mieszankę ziół i pojemniczek z obrzynkami.

- Do jutra będzie musiało wystarczyć. Amunicja Millie. Zawróciłyśmy i przy werandzie na tyłach domu powiedziałyśmy sobie dobranoc. Przez chwilę stałam przy schodach i patrzyłam, jak Millie odjeżdża w kierunku swojego domu. Wyrzuciła w górę rękę i pokiwała mi, zupełnie jakby miała oczy z tyłu czaszki. Odmachałam jej i jestem pewna, że to widziała, bo skinęła mi głową.

Co za noc! A przecież przebywałam w domu zaledwie od dwunastu godzin.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*W nocy widziałam, jak wykradają się gdzieś obie, Millie i Caroline. Millie z tym swoim hokus-pokus zaczyna mi już działać na nerwy. Ale wierzę gorąco, że znajdzie jakiś sposób, żeby usadzić Frances Mae. Ta dopiero przynosi wstyd rodzinie! Jestem pewna, że dywanowi to nie zaszkodziło, ale niechże mi ktoś powie, co wstąpiło w tę kobietę? Mam ją specjalnie honorować? O, niedoczekanie. Kiedy dziecko przyjdzie na świat, obdaruję je kompletem pieluch, a drugi sprezentuję jej. Poczekajcie, aż opowiem Sweetie i Nancy o ostatnim wyczynie mojej synowej! Co za noc.*

RS

## ***Rozdział 17***

### ***Wyprawa na ryby***

Poranek przywitał mnie wschodzącym słońcem, popiskiwaniami tysięcy piskląt domagających się posiłku i skrzeczeniem ptasich matek, upominających swoje dzieci, żeby zaczekały chwilę. Pożeglowałam jeszcze w krainę snu, ale wkrótce obudziłam się ponownie, na dźwięk głosu Tripa obrzucającego przekleństwami swoje psy za to, że ujadają na ptaki. Najwyższa pora pójść i zobaczyć, jak rozmiłowani w ryzyku mężczyźni szaleją na Edisto. Jeśli nadal coś należało do mnie na tym skrawku ziemi, to z pewnością kawałek tej rzeki.

Postanowiłam wskoczyć prosto w sobotni poranek, więc wstałam, przeciągając się. To niezwykle, ale czułam się wyśmienicie. I spałam tak spokojnie, prawie nie mnąc pościeli. No tak, naiwniaczka ze mnie. W końcu piłam herbatę u Millie. Bóg jeden wie, czego mi naparzyła. A potem jeszcze wzięłam szybką kąpiel w wodzie, do której wrzuciłam ten pokraczny korzeń aligatora. Richard pękłby ze śmiechu, gdyby o tym wiedział.

Włożyłam džinsy, biały T-shirt i, również biały, wełniany, rozpinany sweter. Duża szczotka poskromiła moje zmierzwione od snu włosy, mała wypędziła resztki nocy z zębów. Jeszcze tylko ściągnęłam włosy gumką i ruszyłam na poszukiwanie matki, przeskakując po dwa stopnie naraz. Znalazłam ją w kuchni, w towarzystwie Tripa. Siedziała w szlafroku, pogrążona w lekturze gazety, i popijała gorącą herbatę. Obok leżała nieodłączna paczka mentolowych papierosów Benson & Hedges 100. Papierosowy dym unosił się łagodnymi spiralami, z tą samą cierpliwością,

z jaką diabeł wabi ludzkie dusze. Niektóre rzeczy na zawsze pozostaną niezmienione.

- Dzień dobry - powiedziałam, całując ją w policzek i obdarzając Tripa żartobliwym kuksańcem.

- Caroline - odezwał się mój brat, odstawiając kubek na stół - dziękuję, że ostatniej nocy nie wybiłaś Frances Mae wszystkich zębów.

- To ciężki przypadek, leepiej zoostawmy go w spookoju... - rzuciłam, nalewając sobie szklanę soku pomarańczowego. - To takie francuskie wyrażenie, oznaczające: lepiej zostawmy go w spokoju. Nauczyłam się go od Miss Nancy.

- Nancy to istne źródło wszelkich informacji - wtrąciła matka, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Chociaż muszę przyznać, że perspektywa była kusząca - dodałam.

- Tym bardziej dziękuję, że wykazałaś opanowanie. Wybierzesz się ze mną na rzekę? - zapytał Trip. - Warunki idealne, przyływ. Pozwolę ci nawet stanąć przy sterze.

Poczucie winy musiało go mocno dręczyć, skoro zgodził się oddać ster w moje ręce.

- Na pewno ja steruję?

- *Yeap.*

- *Okay*, umowa stoi. Musisz rozpaczliwie pragnąć czyjegoś towarzystwa. - Wyszczrzyłam do niego zęby i prowokacyjnie uniosłam w górę brwi. Biedny facet. Naprawdę nie zasłużył sobie na tak barwną i dramatyczną personę, jak Frances Mae.

- Owszem, byle to byłby twardziel - odparł. Podniósł się i klepnął mnie w ramię. - Zbieraj się, *missy*.



- Szczerze wierzę, że moje dzieci mają ciała pokryte łuskami. Wolą siedzieć w wodzie niż na łądzie. - Niby żart, a przecież nie żart, subtelne draśnięcie w szyję niewielką rzutką z matczynego kołczanu, wywołujące poczucie winy; słowa wypowiedziane z uśmiechem, ale pomyślane jak najbardziej serio.

Matka spojrzała na nas ze swojego miejsca przy kuchennym stole i - rzeczywiście - uśmiechnęła się. Czytała nekrologi. Chyba była zadowolona, że nieodpowiedzialny wybryk mojej bratowej nie spowodował trzęsienia ziemi w naszych zagrodach i że Trip i ja nie skoczyliśmy sobie do gardeł. To jednak musi być bardzo upokarzające, mieć żonę, która odstawia takie numery.

Owinęłam jeden z upieczonych przez Millie biskwitów papierowym ręcznikiem i włożyłam do kuchenki mikrofalowej na dziesięć sekund. Potem chlapnęłam na niego trochę dżemu truskawkowego Sweetie i przełknęłam grzanekę w kilku kęsach.

- Na litość boską, Caroline, weźże sobie talerz i usiądź porządnie przy stole. Jesz, jakbyś wychowała się na drzewie.

Przełknęłam ostatnie okruchy, wysączyłam resztkę soku i odstawiłam szklankę do zmywarki.

- Już dobrze, mamó. Za godzinę Trip dostarczy mnie na brzeg i wtedy zaplanujemy resztę dnia, zgoda?

- Czy ja w tej sprawie w ogóle mam coś do powiedzenia?

- Miss Lavinio, skończ już z wyrzutami. Równy za godzinę będę z powrotem.

Musnęłam jej policzek kolejnym pocałunkiem, a ona uśmiechnęła się kącikami ust. Lubiała, kiedy nazywałam ją Miss Lavinią. Czasami.

- No dobrze, idźcie już i zostawcie mnie w spokoju. Boże miły, a to co znowu? Dole Clarkin odszedł do Pana.

Marszcząc brwi i zaciskając usta, pogrążyła się w studiowaniu nekrologu. Trip i ja zatrzymaliśmy się przy drzwiach kuchennych, czekając, aż zechce nas uraczyć bliższymi szczegółami.

- Kto to taki? - zapytał Trip, spoglądając na mnie. Nigdy nie słyszał o żadnym Clarkinie.

- Po prostu ktoś, kogo znałam, i to wszystko - wyjaśniła matka z westchnieniem. - Boże drogi, jakim on był wyśmienitym tancerzem!

- Dawna sympatia, co? No, matko, uszy do góry - rzuciłam, już w otwartych drzwiach.

Głośne czytanie nam urywków z gazety stanowiło część taktyki opóźniania naszego wyjścia z domu. Trip, który zdążył już wysliznąć się na ganek, przestępował z nogi na nogę, z coraz większym zniecierpliwieniem.

- No dobrze, dziecko, biegnij za bratem. Nie będę cię zanudzała opowieściami o dawnych kochankach.

- Kochankach? - Moje oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Caroline, chodźże już. Idziesz ze mną czy zostajesz? Matka podniosła wzrok, spojrzała prosto na mnie i uśmiechnęła się.

- Naprawdę, Caroline, nie każ bratu czekać na siebie, bo to niegrzecznie.

- Racja - przyznałam, zamykając drzwi. Klasyczne zagranie Lavinii. Przynęcić i odprawić. *Och, biegnij za bratem. Nie, zostań ze mną.* O Jezus. Znow otworzyłam drzwi. - Mamo, jak tylko wrócę, oddaję się do twojej dyspozycji i wówczas możesz mną manipulować.

Kiedy zobaczyła, że się śmieje, zmrużyła oczy i pokiwała głową.

- Weź kurtkę - rzuciła za mną.

Ignorując jej radę, pośpiesznie zbiegłam na dół tylnymi schodami.

Trip wyprzedzał mnie o dobre dwadzieścia jardów. Rozmawiał z Millie.

Dogoniłam ich oboje.

Poczułam ostry zapach sosen i wilgotnej gleby, tak charakterystyczny dla wczesnego poranka. Prawda, przecież po zapachu można określić porę dnia; niemal już zdażyłam o tym zapomnieć. Niebawem słońce wypije całą rosę i ten zakątek przesiąknie zupełnie innym zapachem. A jak będzie pachniał w południe? A tuż przed burzą letnią? Jakie to zabawne, pomyślałam, jak łatwo pozwoliłam tym wspomnieniom, tak bliskim, tak związanym z moją przeszłością, odpłynąć, zatrzeć się w pamięci. A jednak ACE dysponowała potężną mocą. Po powrocie do domu mogłabym podyskutować o tym z Richardem. Nie, lepiej nie, on zaraz uraczy mnie uczonym wykładem na temat percepcji zapachów i ich zapamiętywania, a ja będę siedziała z rozdziawioną buzią, wypisz wymaluj idiotka adorująca profesora. Raczej poszukam sobie czegoś na ten temat w Internecie.

- Dzień dobry - przywitałam Millie.

Psy Tripa przybiegły do mnie w podskokach. Wspaniałe zwierzaki, lśniące i zdrowe. Poklepałam je po łbach i za uszami. Trip hodował psy od lat. Czasami przyprowadzał parę golden retrieverów do polowań na ptaki, ale dzisiaj towarzyszyły mu labradory. Jeśli ktoś tak kochał zwierzęta, nie mógł być całkiem zły.

- Dzień dobry - odpowiedziała mi Millie.

Szłam, a psy podążały za mną trop w trop. Millie na swoim wózku golfowym podjechała mi naprzeciw. Zatrzymawszy się tuż przy mnie, zdjęła z ramion żakiet i podała mi ze słowami:

- Myślałam, że jesteś rozsądniej sza. Żeby wychodzić na dwór bez okrycia! - Popatrzyła na mnie groźnie.

- Dzięki - powiedziałam. - A ty co tu robisz o tak wczesnej porze?

- Jak to, dziewczyno, pamiętasz przecież, że muszę rozsypać proszek. - Klapnęła szczęką, żeby pobudzić moją pamięć. - Wczorajsza noc?

- No, przecież pamiętam. - Wyciągnęłam w jej stronę palec wskazujący. - Zobaczymy się później.

Trip zdążył już odkryć pokład, odwiązać cumy i uruchomić silnik. Kiedy wskakiwałam do środka, gotów był do odbijania. Psy przysiadły na brzegu, w oczekiwaniu na jego powrót.

- Nowa łódź?

- *Yeah*, wyrwałem ją z rąk pewnego bankiera, specjalisty od inwestowania. Mieszkał w centrum Charlestonu, w Battery. Teraz ma kawalerkę w Atlancie.

- Za którą pewnie płaci tyle samo. Atlanta słynie z bardzo ekskluzywnych mieszkań.

- Jego kawalerka do ekskluzywnych nie należy. W chłodziarce mam piwo.

Popatrzyłam na zegarek. Ósma. No, ładnie.

- Tak, fajnie, ale ja dziękuję - odmówiłam. -1 co, zrujnowało cię to maleństwo?

Trip poskładał liny na pokładzie i odepchnął się wiosłem od brzegu.

- Coś ty, trzydzieści patyków i miałem łódź gotową do odebrania. Daj mi heinekena, dobrze? A wy, dziewczynki, sprawujcie się dobrze. Niedługo wrócę - powiedział do psów.

- Jasne. Ależ to zwinka, ta twoja mała. - Czekałam na jego reakcję. Cisza. - Nie kojarzysz? Katherine Hepburn w „Filadelfijskiej historii”. Zwinka, teraz chwytasz?

- A, zwinka, jasne.

Zaczął się śmiać. Potrząsając głową, grzebałam w skrzyni z lodem. Wyciągnęłam najzimniejszą puszkę i wręczyłam mu. Jak na mój gust, Trip stanowczo pompował w siebie zbyt wiele. Zgoda, picie piwa na pokładzie łodzi stanowiło część tradycji Lowcountry, podobnie jak koktajle przed kolacją - nieodłączną część życia, a wino do kolacji było dowodem elegancji i wyrafinowania. Zaraz... czyżbym w ten sposób usiłowała usprawiedliwić zachowanie mojego brata? Ja, co prawda, nie wlewałam w siebie aż tyle, ale też nie byłam żadną świętą. Zwyczajnie nie lubiłam mieć zmaconej głowy. Richard błyskawicznie odnotowywał każdego mojego rausza i od razu raczył mnie kazaniem. A gdyby tego nie robił, czy wówczas piłabym więcej? Czyżbym stanowiła zły przykład dla mojego brata? Boże uchronij.

Płynęliśmy w dół rzeki, mijając po drodze starą plantację Hope i wiele innych. Zerkałam spod oka na Tripa. Musiałam przyznać, że służyła mu trzydziestka. Jako nastolatek, i nawet jeszcze po dwudziestce, wyglądał niczym wypłosz. Teraz podbródek mu się wypełnił, a godziny spędzone na rzece nadały jego cerze głęboki, brązowy odcień. Musiał czuć się bardzo samotny. Znaleźć się w jego skórze - kiepska sprawa. Tak, bez wątplenia z Tripa emanowało osamotnienie.

Przeniosłam wzrok na rzekę, na stare spusty na polach ryżowych. Stanowiły naprawdę wspaniałą wynalazek. Zdawało mi się niemal, że widzę, jak się podnoszą i opadają, słyszę mężczyzn nawołujących się w gullah. Po posadzeniu ryżu dozorca podnosił wrota i wówczas - podczas przyływu - czysta woda z rzeki napływała przez koryta, najczęściej sporządzone z wydrążonych pni. Dzięki niej ziarno mogło wykiełkować, a kiedy roślinki wystawiły już główki ponad powierzchnię wody, dozorca wyczekiwał odpływu, następnie otwierał wrota na przeciwnym krańcu pola i wówczas cała woda wracała do Edisto. Gdyby ta napływająca zawierała choć odrobinę soli, cały plon byłby stracony.

Otoczająca mnie sceneria skierowała moje myśli ku dawnym czasom. Konstrukcje wzniesione zręcznymi rękami niewolników, służące pomnożeniu bogactw białego człowieka. Ilekroć sobie to uświadamiałam, robiło mi się niedobrze. Wiedziałam o niewolnictwie więcej niż przeciętny biały, a to dzięki Millie i przez sam fakt, że moimi przodkami byli plantatorzy ryżu.

Już sam pomysł posiadania kogoś na własność przez całe życie budził we mnie niepokój, choć przecież kobiety w ten sposób traktowane były jeszcze do niedawna, a w niektórych zakątkach świata pod tym względem nic nie zmieniło się nawet dzisiaj.

Edisto zawsze działała na mnie tak samo - zmuszała do myślenia o rzeczach, które na co dzień ignorowałam.

O, rzeka była niczym kuglarz, chowający w zanadrzu wiele sztuczek. Na jednym obszarze niosła słodką wodę i tam żyły pewne gatunki ryb, skorupiaków, rosła inna szata roślinna; wodę tak czystą, że budziła w człowieku pragnienie zaczerpnięcia jej albo przynajmniej zanurzenia w

niej dłoni, kiedy łódź poruszała się z prądem, dokładnie tak, jak ja to czyniłam w tej chwili.

Zakola po obu stronach stanowiły dom dla najrozmaitszych stworzeń, od ostryg, aligatorów i krabów po rybołowy. Kiedy człowiek spoglądał w tę stronę, brzegi zdawały się wibrować od poruszeń ptaków, cykad i rozmaitego drobiazgu, zaprzątniętego sprawami swojego dnia powszedniego. Odrębny świat, świat w miniaturze, jeśli wyłączyć aligatory, oczywiście. Niektóre z tych bestii potrafiły osiągać naprawdę potężne rozmiary.

W dolnym biegu natomiast, w królestwie słonej wody, wszystko ulegało zmianie. Tu łowiło się inne ryby, słyszało śpiew innych ptaków, spotykało inne gatunki roślin. Niewyobrażalne piękno, rozciągające się wokół mnie, przejęło mnie nagłym lękiem. Pomyślałam o Tripie, o Frances Mae i o matce, wreszcie o powodach, które mnie tu przygnały.

Zjawiłam się w domu, mając do wypełnienia misję ustalenia faktów - do tej pory udało mi się poznać kilka z nich. Po pierwsze, sprawa mojej bratowej - absolutny horror. Frances Mae miała wybujałe ambicje, i to było gorsze nawet niż jej bezdenna głupota, jej wulgarność, wreszcie niż jej niskie pochodzenie. Po drugie, z matką wszystko wydawało się w porządku, jeśli nie liczyć problemu z pełnomocnictwami i fochów przy stole. Skąd Tripowi przyszło do głowy, że powinna się przenieść do domu opieki? Zupełnie nie byłam w stanie tego pojąć. Środków do życia nie brakowało jej z całą pewnością, a chociaż Millie posunęła się już w latach, i tak na stanowisku zarządzającej domem była lepsza niż tysiąc młódek. Po trzecie wreszcie, dlaczego Trip tolerował Frances Mae?

W ciągu ostatnich lat stał się przecież jednym z najlepszych specjalistów od spraw rozwodowych w całym hrabstwie Colleton. Wystarczyło, aby czyjaś żona położyła na stole wizytówkę Tripa, a mąż momentalnie stawał się prawdziwym wzorem do naśladowania. Zasada mego brata brzmiała: *dzielimy wszystko na połowę*, a na to nie miał ochoty godzić się żaden mężczyzna. Wybierał raczej regularne polowania i łowienie ryb i kompletne ignorowanie żony. Dokładnie według tego wzorca zdawał się postępować sam Trip, dodając do tego jeszcze zapijanie się na śmierć.

- Hej, Trip! -No?

- Oddawaj ster. Znam te wody równie dobrze, jak ty.

- Dobra, bierz!

Przejęłam ster i pchnęłam wajchę akceleratora, aż cały dziób uniósł się do góry.

- Hej, bo wypłoszysz wszystkie aligatory, o ile najpierw nas nie pozabijasz - mruknął mój brat przez zęby. Zawsze wygłaszał swoje opinie, mamrocząc pod nosem.

- Co mówisz? - Udałam, że nie słyszę, i jeszcze trochę przyśpieszyłam. Kątem oka widziałam, że się uśmiecha. Oboje lubiliśmy ścigać się z rzeką. To było niczym fruwanie; byle dalej, bez końca, jakby cały świat należał do ciebie. Powietrze nad wodą było gęste i zarazem delikatne; zapowiadał się piękny dzień.

- No to opowiedz mi o matce, Trip. Co się tu naprawdę wyrabia?

- Matka się starzeje, to wszystko.

- Mnie się wydaje taka sama. To znaczy, oczywiście, że się starzeje.

Wszyscy się starzejemy.



- Tak, to prawda. - Spoglądał przed siebie, w miarę jak zbliżaliśmy się do St. Helen's Sound. Był głęboko pogrążony w myślach.

- Powiedz coś jeszcze - zażądałam.

- Dobrze. Oto moja historia. Możesz mi wierzyć albo nie, ale matka naprawdę próbowała mnie zastrzelić. Cholernie dobrze wiedziała, że ten facet na przystani to ja, bo niby ktoś by inny. Zachodzę do niej co najmniej raz w tygodniu. Mówi, że czyściła broń. Może. Ale akurat przez czysty przypadek kilka dni wcześniej odbyłem z nią rozmowę na temat jej planów na przyszłość. Cholernie ją to zeźliło. Stara Lavinia nie lubi słuchać niczyich rad, co to, to nie.

Pomyślałam o tym, co kryło się za jego słowami. Przez cały czas kręcił się koło matki, bo chciał, aby się wyprowadziła z Wysokich Sosen, tak by Frances Mae mogła je zająć. Kiedy uświadomiłam sobie, że doprowadził matkę do takiej furii, że ta porwała się na równie nieodpowiedzialny wyczyn, zrobiło mi się przykro. Żadne z nich nie powiedziało mi dokładnie, jakie słowa padły między nimi, ale z pewnością nie należały do łagodnych. Chciwość jest czymś strasznym. Jeszcze potworniejszy jest strach. Postanowiłam niczego na razie nie komentować, poczekać, co jeszcze usłyszę. Przez chwilę płynęliśmy w milczeniu. Za nami ciągnął się kilwater, przed nami otwierała cieśnina. Wkrótce Trip odezwał się ponownie:

- Caroline, ty tutaj nie mieszkasz, więc nie wiesz, jak to jest. Matka nieźle dała mi popalić swoimi gierkami. Zresztą wczoraj wieczorem podczas obiadu sama widziałas. Rzuciła się na dziewczynki niczym buldog. I to jej gówniane skapstwo. Frances Mae może być wrzodem na

królewskiej dupie, ale jest moją żoną i nie życzę sobie, aby matka traktowała ją jak śmieć.

- Kiedy wczoraj matka miała ten swój występ, byłam przekonana, że się zgrywa. Faktycznie nie zachowała się najmiej. Nigdy przedtem nie widziałam jej takiej. Zdaje się, że brak Lavinii cierpliwości.

- Cierpliwości? Pozwól, Caroline, że coś ci powiem. Było wystarczająco ambarasujące, kiedy dawała dupy temu architektowi kraj-  
obrazu - podkreślił ostatnie słowa jadowitym tonem. - Ale kiedy ten puścił ją kantem i znalazł sobie kogoś innego, o, wtedy dopiero pokazała, co potrafi, i trwało to przez całe tygodnie.

- Piekło nie zna większego gniewu niż... - zaczęłam.

- Racja, ale nawet ona powinna wiedzieć, że kiedy człowiek ładuje się do powoziku do polowań, to nie może tyle żłopać, by później walić się na twarz. - Urwał i popatrzył na mnie, z niesmakiem kiwając głową. - Jeśli nie potrafi się zachować, nie powinna brać strzelby do ręki. Należałoby jej tego zabronić.

- Słuchaj, Trip, w tym punkcie całkowicie się z tobą zgadzam. I myślę też o Millie. Gdyby coś jej się przytrafiło, matka musiałaby urządzić wszystko od nowa. Zdaje sobie chyba z tego sprawę. Ale uważam też, że nie mamy prawa jej pouczać. Nie jest szalona, jest zła, a to zasadnicza różnica. Na twoim miejscu uprzedzałabym ją telefonicznie o każdej wizycie, tak na wszelki wypadek, żeby w razie czego znaleźć się po bezpiecznej stronie.

Dlaczego użyłam tych słów? Ponieważ uznałam, że w historii, która opowiedział mi Trip, jest coś z prawdy? A może ciągle tkwił we mnie zadawniony gniew na matkę? Mroczny, niepozwalający mi opowiedzieć

się po jej stronie? Do tej pory nigdy nie rozważałam problemu starzenia się rodziców. Nie chciałam mieć do czynienia z Tripem i Frances Mae. Z matką też nie. Ale w końcu po to tu przyjechałam.

- Potem ta sprawa z Jenkinsem; kolejny dowód na to, że matka kompletnie postradała zmysły.

- Widzisz, Trip, ciągle nie jestem o tym przekonana.

- To zapytaj Millie, czy oboje nie widzieliśmy jej wychodzącej z jego domku, ledwo zaczynało świtać. - Trip splunął za burtę, okazując tym gestem, jak bardzo mierzi go to wszystko.

Ilekcóż przyszło mi ferować wyroki, natychmiast odczuwałam zdenerwowanie. Przez długi czas żyłam w świecie, w którym ludzie mają wzgląd jeden na drugiego, tolerują cudze słabości albo starają się zrozumieć. Gdyby tak ktoś wziął mnie pod lupę, Bóg raczy wiedzieć, co by we mnie znalazł.

- To wszystko nie jest takie proste - powiedziałam. Była to najmniejsza z gałązek oliwnych, jaką mogłam mu ofiarować, by przygasić trawiący go żar. Dzięki niej zyskiwałam trochę czasu.

- Chodźmy Pod Przynętę i Takielunek w Skaater Creek.

- Po co?

- Jeśli chcesz, abym postarała się rozwikłać to wszystko, potrzeba mi moon pie i zimnej royal crown coke.

## Rozdział 18

### Zpowrotem na łódzcie

I opływaliśmy jeszcze z godzinę, wreszcie uznałam, że czas wracać do domu. W końcu Trip nie powiedział mi, co go gryzie tak naprawdę. Może od matki usłyszę, o co w tym wszystkim chodzi? Zakończenie naszej wycieczki wypadło dość naturalnie, kiedy Trip zdecydował się zarzucić wędkę.

- Zobaczą, czy uda mi się coś złowić. Potowarzyszysz mi?

- Nie, dzięki - odparłam. - Podrzucić mnie na brzeg.

*Bądź moją córką.* Słowa ojca ciągle rozbrzmiewały mi w uszach, kiedy wysiadałam z łódki, do której natychmiast wskoczyły psy, i kiedy szłam przez ogród. Przecież byłam jego córką. I w tym momencie dotarło do mnie, co ojciec miał na myśli. Powinnam działać tak, jakby on sam ciągle był tu obecny. Obecny ciałem. Co tatuś by zrobił, gdyby żył, kołatało się w mojej głowie.

No cóż, zacznijmy od tego, że z pewnością nie byłby dumny ze słów, których użyłam wobec Frances Mae wczoraj wieczorem. To na pewno. Przez całe swoje życie tatuś nigdy nie potraktował nikogo z góry. Pycha była grzechem matki. Moim także. Ze wszystkich sił będę się starała ją poskromić, ale - mój Boże - Frances Mae była taka *declassée*.

*Zmień się,* ponownie przemówił głos ojca w moim mózgu. Dobrze, uczynię, co w mojej mocy, aby się zmienić. To się nazywa szczęście. Mieć zmarłego ojca, który kieruje do mnie gorzkie słowa. *Zmień się.* Znowu on. Oj, dobrze, zaraz! O Jezu, był jasny dzień, a ja szłam do kuchni prosto znad rzeki. Jeśli ojciec postanowił mnie nastraszyć, mogę żyć z jego

głosem rozbrzmiewającym w mojej głowie, ale jeśli przypadkiem wpadnie na pomysł, aby ukazać mi się w formie cielesnej, zapomnijmy o wszystkim. Nie zdążą się nawet dobrze zorientować, że wyjechałam, a ja już będę w Nowym Jorku. Sama myśl o tym, że mogłabym zobaczyć ducha, przyprawiła mnie o drżenie

Przejażdżkę łodzią tata z pewnością by zaaprobował. Tak właśnie należało postąpić. Musiałam wysondować, co Tripowi leży na wątrobie, poznać jego punkt widzenia. Każdy spogląda na wszystko z własnej perspektywy. Przed przyjazdem do domu popełniałam jeden podstawowy błąd; usiłowałam zmusić ludzi do uznania jednej tylko prawdy. Postaram się zyskać poparcie Millie i Richarda; postaram się, aby duch ojca nadal przemawiał przeze mnie, by kontrolował moją przemianę.

Kuchenny zegar, wiszący na ścianie, wskazywał dziesiątą trzydzieści. Trip nie wróci przed lunchem. Sądziłam, że znajdę matkę w kuchni, ale tam jej nie było. Od razu pomyślałam, że pewnie grzebie w swojej szafie z butami. Ta jej śmierdząca szafa przyprawiła mnie o senne koszmary. Kiedy byłam mała, więcej czasu tkwiła przy niej, niż spędzała ze mną.

Moja własna kolekcja butów stanowiła kolejny efekt kontaktu z zen - wszystko w czerni. Buty sportowe - jedna para, pantofle na niskim obcasie, zamszowe - jedna para, skórzane - jedna para, ranne pantofle bez pięt, czarne tekstylne - jedna para, płaskie buty z cholewkami - jedna para. Buty do tenisa - jedna para, dla odmiany białe. Koniec. Dobra dziewczynka.

Teraz uświadomiłam sobie nagle, że moje minimalistyczne podejście do zakupów mogło być wynikiem pewnych epizodów, świadczących o

zaniechaniu mnie przez matkę. Nieważne, wymyśliłam to sobie czy też faktycznie tak było, powinnam wreszcie przestać się tym przejmować. I nagle rzeczywiście poczułam, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Ile jeszcze było w moim życiu rzeczy, na które się zdecydowałam, ponieważ wydawało mi się, że matka wybrałaby coś przeciwnego? Nie chciałam nawet o tym myśleć.

Sięgnęłam po słuchawkę kuchennego telefonu i stwierdziłam, że pierwsza linia jest zajęta. To znaczy, że matka wprawiała w ruch szczęki i teraz pytluje z Miss Sweetie albo Miss Nancy. Pewnie opowiada o przygodzie, jaka przytrafiła się jej dywanowi.

Doskonały moment na rozmowę z Richardem. Ruszyłam na górę, żeby skorzystać z telefonu w sypialni. No tak, uświadomiłam sobie, idąc po schodach, pierwszym krokiem na drodze mojej samorealizacji jest krok w stronę Richarda. Odebrał, ledwo przebrzmiał pierwszy dzwonek.

- Cześć, co robisz? Wysiadasz przy telefonie?

- Tak, kochanie, chyba tak. I jak tam układają się sprawy na Południu?

- Richard, nawet nie uwierzysz, co się tu wydarzyło wczoraj wieczorem.

Zrelacjonowałam mu przebieg kolacji i nieszczęsnego przedstawienia baletowego, na koniec zachowując najlepsze - epizod z pęcherzem Frances Mae i dywanem matki. Nocną wizytę na cmentarzu i przywoływanie taty z powrotem do życia oraz współuczestniczenie w czarach Millie pominęłam, uznając, że tak będzie rozsądniej. O uwagach Frances Mae na temat Erica napomknęłam tylko pobieżnie, częściowo ze strachu, że mógłby się z nimi zgodzić.

Przedyskutowaliśmy natomiast kwestię odejścia Millie na emeryturę i moją przejażdżkę z Tripem po rzece. Zachowanie Frances Mae wyraźnie Richarda poruszyło.

- Ależ to obłeśne stworzenie ta twoja bratowa.

- No cóż, wybacz, ale w twojej rodzinie też niewiele się trafiało członków rodziny królewskiej.

- Przepraszam. I co zamierzasz teraz zrobić, Caroline?

- Nie wiem. Dzwonię, aby zaczerpnąć odrobinę z twojej krynicy mądrości.

- Hm, no cóż, Trip i Frances Mae nie mają szans usunąć Lavinii z własnego domu pod pretekstem jej zaburzeń psychicznych. Żeby ustanowić nowego pełnomocnika, wystarczy jedna godzinna wizyta twojej matki u prawnika. Z całą pewnością bym jej to doradzał.

- Znakomite rozwiązanie. Dlaczego sama o tym nie pomyślałam?

- To właśnie swoją błyskotliwością podtrzymuję twoją miłość do mnie.

- Nie, skarbie, twoja błyskotliwość to tylko jeden z powodów, dla których cię kocham.

- Dobra dziewczynka. Myślę też, że byłoby wskazane odbyć z Lavinią dłuższą rozmówkę na temat zasad bezpieczeństwa związanych z posługiwaniem się bronią i wymóc na niej obietnicę, że po alkoholu nie będzie chwytła za strzelbę.

- Racja. Wskazane. Uwielbiam to słowo. Porozmawiam z nią zaraz, gdy tylko skończymy naszą rozmowę. Richard, tęsknisz za mną?

- Do obłędu. Kiedy wracasz? Potrzebuję kobiety.

- Jutro po południu. Richard?

-Tak?

- Wolałabym, abyś powiedział: potrzebuję cię.

- Potrzebuję cię, Caroline. Pragnę rzucić się na ciebie. Tęsknię za tobą do bólu. Marzę o zdarciu twoich majtek. Usycham z tęsknoty za tobą. Szlocham...

- Dobrze już, dobrze. Daj mi teraz porozmawiać z Erikiem.

- Nie ma go. Poszedł na górę, do tamtego dzieciaka.

- Więc powiedz mu, że dzwoniłam i że go kocham. Może zatelefonować do mnie wieczorem.

- Powiem mu.

Odłożyliśmy słuchawki. Zrzuciłam buty z nóg i wśliznęłam się pod kołdrę, do wciąż niezasałanego łóżka. Moje myśli bujały swobodnie wokół matki, Richarda, wreszcie wokół życia, jakie sama sobie wybrałam. Dawniej wydawało mi się, że szczęśliwa mogę być tylko w Nowym Jorku, z dala od gierki matki i odprawianego przez nią ceremoniału, z dala od Tripa i Frances Mae. Teraz zaczynałam się obawiać, że być może mój wybór pozbawiał mnie czegoś nieporównanie cenniejszego. Leżałam, czując chłód prześcieradeł i miękkość poduszki. I pewnie gdyby nie to, że w drzwiach stanęła matka, zasnęłabym na powrót. Jej pojawieniu się nie towarzyszył najłżejszy nawet szmer, a przecież wiedziałam, że stoi w progu. Po prostu czułam jej obecność.

- Wejdz - powiedziałam, nie otwierając oczu.

- Jeśli chcesz się zdrzemnąć, to w porządku. Ale miałam nadzieję, że porozmawiasz ze mną.

Poklepałam zachęcająco łóżko obok siebie, ale matka usiadła ostrożnie na drugim końcu.



- No, Miss Lavinio, co się dzieje z Królową Wysokich Sosen? Kochała ten tytuł, więc kąciki jej ust od razu uniosły się w wyrazie rozbawienia.

- Och, Caroline, nie wiem. Mówię zupełnie szczerze. Zobaczmy - zaczęła liczyć na palcach - mam za syna Daniela Boone'a, to znaczy wtedy, kiedy nie zabawia się w Perry'ego Masona, za synową poszukiwaczkę złota z chorym pęcherzem, a oprócz tego wielki dom i starą babę z niewyparzonym jęzorem za gospodynię. A sama też już nie jestem podlotkiem.

- To jeszcze nie tak źle - orzekłam, uśmiechając się do niej. Uniosłam się lekko na ramieniu, żeby jej pokazać, że jej słowa żywo mnie obchodzą. - Bywają gorsze sytuacje. A teraz, matko, powiesz mi, co się za tym wszystkim kryje?

Patrzyła na mnie długo, nieustępliwie, doskonale pojmując, że korzystniej dla niej będzie mieć we mnie sprzymierzeńca, i jednocześnie niepewna, co wyniknęło z mojej przejażdżki z Tripem.

- Wybrałam się z Nancy i Sweetie postrzelać. Wszystkie miałyśmy w czubie, a ja potknęłam się, wysiadając z wolantu. Wiem, zachowałyśmy się nieodpowiedzialnie, najpierw pijąc, a potem chwytając za strzelby, ale przysięgłyśmy sobie wszystkie trzy, że więcej się to nie powtórzy. Z Raoulem przestałam się widywać, ale jedno muszę ci powiedzieć. Nie żałuję, że miałam z nim romans, nie żałuję ani trochę. Dobrze mi robił, dał mi wiele radości. Kiedy porzucił mnie dla Marthy, szalałam z wściekłości, ale teraz już przebolełam rozstanie. Kropka.

- Trip mówił, że miałaś chandrę przez całe tygodnie.

- W jego oczach to mogło tak wyglądać. Bez przerwy się tu kręci, zupełnie jakby mnie szpiegował. Czasami wydaje mi się, że on i ta jego okropna żona knują, jak pozbawić mnie władzy.

- Mamo, na to nigdy nie zezwolę. A teraz powiedz mi jeszcze, co z Jenkinsem.

- Czy mogę cię dopuścić do mojego małego sekretu? Wstrzymałam oddech. Zaraz mi wyzna, że z nim sypia.

- Jasne, uwielbiam sekrety.

- Uczę go czytać. Co rano chodzę do niego do domu i ćwiczymy czytanie i pisanie. Tylko, broń Boże, nie mów nic Millie. Ona jest przekonana, że Jenkins umie czytać; od lat przecież kupuje ziarno i paszę za pieniądze, które ona mu wydziela. Nie chcę, żeby się dowiedziała. Jenkins zbyt wiele dobrego zrobił dla naszej rodziny, by miał się teraz wstydzić. Zresztą zaczekaj, pokażę ci jego ćwiczenia.

Poczułam ulgę ogarniającą mnie całą niczym fala nagłego przyływu. Uczyła go czytać i pisać. Dzięki Bogu. Niech no tylko Trip wpadnie w moje ręce, a nakopię mu do tyłka. Matka wróciła z kołonotatnikiem i przerzuciła kilka stron.

- Popatrz, to przerabialiśmy ubiegłej jesieni. - Podsunęła mi zeszyt. Pismo było kulfoniaste i nierówne. Przerzuciła kilka ostatnich stron. - A to są ćwiczenia z lutego. Zadziwiający postęp, prawda?

- Mamo, to ty jesteś zadziwiająca.

- Dziękuję ci, Caroline. Muszę przyznać, że jestem bardzo dumna z Jenkinsa. Okazuje się, że żaden pies nie jest za stary, żeby nie można go było wyuczyć nowych sztuczek.

Nie mogłam się powstrzymać. Wyściskałam ją ze wszystkich sił.

- Świetna z ciebie dziewczyna, Lavinio, wiedziałaś o tym?

- Dla ciebie jestem Miss Lavinią. Nie przestałam przecież być twoją matką.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie. W tej krótkiej chwili wybaczyłam jej wszystko. Pragnęłam tylko jednego - pomóc jej zabezpieczyć przyszłość.

- Hej, a może wybrałybyśmy się razem na kolację dziś wieczorem?

- Nie uwierzysz, ale oni znowu przyjeżdżają.

-Nie!

- Gdybym tak ja była Frances Mae Litchfield, kazałabym swojemu mężowi wysadzić się na stacji w Hess i tam zaczekałabym na jego powrót. Tymczasem ona zadzwoniła. Bardzo skruszona. Kilka minut temu.

- Każde słowo! Chcę znać każde jej słowo. - Kopnięciem zrzuciłam z siebie prześcieradło i usiadłam naprzeciw matki, krzyżując nogi. - Niewiarygodne.

- Caroline? Położyłaś się w mojej pościeli w tych dzinsach?

- Co takiego?

- No wiesz! Przecież mogłaś przynieść na nich pchły albo inne nieczystości. To niehigieniczne.

- Przepraszam, mamó. Opowiedz mi ze szczegółami, jak to nasza Panna Nic się kajała, a ja zaraz potem zmienię prześcieradła, dobrze?

- Chwileczkę, na czym to ja stanęłam? A, już wiem. - Matka wstała, przyłożyła dłoń do serca i podniosła wzrok ku sufitowi. -No więc tak, zatelefonowała do mnie i zaczęła tym swoim cieniutkim, ordynarnym głosikiem: Matko Wimbley, dzwonię, abys przyjęła moje najszczersze przeprosiny za zachowanie moje i moich dzieci wczoraj wieczorem.

Naprawdę nie potrafię powiedzieć, co we mnie wstąpiło, ale z pewnością

zachowałam się jak stara wariatka i szczerze tego żałuję, naprawdę z głębi duszy. Czy w swoim sercu znajdziesz odrobinę współczucia i wybaczysz mi, biednej grzesznicy? Jeśli dasz nam jeszcze jedną szansę, przyjedziemy do ciebie z kolacją, tak żebyś nie musiała wracać potem od nas po ciemku. Co miałam zrobić? A więc powiedziałam: Niech ci Bóg błogosławi, Frances Mae, nie myśl już o tamtym.

- Jak zwykł mawiać Eric: A ja w niego chlebem.

- Mój wnuk tak mówi?

Przytaknęłam.

- Jest dokładnie taki, jak mój Nevil. Twój ojciec też miał diabła za skórą.

- Boże, miejmy nadzieję, że nie.

Popatrzyła na mnie, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

- Zadzwoń do niej i zaproponuj coś nieskomplikowanego, na przykład steki z grilla. Zjecie na werandzie, dziewczynki poszaleją, nie będą musiały godzinami tkwić przy stole.

- Jak to „zjecie”? A po kolacji zafundujemy sobie rundkę strzelania do rzutków. - W myślach już napelniała termosy miętowym julepem.

- Żadnych koktajli, dopóki strzelby nie pójdą w odstawkę, zgoda?

- Tak, masz rację, oczywiście. - Zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie. - Czy twoja uwaga nie jest aby spowodowana tym, co przytrafiło się Tripowi?

- Powiedzmy, że mój mąż wydobył dla ciebie z zanadru kilka światłych rad. Po pierwsze, masz trzymać hieny na odległość. - Milczała, czekając, co powiem dalej. - Po drugie, masz ostrożniej obchodzić się z bronią, a przede wszystkim zmienić pełnomocnika, i to od zaraz.

- O, naprawdę tak myślisz? To dla mnie wielkie rozczarowanie.

Rzeczywiście przypuszczasz, że chcą mnie pozbawić dachu nad głową?

- Nie, ale uważam, że byłoby to dla nich przypomnienie, że ten dom należy do ciebie i że to ty kierujesz swoim życiem, a nie Trip z żoną. A nawiasem mówiąc, ja się do Frances Mae nie odzywam, więc jeśli się pojawi i zacznie zachowywać tak, jakby nic się nie stało, możesz mnie wyłączyć z imprezy. - Odwróciłam się i nakryłam głowę poduszką, chcąc się uchronić przed potokiem słów, który lada moment miał wytrysnąć z ust matki niczym gejzer.

- Co takiego?

Nie było na świecie poduszki, która powstrzymałaby Lavinie, kiedy ta życzyła sobie, aby jej wysłuchano. Wyrwała mi więc poduszkę i cisnęła nią o podłogę.

- A teraz posłuchaj mnie, *missy*. Wybaczyłyśmy jej.

- Mała poprawka. To ty jej wybaczyłaś.

- Caroline Wimbley! Masz mnie wysłuchać.

- Levine.

- Wszystko jedno, nigdy nie przestałaś być Wimbley. Nie podoba mi się, że nasza mała rodzina nie może zebrać się choćby raz do roku, żeby od razu nie wywoływać wojny światowej. Jestem pewna, że cokolwiek ci powiedziała, teraz tego żałuje. Zresztą, Caroline, ona jest w ciąży.

- W ciąży to ona jest bez przerwy. Nie widzę żadnego powodu, dla którego jej jajniki miałyby stanowić jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla języka.

- Dostyc tego! Mów mi natychmiast, co ona ci powiedziała. W tej chwili, albo idę do ogrodu po różgę.

Spoglądałam na nią w milczeniu, bijąc się z myślami, czy mam jej powiedzieć, czy nie. Przecież niech tylko się zdarzy, że Frances Mae znowu zalezie jej za skórę, matka natychmiast wykorzysta swoją wiedzę.

- Zobaczysz. Zaraz pójde wyciąć różgę z drzewa chińskiej wiśni i przetrzepię ci tyłek, jeśli mi nie powiesz.

Jaki sens miało się opierać? Jeśli wszyscy powinniśmy dzielić tę samą prawdę, ja musiałam stać się jej częścią, a nie sędzią ani ławnikiem.

- Powiedziała, że Eric jest opóźniony w rozwoju i że wszyscy o tym wiedzą.

Martwa cisza. Matka była wstrząśnięta. Przez chwilę spoglądałyśmy na siebie, w końcu ona odezwała się:

- Nikt z nas nigdy o tym nie słyszał. Przeprosi cię albo jej noga nigdy już nie przestąpi progu tego domu.

- Co za szczęście, że to ty posiadasz klucz do jej sumienia, a nie ja.

- Zaraz dzwonię do mojego adwokata, już, w tej chwili - zakończyła, opuszczając pokój w wielkim pośpiechu.

Miałam nadzieję, że rzeczywiście to uczyni. Za chwilę nadejdzie Millie i pomoże mi nakryć stół do kolacji, posiłku, który wszędzie indziej na całym świecie nazywany był obiadem. Trip pojechał do domu, do Siostrzyczki Szatana, a matka poszła się położyć. Lunch, który tu zwaliśmy obiadem, okazał się kolejną ucztą. Cały dom pachniał goździkami. Millie przyrządziła pieczoną szynkę z owocami, duszoną zieloną kapustę na cebulce i tłuszczu, piżmian obsmażany w mące kukurydzianej, duszone pomidory z cebulą i fasolką *lima*, i podała to wszystko w gniazdku parującego, puszystego, białego ryżu. Ilekroć brałam do ust kawałek mięsa, od razu sięgałam łyżką po karczochy Mrs. Sassard's.

Oczywiście na stole nie zabrakło koszyczka wypełnionego świeżym kukurydzianym chlebem. Millie dokładała do niego trzy razy. Wypiłam trzy szklanki słodkiej herbaty i napchałam się tak, że zdawało mi się, że jeszcze chwila, a pęknę. Trip i matka nie szczędzili kąśliwych uwag na temat mojego wegetarianizmu.

- *Yanh* - mówił Trip - pokosztuj tej szynki, *missy*, i powiedz mi raz jeszcze, od jak dawna jesteś wegetarianką.

Matka zachichotała. Trip także się roześmiał.

- Ty tłusty robaku, nie gadaj tyle, tylko przysuń mi półmisek, dobrze?

- Trip - odezwała się matka - bądź tak dobry i podaj twojej siostrze ocet pieprzowy do kapusty. W niej naprawdę nie ma dużo tłuszczu, Caroline, tylko odrobina na okrasę. - Znowu zaczęła chichotać.

Jeśli nawet dzwoniła do prawnika, nie wspomniała o tym ani słowem. Chyba jednak dzwoniła, bo promieniowała humorem. Zajęty popijaniem Trip niczego nie podejrzewał. Chwała Bogu.

Po lunchu wybrałam się na samotny spacer. Chodząc po terenie plantacji, zastanawiałam się nad sobą. No więc dobrze, nie jestem znowu taką gorliwą wegetarianką, jak mi się wydawało. Szynka! Bekon! Nie upłynęła nawet doba, kiedy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę niczemu nie poświęcałam się z pełnym oddaniem.

Całym sercem nienawidziłam domu? To dlaczego sypialnię, którą teraz zajmowałam, nazywałam swoim pokojem? Dlaczego pływałam z Tripem po Edisto, pełna dumy z jej czystej wody, z jej zwierząt, z jej roślin? Dlaczego z taką lubością wdychałam zapach ziemi? Dlaczego

podziwiałam zachód słońca wczoraj wieczorem? Czy ktoś mnie do tego zmuszał?

Zwolenniczka jogi i religii Wschodu? Do licha, ostatniej nocy jeździłam wraz z Millie jej wózkiem golfowym i praktykowałam voo-doo. Z jaką czułością wspominałam te chwile, kiedy bawiłam się jej figurkami, nigdy też nie zapomniałam mocy jej ziół i zaklęć! Zgodziłam się przejąc po niej to wszystko!

Szcześliwie zameżna? Boże, przecież gdzieś tam w podświadomości rola mi się kastracja Richarda, i to szybko, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jeśli uciekłam do niego, to tylko dlatego, że szukałam ucieczki przed sobą samą. Nie chciałam żadnych uczuć, nie chciałam, aby cokolwiek do mnie docierało. Co mnie doprowadziło do takiego stanu? Pojedynczy epizod? Seria przypadków?

Normalność? A czyja sama byłam normalna? Przepraszam, czy ktoś słyszał mnie rozmawiającą ze ścianami Wysokich Sosen albo z moim zmarłym ojcem? To wszystko wina tego cholernego czepka, i tyle. Może zostałam zwiedziona odgłosami płynącymi z przepony, oślepią wielkomiejskimi światłami Nowego Jorku, zafascynowana przez specjalistę od naprawiania mózgu? A może - tu zastanowiłam się przez moment - matka nie była wcale taka zła? Może ja się po prostu bałam? Bałam się, że będę musiała dokonać wyboru.

Kiedy przyszła Millie, żeby pomóc przy kolacji, zdążyłam już włożyć swój światowy uniform. A zamiast ćwiczeń jogi wybrałam jogging wokół plantacji.

Millie przecierała ściereczką stół na werandzie. Komplet mebli, które tu stały, stanowił najsensowniejszy nabytek, jaki stara Lavinia



kiedykolwiek przywlokła do domu. Przez lata jadaliliśmy w pokoju stołowym, gotując się w upale. Po śmierci ojca matka kazała wyremontować werandę. Pod sufitem zawisły wiatraki, a komplet starych mebli, spadek po jakimś zmarłym krewnym, został przemalowany na biało. Każdy pojedynczy mebel - a było ich w sumie tuzin albo i więcej - ważył chyba z tonę. Wszystkie miały ozdobne, spiralne wykończenia i drewniane części rzeźbione w kaczki i kępki bagiennej trawy. Sofy, podnóżki i krzesła wyściełane były poduszkami w kolorze ciemnozielonym, takim samym jak okiennice. Naprawdę ta strona domu prezentowała się niczym z okładki „Southern Living”.

Wyniosłam na tacy szklanki i talerze i ustawiłam na szklanej dostawce u szczytu stołu.

- Miss L. poszła się zdrzemnąć? - zapytała Millie.

- *Yeah*, a chrapie tak, że słyhać ją w całym domu, *yanh*. Wystarczył jeden dzień, abym wszędzie zaczęła wsadzać owo *yanh*, tak charakterystyczne dla południowców.

- Jest szczęśliwa, że ma cię przy sobie, dziewczyno, wiesz chyba o tym.

- Nie, zbiera siły, żeby sprać Frances Mae jej gruby tyłek, i tyle.

Brwi Millie wystrzeliły w górę. Zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na mnie.

- Chętnie to sobie obejrzę, *yanh* - oznajmiła, szczerząc zęby od ucha do ucha:

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Zadzwoiłam do prawnika. Usiłował się wykręcać, mówić, że nie da rady przyjść do mnie do domu. Załatwiłam go krótko: Frederic, albo będziesz u mnie za godzinę, albo rozgłoszę po całym Charlestonie, czego się o tobie dowiedziałam. On lubi wkładać damską bieliznę. Znalazłam wypełnioną przez niego ankietę na stronie internetowej [Love@aol.com](mailto:Love@aol.com). Wysłałam do niego e-mail - taki żart - a on -Boże drogi, o mało nie dostał ataku serca. Mężczyźni są tacy głupi. Kto zdrowy na umyśle ogłaszałby się z czymś podobnym w Internecie? W każdym razie przybiegł do mnie natychmiast.*

RS

## **Rozdział 19**

### *Szczęśliwej podróży*

Za kwadrans piąta wyrzesałam przez okno. Jakiś mężczyzna w samochodzie ruszał właśnie z naszego podjazdu. Nawet nie zauważyłam, kiedy się pojawił. Matkę znalazłam na frontowym ganku. Czekala na przybycie Tripa i Frances Mae, niecierpliwie krąząc w kółko i paląc papierosy. Dołączyłam do niej. Zdaje się, że Trip większość czasu spędził, kursując tam i z powrotem między Wysokimi Sosnami a Walterboro.

- Nie jestem szczęśliwa - oświadczyła matka, ciskając niedopałek w żywopłot, co normalnie nigdy jej się nie zdarzało.

- Ja też rzadko bywam - zażartowałam. Wiedziałam, że myśli o Tripie i o uwagach Frances Mae, skierowanych pod adresem Erica. Słyszając moje słowa, obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem. Usiłowalam umknąć wzrokiem, ale bez powodzenia.

- To co, połączymy nasze siły? Nieszczęście nie znosi samotności, prawda? - Przez dobrą minutę spoglądałyśmy na siebie, myśląc o tym samym, po czym matka podjęła: - Zdecydowałam się.

-Tak?

- Czekaj nas małe spotkanko w stylu Lavinii - oznajmiła.

- O Boże! - jęknęłam.

Kiedy matka postanowiła zamieszać w garnku, w którym inni przyrządzali zupę, wychodził z tego gulasz. Wszystko w środku ostrzegało mnie, że nadciąga kolejna gwałtowna nawałnica. Na odgłos silnika uniosłam głowę, pewna, że zbliża się ford expedition Tripa, wiozący

ładunek dynamitu, to znaczy - jego rodzinę. Zaczęłam wycofywać się do środka.

- Zostań, Caroline. Przed wrogiem nie należy uciekać. Nigdy.
- Mamo, ja po prostu nie mam ochoty na kolejną konfrontację.
- Czego ty się boisz, Caroline? Frances Mae czy siebie samej?

Przełknęłam z trudem ślinę, patrząc, jak Trip parkuje przed gankiem i wszyscy wysiadają. Zaraz stanę twarzą w twarz ze straszycłem.

- Matko Wimbley! - wykrzyknęła Frances Mae. - Jak ty pięknie wyglądasz. Przysięgam, że mówię prawdę. Czy to nowa suknia?

Dziewczęta wysypały się na trawnik; w różowych satynowych sukienkach, z satynowymi kokardami w tym samym kolorze na czubku głowy, poza Amelią, której włosy przytrzymała przepaska.

- Wystarczy, Frances Mae - ucięła matka. - Wy, dziewczęta, pobawcie się chwilę na dworze. Chcę porozmawiać z waszymi rodzicami.

Frances Mae popatrzyła na nas i ckliwy uśmieszek zamarł na jej wargach. Odesłała dziewczynki. Trip chwycił podręczną torbę-chłodziarkę, wyładowaną jedzeniem, które ze sobą przywieźli, drugą ręką ujął Frances Mae za łokieć, pomagając jej brzemieniem krągłościom wtoczyć się na schody.

Matka odwróciła się i weszła do domu. Trip i Frances Mae podążali za nią, ja zamykałam tyły. Weszliśmy do gabinetu taty. Teraz Trip znalazł się na końcu, ponieważ po drodze wpadł jeszcze do Millie, żeby zanieść jej jedzenie. Od razu zapadł w stary, spękany skórzany fotel taty. Frances Mae osunęła się na sofę, każdym ruchem demonstrując swą ofiarę i udreki znoszone w imię powiększenia rodziny. Ja usiadłam na krześle za biurkiem. Matka stała.

- A teraz posłuchajcie - zaczęła. - Wokół tego domu nagromadziło się ostatnio wiele zła; wiele niedobrych słów, myśli i zamiarów. Nie życzę sobie tego. Ja jeszcze nie umieram, nie zwariowałam, nie cierpię na demencję starczą. Tak więc, Trip, pragnę cię poinformować, że zmieniłam pełnomocnika. Na razie czasowo, ale nie wykluczam, że później uczynię to na stałe.

Trip uderzył się w czoło otwartą dłonią.

- Jezu Chryste, czemu? Czego Caroline ci naopowiadała?

- Matko Wimbley, nie mogę w to uwierzyć.

- Spokój, Frances Mae - zgasła ją matka. - Dojdę i do ciebie, jeszcze chwila.

- Niczego jej nie naopowiadałam, Trip. - Teraz miałam się na baczności. Wybór nowego pełnomocnika stanowił samodzielną decyzję matki. To nie ja wezwałam jej doradcę prawnego. Sama się do niego zwróciła.

- Jasne - rzucił Trip. - Ciekaw jestem, jak masz zamiar zawiadywać interesami matki z Nowego Jorku, Caroline. No, chciałbym usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

- To nie Caroline otrzymuje ode mnie pełnomocnictwo - wyjaśniła matka - tylko jej mąż.

- Boże jedyny, mamó. Wplątałaś w to wszystko Richarda? - zdumiałam się.

- Owszem, zrobiłam to. Załatwiłam wszystko dziś po południu. Faksem. I wiesz, Caroline, tu muszę oddać Richardowi sprawiedliwość. Kiedy zrzuciłam ten problem na jego barki, okazał się więcej niż chętny do pomocy. Po piętnastu latach zasłużył sobie na komplement. W ten sposób

będzie mógł się poczuć pełnoprawnym członkiem naszej rodziny.

Wprawdzie nie jest takim mężem, jakiego życzyłam sobie dla ciebie, ale przynajmniej mam pewność, że nie wyrzuci mnie z mojego własnego domu.

- Boże wielki - powtórzyłam, nie wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

Rozejrzałam się po pokoju. Frances Mae najwyraźniej toczyła ze sobą ciężką walkę, niepewna, czy ma zniknąć, umrzeć, czy siedzieć cicho. Trip wlepił wzrok w kostki swoich dłoni. Matka - roztaczając wokół siebie aurę samozadowolenia i całkowitej kontroli nad sytuacją - zapaliła papierosa i wolno wydmuchała dym, obdarzając Frances Mae spojrzeniem Królowej Wdowy. Nigdy nie miała kłopotów z doбором odpowiednich słów.

- Kolej na ciebie, Frances Mae - podjęła, zaciągawszy się dwa razy, po czym zgasiła niedopałek w popielniczce z waterfordzkiego szkła. - Wybaczyłam ci, ale okazuje się, że nie znałam wówczas wszystkich faktów. Jesteś winna przeprosiny Caroline i mnie za to, co powiedziałaś wczoraj o Ericu. Trip, czy wiedziałeś o tym, że twoja żona nazwała mojego jedyne wnuka idiotą? Że powiedziała, że ma zniekształcony mózg? Że jest głupi jak but?

- O Chryste, Frances Mae, jak mogłaś wystrzelić z czymś takim?

- Bo taka jest prawda, dlatego mogłam - odparowała. - Jest upośledzony, i ty doskonale o tym wiesz.

Frances Mae popełniła wielki błąd, nie doceniając matczynej lojalności wobec mnie.

- Powinam cię spoliczkować, Frances Mae Litchfield - ciągnęła matka. - Ktoś powinien dać ci w twarz. Wczoraj wieczorem zachowałeś się w sposób haniebny, jesteś niewyobrażalnie podła i przynosisz tylko wstyd naszej rodzinie.

W pokoju zapanowała nagła cisza. Matka odebrała Frances Mae nasze nazwisko, napiętnowała ją jej nazwiskiem panięńskim.

Najwyższa kara. Wynik starcia Królowa Wdowa - Pretendentka do Tronu: jeden - zero.

Frances Mae zaczęła płakać. Trip błyskawicznie podsunął swojej żalosznej żonie paczkę chusteczek higienicznych. Nikt z nas nie ważył się głębiej odetchnąć. Przez kilka minut słuchaliśmy szlochów Frances Mae. Im dłużej łkała, tym większy gniew mnie ogarniał. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Wspięłam się na solidny konar rodzinnego drzewa i zabrałam głos:

- Mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście, Caroline - udzieliła mi przyzwolenia matka.

- Przede wszystkim przymknij się, Frances Mae. - Bratowa podniosła na mnie wzrok. - Natychmiast zatrzaśnij swoje piekielne wrota. Na nikim tu nie robią wrażenia twoje ślozy. Doskonale wiemy, że odkręcasz krany na każde zawołanie, więc przynajmniej raz je dla odmiany zakręć.

Jeśli idzie o poskromienie gniewu Frances Mae, czarom Millie niewiele udało się zwojować.

Moja bratowa wydmuchwała nos i popatrzyła na mnie z zimną nienawiścią. Zignorowałam to i przeniosłam uwagę na Tripa i matkę.

- Oboje wiecie, po co tu przyjechałam. Żeby zobaczyć, jak mama daje sobie radę. Trip opowiedział mi kilka fantastycznych historyjek i

niemal mu uwierzyłam. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zobaczyłam coś zupełnie innego. Tu nie są komunistyczne Chiny, Frances Mae.

- A co to ma znaczyć, do cholery? - zapytała moja bratowa.

- To znaczy, że jeśli zobaczysz coś, co chciałabyś mieć, nie możesz kręcić, węszyć i intrygować, usprawiedliwiając chęć zagarnięcia danej rzeczy stwierdzeniem, że potrzebujesz jej bardziej niż prawowity właściciel.

- Już raz pytałam, do cholery, co to ma znaczyć. Trip, kochanie, co twoja siostra bredzi?

Zanim Trip zdążył otworzyć usta, matka ponownie zabrała głos:

- Caroline mówi, że moja demencja, prawdziwa czy wymaginowana, absolutnie nie ma nic wspólnego z twoją potrzebą posiadania dodatkowych dwu sypialni, Frances Mae. W ciągu wieków ta plantacja zawsze była prowadzona przez kobiety, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, abym nie mogła zerwać z tą tradycją i zapisać ją na przykład Towarzystwu Historycznemu w Charlestonie. Wraz ze wszystkimi meblami.

- No to ładnie. Domyślałam się, że to już wszystko - powiedział Trip.

- Nie, nie wszystko - odcięłam się. - I ty, i Frances Mae musicie przestać traktować matkę jako źródło waszych problemów. Doskonale wiesz o tym, że matka nigdy niczego ci nie odmówiła. Ale jeśli twój dom wymaga rozbudowy, spróbuj trochę mniej połować, a trochę więcej popracować.

- Spróbować, jasne. - Wybuchnął śmiechem. - A to mnie moja duża siostrzyczka usadziła. - Mówił teraz, zwrócony do nas wszystkich. - A to



mnie usadziła - powtórzył, nie patrząc na nikogo. - Ty oczywiście tego nie załapałaś, prawda? - zwrócił się do Frances Mae, która najwyraźniej nie miała pojęcia, o co chodzi.

- A co? - zapytała teraz.

Trip wziął głęboki oddech. Jeśli szło o niego, to Frances Mae była beznadziejna, a nasza rozmowa - skończona.

- Kochanie, idź lepiej po dziewczynki, dobrze? Moja siostra i moja matka postanowiły, że wybierzemy się wspólnie postrzelać do rzutek, więc wolałbym przedtem się upewnić, że nasze córki siedzą bezpiecznie w domu.

- Jasne, kochanie - odpowiedziała Frances Mae, dźwigając się z sofy, wspomagana przez wyciągnięte ramię Tripa. - Do zobaczenia później.

Już miała wyjść z pokoju, kiedy matka zatrzymała ją jeszcze.

- Frances Mae?

- Tak, *ma'm*? - Wyglądała niczym uosobienie niewinności.

- Zdaje się, że zapomniałaś, że winna nam jesteś przeprosiny za twoją niegrzeczną uwagę o Ericu. Eric nie jest opóźniony, Frances Mae, i jeśli kiedykolwiek usłyszę, że wygadujesz podobne głupstwa, nie będziesz mile widziana w moim domu.

Frances Mae gwałtownie zacisnęła szczęki. Na jej policzki wypełzł krwisty rumieniec. Z ustami wykrzywionymi brzydkim grymasem wodziła po nas wzrokiem, starając się zyskać na czasie. W końcu odezwała się:

- Caroline, Matko Wimbley, nie jest mi ani trochę przykro z powodu tego, co powiedziałam o małym upośledzonym Ericu.

- Co takiego? - zachnęła się matka. - Jak śmiesz?

Nie mogłam się powstrzymać; podbiegłam do Frances Mae i z całej siły wymierzyłam jej policzek.

- Ty podła wiedźmo, żebyś smażyła się w piekle!

- Au! Co ty... - wrzasnęła Frances Mae.

Próbowała mi oddać, ale w porę chwyciłam ją za ramię. Doskoczył Trip i odciągnął mnie od niej. Przysięgam, że byłabym ją zabiła gołymi rękami. Mój brat stanął między nami i przytrzymał ją.

- Caroline, przestań natychmiast! - zawołała matka z paniką w głosie.

- Dobrze, i powiem ci jeszcze jedno - zabełkotała Frances Mae, pryskając wokół śliną.

- Zamknij się, Frances Mae, po prostu się zamknij - powiedział Trip.

- Mamo, bardzo mi przykro. Zabieram ją do domu.

- Nie, nie zabierasz, bo ja jeszcze nie skończyłam - sprzeciwiła się Frances Mae.

- O tak, skończyłaś - zawyrokował Trip.

- Właśnie że nie - wrzeszczała niemal. - Teraz wreszcie wy mnie posłuchacie, do cholery.

Z jakichś niewytłumaczalnych powodów zamilkliśmy wszyscy, pozwalając, aby ta kłępa miała ostatnie słowo.

- Mówię samą prawdę, nic więcej. Chora już jestem od tego, w jaki sposób traktuje się mnie w tym domu. Jak jakiegoś śmiecia. Ja się naprawdę starałam. Chciałam, abyście mnie pokochali, abyście pokochali moje córki. Przecież one też widzą, jak wygląda prawda - że własna babka ich nienawidzi, a ciotka dba o nie tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Swoją ironią, swoimi krytycznymi uwagami raniacie mnie, raniacie moje dziewczynki. Mam już tego serdecznie dosyć. To wy jesteście mi winni

przeprosiny. Jeśli któreś z was zechce wreszcie zacząć traktować nas jak członków rodziny, dajcie mi znać.

Gdyby istniała Nagroda Akademii za największe cycki, Frances Mae otrzymałaby ją bez wątpienia. Rzuciwszy mi zabójcze spojrzenie, okręciła się na pięcie i wytoczyła z pokoju.

- Czasami prawda wygląda paskudnie - zauważył Trip.

- W tym, co powiedziała, nie ma ani słowa prawdy - sprzeciwiła się matka.

- Mamo, ona może nie jest tak subtelna jak byś sobie tego życzyła, ale z pewnością nie wydaje się głupia, jeśli idzie o jej dzieci -nieustępował Trip.

- Natomiast jeśli idzie o moje dziecko, może sobie być kompletnie niewrażliwa, tak? - zapytałam z mocno bijącym sercem. - Jest najobrzydliwszą kreaturą, jaką znam. Nigdy się do niej nie odezwę.

- Wydaje mi się, że przeprosiny należą się wszystkim od wszystkich - zakończył Trip.

Matka z westchnieniem pokiwała głową.

- Cóż, myślę, że pójdę do stajni i powiem Jenkinsowi, żeby zaprzągnął powozik. Może zabiorę moje wnuczki na przejażdżkę.

Trip i ja zostaliśmy sami. Mierzyliśmy się wzrokiem.

- *Yeah*, powie mu, żeby zaprzągnął powozik i przeleciał ją na sianie - podsumował Trip.

- Kompletny dupek z ciebie, wiesz? Chcesz się dowiedzieć, dlaczego matka chodzi do jego domku każdego ranka?

- Oszczędź mi szczegółów. Obrzydlistwo.

- Uczy go czytać i pisać, ty wielki, tępy półgłówku.

- Cóż, Caroline, widzę, że ten mały Żydek, twój mąż, zdołał nauczyć cię jednej rzeczy. Jak sprawić, aby twoja własna rodzina poczuła się niczym kupa łąjna. Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy czujesz się naprawdę szczęśliwa, żyjąc z tym nadętym dupkiem?

- A ty jesteś naprawdę szczęśliwy, żyjąc z tą gnidą? Mierzyliśmy się oczami, dopóki gniew nie przycichł w nas nieco, nie przywarował. Odwróciłam się i usiadłam na sofie. Trip stał przy drzwiach. Popatrzyłam na niego.

- Spójrz na ten pokój - powiedziałam.

- Co z nim? - Cofnął się do środka, podszedł do biurka taty i zatrzymał się. Przesunął dłonią po blacie i wziął do ręki lupę z kościaną rączką, która kiedyś należała do ojca. - Posługiwaliśmy się nią, obserwując owady.

- Posłuchaj, Trip. Pokój taty to jakby konfesjonał. Skoro tu jesteśmy, powinniśmy przynajmniej spróbować wybaczyć sobie nawzajem nasz gniew. Widzisz, nie zostało nam tak wielu żyjących krewnych.

Patrzył na mnie przez kilka minut, wreszcie wziął głęboki oddech i skinął głową.

- Masz rację. Chodź, dziewczyno, wystrzelamy te rzutki, aż się będzie kurzyło.

- Na zakończenie tylko dwie sprawy.

- Mianowicie?

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz mojego męża małym Żydkiem, kopnę cię tak, że twoje klejnoty podejdą ci pod gardło.

- Rozumiem, a po drugie?

- Po drugie, jeśli to łajno, twoja żona, wygłosi jeszcze jedną podobną uwagę, choćby cię aluzji, na temat mojego małego chłopczyka, który, nawiasem mówiąc, jest najśladszym stworzeniem na całej planecie, może się uważać za martwą.

- Rozejm. Ale słuchaj, spróbuj namówić matkę, żeby odpuściła trochę dziewczynkom, zgoda?

- Nakłoń Frances Mae do przeprosin.

- Widzisz, Caroline, moja żona jest kobietą zazdrosną, doskonale o tym wiesz.

- Pierwszy raz o tym słyszę.

- Ty przekonasz matkę, żeby złagodniała, a ja namówię Frances Mae do przeprosin.

- Gwarancji nie dam, ale spróbuję.

- Zgoda, ja też.

Tak więc udało nam się zawrzeć chwilowy pokój. Kruchy był to rozejm i oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Do licha, przecież doskonale rozumiałam Tripa, jego niechęć do intensywniejszej pracy, aby zaspokoić potrzeby Frances Mae. Na jego miejscu spędzałabym na rzece całe dni. A cóż innego pozostawało komuś zdrowemu na umyśle? Co jest lepsze, harować, przedzierać się przez prawnicze piekło gniewu i goryczy rozwodów dla usatysfakcjonowania tej prostackiej, wulgarnej łajzy, czy raczej spędzać całe dni na majestatycznej Edisto, łowiąc ryby, popijając, marząc i zapominając o całym świecie? Czy moje medytowanie tak bardzo się od tego różni? Skądże znowu, było właściwie tym samym, co łowienie ryb przez Tripa. I w nim, i we mnie tkwiła potężna żądza ucieczki w nasz

własny, wewnętrzny świat. Oboje ją odczuwaliśmy i pewnie właśnie dlatego staraliśmy się wybaczać sobie wzajemnie.

Z werandy na tyłach domu widziałam Frances Mae bawiącą się z dziewczynkami tuż nad wodą. Wszystkie trzymały bambusowe kijki i stały sztywno, niczym trzy różowe lizaki, wpatrując się w spławiki i czekając, aż zanurzą się pod ciężarem kulbińca na końcu haczyka. Frances Mae chodziła od jednej do drugiej córki, wypowiadała słowa zachęty, poprawiała postawę dziewczynek. Musiałam przyznać, że jako matka jest bardzo troskliwa. Przynajmniej starała się, jak tylko potrafiła najlepiej. Prawdą też było, że ani matka, ani ja nigdy nie podarowałyśmy jej choćby ćwierć dolara. Ale Trip też się do tego nie kwapił.

Postanowiłam pójść i porozmawiać z nią. Może jakoś uda się nam dojść do porozumienia. Ona musi zrozumieć prawdę o moim synu. Wyduszę z niej przeprosiny. Zobaczyła, że się zbliżam, i nawet z tej odległości widziałam, że od razu się najeżyła. Nie miałam jej tego za złe. Ale wycisnę z niej przeprosiny, choćby za cenę piekła czy potopu. Jeśli mamy odprawiać rodzinne pojednanie, niech ona też wniesie weń swój wkład.

- Frances Mae! - zawołałam.

Spojrzała w moją stronę i zaraz odwróciła twarz. Nie ma ochoty się pogodzić? To się jeszcze okaże. Byłam już na brzegu, stukając butami po betonie, a Frances Mae nadal ignorowała moją obecność.

- Frances Mae, muszę z tobą porozmawiać - zaczęłam, podchodząc bliżej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - rzuciła, odsuwając się.

- Frances Mae, przecież musimy dojść do jakiegoś porozumienia - przekonywałam, nie przestając iść w jej stronę.

Cofając się, uczyniła o jeden krok za dużo, potknęła o wiadro z przynętą i wpadła tyłem wprost do wody.

- O Boże! - wykrzyknęłam. Mogłam jej nienawidzić, ale przecież nie życzyłam jej, aby spadła z nabrzeża, będąc w siódmym miesiącu ciąży. - Amelio, Isabelle, biegnijcie po tatę, sprowadźcie Millie i przynieście ręczniki. Szybko, pędem. - Położyłam się na brzuchu i wyciągnęłam rękę, aby Frances Mae miała się czego uchwycić. - Złap mnie za przeguby.

Płakała, krztusząc się wodą.

- To wszystko twoja wina. - Ekh, ekh. - O Chryste, jak zimno. Pomóż mi, do cholery.

Złapała mnie za ramię. Szybko zastanowiłam się, co dalej.

- Słuchaj, albo wyciągnę cię w tym miejscu, albo podpłyn tam dalej i użyj drabinki. Wyjść po drabince będzie chyba bezpieczniej.

Puściła moje ramię, jednocześnie przeorując je paznokciami.

- Ty pieprzona wiedźmo! - wyrzucała z siebie, pokonując odcinek długości może pięciu stóp. - Morderczyni chromolona, oto kim jesteś. - Przepłynęła następnych dziesięć stóp, mamrocząc coś do siebie i spluwając wodą. - O Boże, ekh, ekh - kolejny atak kaszlu - przeklinam cię, Caroline. Niech cię piekło pochłonie. Jeśli coś się stanie mojemu dziecku, ty będziesz za to odpowiedzialna.

- Frances Mae, opanuj się choć trochę. Dziewczynki zaraz będą tutaj z ręcznikami. Chciałam z tobą porozmawiać, spróbować dojść z tobą do ładu. - Czulałam, że na nowo ogarnia mnie gniew. - Cofnęłaś się przede mną. Nie popchnęłam cię. Zwyczajnie się potknęłaś, ty głupia macioro.

Zacząła się gramolić po drabince. Tusz spływał jej z twarzy, włosy zwisały w strąkach, suknia oblepiała ją całą niczym folia Sara-na arbuz. Dwa melony, dwie szynki i monstrualnie wielki pieczony comber. Wypisz wymaluj, niedzielny bufet; nic tylko się częstować.

- Nienawidzę cię - wyrzuciła z siebie bez tchu.

- O tym, żebyś ty mnie lubiła albo ja ciebie, nigdy nie było mowy. A teraz - odwróciłam się w stronę Isabelle nadbiegającej z wielkim kłębem ręczników i Millie następującej jej na pięty -a teraz winduj do góry twój tłusty zadek, jeśli zaś piśniesz choć jedno słowo, zepchnę cię z powrotem do wody i możesz sobie płynąć do diabła. Popatrz tylko na siebie. O, mój biedny brat!

- Jak to się stało? - dopytywała się Millie. - Skarbie, biegnij i sprowadź tatusia, szybciotko - zwróciła się do Isabelle. – Frances Mae, osusz się. - Narzuciła jej ręcznik na plecy i ramiona. - No, już dobrze.

- Czuję, że zaraz zemdleję - oznajmiła moja bratowa, przewracając oczami.

- Chodź, zaprowadzę cię do domu - ciągnęła Mille. Niczym prawdziwa święta objęła ją ramieniem i powiodła ku domowi.

Isabelle i mała Caroline podążały za nimi, zagadując co chwila:

- Wszystko dobrze, mamuś, wszystko dobrze

? Zostałam na brzegu z Amelią.

- Może pozbieramy ten sprzęt wędkarski - zaproponowałam.

- Aleś się wpakowała - wycodziła Amelia. Popatrzyłam na nią; istna Frances Mae w miniaturze.

- Mama myślała, że chcesz ją popchnąć, zaczęła się cofać i wpadła do wody. To wszystko twoja wina, mówię ci.



Nie wierzyłam własnym uszom. Żeby takie słowa wyszły z ust trzynastolatki!

- Amelio, nie mieszaj się do tego.

- Nie przestraszysz mnie, ciociu Caroline. Moja mama mówi, że ty jesteś niedobra. Zresztą sama też widziałam.

- To idź i opowiedz o tym wszystkim, Miss Amelio. Zobaczysz wtedy, jak to jest, kiedy dorośli się gniewają.

- Powiem tatusiowi, powiem tatusiowi. - Zaczęła biec w stronę domu. - Tatusiu, tatusiu!

- Zrób to - powtórzyłam. Odwróciłam się i oparłam plecami o poręcz. Świetnie, wszystko układało się po prostu wyśmienicie.

Frances Mae została zapakowana do łóżka i zasnęła. Zanim ponownie zeszła na dół, Trip, matka i ja zdążyliśmy odbyć kolejną rozmowę, popijając koktajle na dworze i czekając, aż grill się rozgrzeje.

- Czy wiesz, co usłyszałam od mojej córki? - zaczął Trip.

- Mogę sobie wyobrazić - odparłam.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kładąc szkarłatne i purpurowe smugi na tle bladego błękitu. Oderwałam wzrok od nieba i zwróciłam się ku matce i Tripowi.

- Trip, z pewnością nie wierzyłeś w to ani przez chwilę - powiedziała matka.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Caroline miała powody, aby popchnąć Frances Mae, ale nie czuje w sobie pragnienia, aby kogoś skrzywdzić. W końcu ma teraz duszę wegetarianki.

- Och, świetnie, odczep się, dobrze? Jestem szczęśliwa, że nic jej się nie stało. Trip, wiesz przecież, że ona jest szalona.

- „Szalona” to duże słowo - zauważył Trip. - Ja bym nie powiedział, że jest szalona. Ale ilekroć bywa w ciąży, zachowuje się w taki właśnie sposób. Przykro mi z powodu tego, co powiedziała o Ericu. Wiem, że to nieprawda.

- Mam pewną propozycję - podjęła matka.

Matka mająca propozycję, a nie rozkazująca albo narzucająca rozwiązanie, to była zupełnie inna matka niż ta, którą znaliśmy do tej pory. Łagodniejsza.

- Wal śmiało.

- A może byśmy po prostu udawali, że nic się nie wydarzyło, i dziś wieczorem zachowywali się jak przykładowa rodzina?

Popatrzyłam na Tripa, a on na mnie. Oboje nienawidziliśmy takiego udawania, ale cena, jaką przyszłoby nam zapłacić, gdybyśmy usiłowali rozwikłać wszystkie nieporozumienia, które wytworzyły się między nami, była zbyt wysoka.

Przy stole Frances Mae siedziała odpowiednio przytłumiona. Trip zaserwował wspaniałe steki, a Millie potężną główkę sałaty i parujące pieczone kartofle, posypane świeżo zerwanym szczypiorkiem. Tak, jadłam stek i bardzo mi smakował. Wypiliśmy dwie butelki kalifornijskiego caberneta sauvignon ze specjalnej rezerwy z piwnic Stag's Leap. Oglądaliśmy popisy dziewcząt tańczących i kręcących piruety, dopóki gęstniejący mrok nie zredukował ich figurek do ciemnych sylwetek, ledwo widocznych na tle wody i drzew. Nikt z nas nie miał sił do dalszej walki ani nawet do negocjacji. Wypadek Frances Mae sprawił, że wszyscy pragnęliśmy odsunąć od siebie moment konfrontacji. Udawaliśmy, że nic

się nie stało, aby jakoś przetrwać ten wieczór. Prawda i tak objawi się w swoim czasie.

RS

## ***Dziennik Miss Lavini***

*Drogi Nevilu, drogi dzienniku, droga Caroline, drogi Boże. Brzmi to zupełnie niczym list, prawda? Nie wiem, nie wiem, czy ktoś słucha mnie w tej chwili albo czy ktoś kiedykolwiek poświęci choć chwilę czasu, aby przeczytać, co tu wypisuję. Jeśli znajdzie się ktoś taki, to z pewnością Caroline. No i co, moja dziewczynko? To dopiero było przedstawienie. Stara Frances Mae wzięła kąpiel. Gdyby nie fakt, że nosi w swoim łonie dziecko mojego syna, najlepiej byłoby ją utopić. Dokładnie tak właśnie czuję. Jeśli istnieje coś, czym pogardzam, to wulgarność. Caroline, to naprawdę nie była twoja wina.*

*Jakoś nie czuję się dobrze dziś wieczorem. Kolację ledwo przełknęłam. Trochę też kręci mi się w głowie. Może długi, mocny sen postawi mnie na nogi. Jutro wybieramy się wszyscy do kościoła. Najwyższy czas, abym odmówiła jedną czy dwie modlitwy. Zaszkozić nie zaszkodzi, a kto wie, może pomoże.*

## **Rozdział 20**

### ***Zamiast poprawy - pogorszenie***

Ubierałam się do kościoła w niedzielę rano, usiłując opanować rozbiegane myśli. Nagle powrót do Nowego Jorku zaczął mi się kojarzyć z życiem pełnym ograniczeń. Nigdy przedtem tak tego nie i odbierałam. W Nowym Jorku miałam Richarda i wielu przyjaciół, miałam nawet i takich klientów, którym nie byłam obojętna, ale oni nie byli z mojej krwi. Nagle okazało się, że nie jest mi wszystko jedno. Żaden z nowojorskich znajomych nie poświęciłby ani chwili mojej duszy. Po raz pierwszy od wielu lat pomyślałam o swoich pragnieniach. Millie, Trip i matka. To były osoby, które mi ufały, potrzebowały mnie i które naprawdę obchodziło, jak ja się czuję, nie tylko tak na pokaz, ale głęboko, w środku.

Wiedziałam także, choć przecież nigdy nie powiedziałabym tego na głos, że moja uwaga niemal w całości zogniskowała się na Ericu, że do Richarda od czasów jego eskapady z Lois do Londynu odnoszę się z pewnego rodzaju rezerwą. Dlaczego moje serce tak się przed nim broniło? Czy dlatego, że Richard bez przerwy stawiał mnie na cenzurowanym, a jego ocena zawsze wypadła niezadowolająco? W dodatku przez cały czas trwania naszego związku nigdy nie sprecyzował, gdzie popełniam błąd, dlaczego nie jestem w stanie nadal go fascynować. Instynktownie wyczuwałam, że wiąże się to z jego ogólnym rozczarowaniem, i nie miałam specjalnej ochoty zagłębiać się w powody. Co jeszcze mogłam powiedzieć o swoim małżeństwie? Że toczyło się siłą bezwładu?

Do pokoju weszła matka; przyniosła mi szklanekę soku pomarańczowego.

- Cóż, Caroline, musisz przyznać, warto było wydać pieniądze na samolot - powiedziała ze zwycięskim uśmiechem, opierając się o toaletkę.

- Owszem, nie zaprzeczę. - Przerwałam składanie swoich rzeczy, wzięłam z jej rąk szklankę i opróżniłam ją jednym potężnym haustem. - Dziękuję. Byłam bardzo spragniona. Znakomicie wyglądasz. - Odstawiłam szklankę na skraj stołu.

Matka miała na sobie bladoniebieski żakiet z lekkiej wełenki i spodnie do kompletu. Pachniała gardenią.

- Nie stawiaj szklanki w ten sposób. Odcisniesz kółko.

- Przepraszam. - Szybko podłożyłam pod szklankę serwetkę, mimo że denko miała suche jak pieprz. *Raz matką, zawsze matką*, przemknęło mi przez myśl. W następnej chwili ogarnęła mnie fala wzruszenia; gardło miałam jak zasznurowane.

- Mamo?

Przypatrywała się fotografiom całej naszej rodziny, oprawionym w delikatne srebrne ramki i stojącym na toaletce.

-Mhm?

- Ja... ja nie wiem... ja tylko... - Nie mogłam się opanować. Zaczęłam płakać.

- Caroline! Co ci jest? Dziecko, co się stało? Chodź no tutaj. - Podeszła do mnie i objęła mnie ramieniem.

Byłam tak zaskoczona, że płakałam i płakałam. Przysiadłyśmy na brzegu łóżka.

- Co się stało? - powtórzyła matka.

- Nic! Wszystko!

Z moich oczu popłynęły łzy tysiąca lat stania z boku, poczucia odrzucenia, braku akceptacji, braku miłości, braku zrozumienia, braku własnego miejsca, braku czegokolwiek, z czym mogłabym się identyfikować. Leżałam wyciągnięta w poprzek łóżka, a matka gładziła mnie po plecach. W końcu pozbierałam się jakoś. I dopiero wtedy zauważyłam Millie stojącą w drzwiach.

- Za długo cię tu nie było, dziewczyno, i na tym polega twój problem - zawyrokowała.

- *Yeah* - zgodziłam się. - Wiesz, może jesteśmy zwariowaną rodziną, ale przecież rodziną. Kocham was wszystkich, poza Frances Mae. Mamo, czy wymaga się ode mnie, abym kochała Frances Mae?

Nie widziałam tego, lecz matka płakała cicho razem ze mną. Od śmierci ojca po raz pierwszy miała wilgotne oczy. Ale słysząc moje pytanie, uśmiechnęła się, a nawet roześmiała lekko.

- Nie, Caroline, miłości do Frances Mae nikt nie będzie od ciebie wymagał. Ja też nie darzę jej uczuciem. Ona jest... zaraz, jak to mawiają młodzi ludzie? Szumowiną.

- Szumowiną? Matko, to znakomite.

- A teraz wytrzyj oczy i pójdziemy do kościoła, pomodlić się o wybaczenie tych wszystkich nikczemności, jakie wygadywałyśmy na jej temat. - Matka wstała, wyjęła paczkę chusteczek higienicznych z toaletki i podsunęła mi je.

Wytarłam oczy, wydmuchałam nos i nagle zachciało mi się śmiać.

- Ależ mamo, to do ciebie zupełnie niepodobne. Dobrze wiem, co myślisz o kościele i religii.

- Poczekaj tylko, aż zobaczysz wielebnego - wtrąciła Millie. -  
Wygląda jak jeden z tych facetów ze „Słonecznego patrolu”; tak  
przynajmniej o nim mówią.

Matka nakładała błyszczący na usta. Spojrzałam na nią, usiłując  
wybadać poziom lubieżności z wyduęcia jej warg.

- Przyznaję, jest ostry. Może jeszcze dojdę do religii, kto wie? -1 w  
ten sposób poznamy, że jest już stara - szepnęła Millie w moją stronę. -  
Zaczniesz się martwić o Sąd Ostateczny.

- Co takiego, ty stara wariatko? - zachnęła się matka.

- Millie mówi, że chcesz zaprowadzić wielebnego nad rzekę, żeby  
udzielił ci chrztu.

- Dostyc już, dajcie spokój obie. Wystarczy. O której godzinie masz  
samolot, Caroline?

- O osiemnastej.

- Świetnie, w takim razie może uda nam się wcisnąć gdzieś jeszcze  
rundkę strzelania do rzutków. - Urwała i spojrzała na mnie. - Przyczesz  
włosy, kochanie, wyglądasz okropnie. Czekam na ciebie na dole.

Opuściła pokój. Millie szepnęła do mnie:

- Ten przynajmniej ma pięćdziesiątkę albo i więcej.

- No to chwała Bogu.

Mnie wielebny wydał się krzykliwy niczym paw. Nie było wdowy w  
parafii, która nie skróciłaby dla niego spódnicy. Siedziałam w tylnej ławce  
z matką, Miss Sweetie i Miss Nancy, przysłuchując się i przyglądając, jak  
poszeptują między sobą, chichoczą i coś tam sobie pokazują, komentując  
widoczne przymioty proboszcza. Dla tych trzech jego kazanie poświęcone  
grzechom ciała było niczym rzucanie grochem o ścianę. Cmokały jak



nastolatki, wdzięcząc się przy tym niby roznegliżowane piękności na basenie. Po nabożeństwie, przed kościołem, Miss Sweetie zaciągnęła mnie do wielebnego.

- Wielebny Moore, chciałabym przedstawić pastorowi Caroline Wimbley z Nowego Jorku, córkę Lavinii.

Wyciągnęłam rękę i uściśnęłam jego dłoń.

- Levine - uściśliłam. - Miło mi wielebnego poznać. Kazanie było wspaniałe.

- Dziękuję. Proszę, mów mi Charles. Powiedziałaś, Levine? -dodał, zadzierając podbródek i spoglądając na mnie z góry. - Założę się, że coś się za tym kryje.

Uśmiechnął się. Wlepiłam w niego wzrok. Co on sobie wyobraża, u licha? Głupi ćwok.

- Przykro mi, że nie zorientowałam się od razu, że mieszkał wielebny w Nowym Jorku. To musiał być w życiu księdza fascynujący okres, pełen podniecających przygód.

Aż poczerwieniał z zakłopotania, że jego uwaga mogła zabrzmieć antysemitcko. Nagle u mojego boku wyrosła matka.

- A może wielebny zje z nami brunch\*? - zaproponowała.

- Och, z przyjemnością skorzystałbym z zaproszenia, Miss Lavinio, ale obawiam się, że mam już pewne zobowiązania. Innym razem bardzo chętnie. Jak długo zostajesz w domu, Caroline?

Wyraz jego oczu nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Cóż, mój chłopcze, szczerasz pod niewłaściwym drzewem.

- Wyjeżdżam dziś po południu - poinformowałam. - Charles - dorzuciłam po chwili.

- Ale mam nadzieję, że niebawem znowu nas odwiedzisz - powiedział wielebny tonem Wielkiego Złego Wilka kuszącego Czerwonego Kapturka.

- O tak - odparłam, rzucając mu wypróbowane spojrzenie cwanej mieszkanki Nowego Jorku, oznaczające: *no ty, facet, chyba żartujesz*.

- Chodź, Caroline, dosyć już nazawracałyśmy głowy pastorowi. Innym razem, Charles. Zadzwonię z wyprzedzeniem.

Pożegnaliśmy się. W drodze do domu matka zaczęła roztrząsać, jakież to wrażenie uczyniłam na wielebny. Nie była tym zachwycona ani trochę.

- Spodobałaś mu się, Caroline. Widziałaś, jak na ciebie patrzył?

- Dla mnie on jest za stary, mamó, a dla ciebie za młody. W dodatku głupi. Zresztą jestem mężatką.

- Wiem, ale założę się, że w spodniach nieźle musi go przypiekać.

- O Chryste. Założę się, że z poprzedniej parafii usunięto go za uganianie się za spódniczkami.

Samochód Tripa czekał już przed domem.

- Jak było w kościele? - zapytał mój brat, kiedy parkowałam wypożyczony wóz przed frontowymi drzwiami.

- Moja noga więcej tam nie postanie - zapowiedziała matka, wyskakując z auta i podstawiając Tripowi policzek do pocałowania.

- A to dlaczego? - zainteresował się.

Zatrzasnęłam drzwi i dołączyłam do nich, śmiejąc się do siebie.

- Ponieważ wielebny okazał się lubieżnym pedofilem - rzuciła matka, wbiegając na schody.

Trip zwrócił się do mnie z niemym pytaniem w oczach.

- Zamiast flirtować z nią, zabierał się do mnie - wyjaśniłam z kamienną twarzą.

- Aha - skomentował Trip i wybuchnął szaleńczym śmiechem. Okładaliśmy się pięściami, zanosząc się od chichotu, dopóki matka znów nie ukazała się w drzwiach.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jest wam tak cholernie wesoło - oświadczyła. - Chodźcież wreszcie do środka, zjemy omlety i napijemy się krwawej mary. Caroline o czwartej musi wyjeżdżać.

Jej słowa wywołały kolejną falę śmiechu. Wreszcie matka roześmiała się także.

- A to śmierzdel z tego wielebnego - powiedziała. - Trip, na miłość boską, przygotuj mi drinka.

Trip ograniczył się do nalania wódki na dno szklanek. Zabrałam swoją do kuchni i poszłam pomóc Millie.

- Matka mówi, że musisz się pośpieszyć, więc przyszedłam ci pomóc.

- Twoja matka zawsze musi z czymś wyskoczyć. Jeśli moje gospodarowanie jej się nie podoba, sama może sobie gotować. No i jak tam wielebny?

- Główny przegrany - wyjaśniłam.

- Idź nakrywać do stołu, dziewczyno. Zamieszam jeszcze ze dwa razy i wszystko będzie gotowe.

Wyjęłam matczyne porcelanowy serwis Herend, z wiktoriańskim wzorem, mój ulubiony. Przeżykaliśmy brunch w pośpiechu, bo chcieliśmy jeszcze wyjść na chwilę na dwór. Matka i ja wyraziłyśmy nasze zainteresowanie stanem Frances Mae.

- Czy dobrze się czuje? - chciałam się dowiedzieć.

- *Yeah*, chyba tak - rzekł Trip.

- No i świetnie - skwitowała matka.

Nie powiem, odwaliłyśmy temat samopoczucia Frances Mae; wyraziłyśmy nasze zainteresowanie jej stanem.

Odniosłam naczynia i sztuce do kuchni, do Millie.

- Brunch był wyśmienity, dzięki. Trip mówi, że Frances Mae ma się dobrze. A ty jak uważasz?

- Dziękuję za pochwałę. To wszystko zależy - powiedziała, a jej spojrzenie wyraźnie zdradzało, co sądzi o zawziętym charakterze Frances Mae.

- Od czego?

- Wczoraj zaparzyłam jej trochę żywokostowej herbaty. To ją powinno nieco wyciszyć. Sęk w tym, że ta kobieta wbiła sobie do głowy, że usiłowałam ją skrzywdzić. - Millie stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi, kiwając głową. - Cała choroba tkwi w jej duszy, zarażonej diabelstwem. Mówią, że diabeł strzeże swoich, ale jakoś tym razem nie miał nic przeciwko temu, aby się skąpała.

- Millie, jeśli ona zacznie przedwcześnie rodzić, nie chciałabym ponosić za to winy. Nie chciałam jej skrzywdzić. Podeszłam do niej, bo chciałam z nią porozmawiać, próbować wspólnie znaleźć rozwiązanie dla naszych problemów. Na mój widok cofnęła się, potknęła o wiadro i wpadła do wody. Zobacz, jak ozdobiła moje ramię. Millie, znasz mnie przecież. Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego.

Millie obejrzała zadrapania na moim ramieniu i cmoknęła.

- Caroline, masz problem, *yanh*?

- Millie, ja przecież nie...

- Nie, dziecino, twój problem nie na tym polega. Ty po prostu sama nie wiesz, gdzie przynależysz. Nikt tu nie zna twojego chłopca, *yanh*. A ludzie mają złe języki. Kiedy ktoś wydaje im się szczęśliwy, uwielbiają obrzucić go błotem.

- Och, przestań już, Millie.

- Dziewczyno, jak tylko wyjechałaś, od razu zrobiłaś się głupia.

Przyszłaś na świat ze srebrną, co ja mówię, ze złotą łyżeczką w ustach, a to prawdziwe przekleństwo. Ludzie cię nienawidzą, choć nawet cię nie znają. Twojego synka też będą nienawidzili; będą wygadywali na niego złe rzeczy, żeby cię zranić. Duszę Frances Mae zazdrość zżera żywcem, toczy ją niczym rak, ani na chwilę nie przycicha.

- I co ja mam zrobić w tej sytuacji, Millie?

- Bądź córką swego ojca i walcz o należne sobie miejsce. Pokaż swojej matce, kim jesteś. A przede wszystkim - pokaż to sama sobie.

- Ale co to ma znaczyć, u licha?

- Nie przeklinaj, bo przetrzępię ci tyłek. Nie jesteś jeszcze taka duża, żebym nie mogła przełożyć cię przez kolano i złoić ci skóry - oświadczyła Millie z błyskiem w oku.

- Przepraszam, Millie. A ty? Powiedz, co zrobiłabyś na moim miejscu?

- Przede wszystkim stanęłabym przed lustrem i pomyślała o tej kobiecie, którą chciałabyś zostać. Nie o tej, którą jesteś teraz, tylko o tej, którą pragniesz się stać. Ponadto przywoziłabym mojego chłopca do Karoliny tak często, jak to tylko możliwe, *yanh*. Dzieci pomagają dorosłym wyzdrowieć, wiedziałaś o tym? Naprawdę, uwierz mi. Tak,

Caroline, na twoim miejscu zrobiłabym porządek ze swoim dotychczasowym życiem.

Przenikała mnie wzrokiem na wylot. Zdawało mi się, że wie wszystko o moich obawach i wątpliwościach dotyczących Erica, braku pewności siebie w związku z Richardem, niechęci do postawienia sobie pytania o cel w życiu.

- Tak, masz rację, ale przypatrywanie się sobie ze zbyt małej odległości to niebezpieczna zabawa. Sama mnie tego uczyłaś.

- Owszem, jest tak, jak mówisz. Natomiast marnowanie czasu to grzech. Możesz przeżyć swoje życie niczym ostryga zagrzebana w piasku, ale tego nie polecam. Zdecydowanie nie.

- Może powinnam zatelefonować do Frances Mae?

- Zostaw ją lepiej i idź poszukać swojego brata. - Millie uniosła brwi.

Czyżby coś podejrzewała? No tak, już wszystko wiedziałam. Nie musiała mówić ani słowa. Podejrzewała, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dobry Boże, pomyślałam, ile jeszcze dam radę udźwignąć?

Z wybiciem pierwszej matka, Trip i ja, już przebrani, byliśmy gotowi do wymarszu. To znaczy, tak naprawdę to Trip i matka byli gotowi. Oboje mieli na sobie klasyczne stroje do polowań, jakie się nosi w Lowcountry; oliwkowe spodnie, wełniane golfy i kamizelki myśliwskie. Wyglądali niczym bliźnięta, z tą tylko różnicą, że matka zawiązała sobie wokół szyi apaszkę od Hermesa. Ja włożyłam džinsy i lekką, przewiewną koszulę. Udaliśmy się w kierunku stajen. Po raz pierwszy od wielu lat miałam znowu wziąć strzelbę do ręki.

Matka otworzyła drzwi pokoju myśliwskiego i wówczas poczułam się tak, jakbym nagle cofnęła się w czasie. Stałam na środku

niewielkiego pomieszczenia i rozejrzałam się zdumiona. Wszystkie ściany obwieszane były fotografiami sprzed lat, oprawionymi w ramki. Istna galeria. Ja na moim pierwszym koniu, dzierżąca w rękach trofeum zdobyte na pokazie, odsłaniająca w uśmiechu brak przednich zębów. Fotografie Tripa, matki, ojca i mnie, paradujących w angielskich strojach do polowań, to znowu my wszyscy, poubierani zgodnie z modą obowiązującą na Zachodzie. Całe pęki cugli, popękanych ze starości, porozwieszanych u sufitu nad obrazkami. Moje własnoręczne malunki z szablonu, przedstawiające Flickę i Czarną Ślicznotkę, zawieszane jeden nad drugim tuż obok drzwi. Stara sofa, ciągle z tym samym skórzanym pokryciem. Jako dziewczynka ucinałam sobie na niej drzemkę pod afgańskim pledem, podczas gdy tatuś pracował przy biurku stojącym pod przeciwległą ścianą. Czasami czytał najnowszy numer „Field & Stream”, a ja zapadałam w sen. Kolejne wspomnienie z przeszłości, które poruszyło moje serce. Dałam się ponieść słodkiemu wzruszeniu.

- Caroline, idź i przywitaj się z Jenkinsem. Znajdziesz go pewnie w siodłami.

- Oczywiście! Nie mogę się wprost doczekać, żeby go zobaczyć. Trip miał minę mocno sceptyczną. My obie przeszłyśmy go spojrzeniami jasno mówiącymi, że jest wielkim, tępym osłem, skoro w jego głowie mogła się zrodzić myśl o matce sypiającej z Jenkinsem.

- A żwawy jak zawsze. Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu spryskiwał kostrzewę na polach. A tydzień wcześniej jak szalony sadił sorgo.

Kiedy matka zaczynała mówić o sorgo i kostrzewie, natychmiast przemieniała się w Miss Lavinie. Wystarczało, aby tylko znalazła się w pobliżu stodół, a od razu zaczynała kipieć energią. To był jej żywioł. Może

czuła wówczas ducha tatusia, przyczajonego gdzieś w cieniu? Kto wie? Ja wyczuwałam go wyraźnie.

Ich ostatnim wspólnym przedsięwzięciem było przekształcenie dawnych pól ryżowych w tor z osiemnastoma stanowiskami do strzelania do rzutków i polowań na ptaki. Uwielbiali spędzać tam czas z przyjaciółmi na wspólnej zabawie. Może matka uznała, że przejażdżki bryczką z przyjaciółkami są rodzajem daniny, jaką płaci tatusiowi?

Musiałam przyznać - och, zapomnijmy na chwilę o buddyzmie - że strzelanie do glinianych rzutków stanowi znakomitą zabawę. Najpierw *skeet* - coś dla dziewczynek. Stawało się w miejscu i wołało: *rwij!* I wtedy chłopak obsługujący stanowisko uwalniał gliniany dysk, który nadlatywał z prawej albo z lewej. Należało wycelować, mierząc lekko przed łukiem, jaki zataczał gliniany ptak, i strzelić. *Rwij, już i pal!* Proste. *Traps* były o wiele bardziej interesujące, ponieważ gliniane ptaki ulatywały przed człowiekiem zupełnie niczym prawdziwe - trafienie wymagało o wiele więcej zręczności.

Strzelanie do rzutków było jednym z tych sportów, które nie służyły zabijaniu, ale posługiwano się w nim bronią. Dawne pola ryżowe zostały zamienione w coś w rodzaju pola golfowego, z tym, że zamiast osiemnastu dołków miały osiemnaście stanowisk. Na każdym z nich umieszczony był *skeet* albo *trap*, a cała zabawa polegała na tym, że człowiek nigdy nie wiedział, kiedy natrafi akurat na *trap*, ponieważ Jenkins ustawicznie zmieniał ich położenie, tak że nawet matka dawała się zaskoczyć.

Tereny między poszczególnymi stanowiskami obsadzono specjalnymi gatunkami roślin, żeby przywabić przepiórki i indyki. Przepiórki najchętniej zakładają gniazda bezpośrednio na ziemi, w



miejskach, gdzie rośnie sorgo i hespedigia, z różowymi kwiatkami i nasionami, stanowiącymi ulubione pożywienie tych ptaszków. Problem w tym, że równie chętnie żywią się nimi daniela, stąd ustawiczna walka, żeby je przegnać.

Otworzyłam drzwi siodłami i od razu owionął mnie znajomy zapach skóry i środków do konserwacji uprzęży. Podziałał niczym narkotyk. Jenkinsa w siodłami nie było, więc skierowałam się do stajni. Stary Jenkins wyszykował bryczkę; zaprzągnął do niej dwie klaczki i teraz - jak to miał w zwyczaju - stał, czekając, aż ktoś się pojawi z pochwałą, że świetnie się spisał. Bo rzeczywiście spisał się świetnie.

Był odwrócony tyłem do mnie. Białe włosy miał lekko przeredzone i ubrany był w spodnie khaki i koszulę, dokładnie taki sam strój, jaki nosił, odkąd sięgałam pamięcią. Stał, wyprostowany sztywno, i wystarczyło tylko na niego popatrzeć, by od razu dostrzec w nim dżentelmena.

- Panie Jenkins - odezwałam się - jak się pan miewa?

Na przypomnienie wszystkich związanych z nim chwil mojego dzieciństwa poczułam, że ogarnia mnie wzruszenie.

- Kiedy panią zobaczyłem, Miss Caroline, od razu poczułem się lepiej.

- Jak tam moje pekany?

- Dziecko! Orzechy u nas tak obrodziły, że zupełnie nie wiemy, co z nimi robić. - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając mocne zęby, a w jego ciemnych oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

- Ma pan na myśli moją bratową i jej hordeę czy orzechy pekanów?

Śmiejąc się, ujął lejce i wyprowadził powozik na zewnątrz.

- *Yeah*, jak ja się cieszę, że panią widzę, Miss Caroline. Pani wnosi życie do tego domu.

Pomógł mnie i matce wsiąść do bryczki i sam usiadł na ławeczce woźnicy, obok Tripa. Wszystkie siedzenia w bryczce wyścielone były czerwoną skórą. Ruszyliśmy w stronę pierwszego stanowiska. W kilka minut później Trip wyskoczył i podał mi dwururkę, dwudziestkęósemkę.

- Żeby chronić twoje ramię.

- Odczep się, Hoss, sam strzelasz z dwunastki - powiedziałam. - To niesportowa przewaga, *sukh*.

Im mniejszy kaliber, tym mniejszy pocisk, tym trudniej trafić w cel. Przecież nie zapomniałam tak całkiem, jak się strzela.

- *Bubba*, uważaj lepiej, żebym ciebie nie trafiła.

- Ona całkiem dobrze niesie - powiedział Trip.

- Ty martw się lepiej o swoje ramię - dorzuciła matka, zwinnie niczym nastolatka wyskakując z bryczki tuż przy pierwszym stanowisku. - Ja pierwsza. Wiek ma swoje przywileje.

- Czy kolejność celów jest zaznaczona? - zapytałam.

- Coś ty, przecież to by zepsuło całą przyjemność. Jenkins przemieszał ze sobą gołębie, przepiórki, bażanty, a nawet króliki. Nigdy nie wiesz, jaki będzie następny cel - wyjaśnił Trip, wyraźnie podniecony perspektywą bliskiego strzelania.

Boże, przecież ten człowiek miał w sobie pokłady agresji, które musiał w jakiś sposób rozładować.

- Cicho tam, wy dwoje. Koncentruję się.

Usunęliśmy się nieco. Matka oddała pierwszy strzał do glinianego dysku, który nadleciał z lewej, i roztrzaskała go na kawałki. Strzeliła

jeszcze cztery razy, raz nad głową, dwa razy z prawej i raz nisko. Pięć strzałów, pięć trafień.

- Widzisz, synu, gdybym chciała odstrzelić ci twoje klejnoty w ubiegłym tygodniu, śmiało mogłabym to uczynić. Twoja matka zachowała celne oko.

- Jakoś wcale nie czuję się przez to bezpieczniejszy - rzucił Trip, zajmując stanowisko. Miał trzy trafienia na pięć strzałów.

- A niech to cholera! Przepraszam, mamó.

- Nic nie szkodzi. Też bym klęła, gdyby okazało się, że trzy celne strzały na pięć oddanych to wszystko, na co mnie stać - oznajmiła matka.

Wystąpiłam do przodu, wstrzymałam oddech i popatrzyłam przez celownik. Mój wynik: dwa trafienia na pięć strzałów.

- Wytlumaczcie mi raz jeszcze, dlaczego my to robimy - powiedziałam.

- Tradycja, Caroline. To jest to, czemu oddawaliśmy się od zawsze - odpowiedziała matka.

Nie byłam pewna, czy podoba mi się ten akurat zwyczaj, ale doceniałam znaczenie rytuału. Każdy człowiek ma prawo do własnej przestrzeni, w której mógłby królować. Ta należała do matki, która odnajdowała się w niej znakomicie.

Kiedy wracaliśmy do bryczki, Trip zaczął naśladować gulgotanie indyka.

- Jelp,jelp,jelp.

- Skończ z tym, *bubba*. Nawet ja wiem, że do indyków nie strzela się przed pierwszym kwietnia.

- Nie wypędzisz Lowcountry z tej dziewczyny - zauważył Trip.

Poczekaj, aż znajdziemy się z dala od zasięgu uszu matki. -Hej, Trip!

Odwrócił się w moją stronę.

- Tu mnie możesz pocałować, *bubba* - powiedziałam, wskazując pośladek. A niech sobie myśli, że ma rację.

*Twoja dziewczynka wyjechała, wróciła do siebie. Ale na powrót stała się moją małą dziewczynką. Czy to nie zabawne? Człowiek nigdy nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu obecności drugiej osoby, dopóki nie przyjdzie mu się z nią rozstać. Co ja bym dała, żeby mieć ją teraz przy sobie. Nawet moje perty...*

RS

## Rozdział 21

### "Doktor" Blues

Wśród wybuchów śmiechu, uścisków i wzajemnych obietnic ode-  
rwałam się wreszcie od Wysokich Sosen, żeby powrócić do Richarda i  
Erica. Raz jeszcze pojawił się Trip, pod pretekstem, że po południu będzie  
łowił. Tak naprawdę przyjechał pomachać mi jeszcze na pożegnanie.  
Pokazała się też Miss Sweetie, przywożąc mi dwa słoiki dżemu  
truskawkowego. Jej gwałtownych uścisków nie zapomnę do końca życia.

- Dziecko, musisz częściej przyjeżdżać i odwiedzać matkę, słyszysz?  
Ona cię potrzebuje.

- Dobrze, dobrze - obiecywałam. - Przyjadę na pewno. Kiedy  
znosiłam rzeczy do samochodu, Millie przypatrywała mi  
się swoim słynnym spojrzeniem. Mocno wsparta na szeroko rozsta-  
wionych nogach, z rękami założonymi na piersiach, stała obok tylnego  
zderzaka, a jej oczy przewiercały mnie na wylot.

- Millie, co ty wyprawiasz? Rzucasz na mnie urok?

- A co, czujesz się winna?

- Powinnam?

- Powinnaś?

Nie byłam do końca pewna, co ma na myśli. Wyściskałam ją ze  
wszystkich sił.

- No to wracaj i rób, co masz robić - przyzwoliła w końcu.

Podróż powrotna upłynęła mi na rozmyślaniach o moich najbliż-  
szych, pozostawionych w Karolinie Południowej. Jak bardzo się myliłam  
w ocenie każdego z nich! Trip w małżeństwie najwyraźniej czuł się  
nieszczęśliwy, podczas gdy ja sądziłam, że jakoś im się poukładało.

Paradoksalnie, kłótnia zbliżyła nas na powrót. Mój brat był zbyt wielkim tchórzem, żeby okazać Frances Mae, jak bardzo nią pogardza, więc wysłał mnie na pierwszą linię. Być może wypełniłam swoje zadanie z większym impetem, niż tego oczekiwał, ale w sumie wszystko obróciło się na dobre. Przynajmniej Frances Mae powściągnie swój jadowity język choć na jakiś czas. Miałam tylko nadzieję, że nie zacznie przedwcześnie rodzić.

A matka? Po raz pierwszy od wielu lat okazała mi ciepło. Po raz pierwszy od wielu lat okazała, że czegoś ode mnie potrzebuje. Bez wątpienia dręczyło ją, że Trip mógłby się posunąć do wyrzucenia jej z Wysokich Sosen. Dawniej przez wady matki trudno mi było dostrzec ją samą. Teraz, kiedy po raz pierwszy mi się to udało, zobaczyłam nagle, czym one są w istocie - drobnymi przywarami, i niczym więcej.

Także próba Tripa sięgnięcia po matczyne tronie była niczym innym, jak rozpaczliwym wołaniem do niej o pomoc, o to, by uratowała go przed nim samym. Na serio nie mógł przecieź roić, choćby przez chwilę, że matka pozwoli się zdetronizować. Stara Frances Mae mogła do upojenia oblizywać swoje tłuste wargi, wyobrażając sobie siebie królującą w Wysokich Sosnach, ale ja wiedziałam aż nazbyt dobrze, że prędzej piekło by zamarzło, niż matka pozwoliłaby jej uszczknąć choćby okruch ze swojej tiary. Tak, z Tripem stanowczo działo się coś niedobrego.

Moja wizyta dodała im pewności siebie. Jakie to przewrotne! Co więcej, mnie także uświadomiła, kim jestem. Czyżbym tego nie wiedziała? *Bądź moją córką.* No i co, tato? Czy okazałam się wystarczająco dobra w twoich oczach? *Zmień się.* Och, dobrze, zmienię się z całą pewnością. Ale aby to uczynić, będę musiała zaakceptować wiele niewygodnych prawd. Od tego nie da się uciec.

Matka prosiła mnie o ściślejszą więź ze sobą. Czy żądała zbyt wiele? Nie, oczywiście, że nie. Trip chciał jedynie, żebym zrozumiała jego sytuację i pomogła mu się w niej odnaleźć. Dopiero teraz dotarło do mnie, dlaczego obsypywał Erica prezentami. Po prostu byliśmy wszystkim, co posiadał, wszystkim, co pragnął posiadać. Jeśli w zamian domagał się jedynie, abym od czasu do czasu ostro zbesztalała to zero, z którym się ożenił, cóż... było okropne przyznać się do tego choćby przed samą sobą, ale podobna perspektywa wydała mi się rozkoszna.

A Millie? Dobry Boże! Czy rzeczywiście miała zamiar uczynić mnie kapłanką voodoo? No, ładnie. To całe jej gadanie o czepku! Chociaż z drugiej strony, kto wie? Kiedy zażartowałam sobie, że wobec Frances Mae jej czary okazały się bezsilne, powiedziała tylko, że magia weszła we mnie, że to ja za pomocą słów wypędziłam z niej złego ducha. Niech i tak będzie.

Na wspomnienie sposobu, w jaki wygarnęłam wszystko Frances Mae tamtego wieczoru, kiedy nasikała na dywan, musiałam się roześmiać. A następnego dnia? Nie powiedziałam zwyczajnie, żeby się zamknęła. Nie, kazałam babie zatrzaskać jej piekielne wrota. A matka, która obiecywała sobie, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, obdaruje pieluchami i maleństwo, i synową? Co za złośliwość!

Pojawiłam się w Wysokich Sosnach niczym wybawiciel. Jakie to osobliwe. Ja wybawicielem? A jak dobrze mi to zrobiło! Bo w małżeństwie - dopiero teraz to sobie uświadomiłam - odgrywałam rolę szarej myszki.

Podczas kłótni z Richardem nigdy nie zdarzało się, abym podniosła głos. Dla Richarda krzyk oznaczał brak kultury i zawsze bardzo mocno to

podkreślał. A tu proszę, wystarczyło znaleźć się z powrotem w domu (zaraz, czy ja powiedziałam: w domu?), żeby wyzwolić drugą część mojej osobowości, tę, którą od nazbyt dawna usiłowałam poskromić, pozbawić uczucia. No i dobrze, pomyślałam, teraz wracam tam, gdzie mojemu życiu nie towarzyszy cień szaleństwa, tam, gdzie nie muszę pożytkować całego swojego zapasu energii każdego dnia. I nagle perspektywa powrotu wydała mi się nudna i jałowa. Ale w Nowym Jorku był Eric, którego tak mi brakowało. A może zabiorę go kiedyś w odwiedziny, żeby poznał nieckę ACE, żeby wyprawił się na ryby ze swoim wujem? Na pewno zrobiliby to dobrze i jednemu, i drugiemu.

W taksówce wiozącej mnie na Manhattan już planowałam kolejną wizytę w domu. W maju Karolina Południowa była taka piękna. Może udałoby mi się zdobyć bilety na Festival Spoleto? A gdybym tak jeszcze namówiła Richarda? Festiwal powinien mu się spodobać. Naprawdę nie mogłam winić go za brak zbytniego entuzjazmu wobec członków mojej rodziny, skoro ci ignorowali go przez całe lata. Ale teraz, kiedy matka zaufała mu i uczyniła swoim pełnomocnikiem, może da moim najbliższym kolejną szansę? Bardzo bym chciała, aby tak się stało.

Była już prawie dziewiąta, kiedy wreszcie dotarłam do domu. Phil, portier z drugiej zmiany, pośpieszył, aby pomóc mi z bagażami.

- Witam w domu, pani Levine. - Odebrał ode mnie torbę. Podążyłam za nim przez wykładany marmurem hol.

- Dziękuję, Phil. Czy mój mąż jest w domu?

- Nie, wychodził gdzieś koło ósmej. Eric jest u Hillmanów.

- Phil... - Nacisnęłam przycisk windy.

- Tak, *ma'am*? - Wstawił moje torby do środka.



- Czyżby w twojej czapce tkwiła mała antenka, umożliwiająca ci śledzenie, co się dzieje w całym domu?

- Jasne! - Roześmiał się.

Drzwi kabiny zaczęły się zasuwać.

Wniosłam bagaże do ciemnego mieszkania i ruszyłam przez pokoje, zapalając po drodze wszystkie światła. A może wypuścimy się z Erikiem gdzieś na kolację? Dałabym uciąć sobie głowę, że Richard nie pofatygował się po zakupy. Wystarczył rzut oka do lodówki, by moje przypuszczenia się potwierdziły. Kartony z chińskimi potrawami. Niech tam, pewnie razem z Erikiem spędzali czas przed telewizorem, oglądając stare filmy. Wróciłam do gabinetu, żeby przejrzeć pocztę. Chciałam zadzwonić do Hillmannów, więc podniosłam słuchawkę telefonu. Przedtem jednak wybrałam numer i kod poczty głosowej. Dwie wiadomości. Pierwsza: „Cześć, mamuś, jestem u Johna. Zadzwon, jak wrócisz”. Następna wiadomość: „No, przecież powiedziałaś, że o ósmej na rogu Dziesiątej i Placu Uniwersyteckiego. Gdzie ty się podziewasz?”.  
Lois.

Zostawiłam torby w przedpokoju, po Erica postanowiłam zadzwonić, dopiero kiedy wrócę. Dlaczego Richard wybrał się z Lois na kolację czy na drinka, czy nawet na jedno i drugie, akurat wtedy, kiedy miałam wrócić do domu? Intuicja podpowiadała mi, że nie spodoba mi się to, co usłyszę z jego ust, i chciałam jak najprędzej mieć to już poza sobą.

Phil złapał dla mnie taksówkę. Wkrótce zatrzymaliśmy się na rogu Dziesiątej Ulicy i Placu Uniwersyteckiego, przed Albertem, włoską restauracją, przed laty często odwiedzaną przez Richarda i przeze mnie. Później przestaliśmy tam bywać, bo każdy nasz pobyt w tym lokalu

nieodmiennie kończył się kłótnią. W końcu doszliśmy do wniosku, że Alberto ma, co prawda, świetną *pasta*, za to kiepską karmę.

Płaszczyzny okien wychodzących na ulicę aż do poziomu stolików przysłonięte były zielonymi portierami, upiętymi na mosiężnych karniszach. Potężne drzewa na ulicy dodatkowo utrudniały próby zagładnięcia do sali jadalnej. Nie mogąc wypatrzeć Richarda z zewnątrz, zaczerpnęłam głęboko powietrza i weszłam do środka.

Z jednym obrotem szklanych drzwi miał się obrócić cały mój świat. Wiedziałam o tym z absolutną pewnością. Zaczęłam dygotać. Maitre d'hôtel przywitał mnie słowami: *buona sera*, a ja wręczyłam płaszcz bezrobotnej aktorce, obsługującej szatnię.

- Czy ma pani rezerwację, *signora*?

- Nie, nie. Postanowiłam zrobić niespodziankę przyjaciołom, więc wpadłam dosłownie na chwilę. Długo nie zabawię, ale z rozkoszą wypiłabym kieliszek szampana.

- A nazwisko gospodarza przyjęcia? - Maitre zaczął szukać czegoś w książce rezerwacji.

Minęłam go, kierując się w głąb sali, tam gdzie - jak pamiętałam - znajdowały się łoże. Nerwy miałam zwinięte w jeden wielki kłęb determinacji, ale mimo to - cudem chyba - udawało mi się uśmiechać do kelnerów i obsługi, zupełnie jakbym była co najmniej właścicielką tego lokalu. W rzeczywistości czułam się bliska omdlenia.

Jeszcze tylko dwie łoże dzieliły mnie od tej, w której spodziewałam się ich znaleźć. Przystanąłam na chwilę, żeby uspokoić oddech. Co mam im powiedzieć? Najpierw usłyszałam głos Richarda.

- Jesteś niesforną dziewczuszką, Lois. Przetrzepię ci tyłek, zobaczysz.

- Och, szczotką do włosów, obiecujesz? - powiedziała. W jej wykonaniu brzmiało to jak: „Oooch, szczoootką do włooosoow, oobie-coojesz?”.

Cholera, i co teraz? Odwróciłam się. Główny kelner podążał za mną z kieliszkiem szampana, niemal następując mi na pięty. Stałam na wprost łoży. Oboje siedzieli na ławie, Richard przy barierze, Lois zaraz przy nim, nieco w głębi. Ona trzymała rękę pod serwetą, którą miał rozłożoną na kolanach, on swoją pod jej pośladkami albo w ich bezpośredniej bliskości.

- Caroline!

Bomba wybuchła. Na ich twarzach przestrach mieszał się z bez troską. Przez krótki ułamek sekundy Richard usiłował przybrać wyraz całkowitej niewinności.

- Cześć, kochanie, co się stało?

Moja ręka wystrzeliła do przodu, zrywając serwetkę z jego kolan. I oto oczom wszystkich ukazał się główny eksponat wystawy. Obłeśne palce Lois, zaciśnięte wokół jednookiego przyjaciela Richarda, w pośpiechu zwieszającego teraz główkę. Główny kelner dopadł mnie wreszcie. Wzięłam z tacy kieliszek i uniosłam go w kierunku Richarda, nerwowo naciągającego na kolana skraj obrusa. Omal się nie roześmiałam, ale już za moment ogarnęło mnie poczucie osobliwej koncentracji i kompletnego spokoju. Widok ich obojga, zajętych sobą w ten sposób - mniejsza z tym, jak to nazwiemy - w miejscu publicznym wydał mi się wręcz absurdalny. Po ileż oni mieli lat? Obrzydlistwo. Czułam się niczym świadek katastrofy kolejowej. Jedna część mojej świadomości nakazywała mi odejść, nie patrzeć, podczas gdy druga nie potrafiła przestać się gapić.

- Czy dołączy pani do swoich przyjaciół na posiłek? - zapytał maitre d'hôtel, najwyraźniej nieświadomy, co się tutaj przed chwilą rozegrało.

- Nie wydaje mi się - odparłam - ale proszę zapisać mojego drinka na rachunek doktora Levine'a.

Maitre wymamrotał coś w rodzaju: „Doskonale” i oddalił się w kierunku kuchni.

- Tak. No to mamy zebranie Towarzystwa Wzajemnej Masturbacji - powiedziałam. - Czy wnioski ze spotkania będą protokołowane?

- Usiądź, Caroline. Wszystko ci wytłumaczę - zaczął Richard. Na jego czole perlił się pot.

Lois nie odzywała się. Lekko przechyliła się ku ścianie, umożliwiając Richardowi wyciągnięcie dłoni spod jej tyłka. Uczynił to tak skwapliwie, jakby nie on ją tam wsadził. Nie usiadłam przy stoliku. Wzrok ciągle miałam utkwiony w miejscu katastrofy kolejowej. Czas jakby nagle się zatrzymał, zawisł w powietrzu, nie przesuając się ani w przód, ani w tył. Upiłam kolejny łyk szampana i odstawiłam kieliszek na stół, obok kieliszka Richarda, napełnionego czerwonym winem.

- To nie ma sensu, Richard - powiedziałam. Mój głos był płaski i kompletnie pozbawiony wyrazu.

- Uspokój się, zachowujmy się jak ludzie cywilizowani.

- Cywilizowani? Ty zbrojeńcu, publiczne obnażanie się nazywasz cywilizowanym zachowaniem?

- Caroline, proszę cię, ochłoń i nie rób sceny. Wpadasz w histerię.

- Naprawdę? - zapytałam odrobinę głośniejsze.

Minął mnie pomocnik kelnera, niosący na tacy szklanki i karafkę z wodą. Sięgnęłam ponad jego głową i porwałam dzbanek, napełniony niemal po brzegi. Młody kelner szedł w swoją stronę, a ja zwróciłam się do Richarda:

- Zdaje się, *bubba*, że to tobie potrzeba ochłody.

Lois odsunęła się, jak tylko mogła najdalej. Wylałam lodowatą wodę prosto na głowę Richarda. Z rozmachem postawiłam karafkę na stoliku, ponownie sięgnęłam po kieliszek i chlusnęłam szampanem prosto w twarz Lois.

Z piskiem usiłowała zatamować rzeki tuszu, spływające po naszprycowanych kolagenem policzkach.

- Ty dziwko, ty wstrętna, podła dziwko - powiedziałam - już od dawna miałam ochotę to zrobić.

Odwróciłam się i nonszalanckim krokiem pomaszerowałam w stronę wyjścia, a potem na ulicę. Dopiero w okolicach Pięćdziesiątej Ulicy i Madison uświadomiłam sobie, że zostawiłam płaszcz w szatni.

Z Erikiem nie rozmawiałam tego wieczoru na temat ojca, ale wiedziałam, że moje małżeństwo jest skończone. Telefon dzwonił równo co kwadrans, aż wreszcie o północy wyłączyłam go. Richard nie wrócił do domu. Pewnie został u niej. O Jezu, a ja myślałam, że Frances Mae to gnida.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*W domu jest dzisiaj tak cicho, tak spokojnie. Trip znowu poprosił mnie o pieniądze. Chciał pięćdziesiąt tysięcy! Albo mi wytłumaczy, o co w tym wszystkim chodzi, albo palcem nie kiwnę, żeby otwierać portfel. Zaraz jutro wezmę go na dywanik. Dzisiaj jestem zbyt zmęczona.*

*Przyrządziłam kanapki z pomidorem dla siebie i dla Millie i zjadłyśmy je, siedząc w kuchni. Wizyta Caroline dobrze zrobiła nam obu, co do tego jesteśmy zgodne. Chciałabym, aby zadzwoniła. Znalazłam jej koszulkę i przyłapałam się na tym, że przytykam ją do twarzy i wącham w poszukiwaniu zapachu Caroline. Większości ludzi pewnie wydałoby się to żałosne. Większości, ale nie Nevilovi. Przez całe lata sypiałam w jego koszulach i piżamach. Nikt o tym nie wiedział. Mam nadzieję, że Caroline dotarła szczęśliwie do Nowego Jorku. Gdyby samolot się rozbił, pewnie usłyszałabym już o katastrofie; tak przynajmniej sądzę. Mam nadzieję, że w końcu zadzwoni. Na pewno zadzwoni. To było wspaniałe, znowu zobaczyć moją małą dziewczynkę.*

## **Rozdział 2 2**

### ***Pranie brudnej bielizny***

Naprawdę nie wiem, jakim cudem, w każdym razie następnego ranka jakoś udało mi się zwlec z łóżka i przygotować śniadanie dla Erica. W nocy niemal nie zmrużyłam oka, torturowana wizjami Richarda w objęciach Lois. Wiedziałam, co muszę zrobić, choć jednocześnie nie miałam pojęcia, jaki powinien być mój pierwszy krok w ten poniedziałkowy ranek. Postanowiłam odejść od Richarda.

Zimny i dżdżysty dzień wisiał nad miastem niczym ponury welon. Niebo było równie szare jak mój nastrój. Eric nie przestawał pytać: „Mamuś, co się stało?”. Nie poukładałam sobie jeszcze, jak mu to wszystko powiem, stąd wykręcałam się jak mogłam ogólnikami w rodzaju: „Nie przejmuj się, skarbie. Mam dziś na głowie sporo spraw, i to wszystko”. A kiedy zapytał o ojca, skłamałam, że wyszedł wcześniej, bo jakiś pacjent miał kryzys. Lekarzu, ulecz się sam.

Pośpiesznie kroczyliśmy w górę Park Avenue, do Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie mieściła się szkoła. Stojąc na rogu, z dłońmi wsuniętymi pod pachy, przyglądałam się, jak Eric z powiewającym szalikiem i tornistrem objającym się o plecy wbiega do budynku. Lubił wchodzić do środka samodzielnie. Obecnie nie znosił mojego odprowadzania, tak że musiałam wynajdywać rozmaite wymówki, że muszę skoczyć do bankomatu, do sklepu spożywczego albo gdzieś tam jeszcze. Eric dorastał i coraz bardziej uniezależniał się ode mnie. Wiem, przyznaję, byłam nadopiekuńcza, trzęsłam się nad nim niczym kwoka, ale

w końcu mieszkaliśmy na Manhattanie. Wcale nie miałam ochoty odbierać telefonu z wiadomością, że moje jedyne dziecko zaginęło.

Pograżona w myślach, wracałam Park Avenue, ściągając brwi i mocno zaciskając szczęki. Wyszłam na prawdziwą idiotkę, próbując tak usilnie wmawiać sobie, że Richard pozostaje mi wierny. Cofnęłam się myślami aż do naszej niezapomnianej rozmowy w noc poślubną i do jego wyjazdu do Londynu, kiedy Eric miał przyjść na świat. Ile razy mnie zdradził od tamtego czasu? Czy tę noc, kiedy poczułam od niego opium, także spędzał w łóżku Lois? Wiedziałam o tym, wiedziałam w taki sam sposób, w jaki człowiek potrafi czasami wyczuć nadciągającą katastrofę.

Zastanawiałam się, co on w niej takiego widział albo co ona dla niego znaczyła. Z wyglądu była ostra. Ubierała się paskudnie, jej ciało nosiło ślady przetrenowania, do swej ulubionej fryzury była co najmniej dwadzieścia lat za stara, a jej makijaż przywodził na myśl postacie z „The Rocky Horror Picture Show”. Wyglądała niczym szczur biegający podczas Halloweenu z nastroszoną sierścią. I z taką kreaturą zdradzał mnie mój mąż? Jak ja jej nienawidziłam. Rzecz jasna, w Nowym Jorku nie brakowało zgredów, którym odpowiadały jej dwucalowe paznokcie i smak błyszczycy do warg, nie brakowało starych pryków, zachwycających się jej akcentem albo sposobem, w jaki żuła gumę. O Jezus!

Im dłużej o niej myślałam, tym większa ogarniała mnie wściekłość. Jak ona to sobie wyobrażała? Że wparuje tak między nas ni z tego, ni z owego i zabierze mi męża? O, niedoczekanie. Przypomniałam sobie Richarda obiecującego, że przetrzepie jej tyłek.

I znowu zobaczyłam ich oboje, parkę obściskującą się na filmie porno w ciemnej salce obscurnego kina.



Tak, teraz nareszcie pojęłam, dlaczego Richard uparcie nazywał mnie prowincjuską. Pragnął czegoś, czego nie miałam w repertuarze. To jasne, że nie odważyłabym się w restauracji na podobny występ jak Lois, ale może gdyby zechciał, nie miałabym nic przeciwko popróbowaniu innych rzeczy. Na przykład świntuszenia w łóżku czy czegoś podobnego. Nigdy mi tego nie proponował.

Do diabła, wiadomo, że wszyscy Anglicy są trochę zboczeni. Pomyslałam, że muszę przynajmniej porozmawiać z Richardem. Nie byłoby w porządku ograniczyć się do telefonu do adwokata i wymiany zamków. Nie po piętnastu latach w miarę szczęśliwego pożycia. Czułam się taka wściekła, taka zraniona. Ciekawe, co powie na swoje usprawiedliwienie.

Cała moja psychika znajdowała się w stanie głębokiego szoku. Nie potrafiłam już nawet płakać, tylko z każdym oddechem narastała we mnie furia. Jak on śmiał zrobić mi coś takiego? Jak miał czelność? Przecież twierdził, że mnie kocha. Czy jego słowa, jego przysięgi miały pozostać dźwiękami pozbawionymi znaczenia?

Kiedy wchodziłam do mieszkania, telefon rozdzwonił się znowu. Odebrałam go w kuchni, wiedząc, że to Richard.

- Caroline, jesteś tam?
- Tak, Richard, jestem.
- Posłuchaj, Caroline, wiem, że jesteś zła i nie winię cię za to.
- A, to miło z twojej strony.

Nie zdążyłam nawet ściągnąć mokrego płaszcza i spływające z niego krople wody rozlewały się na podłodze w małe bajorka. Z niewyspania piekły mnie oczy, a moje włosy stanowiły wilgotną, zmierzwioną

plataninę. Pewnie wyglądałam jak poczwara, ale zupełnie mnie to w tej chwili nie obchodziło.

- Mam na myśli, że miło mi, że nie masz mi tego za złe. Zawsze to coś. Przeciągające się milczenie.

- Widzisz, Caroline, sądzę, że jest kilka problemów, z którymi musimy uporać się wspólnie. Wiesz przecież, że cię kocham.

- Tak mi się przedtem wydawało. - Mój głos był pusty, pozbawiony jakiegokolwiek uczucia, wyprany z miłości i z przebaczenia, ale to dlatego, że zostałam śmiertelnie zraniona. Temu nie dało się zaprzeczyć. Nagle pomyślałam sobie, że sedno sprawy nie tkwi wcale w jego wierności ani w tym, że go przyłapałam. Richard po prostu prowadził podwójne życie - jedno ze mną, a drugie z Lois, i Bóg raczy wiedzieć, co wyprawiali, będąc razem. Wołałam, aby moja wyobraźnia nie zapędzała się zbyt daleko w tamtym kierunku.

- Naprawdę kocham cię, najdroższa, i przykro mi, że cię zraniłem.

Łzy, gorące łzy wytrysnęły z moich oczu. Najpierw zdenerwował się, słysząc mój płacz, a potem sam się rozplakał.

- Jezus, Richard, przyjdź do domu, porozmawiamy. Gdzie jesteś?

- W holu na dole, dzwonię z telefonu komórkowego.

- No dobrze, już lepiej niech nasze małżeńskie brudy nie będą rozwłócone po całej Park Avenue. Wejdz na górę, zaparzę kawy.

Otworzyłam drzwi do mieszkania i popędziłam do łazienki, zrzucając po drodze buty i okrycie, jak tylko potrafiłam najspieszniej. Przeciagnałam szczotką po włosach i przygryzłam ziemiste wargi, żeby nabrały koloru. Ledwo zdążyłam zasunąć zamek czarnych spodni i wciągnąć przez głowę czarny golf, kiedy usłyszałam go wchodzącego do

przedpokoju. Po raz ostatni przejechałam szczotką po włosach i wyszłam mu na spotkanie.

Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Z włosami w nieładzie i nieogoloną twarzą sprawiał wrażenie nagle postarzałego. Oczy miał zaczerwienione i mocno pociągał nosem.

- Czy mamy jakieś chusteczki? - zapytał.

- Trzymaj, Pee Wee - powiedziałam, robiąc aluzję do popularnego aktora komediowego, który został aresztowany za masturbację w miejscu publicznym, i wręczyłam mu pudełko.

- Świetnie. Wyśmienity dowcip. Czy moglibyśmy porozmawiać serio?

- Oczywiście - zgodziłam się, nalewając kawy do dwóch kubków. - Mleka nie ma.

- Nic nie szkodzi. A lody Haagen-Dazs?

Na początku naszego małżeństwa często dodawaliśmy lodów do kawy. Potem wystarczyło jeszcze kapnąć trochę brandy i już miało się Irish coffee. Teraz nie było jeszcze nawet dziewiątej, ale sam pomysł wydał mi się niezły. Dodałam do kubków trochę waniliowych lodów i wręczyłam mu jeden. Przeszliśmy do salonu.

Stałam przy oknie i wyjrzałam na zewnątrz, czekając na jego pierwsze słowa.

- Caroline, postaram się wytłumaczyć ci wszystko.

- Słucham. - Upiłam łyk kawy, dmuchając na obłoczek pary i uporczywie przyglądając się budynkom po przeciwnej stronie ulicy.

- Posłuchaj, wśród dorosłych, pozbawionych zahamowań ludzi istnieje cały szereg rozmaitych preferencji seksualnych, i jest to

najzupełniej normalne. Na jednym krańcu znajdują się mężczyźni, którzy nie są w stanie osiągnąć satysfakcji, jeśli nie wespną się na urwisko albo jeśli aktowi nie towarzyszy poczucie realnego zagrożenia, albo...

- Albo obawa, że mogą zostać przyłapani.

- Tak, sądzę, że tak. Ale przecież zdarzają się gorsze rzeczy. Bywają mężowie bijący swoje żony, domagający się od nich *menage a trois*, szukający kochanek innej rasy, krepujący swoje partnerki. To, co przydarzyło się Lois i mnie, był to zaledwie chwilowy impuls i ani przez chwilę nie przypuszczałem, że mogłabyś być tego świadkiem. Nie chciałem cię zranić. Przed obiadem wypiliśmy sporo wina i potem jeszcze dwa cosmopolitans. A zresztą, do diabła, Caroline, to ona zaczęła.

*Do diabła, Caroline, to ona zaczęła.*

Odwróciłam się od okna i popatrzyłam wprost na niego.

- No tak, to tłumaczy wszystko.

- Nie, oczywiście, że nie. - Richard utkwiał wzrok w podłozie.

Kilkakrotnie przejechał ręką po włosach, wreszcie podjął: - Słuchaj, przykro mi. Wybacz mi, błagam.

- Richard, kiedy Eric przyszedł na świat...

- Wyjechałem wtedy do Londynu, o to ci chodzi? Czyżby miał zamiar dalej mnie okłamywać?

- Pojechałeś z nią, prawda?

Przedłużające się milczenie. Richard pilnie studiował wzór na dywanie.

- Tak, Caroline, bardzo mi przykro. Naprawdę. Nigdy nie chciałem zranić cię w ten sposób.

- Nadal ją kochasz?

- Boże drogi, skądże znowu.

Wiedziałam, że wówczas mogłabym mu wybaczyć, ale zależało mi na poznaniu całej prawdy, a do tej nawet nie zdołaliśmy się zbliżyć.

- Richard, czegoś tu nie rozumiem. Jeśli zależało ci na seksie w pewien sposób odbiegający od rutyny, dlaczego nie zwróciłeś się z tym do mnie?

- No, nie! - Wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał bez końca, nie będąc w stanie się opanować. Nie dołączyłam do niego; to nie było wcale śmieszne. - Caroline, Caroline, zwrócić się do ciebie! Przecież ty każdego wieczoru najpierw szorujesz się godzinami, a do łóżka przychodzisz obleczona niczym zakonnica, w jednej ze swoich dwóch tysięcy białych bawełnianych koszul i ze skromnie ściśniętymi włosami. Poprosić cię, żebyśmy zrobili to na podłodze? W taksówce? Pod prysznicem? W przebraniu?

- W przebraniu? W jakim przebraniu?

- Do diabła, sam nie wiem w jakim. Pielęgniarki? Francuskiej pokojówki? W obcisłym kostiumie ze skóry?

- Richard, przecież to jest głupie!

- No właśnie, dokładnie do tego zmierzam. Ty i ja dawno przestaliśmy łądować wspólnie na Księżycu, a wiesz, dlaczego? Bo ja potrzebuję fantazji. Lois jest wiedźmą, zgoda, ale ona to rozumie. Nie kocham jej, słyszysz. Ale Lois rozumie. To czysty seks, nie miłość.

- Ach, tak.

Mój głos brzmiał lodowato, choć wcale się o to nie starałam. W oczach Richarda byłam ograniczona i drobnomieszczańska. To prawda.

Byłam taka. Nawet cały zapas wina z Oak Room Bar w hotelu Plaza nie zdołałby sprawić, bym poczuła się seksownie w stroju pielęgniarki.

- Dlaczego ty nigdy... To znaczy, czy to się odbywa regularnie?

- Do diabła, nie. Czasami zdarza nam się wpaść na drinka do baru w śródmieściu albo do jakiegoś klubu. Posiedzimy, pogadamy o Harrym, a potem rozchodzimy się, każde w swoją stronę.

- To znaczy, że spotykasz się z nią od dłuższego czasu. Słuchaj, co się tu właściwie wyrabia?

- Caroline, posłuchaj mnie tylko. Kiedy się pobieraliśmy, byłaś praktycznie dzieckiem. Twoja młodość, twoja uroda, twoja delikatna, południowa natura oczarowały mnie. Byłaś Melanią z moich marzeń.

- „Przeminęło z wiatrem”?

- Trafiłaś w sedno. Ale żadna fantazja nie trwa wiecznie.

Uświadomiłem sobie, że twoja niewinność nie zna żadnego alternatywnego zachowania.

- Alternatywne zachowanie? Ohyda.

- Nazywaj to, jak chcesz. Nie chciałem cię zranić. Zawsze wydawałaś mi się szczęśliwa w roli matki Erica i mojej żony. Nie chciałem, abyś o mnie źle myślała, nie chciałem cię przestraszyć.

Oto odsłaniała się przede mną druga strona charakteru mojego męża, o której do tej pory nie miałam nawet pojęcia. Wierzyłam mu, każdą cząstką swojej istoty wierzyłam, że mnie nie okłamuje, że mówi mi prawdę, tak jak on ją postrzega.

- Richard, to, że usiłujesz zrobić teraz ze mnie dziewicę, jest naprawdę żalosalną próbą usprawiedliwienia twojego postępków. Skąd możesz wiedzieć, co mnie czasami chodzi po głowie? Ja też snuję

rozmaite fantazje. Poza tym jestem już starsza. Jestem wystarczająco stara, by zacząć kłamać, jeśli ktoś zapyta mnie o wiek.

- Nadal niczego nie pojmujesz.

-Tak? Wobec tego wytłumacz mi, ponieważ nade wszystko chciałabym pojąć.

- O Boże, Caroline. Słuchaj, jesteś miłą dziewczyną, jesteś wspaniałą dziewczyną, ale jesteś zupełnie inna niż ja. Za wszelką cenę starałaś się uwierzyć, że jesteśmy do siebie podobni. W czym? Zresztą zobacz, przekonaj się sama. - Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd kilka ogłoszeń z rubryki „osobiste” z „New York Magazine”.

Wzięłam do ręki pomięte świstki i zaczęłam czytać, usiłując dociec, co to wszystko może oznaczać. „Kobieta, biała, wolna, poszukuje partnera SMBW do wspólnego przeżywania rozkoszy. Kontakt: skrytka 11-CM”. Kolejny wycinek: „Czarna, samotna, szuka SMBW, pragnąc więc się z rozkoszy pod uderzeniami pejcza”.

To mi wystarczyło. SMBW, Sado-maso, biczowanie, więzy. Nie potrafiłam się zmusić, by czytać dalej. Kiedy Richard przestał być moim mężem? W dniu naszego ślubu? Kiedy zaszłam w ciążę? Kto wie? Ale nasze małżeństwo było definitywnie skończone i żadne specjalne proklamacje nie były tu potrzebne. Nie miałam nic do powiedzenia, poza jednym tylko: w życiu jeszcze nie byłam taka wściekła.

Myśl, że będę musiała opuścić moją małżeńską przystań, ponieważ jestem konwencjonalna, doprowadzała mnie do szaleństwa. Oto mój dom, w którym spędziłam ostatnie piętnaście lat rozszczępił się na dwie połowy, zupełnie niczym rozdzierana fotografia, a to dlatego, że nie chciałam... No właśnie, nie chciałam czego? Richard wpadł w pułapkę

uzależnienia, opętania cielesną bestią, która mnie jakoś nie chciała omotać. Chwała Bogu.

Jego pragnienia skierowane były wyłącznie ku niemu samemu. Gdzie była jego duchowość? A gdzie była moja? Owszem, głęboko w sercu oceniałam jego postępowanie jako prawdziwie grzeszne, ale na jakiej podstawie? Nie wyznawałam żadnej konkretnej religii, studiowałam je jednak wystarczająco pilnie, by wiedzieć, że życie winno polegać na służeniu innym, a nie na folgowaniu sobie. Bóg nas stworzył z pewnością nie na czyjeś ofiary ani też nie po to, byśmy dominowali nad innymi. To, co Richard robił z Lois, wszystko, w co się angażował, sprzeciwiało się mojemu intuicyjnemu rozumieniu pojęcia dobra, było złem, było jak igranie z diabłem, o ile diabeł w ogóle istniał. Do tej pory uważałam go za mit, teraz nie byłam już tego taka pewna.

Oczywiście, pomyślałam, mogłabym zostać z Richardem i przymknąć oczy na to, że od czasu do czasu szlaja się z Lois po West Village. Ale to oznaczałoby życie w kłamstwie. Ja pilnie wypełniałabym obowiązki wiernej i oddanej żony, a on i Lois wyczynialiby wszystko, na co przyszłaby im chętka? Mowy nie ma. Oczywiście też mogłabym sobie zafundować kochanka na boku, jednak nie było to w moim stylu. I chociaż to może zabrzmieć idiotycznie, w tym momencie poczułam się zawstydzona i naprawdę zadowolona, że tęskniłam do tradycyjnego małżeństwa, seksu po bożemu i obopólnej wierności.

Powinniśmy rozważyć to, przedyskutować wspólnie, ale przecież wiedziałam, w jaki sposób by się to odbyło. Richard przemawiałby do mnie z wyżyn swoich koturnów, przytłaczając mnie wyrafinowaniem i światowym obyciem. Za nic w świecie nie przyznałby mi racji, ani



moralnej, ani duchowej. Nie dlatego, że tak by mu nakazywała jego fałszywa duma, ale ponieważ był moralnym bankrutem. On naprawdę nie widział różnicy. Byłam przerażona.

Tak więc ograniczyłam się do przeczytania wycinków, ze wszystkich sił starając się nie zwymiotować. Można się w to bawić we dwójkę.

- Świetnie - powiedziałam, upuszczając papiery na stół - i takie życie ci odpowiada?

- Tak - powiedział, szukając spojrzeniem moich oczu, by wyczytać w nich przebaczenie. - Dokładnie tego potrzebuję.

Ja nie dałam mu niczego, on nie dał niczego mnie.

- Piętnaście lat to długi okres - zaczęłam. Przez okna salonu wlewało się słońce, ogłaszając początek dnia, któremu przeznaczone było stać się dniem przełomowym. Przesunęłam wielką białą-niebieską chińską donicę z fikusem w bardziej oświetlone miejsce. Richard przyglądał się, jak się z nią szamoce, ale nie pomógł mi. -Gubi liście, pewnie potrzebuje więcej światła.

- Pewnie tak - zgodził się. Teraz, kiedy już wyznał wszystko, zdawał się tracić zainteresowanie dalszą rozmową, którą usiłowałam sprowokować. W jego głosie pobrzmiwał nawet ślad irytacji. Podniósł poranne wydanie „New York Timesa” i zaczął wertować strony.

- Większość z nich była dobra, nie uważasz?

- Większość czego?

- Tych lat, tych piętnastu lat, które spędziliśmy razem.

- Pomijając twoją awersję do pewnych rzeczy, to owszem, uważam nasze małżeństwo za udane. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć, Caroline?

Umilkłam. Czy rzeczywiście pragnęłam usłyszeć właśnie to? Nie. Gdyby te słowa były prawdziwe, wówczas pożałowałabym ich z całego serca, ale tak przecież nie było. Richard uczynił farsę z naszego małżeństwa, z naszego wspólnego życia. To, że starał się ukryć przede mną fakt łądaczania się z Lois, to było jedno. Zupełnie czymś innym było przyznanie się do swoich inklinacji, a potem kompletne zignorowanie faktu, że jego wyznanie mną wstrząsnęło, że mnie w istocie załamało.

- Richard, nie wiem, jak inaczej mogłabym to wyrazić. Kocham cię, zawsze cię kochałam i nigdy nie przestanę cię kochać. Ale odchodzę od ciebie, porzucam nasze małżeństwo, i to zaraz. Moje ciało i moje rzeczy pozostaną tu, dopóki nie zaangażuję firmy przewozowej, ale mój umysł już opuścił ten dom. Nie mogę tu zostać, nie chcę tego, czego pragniesz ty. Twoje pragnienia oddalone są od moich o setki mil i nie istnieje na świecie taki most, który mógłby połączyć nas na powrót.

- Jasne, Caroline, najlepiej zwał wszystko na mnie, nawet to, że jesteś tak żałośnie prowincjonalna. - A więc postanowił zademonstrować mi swój gniew. Z tym mogłam się uporać, bo z batogiem i łańcuchami miałam kłopoty.

- Tu nie ma ani twojej winy, ani mojej.

- Ach, tak. - Podeszedł do mnie, stojącej przy oknie, i ujął się rękami pod boki. - No to o co chodzi? - wysyczał.

Znałam go od tylu lat i nagle po raz pierwszy wydał mi się szpetny. Naprawdę szpetny. Wstrętny niczym gargulec. Wszystko, co w jego twarzy było kiedyś piękne, teraz uległo przeobrażeniu. Wargi miał odęte, pod oczami wory, zęby pożółkłe, pod swetrem rysowała się wyraźnie wypukłość brzucha. Pomijając jego poczynania, jego znęcanie się nade

mną i Erikiem, słowne i psychiczne, miałam naprawdę problem z przypomnieniem sobie, co takiego dawniej wydawało mi się w nim atrakcyjne. Nawet oddech miał nieświeży.

- Richard, ja cię przestałam lubić.

- Czy to wszystko?

- To wystarczy. Już choćby to, że wydaje ci się, że swoją niewierność i wszystko, co się z nią wiąże, możesz usprawiedliwiać, nazywając mnie zacofaną i traktując jak dziecko... Otóż nie możesz. Nie jestem taka wyrozumiała.

- Właśnie widzę.

- Sporo czasu upłynie, zanim będę w stanie spojrzeć ci w twarz, nie myśląc od razu o tamtym. Lepiej skontaktuj się z adwokatem.

Następne dni, kiedy wraz z Erikiem szykowaliśmy się do przeprowadzki, były pełne napięcia. Eric miał zostać ze mną, to pozostawało poza wszelką dyskusją. Miałam rozpoczęte dwa zlecenia, ale dalsze kroki mogłam uzgodnić z klientami za pomocą poczty elektronicznej albo faksu. Ze szkoły Erica otrzymałam zestaw ćwiczeń, które musiał odrobić, aby zostać sklasyfikowany. Podpisałam też stosowne formularze, że będę uczyła go w domu. Wcale nie byłam taka pewna, czy sprawdzę się w roli nauczycielki i matki jednocześnie, więc postanowiłam, że w razie konieczności zatrudnię odpowiednich korepetytorów.

Kiedy powiedziałam Ericowi, że na jakiś czas wyjeżdżamy, przyjął to z zadziwiającym spokojem.

- Ty i tatuś zerwaliście ze sobą, prawda?

- Po prostu przez jakiś czas spróbujemy mieszkać osobno, to wszystko. Twoja babcia nas potrzebuje i chciałabym jej pomóc.

- Och - Eric nie przestawał wpatrywać się w podłogę - przecież możesz mi powiedzieć prawdę, mamó. Mam już prawie dwanaście lat. Połowa małżeństw kończy się rozwodem.

- Tata i ja różnimy się od siebie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Powiedział mi, że Harry dostał się do Choate.

- Do diabła z Harrym. - Ujęłam jego twarz w dłonie i zmusiłam go, aby na mnie popatrzył. - Jesteś pod każdym względem tak samo mądry, jak Harry, i o niebo miłszy. Nie waż się nawet myśleć, że on albo ktokolwiek inny mógłby być lepszy od ciebie, słyszysz?

Uśmiechnął się, zaciskając ramiona wokół mojej talii.

- Zobaczysz, mamuś, wszystko się ułoży. Nie chcę, żebyś się martwiła. Kocham cię, wiesz o tym, prawda?

- A ja kocham ciebie. No już, pakujemy się. - Boże drogi, przemawiał do mnie niczym mały dorosły. - Przynajmniej mamy pretekst, aby zrobić porządek w szafach.

- Co tam - rzucił przez ramię, a potem dodał półgłosem, już tylko dla siebie: - Myśleli może, że ulągnę się gdzieś pod kamieniem.

Największy problem dla mnie stanowił telefon do matki. Odkładałam go i odkładałam aż do ostatniej chwili. Niepotrzebnie.

- Mamó, to ja, Caroline.

- Witaj, myślałam już, że porzuciłaś naszą planetę. Wszystko w porządku?

- Mamó, czy pamiętasz, co powiedziałaś w dniu mojego ślubu?

- Zgubiłaś broszkę? Matko święta, masz pojęcie, ile ona kosztowała?

- Nie, mamó, nie zgubiłam broszki. Ale chciałam zapytać, czy Eric i ja moglibyśmy przyjechać do Wysokich Sosien na dłuższy czas.

W słuchawce zapadła cisza, wreszcie matka odchrząknęła.

- Wsiadaj w pierwszy samolot, jaki uda ci się złapać. Bardzo pragnę zobaczyć ciebie i mojego wnuka. Możecie tu siedzieć, tak długo, jak zechcecie.

Oto jak przebiegła nasza rozmowa. Kiedy przyszli fachowcy od przeprowadzek, oznaczyłam wszystkie meble i przedmioty, które zabieraliśmy ze sobą. Nasze ubrania powędrowały do pudeł, a reszta drobiazgów do kartonów i pak. Richard powiedział: „Bierz, co chcesz, mnie nie zależy”, i tak też uczyniłam. Zaangażowałam prawnika, żeby przygotował orzeczenie separacji. Richard przystał na wszystkie warunki. Zobowiązał się płacić wysokie alimenty na dziecko. Miał prawo spędzać z Erikiem jeden miesiąc w czasie wakacji oraz odwiedzać nas w Karolinie Południowej w każdy wybrany przez siebie weekend. Miał finansować nauczycieli i korepetytorów Erica oraz ponosić wszelkie koszty związane z leczeniem i terapią. Wiedziałam, że dotrzyma warunków. On naprawdę czuł się teraz źle, powiem inaczej - był oszołomiony, nie umiając pojąć, że ja wciąż nie rozumiem różnicy między miłością a seksem; poza tym z pewnością nie chciał, aby cały świat dowiedział się, w jaki sposób zwykł zabawiać się po godzinach. Oczywiście nie miałam zamiaru tego rozgłaszać. Nie pragnęłam odwetu, czułam po prostu wielki żal. Rozumiałam, co znaczyła dla niego miłość, a co seks, ale nie akceptowałam tego, i tyle.

Sądziłam, że Richard przyjdzie, aby się pożegnać, jednak nie uczynił tego. Czy powstrzymywał go wstyd? A może usunął już nas ze swojego serca? Kiedy czekaliśmy na taksówkę, Eddie, portier, wybuchnął, nie mogąc już dłużej powstrzymać słów:

- Pani Levine, jestem tylko portierem, ale jeśli mogę uczynić cokolwiek, aby pomóc pani albo chłopcu, może pani na mnie liczyć. Na każdego z nas przychodzą w życiu ciężkie chwile, tak to już jest. Wszyscy potrzebujemy przyjaciół.

Taksówka zajęła, więc odwrócił się, aby wziąć nasze bagaże. Uścisnęłam go za ramię, usiłując powstrzymać łzy napływające mi do oczu. To było takie wzruszające. Ciągle miałam nadzieję, że Richard pojawi się w ostatnim momencie, ale nie uczynił tego. Jego nieobecność umocniła mnie w moim postanowieniu.

W taksówce wiozącej nas na lotnisko Eric odwrócił się do mnie i powiedział:

- Nie martw się, mam, teraz ja będę się o nas troszczył. Mocno ścisnęłam jego dłoń i ucałowałam mądre, kochane czoło.

Miałam w sobie tyle miłości, co dwoje rodziców. Przeleję ją całą na Erica. Ciągle jednak nie potrafiłam zdobyć się na to, by nazwać po imieniu chorobę, którą jechaliśmy leczyć do Wysokich Sosien.

## **Rozdział 23**

### *Wiedziałam, że to się tak skończy*

Tylko mnie nie uczcie, jak mam postępować z własną córką. Caroline Wimbley zawsze miała głowę tępa, że tylko cegłą w nią walić. Naprawdę nie wiem, po kim ją odziedziczyła. Perswadowałam jej bez końca, że ma nie wychodzić za tego człowieka, ale czy którekolwiek z dzieci posłuchało kiedyś moich rad? Przynajmniej teraz nie będzie mogła powiedzieć, że jej nie ostrzegałam. Już ja dobrze wiedziałam, czym to się skończy. Inaczej być nie mogło. Przecież oni nie mieli ze sobą nic wspólnego. Ani krztyny! Nie można wziąć konia pociągowego i skojarzyć go z arabską klaczą pełnej krwi. To zbrodnia przeciw naturze!

Po telefonie Caroline wzięłam głęboki oddech, strzeliłam sobie jednego Jacka Daniela i zaraz zadzwoniłam do Millie.

- Millie? Wyłaż z betów, stara. Caroline wraca do domu, więc czeka nas robota.

- Miss Lavinio, dopiero wczoraj przyszykowałam dwa pokoje. Teraz niech mi pani nie zawraca głowy i da pospać.

- Ty potrafisz doprowadzić człowieka do szału, przysięgam na Najwyższego.

I wiecie, że starczyło jej tupetu, żeby odłożyć słuchawkę? Tak po prostu. Powinnam była pójść do niej i chlusnąć jej prosto w twarz zimną wodą. Gdyby nie to, że miałam pełne ręce roboty, pewno bym się pofatygowała.

Pośpiesznie zwołałam konferencję telefoniczną z udziałem Sweetie i Nancy.

- Słuchajcie, w małżeństwie Caroline coś nie wypaliło i teraz moja dziewczynka przyjeżdża do Wysokich Sosen z dłuższą wizytą. Zdaje się, że postanowiła rzucić tego skunksa, choć pewna nie jestem.

- Nie powiedziała ci? - zdumiała się Nancy.

- Nie zapytałaś? - wtórowała jej Sweetie.

- Ani ona mi nie powiedziała, ani ja nie zapytałam. Jeśli zechce, zrobi to - odparłam. - Wiem tylko, że zabrała Erica ze szkoły. Pojęcia nie mam, co dalej planuje. Przecież dzieciak musi chodzić na lekcje.

- Lavinio, wprost nie mogę uwierzyć, że nie zapytałaś - powtórzyła Nancy. - To do ciebie zupełnie niepodobne.

- Kiedy przyjeżdżają? - chciała wiedzieć Sweetie.

- Jeszcze dzisiaj. Samolot ląduje w Charlestonie o jedenastej.

- Właśnie zrobiłam casserole z kurczaka - oznajmiła Nancy. - Możecie je mieć na obiad, chcesz?

- A ja wczoraj upiekłam chleb truskawkowy - dodała Sweetie. - Zaraz podrzucę ci bochenek.

- A teraz uważajcie - zapowiedziałam. - Jak przyjadą, macie o nic nie wypytywać, zrozumiano?

- Jezus, Lavinio - oburzyła się Nancy - nawet by mi to nie przyszło do głowy.

- Nie przejmuj się nią, Nancy - wtrąciła Sweetie. - Lavinia jest po prostu podekscytowana.

Tak, byłam podekscytowana. Nie mogłam się wręcz doczekać przyjazdu Caroline. Robiłam zamieszanie na cały dom, podczas gdy Millie komenderowała sprzątaczką, sprawdzającą, czy w szafach w sypialniach



jest odpowiednia liczba wieszaków, a w szufladach wystarczająca ilość miejsca, i tak dalej.

- Fachowiec od telewizji będzie o dziesiątej - raportowała - a ci od telefonów przyjadą po południu.

- Po co to wszystko? - pytałam.

- Miss L., nie wydaje się pani, że chłopiec będzie chciał obejrzyć mistrzostwa Światowej Federacji Wrestlingu? A może pani nie wie, że Caroline potrzebny jest modem? Jak inaczej poprowadzi swój biznes?

- Widzę, że pomyślałaś o wszystkim, Miss Smarty!

- A pani aż się świecą te zielone oczy, Miss Kitty - powiedziała Millie i roześmiała się.

Zawtórowałam jej. Boże, utrafiła w sedno. Jak wspaniale się wszystko ułożyło. Przystanąłam, aby zadzwonić do Tripa.

- Przyjeżdżaj natychmiast, tylko przedtem upewnij się, czy masz wystarczającą ilość paliwa do łodzi. Zabierzesz swojego siostrzeńca na ryby.

- Mamo, o czym ty mówisz? Po południu muszę być w sądzie.

- Twoja siostra wraca do domu. Z Erikiem. Kończę, bo idę jeszcze naciąć róż do pokojów. Przyjedź na obiad.

Wzięłam największy koszyk i najostrzejszy sekator i udałam się do ogrodu na poszukiwania. Machinalnie ścinałam róże i małe gałązki magnolii, aż mój koszyk nappełnił się po brzegi. Nie mogłam się nie roześmiać, patrząc na swoje plony. Kwiatów miałam tyle, że mogłabym udekorować nimi cały dom. A może powinnam jeszcze zerwać trochę kamelii i poumieszczać je w łazienkach, pływające w umywalkach, tak jak to robią w tych kretyńskich historycznych domach, objętych programem

zwiedzania? Tak, planowanie wizyty Caroline i Erica dostarczyło mi naprawdę wiele radości.

Zawędrowałam aż do stromizny przy kapliczce. Postawiłam koszyk na stopniach wiodących do środka, a sama poszłam odwiedzić Nevila. Nevil, kochany! Mój Boże, jak bardzo mi go brakowało. Zastanawiałam się, jak by zareagował, co by poradził Caroline w kłopotach.

Richard serca jej chyba nie złamał. Miałam nadzieję, bo wysłuchiwanie jęków mojej córki na temat tego faceta byłoby naprawdę ponad moje siły. Richard! Boże drogi, przecież uczyniłam go swoim pełnomocnikiem. A niech to piekło pochłonie, znowu będę musiała wszystko odkręcać.

O, Trip pewnie zdążył już przekazać Frances Mae nowinę o przyjeździe Caroline i Erica. Odkąd Caroline przywołała ją do szeregu, Frances Mae zachowuje się o wiele poprawniej. Spotulniała. Boże drogi, nienawidzę potulnych kobiet, zwłaszcza jeśli wiem, że z ich strony to tylko gra. Frances Mae jest prawdziwą mistrzynią w udawaniu. Mam nadzieję, że przynajmniej przez kilka najbliższych dni nie będzie się u nas pokazywała.

Omiotłam nagrobek z kurzu i ucięłam sobie krótką rozmówkę z Nevilem.

- Nevil, słyszysz mnie? Twoja dziewczynka przyjeżdża do domu, razem z naszym wnukiem. Poradź mi, poradź mi, co mam zrobić, aby jej pomóc. Nie żyjesz, powiadasz? O nie, Nevilu Wimbley, tym się nie wykręcisz. Wstawaj, stary wałkoniu, i rusz głową.

Opuszczałam cmentarzyk bardzo rada z siebie. Przynajmniej dałam mu do myślenia. Przy stopniach do kaplicy pochyliłam się, żeby zabrać

mój koszyk i sekator i wówczas - pewnie nie uwierzycie - niespodziewany podmuch wiatru zerwał mi z głowy słomkowy kapelusz od Kaminsky'ego. To był mój Nevil. Kapelusz pożeglował prosto na cmentarz i spoczął na ziemi.

- Nie przestraszysz mnie, ty stary diable.

Podniosłam kapelusz, otrzepałam go z pyłu i zastanowiłam się przez chwilę. Albo Nevilowi nie spodobało się moje nakrycie głowy, albo chciał mi dać do zrozumienia, że jest tutaj obecny. W każdym razie myślał, że ostatnie słowo będzie należało do niego. Niedoczekanie.

- Nevil? Obiad w południe. Oczekuję, że się pojawisz i będziesz się zachowywał przyzwoicie. Chyba nie wymagam zbyt wiele?

Mój zegarek wskazywał godzinę dziesiątą. Słońce wspinało się po niebie. Wracalam do domu, podśpiewując i planując, jak poustawiam kwiaty. Nikt nie mógł zwarzyć mojego dobrego humoru, nikt żywy ani umarły. Caroline mnie potrzebuje i tym razem jej nie zawiodę.

## **Rozdział 2 4**

*I znowu ACR*

*Piątek, 17 marca 2000*

Eric siedział przy oknie, podczas gdy ja zajmowałam miejsce obok przejścia. Kiedy zastanawiałam się nad naszym celem, jedno tylko miejsce przychodziło mi do głowy - Wysokie Sosny - i tam też się teraz udawaliśmy. Między nami piętrzył się stos podręcznego bagażu - tornister Erica, moja purpurowa torba, gazety, czasopisma; widomy znak czekającej nas długiej drogi. Eric wyglądał przez okno. Starłam się przybrać pewną siebie minę, na wypadek, gdyby na mnie popatrzył, choć naprawdę czułam się mocno niepewnie.

Bezmyślnie kartkowałam kolorowy magazyn, jednocześnie układając sobie w myślach, co powiem Millie, matce i Tripowi. A może nie będą pytali, dopóki sama nie zacznę mówić? Akurat! Zastanawiałam się, czy ktoś wyjdzie po nas na lotnisko. Mimo zdenerwowania wydałam się sobie bardzo dzielna. A może to jeszcze nie jest krok nieodwracalny, usiłowałam przekonać samą siebie. Nie oszukujmy się, na pewno jest. Rozsądek podszeptował mi, że moje małżeństwo rozpadło się definitywnie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co musiałyby zajść, byśmy Richard i ja kiedykolwiek mogli się szczerze pogodzić. Rzeczy, które dla niego były w pełni akceptowalne, pożądane wręcz, we mnie budziły najwyższą odrazę. Nie miałam też zamiaru przeproszać za to, że jestem całkowicie normalna, że jestem konserwatywna. Poślubiłam szalbierza. Głupia byłam, że nie poznałam się na nim. Głupia i naiwna. Jak łatwo

dałam wodzić się za nos. A może po prostu przez cały czas oszukiwałam samą siebie?

Może wykazałam się naiwnością, ale przecież próbowałam być dobrą żoną dla Richarda i z całego serca kochałam Erica. Poślubiłam Księcia Ciemności, ale - z łaski Boga - urodziłam cherubina.

Po tych wszystkich latach z Erikiem naprawdę miałam się czym poszczycić. Jasne, oprócz syna posiadałam też tytuł magistra zdobyty na Columbia University, odniosłam sporo sukcesów jako dekoratorka wnętrz, ale bycie matką Erica stanowiło dla mnie najważniejszy element kariery, stąd moja głęboka wdzięczność, że los zaoferował mi to stanowisko.

Jednak chłopcu ojciec potrzebny jest w równym stopniu, co matka. Modliłam się w duchu, abyśmy wspólnie z Richardem znaleźli tu jakieś dobre rozwiązanie. Niespecjalnie chciało mi się wierzyć, że Richard da Ericowi owo emocjonalne wsparcie, którego mój syn potrzebował szczególnie teraz, skoro nie dawał mu go do tej pory. Kolejny punkt do przedyskutowania z moim mężem. A Ericowi przyjdzie mi udzielać wsparcia za dwoje.

I w tym momencie przez moją głowę przemknęła myśl o matce, połączona z ostrym ukłuciem winy. Może wszystkie matki próbują, jak potrafią najlepiej? Może moja także próbowała? Ostrzegła mnie, że małżeństwo z Richardem to hazard. Wiedziała o tym już piętnaście lat temu. Ciekawe skąd?

Ujęłam rękę Erica spoczywającą na poręczy lotniczego fotela.

- Co jest, mamus'?

- Nic, myślę tylko. - Przyłożyłam swoją dłoń do jego dłoni, porównując rozmiary ich obu. - Przypominam sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzałam tę rączkę.

Eric uśmiechnął się.

- A teraz jest większa od twojej.

- *Yeah*, to prawda. - Wzięłam głęboki oddech i popatrzyłam na niego.

- Eric, wszystko się ułoży, zobaczysz.

- Wiem, mamuś. Przecież wcale się nie boję. Pomyślałem tylko, że to bardzo dziwne, że tatuś nie przyszedł się z nami pożegnać, nie uważasz?

- Tak, serce, ale przecież nie wiemy, dlaczego nie przyszedł. Mógł zostać wezwany do jakiegoś nagłego przypadku. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by zadzwonić do niego i powiedzieć, że wylądowaliśmy szczęśliwie. Jak ci się podoba ten pomysł?

- A nie wydaje ci się, że tatuś, no... jest wściekły na nas, bo go zostawiliśmy? - Oczywiście Erica pilnie poszukiwały moich.

Wiedziałam, że jeśli nie powiem mu prawdy, pomyśli, że usiłuję go przekupić.

- Eric, tata mógł być trochę zły, ale wiesz co? Ma prawo się złościć. Każdy sąd w tym kraju przyznałby mi ciebie. Tym się nie przejmuj, naprawdę. Martwić się - to moja sprawa. To ja za wszystko odpowiadam. Tata i ja potrzebujemy trochę czasu z dala od siebie, żeby przemyśleć pewne sprawy. Wiesz co, potraktuj nasz wyjazd jako coś w rodzaju dłuższych wakacji. Jak się na to zapatrujesz?

- Wakacje?

- Coś w tym rodzaju.

- Na wakacje wybrałbym raczej Disney World.

Wiedziałam, że nadal czuje się zagubiony. Mój Boże, to dokładnie jak ja. Muszę koniecznie sprawić, żeby się rozchmurzył. Jeszcze znajdę czas, żeby powiedzieć mu o orzeczeniu separacji.

- A wiesz ty, że Disney World oddalony jest od Wysokich Sosem zaledwie o sześć godzin jazdy samochodem?

Twarz mu natychmiast pojaśniała.

- Chyba żartujesz! To pierwsza dobra rzecz, jaką usłyszałem od dłuższego czasu. - Zerknął przez okno. - Hej, to już chyba Charleston, co?

Wychyliłam się do przodu i też spojrzałam.

- *Yep*, zgadza się.

- Szybko przeleciało.

- Sama podróż nie trwa długo, ale to miliony mil.

Eric pokiwał głową. Zabrział dzwonek, a po nim zwykły komunikat, przypominający konieczność pochowania podręcznego bagażu i inne procedury związane z lądowaniem.

- Hej, wiesz co, czeka nas wspaniała przygoda, zobaczysz. Staniesz się prawdziwym chłopcem z Lowcountry. Założę się, że wuj Trip już się nie może doczekać, żeby cię nauczyć, jak się zarzuca sieć.

- Akurat. A zresztą kto wie? Może.

Samolot podkołował do rękawa. Zebraliśmy swoje rzeczy.

Uświadomiłam sobie, że zaledwie tydzień temu zamierzałam wpaść do domu z kolejną wizytą, a teraz zastanawiam się, jak długo będę mogła w nim zostać. Czy wracałam na stałe? Chcecie znać prawdę? Nie miałam bladego pojęcia, jakie są moje plany. Na razie chciałam tylko spleść ochronny kokon wokół siebie i Erica, pozwolić nam jakoś dojść do siebie, ochłonać po przeżytej traumie.

Na lotnisku, ku mojemu najwyższemu zdumieniu, zobaczyłam matkę, Jenkinsa, Miss Sweetie i Miss Nancy, czekających przy stanowisku odbioru bagaży. To dopiero powitanie! Naszym uściskom towarzyszył taki harmider, że zaczęłam się obawiać, że w końcu nas zamkną za zakłócanie porządku na lotnisku.

- Pomyśleliśmy, że na pewno macie mnóstwo bagażu - powiedziała Miss Sweetie, gładząc rękaw mojego żakietu.

- *Oui. Mais*, nie tylko to. Chcieliśmy was zobaczyć - uzupełniła Miss Nancy, obdarzając mnie mocnym uściskiem.

- A przede wszystkim pragnęliśmy się upewnić, że wszystko z wami w porządku, Caroline. No, pozwól mi popatrzeć na mojego wnuka. - Matka omiotła mnie wzrokiem, ujęła podbródek Erica w swoje dłonie i zaczęła lustrować jego twarz. Potem odwróciła się do swoich przyjaciółek i oznajmiła: - No, moje drogie, a teraz przedstawiam wam najwspanialszego chłopca na całej kuli ziemskiej. - Miss Sweetie i Miss Nancy zagruchały coś i uśmiechnęły się. Nie bacząc na ich zdumienie, matka objęła Erica ramieniem i ruszyła z nim przez halę przylotów. - Jakże się cieszę - mówiła. - Nareszcie mam mojego chłopca. Zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd widziałam cię po raz ostatni, kochanie. Pokażę ci rzeczy, o jakich ci się nawet nie śniło. W niecce ACE kryje się cały świat. Nowy, inny świat, czekający, abyś go odkrył.

Miss Sweetie, Miss Nancy i ja wymieniliśmy spojrzenia pełne paniki. Matka zachowywała się zupełnie niczym Rosalinda Russel, bohaterka nadawanego na żywo programu „Auntie Mama”. Nie miałam pojęcia, czy zamierza uruchomić stary ponton i podjąć zarzucone już parady po rzece, czy raczej nauczyć Erica pić bourbona i strzelać do



rzutków! Ale przynajmniej przyjechała po ludzku ubrana - w niebieskim wełnianym bliźniaku i ciemnogrnatowych spodniach. Dziękowałam niebiosom, że nie objawiła się w jednym ze swoich przebrań. Chociaż nie, to nie było fair z mojej strony. W czymś takim nie wystąpiła już od lat.

Najwyraźniej bardzo się starała, żeby Eric zobaczył w niej zwyczajną babcię, taką normalną, serdeczną babcię. Wierzyłam, że tak będzie. Miałam nadzieję, że matka sprosta tej roli. Zwróciłam się ku pozostałym członkom komitetu powitalnego - dwóm kwokom i Jenkinsowi.

- Witamy w domu, Miss Caroline - powiedział Jenkins, wyciągając rękę.

Uścisnęłam ją energicznie.

- Dziękuję, panie Jenkins, dziękuję z całego serca. - Popatrzyłam na Miss Sweetie i Miss Nancy stojące obok i czekające na swoją kolej. - No cóż, macie rację, przywieźliśmy około dwudziestu waliz.

Jenkins załadował większość naszego dobra na tył bagażówki, w czym Eric żywo mu pomagał. Po baczym okiem matki obaj dyskutowali strategię upchania tobołów, zanosząc się od śmiechu. Jenkins drapał się po głowie, udając, że nie ma pojęcia, jak tego dokonać, a Eric udzielał mu instrukcji niczym dobrze wyszkolony sierżant. Matka odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Caroline? Czas najwyższy skupić się na talentach tego chłopca. Na podstawie jednego spojrzenia mogę ci powiedzieć, że to nadzwyczajne dziecko.

- Masz rację, mamo.

Po raz pierwszy w życiu zgadzałyśmy się idealnie.

Po kilku chwilach konwój z plantacji Wysokie Sosny wyruszył w drogę. Ja i Miss Nancy jechałyśmy jej bmw, matka podróżowała z Miss Sweetie, a Eric z Jenkinsem.

- Caroline - zaczęła Miss Nancy, wyjeżdżając z parkingu - nie masz pojęcia, jak bardzo uszczęśliwiłaś matkę swoim przyjazdem. Chcesz muzyki?

Z tej uwagi domyśliłam się, że matka musiała powiedzieć przyjaciółkom o moim odejściu od Richarda. Zresztą kogo ja chciałam oszukiwać? Zjawiłam się z taką masą bagażu! Do licha, teraz pewnie pół świata wie już o wszystkim. W Lowcountry plotka rozchodziła się z prędkością światła.

- Życie bywa zaskakujące, Miss Nancy.

- Możesz tak sobie mówić. Ja zawsze powtarzam, że wystarczy pożyć wystarczająco długo, by nic już człowieka nie dziwiło.

Cisnęło mi się na usta stwierdzenie: ale pani nie zna nawet połowy tego, co się wydarzyło, jednak powstrzymałam się. Otworzyłam konsolę, żeby obejrzeć taśmy.

- O, słuchaj, wszystkie płyty są w odtwarzaczu, z tyłu. Wduś ten przycisk, a potem następny i możesz przebierać.

*Wduś.* Wieki całe nie słyszałam tego określenia. I zaraz rozległ się głos Shanii Twain śpiewającej „I Feel Like a Woman”, a my gnałyśmy autostradą numer 17 południową, daleko z tyłu zostawiając pojazdy matki i Jenkinsa, śmiejąc się i kiwając głowami do taktu. Miss Nancy pędziła z prędkością niemal stu mil na godzinę, a mnie serce podchodziło do gardła. Uznawszy, że wystarczająco oderwała się od asysty, zwolniła do sześćdziesięciu pięciu.

- Znam Lavinie lepiej niż ty - zwróciła się do mnie. - Ta stara, wścibska kwoka będzie czytała nam z warg i ani na chwilę nie zostawi nas samych. A więc powiedz mi teraz, jak się czujesz.

Bez wątpienia miała rację, ale czy musiała wytrząść ze mnie duszę, żeby postawić na swoim?

- Dobrze, Miss Nancy. Przysięgam, że oboje czujemy się dobrze. A co jej miałam powiedzieć?

- Świetnie, poprzestańmy na tym. Jeśli tylko będzie ci czegoś potrzeba, mam nadzieję, że mnie powiadomisz, zgoda?

- Na razie potrzebuję trochę czasu, żeby sobie wszystko zorganizować. Myślę, że chwilowo zamieszkamy u matki, ale w końcu będę musiała znaleźć dla nas jakieś lokum. Na przykład centrum Charlestonu bardzo by nam odpowiadało. Albo może Sullivan Island? Jak pani uważa?

- Ceny posiadłości są tu horrendalne. Poczekaj, sama się przekonasz. Ale moja siostrzenica zajmuje się nieruchomościami. Zadzwońię do niej w czasie weekendu. Jeśli na rynku jest coś odpowiedniego, będzie o tym wiedziała.

- To byłoby świetnie. Tymczasem muszę też jakoś urządzić Erica.

- Szkoła?

- Nie, mam zamiar uczyć go w domu. Już się nie mogę doczekać.

Miss Nancy przechyliła głowę na bok i siedziała, nie odzywając się.

- Coś nie tak? - zapytałam.

- Caroline, jestem ostatnią osobą na tej planecie, która odważyłaby się udzielać komuś rad, jak wychowywać dzieci, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co wyrosło z moich. - Zachichotałam. Syn Miss Nancy był leśnikiem, mieszkał w Kolorado, w położonej w samym środku lasu

samotni, i pisał książkę o życiu puszczyków. Dwie córki przyłączyły się do komuny w Vermoncie i obie miały po kilkoro dzieci, każde z innym ojcem i bez uświęconej tradycją ceremonii ślubu. Pamiętałam ich eskapady z czasów, kiedy sama byłam podlotkiem. - Jednak wydaje mi się, że tego typu układ może wprowadzić dodatkowe napięcie do twoich stosunków z chłopcem. Ja straszliwie terroryzowałam moje dzieci i nic dobrego z tego nie wyszło. Wzięły wszystko po Houstonie, moim drogim, wiarolomnym małżonku, i nie było takiej siły, która mogłaby je zmienić.

- Nie chcę niczego zmieniać w Ericu, ale nie chcę go też niewolić. Pomyślę nad tym jeszcze. Ale, Miss Nancy, proszę mi coś powiedzieć. Co pani sądzi o matce? Bo Trip jest zdania, że w pojedynkę przestaje dawać sobie radę.

- A ten to już kompletnie znikował, *yanh?* *Excusez-moi*, ale gdyby zapytał mnie ktoś o zdanie, powiedziałabym, że zarówno on, jak i jego pani mogliby być o wiele miłsi dla Lavinii.

- No właśnie pytam.

- Pobędziesz trochę w domu i sama się przekonasz. Nie jest to znowu takie nieuchwytnie.

- Podczas ostatniego weekendu odniosłam wrażenie, że z mamą wszystko jest w porządku.

- Bo jest. Lavinia nie potrzebujesz się przejmować. Ma w sobie więcej ikry niż niejeden facet.

Z uśmiechem błakającym się na ustach siedziałam zasłuchana w szum silnika, kiedy pędziłyśmy autostradą. Znienacka, niczym diabeł z pudełka, wyskoczył skądś policjant na motorze, dając nam znak, abyśmy zjechały na pobocze.

- Cholera, cholera, cholera - jęknęła Miss Nancy. - Jak ja tego nienawidzę. Uwzięli się na mnie, ponieważ jestem seniorką.

*Yanh*, ładna mi seniorka, wduszająca gaz do dechy, przemknęło mi przez myśl. Miss Nancy opuściła szybę po swojej stronie i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu prawa jazdy.

- Dzień dobry, *ma'am* - powiedział policjant, zdejmując okulary. Znałam go. Zaraz, kto to był? Przecież chodziłam z nim do szkoły.

- Czy my się przypadkiem nie znamy? - zagadnęłam. Spojrzał na mnie i wówczas strumień feromonów przepłynął między nami. Miał najbardziej zielone oczy i najwspanialszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Nie, *ma'am*. Pamiętałbym, gdyby było inaczej.

- Do jakiej szkoły pan chodził? - pytałam, coraz bardziej przekonana, że go znam.

Ściągnął z głowy hełm, a ja zdjęłam okulary przeciwsłoneczne.

- Caroline? Caroline Wimbly?

- Tak. Matthew? Matthew Strickland?

- Boże drogi, słyszałem, że zwiłaś do Nowego Jorku i nie masz zamiaru wracać.

Miss Nancy z widoczną ulgą pozwoliła nam pokonwersować chwilę, w nadziei, że oszczędzi jej to punktów karnych i solidnego mandatu.

- Matthew, możemy chwilę pogadać?

- Jasne. A niech mnie kule.

Obszedł samochód i otworzył drzwi z mojej strony, tak jak to robił podczas naszych randek w odległych czasach gimnazjalnych. Wsiadłam i stanęłam obok niego, bezwstydnie wypatrując oznak niszczycielskiego

działania czasu. Podczas pamiętnego, najcieplejszego lata w Karolinie Południowej chodziliśmy razem się opalać, a wieczorami potańczyć w Merchant Seamen's Club. Matthew był jednym z najwspanialszych osobników płci męskiej, jacy kiedykolwiek przemierzali nasze lasy. Drażniło mnie w nim, że nie chciał iść do college'u, jego we mnie, że ja się do college'u wybierałam. Ambicja stała się przyczyną naszej rozłąki, opatrność sprawiła, że na chwilę udało nam się zejść na nowo. Do diabła, co ja sobie wyobrażam? Oj, brzydko, brzydko. No właśnie.

- Matthew, a jak twoja rodzina? - Zerknęłam na jego lewą rękę. Bez obrączki.

- Sheila odeszła ode mnie pięć lat temu. Dzieci mam dorosłe, wywędrowały w świat.

- To okropne - powiedziałam tak obłudnie, jak tylko potrafiłam.

Wiatr zwiewał mu włosy z twarzy. Kiedy mrużył powieki, wokół oczu tworzyła się cieniutka siateczka zmarszczek, ale to go bynajmniej nie szpeciło. Wyobraziłam sobie, że w przeciwieństwie do Richarda, nie ma na sobie ani grama tłuszczu. Same mięśnie.

- A jak tam ten sukinsyn, za którego się chajtnełaś? Ten doktor od głowy?

- Mówiąc szczerze, zostawiłam sukinsyna. Wracam do matki z synem, Erikiem.

- Serio? - Popatrzył w ziemię, a potem na mnie. Nie było co kręcić i owijać w bawełnę.

- Serio. Wpadnij kiedyś, bardzo bym się ucieszyła.

- *Yeah. Gawd*, zawsze słyszałam, że twój mąż ma trochę nierówno pod sufitem.

- Można tak to nazwać.

Matthew wcisnął na głowę hełm, otworzył mi drzwiczki i włożył okulary przeciwsłoneczne.

- Wpadnę któregoś wieczoru. Zabawnie będzie powspominać.

Miłego dnia.

Zerknęłam na Miss Nancy.

- W szkole umawiałam się z nim na randki.

- Tyle zdążyłam załapać - skwitowała.

Nie przejechałyśmy jeszcze połowy dystansu dzielącego nas od Wysokich Sosen, a już zdarłam z siebie żałobną szatę, odrzuciłam wdowi welon i flirtowałam na całego z policjantem na motorze. Nieźle. Na Południu, kiedy zaczynało brakować mężczyzn, zwykle stosowałyśmy recycling.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*W samochodzie Sweetie i ja zaszalałyśmy niczym nastolatki. Stara wariatka, zdaje się, że widok Erica i Caroline wzruszył ją równie mocno, jak mnie. Ale Sweetie zawsze była wylewna. Ja tam słynę z opanowania. Panie Wszechmogący, ależ ten Eric wystrzelił w górę. Jaki piękny chłopiec się z niego zrobił. A jakim bogatym słownictwem operuje! Nevil pękłby z dumy. Boże drogi, nieszczęście Caroline, a dla mnie ile radości. Zaraz, czy ja to dobrze powiedziałam?*

RS



## Rozdział 25

### *Na tarczy*

Tatuś zwykł mawiać, że z wojny żołnierz wraca z tarczą albo na tarczy. Ja wracałam na tarczy i w dodatku mocno pokiereszowana. Muszę jednak przyznać, że nikt mi tego nie wyrzucił.

Na nasze powitanie wyszła Millie i chwyciła mnie w objęcia z taką siłą, że myślałam, że połamię mi żebra. Kiedy tuliła do siebie Erica, zaczęła płakać.

- No, no, Millie - powiedziałam - jeśli nie weźmiesz się w garść, to ja zaraz też się rozkleję.

- Miss Caroline, zbyt długo już powstrzymywałam płacz i teraz muszę dać upust łzom. Nie zdołam ich zatamować ani o minutę dłużej.

- Natychmiast się opamiętaj, stara wariatko - wtrąciła matka. - A obiad ma migiem znaleźć się na stole, bo mój wnuk kona z głodu.

Millie otarła oczy i wybuchnęła śmiechem. Wypuściła Erica z objęć prosto w wyciągnięte ramiona matki. Kiedy odeszli, zwróciła się do mnie:

- Ależ swarliwa baba z tej twojej matki. Zgodziłam się skwapliwie, a potem dodałam:

- Chodź, pomogę ci. - Wzięłam ją pod ramię i razem weszliśmy do domu.

Podczas obiadu rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co zaszło między mną a Richardem. *A podróż mieliście udaną? Bardzo teraz zimno w Nowym Jorku? Czyż dzień nie jest piękny?* Z jednej strony, sprawiało mi to ulgę, z drugiej, kazało myśleć o nieuniknionym. Z wybiciem dwunastej Millie zawołała nas do stołu. Zgromadziliśmy się w

jadalni - ja, Eric, Miss Sweetie, Miss Nancy i wreszcie Trip, który przyjechał dosłownie w ostatniej chwili.

Na bufecie stały stare sheffieldowskie półmiski z pokrywami. Na jednym znajdował się kurczak z parówkami, na drugim parujący, biały ryż, na trzecim wreszcie świeża kukurydza i pomidory. Naczynia były zarówno ładne, jak i praktyczne. W dnie każdego znajdowało się zagłębienie, do którego należało nalać gorącej wody, tak aby potrawa trzymała ciepło przez cały posiłek. Nie widziałam ich od lat.

- O, mam, pamiętam te półmiski do casserole. - Postawiłam talerz na swoim miejscu i sięgnęłam po biskwit.

- Nie jestem pewna, czy nazwałabym je półmiskami do casserole. Pyrex to to nie jest - obruszyła się matka, ale jej uwadze brakowało zwykłego jadu. Tym razem autentycznie droczyła się ze mną.

- Lavinio, to prawdziwe ra-ry-ta-sy - wycedziła Miss Nancy.

- Czy to te same, które twoja matka dostała w prezencie ślubnym od senatora Sander i jego żony, kiedy wychodziła za twojego ojca? - zapytała Miss Sweetie.

Sanderowie uratowali swoją plantację przed pochodniami Shermana, wołając: *Możecie spalić ten dom, ale razem z nami!* Przez ich plantację wiodła nie aleja wiecznie zielonych dębów, jak w Wysokich Sosnach, tylko dwa szeregi *palmettos*. Sanderowie zapisali się w historii, ale przecież srebra nie były ich darem. To tatuś je kupił, kiedy wraz z matką wybrali się do Nowego Jorku świętować jej czterdzieste urodziny. Dobrze pamiętałam dzień, kiedy je przywiozła i rozpakowywała, a ja bawiłam się wszystkimi częściami serwisu, układając je niczym puzzle, zafascynowana każdym szczegółem.

- Tak, kochana, masz rację - powiedziała matka.

Trip popatrzył na mnie znacząco - twarz-maską, wysoko uniesione brwi. Zachichotałam. Matka nie przepuściła żadnej okazji, żeby podkreślić swoją pozycję, mówiąc prawdę albo - przeciwnie - łżąc jak z nut. Napełniliśmy talerze i podeszliśmy do stołu, po czym Trip udzielił Ericowi pierwszej lekcji z zakresu protokołu.

- Chodź, chłopcze, pomożesz mi porozsadzać damy.

- Jasne - odparł Eric, pilnie śledząc wskazówki Tripa, aż wreszcie wszystkie znalazłyśmy się na swoich miejscach.

To wywołało prawdziwą erupcję wykrzykników: *Boże drogi, ależ ten Eric wyrósł; no, no, prawdziwy mały dżentelmen; patrzcie, patrzcie; Caroline, czy nie jesteś dumna z synka? Oczywiście, przytakiwałam, pewnie, że jestem dumna.* Eric szczerzył zęby w uśmiechu, uświadomiwszy sobie, że tu nie Kansas, a wszyscy czekaliśmy, aż Wielki i Straszny Czarodziej z Krainy Oz podniesie swój widelec.

- Pachnie bosko, mamó - powiedziałam, mocno wygłodzona po podróży.

- Cieszę się, kochanie. - Powoli rozwinęła serwetkę i położyła sobie na kolanach, obdarzając nas wszystkich - czekających - promiennym uśmiechem. Wreszcie z dramatycznym westchnieniem ujęła widelec i uszczknęła pierwszy kęs.

- Ugotowałam dziś rano - oznajmiła Miss Nancy. Eric popatrzył na mnie.

- Co to takiego? - wyszeptał.

- To pokarm bogów, młody człowieku. Pilaw z kurczaka ze świeżymi jarzynami. Skosztuj tylko - powiedział Trip.

Eric nie był grymaśny, jadał wszystko, ale w domu zawsze kontrolowaliśmy wagę, stąd też nie był przyzwyczajony do zawiesistych sosów i ostrych przypraw. Pilaw z kurczaka, odkąd pamiętam, cieszył się w naszym domu zasłużoną sławą. Każdy, kto przechodził obok kuchenki, dosypywał do garnka więcej pieprzu.

Świetnie nadawał się do wykarmienia większej gromadki gości i odgrywał główną rolę w niejednej z naszych rodzinnych legend. Do ulubionych historii taty należała ta o Louise, kucharce jego matki. Ilekroć babcia zapowiadała: *Louise, na obiad przyjeżdżają goście, przyrządź pilaw z kurczęcia*, Louise pytała wówczas: *Ile osób?* I kiedy babcia mówiła: *Dwadzieścia*, Louise kalkulowała przez chwilę, po czym wyrokowała: *W takim razie potrzebne mi cztery kurczaki*. Gdyby babcia powiedziała, że gości będzie pięćdziesiąt, Louise po chwili zastanowienia odpowiedziałaby identycznie: *w takim razie potrzeba mi cztery kurczaki*. Pilaw z kurczaka był niczym biblijne bochenki chleba i ryby. Poza tym nie sztuką było go przyrządzić. Gotowało się owe cztery kurczaki z selerem, cebulą i liściem laurowym w dużej ilości wody. Kiedy mięso zaczynało odchodzić od kości, wodę należało odlać i następnie ugotować na niej ryż. Wystudzone-go kurczaka dzieliło się na części, mieszało z pokrojonymi parówkami i ryżem. I pieprzem, oczywiście. Pieprzem w ogromnych ilościach. Pozostały rosół służył jako podstawa do ciężkiego sosu.

Pod bacznym spojrzeniem wszystkich Eric podejrzliwie podniósł do ust kawałek kurczaka. Przełknął, wciągnął gwałtownie powietrze, zaskoczony ostrością przypraw, porwał szklankę mrożonej herbaty i opróżnił w kilku łykach. A potem zaczął pochłaniać zawartość talerza niczym wygłodniały wilczek.

- Do licha, mamuś, to jest boskie. Czemu nigdy nie ugotowałaś tego w domu?

Wymknęło mu się „do licha” i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Każdego innego dnia siedzieliby jak trusie, wstrzymując oddech, podczas gdy matka udzielałaby winowajcy surowej reprimendy. Każdego innego, ale nie dzisiaj. Zaczęłam postrzegać dzisiejszy obiad jako coś w rodzaju uroczystości, nie dla uczczenia triumfu matki, że się nie pomyliła, jeśli idzie o Richarda, ale dla okazania sobie nawzajem naszych uczuć.

- Jak tam Frances Mae? - zwróciłam się do Tripa, uznając, że dobre wychowanie nakazuje mi zapytać.

- Rozlazła niczym stodoła z szerszej strony. Wygląda, jakby miała zlec lada chwila - odparł Trip. W jego głosie pobrzmiwał więcej niż ślad niesmaku.

Zrobiło mi się żal Frances Mae, ale tylko przez chwilę. Nie tęskniłam do spotkania z nią, tak jak ona pewnie nie tęskniła do spotkania ze mną.

- Jestem pewna, że jest gotowa na przyście dziecka - powiedziałam.

- O tak. Czy ktoś ma ochotę na kieliszek wina? Trip? - wtrąciła matka.

Wszyscy odmówili, łącznie z Louie Wątrobowcem.

- Muszę być w sądzie o trzeciej - obwieścił.

- Po co? - zainteresował się Eric.

- Cóż, synku. Mam sprawę po południu. Gość gdzieś zabalował i potem w samym środku nocy zaczął wchodzić do własnego domu przez okno. Tłumaczył się zupełnie idiotycznie, że zgubił klucze czy coś w tym rodzaju. Jego żona, moja klientka, wystraszyła się, słysząc jakiś hałas, i

strzeliła do niego z jego własnego pistoletu. Trafiła biedaka prosto w klejnoty.

- Boże Wszechmogący - jęknęła Miss Sweetie.

- Brawo - skwitowała Miss Nancy. - Będzie miał nauczkę.

- Tego nie możesz wiedzieć - sprzeciwiła się matka.

- Kiedy Miss Nancy ma rację. Ten gość obowiązkowo musiał zaliczyć każdą kobietę w hrabstwie Colleton. Dysponujemy zdjęciami i możemy to udowodnić. On się upiera, że żona usiłowała go zastrzelić. Ona obstaje przy wersji z włamywaczem. Teraz się rozwodzą.

- Wielkie nieba, nie dziwię się! - wykrzyknęła Miss Sweetie.

- *Yeah*, gość twierdzi, że jest bankrutem, ale już ja tam wiem swoje.

Mamy kopie jego wyciągów z banku na Kajmanach. - Popatrzył na Erica z poważną miną. - Mam nadzieję, że nie chcesz się dowiedzieć, w jaki sposób je zdobyłem.

- *Cool!* Jesteś zupełnie niczym sędzia Judy w telewizji. Mogę iść z tobą? Mamuś?

Popatrzyłam na Tripa i wzruszyłam ramionami. Trip starannie wytarł usta i położył serwetkę na stole. Przyglądał się badawczo czekającemu na jego decyzję Ericowi.

- Czemu nie? - zawyrokował w końcu. - Jeśli uda nam się wrócić odpowiednio wcześnie, a ty zachowasz się jak należy, może wezmę cię potem na ryby.

- *Cool* - ucieszył się Eric - to jest naprawdę *cool*.

- Zgadzasz się? - zwrócił się do mnie Trip.

- Jasne. Przynajmniej będę miała trochę czasu, żeby rozpakować nasze rzeczy.

- Czy mogę podać wszystkim cytrynowe ciasto z bezami? - zapytała Millie, krążąc wokół stołu i zbierając talerze. - Jeszcze herbaty?

Eric bez napominania wstał i zaczął pomagać Millie odstawiać naczynia. Gdy zniknęli w kuchni, matka, Miss Nancy, Miss Sweetie i Trip zaczęli jedno przez drugiego wychwalać jego zachowanie. *Co za uroczy chłopiec. Istny aniołek.* Raz dwa uporaliśmy się z ciastem i nasz pierwszy wspólny posiłek w Wysokich Sosnach dobiegł końca.

- No jak, dziewczęta? - zwróciła się matka do Miss Nancy i Miss Sweetie. - Gramy dziś po południu?

Nic dziwnego, że tak popędzała, by obiad odbył się jak najprędzej. Nie chciała, aby nasze przybycie przeszkodziło jej w rozegraniu popołudniowej partyjki.

- Pewnie, chyba żeby niebo miało się zawalić - zapewniła Miss Sweetie. - Upiekłam babeczki dzisiaj rano. Lavinio, możesz zabrać się moim samochodem.

- Zaczekaj, tylko narzucę sweter - powiedziała matka.

- Potrzebujemy jeszcze czegoś do zjedzenia - zauważyła Miss Nancy, zerkając w moim kierunku.

Odprowadziłam je do drzwi i stałam na ganku, patrząc, jak samochody odjeżdżają jeden za drugim. Zamknęłam stare drzwi frontowe. Ich skrzypienie wydało mi się inne niż kiedykolwiek. Głośniejsze, bardziej zdecydowane. Zamknęłam drzwi za Richardem i z powrotem znalazłam się tam, skąd wyruszałam, w Wysokich Sosnach.

Poszłam poszukać Millie, bo chciałam trochę poużalać się nad sobą, ale kuchnia była pusta. Wyjrzałam przez tylne drzwi; golfowy wózek

Millie sunął przez trawnik w stronę jej domu. Zmarszczyła tylko nos i wszystkie naczynia pomyte, przemknęło mi przez myśl.

W takim razie przejdę się trochę po ogrodzie, może zajrzę do róż. Popołudniowe słońce przygrzewało mocno, a moje nogi domagały się spaceru. Narzuciłam na ramiona sweter i kuchennymi drzwiami opuściłam dom. Nie odeszłam nawet dwudziestu stóp, kiedy coś kazało mi się odwrócić. Zaraz, natychmiast. Nagle uświadomiłam sobie, że jestem sama. Sama w każdym znaczeniu tego słowa.

Dlaczego wróciłam? Mogłam przecież wynająć mieszkanie w Nowym Jorku i żyć tak, jak żyłam do tej pory. Tyle że naprawdę czułam się już zmęczona tempem i energią tego miasta, które w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce, miało wielką czarną dziurę.

Czy mój powrót bardziej uszczęśliwił przyjaciółki matki niż ją samą? Takie odnosiłam wrażenie. Nie, to chyba nie było fair wobec niej. Jakaś częśćka mnie, zupełnie po dziecinnemu, pragnęła, by matka przestała teraz żyć swoim życiem, by zaczęła żyć dla mnie. A może okazała się mądrzejsza ode mnie? Może po prostu pragnęła, abym podejmowała decyzje w zgodzie z moim własnym życiowym rytmem, abym miała czas zbliżyć się do niej.

Trip polubił Erica, to nie ulegało wątpliwości. Cieszyło mnie to, gdyż jego obecność z pewnością pomogłaby do pewnego stopnia załatać wyrwy spowodowane nieobecnością Richarda. Matka także obdarzyła Erica uczuciem i wcale się z tym nie kryła. Myśl o matce i Tripie sprawiła, że w mojej głowie znów odezwały się dzwonki alarmowe. Czy uda nam się mieszkać razem, ale jednocześnie odizolować się od siebie? Nigdy, jeśli tak to sobie zaplanowałam, nie powinnam była tu przyjeżdżać.



Wysokie Sosny to nie pensjonat. Ja i mój syn przybyliśmy tu szukać azylu. Nie będę żyła w kłamstwie, takie było jedno z moich postanowień. Odejście od Richarda stanowiło pierwszy krok na nowej drodze. Krok zmieniający życie moje i życie Erica. Gorąco wierzyłam, że matka w roli babci nie sprawi Ericowi zawodu, że nie zrani go tak, jak zraniła Tripa i mnie, kiedy umarł tatuś. Czy całe życie miałam spędzić, starając się odegrać rolę obojga rodziców? A Richard? Tyle problemów jawiło się przede mną, tyle pytań. Rozwiązanie było jedno - znienawidzone przeze mnie - cofnąć się do początków, poddać je analizie. Usiadłam na ogrodowym krześle, wpatrując się w wody Edisto, wdychając zapach jaśminu, i pogrążyłam się we wspomnieniach.



## **Rozdział 26**

***Tatus***

***1974***

Właśnie ukończyłam naukę w Carolina Academy w Walterboro i spędzałam lato, kompletując ekwipunek potrzebny mi w Ashley Hall w Charlestonie, szkoły, do której kiedyś uczęszczała moja matka i do której - zgodnie z jej zapowiedzią - teraz ja miałam się udać. Tatus nie był zachwycony, że tak wcześnie wyfruwam z gniazdka, rozumiał jednak, że w naszym odciętym od świata przez gęstwą lasów zakątku nie mam zbyt wielkiego wyboru. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, wspólnie zajadając czekoladowy batonik Hersheya, mój ulubiony.

- W środy możesz mnie zabierać na kolacje - zaproponowałam.

- Tak jest, środy należą do mnie, więc żebyś na te dni nie ważyła się niczego planować - powiedział, a w jego oczach pojawił się figlarny błysk, który jednak szybko ustąpił zadumie, nadającej całej jego twarzy wyraz powagi.

- Tatusiu, dlaczego przyglądasz mi się w ten sposób?

- Żeby zapamiętać cię taką, jaka jesteś w tej chwili. Do złudzenia przypominasz moją matkę. O, to była piękna kobieta. Mężczyznom na jej widok serca przestawały na chwilę bić. Potrafiła zawrócić im w głowie. Ty będziesz taka sama. Lepiej od razu uprzedź wszystkich chłopców w Charlestonie, że pierwszemu z nich, który spróbuje jakichś sztuczek z jego córką, twój tatuś powyrywa nogi wiadomo skąd.

- Tato, przecież ja mam prawie czternaście lat. A zresztą na wypadek, gdybyś zapomniał, przypominam ci, że do tej szkoły przyjmują tylko dziewczęta.

Uśmiechnęłam się do niego. Lekko wydmuchiwał powietrze, usiłując się odprężyć, ukryć swój niepokój o mnie. W jednej chwili uświadomił sobie nagle, że przestałam być małą dziewczynką z warkoczykami, że pewnego dnia - Boże, dopomóż - rozpocznę życie seksualne. Niemal zapragnęłam przeprosić go za to, że niepostrzeżenie dorosłam, wbrew jego woli. Z drugiej strony, poczułam przyływ dumy, rozważając nowe możliwości, otwierające się przede mną. Dorastałam! Jechałam do szkoły z internatem, oddalonej od domu o całe trzydzieści mil. Mogłam wracać do domu na weekendy, a tata z mamą odwiedzałyby mnie w ciągu tygodnia.

Na myśl o wyjeździe czułam leciutki dreszczyk obawy, ale przecież całe pokolenia dziewcząt jeździły do tej szkoły i jakoś żadna nie zabiła się z tego powodu, więc może i ja wytrzymam. Będzie dobrze.

Trip w lipcu miał skończyć jedenaście lat i z tej okazji matka planowała przyjęcie. Już sama myśl o tym dodawała jej energii. Na dźwięk słowa „przyjęcie” nasza matka rozbłyskiwała nagle światłem, niczym choinka przed Rockefeller Center, na której włączono lampki. Bóg jeden wiedział, co wymyśliłi tym razem. Słyszałam, jak naradzała się z Jenkinsem. Coś mówiła o modelu miasteczka z Dzikiego Zachodu, wykonanym ze sklejki i o kostiumach. Pewnie planowała wjazd w stylu Roya Rogersa i Dale Evans, a potem rodeo, tam gdzie dawniej rozciągały się pola ryżowe. Inwencja matki nie znała granic. Sensem jej życia było wymyślanie i urządzenie najbardziej fantastycznych przyjęć i zabaw.

Wszyscy wiedzieliśmy, że w prezencie Trip chciałby dostać konia. Walczył o niego niemal od dnia narodzin; jego pokój ginał pod stosem najrozmaitszych przedmiotów, związanych z końmi - plakatami, derkami,

magazynami i czym tam jeszcze. Jeśli tylko na czymś widniał koń, Trip natychmiast musiał to mieć.

Popierałam pomysł brata. Ja dostałam konia na jedenaste urodziny, więc wydawało mi się oczywiste, że Trip spodziewa się tego samego. Tatuś jednak obawiał się, że Trip nie jest jeszcze wystarczająco dojrzały, by wziąć na siebie odpowiedzialność za tak duże zwierzę. Ja moją klacz Ginger ujeżdżałam regularnie każdego dnia, a oprócz tego karmiłam ją i oporządzałam. Oczywiście z pomocą Jenkinsa, ale nawet kiedy byłam jeszcze w wieku Tripa, już wdrapywałam się na stołek i palcami rozczesywałam splątaną grzywę Ginger. Ginger znała wszystkie moje sekrety i nasza przyjaźń pomogła mi przeżyć dżunglę okresu dojrzewania.

Każdy z nas miał coś dla siebie. Ja Ginger, matka milion par butów albo coś koło tego, a tatuś niewielki samolot, czerwono-biały, jednosilnikowy piper. Matka upierała się, że to wrak, niewiele lepszy od naszego starego gruchota, używanego do oprysków, i odmawiała postawienia na jego pokładzie choćby jednej stopy. Tatuś natomiast, kiedy ktoś poprosił go o przejażdżkę, puszył się niczym paw.

Pewnego razu, w walentynki, kiedy matka podejmowała członków charlestońskiego Towarzystwa Historycznego na trawniku nad rzeką, tatuś przeleciał nad całym zgromadzeniem samolotem, z uczeponą z tyłu długą wstęgą z napisem: LAVINIO, TYŚ KRÓLOWĄ MOJEGO SERCA.

Innym razem, podczas jej urodzin, wylądował dosłownie przed frontowymi drzwiami. Słyszając hałas, wybiegliśmy wszyscy zobaczyć, co się dzieje. Na progu stał tatuś, w mundurze pilota z drugiej wojny światowej, uzupełnionym białym jedwabnym szalikiem, dzierżąc wielki

bukiet kwiatów. Oświadczył, że umówił się na randkę z pewną młodziutką Lavinia Ann Boswell. Matka była wniebowzięta.

- A kim są te urocze dziecińcy? - zapytał tatuś, wyciągając z kieszeni batoniki Hersheya dla każdego z nas.

- Te dzieci, *sir*? Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to nasze.

Przelecieli nad całym obszarem Wysokich Sosen, racząc się szampanem.

Oczywiście mnie i Tripowi ich wyskoki wydawały się głupie i żenujące. Czy cały świat musiał koniecznie wiedzieć, że oni, chociaż dorobili się potomstwa, prawdopodobnie nadal uprawiają seks? O Chryste! Czy zastanowili się choćby przez ułamek sekundy nad naszym poniżeniem? Nigdy w życiu. Byli kompletnie zbzikowani na swoim punkcie, a o naszym istnieniu przypominali sobie wyłącznie w porach posiłków i po kolacji, podczas tak zwanej godziny dla rodziny.

Wymyślił ją tatuś, a polegała na tym, że każdego wieczoru zbieraliśmy się w salonie, kontynuując rozmowę, jaka toczyła się przy stole. My, dzieci, musiałyśmy przeczytać wybrany fragment z charlestońskiej gazety i potem wszyscy dyskutowaliśmy zażarcie na jego temat. Tematy wybieraliśmy różnie - od sportu do polityki. Od czasu do czasu matka - posługując się gazetową rubryką „Dear Abby” - udzielała nam lekcji obyczajowości i etyki, w stylu Lavinii. Karmieni na siłę informacjami o zewnętrznym świecie, czasami tłumiliśmy ziewanie, ale przecież nieodmiennie uwielbialiśmy tę godzinę. Było w niej coś uspokajającego, coś, co kazało nam myśleć, że nawet jeśli nasza rodzina mogłaby wydawać się stuknięta, to przecież jest rodziną.

Tamto lato było niezwykle upalne, z jeszcze większą ilością wilgoci w powietrzu niż zazwyczaj. Przez cały dzień temperatura wzrastała, a późnym popołudniem zrywały się gwałtowne burze, zupełnie jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Z nieba lały się potoki wody, błyskawice strzelały oślepiająco, a potem - wystarczyło zaledwie kilka chwil i żywioł przycichał. Najczęściej po burzy rozsiadaliśmy się na werandzie i zjadając melony, obserwowaliśmy mgłę podnoszącą się nad rzeką. Pewnie nawet w piekle nie było tak gorąco. W niektóre noce Trip i ja pędziliśmy na przystań, by choć na chwilę wskoczyć do wody. Powiedzieć, że pływaliśmy, byłoby przesadą; matka skutecznie nastraszyła nas aligatorami.

W każdym razie było to najbardziej upalne lato, odkąd sięgałam pamięcią. Siedziałam w kuchni z Millie zajęta znaczeniem moich skarpetek i bielizny, którą miałam zabrać do szkoły, metkami z nazwiskiem. Było to dwudziestego pierwszego lipca, tydzień przed urodzinami Tripa. Mój brat wpadł do kuchni tylnymi drzwiami, radośnie ożywiony.

- Zgadnij, co się stało! - wykrzyknął.

- Co takiego, rybi pyszczku? - zapytałam.

- Nie mądrz się, psia mordko. Jenkins uprzęta boks w starej stajni.

Millie, nie uważasz, że to dobry znak?

Millie podniosła oczy znad szycia.

- Z pewnością nie jest zły - zgodziła się. - Jak wygląda niebo? -

Spojrzała przez okno w stronę rzeki.

- Ciemne i groźne - powiedziałam. - Będzie lało.

Jezus, a przecież pięć minut temu świeciło słońce. W pomieszczeniu zaległ nagle cień, niebo zaś przybrało wygląd jeszcze bardziej złowieszczy.

- To nic nowego - oznajmił Trip, obierając banana i pakując sobie do ust od razu połowę. - Założę się, że dostanę konia.

- Na to wygląda - przyznała Millie i podeszła do okna. - A gdzie się podział wasz ojciec?

- Nie wiem - odparłam - może w stajni.

Nie podobał mi się wyraz twarzy Millie. Nigdy jeszcze nie widziałam jej takiej poważnej.

- Właśnie stamtąd wracam - wyjaśnił Trip. - Jenkins mówił, że tata wybiera się polatać.

- Och, przestań - rzuciła Millie. - Przecież chyba miałby na tyle rozsądku, żeby nie pchać się do samolotu, kiedy nadciąga burza. - Oddychała krótko i chrapliwie.

Wyszła do holu i krzyknęła do matki, żeby zeszła na dół. Zde-nerwowana matka odpowiedziała jej krzykiem.

- No i czego tak się drzesz jak... jak nie wiem co. Jeśli czegoś chcesz ode mnie, możesz chyba pofatygować się na górę. Co to? -Zatrzymała się u szczytu schodów i wtedy rozległ się potężny grzmot, od którego rozkołysał się żyrandol.

Skuliliśmy się za plecami Millie, ze strachu dosłownie przyklejeni do podłogi. Wiedziałam, zanim jeszcze to nastąpiło. Zobaczyłam samolot stający w ogniu. W środku był tatuś, nieprzytomny, spodnie na nim zaczynały płonąć. Krzyknęłam. Krzyczałam i krzyczałam, dopóki nie poczułam piekącego uderzenia ręki matki na policzku.

- Przestań, przestań natychmiast! - wrzasnęła, przekrzykując mnie. Zaczęłam płakać, dygocząc na całym ciele.

- On umiera - szlochałam. - Widzę go... widzę ogień... matko, Millie, o Boże, zróbcie coś. - Przez frontowe drzwi wybiegłam w sam środek ulewy. W oddali zobaczyłam płomień.

Biegliśmy bez tchu, ślizgając się po mokrej trawie, przedzierając przez krzewy. Wreszcie - rozhisteryzowani i przemoknięci do nitki - dotarliśmy do miejsca, gdzie samolot uderzył o ziemię. Deszcz zelżał nieco, przechodząc w lekką mżawkę. Na rozmięklej darni klęczał Jenkins, obejmując głowę rękami i chowając twarz.

- O Boże, próbowałam, naprawdę próbowałam go wyciągnąć, zabrać go stamtąd. Nie żył już, ale nie chciałem, żeby się spalił. Gdzie był Bóg dzisiejszego dnia?

Jego ból udzielił się nam wszystkim. Usiłowałam zasłonić Tripowi oczy, tak żeby nie widział tatusia. Staliśmy, obejmując się nawzajem ramionami i płacząc, przypatrywaliśmy się wrakowi. Me, *nie, nie*, powtarzał Trip ze szlochem. Umieszczony z przodu silnik płonął, otoczony kłębamii dymu, a ponad głową Tripa mogłam zobaczyć, że z tatusia zostały tylko zwęglone, poczerniałe zwłoki, ledwo dające się rozpoznać. Niewielkie płomyki pełzały po martwym ciele, znacząc je dotknięciami śmierci.

Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Matka krzyczała i krzyczała, a Millie mocno trzymała ją w objęciach. I wówczas przyszło najgorsze: wrak eksplodował nagle i w powietrze poszybowały, wirując, odłamki metalu. W panice padliśmy na ziemię, krzycząc ze wszystkich sił,



jakbyśmy zupełnie postradali zmysły. Gdzie było ciało taty? Kto je znajdzie? Kto je pozbiera? Nasze przerażenie i szok sięgnęły szczytu.

Leżałam twarzą do ziemi, a wokół mnie spływały strumyczki wody. Kąsał nas ból, przepelniała udreka. Naszym łzom nie było końca. Gdzie był Bóg tego dnia, pytał Jenkins. To było takie straszne, takie pozbawione sensu. Moje łzy na równi z kroplami deszczu wsiąkały w ziemię, nikłe strumyczki utraty, zabierające ze sobą wszystko, co stanowiło moją radość. Jak coś takiego w ogóle mogło się wydarzyć? Jak Bóg mógł do tego dopuścić? Opadające popioły znalazły się na jednej linii z moim wzrokiem, popioły mojego ojca, spadające na mnie, na moje włosy, mieszające się z moimi łzami. Spoglądałam na ten prysznic popiołów, leżąc na brzuchu, z twarzą odwróconą na bok i zalaną łzami. Wirowały spiralnie. Dławiłam się łzami, zraniona, doszczętnie zdruzgotana straszliwym poczuciem bezsensu. Sól łez, popioły tatusia, deszcz. Trip podczołgał się do mnie i usiłował wykrztusić coś przez łzy.

- Chodź - powtarzał. - Wstań. Musimy wstać.

Nie mogłam się poruszyć. Słyszałam, co mówi, ale nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Wiedziałam, że chce, abym na powrót stała się jego dużą siostrą. Nie, nie, nie chciałam być nikim. Dla nikogo. Może już na zawsze przestałam odczuwać cokolwiek?

- Chodź - powtarzał Trip. - No, chodź.

Wreszcie poczułam na swoim ramieniu rękę Millie. Deszcz najpierw znowu przybrał na sile, a potem ustał zupełnie, a ja czułam się tak, jakbym grzęzła w ziemi, zapadała w nią coraz głębiej, niezdolna wydobyć się na powierzchnię. Nieważne. Wyrastały mi korzenie. Mój tatuś, mój wspaniały tatuś nie żył.

- Chodź, Caroline, Millie pomoże ci wstać - powiedziała Millie płaskim, kompletnie pozbawionym wyrazu głosem, jakim normalnie nigdy się nie posługiwała. - Musimy jeszcze zająć się niejednym.

Ujęła mnie pod ramię, a Trip uczynił to samo z drugiej strony, i w ten sposób podźwignęli mnie na kolana.

- O Boże - powtarzałam - o Boże. - Znowu zaczęłam płakać.

Ten wypadek, ten osmolony wrak; nie byłam w stanie zapanować nad histerią. Bałam się patrzeć, by nie ujrzeć ręki albo nogi tatusia, zawieszonych gdzieś na drzewie. Bałam się unieść głowę. Millie mocno objęła mnie ramionami, Trip tak samo, i tak staliśmy we trójkę, szlochając i zawodząc niczym dziecko niepozwalające się utulić albo małe, cierpiące zwierzątko, ubłoceni, rozpaczając nad straszliwą, niedającą się pojąć katastrofą. Płakaliśmy, aż brakło nam łez, głaszcząc się nawzajem po włosach i po ramionach, przycichając i wybuchając na nowo, póki wreszcie nie ogarnęło nas całkowite wyczerpanie. -

Matka gdzieś zniknęła. Millie powiedziała, że Jenkins odprowadził ją do domu. Teraz dzwonili po straż pożarną, policję i Bóg wie kogo jeszcze. Poczułam się zdruzgotana, że zostawiła nas z Millie. Jak ona mogła postąpić w ten sposób? Poczułam, że wzbiera we mnie gniew, zapragnęłam ją uderzyć! Nigdy nie wyciągnęła do nas ręki, nawet w takiej chwili, kiedy widzieliśmy ogień, wybuch i deszcz szczątków. Co ona sobie myślała? Przecież byliśmy zaledwie dziećmi. Jak ona tak mogła?

Wspomnienia tego straszliwego dnia, w którym straciliśmy ojca, układały się w mojej pamięci niczym mozaika złożona z poszczególnych momentów - największy kafelek - eksplozja, w otoczeniu innych, drobniejszych.

Było mi zimno, cała byłam pokryta błotem, ręce miałam skostniałe. Byłam zmęczona, słabością, jakiej nie czułam nigdy przedtem. Wszystko mnie bolało, gardło, brzuch, ramiona, plecy. Byłam tak słaba, że nie potrafiłam unieść nogi, głowy, ruszyć ręką. Od płaczu paliło mnie gardło; teraz mogłam już tylko jęczeć i wzdychać.

Wróciliśmy do domu dokładnie w tym samym momencie, kiedy zaczęły zajeżdżać rozmaite ekipy - furgonetka koronera, wóz strażacki z brygadą ogniową i wreszcie policjanci z psami do szukania szczątków ciała tatusia. Jenkins pokazał im, gdzie mają się udać. Poszliśmy na górę, brudni i przemoczeni.

Drzwi pokoju matki pozostawały zamknięte. Millie zaprowadziła nas do naszych pokoi i odkręciła gorącą wodę, abyśmy splukali z siebie przeżyty koszmar.

- Weź szampon i umyj też włosy, *yanh*.

Weszłam do kabiny, usiadłam na dnie brodzika, pozwalając wodzie płynąć i płynąć. Śledziłam ją wzrokiem, niknącą w odpływie, wyobrażając sobie, że wraz z nią odpływa całe moje szczęście. Nigdy już nie będę szczęśliwa, nigdy. Kochałam tatusia zbyt wielką miłością i teraz Bóg ukarał mnie za to. Wiedziałam, że grzechem jest kochać aż tak mocno. Jeśli ktoś postępował w ten sposób, zostawał pozbawiony przedmiotu swojej miłości.

W szlafroku, z włosami owiniętymi ręcznikiem, poszłam do pokoju Tripa. Mój braciszek siedział na łóżku w samych bokserkach i T-shircie i wpatrywał się w okno. Twarz miał zroszoną łzami, a oczy tak zapuchnięte, że z trudem tylko potrafił unieść powieki.

- Jak się czujesz?

Podeszłam bliżej i zajrzałam mu w twarz. Usiadłam obok niego i mocno objęłam ramieniem. Popatrzył na mnie czerwonymi niczym u królika oczami, usiłując zapanować nad szlochem.

- Co teraz z nami będzie? - powiedział głosem załamującym się od ciężaru niepewności, jaką stanowiła nasza przyszłość. Trip był jeszcze taki mały. Chłopcom ojciec potrzebny jest bardziej niż dziewczynkom, pomyślałam nagle.

- Nie wiem. Zaopiekuję się tobą. Będziemy nawzajem troszczyć się o siebie. Chodź, dzieciaku, przestań płakać. Kocham cię, Trip.

- Wiem - powiedział - ale tatuś nie żyje i tego nie potrafię znieść.

- Ja też nie, ja też nie potrafię.

Przez chwilę siedzieliśmy przytuleni, wreszcie wstałam i podeszłam do okna. Rzeka Edisto płynęła zupełnie tak jak przedtem, choć teraz niosła także prochy tatusia; świadek katastrofy, poruszana rytmem przypływów i odpływów; kierująca się w stronę St. Helen's Sound, unosząca nasz ból, podobnie jak przedtem unosiła ból tylu innych. Poczułam się, jakbym miała co najmniej tysiąc lat i moje oczy widziały już wszystko.

- Trip? Chodź, ubierzemy się i pójdziemy pomóc Millie.

- Dobrze.

Trochę gryzło mnie sumienie, że nie zajrzałam do pokoju matki, nie sprawdziłam, czy wszystko z nią w porządku. Do końca życia nie przestanę się na nią gniewać za to, że do nas nie przyszła. Jak jej ból mógł być większy od naszego? Albo ważniejszy? Pełna nienawiści do matki, w milczeniu minęłam drzwi prowadzące do jej pokoju i poszłam do siebie, żeby się ubrać.

W kuchni Millie śpiewała, powoli i z namaszczeniem, jakby jej pieśń miała uwolnić nas od tego, co czuliśmy. Było w niej błaganie o miłosierdzie.

*Rzeka unosi życie,  
I nurt jej poniósł go w dół,  
Odszedł z błaganem do Boga,  
By wygnał z serc naszych ból.  
O, uśmierz ból nasz, o Boże,  
I zalecz serc naszych ranę,  
Byśmy wychwalać Cię mogli,  
Dzień jeden dłużej, o Panie.*

Wzięłam od Millie tacę z kanapkami i postawiłam na stole w jadalni.

- Ludzie będą się tu kręcili aż do nocy - powiedziała. - Zawołaj Jenkinsa, niech do mnie przyjdzie. Mam dla niego zajęcie.

- Dobrze. - Normalnie natychmiast skradłabym jedną kanapkę przygotowaną dla gości. Dzisiaj jakbym najadła się kamieni. Nie byłam w stanie o niczym pomyśleć, skupić się na czymkolwiek.

Zabrział dzwonek u drzwi wejściowych. Pierwsi pojawili się Miss Sweetie i jej mąż Moultrie. Wkrótce salon wypełnił się gośćmi, którzy wchodzili i wychodzili. Miss Nancy z rodziną, Miss Ellen z mężem Jimmym, Miss Marian z Charliem. Przybyli wszyscy nasi sąsiedzi i ludzie, których nigdy przedtem nie widziałam, a którzy musieli być przyjaciółmi tatusia. Na ich twarzach zastygł wyraz niedowierzania, bólu i gniewu. Prawda była zaiste trudna do ogarnięcia.

Pojawiła się matka i usiadła w swoim ulubionym krześle. Coście po kolei pochylali się ku niej i wypowiadali słowa pociechy, ujmując jej rękę

w swoje dłonie. Zobaczyłam Tripa spoglądającego przez okno i podeszłam do niego.

- Chodź ze mną - powiedziałam. - Millie kazała mi zawołać Jenkinsa.

- Nie chce mi się nawet ruszyć - odparł.

- No chodź, *bubba*. Wiem, że tu śmierdzi, że tu wszystko cuchnie, ale mamy jeszcze siebie nawzajem. Nie możemy zostawić Millie bez pomocy.

Jego puste, nieobecne spojrzenie spoczęło na mojej twarzy. Wyszliśmy i razem pomaszerowaliśmy do domku Jenkinsa. Drzwi były otwarte. Wiedzieliśmy, co zastaniemy w środku. I rzeczywiście, Jenkins siedział przy stole, z głową wspartą na rękach. Widzieliśmy jego plecy, jego wznoszące się i opadające ramiona, kiedy łkał bezgłośnie, w całkowitej samotności.

Nagle dotarło do mnie, że ja też zostałam sama. To tatuś stanowił ogniwo łączące mnie z matką. I z Tripem. Kto teraz będzie tym spoiwem? Jenkins kochał tatusia. Naszej rodzinie służył niemal tak długo, jak długo żyła matka. I chociaż w Wysokich Sosnach pracował przede wszystkim dla matki, był człowiekiem mężczyzny. Uwielbiał opowiadać, jak uczył tatusia jeździć konno, wypalać poszycie leśne, strzelać do dzikich indyków i oprawiać ryby. Kochał mojego ojca, kochał go niczym własnego syna.

- Panie Jenkins - odezwałam się - przepraszam, że przeszkadzam, ale Millie przysłała nas po pana. Ona pana potrzebuje.

Jego zaczerwienione od płaczu oczy, przepełnione bólem i trwogą, spoczęły na mnie na chwilę.

- Powiedz jej, że zaraz przyjdę. - Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął pomietą chustkę i jął wycierać twarz, zupełnie jakby ten ruch mógł wymazać wszystko, co się wydarzyło, przywrócić stan sprzed burzy.

- Dobrze - odpowiedzieliśmy chórem, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Bez słowa, bez jednego porozumiewawczego gestu skierowaliśmy się w stronę przystani. Przypatrywanie się płynącej wodzie było czymś, co czyniliśmy wspólnie przez całe nasze życie. Staliśmy ramię przy ramieniu, oparci o poręcz, patrząc, jak na niebo wstępuje księżyc, a w dole woda podąża na południe, tworząc delikatne, srebrne banieczki, jak jej ramiona łączą się ze sobą w bezustannym wirze, w bezustannym ruchu. Potężna pieśń rzeki pieściła nasze serca, tłumacząc nam, że chociaż teraz przystanęliśmy na chwilę - i tak należało - to przecież życie toczy się dalej. I nie musimy doszukiwać się sensu w śmierci tatusia, przed nami stoi teraz wyzwanie, aby odnaleźć sens w jego życiu, aby odnaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, mądrości i dojrzałości, by wysłuchać tego, co Edisto usiłuje nam przekazać.

- Caroline?

- *Yeah?*

- Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

- Tatuś?

Trip pochylił głowę, a ja usiłowałam odnaleźć w sobie słowa, które z pewnością wypowiedziałby w tej chwili tatuś.

- Tego nie wiem, ale wiem jedno. Gdyby mógł przemówić do ciebie, na pewno nie kazałby ci być mężczyzną, głową rodziny. Powiedziałby

tylko, żebyś był dobrym chłopcem i że przykro mu, że opuścił nas w ten sposób.

- *Yeah.*

Przez dalsze kilka chwil staliśmy razem, obserwując płynącą wodę i usiłując odnaleźć głos tatusia w naszych sercach, w naszych umysłach. Zdawało mi się, że czuję ból taty z powodu tego, że przyszło nam być świadkami eksplozji samolotu, i jego żal, że teraz nie będzie już mógł tego wszystkiego naprawić. Przysięgłabym, że czuję zapach jego oddechu. Dopiero później uświadomiłam sobie, że to była woń rzeki. Edisto, zawsze Edisto.

RS



## **Rozdział 27**

### ***Wesoła wdówka opowiada***

To był szok wywołany śmiercią Nevila. Dopiero z perspektywy czasu widzę, że to był szok, który w dodatku trwał o wiele za długo. Gdybym wówczas zdała sobie z tego sprawę, wiele potoczyłoby się inaczej, tego jestem pewna. Po raz pierwszy i jedyny w całym moim życiu brakło mi słów. To znaczy, nie żebym nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, po prostu nie miałam pojęcia, co mogłabym powiedzieć dzieciom, wobec czego nie odzywałam się do nich wcale. Teraz wiem, że postąpiłam źle, że biedactwa były zupełnie rozdarte tym, co spotkało ich ojca. Ale ze mną działo się podobnie.

Dzień poprzedzający pogrzeb i dzień samego pogrzebu pamiętam jak przez mgłę. Czuwania nie można było urządzić, ponieważ brakło ciała, które moglibyśmy opłakiwać. To była pierwsza rzecz, z jakiej obrabowała nas śmierć Nevila - zwłoki. Ludzie koronera zebrali wszystkie szczątki, jakie udało im się odnaleźć, i włożyli do worka, ale przecież w głębi serca wiedziałam, że część z nich nadal wala się porozrzucana po polach ryżowych. Jak, na Boga, miałam wytłumaczyć moim dzieciom, żeby nie chodziły się tam bawić? Strach, jaki trudno sobie nawet wyobrazić, przepelniał mnie całą, strach, że mogłyby natrafić na jakiś fragment ciała Nevila, przeoczony przez psy. Nie, nie pozwolę im bawić się na dworze. Jenkins, Millie i ja przeczeszemy cały teren i będziemy powtarzać tę czynność tak długo, aż wreszcie uzyskamy pewność, że nic tam nie pozostało. Wraz ze śmiercią Nevila życie zatrzymało się i dla nas. Ale

przynajmniej pocieszy nas myśl, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy.

A więc wybaczcie mi, zbyt byłam pochłonięta poszukiwaniem szczątków mojego męża, by zwrócić baczniejszą uwagę na Caroline i Tripa. Nazwiecie mnie wyrodną matką, zgoda, ale przecież nie dysponowałam żadnym podręcznikiem, który objaśniałby, jak powinien zachowywać się człowiek, dotknięty podobnym nieszczęściem jak moje. Zresztą miałam Millie, Jenkinsa i innych przyjaciół, którzy mogli zająć się dziećmi; Sweetie i Nancy praktycznie od nas nie wychodziły. Nancy zabrała Tripa na cały dzień do Charlestonu; chodzili po kościołach, a podczas lunchu rozmawiali o tym, jak Trip widziałby pogrzeb swojego taty. To było takie kochane z jej strony. Ale Nancy zawsze była doskonale zorientowana w tych wszystkich nowoczesnych prądach typu psychologia dziecięca itede.

A Sweetie zabrała Caroline do Columbii, do Happy Bookseller, zaopatrzyć ją w lektury na całe lato. I jednej, i drugiej nic nie sprawia większej przyjemności niż dobra książka, chyba że jest to cały stos książek, nietkniętych jeszcze, czekających na przeczytanie. Sweetie opowiadała mi potem, że zamówiła dla Caroline jej pierwszą w życiu mrożoną kawę, którą Caroline wychyliła do ostatniej kropelki. Tak to dzięki kochanej Sweetie moja córka mogła poczuć się dorosła. Potem obie poszły do Bell's, kupować bieliznę i nocne koszule. Moim zdaniem, był już najwyższy czas, aby Caroline zaczęła nosić komplety, ale przecież podjęcie decyzji zostawiłam Sweetie! Przysięgam, że myślami byłam jak najdalej od roztrząsania tego problemu.

Mając dzieci, że tak powiem, z głowy, zajęłam się czymś innym, mianowicie - przepraszam za wyrażenie - pozbieraniem do kupy wszystkich szczątków mojego męża, tak aby mógł się odbyć pogrzeb. Wraz z Jenkinsem obejrzelśmy wzory trumien dostarczone z zakładu pogrzebowego Bagnal Funeral House w Walterboro - nie zdobyłabym się na to, żeby tam pojechać - i zdecydowaliśmy się na drewnianą trumnę, solidną, mahoniową, z mosiężnymi okuciami. Koroner oddał szczątki Nevila. W dwa dni później mieliśmy je pochować na rodzinnym cmentarzu w Wysokich Sosnach.

Na początek zaplanowałam skromne nabożeństwo w kaplicy. Trumna ze szczątkami spocznie na podwyższeniu, ozdobionym udrapowaną śnieżnobiałą materią, a wokół rozciągnięty zostanie dywan z kwiatów, także tych z naszego ogrodu. Dwa wielkie zraszacze, po jednym na każdą stronę, już zostały zamówione. Zapłoną też srebrne, rodzinne kandelabry. Z wybicciem trzeciej rozpocznie się ceremonia pogrzebowa, którą poprowadzi pastor kościoła episkopalnego w Walterboro i podczas której Helena Blanchard z Charlestonu odśpiewa „Ave Maria” i kilka wybranych *spiritual songs*, ulubionych Nevila. Potem w domu odbędzie się stypa, uświetniona występem orkiestry kameralnej filharmonii charlestońskiej. Tak, zdecydowana byłam wysłać mojego Nevila do nieba w wielkim stylu. Widząc wspaniałości pogrzebu, moje dzieci i wszyscy znajomi z pewnością uwierzą, że bardzo kochałam męża. Taką miałam przynajmniej nadzieję.

Millie stanowiła moją opokę. Pomagała mi zapiąć wszystko na ostatni guzik, wykonując co najmniej sto telefonów i odbierając drugie tyle. Następnego dnia po śmierci Nevila, kiedy rankiem zeszłam do

kuchni, żeby pokrzepić się tostem, zastałam ją tam, w samym centrum dowodzenia, rozmawiającą przez telefon.

- Dzięki pomocy pana Moultrie udało mi się zdobyć pięć skrzynek dom perignon z piwnic Towarzystwa Irlandzkiego w Charlestonie - zakomunikowała mi na wstępie.

- Który rocznik? - zainteresowałam się. Przecież nie moglibyśmy podać szampana pochodzącego z niewłaściwego rocznika.

- Miss L.?

Popatrzyła na mnie tymi swoimi oczami, jarzącymi się niczym czarne światła, a jej spojrzenie mówiło wyraźnie: *Mieliśmy cholerne szczęście, że w ogóle udało nam się go zdobyć.*

- Dobrze już, dobrze. Powiedz, żeby dostarczyli go po południu. Czy oddzwonili z Colony House?

Colony House w Charlestonie była to jedna z ulubionych restauracji moich i Nevila. Kiedy jej właściciel, Ray Smiley, usłyszał o wypadku, zaraz do mnie zadzwonił i zaofiarował się, że dostarczy jedzenie i kelnerów. Przyjęłam tę płynącą z serca ofertę i powiedziałam, żeby szef kuchni skontaktował się ze mną w kwestii menu. Kiedy facet zadzwonił i przedstawił mi swoją propozycję, dosłownie mnie zatkało. A cóż on sobie wyobrażał, że jest Craigiem Claiborne'em albo kimś podobnym, żeby występować z *foie Gras* i musem ze szczupaka? Nie, nie i jeszcze raz nie! Założę się, że zaliczył letni kurs w Paryżu; zresztą Bóg jeden wie. Ale pomyślałam, że skoro ktoś nazywa się jak rzeka, powinien potrafić przyrządzić rybę i jakieś proste zakąski, więc powiedziałam do niego:

- Ashley, mój drogi. Jesteś bardzo kochany, że zamierzasz wystąpić z tymi wszystkimi wspaniałościami dla uhonorowania pamięci mojego

Nevila, ale obawiam się, że chodziło mi o coś znacznie skromniejszego, na przykład kawałeczki gęsich wątróbek i jabłka na wykałacze albo gorące ptysie serowe, którymi goście częstowaliby się prosto z tacy. I może jeszcze trochę pasty z siei jako nadzienia do cieniutkich pasztecików.

- Miss Lavinio, proszę pozostawić wszystko mnie - Ashley na to. -  
Może pani spokojnie zdać się na mnie.

Uznałam, że pojął subtelność mojego przesłania, więc dorzuciłam tylko:

- Dobrze, proszę zadzwonić, gdy będzie miał pan wszystko przygotowane.

- Tak, *ma'am*, nie omieszka.

To było o dziesiątej rano. Teraz dochodziło południe, a ja konałam z głodu. Uznałam, że tost mi wystarczy.

- *Yanh*, tu jest menu - powiedziała Millie, gdy tylko weszłam do kuchni, i wręczyła mi kartkę z papeterii.

- Opiekany indyk z sosem *dijonnaise* na grzankach z żytniego chleba, garnirowany żurawiną, pieczone połówki wieprzowe na blinach z dzikiego ryżu, z dodatkiem musu jabłkowego, Galopujące Anioły, a do nich dip cytrynowy... - Coraz to bardziej wyszukane potrawy następowały kolejno, jedna po drugiej. Próbowałam zachować cierpliwość, naprawdę próbowałam.

- Millie? Nie, tak nie da rady. *Yanh*, dawaj ołówek. - Zaczęłam kreślić i poprawiać. - Dzwon do tego Ashleya i powiedz mu, że indyk może być, ale ma po prostu zmieszać trochę majonezu i musztardy i użyć zwykłej żurawiny do udekorowania. Powiedz mu, że wieprzowina też ujdzie, ale wyłącznie na tych małych naleśnikach, a na wierzch zwykły

mus jabłkowy. Galopujące Anioły! A co on sobie wyobraża, że nigdy nie podawałam przegrzebków z plastrami pieczonego bekonu? Do tego ma być sos maślano-cytrynowy. Boże wielki, każdy szef kuchni uważa się za wielkiego artystę, nie sądzisz?

Millie zaczęła chichotać. Jeśli coś mogło nam teraz pomóc, to właśnie śmiech.

- Dobrze się pani czuje, Miss L.?

- Tak dobrze, jak należało się spodziewać. Czy dzwoniła florystka?

- Proszę tylko zajrzeć do salonu. Kwiaty napływają nieprzerwanie od ósmej rano.

Chociaż bardzo kocham kwiaty, tych nie miałam najmniejszej ochoty oglądać. W całym pokoju stały kosze, pojemniki na specjalnych stojakach i szklane wazon, wszystkie wypełnione najbardziej okazałymi kwiatami. Każdy fragment powierzchni, cała podłoga, dosłownie wszystko nimi zasłane. Kwiaty dla mojego Nevila. Rozpłakałam się. Łzy ciekły mi po policzkach gorącą strugą. Sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Bo tak bardzo odczuwałam brak Nevila, bo nie zdawałam sobie sprawy, że tyle osób darzy nas życzliwością, bo liczba spraw do załatwienia przyprawiła mnie o szok, a już wcześniej spadło na mnie więcej, niż kobieta potrafiłaby znieść?

Zacząłam zbierać bilety wizytowe, towarzyszące bukietom, żeby sprawdzić, kto pamiętał o mnie w takiej chwili. *Miss Lavinio, jeśli pragniesz, abym ja albo ktoś z mojej rodziny służył Ci pociechą, zadzwoń, proszę. Modlimy się za Ciebie i za dzieci. Strom Thurmond.* Następny bilecik był od Fritza Hollingsa. *Moja droga Lavinio. Współczujemy Ci*

*szczerze, Petesey i ja. Przesyłamy Ci wyrazy miłości i nasze modlitwy.*  
*Fritz.*

To bardzo miłe, pomyślałam. W końcu Nevil i ja - odkąd tylko sięgam pamięcią - urządzaliśmy przyjęcia dla obu senatorów podczas każdej kampanii wyborczej, tak że w rezultacie staliśmy się jednymi z ich najserdeczniejszych przyjaciół. Naprawdę. Nie dalej jak ostatniego lata żona Stroma przywiozła mi te wszystkie tkaniny z ich domu w Georgetown D.C., kiedy poszukiwałam odpowiednich materiałów do przybrania pontonu, bo urządzałam przyjęcie dla uczczenia zaślubin księżniczki Anny z kapitanem Markiem Phillipsem. Wzdłuż burt zawiesiliśmy białe draperie, relingi owinęliśmy zielonymi girlandami, wywiesiliśmy flagi, amerykańską i angielską, i tak udekorowaną łodzią odbyliśmy wspólną przejażdżkę, popijając szampana do melodii „Rządź, Brytanio”. Bawiliśmy się bosko.

Czytałam karty, jedną po drugiej, walcząc ze łzami wzruszenia i zastanawiając się, czy wszyscy, którzy przysłali teraz kwiaty, pojawią się też na pogrzebie. Przemknęło mi przez myśl, że nie zajrzałam do gazety, żeby sprawdzić nekrolog Nevila napisany przez Moultriego.

Odurzający zapach kwiatów pozbawił mnie sił, zdawało mi się, że jeszcze chwila, a osunę się na podłogę. Woląc nie ryzykować złamania główki kości udowej, otwarłam francuskie okno i wyszłam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza.

Na wprost mnie Edisto toczyła swoje wody. Stałam nad jej brzegiem, pojęcia nie mam, jak długo, i rozmyślałam o ogromie przytłaczającego mnie smutku. Jakaś częśćka mojej osoby zawsze wiedziała, że przyjdzie mi utracić Nevila, że mąż odejdzie przede mną. Pociągała mnie jego brawura,

ale przecież nigdy nie przypuszczałam, że pewnego dnia będzie go ona kosztowała życie. Raczej wydawało mi się, że spotka go bardziej męska śmierć, na przykład wypadek podczas polowania. Tymczasem zginął w tak idiotyczny sposób. Poczułam, że wzbiera we mnie wściekłość na niego. Jak on mógł być taki bezmyślny? Tak, chyba ogarniało mnie szaleństwo.

Obejrzałam się. W drzwiach ujrzałam Millie, zbliżającą się do mnie z chusteczką, bym mogła osuszyć łzy.

- Miss L., wiem, że to okropny dzień, *yanh*, dla nas wszystkich.

Biedny Jenkins nie może się pozbierać.

Od razu się uspokoiłam, wzięłam chusteczkę, wytarłam nos, delikatnie, jak to mam w zwyczaju.

- Powiedz Jenkinsowi, żeby natychmiast wziął się w garść i zaniósł te wszystkie kwiaty do kaplicy. Zaraz przyjadą z Bagnal's wykopać grób dla Nevila i... - Wargi zaczęły mi drżeć i osunęłam się w ramiona Millie, czując, że rozklejam się kompletnie. *Grób dla Neuila... grób dla Nevila... Och, nie, proszę, nie. O Boże!*

Mocno objęte wróciłyśmy do domu, usiłując zapanować nad płynącymi łzami.

- Pomóż mi, Millie. - Tyle jeszcze było do zrobienia, a ja już kompletnie opadłam z sił. - Trzeba pozbierać te wszystkie karty z kwiatów i spisać je, żebym wiedziała, komu mam wysłać podziękowania. Trzeba je wszystkie przenieść...

- Miss Lavinio, pójdzie pani i umyje twarz. Ja zawołam Jenkinsa i we dwójkę zajmiemy się wszystkim.

- Dziękuję, Millie, dziękuję ci.



Minęłam salon, jeszcze raz przedzierając się przez odurzającą kwietną dżunglę, wróciłam do holu i stanęłam u stóp schodów. Jestem wdową, pomyślałam. Jakie to okropne. Co mam włożyć na pogrzeb męża? Nie sądzę, abym w swojej garderobie posiadała coś odpowiedniego na tę okazję. Trzymając się poręczy, wolno wchodziłam na górę, przystając na każdym stopniu.



## **Rozdział 28**

### ***Tatus nas opuścił***

**1974**

W dniu pogrzebu tatusia obudził mnie odgłos przyjeżdżających i odjeżdżających samochodów. Niezdolna samotnie stawić czoła dniu, pobiegłam do Tripa, zobaczyć, czy jeszcze śpi. Jego pokój był pusty. Tak szybko, jak tylko potrafiłam, narzuciłam na siebie ubranie i zbiegłam na dół, poszukać Millie. Ale zamiast niej natknęłam się na matkę stojącą przy drzwiach wejściowych i kwitującą odbiór niezliczonych skrzynek z alkoholem.

- Dzień dobry, mamó - odezwałam się, stając na najniższym stopniu.

Matka rzuciła mi spojrzenie przez ramię, zacisnęła wargi i odwróciła się, żeby zamknąć i zaryglować drzwi.

- Caroline! Proszę, ubierz się jakoś odpowiednio. Dzisiejszy dzień jest wystarczająco okropny i bez mojego dziecka wyglądającego niczym sierota.

- Mamó, to pierwsze słowa, jakie skierowałaś do mnie, odkąd tatuś umarł dwa dni temu. Nie sądzisz, że mogłabyś odezwać się nieco serdeczniej?

Teraz wreszcie odwróciła się twarzą w moją stronę. Byłam przekonana, że zaraz podejdzie i stłucze mnie na kwaśne jabłko. Mogła to zrobić, było mi to zupełnie obojętne. Ale ona najwyraźniej zaniemówiła, bo tylko stała, wlepiając wzrok w moją twarz. Czułam, jak narasta we mnie furia, wściekłość na nią, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Stanęliśmy naprzeciwko siebie niczym dwaj kowboje w samo południe,

pilnie wpatrując się w przeciwnika i czekając, kto pierwszy schwyci za broń, zupełnie jakby dzieliła nas prawdziwa linia, wyrysowana w piasku. Przekroczyłam ją bez jednego słowa, minęłam matkę i przez jadalnię skierowałam się do kuchni. Matka nadal stała, milcząc jak zaklęta, a we mnie wszystko aż wrzało. Co z niej za matka? Co z niej za człowiek?

W kuchni oprócz Millie zastałam całą gromadkę mężczyzn i kobiet. Domyśliłam się, że to kelnerzy przygotowujący jedzenie na później.

- Hej, Millie, a gdzie Trip? - zapytałam, sięgając do misy z owocami po banana.

- Wyszedł z psem na spacer. Zaraz z samego rana. Dobrze spałaś, kochanie? - powiedziała Millie, przytulając mnie do siebie. Cała zeszywniałam. Nie potrzebowałam jej uścisków. - No, o co chodzi? Czego się złościysz? Widzę to po twoich oczach. Powiedz mi, co się stało.

- Nic się nie stało - odpowiedziałam.

Nie chciałam jej się zwierzać w pomieszczeniu pełnym kręcących się osób, wchodzących i wychodzących przez kuchenne drzwi, wnoszących pudła z jedzeniem i torby z lodem. Ale Millie czytała w moich myślach, zupełnie jakby mojego mózgu nie okrywała pokrywa kości, tylko przezroczysta folia Sarana. Ta umiejętność nigdy Milli nie zawodziła.

- Idź na dwór. Zaraz do ciebie dołączę. Porozmawiamy.

Kiedy Millie kazała człowiekowi coś zrobić, nie było innego wyjścia, tak więc wyszłam na dwór i czekałam, coraz bardziej zła na matkę. Jaką ona musiała być kobietą, żeby swoje własne dzieci wypychać z domu z przyjaciółmi albo posyłać je do łóżka bez jednego słowa pociechy w dniu, w którym były świadkami, jak ich tatuś wylatuje w powietrze? Do diabła, ja miałam trzynaście lat i zdążyłam już przyzwycząć się do tego,

że matka odkręca i zakręca kurek z miłością niczym aktorka w operze mydlanej, ale biedny Trip był jeszcze taki mały. I powiedzmy sobie szczerze, matczyne demonstracje macierzyńskiej miłości bynajmniej nie przyniosłyby jej Emmy. Bałam się, że bez taty w naszym domu zapanuje całkowity chłód.

Zaraz po rozmowie z Millie muszę odszukać Tripa. Jeśli poszedł wyprowadzić Chalmersa, naszego retrievera, był to znak, że ma zmartwienie. Trip należał do tych dzieci, które zdają się nigdy nie być szczęśliwe - bez żadnego specjalnego powodu - bo taką po prostu mają naturę. Mógł też pójść do stajni i rozmawiać z Ginger. A może dam mu na niej pojeździć? To go trochę pocieszy. Odszukam mojego brata i postaram się być dla niego tak serdeczna, jak tylko potrafię.

Po kilku chwilach na dworze pojawiła się Millie, niosąc płócienną torbę z dwoma uchwyty. Maszerowała przez trawnik szybko i zdecydowanie.

- Śniadania dziś nie będzie, ale przecież musisz coś zjeść. Zapakowałam dwie kanapki z szynką, *yanh*, dwie zimne puszki coli, dwa ciasteczka i dwa jabłka. Poszukaj swojego brata, zjedzcie, a potem wracajcie do domu. A teraz mów, co ci leży na wątrobie, *missy*. Nie mamy całego dnia do dyspozycji.

Nawet jeśli jej słowa zabrzmiały szorstko, wiedziałam, że nie są takie w istocie. Nadchodzący dzień dla Millie miał być trudniejszy niż dla kogokolwiek z nas i doceniałam, że odeszła od swoich zajęć, by pokazać mi, że troszczy się o mnie. Wlepiłam oczy w ziemię, a prawda sama spłynęła mi z warg.

- Matka. To suka.

Millie mocno ujęła mnie za ramię.

- Zamknij buzię, natychmiast zamknij buzię, *yanh*.

- Ona jest suką, Millie, i ty doskonale o tym wiesz.

- Nieważne. Żeby o własnej matce wygadywać podobne rzeczy!

Dziewczyno, kim ty byś bez niej była, *yanh*? Zasłużyła na to, żebyś ją lepiej traktowała. Ty, jej jedyna córka. Wstydz się.

- Nie, Millie, to ona powinna się wstydzić. Czy wiesz, że odkąd tatuś umarł, nie odezwała się ani jednym słowem do mnie czy do Tripa? Nie przyszła zobaczyć, jak się czujemy.

Poczułam napływające łzy. Millie puściła moje ramię i oczy jej zwilgotniały.

- O Panie.

- Naprawdę nie zrobiła tego. Tak, Millie, jak to wytłumaczysz?

- Musi być w szoku - powiedziała Millie, choć przecież wiedziała, jak kiepska jest to wymówka.

- O, pewnie. I dlatego jedyną rzeczą, jaką powiedziała mi dziś rano, było nie: *Caroline, jak spałaś*, albo: *Caroline, przykro mi, ale zobaczysz, wszystko się ułoży*. O nie. Ją stać było wyłącznie na krytyczne słowa pod adresem mojego ubrania. Przyjemna matka, prawda?

Z mojej zaciśniętej szczęki Millie wyczytała raz-dwa, że nie wystarczy polecić mi, żebym zachowywała się odpowiednio, że zarówno mnie, jak i Tripowi należy się coś więcej. Od naszej własnej matki.

-I dla niej, i dla ciebie, i dla mnie nie jest to najlepszy dzień. Nie twierdę, że nie postąpiła źle. Chcę tylko powiedzieć, że nie mam zamiaru tolerować twojego wygadywania na nią ani teraz, ani nigdy. Tak się

naprawdę nie godzi mówić. - Ujęła mnie za ramię i podprowadziła do ogrodowego krzesła, stojącego na trawniku. - Usiądź.

Przysiadłam na poręczu, kopiąc obcasem ziemię. Millie krążyła tam i z powrotem.

- Jestem wściekła, jestem tak wściekła, że mogłabym kogoś uderzyć.

- To chyba normalne. A teraz posłuchaj, i to posłuchaj uważnie.

Każdy oplakuje swoją stratę na własny sposób.

- O Jezu, Millie!

- Taka jest prawda. Twoja matka zamknęła się w sobie, ciebie roznosi złość, a twój brat uciekł, żeby się wypłakać z dala od ludzkich oczu. Ja? Jenkins? Jesteśmy tak zajęci, że nie mamy nawet czasu pomyśleć o żałobie. Każdy reaguje inaczej. Podobne tragedie pokazują ludzi takimi, jakimi są naprawdę. Chciałabyś być taka, za jaką uważał cię twój tatuś? Jeśli tak, lepiej zacznij od razu, odstawiając swój gniew tam, gdzie jego miejsce - za siebie. Stań się kobietą, dzisiaj, zaraz. Nie jutro, nie, kiedy skończysz osiemnaście czy dwadzieścia jeden lat, ale już dzisiaj.

- Tatuś by nie uwierzył, że matka może się tak zachowywać.

- Może nie, a może tak. Zawrzemy umowę, dobrze? Ty zatroszczysz się o Tripa, ja zatroszczę się o ciebie, Jenkins o mnie, a twoja mamusia zatroszczy się o nas wszystkich, kiedy będzie już do tego gotowa.

- Widzę tu pewien problem, Millie. Ja nigdy nie miałam mamusi, miałam tatusia tylko. Ja mam matkę. To duża różnica.

Przez dłuższą chwilę spoglądałyśmy sobie w oczy. Twardo, nieustępliwie. Gdybym miała wybrać jeden moment oddzielający moje dzieciństwo od dojrzałości, powiedziałabym, że owo przejście nastąpiło

właśnie w tamtej chwili. Millie nie oponowała. Powoli pokiwała głową i powiedziała:

- Teraz idź już, poszukaj swojego brata. Przed nami długi dzień i każda para rąk będzie mi potrzebna do pomocy. A o Miss Lavinii porozmawiamy później.

Nie wiedziałam, co ma na myśli. Wzięłam z jej rąk torbę, zarzuciłam sobie na ramię i pobiegłam. W stajni Tripa nie było. Podrapałam Ginger po szyi. Zarżała, czując jedzenie, i zaczęła się ocierać o moje ramię. Wyciągnęłam z torby jabłko i podałam jej.

- *Yanh*, dziewczyno, jedz, ja i tak nie jestem głodna - powiedziałam do klaczy głosem przepełnionym nowym, nieznanym mi do tej pory rodzajem smutku.

Millie miała rację. Dzisiaj musiałam zachowywać się jak dorosła. Przede wszystkim postaram się być miła dla wszystkich. Zapomnę o swoich urazach do matki i skoncentruję się na Tripie. Jeśli tylko gdzieś będzie potrzebna moja pomoc, pomogę. Uczyniwszy to postanowienie, poczułam się odrobinę lepiej. Nieważne, co matka zrobiła albo czego zaniedbała zrobić. Sama zatroszczę się o siebie i o Tripa. Od tej chwili nie będzie mnie już obchodziło, co matka sobie myśli. A jeśli w którymś momencie spróbuje dotrzeć do mojego serca, pozwoli mi siebie potrzebować? Ciekawe, jak długo wytrzyma wówczas mój mur samoobrony? A zresztą na pewno nie pozwoli. Nie miało sensu się tym przejmować. Czas pokaże, jak zwykła mawiać Millie.

Zacząłam iść przez dawne pola ryżowe, przekształcone teraz w tereny do strzelania, które dopiero skończono urządzać i z których niemal jeszcze nie korzystano. Matka i tatuś niczego nie lubili bardziej od

roztrzaskiwania strzałami glinianych rzutków. Teraz już nigdy nie wybiorą się razem postrzelać. Czy to możliwe?

Zbliżałam się do miejsca katastrofy, a serce biło mi coraz mocniej. Słońce wędrowało wciąż wyżej i zapowiadał się kolejny upalny dzień. Nawet z odległości stu jardów czułam woń spalonej gleby, tam gdzie samolot tatusia uderzył w ziemię. Od piekącego powietrza zaczęły mnie szczypać oczy.

-Trip!

Wołałam i wołałam, w nadziei, że w końcu mi odpowie. Wreszcie w przecince zobaczyłam jego sylwetkę. Szedł w moją stronę, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie szortów i z opuszczoną głową. Widziałam, że jest nieszczęśliwy, może nawet płacze. Podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Odejdź ode mnie - powiedział tonem skargi.

- Nigdy - odparłam. - Jesteś moim jedynym bratem, a ja twoją jedyną siostrą, i razem tkwimy w tym wszystkim. Jeśli matka o nas nie dba, ja też głównie o nią dbam.

- Nie dbasz o nią? - Popatrzył na mnie swoimi wielkimi błękitnymi oczami, teraz zaczerwienionymi i zapuchniętymi od płaczu. - Czy ty wiesz, co ona mi powiedziała dziś rano?

- Nie, mów.

- Powiedziała, że jest szczęśliwa, że wyjeżdżasz do szkoły, a jeśli ja nie będę grzeczny, to mnie... to mnie też się pozbędzie. - Wytrzeszczył oczy, płacząc jak dziecko i pociągając nosem.

- Trip, przecież ona nie może czegoś takiego zrobić. Nie może i nie zrobi. - Objęłam go ramieniem i pogładziłam po plecach. - To minie, Trip,



nie myśl o tym. - Byłam tak wściekła na matkę, że mogłabym ją rozszarpać. - Dlaczego to powiedziała?

- Twierdziła, że mam chory mózg i że wyśle mnie do zakładu.

- Ale dlaczego miałyby mówić coś takiego? Przecież to nie ma sensu.

- To przez to - wyznał, sięgając do kieszeni i wyjmując jakiś przedmiot, owinięty w chusteczkę do nosa, - Wiem, że nie powinienem tego trzymać, ale tak bardzo nie chciałem, żeby nas opuścił. Pomyślałem, że jeśli to zatrzymam... Och, sam już nie wiem.

Odebrałam mu chusteczkę i rozwinęłam. W środku znajdował się palec taty. Omal go nie upuściłam, ogarnięta przerażeniem i wstrętem, ale na szczęście udało mi się zapanować nad tym odruchem. Rozumiałam, co kierowało moim bratem. Jak długo miał to w posiadaniu, tak długo tatuś nie odszedł od nas cały.

- Jak go znalazła?

- Myślałem zęby, a palec położyłem na koszu na bieliznę. Akurat chciała czegoś ode mnie, weszła do łazienki, zobaczyła, podniosła i jęknęła, o tak. - Trip przyłożył rękę do serca i zrobił przerażoną minę.

- Trip, to poważna sprawa.

- Wiem. Już ci mówiłem. Wiem, że nie powinienem... - Znowu się rozpłakał.

- Już dobrze, Trip, rozumiem.

- Rozumiesz?

- Tak, ale wiesz co? Ten szczątek to wcale nie jest tatuś. Powinniśmy go pochować razem z nim.

- *Yeah*, masz rację.

- I wiesz co jeszcze?

Podniósł na mnie oczy, a ja zamyśliłam się na moment.

- Człowieku, wyglądasz okropnie.

- Ty też nie jesteś zachwycająca.

- Tak, wiem, ale zaczekaj, bo jeszcze nie skończyłam. Przyniesienie do domu palca taty to chyba najbrzydliwszy z twoich numerów...

- *Yeah*, domyślałam się.

- Najbrzydliwszy, ale nie najbardziej śmierdzący.

- *Yeah*, a jaki był ten najbardziej śmierdzący?

- Kiedy przez miesiąc nie zmieniałeś majtek. - Stuknęłam mojego braciszka w ramię i roześmiałam się, ale on nawet się nie uśmiechnął. - Jezus, przepraszam. No, dobrze już. A wracając do palca taty. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym to ja ten palec znalazła, ale z pewnością nie zostawiłabym go tak na ziemi. To może wyglądać ohydnie, ale przecież jest całkowicie zrozumiałe. Chodź, włożymy go do trumny.

Skierowaliśmy się w stronę kaplicy. Tak naprawdę w głębi serca uważałam, że czyn Tripa był odrażający, że tylko ktoś umyślowo chory potrafiłby się zdobyć na coś takiego. Jeśli jednak nie uznałam Tripa za kompletnego szaleńca, to wyłącznie dlatego, że gdybym ja znalazła palec taty, również zabrałabym go ze sobą. A potem? Co bym z nim zrobiła? Wrzuciła do rzeki? Nigdy w życiu!

- Gdzie go znalazłeś?

- Tam, przyczepiony do steru - powiedział. - Znalazłem tylko to i nic więcej.

W miarę jak zbliżaliśmy się do kaplicy, ogarniało nas coraz większe przygnębienie. Nagle wydało mi się dziwne, że nie płaczemy non stop, choć przecież przeżywaliśmy najgorsze z naszych dotychczasowych

doświadczeń. Tak naprawdę koszmar śmierci taty nie w pełni jeszcze do nas dotarł.

Nie miałam zamiaru wchodzić do kaplicy. Widok trumny ze szczątkami mojego tatusia przez uchylone drzwi w zupełności mi wystarczał.

- A teraz - powiedziałam - wejdź tam, uchyl wieko i wrzuć to.

- Do diabła, nie. Zwariowałaś czy jak? Sama to zrób. Przecież jesteś starsza.

- Cholera, cholera, cholera. - Wiedziałam, że zachowuję się podle. W dodatku podkusiło mnie, żeby w stajni złożyć tę idiotyczną przysięgę, że będę miła, i w ogóle. Do cholery, czemu to powiedziałam! O ile łatwiej było być dzielną, kiedy nic człowieka do tego nie zmuszało. Spojrzałam na Tripa. Górna warga zaczynała mu drżeć.

- Cholera, cholera, cholera, lepiej losujmy. Masz pensa?

- Nie mam.

Żadne z nas nie miało monety, więc w końcu postanowiliśmy zrobić to wspólnie, byle jak najszybciej. Nienawidziłam być starsza. Wrzód na dupie.

- Na trzy, zgoda? Raz, dwa...

Pobiegliśmy co sił w nogach i szarpnęliśmy wieko. W środku znajdowała się czarna, winylowa torba i nic poza tym, więc wrzuciliśmy tam palec razem z chusteczką, pozwoliliśmy opaść i pędem wybiegliśmy na dwór. Kiedy już znaleźliśmy się w pobliżu domu, przystanąłam i zwróciłam się do brata:

- Trip?

- *Yeah?*

- Czy mama naprawdę powiedziała, że cieszy się z mojego wyjazdu?

- *Yeah*. Ale myślę, że była po prostu zdenerwowana. Zdenerwowana.

To nie jest żaden powód, żeby mojemu małemu braciszкови opowiadać takie rzeczy. Tak, dzięki matce mogliśmy się poczuć cholernie bezpiecznie.

- Boże, ja przez nią zwariuję. - Spoglądaliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, wiedząc, że nie istnieje żadne usprawiedliwienie dla tego, co matka powiedziała na mój temat. - Chodź, umyjemy się, ubierzemy i zobaczymy, czy możemy pomóc w czymś Millie.

- A co z matką? Masz zamiar jej przygadać?

- Może sobie iść do diabła, nie obchodzi mnie to. Tylko słuchaj, podczas pogrzebu niech ona nie widzi, że płaczesz. Za nic w świecie.

Musiałam go uprzedzić, bo gdyby się rozplakał, a matka nie okazałaby mu współczucia, poczułby się jeszcze bardziej zraniony. Ja zresztą też. Miałam nadzieję, że nic porozumienia zadzierzgnięta między nami pozwoli nam pokonać te wszystkie kłopoty, jakie - o czym wiedziałam doskonale - nas jeszcze czekają.

Samo nabożeństwo pogrzebowe nie okazało się aż tak ciężką próbą, jak to sobie wyobrażałam. Zresztą co jeszcze mogło nas czekać gorszego po przeżyciu z palcem? A może otepił mnie ból, któremu starałam się nie dawać ujścia? Zafascynowana przyglądałam się, jak opuszczano trumnę taty. Panna Blanchard z Charlestonu zaczęła śpiewać „Swing Low Little Chariot”. Poczułam, jak przenika mnie dreszcz. Miała niesamowicie wysoki głos.

Zaśpiewała jeszcze „Amazing Grace”, a włożyła w to tyle uczucia, że wszyscy się przyłączyli i zaczęli śpiewać razem z nią. To dopiero było

przeżycie, siedzieć przy grobie ojca i śpiewać ze wszystkimi znajomymi, podczas gdy jego dusza wędrowała do nieba. Ten tłum, te setki ludzi śpiewających i płaczących całym sercem, nappełnił mnie tak podniosłym uczuciem, że przez moment nawet wydawało mi się, że oto sam Bóg zstąpił między nas, ten sam Bóg, który przed kilkoma dniami kompletnie o nas zapomniał. Przez kilka chwil czułam się podniesiona na duchu, szczęśliwa niemal. Podczas pieśni wszyscy powstali; za naszymi plecami, za wysoką skarpą płynęła Edisto, przed nami brązowozielone bagienne trawy odcinały się od czystego, przejrzystego błękitu nieba - do diabła, jeśli to nie było przeżyciem religijnym, to nie wiem, co mogłoby nim być.

*Tak jak dotąd twoja łaska wiodła mnie bezpiecznie, Niech i teraz zawiedzie mnie do domu.*

- Zaprowadź mojego tatusia do Twojego domu, Panie - modliłam się - i zabierz go prosto do nieba.

Chyba po raz pierwszy w życiu uwierzyłam wówczas w Boga. Chodziłam do kościoła, gdyż matka wymagała tego ode mnie, ale nigdy niczego nie czułam. Aż do tej chwili. Co prawda, dotknęła mnie ta niesamowita wizja, jaką było ujrzenie samolotu taty ogarniętego płomieniami, ale nie miała ona w sobie nic religijnego. Jeśli już, nazwałabym ją raczej przesłaniem prosto z piekieł. Była to wizja przeklęta, która do końca życia - ilekroć zamknę oczy - będzie mnie przytłaczała swoim ciężarem.

I właśnie w tej chwili, kiedy połączył nas wspólny śpiew, coś we mnie drgnęło, coś się we mnie otwarło na możliwość istnienia prawdziwego Boga. Takiego, który zatroszczy się o mnie, który mnie wysłucha, który mi pomoże - och, gdyby tylko to uczucie mogło przetrwać

we mnie, wówczas nic nie byłoby w stanie mną wstrząsnąć, bez względu na to, co mnie jeszcze spotka.

Staliśmy obok matki, ja po prawej, a Trip po jej lewej stronie. Miałam na sobie ciemnoniebieską letnią, płócienną sukienkę i sandały, a Trip spodnie khaki i granatowy blezer. Włosy miał przylizane, wysmarowane jakimś paskudztwem, cuchnącym niczym środek na owady. Wiedziałam, że nie jest to właściwe, w jednym momencie odkryć istnienie Boga, a zaraz potem krytykować kogoś, ale przecież musi upłynąć trochę czasu, zanim w pełni nauczę się być dobrą.

Mówiąc zwyczajnie, matka była wystrojona niczym jakaś kukła, i to był kolejny powód, dla którego nie załamalam się i nie wybuchnęłam płaczem. Zbyt mocno się wstydziłam. Na głowie miała wielki, czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem, z którego zwisał welon. Obnosiła się z nim niczym królowa angielska. I chociaż na dworze było co najmniej tysiąc stopni i robactwo bezlitośnie kąsało mnie po szyi i po kostkach, matka ubrana była w czarną jedwabną suknię do kostek i żakiet. Oczywiście nie zapomniała też o swoich cholernych perłach. Wachlowała się czarno-różowym wachlarzem, który przywiozła do domu z jakiejś wyprawy, i ocierała kąciki oczu czarną przejrzystą chusteczką. Na mnie i na Tripa nawet nie spojrzała, ale w pewnej chwili, podczas modlitwy, ujęła nas za ręce, pewnie dla większego dramatycznego efektu. Moja dłoń była ciepła, matki - chłodna i lepka.

Wrażenie dotyku tej zimnej, lepkiej dłoni utkwiło mi w pamięci, gdyż pomyślałam, że takie właśnie musi być jej serce. Ale teraz już mnie to nie obchodziło. Nie potrzebowałam jej. Za sześć miesięcy miałam

wyjechać. Nie przestawałam sobie tego powtarzać. Niedługo mnie tu nie będzie i nigdy, przenigdy nie stanę się taka, jak moja matka.

Stypa wypadła oszalamiająco. Musiałam przyznać, że matka dokonała rzeczy niewiarygodnej, organizując wszystko w tak krótkim czasie. Ale to było do niej podobne. Dla niej pozory miały znacznie większe znaczenie niż złamane serca dzieci. Wiedziałam, że nigdy jej tego nie wybaczę.

Tego dnia Trip i ja wreszcie pogodziliśmy się z jej płytkością i powierzchownością i przez całe popołudnie zajmowaliśmy się sobą, skoro dorośli nas zignorowali. Ilekroć ktoś odstawiał kieliszek z szampanem, podnosiliśmy go, odchodziliśmy gdzieś na bok i wychylaliśmy całą zawartość. O szóstej po południu chodziliśmy już prawie na czworakach, kompletnie ululani. To tyle, jeśli idzie o moją nowo nabytą religijność.

Millie znalazła nas na przystani, ciskających kamieniami do rzeki i udających, że rzucamy nimi w matkę. Nawet nie słyszeliśmy, że się zbliża.

- A masz, a masz, ty suko. To za to, że nie przytuliłaś mnie tej nocy, kiedy umarł tatuś! - wykrzykiwał Trip, z furią waląc kamieniem w wodę.

- Masz, wypchaj się tym, podła jędzo. To za to, że nas ignorowałaś.

- Ty wampirzyco! Żałuję, że to nie ciebie rozerwało.

- Dostyc tej zabawy! - Głos Millie wstrząsnął nami do tego stopnia, że omal nie powpadaliśmy do wody. - Skończcie z tymi głupstwami, i to migiem.

- A gówno - sprzeciwił się Trip.

Zataczał się, więc się przestraszyłam, że jeśli Millie odkryje, że piliśmy, jej złość będzie jeszcze większa. Wyciągnęłam rękę, żeby go podtrzymać.

- My tylko waliliśmy kamieniami w ten mały stłumyczek -  
powiedziałam, przekręcając wyrazy.

- Czyżby? Dzieci, ile wy wypiliście?

- My? Millie, jak możesz oskarżać nas o coś takiego? - Zdawało mi się, że mój głos zabrzmiał teraz odrobinę pewniej.

Millie tylko popatrzyła na mnie i już wiedziałam, że moje zapewnienia na nic się nie zdadzą.

- No dobra, wy dwoje - powiedziała - tym razem przymknę na to oczy. Idźcie do mojego domku i prześpijcie się u mnie. Później przyjdę i zajrzę do was, *yanh*. No już, ruszcie się.

Tak też zrobiliśmy. Pognaliśmy co sił w nogach, raz tylko przystając po drodze, bo Trip musiał podlać krzaczek. W domku natychmiast padł na tapczan, a ja na łóżko Millie i obydwójce spaliśmy jak zabici przez całą noc.

Nazajutrz dnia obudziłam się przykryta kołdrą Millie. Jej samej nie było. Trip leżał na tapczanie, pogrążony w głębokim śnie. Matka po nas nie przyszła. Wielkie rzeczy. Wyszłam zobaczyć, jak zapowiada się dzień. Nie było jeszcze ósmej, a już robiło się parno. Słyszając warkot ciężarówki, pomyślałam, że przyjechali uprzątnąć rzeczy po wczorajszej stypie. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłam pikapa z przyczepą do przewozu koni. Jenkins przywitał się z kierowcą, a potem razem sprowadzili po rampie prześlicznego źrebaka. W samym środku piekła ktoś pamiętał o urodzinach Tripa. Łzy ulgi i szczęścia pociekły mi po twarzy. Nawet nie przypuszczałam, że mi jeszcze jakieś pozostały. A więc ktoś pamiętał.



## **Rozdział 29**

### **Ocal mnie**

**2000**

Jak mogłam powrócić do Wysokich Sosen, nie myśląc o tym, co mnie z nich wyгнаło? Wyjechałam, ponieważ nie było nikogo, kto pragnąłby, abym pozostała. Miss Lavinia wypchnęła nas z gniazda, podobnie jak ptasia matka wypycha swoje pisklęta. Do tej pory udawało mi się nie oglądać wstecz. W ciągu ostatnich lat, ilekroć wpadałam z wizytą, na barkach ciążył mi żal do matki, a w sercu tęsknota za tatusiem.

Trip z kolei niemal nie spoglądał w przyszłość. Robił wszystko, aby pozostać na uboczu, w nic się nie angażować, w nic nie wkładać wysiłku. Rozpuszczone dzieci i zwariowana żona stanowiły świetne usprawiedliwienie dla picia, niekończących się polowań i połowów, podążania za wabiącym śpiewem syren, a przede wszystkim za głosem samej ACE. Tak, Trip zwyczajnie uzależnił się od takiego trybu życia, a teraz - co od razu rzuciło się w oczy - pożądał Wysokich Sosen dla siebie i swojej powiększającej się gromadki. Jeśli chodzi o mnie, mógł je spokojnie zabrać. Nigdy nie zaprzętałam sobie specjalnie głowy sprawami majątkowymi, zakładając, że kiedy dla matki nadejdzie czas Wielkiego Wystawnego Przyjęcia w Niebie, Trip odziedziczy po niej cały ziemski kram.

Co mnie natomiast niepokoiło, to jego zdumiewające przekonanie, że wszystko jakoś samo się rozwiąże. Kogo on chciał oszukać? Czy naprawdę sądził, że matka wyprowadzi się z domu, żeby jego rodzina mogła go zająć? Czy naprawdę wyobrażał sobie matkę gdzieś w

Prezbiteriańskim Domu Opieki w Summerville albo gdziekolwiek indziej, a Frances Mae jako panią w Wysokich Sosnach? Co za niezwykła zdolność do samooszukiwania się! No cóż, matka usadziła ich oboje, Tripa i Frances Mae. Przynajmniej na jakiś czas.

Spojrzałam ku stajniom i od razu w mojej pamięci pojawił się koń Tripa, Jimbo. Pomyślałam o tych niezliczonych popołudniach, które Trip i ja spędzaliśmy razem, galopując na swoich wierzchowcach przez pola ryżowe, niepomini istnienia reszty świata. Eric też miał do tego prawo - przynajmniej do części dzieciństwa, nieskażonej żadną troską.

Słońce zniżało się ku zachodowi i nasza pierwsza noc w Wysokich Sosnach zbliżała się szybkimi krokami. Odwróciłam się ku domowi. Na tylnej werandzie stała Millie i przyglądała mi się bacznie. Nawet nie zauważyłam, kiedy szła przez trawnik. Jak dobrze było znaleźć się w zasięgu jej spojrzenia. Mrugała powiekami, jakby z każdym ich drgnieniem do listy rzeczy, które miała zamiar uczynić dla mnie i dla Erica, dodawała kolejne postanowienie.

- Hej, Millie, co się dzieje?

- Lada moment nadciągnie Miss L. Pomyślałam, że może byłoby dobrze pogawędzić z tobą trochę, zanim dom na powrót napelni się ludźmi.

Przystanęłam na najniższym schodku i popatrzyłam na nią, uśmiechając się do mnie.

- Tobie chyba nie potrzebuję mówić, prawda? Ty już wiesz.

- Masz rację, dziewczyno. No, chodź lepiej do domu, bo chcę ci pokazać, co przygotowałam dla ciebie i dla mojego chłopca. - Przytrzymała mi drzwi i weszła zaraz za mną.

- To dziwne uczucie wrócić. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

- *Yeah*, ale przecież nie jest to w końcu takie niezwykle. Należysz tutaj i najwyższy czas, abyś wróciła do domu. - Zatrzymała się przy lodówce i wyjęła talerz. - Ciągutkę?

- Wielkie nieba, Millie! - Ciągutki Millie skusiłyby do obżarstwa nawet samego Richarda Simmonsa\*. - Całkowicie zrujnujesz moją figurę.

- Ułamałam ogromny kawał masy i wpakowałam sobie do ust, oblizując palce.

- Niczego w tobie nie zrujnuję. Moim zamiarem jest cię ocalić. - Uśmiechnęła się szeroko, odstawiając talerz z masą karmelową. - Chodź.

Millie rozpakowała nasze rzeczy, lokując moje w moim dawnym pokoju, a Erica w sąsiadującym z nim pokoju Tripa. Popatrzyłam na ubrania, porozwieszane starannie; wszystko wyglądało tak, jakbyśmy nigdy się stąd nie ruszali. Otworzyłam szafę w sypialni, zastanawiając się, w co się przebrać do kolacji.

- Millie, nie wiem, jak mam ci dziękować za to wszystko.

- Od przyjscia na świat twojego chłopca czekałam na dzień, kiedy będę mogła rozpakować twoje walizy.

- Zawsze wiedziałaś, prawda?

Uśmiechnęła się, popatrzyła najpierw na podłogę, a potem prosto w moją twarz.

- Najlepiej będzie, jeśli weźmiesz kąpiel, i wyciągniesz się na chwilę. Wyglądasz na zmęczoną.

Obrzuciłam spojrzeniem szlafrok zawieszony na ramiączku.

Zupełnie bezwiednie wybrałam go sobie jako strój do kolacji.

- Wiesz co, Millie, chyba tak właśnie zrobię. Jestem rzeczywiście straszliwie zmęczona.

- W łazience postawiłam odtwarzacz CD, bo przyszło mi do głowy, że może będziesz miała ochotę na trochę muzyki w trakcie przebierania się. No, idź się kąpać, ja zaraz wrócę.

Wannę wypełniała parująca woda, w której pływały gardenie. Pachniały bosko. Zapragnęłam tej kąpieli w gardeniach jako czegoś absolutnie dekadentckiego. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, w moim mózgu pojawił się obraz Richarda. A tam, do licha. Mogłabym ogołocić z kwiatów nawet cały krzew, i tak byłoby to niczym w porównaniu z jego rozpasaniem. Rozebrałam się, powiesiłam ubranie na pustym wieszaku na drzwiach łazienki, otuliłam się szlafrokiem i zajrzałam do odtwarzacza - stary, dobry Joe Sample. Sprawdziłam dłonią temperaturę wody; idealnie nadawała się do kąpieli.

Słuchając Joego i wdychając zapach kwiatów, omal nie zasnęłam. Zdołałam jednak wydźwignąć jakoś swoje zmęczone ciało z wanny, wypuścić wodę i wytrzeć się. Kiedy weszłam do sypialni, Millie opuszczała ją właśnie, zamykając za sobą drzwi. Uchyliła francuskie okno, ale żaluzje zostawiła opuszczone, by nie przeszkadzało mi zachodzące słońce. Przy łóżku stał niewielki czajniczek z porcelany z Limoges, napelniony herbatą, i ciepła grzanka z bananowego chleba. Z pełną świadomością, że herbata zawiera któryś ze specyfików Millie, nalałam płynu do filiżanki i wypijałam go do ostatniej kropli. Jakaś dobra wróżka przygotowała łóżko; odsunięta gofrowa kapa odsłaniała najpiękniejszy matczyzny komplet pościeli, z białego irlandzkiego płótna, ten, który trzymała na wypadek, gdyby Margaret Thatcher miała kiedyś u nas

przenocować. Poszewki miały rogi zdobione delikatną, ażurową, szydełkową koronką, wykonaną jeszcze przez moją babkę wiele lat temu. To nie przypadek, że Millie tak starannie przygotowała się na nasze przybycie. Doprawdy poruszałam się po grząskich piaskach.

Wśliznęłam się między prześcieradła i ułożyłam wygodnie. Chodziło mi po głowie, że chciałam jeszcze zapytać, czy Trip i Frances Mae przyjeżdżają na kolację. Nieważne, za bardzo chciało mi się spać, zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Frances Mae będzie musiała po prostu pogodzić się z naszą obecnością.

To oddech Erica zaczął mnie wydzwigać z otchłani snu. Kochałam ten oddech i potrafiłam rozpoznać go wszędzie, tak samo jak lwica rozpoznaje oddech swoich lwiatek. Nie chciało mi się otwierać oczu. Eric najwyraźniej wahał się, czy ma mnie obudzić. Czułam jego obecność tuż przy mnie, czułam, jak jego ciało wypełnia przestrzeń pokoju. W końcu wyszedł. Dobrze, pomyślałam, przez chwilę jeszcze mogę odpoczywać. Eric jest bezpieczny w domu.

Nawet mając zamknięte oczy, czułam, że dzień prześlizguje się powoli między zimnymi palcami bryzy. Piątek? Tak, piątek wciąż się nie skończył. Znakomicie, wobec tego mam kilka dni na myślenie i zaplanowanie spraw jak należy. Przede wszystkim nauka dla Erica. Miss Nancy miała rację. Powinnam wystarać się o nauczyciela. A może tak zadzwonić do Matthew Gorącego Faceta w Mundurze i zapytać, czy nie słyszał o kimś odpowiednim? Stara Frances Mae również powinna znać kogoś ze szkoły w Walterboro. Znakomity pretekst, żeby przełamać lody. Dobrze, spróbuję się z nią pogodzić. Muszę.

Bach! Bach! Musiałam znowu odpłynąć w sen, gdyż teraz obudził mnie wyraźny odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu, najpierw jednych, a potem drugich.

- Mamuś, mamuś! - wołał Eric. Nie zdążyłam się nawet podnieść, a już wpadł do sypialni. - Mamuś, wuj Trip chce mnie zabrać na rzekę, sprawdzić pułapki na kraby. Mogę popłynąć z nim? Mogę? Mogę?

- Oczywiście, że możesz. Gdzie twoja kurtka? Chodź tu i pocałuj starą matkę.

Pochylił się nad łóżkiem i wycisnął całusa na moim policzku.

- Leży na frontowych schodach. Ty jesteś najlepsza z mamuś. Powinnaś była widzieć wuja Tripa w sądzie! Całkiem jak Johnnie Cochran albo ktoś taki. Jak on przemawiał: *Sir, zechce pan przemysleć swoją odpowiedź. Sir, proszę pozwolić przypomnieć sobie, że zeznaje pan pod przysięgą.* Wspaniały, naprawdę wspaniały. – Eric szarpnął krawat i przy tym ruchu koszula do reszty wysunęła mu się ze spodni.

- Kiedy wróciliście? - Oparłam się na łokciu, przypominając sobie, że już wcześniej poczułam jego obecność.

- Tamten facet aż się cały spocił. A wuj Trip, mówię ci: *A masz, ty psie!* - W zapale zaczął się fechtować z wyimaginowanym przeciwnikiem, wymachując szablą po całym pokoju.

-Eric!

Zatrzymał się i schował broń do pochwy.

- Dosłownie w tej sekundzie - powiedział, odpowiadając na moje pytanie. - Słyszałaś przecież, jak cię wołałem. - Widocznie popatrzyłam na niego dość dziwnie, bo dorzucił: - A co się stało?

Z zewnątrz dobiegł nas głos mojego brata.

- Eric, Eric, chodź, *bubba*, trzeba nam dobrze wyciągnąć nogi. - Uchylił drzwi sypialni i zajrzał do środka. Granatowy blezer Erica trzymał zawieszony na palcu wskazującym. - Porozrzuciłaś wszędzie swoje rzeczy i teraz babunia da ci popalić. Idziesz ze mną czy nie? - Popatrzył na mnie, wyciągniętą na łóżku. - A tobie co się stało, u licha?

- Zażywałam drzemki - wyjaśniłam. - Damy zawsze tak robią, nie wiedziałeś o tym?

- Jezus, gadasz zupełnie niczym stara Lavinia. - Mrugnął do Erica.

- A jak by ci się podobało podbite oko, braciszku - zapytałam, odrzucając przykrycie. - Nie? Mądry facet. Jestem wyczerpana. A kiedy jestem wyczerpana, to śpię.

- To teraz lepiej wstań. Frances Mae i dziewczynki będą tutaj o szóstej, *yanh*.

- Słuchaj, Trip. Przysięgam, że postaram się być dla niej miła. - Stałam przy toalecie i popatrzyłam w lustro. Wyglądałam jak czarownica.

- Mamo, a ty nie żyjesz dobrze z ciocią Frances Mae?

- Zupełnie dobrze, synku, zupełnie dobrze. - Uśmiechnęłam się do Erica i poczochnęłam mu włosy na głowie. - A teraz przebierz się i idź się pobawić. Tylko wróć do domu przed zmrokiem, dobrze?

- Dobrze. - Eric pędem wybiegł z pokoju i wkrótce kolejne zatraskiwane drzwi omal nie wyskoczyły z zawiasów.

Trip i ja wzdrygnęliśmy się.

- Porozmawiam z nim - powiedziałam. - Wiesz, bracie drogi, mógłbyś przynajmniej powiedzieć: *Witaj w domu*. - Otworzyłam szeroko oczy, skłoniłam głowę i czekałam.

- Witaj w domu? Witaj w piekle, siostró droga, *yeah*. Witaj w piekle.

- Uśmiechnął się szeroko i opuścił sypialnię.

- Wielkie dzięki - rzuciłam w stronę zamkniętych drzwi.

I znowu mi się przypomniało. Kiedy spałam, ktoś wszedł do mojego pokoju. Ale kto? Mogłabym przysiąc, że to Eric. Może chciał się ze mną podroczyć? Ach, ci chłopcy.

O szóstej matka, Trip i ja zasiedliśmy w salonie, sącząc wytrawne koktajle i pogryzając krakersy serowe. Zabrział dzwonek telefonu, a w kilka chwil później do pokoju wpadła Millie.

- Trip, dzwoni Frances Mae. Zjechała na pobocze drogi, pięć mil stąd. Rodzi! Szybko!

- Wszchemogąca Matko Boża! - jęknęła matka.

Trip wybiegł z pokoju. Szklaneczkę z bourbonem trzymał wysoko w górze, jakby sądził, że tym sposobem uda mu się nic nie wylać.

Oczywiście wylał, mocząc rękaw niebieskiej oksfordzkiej koszuli. Matka i ja pośpieszyliśmy do holu, gdzie znajdował się telefon, i wraz z Millie usiłowałyśmy podchwycić coś z rozmowy.

- Frances Mae, gdzie jesteś, do cholery? Gadaj, gdzie dokładnie jesteś?

- Wierzę, że opatrzność ustrzeże mojego wnuka od przyjścia na świat na rowie - oświadczyła matka niskim głosem.

Nie mogłam się uwolnić od obrazu Frances Mae na poboczu drogi, gdzieś w bok od autostrady numer 17 południowej, jak przykuca, oparta o drzwi samochodu, prze, jednocześnie starając się uspokoić uwięzione w pasach dziewczynki. Przecież Frances Mae była zaledwie w ósmym miesiącu i nigdy nie rodziła przed czasem, raczej zawsze z pewnym



opóźnieniem. Strach podniósł swoją szpetną głowę. Przecież Frances Mae wpadła do rzeki. Mam nadzieję, że to nie od tego...

- Uspokój się! - Pauza. - Frances Mae! Uspokój się, do cholery! - Pauza. - Dobrze, dobrze, słyszę cię. Już jadę. - Trip rzucił słuchawkę na widelki i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu kluczyków.

- Mamo, zawiadom policję w Jacksonboro. Niech wyślą ambulans na boczną drogę do Walterboro, około dziesięciu mil od stacji Hessa. Ja tam jadę.

- Zaczekaj chwilę, chłopcze, jadę z tobą - powiedziała Millie.

- Ja też - dorzuciłam.

-I ja, i ja - dopominał się Eric.

- Ty zostaniesz z babcią - sprzeciwiłam się.

- Mamuś, proszę. Ja też chcę zobaczyć.

- Mowy nie ma - zaprotestowała matka, szeroko otwierając frontowe drzwi. Wybiegłam za Tripem, słysząc, jak matka dodaje jeszcze: - Zdaje się, że kolacja będzie później, niż planowaliśmy.

Trip już siedział w range-roverze i zapuszczał silnik. Wskoczyłam na siedzenie obok kierowcy.

- Zaczekaj na Millie - powiedziałam.

Pojawiła się Millie, dźwigając pod pachą jakieś rzeczy; przytrzymując jedną ręką spódnicę, zbiegła pośpiesznie po schodach i usiadła z tyłu.

- Ruszaj - rzekła do Tripa.

Trip przycisnął pedał gazu i wystartowaliśmy, wzbijając za sobą chmurę pyłu. Przy bramie nawet nie pofatygował się, żeby przyhamować, tylko skręcił w lewo, aż samochód stanął na dwóch kołach, i runął w drogę

prowadzącą do szosy numer 17 z prędkością ponad osiemdziesięciu mil na godzinę.

- Zwolnij - upomniałam go - jeszcze nas wszystkich pozabijasz.

- Nie znasz Frances Mae tak dobrze, jak ja. Urodzi to dziecko na przekór mnie, żeby mi potem do końca życia móc wypominać spóźnienie.

- Nie mów tak. I zwolnij - odezwała się Millie z tylnego siedzenia. W jej głosie pobrzmiwała panika.

- Prędzej powie, że przedwczesny poród został spowodowany upadkiem do rzeki, i mnie będzie o to obwiniać.

- Skończcie z takim gadaniem, i to natychmiast - powtórzyła Millie.

Zignorowaliśmy ją, choć nie było to mądre z naszej strony. Trip rzucił mi spojrzenie kątem oka.

- A to gówno!

- Poczekaj, a zobaczysz.

- No nie, tego już za wiele - powiedziała Millie. - Dopraszacie się kłopotów i będziecie je mieli. Przekonacie się.

Umilkliśmy na chwilę, rozważając w duchu, czym jeszcze może się skończyć rozgrywany właśnie dramat. Cała litania możliwych rozwiązań. Najlepsze z nich? Że dopiero zaczęły się bóle. Najgorsze? Bałam się, że mój umysł mógłby uczynić choćby kroczek w tamtym kierunku. Zaczęłam modlić się bezgłośnie, aby wszystko zakończyło się pomyślnie, i dla Frances Mae, i dla dziecka. Noworodki mają w sobie tyle wigoru, a Frances Mae - o, ta była niczym mulica. Mimo to nie przestawałam się modlić.

Nie zważając na czerwone światła, Trip skręcił w lewo i z piskiem opon ruszył siedemnastką.

- Wytrzymaj, Frances Mae! - krzyczał w przestrzeń. - Mocno ściśnij nogi.

Nagle w moim umyśle błysnął obraz Frances Mae. Urodziła i leżała w szoku, a obok niej dziecko, ciche, nieruchome.

- Pośpiesz się, Trip. - Cała drżąca odwróciłam się do Millie. - Millie...

- Nie martw się, dziewczyno. Módl się.

Modliłam się. Wszyscy się modliliśmy. Trip jechał dobrze ponad setką. Przemknęliśmy obok stacji Hessa. Kątem oka zauważyłam samochód policyjny i ambulans, daleko przed nami, migające światłami i pędzące na złamanie karku. Wreszcie dojechaliśmy na miejsce i wysypaliśmy się z samochodu, śpiesząc ku rozgrywającej się scenie.

Frances Mae leżała na trawie na poboczu drogi, rodząc. Płacząca Amelia trzymała ją za rękę, a pozostałe dziewczynki siedziały w samochodzie, zawodząc i zasłaniając sobie oczy. Policjanci i sanitariusze, nie śpiesząc się zbyt, wysiadali z samochodów. Millie nie czekała ani chwili. Przedarła się przez tłum gapiów, uklękła obok Frances Mae i zaczęła rozkładać przywiezione ze sobą rzeczy.

- Do jasnej cholery, gdzieście się podziewali tak długo! - wrzasnęła Frances Mae. - O Boże!

- Przeturlaj się na jedną stronę - poleciła Millie, pomagając Frances Mae się odwrócić i podkładając pod nią pled. - A teraz na drugą. Amelio, powiedz siostrom, żeby przestały wrzeszczeć, bo im złoję skórę.

- Słyszałyście, co Millie powiedziała? Uspokójcie się, i to już - zakomenderowała Amelia i dziewczynki momentalnie przycichły.

- Czy mamusi nic się nie stanie? - zapytała Isabelle.

- Wszystko będzie dobrze. Odmówcie za nią modlitwę - powiedziałam. Uniosłam prześcieradło i przytrzymałam przy stopach Frances Mae, aby zapewnić jej choćby minimum prywatności, choć w tym momencie było jej chyba absolutnie wszystko jedno.

- Wytrzymaj, Frances Mae - błagał Trip. - Karetka już jest. - Klęknął przy niej i zaczął poklepywać ją po ręce. Robił wrażenie mocno wystraszonego.

Purpurowa, wykrzywiona twarz Frances Mae wyglądała, jakby miała eksplodować lada moment. Millie podniosła jej sukienkę i zaczęła opuszczać majtki. Odwróciłam oczy, kierując je w stronę twarzy Millie. Nawet wobec całej powagi sytuacji Frances Mae sami--wiecie-co było ostatnią rzeczą, jaką miałam ochotę oglądać.

- Co mam robić, Millie? - zapytałam.

- Powiedz tamtym facetom, żeby przynieśli nosze, sterylne prześcieradło, kleszcze i sterylny nóż. Dziecko już wychodzi.

- O Jezus, o Boże, Boże - wrzeszczała Frances Mae tak głośno, że nawet umarłego postawiłoby to na nogi - ja umieram!

Sanitariusze zbliżyli się, pchając wózek po wyboistym gruncie. Policjant stanął na drodze, kierując ruchem i rozpędzając gapiów.

Odwróciłam się ku rozgrywającej się scenie, myśląc, że spośród wszystkich absurdalnych epizodów, jakie przytrafiły mi się w życiu, ten z pewnością znajdzie się w pierwszej dziesiątce.

- Ty nigdy nie zrobisz nic podobnego - powiedziałam, nie kierując swoich słów do nikogo w szczególności, po czym zbliżyłam się do Frances Mae.

- Przyj - mówiła Millie. - Jeszcze raz. A teraz jeszcze raz. No, dziewczyno, skup się.

Ukazała się główka i Millie wyszarpnęła dziecko z łona Frances Mae, całe sine, z pępownią ciasno oplatającą mu szyję. Zdołałam dojrzeć, że to dziewczynka. Millie bez jednego słowa włożyła swoje silne palce pod pępownię i zaczęła ją rozrywać. Pielęgniarze przyklękli przy niej i zabrali się do pomocy. Wreszcie udało im się rozluźnić zacisk i usunąć sznur. Dziecko ani nie pisnęło. Kolorem przypominało płytkę chodnikową. Millie dwoma palcami otworzyła mu usta i zaczęła dmuchać. Sanitariusze zabrali się do czegoś innego - teraz wszystko rozgrywało się bardzo szybko - Frances Mae krzyczała: *Dlaczego moje dziecko nie płacze?*, Trip usiłował ją uspokoić: *Przestań, wszystko będzie dobrze*. Milczenie niemowlęcia było przerażające. Millie ucisnęła mu klatkę piersiową i znowu zaczęła wtlaczać powietrze do jego ust. *Kh, kh*, dziecko wreszcie odkrztusiło. Jeden z sanitariuszy przyłożył mu do twarzy maskę z tlenem i maleństwo powoli zaczęło odzyskiwać kolor.

- Dziewczynka, kolejna dziewczynka - ogłosiła Millie.

Frances Mae zaczęła płakać, z ulgi, z radości, z bólu - całkowicie oszołomiona. Trip odgarnął jej włosy z czoła i powiedział, uśmiechając się:

- Już dobrze, już wszystko dobrze.

Jeszcze kilka chwil i dziecko rozwrzeszczało się na dobre. Dla naszych uszu jego płacz zabrzmiał niczym najpiękniejsza muzyka. Millie zawinęła niemowlę w sterylne prześcieradło i pokazała Frances Mae, która ledwo skłoniła głowę, szczęśliwa, że jej córeczce udało się wydostać na świat. Dziewczynki wysypały się z samochodu, żeby zobaczyć nową

siostrzyczkę, i całe w ochach i w achach rozplywały się nad cudownym wydarzeniem. Wreszcie Frances Mae wraz z dzieciątkiem została zapakowana do karetki, która odjechała w stronę szpitala w Walterboro. Za nimi ruszył Trip swoim samochodem, a ja z Millie i dziewczynkami miałam pojechać wozem Frances Mae.

- Millie, jak ja ci się odwdzięczę? - zapytał Trip. – Prawdopodobnie uratowałaś życie mojemu dziecku.

- Nie ma mowy o żadnym prawdopodobnie – odpowiedziała Millie z szerokim uśmiechem ulgi. - Ale Bóg pomagał. Powinniście darzyć go większym zaufaniem.

- Masz rację - powiedziałam. - Bóg i Millie. Jesteś bohaterką dnia.

Trip zapędził dziewczynki do samochodu matki, rzucił mi kluczyki i wsiadając do swojego auta, pokiwał nam jeszcze ręką. Na krótką chwilę zostaliśmy same i mogłyśmy swobodnie zamienić kilka słów.

- Jestem bohaterką dnia? Nic mi o tym nie wiadomo. Widziałaś skrzywioną buzię tego dzieciaka, kiedy płakało i zawodziło niczym dzikie zwierzę?

- Wyglądało zupełnie niczym Frances Mae, takie drobne i pomarszczone. Miejmy nadzieję, że okaże się mądre, bo ładne z pewnością nie będzie.

- Mylisz się, to nie zmarszczki, to złość. To dziecko ma duszę swojej mamuśki, a twarzyczkę niczym buldog. - Zaczęłyśmy chichotać. - Najbrzydsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam.

## **Rozdział 30**

### ***Z powrotem w szkole***

W sobotę wieczorem miałam już sporządzoną listę nauczycieli dla Erica i byłam z nimi poumawiana na wtorek na rozmowę. W czwartek mieli zjawić się ludzie od przeprowadzki, tak że musiałam się zastanowić, co zrobić z rzeczami. Tydzień zapowiadał się pracowicie.

Dwie kandydatury wydusiłam z Frances Mae podczas jej krótkiego pobytu w szpitalu. W sobotę wybrałam się do niej z kwiatami. Pakowała się akurat, bo następnego dnia już mieli ją wypisać. Była wściekła i bynajmniej nie mogłam mieć jej tego za złe.

- Co za świetna opieka medyczna - utyskiwała. - Do diabła, nawet pokarmu jeszcze nie dostałam.

- Nie martw się, niedługo dostaniesz - pocieszyłam ją.

A co jej miałam powiedzieć? Że zadzwonimy do CNN, żeby przysłali ekipę, niech uwieczni historyczny moment „dostawania”? Frances Mae i jej piersi - Matczyny Pokarm z Certyfikatem Jakości.

Dziecko - tymczasowo obdarzone imieniem Chloe na cześć ulubionej aktorki Frances Mae, do czasu kiedy Trip przekona ją, że powinno otrzymać jakieś normalne imię, normalne, to znaczy noszone w naszej rodzinie - zostawało w szpitalu. Miało wysoką bilirubinę, więc chcieli potrzymać je przez kilka dni w inkubatorze. Frances Mae czekały teraz jazdy do szpitala na karmienie najmłodszej latorośli, co wygodne z pewnością nie będzie.

Ale żółtaczka małej Chloe była niczym w porównaniu z zachowaniem Frances Mae wobec nas wszystkich. Powinna być nam -a

szczególnie Millie - wdzięczna za to, że pośpieszyliśmy jej z pomocą, tymczasem ona obraziła się na cały świat. Większość czasu spędzała w łóżku, cała zapłakana, a jeśli już wstawała, to tylko po to, żeby odnowić zapas chusteczek higienicznych albo pojechać do szpitala nakarmić małą. Wreszcie Amelia zadzwoniła do matki z raportem. Matka przywołała Frances Mae do telefonu i wygłosiła jej całą ewangelię.

*A teraz posłuchaj, Frances Mae, wyłaź z tych betów, i to w tej chwili. Masz jeszcze trójkę dzieci, które potrzebują twojej opieki, a ośmielę się dodać, że mój syn też życzyłby sobie milej partnerki, kiedy wieczorem wraca do domu. Żadna kobieta w naszej rodzinie nie pobażala sobie w ten sposób. W końcu nosisz nazwisko Wimbley czy nie?*

Nie była to ewangelia według apostołów, tylko słowo Matki Współczującej. Frances Mae istotnie wstała i powróciła do normalnego życia, ale bez przerwy okazywała humory. Zapytałam Tripa, czy jej doktor nie wspomniał przypadkiem o depresji poporodowej, ale ten tylko popatrzył na mnie, jakbym przemówiła do niego po grecku.

- A co to takiego, do cholery? Jeden z tych wymysłów psychoanalityków, który ma usprawiedliwić kobietę zaniedbującą swoje obowiązki?

I matce, i Tripowi zbywało na wrażliwości i współczuciu. Taki drobiazg jak poród na poboczu drogi, o mały włos niezakończony śmiercią niemowlęcia, na oczach przerażonych dzieci, którym po tym przeżyciu przydałoby się ze dwadzieścia lat terapii, nie poruszył ich ani trochę. Pokiwałam tylko głową. Poproszę Millie, niech poszuka jakiegoś remedium.



Pojechałam do Charlestonu poszukać prezentu dla malutkiej Chloe i jakichś drobiazgów dla pozostałych dziewczynek. Dla Chloe znalazłam uroczą sukieneczkę z bawełny z Sea Island, blad różową, z ręcznie zdobionym staniczkiem, i pasujący do niej czepeczek. Dla dziewczynek mieli u Crogana perłowe kolczyki. Pani Ramsay pomagała mi wybierać: dla Caroline pięćmilimetrowe perełki, dla Isabelle sześć-, a dla Amelii siedmiomilimetrowe. Wszystkie zapakowała do prześlicznych, wykładanych aksamitem pudełeczek i kiedy czekałam, aż skończy, chwilę rozmawialiśmy o matce.

- Przekaż mamie moje pozdrowienia. Ona jest taka miła. Co teraz porabia?

- Och, nic specjalnego. Głównie zajmuje się rozpieszczaniem mojego synka i obdarowywaniem go wszystkim, co mu się tylko zamarzy.

Pani Ramsay roześmiała się.

- Pod tym względem nic się nie zmieniła. Zawsze była hojna wobec ciebie i twojego brata. . . . .

- Po zastanowieniu muszę przyznać pani rację.

- Wiedziałam, że poczuje się szczęśliwa, mając was w domu.

Zatrzymasz się na dłużej?

- Myślę, że tak.

- Każda matka jest najszczęśliwsza, kiedy otaczają ją dzieci.

Pozdrów ją ode mnie, *yanh*.

Opuszczałam sklep lekko zakłopotana, ponieważ była to prawda. Jeśli idzie o rzeczy materialne, matka nigdy niczego nam nie odmawiała. Z Erikiem postępowała teraz podobnie. Ubiegłej soboty Jenkins przyprowadził pod dom nowy rower górski dla Erica, przyniósł

łyżworolki, deskę i żaglówkę Sunfish. Eric był w siódmym niebie, a matka promieniała od czubka głowy po czubki palców, tak ją radowały własne ekstrawagancje. W Ericu znalazła nowy cel w życiu, kogoś, kogo postanowiła zasypywać prezentami niczym dobra wróżka. Dla mnie było to kompletnym zaskoczeniem. Zupełnie zapomniałam o matczynej hojności, ponieważ każdemu jej prezentowi towarzyszyła różga. *Nie zgub tej spinki! Eric, nie wychodź na dwór i nie zabij się na tym przypadku! Eric, nie szalej tak!*

Na Chapter Two znalazłam kilka książek traktujących o macierzyństwie wieku średniego oraz o przyczynach depresji poporodowej i kuracjach ziołowych, pomagających ją przezwyciężyć. Kupiłam Frances Mae najokazalszy zestaw kosmetyków do ciała, jaki udało mi się wyszukać u Saksa na King Street. Matce i Millie sprezentowałam po ogromnym flakonie Clinique Body Lotion. Po tym, co Millie uczyniła dla Tripa i dla Frances Mae, a matka dla mnie i Erica, uznałam, że im też coś się należy ode mnie. Tylko dla Tripa nie miałam jeszcze prezentu, więc wstąpiłam do M. Dumasa i wybrałam zabawny kapelusz rybacki. Razem wzięwszy, nieźle się sprawiłam, więc zadowolona ruszyłam ku domowi, zastanawiając się po drodze nad różnymi możliwościami, jakie ofiarowuje nam życie.

Oczywiście od razu przyszedł mi do głowy Richard. Nie zadzwonił. Jak mogłam być taka naiwna? Jego milczenie tylko pogłębiło moje najgorsze obawy, że seksualne fantazje znaczą dla niego więcej niż małżeństwo i rodzina. Jeśli był gotów z nich zrezygnować na rzecz częstszych odwiedzin w rozmaitych spelunkach i Lois świadczącej mu „publiczne usługi”, cóż mogłam na to poradzić?

Coś jednak uczynić mogłam. Mogłam zminimalizować poczucie zagubienia, jakiego doświadczał Eric, pomóc mu wyciszyć emocje, dowieść, że Richard zawsze go kochał i że kocha go nadal. Nie wiedziałam jeszcze, jak mam tego dokonać, ale na początek postanowiłam, że kilka razy w tygodniu o ustalonej porze będę łączyła Erica z Richardem przez telefon. Niech przynajmniej ze sobą porozmawiają. Może Eric pomoże Richardowi zrozumieć, co stracił.

I znowu moje serce wyrwało się w przestworza i zaczęło roić, że może Richard się zmieni, może zapragnie nas z powrotem. A przecież wiedziałam, że tak się nie stanie.

Kiedy samochodem matki zajeżdżałam pod dom, Millie już czekała na werandzie. Kolejna sprawa, którą musiałam załatwić -kupno samochodu. A może roczny leasing? W różowych promieniach popołudniowego słońca Millie prezentowała się isticie po królewsku. Ścinała kwiaty i jej koszyk wypełniały rozkwitłe gałązki fuksji i białe azalie.

- Hej, pomóc ci? - zapytała.

Sięgnęłam do bagażnika i zaczęłam wyjmować torby.

- Nie, dzięki. Gdzie Eric?

- Na rzece, łowi ryby z twoim bratem. Coś ty zrobiła, dziewczyno?

Wykupiłaś cały Charleston?

- *Yeah*, niemalże. A matka?

- Zabrała samochód Tripa i pojechała do Walterboro odwiedzić

Frances Mae.

- Biedna Frances Mae - powiedziałam, wchodząc za Millie do domu i zabierając po drodze sześć kopert i jakieś paczki, które przyszły pocztą.

- *Yanh*, daj to, pomogę ci. Dziecko wraca dziś do domu. A może szklaneczkę mrożonej herbaty? Co o tym sądzisz?

Opuściłam paczki na ławkę w holu i zaczęłam grzebać pomiędzy nimi w poszukiwaniu balsamu, który kupiłam dla Millie.

- Brzmi zachęcająco. Jestem wyschnięta na wiór. To mała Chloe idzie do domu? Czemu, u licha, Frances Mae nie nazwała tego dzieciaka jakoś inaczej? Miss Millie, to dla ciebie. Kupiłam ci prezent.

- Mnie o to nie pytaj. Może sądziła, że razem z imieniem gwiazdy filmowej dziecko od razu nabierze urody. - Obejrzała flakon, otworzyła i powąchała. - Pachnie pięknie. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziałam, idąc za nią do kuchni.

Millie wyjęła z lodówki herbatę w szklanym dzbanku i napełniła lodem dwie wysokie szklanki. Słuchałam grzechotania lodowych kostek, spadających jedna na drugą; za chwilę znikną, rozpuszczą się. Wyciągnęłam cukiernicę z szafki i postawiłam na stole. Millie uszczknęła kilka listków mięty z gałązki wetkniętej do słoika z wodą, stojącego na zlewie, i wrzuciła je do szklanek.

- Było do ciebie kilka telefonów - powiedziała, podsuwając mi jedną szklanekę. - Już słodzona.

Odstawiłam cukiernicę z powrotem na półkę.

- Racja, zawsze zapominam. Millie, czy od tego zielonego w herbacie dostanę halucynacji?

- To tylko mięta, *missy*. Chociaż z Millie nigdy nic nie wiadomo, o tym powinnaś pamiętać.

Podawała mi kartkę z zanotowanymi wiadomościami. Usiadłam przy stole i wychyliłam do dna zawartość szklanki. Millie napełniła ją ponownie.

- Dzięki - powiedziałam. - Faktycznie z tobą nigdy nic nie wiadomo.

- Zerknęłam na trzymaną kartkę. - Ruth Peretti, nauczycielka matematyki i przedmiotów ścisłych, Peter Greer, język angielski i języki obce, Joshua Welton, sztuka i terapia zajęciowa. Wszyscy telefonowali, aby potwierdzić swoje przybycie następnego dnia. - Świetnie! Zaczynam się urządzać, i to jest krok do przodu.

Stuknęłyśmy się szklankami.

- Jak najbardziej. Za wasz powrót do domu, *yanh*.

Upiłam potężny łyk herbaty i popatrzyłam na Millie, nakładającą na dłonie i ramiona szczodre porcje balsamu nawilżającego, od którego jej skóra nabrała teraz blasku niczym skóra młodej kobiety. Mimo swojego wieku była zdumiewająco piękna, zdumiewająco żywotna.

- Millie?

- No, co ci leży na wątrobie?

- Tak jakbyś sama nie wiedziała. Richard. On i ja. Może być łajdakiem, ale kocham go, i ty wiesz o tym. Boże, aż wstyd się przyznawać.

- Nigdy nie tłumacz się z tego, że kogoś kochałaś. Nawet szaleńca. Do każdego czajniczka wlewa się odpowiedni napój. Był czas, kiedy widziałaś w nim coś, co było warte twojego serca. Nie żałuj tego.

- Nie wiem. Sama usiłuję dociec, co w nim było takiego, co czyniło go w moich oczach tak pożądanym. Przede wszystkim intelekt. Wiesz, że zawsze polowałam na facetów z mózgiem.

- Ja też nie przepadam za bezmózgowcami. Chociaż odkąd mój Samuel zwał z tą idiotką z Augusty, nigdy do końca nie uwierzę, że mężczyźni w ogóle mają rozum.

Po raz pierwszy się zdarzyło, by Millie otwarcie przyznała, że mąż ją porzucił. Byłam tak zaskoczona, że pozwoliłam tej informacji przemknąć bez komentarza, myśląc tylko przelotnie, że w stosownym czasie wrócimy jeszcze do Samuela i jego dezercji.

- *Yeah*, to prawda. Popatrz na Tripa. Co to za małżeństwo? Jego pogardę dla Frances Mae można by niemal dźwignąć i wynieść z pokoju. Nie chciałabym takiego związku. A tatuś i matka? Przede wszystkim łączyło ich wspólne uwielbienie dla Lavinii. Ten model także nie jest w moim guście.

- Nie uczyłam cię przypadkiem, żebyś nie wyrażała się źle o matce?

- Och, nie chciałam, aby zabrzmiało to w ten sposób. Swego czasu wydawało mi się, że mnie i Richarda łączy coś wspaniałego i wyjątkowego i że oprócz niego nikt nie jest mi w życiu potrzebny. A potem urodził się Eric i wówczas już byłam przekonana, że mój świat jest spełniony i kompletny. Wierzyłam w to z całej mocy. Jak mogłam się aż tak bardzo mylić?

Millie sięgnęła przez stół i poklepała mnie po ręce.

- No, już wszystko dobrze. Chcesz jabłko?

- Tak. Ty wiesz, o co poszło, prawda?

Millie przemaszerowała przez całą kuchnię, opłukała jabłko pod zlewem i urwała z rolki papierowy ręcznik na skórki, po czym znowu usiadła przy stole i zaczęła obierać owoc, pogadując przy tym:

- Pojęcia nie mam, po co oni je woskują. Nie mam zamiaru jeść wosku. Wosk do pożywienia nie należy, nawet ja o tym słyszałam. - W końcu popatrzyła prosto na mnie i wypaliła: - Szaleństwo w dziale seks, mam rację?

- *Yeah*. A teraz dwie wiadomości, dobra i zła. Dobra, że nie szalał ze mną, zła, że szalał z Lois.

Millie zmarszczyła brwi i oparłszy się na łokciu, pochyliła się w moją stronę.

- I ty uważasz, że to było dobre? Postradałaś rozum czy jak?

- Żalotne, prawda?

- Dziewczyno? Czy ja nie dosyć cię uczyłam? Nie wiem, jakiego rodzaju szaleństwa masz na myśli, i nawet nie chcę wiedzieć. W dzisiejszych czasach ludzie za dużo mówią. Popatrz tylko, jakich idiotów robią z siebie przed kamerami telewizyjnymi. Gdzie się podział ich szacunek dla siebie samych? Świat zwariował, ot co.

- Tak, to prawda, ale naprawdę nie miałam zamiaru raczyć cię detalami. Aż taka niedyskretna nie jestem. - Ogarnęło mnie zażenowanie. Nie dosyć, że miałam kłopoty, to jeszcze tak upokarzającej natury. O właśnie, wracałam do domu poniżona, upokorzona, pokonana.

Millie siedziała, dotykając plecami oparcia krzesła i bębniąc palcami po stole. Wiedziała, jakie myśli krążą mi po głowie.

- Czuję, że gdzieś się tli - powiedziała.

Posługiwaliśmy się tym powiedzonkiem, ilekroć ktoś zbytnio pogubił się w rozmyślaniach.

- Nie wiem, Millie, nie wiem, co mam zrobić.

- Caroline, przecież ty już uczyniłaś to, co powinnaś była uczynić. Nie pozwoliłaś, abyście ty i twój syn tkwili uwikłani w dwuznaczną sytuację.

Podchwyciła moje spojrzenie i tak długo nie uwalniała moich oczu, aż przeniknęła do wnętrza mojej duszy.

- Nadal go kochasz, prawda?

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

- Oczywiście, że go Kocham. H Widziała, że jeszcze chwila, a zaczęła płakać.

- Wstawaj - powiedziała - wstawaj i chodź za mną.

Pomaszerowałam za nią na dwór niczym posłuszny pies. W milczeniu przecięliśmy trawnik i ścieżką wzdłuż rzeki skierowałyśmy się w stronę jej domku. Na samą myśl o tym, co Millie kryje w zanadrzu, każdy włos jeżył mi się na głowie. Otworzyła drzwi i zwróciła się ku mnie, stojącej za nią na ganku.

- Mam zamiar udzielić ci lekcji - powiedziała. Uśmiechała się. Przez chwilę pomyślałam, że chce mnie zrugać za grymaszenie i uzalanie się nad sobą.

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytałam, naprawdę całkowicie nieświadoma.

- Nie, dziewczyno, rzecz nie w tym, co zrobiłaś, tylko w tym, czego nie potrafisz zrobić. I tego właśnie zamierzam cię nauczyć -jak samej zatroszczyć się o siebie.

- Masz na myśli...

- Tak, *ma'am*. Uważaj tylko. Witamy w Szkole Magii Millie Smoak.



## **Dziennik Miss Lavinii**

*A może chcielibyście usłyszeć moje zdanie na ten temat? Pewnego dnia ktoś przeczyta te zapiski i wówczas wszyscy dowiedzą się tego, co ja wiem już od dawna, a mianowicie, że ignorując objawy i nie umiejąc rozpoznać, że poród się zbliża, Frances Mae dała kolejny dowód swojej całkowitej tępoty i skretynienia. Boże w niebiesiech, że też mnie to spotkało! Dziecko Wimbleyów przychodzące na świat w przydrożnym rowie. Czy nigdy nie będzie końca upokorzeniom, jakim to babsko poddaje reputację moich przodków? Chwała Najwyższemu. Gdyby Nevil żył, zaprawiłby łzami każdy nasz koktajl. A Caroline? Bez przerwy przesiaduje u Millie. Doskonale wiem, czym się tam zajmują. Igrają z ogniem, i tyle.*

*Wiem, co zrobię. Pogram sobie z Erikiem w jakąś grę komputerową. Albo może pobawimy się Sony Play Station. Uwielbiam Super Mario! Po prostu supergra.*

## Rozdział 31

### Voodoo 101

Niebawem w moim życiu nastąpić miała kolejna drastyczna zmiana, ale tamtego dnia nic jeszcze o tym nie wiedziałam. Jakby nie dosyć spotkało mnie do tej pory: odkrycie, że mój mąż okazał się zbrodniarzem, i powrót do Karoliny Południowej z ogonem podwiniętym pod siebie, żeby to wszystko przetrwać. Nie, zwyczajne życie odsłaniało zupełnie nową twarz, a codzienne rutyna okazała się czymś dziwnym i obcym.

Liczyłam na Millie - jedyną osobę w domu, która wydawała mi się normalna - że okaże się czymś w rodzaju katalizatora. Wyrosłam na stałej diecie jej zapatrywań, która w połączeniu z radami tej kobiety zawsze mi służyła. Teraz miałam się przekonać, że to, co przekazała mi dotychczas, było zaledwie pojedynczym drzewkiem w gęstym lesie jej wiedzy.

Znów siedziałam w kuchni Millie i znów rozmawiałyśmy o magii. Ona nalała do szklanki świeżej herbaty, postawiła ją na stole, po czym sięgnęła do półeczki za zasłonką, gdzie trzymała zioła, i zdjęła dwie buteleczki. Wyjęła z szuflady zakraplacz, przysunęła sobie krzesło i usiadła tuż przy mnie.

- A teraz popatrz tylko, *yanh* - zaczęła - w tej buteleczce mam wodę z powojnika, a w tej z białego kasztana. Obie nierozcieńczane. Zaraz do twojej herbaty dodamy po dwie krople każdej z nich. Kasztan sprawi, że przestaniesz się martwić i wzmocnisz swój umysł, a dzięki klematisowi skupisz się na rzeczach istotnych i nie będziesz się rozpraszać.

- Mówisz serio? - Tak naprawdę do głowy przychodziło mi tylko jedno: O Boże, naprawdę nie jestem teraz w nastroju do tych głupstw.

- Tak serio, jak tylko potrafię. Uprawiam i zbieram zioła, a oprócz nich używam też kwiatów i gałązek niektórych drzew. Ludzie przychodzą do mnie z najrozmaitszymi problemami, a kiedy mnie zabraknie, zaczną przychodzić do ciebie. Ty przekażesz swoją wiedzę komuś innemu, a on znowu komuś innemu, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Twarz miała tak poważną, że poczułam lęk.

- Boże drogi, Millie, czy ty umrzesz?

- Co takiego? - Parsknęła śmiechem. Jej śmiech brał swój początek od dużych palców u nóg, a potem przetaczał przez całe ciało. Podniosła się z miejsca, odrzucając do tyłu głowę i waląc się rękami po udach. Szurając stopami po podłodze, dosłownie zataczała się po kuchni, zanosząc się od śmiechu i powtarzając: - O Boże, o mój Boże. - Nie wytrzymałam i zawtórowałam jej. - Jej się wydaje, że ja znam boskie plany. A to dobre, a to dobre.

- To znaczy, że nie umrzesz? - Z poruszenia szczęki wywnioskowałam, że zaraz czeka mnie dłuższe kazanie w gullah.

Jej śmiech potoczył się niczym grzmot. Nie sądziłam, że w tak niewielkiej osóbcie może zmieścić się aż tyle hałasu. Wreszcie oparła się o zlew, trzymając się za bok, i otarła oczy grzbietem dłoni.

- Skarbie - powiedziała pomiędzy jednym i drugim *oooch* - czy ty myślisz, że gdybym znała boże zamysły, rozmawiałabym o nich z taką zakutą pałą, jak ty? Pudło. Nikt nie może twierdzić, że wie, co się dzieje w umyśle Boga. Jeśli ktoś utrzymuje, że wie, bluźni! Bóg nie zabierze mnie nigdzie, dopóki nie przekażę wszystkiego, co sama wiem.

Ilekcóż coś ją rozbawiło albo zdenerwowało, zaczynała mówić w gullah.

- Millie, zawsze uważałam, że ty wiesz wszystko.

- No i błąd, dziewczyno. Z pewnością nie wiem wszystkiego.

Bomba, to było świetne. Oczyszcziło moją duszę. - Wyjęła z szuflady notes i ołówek i wręczyła mi. - Najlepiej wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy od razu na wstępie. To jest twój notes. Nie zgub go. Notatek nie dawaj nikomu do czytania. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam. - Jak ja mogłam wpakować się w coś takiego?

- Po pierwsze, jesteś czeladnikiem, a to oznacza, że masz się uczyć.

To, czego Millie ma zamiar cię nauczyć - oczywiście, jeśli się przyłożysz i nie będziesz gadała głupot, tak żebym kulała się ze śmiechu po podłodze - to jak posługiwać się siłami natury, by uleczyć siebie i innych. Odkryjesz, co dobry Pan chce ci przekazać przez rytuały. Poprzez przodków będziesz rozmawiała z Wszechmogącym, a przede wszystkim poświęcisz swoje życie czynieniu wyłącznie dobra.

- Domyślałam się, że już nawet odłamki twoich nauk sprawią, że Richard wyjdzie na autostradę międzystanową i poczołga się z Nowego Jorku prosto do Wysokich Sosen, błagając mnie o wybaczenie, prawda? Ty zdajesz się mówić całkiem poważnie, zgadłam?

- W życiu nie byłam poważniejsza. Pij swoją herbatę i nie zawracaj sobie głowy Richardem.

- Jasne, po prostu wyrzucę go ze swojego serca, o tak. - Strzeliłam palcami dla podkreślenia swoich słów.

- Nie to miałam na myśli. Chcę powiedzieć, że jeśli zaczniesz przestrzegać wszystkiego, czego mam zamiar cię nauczyć, rozwiązanie wszystkich twoich problemów z Richardem stanie się dla ciebie jasne jak słońce.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Z pewnością się nie mylę.

Millie usiadła naprzeciwko mnie, z powagą przypatrując się mojej twarzy. Zupełnie jakby zastanawiała się, czy jestem warta jej wysiłku. Cóż, własnych dzieci nie miała, więc ja wydałam się najlepszą kandydatką. Westchnęła głęboko, dając mi do zrozumienia, że wie, o czym myślę, niechętna i oporna, i że akceptuje moje stanowisko.

- Caroline, może upłynąć rok albo i dwa, zanim wiele z tych rzeczy nabierze dla ciebie sensu. Powiedz mi, w co ty wierzysz?

- Zdaje się, że pozostanę w niewiedzy przez dłuższy czas, *yanh*. W co ja wierzę? Cóż, Millie, to złożona kwestia. Wierzę w Boga, jeśli o to pytasz.

- Tak, dokładnie o to. Ale dlaczego wierzysz?

- *Gosh*. - Possalam dolną wargę, usiłując uporządkować myśli. - No tak, po pierwsze, człowiek jest najwyżej rozwiniętą istotą, jaką znamy.

- Może.

- To niemożliwe, abyśmy akurat my stali na najwyższym szczeblu drabiny. Byłoby wielką arogancją utrzymywać, że tak właśnie jest, nie sądzisz? Zawsze uważałam, że musi istnieć coś tajemniczego, coś wielkiego, coś odmiennego, rozumiesz? Na uczelni studiowałam religie świata. Te powszechne i te o niewielkim zasięgu, hermetyczne. To, co dla ludzi święte, bywa fascynujące, nie uważasz?

- Nic bardziej fascynującego po prostu nie istnieje. Siedziała na wprost mnie, a na jej twarzy rozlała się teraz ulga przemieszana z nadzieją. Kiedy Milli zabraknie, coś po niej pozostanie - wiedza, którą teraz gotowa była ofiarować mnie. Zdawałam sobie sprawę, jak szczodry jest to dar, a

jednak coś się we mnie wzbraniało przed jego przyjęciem. Wcale nie byłam przekonana, że pragnę zostać kolejną zielarką voodoo czy kimś, na kogo chciała mnie wykierować. Taka perspektywa bynajmniej mnie nie pociągała. Czułam jednak, że szacunek dla Milli nakazuje mi jej wysłuchać. Jeśli tylko usłyszę coś, co okaże się sprzeczne z moją wiarą albo czego nie zrozumie, od razu jej to powiem. Największy problem polegał na tym, że Millie chciała, aby propozycja nauki wyszła ode mnie, abym ja sama zapragnęła się od niej uczyć. Pod tym względem ledwo prześliznęłam się przez test.

Odkąd pamiętam, fascynowali mnie bogowie i boginie ife, ale akceptowałam ich wyłącznie jako część jej religii. W swoim życiu nie odczuwałam najmniejszej potrzeby rytuału. Boga szukałam w innych ludziach, a także w sobie samej. Nie miałam afrykańskich korzeni. Byłam biała, tak jak to tylko możliwe. Jak więc miałabym odprawiać rytuały? Czułabym się jak głupiec, jak szalbierz. I kiedy spoglądałam na Millie, wiedziałam, że ona o tym wie. Tę przeszkodę musiałyśmy jakoś przeskoczyć.

- Caroline? Z twojej twarzy mogę wyczytać, co teraz myślisz.

- Nienawidzę tego - powiedziałam. Millie przełknęła ślinę i mówiła dalej.

- Słuchaj, chodzę po tym świecie ładnych parę lat dłużej niż ty i być może dzięki miejscu, w którym przyszło mi żyć, nauczyłam się rozumieć pewne zjawiska, ogarnąć je.

- *Yeah*, ten zakątek świata ma swoje sposoby, aby nauczyć człowieka pewnych rzeczy.

- A najważniejsze, czego się w życiu nauczyłam, to to, że kiedy ludzie przestają rozumieć i akceptować pewne prawdy, wówczas zaczynają chorować. Każdy człowiek, my wszyscy, stanowi część wielkiego, wszechpotężnego Boga. Kiedy mężczyźni i kobiety zbyt wbijają się w dumę, kiedy kieruje nimi skąpstwo, małostkowość i egoizm, wówczas zaczynają ich trapić choroby. A wszystkie błędy biorą się z nadmiernego skupienia się na sobie.

- *Yeah*, z pewnością wiele wad wynika z nadmiernej miłości własnej, ale wcale nie jestem przekonana, że można od nich zachorować.

- W porządku. Na razie załóżmy po prostu, że tak się dzieje, zgoda? Na kilka chwil dosłownie.

Z mojej miny musiała wyczytać, że przyjmuję to założenie, bo mówiła dalej. Odsunęłam krzesło i oparłam się o ścianę.

- Popatrz, jeśli Bóg istnieje, to przede wszystkim musimy zadać sobie pytanie, dlaczego znaleźliśmy się na ziemi, tak?

- Dobre pytanie. - Wymierzyłam w nią palec.

- Cóż, odpowiedź jest warta miliona dolarów. Twoja dusza stanowi część boskiej istoty, czy tak? Bóg istnieje w tobie, zgadzasz się?

- Zgoda, kupuję.

- A twoja intuicja podpowiada ci, że istnieje jakieś życie poza tym tutaj, ziemskim, tak?

- Tak, zdecydowanie tak. Wystarczy, kiedy pogasną światła, spojrzeć w niebo pełne gwiazd. Człowiek zaczyna czuć się wówczas niczym małeńki orzeszek.

- A widzisz. Nasza dusza, czy też Bóg w nas, wie, czego potrzebujemy. Zsyła nas na ziemię, w jakieś konkretne miejsce, byśmy tam

nabrali wiedzy i doświadczenia, potrzebnych nam, byśmy później mogli na powrót stać się częścią Boga w raju. Czy nie na tym polega komunია, zjednoczenie się z Bogiem?

- Tak, zawsze wierzyłam, że wszystko dzieje się w jakimś określonym celu.

- O tym właśnie mówię. Kłopoty zaczynają się wówczas, kiedy próbujemy się oddalić, zerwać z tym, co przeznaczył dla nas dobry Bóg, przemawiający w nas tym ledwo słyszalnym głosem, zwanym przez nas sumieniem.

- No dobrze, kupuję twój towar. Na razie.

- Świetnie. Ale nie musisz od razu rzucać się w to wszystko głową naprzód. Do wniosków musisz dojść sama, poszukać własnej drogi. Spróbuj popatrzeć na to w ten sposób. Bóg ma wobec nas swoje plany. Zapominamy o nich, zapatrzeni w siebie, zajęci wyłącznie sobą. Czas ucieka i często przydarza nam się coś, co sprawia, że czujemy się nieszczęśliwi, żałujemy, że postąpiliśmy tak, a nie inaczej.

- Czasami czuję się, jakby świat zakładał mi blokadę, kiedy zbyt wbijam się w dumę.

- Albo spuszczał zimny prysznic prosto na głowę, *yanh*? Jeśli chorujesz, musisz odpoczywać, jeśli odpoczywasz, musisz myśleć. Jeśli jesteś zmuszona do myślenia o tym, co uczyniłaś, powoli uświadamiasz sobie, że działasz wbrew temu, czego Bóg dla ciebie pragnie. Rozumiesz, co mam na myśli? Zbaczanie z wytyczonej ścieżki czyni człowieka nieszczęśliwym.

- Ale co dokładnie usiłujesz mi przekazać? To znaczy, nie twierdzę, że nie zgadzam się z tym, co powiedziałaś do tej pory.



- Chcę ci przekazać, że życie zostało nam dane po to, byśmy służyli Bogu, a nie sobie samym. Kiedy służymy bliźniemu, z rozwagą, współczuciem, miłością, kiedy wsłuchujemy się w głos naszego sumienia, służymy jednocześnie naszym własnym duszom i Bogu. Mówiąc krótko - życie to służba, i to właśnie mamy w życiu czynić.

- Czy jeśli przyswoję sobie twoje nauki, pomogą mi one wspomóc Erica?

- Oczywiście, że ci pomogą. - Millie wyciągnęła rękę przez stół i nakryła moją dłoń. - Oczywiście, że tak - powtórzyła. - I dzieciom innych matek, i tym, którzy się smucą, którzy są w żałobie, starcom udęczonym strachem, i jeszcze wielu, wielu innym. Ich lista jest równie długa, jak moje włosy. To, co robię, najczęściej polega na pomaganiu ludziom, by uzdrowili się sami.

- Jezus! Szafka z ziółkami. Niechby tak Richard się o tym dowiedział! A na Frances Mae nie masz przypadkiem czegoś w swojej cennej szkatułce?

- Z nią jest prawdziwy kłopot. Przede wszystkim ludzie sami muszą pragnąć się poprawić.

- No tak, Frances Mae natomiast to najbardziej zadowolona z siebie debilka, jaką kiedykolwiek znałam. - Upiłam łyk herbaty i nagle uświadomiłam sobie, że smakuje tak jak zwykle. Ziółka zupełnie nie wpłynęły na jej smak.

- Millie, czyś ty dodała tych kropel?

- Na Boga, nie, nie miałam nawet czasu na takie głupstwa. To przecież zwyczajne Bach Flower Remedies, nic innego.

- Zwyczajne co?

Millie wzniosła oczy do nieba i pokręciła głową.

- Nigdy nie byłeś w sklepie ze zdrową żywnością?

- No pewnie, że byłam. Bez przerwy tam biegam. - Musiałam chyba wyglądać w tym momencie jak kompletny matoł.

- No to wiesz, że można w nich dostać takie małe póleczki, podobne do tych na przyprawę, mieszczące trzydzieści osiem niewielkich buteleczek, zawierających esencje kwiatowe. Tak, najczęściej są to esencje kwiatowe.

- I do czego to służy? Przecież niektóre kwiaty są trujące, prawda?

- O Boże, dziewczyno! No dobrze, zacznijmy od Bach Remedies. Tyle jeszcze muszę ci pokazać. - Wstała i ponownie odsunęła zasłonkę skrywającą rząd flakoników. - Zawartość każdego z nich służy czemuś innemu. Kiedy ktoś choruje, najpierw musisz zająć się jego umysłem, ustalić, w jakim stanie psychicznym się znajduje. I to właśnie umysł leczysz. Te ingrediencje oddziałują na ludzkie uczucia i ducha.

- A czy przypadkiem rozmaitych stanów emocjonalnych nie jest więcej niż trzydzieści osiem?

- *Yeeeah!* Brawo, dziewczyno, wyśmienicie. - Podeszła do mnie i poklepała mnie po ramieniu. - Masz ab-so-lut-ną rację. A zatem musisz się nauczyć mieszać je ze sobą.

- No dobrze. - Poczułam się odrobinę podniesiona na duchu, choć nadal nie mogłam sobie wyobrazić ludzi ustawiających się w kolejce pod moimi drzwiami w oczekiwaniu na kurację. Wstałam z miejsca, żeby dokładniej przyjrzeć się buteleczkom. - W jaki sposób się je uzyskuje?

- Bardzo prosto. Bierzesz kwiat, wkładasz do naczynia z wodą, wystawiasz na słońce. Woda wyciąga esencję z płatków, a parowanie ją

zagęszcza. Wlewasz to do buteleczki, dodajesz alkoholu jako konserwantu. Kropłomierzem odmierzasz odrobinę do napoju i wypijasz. Potrafi działać cuda.

- Hmh - mruknełam.

- Jakbym słyszała siebie samą.

Przez następnych kilka godzin Millie objaśniała mi działanie każdej esencji, a ja wszystko pilnie notowałam.

- Jeśli nie chce ci się iść do sklepu, możesz je zamówić przez Internet - dodała, dyktując mi adres strony www.

Otwierała po kolei wszystkie flakoniki, abym mogła powąchać ich zawartość, a po każdy sięgała z takim namaszczeniem, jakby stanowił przedmiot kultu religijnego. Niektóre zapachy były słodkie, inne kojarzyły się z lekarstwami. Podejrzewałam, że w rękach Millie wszystkie miały wielką moc.

Jednocześnie przez cały czas opowiadała mi historie rozmaitych wyleczeń. Pewna kobieta odczuwała niczym nieuzasadnione stany lękowe. Trzy krople esencji osikowej w soku pomarańczowym rano, trzy w popołudniowej herbacie, trzy w wodzie wypijanej przed zaśnięciem wypłukały wszelkie jej obawy.

- Millie?

Odstawiła buteleczki, notując, które wymagają uzupełnienia.

- Potrzebna mi woda fiołkowa - mrukneła. - No co?

- Pamiętasz dzień, kiedy umarł tatuś?

Przerwała zapisywanie i odwróciła się do mnie. Twarz miała bardzo poważną.

- Jakże mogłabym zapomnieć?

- Pamiętasz, jak mama się zmieniła w ciągu jednej nocy? Jaka niedobra zrobiła się dla mnie i dla Tripa? Jak nas ignorowała? Jak krytykowała każde nasze posunięcie?

- Nie mogła nic na to poradzić, Caroline, pamiętaj o tym.

- A pamiętasz, jak potem Trip i ja pojechaliśmy do szkoły, a ona zaczęła szaleć?

- A, to już była moja wina. - Millie skrzywiła wargi w grymasie. - Ta ilość ziela świętojańskiego, jaką jej zaaplikowałam, mogłaby doprowadzić do szaleństwa i dziesięć kobiet.

- Boże wielki, Millie, przecież ono działa jak prozac. Wiedziałaś o tym już w 1974 roku? To zdumiewające. Teraz przestaję się dziwić...

- Pudło. Wiedziałam o tym już w latach pięćdziesiątych. Ale, *yeah*, to było straszne. Z pewnych rzeczy nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie przyłapałam jej w łóżku z doręczycielem paczek. Tylko przypadkiem niech ci się przy niej nie wypsnie, że ci o tym powiedziałam. Z miejsca bym się wyparła, przysięgłabym, że łżesz.

- Z doręczycielem, Millie, Boże drogi.

- *Yeah*, właśnie. Używali co niemiara. Była rozświergolona jak skowronek, ale po tym wyczynie od razu zmniejszyłam jej dawkę.

- Dobrze zrobiłaś. Wprost nie mogę uwierzyć, że nakarmiłaś matkę zbyt dużą dawką. - Moja twarz spurpurowiała. O Jezus.

- Słuchaj, ona miała zabawę, a ja nie jestem nieomylna.

- Stara wariatka z ciebie. No, ale na mnie już czas. Matka gotowa pomyśleć, że znowu wywiało mnie z domu.

- Niedługo też przyjdę - pożegnała mnie Millie. Wracałam brzegiem rzeki, przypatrując się popołudniowemu

słońcu, roztańczonemu na powierzchni wody. Pograżona w myślach, doszłam aż do przystani i zatrzymałam się, oparta o poręcz. Woda poruszała się tak celowo. Ona wiedziała dokładnie, jaką misję ma do spełnienia; rwała bystro i pewnie, nigdy nie oglądając się za siebie.

Chwilę igrałam z myślami i w końcu doszłam do wniosku, że na razie wkroczę na ścieżkę Millie i zobaczę, dokąd mnie ona zaprowadzi. Tu, na wsi, gdzie ludzie chełpili się starodawnością swoich postrzępionych perkali i spłowiłych obić, byłoby wręcz niemożliwe pracować jako dekoratorka wnętrz. Tak, dni mojej kariery zawodowej należały już do przeszłości, chyba że przeprowadziłabym się do Charlestonu. Do tej pory, jeśli pominąć moją rozmowę z Miss Nancy, nie myślałam o tym, że mogłabym się znaleźć gdzieś poza Wysokimi Sosnami. Dobrowolnie dałam się utulić plantacji i pozostawałam w jej objęciach niczym dziecko w kołysce. Przelotnie pomyślałam, że na razie zorganizuję dla Erica domowe nauczanie, a wyprowadzimy się na jesieni. Lato to najwspanialsza pora w Wysokich Sosnach. Nie ma sensu od razu stąd uciekać.

Ale skoro nie wybierałam się do Charlestonu, by tam odbudowywać swoją niezależność, musiałam znaleźć dla siebie jakieś zajęcie, wypełnić czymś czas. Pieniądzy nie potrzebowałam więcej, niż obiecał przysłać Richard. Po raz pierwszy w życiu nie miałam żadnych wydatków! To może być bardzo interesujące, pomyślałam.

Odkąd sięgałam pamięcią, Millie zawsze kojarzyła mi się z czarownicami z Makbeta. *Słuchaj, słucha, trudź się, dmuchaj*. Nie, to nie tak. Millie była przede wszystkim homeopatką. No, może niezupełnie homeopatką, ale jak dotąd, nie uraczyła mnie niczym niezwykłym ani

odstręczającym. Nie kazała mi pić krwi ani nic takiego. A więc kto wie? Może z czasem przekonam się do jej wiary. Na razie nie wiedziałam wystarczająco dużo, żeby wydawać opinie.

Homeopatia. Gdybym zdołała się jej wyuczyć, z pewnością posłużyłaby Ericowi lepiej niż ritalin. Pomogłabym mojemu synowi w osiągnięciu koncentracji, a oprócz tego - kto wie - może udałoby mi się także naprostować innych członków rodziny. Bóg jeden wie, jak bardzo tego potrzebowali. Skarciłam się za te krytyczne myśli. Czyż przed chwilą nie gotowałam się ze złości na wspomnienie, jak bardzo krytyczna potrafiła być matka? Ile z niej tkwiło we mnie? Jak wiele cech, które w niej nienawidziłam, potrafiłabym odnaleźć u siebie?

Millie powiedziała, że życie to służenie innym. To było trudne, nawet bardzo trudne. Dopiero zawirowałoby jej w głowie, gdyby ogarnął ją szaleńczy, triumfujący, pochłonięty wyłącznie samym sobą podmuch, pędzący kanionami New York City - wśród bezlitosnych transakcji finansowych na Wall Street, zaciętej rywalizacji, połączonej z podgryzaniem sobie gardeł na Madison Avenue, kręgu oszustwa i nieuczciwości wokół Seventh Avenue. Monstrualnie rozdęte firmy prawnicze, reprezentujące zwalczające się przedsiębiorstwa, wirtualne wojny między zyskiem a uczciwością. Wszystko dla pieniędzy, pozycji i władzy. Nic z łagodności Woodstock.

Tak, wiele jeszcze musiałam przemyśleć. Z dala od zgiełku i blichtru Nowego Jorku prawdziwy obraz tego miasta coraz wyraźniej rysował mi się przez zasłonę pozorów. W głębi serca zawsze wiedziałam, że Manhattan nie jest miejscem dla takiego chłopca, jak Eric. Muzea były

wspaniałe, owszem, ale przecież mogłam zabierać go tam choćby i kilka razy do roku. W końcu Charleston miał lotnisko.

W Wysokich Sosnach powinnam skoncentrować się na moim synu, otoczyć go opieką, odsłonić przed nim wszystko, co stanowiło o niepowtarzalności życia w Lowcountry. Przecież matka i Trip także pragnęli wskazać Ericowi jego miejsce na ziemi. To dlatego Trip zabierał go na ryby, a matka zasypywała gradem prezentów.

A Richard? Czy mimo tego, co się wydarzyło, nigdy nie przestanę go kochać? Pragnęłam, aby nasze życie ułożyło się inaczej, ale przecież nie byłam w stanie niczego zmienić. Obdarzył mnie Erikiem. Nigdy nie potrafię go znienawidzić. Po prostu nie chciałam być jego żoną, dzielić jego hedonizmu. Czy nie miałam prawa do własnej drogi do szczęścia?

Zaczęłam się zastanawiać, co uczyniłoby mnie szczęśliwą.

W moim małżeństwie funkcjonowałam niczym chomik na kołowrotku - codziennie te same, powtarzające się czynności - to nikomu nie mogło służyć, mnie także nie. Albo Eric. Ciągłe w biegu i w biegu. Dokąd? Miałam wiele do przemyślenia. Nie dosyć się starałam, nie dosyć baczyłam, w jakim kierunku toczy się moje życie. A może problem polegał na czymś innym - może zbyt długo trzymałam się na uboczu, przystając gdzieś na obrzeżach własnego życia, nie żyjąc tak naprawdę, nie należąc nigdzie i do nikogo? Chowając się za Erica, starając się nie upodobnić do własnej matki.

Niebo rozżarzyło się czerwienią, a mnie ogarniał coraz większy zamęt. Jezus, Caroline, pojękujesz niczym kiepska ballada country, skarciłam samą siebie. Co twój tata by na to powiedział? Jeszcze przez kilka chwil stałam na nabrzeżu, obserwując słońce chowające się za

drzewami na przeciwległym brzegu. Nigdy nie czułam się tak samotna, jak w tej chwili, więc zaczęłam sporządzać rachunek sumienia, żeby znaleźć przyczynę takiego stanu. Jaką córką byłam dla matki? Znośną. Siostrą dla Tripa? Nie najgorszą. Mniejsza z tym, jaką ciotką byłam dla moich siostrzenic albo szwa-gierką dla mojej bratowej, tej dziwki z piekła rodem. Niezbyt kochaną. Żyłam wygodnie i przytulnie, schowana w kokonie macierzyństwa, oddalona o siedemset mil. Od czasu do czasu tylko wpadałam do domu i z punktu zaczynałam wszystko krytykować. Naprawdę mogłabym prowadzić pełniejsze, samodzielniejsze życie niż ta jałowa, bezkształtna wegetacja, jaką zostawiałam za sobą.

Millie miała rację. Jeśli zacznę wypełniać obowiązki wobec rodziny i wobec siebie samej, może znajdę w życiu szczęście i cel. Kęś na ząb za ten pomysł. Nie, wróć, szczerze zastawiony stół za taką myśl.



## **Rozdział 32**

### ***Powrót do punktu wyjścia***

#### ***Wtorek***

Gdy następnego dnia, punktualnie z wybiciem dziewiątej, zabrzmiał dzwonek u drzwi, zwiastujący przybycie nauczycielki matematyki i przedmiotów ścisłych, Ruth Peretti.

- Cześć, wejdz, proszę - przywitałam ją, przytrzymując drzwi.

- Z pewnością pani Levine - powiedziała, wyciągając rękę.

- Tak, ale, proszę, mów mi po imieniu. Caroline. Podałyśmy sobie dłonie. Kiedy przechodziłyśmy do salonu, przyglądałam jej się bacznie. Wyglądała doprawdy olśniewająco. Miała dobrych pięć stóp i jeden cal wzrostu, rude włosy, zaczesane do tyłu i spięte kłamrą, a ubrana była w spodnie khaki i błękitną bluzkę; biały sweter zawiązała wokół ramion. Ile mogła mieć lat? Pewnie koło trzydziestu.

- W takim razie - Rusty. Wszyscy przyjaciele tak się do mnie zwracają. Oczywiście z powodu włosów.

- Domyślam się. Herbaty?

- Dziękuję, chętnie się napiję.

Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia, i to bardzo. Była wystarczająco dojrzała, by posiadać pewne doświadczenie, a oprócz tego cechowała ją żywa osobowość i uroda. Ericowi na pewno się spodoba. Nalałam herbaty i podałam jej szklanekę.

- Siadaj, proszę - powiedziałam - i opowiedz mi coś o sobie. W jaki sposób zostałam prywatną nauczycielką?

- Dziękuję - odparła, siadając z gracją na sofie. - Przez osiem lat uczyłam w szkole w Walterboro, na zastępstwie. Problem w tym, że średnia wieku kadry wynosi tam pięćdziesiąt lat, więc żadne miejsce w najbliższym czasie się nie zwolni. Kwestia popytu i podaży. Tak więc zostałam prywatną belferką. Szczerze mówiąc, bardziej mi to odpowiada niż siedzenie w klasie.

Jej zielone oczy zamigotały prawdziwą wesołością. Oto miałam przed sobą kogoś, kto lubił swoje życie i swoją pracę.

- Dlaczego?

- Kiedy nauczasz dziecko indywidualnie, masz je w swoich rękach. Domowy program jest bardzo elastyczny. Możesz szukać różnych rzeczy w Internecie i stworzyć własną stronę www z linkami do całego świata. Możesz pójść z uczniem do biblioteki, odbyć wycieczkę w plener w poszukiwaniu okazów na lekcję przyrody. Przy ładnej pogodzie można uczyć się na dworze, a lekcję astronomii przeprowadzić w nocy z teleskopem.

- Eric jest zafascynowany konstelacjami.

- Ile ma lat?

- Niebawem skończy dwanaście. Jest przesłodka.

Rusty powiedziała mi jeszcze, że posiada kwalifikacje do uczenia dzieci z dysleksją. Jej młodszy brat był dyslektykiem, co wcale mu nie przeszkodziło zostać weterynarzem. Żaden wielki problem, po prostu zmiana stylu nauczania.

Punkty za właściwe podejście.

- A jaką matematyką się posługujesz?

- Standardową - tą staroświecką. Te wszystkie nowe systemy wprowadzają tylko zamęt, zamiast rozjaśniać dzieciakom w głowach.

- Szkoła chicagowska!

- No właśnie. Boże, toż to klęska. Wiem to jeszcze z czasów, kiedy sama chodziłam do szkoły, że bez porządnych podstaw daleko się nie zajedzie. Najpierw solidny fundament i dopiero potem można poszaleć.

- Pozwalasz swoim uczniom używać kalkulatorów?

- Tylko wówczas, kiedy potrafią na wyrywki recytować podstawowe reguły matematyczne i znają je równie dobrze jak swoje własne imię i nazwisko.

Świetnie, raz, dwa, trzy. Zatrudniłam ją bez wahania. Eric będzie ją uwielbiał. Ja już ją uwielbiam. Czterdzieści dolarów za godzinę. Od tej kobiety Eric przynajmniej się czegoś nauczy. Pokazałam jej podręczniki i zeszyty Erica. Rusty, rudowłosa, długonoga nauczycielka matematyki i przedmiotów ścisłych przyjęła moją propozycję. Od najbliższego poniedziałku miała zacząć. Sześć miesięcy nauki z nią i będzie z Erica drugi Einstein.

Z wybiciem trzeciej ponownie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Peter Greer, nauczyciel języków.

- Dzień dobry - przywitałam go. - Jestem Caroline Levine, matka Erica. Pan Greer, jak przypuszczam?

Pan Greer przełożył aktówkę do drugiej ręki i podaliśmy sobie dłonie. Pod każdym względem zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen z Południa. Nalegał, bym szła przodem, zamykał za mną drzwi. Miał idealnie odprasowany brązowy garnitur, wypolerowane brązowe spinki, białą koszulę i niewielką muszkę. Zza rogowych okularów spoglądały

niebieskie oczy, pełne cierpliwości i zrozumienia. Domyślałam się, że zbliża się do siedemdziesiątki i jest na emeryturze.

Nasza rozmowa miała ten sam rutynowy przebieg, co wywiad z Rusty. Pan Green okazał się uroczym, przemiłym człowiekiem.

- Tak więc był pan inspektorem szkół średnich w Charlestonie?

- Istotnie, od wieków, jednak moją prawdziwą pasję stanowiło układanie programów nauczania.

Właśnie miał mnie wprowadzić w szczegóły, kiedy w holu pojawiła się matka. Weszła do pokoju, a wówczas pan Greer zerwał się na równe nogi, omal się przy tym nie przewracając. Matka nie mogła oderwać od niego oczu. Był czarujący - nawet ja musiałam to przyznać.

- Mamo, to jest pan Greer. Rozmawiamy o nauce Erica, o angielskim i językach.

- Niezmiernie mi miło pana poznać, panie Greer. - Matka wyciągnęła do niego rękę, powolnym, świadomym ruchem, on zaś odchrząknął i jął rozważać, czy już ma się oświadczać. Podobną scenę oglądałam milion razy. Kiedy matka uruchamiała program z Miss Lavinia, nie było mocnych.

- Iloma językami pan włada?

Pan Greer zastygł w czymś w rodzaju transu, nie wypuszczając jej ręki ze swojej dłoni. W końcu jednak udało mu się jakoś odzyskać mowę.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Peter.

- Języki?

Matka wzniosła oczy do góry i zatrzepotała rzęsami. Wydało mi się to wprost niewiarygodne, by w dzisiejszych czasach kobieta w jej wieku mogła trzepotać rzęsami, nie wywołując w mężczyźnie salwy śmiechu

prosto w twarz. Pan Greer nie roześmiał się jednak, tylko wpadł w trans zbliżony do katatonii.

- Mamo!

Wreszcie uwolnił jej dłoń, odchrząknął ponownie i - chwała Bogu - pozbiierał się jakoś.

- Pani Levine, biegle władam siedmioma...

- Peter, nie jestem panią Levine. To nazwisko nosi moja córka. Ja jestem Lavinia Boswell Wimbley i proszę, abyś mówił mi po imieniu.

Dalszy ciąg interview diabli wzięli. Mówił jej po imieniu - Lavinio, a jakże - przez całe popołudnie. Razem udali się do ogrodu; ona trzymała go pod ramię. Nie pozwolił jej usiąść na ogrodowej ławeczce, dopóki nie przetaił siedzenia płócienną chusteczką. Zanim ostatecznie zniknęli mi z oczu, dojrzałam jeszcze, że kierują się w stronę kaplicy na urwisku, niosąc koszyki piknikowe. Spoglądałam za nimi przez kuchenne okno. Millie siedziała przy biurku, przeglądając rachunki.

- Millie, podejdź no tutaj, *yanh*. Podniosła głowę.

- Czego ty ode mnie chcesz? - zaczęła gderać. - Mam robotę. Usiłuję rozprawić się z tym rachunkiem telefonicznym. Naszpikowany połączeniami z 0-900, a przecież nie wyobrażam sobie... - Wyjrzała przez okno i zobaczyła matkę i pana Greera, sunących w lansadach przez trawnik.

- O Jeezu.

- Trafiony jednym strzałem - skomentowałam.

- Hm - mruknęła z zastanowieniem - nie ma większego głupca niż stary głupiec.

- Kogo masz na myśli? Matkę czy pana Greera? Roześmiałyśmy się serdecznie.

- Och, czyż to nie wszystko jedno - westchnęła Millie.

- Wszystko jedno - zgodziłam się.

Dochodziła piąta, a Joshuy Weltona, z którym umawiałam się na czwartą trzydzieści, ciągle nie było widać. Trochę mnie to poirytowało. Miał takie wyśmienite cv. Postanowiłam nie skreślać go jeszcze zupełnie, dopóki nie dowiem się czegoś o przyczynach spóźnienia. W końcu mógł najzwyczajniej w świecie złapać gumę. Odkąd ludzie wsiedli do samochodów, takie przypadki się zdarzają.

Byłam na piętrze, kiedy zabrzmiał dzwonek. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam starego, białego triumpha TR6, kabriolet. *Cool*. Millie otworzyła drzwi i - jak się mogłam domyślić - wprowadziła jego właściciela do salonu. Pociągnęłam wargi błyszcznikiem i zbiegłam po schodach na jego spotkanie. Odwrócony do mnie plecami, tkwił nieruchomo przy drzwiach, wpatrzony w portret jednego z moich przodków. Dredy sięgały mu niemal do pasa. Odpada. Za dziwaczny. No dobrze, postanowiłam szybko, zamienię z nim parę słów na odczepnego i odprawię go. Odchrząknęłam, zbliżając się.

- Dzień dobry - zaczęłam. - Jestem Caroline, matka Erica.

- Dzień dobry. - Odwrócił się i po raz drugi w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu sekund poczułam się niczym uderzona obuchem. Ależ przystojniak. Zupełnie niczym męski model, ale nie żaden gej, jasne? Powietrze nagle zrobiło się gęściejsze od testosteronu. Jeszcze chwila, a zemdleję.

- Czy to Sargeant?

Głos miał miękki i melodyjny. Musiał być w moim wieku, no, może trochę młodszy. Kiedy się uśmiechał, jego brązowe, nakrapiane złotymi cętkami oczy, zaczynały błyszczeć. Ten gość w jednej źrenicy miał więcej seksapilu, niż byłam w stanie zdzierżyć.

-Nie, nie sierżant, był tylko kapralem. To jeden z naszych... Och, przecież pan pyta, czy to obraz Johna Singera Sargenta. -Palnęłam się w czoło. - Ależ ja jestem głupia! Tak, oczywiście, że to Sargent. Czy zechce pan usiąść? Czy mogę poczęstować pana herbatą? - Paplanina sama płynęła z moich ust. Byłam przerażona swoim brakiem kontroli. *O yeah*, Pieprzona Dama Noli Me Tangere z Nowego Jorku rznąła teraz blondynkę przed tym pieprzonym nauczycielem plastyki, noszącym pieprzone dredy.

- Herbaty? Z przyjemnością.

Dzbanek pokazywał dno, więc przeprosiłam go i udałam się do kuchni. Millie właśnie odkładała na bok księgi rachunkowe. Otworzyłam lodówkę i zaczęłam wgapiać się w jej wnętrze, zastanawiając się, po co właściwie sięgam. Oddychałam płytko i pośpiesznie, czego Millie nie omieszkała skomentować.

- Co się dzieje, Caroline? Ciągnie cię do hipisów? Ten chłopak w salonie twojej matki wygląda niczym handlarz narkotykami.

- To żaden chłopak, Millie. Ale jest gorący. Potrzebna mi herbata.

- Potrzebny ci zimny prysznic! Ty i ta twoja matka dzisiaj.

Doprawdy nie wiem, co w was wstąpiło, kobiety. No, idź już, sama przyniosę.

Wpatrywałam się w nią. Handlarz narkotyków? Hipis?

- No idź, idź. Zwiewaj, już cię tu nie ma.

Kiedy przechodziłam przez wahadłowe drzwi, dobiegło mnie jeszcze jej mamrotanie w gullah.

- Gorący, on gorący, niech mnie licho. *Humph*, dzisiejsze kobity pojęcia nie mają, jak chłop potrafi być gorący.

Ponownie otworzyłam drzwi. Millie podniosła na mnie wzrok.

- A właśnie, że mamy - rzuciłam.

Zaczęła się śmiać.

W salonie Joshua Welton chodził od obrazu do obrazu.

- Whistler? - zapytał, wskazując pejzaż morski, należący jeszcze do mojej babki.

- Tak. Moja babka dostała go od niego w prezencie ślubnym. Byli przyjaciółmi.

Łgałam jak z nut, ale chciałam zrobić na nim wrażenie. I udało mi się.

- Teraz rozumiem, dlaczego nigdy go nie widziałem. Pisałem pracę dyplomową o Whistlerze. Obraz pewnie wisiał na tej ścianie niemal od chwili, kiedy został namalowany.

- Owszem.

Czułam się tak, jakby ten mężczyzna stanowił jedyne źródło powietrza w pomieszczeniu, jakbym oddychać mogła wyłącznie równolegle z nim. Co się ze mną działo, u licha?

- Z pewnością zechce mi pani zadać kilka pytań - odezwał się. Ten jego uśmieszek. Powinnam zmieść go jednym trzepnięciem ręki, tymczasem ja zapragnęłam go zlizać z jego ust. O Jezus. Czy mój estrogen kompletnie zbzikował, czy co?



- O tak, usiądźmy na chwilę. Millie zaraz przyniesie herbatę.

Wybrałam jeden z masywnych, rozłożystych foteli i usiadłam, podwijając pod siebie nogi. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, jak swobodna jest to poza, i poprawiłam się. Znowu się uśmiechnął. Jego uwagi nie uszedł żaden mój ruch. Bawił się, zwyczajnie bawił się mną, a ja nie potrafiłam się pozbierać. Pierwszy raz w życiu to mi się to przytrafiło. Co takiego tkwiło w tym facecie? Arogancki nie był, to na pewno. Wydawał się równie normalny, jak ja sama. Chociaż nie do końca. Teraz siedział na wprost mnie, czekając na mój kolejny ruch.

- A więc prowadzi pan terapię zajęciową, jak rozumiem? Proszę mi coś o tym opowiedzieć. - Doskonale. W pełni profesjonalne pytanie. Skieruje nas z powrotem na oficjalną drogę.

- Zameżna?

- W separacji. Żonaty? - To było głupie. Głupie, ale nieuniknione.

- Od dwóch lat rozwiedziony. Żadnych dzieci, żadnych zwierząt.

Mieszkam sam... w samym sercu Charlestonu, przy East Bay Street, w tym samym domu, w którym mieszkałem jako dziecko. Rodzice mi go zostawili. Wiele jeździłem po świecie, studiując tubylcze zwyczaje i wierzenia.

- Jesteś przyjęty - powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

- Wyczerpujące interview. Co powiesz na obiad?

- Pójdę po płaszcz.

- Ugotuję coś dla ciebie.

- *Cool*. Pomogę.

W drzwiach niemal zderzyłam się z Millie niosącą tacę. Po raz kolejny wyszłam na idiotkę.

- Dokąd tak pędzisz na złamanie karku?

- Pan Weston zaprosił mnie na obiad. Wychodzę z nim.

- Welton - poprawił mnie - ale proszę, mów mi Josh. Podczas jazdy nie rozmawialiśmy ze sobą. Wiatr wpadający

przez opuszczony dach powodował zbyt wiele hałasu. Włożyłam wielkie okulary przeciwsłoneczne i jedną ręką przytrzymałam włosy z tyłu. Od czasu do czasu zerkałam na jego ramię, muskularne i opalone. Zapraǳnęłam przebiec po nim palcami i przekonać się, czy jasne włoski rzeczywiście są tak jedwabiste, jak na to wyglądają. Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się. Pędziliśmy autostradą numer 17 północną, a ja wiedziałam, że zachowam się jak bardzo, bardzo niegrzeczna dziewczynka. Normalnie nie leżało to w moim charakterze.

Jego dom przy East Bay Street, z widokiem na port charlestoński, liczył niemal trzysta lat i był jedną z tych imponujących, historycznych, pomalowanych na pastelowe barwy budowli, wzmacnianych prętami na wypadek trzęsienia ziemi.

Josh wysiadł z samochodu, żeby otworzyć potężną żelazną bramę. Zbudowany był świetnie, co widać było nawet przez ubranie. Spodnie leżały mu na tyłku gładko niczym obrus na stole. Pewnie wciąż nad tym pracował.

Przez całą drogę do Charlestonu zastanawiałam się, czy ma zamiar mnie uwieść. Jak się wówczas zachować? Kiedy ostatnio brałam prysznic? Dzisiaj rano. Nogi wydepilowane, horroru nie będzie. Och, proszę, powtarzałam sobie w duchu, zapanuj jakoś nad sobą. Najnormalniej w świecie zjecie obiad, a potem pojedziesz do domu. Przedyskutujecie

kwestię religii i edukacji i pojedziesz do domu. Spróbuj nie zapomnieć tego kawałka o powrocie do domu, dobrze?

Wjechaliśmy na podwórze. Josh zamknął bramę i przeszedł na moją stronę, żeby pomóc mi wysiąść.

- Sporo czasu upłynęło, odkąd byłam w domu takim jak ten - powiedziałam.

Josh podał mi ramię. Uchwyciłam się go, wysiadając. Zgodnie z siłą ciężkości i prawami natury podczas tego ruchu mój biust musnął jego pierś. Josh puścił mnie. Wygładziłam na sobie spodnie. Zmierzchało się już, ale nadal było za wcześnie na szybki numerek na świeżym powietrzu. Proszę, wejdźmy wreszcie do środka. Na miłość boską!

Byłam tak zajęta rozmową z samą sobą, że nie dosłyszałam jego słów.

- Och, przepraszam, co mówiłeś?

- Powiedziałem, że najpierw napijemy się wina, a potem oprowadzę cię po domu. Może być?

- Jak najbardziej - zgodziłam się, idąc za nim po schodach, a później wchodząc do środka.

Znaleźliśmy się w obszernym holu, otwartym z obu stron na rząd pokoi w amfiladzie; niemal niewidoczne drzwi na samym końcu prowadziły do kuchni.

- Zwiedzanie w wyznaczonych godzinach?

- *Yeah*, obiecałem rodzicom, że niczego tu nie zmienię. W końcu pomyślałem sobie, że skoro moim przeznaczeniem jest mieszkać w muzeum, równie dobrze mogę udostępnić je publiczności. Mam z czego

opłacić podatki i nie muszę zawracać sobie głowy pracą na cały etat przez okrągły rok. Tym sposobem mogłem zająć się prywatnym nauczaniem.

- Fundusz powierniczy?

- *Yeah*, dzięki Bogu. Procent nie jest zbyt duży, ale też ja i nie mam zbyt wielkich wymagań.

- Jasne. - Rzuciłam torebkę na stolik, myśląc przy tym: Czegóż jeszcze można by wymagać? Mieszkał doprawdy niczym w pałacu. - Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

- Wal śmiało.

Zagłębił korkociąg w szyjce butelki. Przyglądałam się grze jego mięśni, kiedy wyciągał korek. Co za widok! Zupełnie zapomniałam, o co chciałam go zapytać. Kiedy zauważył, że mu się przyglądam, zarumienił się.

- Masz jakiś ser, krakersy albo coś w tym rodzaju? - powiedziałam. - Umieram z głodu.

Nędzniejszą wymówkę trudno byłoby wymyślić. Góra dwa punkty w skali od jeden do dziesięciu.

- Jasne, w lodówce. Częstuj się.

Przekopałam górną półkę lodówki, aż odkryłam świeży kawałek sera. Kiedy odwracałam się po zamknięciu drzwiczek, przyłapałam go ze wzrokiem przyklejonym do mojego tyłka. Zaczęłam się odprężyć. A więc nie tylko mnie wzięło, jak się tego obawiałam przed chwilą. Poszperałam jeszcze w szufladach, aż znalazłam w miarę świeże krakersy.

- A turystów nie doprowadza przypadkiem do szału, że właściciel takiego domu paradyje z dredami?

- Myślę, że jestem zarządzającym. To moje przebranie. Pokiwałam głową.

- Czy w tym gospodarstwie znajdzie się jakaś deseczka do serów?

- Nad kuchenką.

Znalazłam deseczkę, sięgnęłam do miski z owocami po jabłko, umyłam je i wytarłam papierowym ręcznikiem. Josh wręczył mi kieliszek.

- Za co wypijemy? - zapytałam. Stał tak blisko mnie, że czułam zapach jego skóry, delikatny, piżmowy. Serce miałam w gardle.

- Interesujące pytanie. A jak myślisz, za co powinniśmy wypić?

Moje serce waliło w tempie pięciuset uderzeń na minutę. Gdybym teraz umarła z nerwów i gorączki wyczekiwania, zaprzepaściłabym wszystko, i byłby to błąd nie do wybaczenia.

- Wypijmy za odwagę - zaproponowałam. - Za coś, czego mi brakuje.

- O Boże, lepiej nie. Lepiej wypijmy za coś innego. Proponuję toast za romantyzm.

Stuknęliśmy się kieliszkami i ja powiedziałam:

- Nie, nie. To zbyt staromodne. Wypijmy za coś szlachetnego.

- A romantyzm nie jest szlachetny?

- Zgoda, wygrałeś. No to za...

- Czekaj, już wiem za co. Bądźmy przez chwilę poważni. Wypijmy za uczucie, jakie ogarnęło nas oboje, kiedy po raz pierwszy popatrzyliśmy sobie w oczy. Nie wiem, co to było, i nie wiem, jak byś je nazwała, ale było to coś zbliżonego do energii jądrowej.

- Tak, z pewnością. - Przynajmniej nadał temu nazwę. - A więc za energię jądrową.

Jeszcze raz stuknęliśmy się kieliszkami i wreszcie wypiliśmy. Nazwał to, pomyślałam. Jeśli człowiek nadaje czemuś imię, taka rzecz nabiera realności, zaczyna do niego należeć. Wiedziałam, że jeśli zaraz nie znajdziemy jakiegoś tematu do rozmowy, natychmiast zedrzemy z siebie ubrania. Dla zachowania choćby pozorów przyzwoitości spróbowałam lekkiej konwersacji, kiedy już uzgodniliśmy sprawę zakąsek.

- Opowiedz mi o swoich podróżach - zaproponowałam.
- Ostatni rok spędziłem w Nepalu, Bhutanie i Indiach.
- Zrobiłeś dużo zdjęć? Tam pewnie panuje upał jak w piekle.

- Owszem, ale u nas przecież wcale nie jest lepiej. Trochę studiowałem hinduizm i przez sześć miesięcy przebywałem w aśramie razem z moim guru. A zdjęć narobiłem mnóstwo. Fotografia to moje hobby.

Uprawiałem jogę, dużo medytowałem.

- Jaką jogę? Ja ćwiczę hatha.
- Moja jest odmienna. Tantryczna. Czerwona.
- Znakomicie, mogę iść do domu.

Równie dobrze mógł powiedzieć, że przepisywał Kamasutrę. Zaczęliśmy się śmiać. Zmierzaaliśmy prosto do łóżka, nigdzie indziej.

## **Dziennik Miss Lavinii**

*No proszę, zaledwie ósma wieczorem. Zmiana, jaka zaszła w moim życiu, przynosi mi tyle radości, że zapragnęłam ją opisać, choćby w kilku słowach. Leżę sobie, wyciągnięta na łóżku, przyglądając się mojemu skarbowi, składającemu jakiś potężny, wyposażony w motor wehikuł z klocków lego. Jeszcze chwila, a popędzi jak szalony przez mój pokój. No, no, no. Gdybym tylko miała w sobie choć trochę więcej siły, natychmiast znalazłabym się obok niego na podłodze. Ostatnio bezustannie odczuwam zmęczenie. Może potrzeba mi jakichś witamin albo co? Mniejsza z tym. Obecność Caroline i Erica jest dla mnie wielką radością. Ale dokąd to moja córka wybrała się dziś wieczorem? Nawet do widzenia nie powiedziała. A gdybym tak ja postanowiła wypuścić się z Peterem do Lizbony? Millie z pewnością zajęłaby się Erikiem. Ach, ten Peter Greer. W dzisiejszych czasach nie robią już takich mężczyzn. Delikatnych, uważających. Nawet jeśli obróciło mu się na dziewięćdziesiątkę, i tak ma w sobie zwierzę, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Jestem gotowa się założyć. Powiedział, że jeśli będzie mu wolno, przyjdzie koło dziewiątej trzydzieści. Och, Peter, czekam.*

## **Rozdział 33**

### ***Oddychaj i żyj***

Zabraliśmy wino, ser i krakersy i przenieśliśmy się do gabinetu przylegającego do kuchni. Josh włączył muzykę i otworzył drzwi na werandę wychodzącą na ogród. Starając się zachowywać w sposób jak najbardziej naturalny, zapaliłam kilka świateł i wzięłam do ust kawałek sera, po czym oblizalam palce i sięgnęłam po kieliszek z winem.

- Traktuję ten pokój jako mój salon. Tu turyści nie mają wstępu.
- Słusznie, w końcu musisz mieć jakieś miejsce wyłącznie dla siebie.
- Absolutna racja. Zaczekaj, przyniosę tekę. Pokażę ci Ganges i Himalaje.

Wyszłam na werandę i wciągnęłam w nozdrza zapach jaśminu. Zdawałam sobie sprawę, że uganianie się za facetem, zanim jeszcze mój rozwód stanie się faktem, a to z pewnością nie nastąpi przed upływem co najmniej dwóch lat, pozbawione jest najmniejszego sensu. Nowojorskie sądy były tak obłożone, że nawet ten odległy termin zdawał się zakrawać na cud.

Postanowiłam więc kompletnie zignorować mój małżeński status. Już mi się rzygać chciało od całej tej poprawności - żona Richarda, pewna, solidna, przewidywalna, wyszorowana, wypucowana do połysku - prawdziwa piękność z Południa. Piętnaście lat seksu wyłącznie po bożemu wycisnęło na mnie swoje piętno. Teraz spragniona byłam przygody.

Ruszyłam zadbaną ceglana ścieżką, która zaprowadziła mnie do fontanny. Z wazy trzymanej na ramieniu przez młodą Greczynkę wypływała kaskadą woda; spadające krople wygrywały melodię na



powierzchni basenu. Rozplanowanie ogrodu - koło ze ścieżkami rozbiegającymi się na podobieństwo szprych - najłatwiej było odczytać z tego właśnie miejsca. W każdej kwaterze rosły inne rośliny, ozdobne trawy różnych gatunków, nieznanymi mi do tej pory, wszystkie wypieszczone, wypielegnowane czyjąś troskliwą ręką.

Spacerowałam wokoło, dyskutując ze sobą, zastanawiając się, co przyniesie noc. Wreszcie zaprzestałam sprzeczki z moim głosem wewnętrznym. Nie, nie znalazłam się tu dlatego, by rewanżować się Richardowi za niewierność. Tęsknię za dotknięciem mężczyzny, tego właśnie mężczyzny. I wówczas uderzyła mnie kolejna myśl. Pora, abym odważyła się zaryzykować. Mój ojciec obdarzony był duszą rasowego hazardzisty, matka lubowała się w efektach teatralnych. Oboje żyli w pogoni za przyjemnościami i w istocie kochali życie.

Ja też tak powinnam. To właśnie stanowiło przesłanie albo przynajmniej część przesłania, jakie przekazał mi duch tatusia. *Bądź moją córką! Zmień się!* To znaczy, że jeśli życie daje ci szansę, wykorzystaj ją. Nie musisz się porywać na rzeczy niebezpieczne, ale przeanalizuj swoje dążenia, pragnienia, potrzeby. Zbyt długo już przejmowałam zapatrywania Richarda na każdą dosłownie kwestię, zamieniając się niemal w jakieś cholerne odbicie jego samego. Może teraz odzyskam na powrót własną osobowość i stanę się córką swojego ojca i swojej matki?

W świetle gabinetu zobaczyłam poruszającego się Josha i zawołałam do niego:

- Hej, wyszłam na dwór, żeby się rozejrzeć. Przepiękny ogród.
- O, dzięki, bo już się bałam, że zwiąlasz ode mnie.

- Pewnie. - Prędzej piekło zamarźnie, przemknęło mi przez myśl. Weszłam po schodach i dołączyłam do niego. - Kocham ogrody. Kiedy przyjedziesz w przyszłym tygodniu, przypomnij mi, żebym pokazała ci nasze róże. Są przeurocze.

- Ogrodnictwo to moja pasja. Kiedy wyjeżdżam, przychodzi tu ta zdumiewająca kobieta...

- O, naprawdę?

- *Yeah*, zajmuje się ogrodem już od dobrych siedemdziesięciu lat. Nauczyła mnie wszystkiego, co trzeba wiedzieć o kompoście.

-Och.

Jezus, Caroline, skarciłam się w myślach, znasz tego faceta nawet nie od wczoraj, a już robisz się zaborcza. Poczekaj, niech no tylko Lavinia zobaczy jego włosy. We mnie samej zdążyła już zakwitnąć myśl, że są bardzo seksy, i coraz bardziej pragnęłam ich dotknąć. Wróciliśmy do środka. Teraz do głosu doszło moje oko dekoratorki wnętrza, przytłumiając nieco hałas czyniony przez moje szalejące libido. Przepiękne angielskie antyki wypełniały całe wnętrze, pyszniły się w każdym kącie, sąsiadując z licznymi wytworami sztuki azjatyckiej.

Przedtem, kiedy w pokoju był Josh, w ogóle ich nie zauważyłam. Pomalowane na kolor bladej zieleni ściany miały dobrych piętnaście stóp wysokości, a po obu stronach francuskich drzwi, wiodących na taras, i wysokich okien zwieszały się zasłony w odcieniu głębokiego brązu, umocowane do masywnych karniszy i układające się w fałdy. Josh stał oparty o wysoką komodę i przyglądał mi się.

- Uważasz, że mam zamiar zaciągnąć cię do łóżka, prawda?

- Podobna myśl nawet nie powstała w mojej głowie - skłamałam z uśmiechem.

- Chcesz obejrzeć zdjęcia?

- Jasne - powiedziałam.

Ujęłam go za rękę, a on podprowadził mnie do kanapy.

Na stole przed nią leżało kilka albumów, oprawionych w czarną skórę. Podniosłam jeden i zaczęłam przeglądać. Zawierał kolorowe fotografie formatu osiem na dziesięć, przedstawiające świątynie, góry, mnichów i pielgrzymów.

- Gdzie je robiłeś?

- To? To Pashupatinath - główna świątynie *Siwy*. A tu masz młodych mnichów tybetańskich z klasztoru Sera w Lhasie.

- Przepiękne. A dlaczego tu wszystko jest tak intensywnie niebieskie?

- Masz bystre oko. Rozrzedzone powietrze na wysokości sprawia, że niebieski zaczyna dominować.

- Czy rzeczywiście jest tak ciepło, czy tylko mnie jest gorąco? - Czułam kropelki potu występujące mi na kark. - Josh?

-Hm?

Temperatura w pokoju nie przestawała wzrastać.

- Zróbmy ten obiad, dobrze?

- Chcesz jeść już teraz?

Nie. *Chcę, żebyś pokazał mi wszystkie triki, jakie znasz. Chcę, abyś mi je pokazywał przepelniony wigorem i entuzjazmem. Chcę, abyś obdarzył mnie słodyczą.*

- No - powiedziałam, odkładając album na stół i wysączejąc z kieliszka ostatnie krople. Josh uczynił to samo. Nic innego nie potrafiłam z siebie wydobyć.

- Chodź - rzekł, pociągając mnie za sobą. - Ależ leniwa z ciebie kocica.

- Masz rację. - Podniosłam w górę kieliszek. -1 mam pustą miseczkę.

- O, temu możemy zaraz zaradzić.

Napełnił ponownie nasze kieliszki i przystąpiliśmy do przyrządzania obiadu, przy czym ja zachowywałam się w sposób dziwnie roztargniony.

Josh szukał czegoś w szafkach, ja robiłam przegląd lodówki.

- Gdybym wiedział, że przyjdiesz, kupiłbym coś specjalnego.

- Któż to mógł przewidzieć. - Naprawdę było mi obojętne, co będę jadła.

*A ciebie zjem na deser, Joshuo Weltonie. Zabawię się z tobą jak bardzo, bardzo niegrzeczna dziewczynka.*

- Caroline, jak się zapatrujesz na risotto? - zapytał.

- Świetnie, a z czym? - *Zbadam twoje ciało cal po calu. Możesz mi mówić doktor Caroline.*

- Szparagi i cebula.

- Idealnie. Zajmę się sałatą. - *A potem będziemy się bawić twoim Kama i moją Sutra i zobaczymy, co z tego wyniknie.*

Przyrządziłam sałatę, nakryłam do stołu, zapaliłam świece i przyciemniłam światło, a wszystko to z entuzjazmem, jakiego obowiązki domowe dawno już nie potrafiły ze mnie wykrzesać.

Miał piękne srebra. Wszystko miał piękne. Wypytywał mnie o dzieciństwo, więc uraczyłam go moją wersją prawdy. On zabawiał mnie

historyjkami z czasów, kiedy był małym chłopcem. Trochę gotowaliśmy, a trochę oglądaliśmy zdjęcia, śmiejąc się i kilkakrotnie dolewając sobie wina.

- To srebra twojej matki?

- Tak, staram się utrzymywać je w dobrym stanie. To znaczy, nie ja je czyszcę. Ktoś przychodzi specjalnie.

- Podwój jej zapłatę. Ty nie powinieneś marnować czasu na polerowanie sreber - powiedziałam, szczerząc zęby.

-A, twoim zdaniem, jak najlepiej powinienem spożytkować swój czas? - zapytał, uśmiechając się i przygryzając dolną wargę.

- To pytanie retoryczne.

- Czekaj, noże do kompletu są w dolnej szufladzie. Te mają stalowe ostrza i rdzewieją.

Kroił szalotki na desce obok kuchenki. Sięgnęłam do wskazanej szuflady i wyciągnęłam dwanaście owiniętych we flanelową szmatkę noży, idealnie pasujących do pozostałych sztućców. Na patelni zaskwierczały masło i oliwa, kiedy dorzucił cebulę. W chwilę później pomieszczenie wypełniło się takim aromatem, że zaczęło mi burczeć w brzuchu.

- Słuchaj, Josh, no, przecież miałam cię zapytać... - *Właściwie jaki on jest duży?*

- Jasne, pytaj, o co tylko chcesz - powiedział, mieszając risotto od dna. - Chcesz jeszcze wina?

- Tak, dolej mi, proszę. Wydajesz się taki spokojny, taki opanowany, choć jednocześnie napięty, zupełnie jakby to całe cholerne miasto stało w ogniu. - Podsunęłam mu kawałek pomidora. Otworzył usta, więc zaczęłam

go karmić, myśląc jednocześnie, że bardzo chciałabym przebiec palcami po jego zębach. Zacisnął wargi na moim palcu i zaczął go ssać.

- Jezus, *bubba*, przestań. - W moim głosie nie było ani odrobiny przekonania, więc nie przestał. - Jak myślisz, czy moglibyśmy się pocałować albo zrobić coś równie luźno związanego z kuchnią, żeby mnie rozweselić?

Uwolnił mój palec i powiedział.

- Pocałować? A co z zarazkami?

Położyłam dłoń na biodrze i popatrzyłam na niego jak na szaleńca.

- Przecież żartuję - pośpieszył z zapewnieniem. - Chodź tu natychmiast.

Wyciągnął rękę. Ujęłam ją, a on przyciągnął mnie do siebie. *Yeah*, ludzie, jeszcze chwila, a pocałuję faceta noszącego dredy. Szkoda, że Richard nie może mnie teraz zobaczyć. Prowincjuszka! Josh odgarnął mi włosy z czoła i z szyi i tam najpierw powędrowały jego usta. Byłam bliska osunięcia się na podłogę. Chciałam, żeby odepchnął sałatę gdzieś na bok, żeby wziął mnie tutaj, zaraz, na kuchennym blacie. Chciałam poczuć na sobie jego ciężar, więc przyciągałam go do siebie, coraz mocniej i mocniej. Wpadliśmy plecami na kuchenną ladę i - co było do przewidzenia - miska pełna obierków wylądowała na podłodze, roztrzaskując się w drobny mak. Nieważne. Josh robił się coraz bardziej napalony, a ja nie ustępowałam mu ani na krok. W pewnym momencie zamarł bez ruchu, otworzył oczy i spojrzał wprost na mnie. Uniósł mnie bez słowa i położył na blacie.

- Nienawidzę sałaty - mruknęłam.

Zręcznym ruchem zakręcił kurek gazu. Nastąpił totalny odjazd i wkrótce było już dla mnie całkowicie jasne, dlaczego kobiety biorą sobie młodszych kochanków. Nie mogłam wprost uwierzyć, że to naprawdę ja leżę na marmurowym blacie, przeżywając najwspanialszy w życiu odlot, wzbogacony o rozmaite dodatki chiropraktyczne. Kiedy dojrzałam, żeby wychłostać się za robienie tego z nauczycielem własnego syna, nasza rakietka już szybowiała w kierunku rajów. No dobrze, poddałam się, teraz już za późno na karę. Teraz już nie przerywaj, tylko rozkoszuj się podróżą.

Poddałam się jej bez reszty. Zanim wynurzyliśmy się, by zaczerpnąć powietrza, powędrowaliśmy ze stołu na podłogę, później na tapczan, wreszcie z powrotem na podłogę. Ten chłopak nie żałował sobie witamin. Wreszcie otworzyłam oczy i skierowałam je ku sufitowi zdobionemu ręcznie wykonanymi sztukateriami, zastanawiając się, ile współcześnie kosztowałoby wykonanie czegoś podobnego. Z czymś się to wam kojarzy? Zerknęłam na Josha i uśmiechnęłam się. To nie miało prawa się powtórzyć. Po fatalnym finalnym epizodzie z Richardem dzisiejsze przeżycie okazało się wyśmienitym remedium na moje ego, mimo to wiedziałam, że Josh musi pozostać na obrzeżach mojego życia. Nie byłam gotowa na nowy związek, na przyjaźń może tak, ale na nic więcej.

- Zostaniesz na noc? - zapytał.

- Chłopcze drogi, najchętniej na całe życie, ale matka dostałaby szału, gdybym została. A poza tym naprawdę nie powinniśmy tego robić. Zwłaszcza jeśli masz uczyć Erica. Nie byłoby to *cool*.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że teraz było?

- *Yeah*, obawiam się, że tak.

- No cóż, pewnie masz słuszość, a jednocześnie co za strata.

Rozumiał. Byłam mu za to wdzięczna.

Do Wysokich Sosen wracaliśmy z podniesionym dachem samochodu. Josh co chwila ścisnął moją dłoń, ja przebiegałam palcami po jego pięknym ramieniu. Skórę miał delikatną i chłodną. Przepęniało mnie morze czułości dla niego i bardzo pragnęłam uwierzyć, że znajdziemy sposób, aby pozostać przyjaciółmi.

Kiedy zajechaliśmy, dom pogrążony był niemal w całkowitej ciemności. Tylko w holu i na werandzie paliły się jeszcze światła. Niewielka lampka świeciła się też w salonie. Dochodziła jedenasta. Życzyliśmy sobie dobrej nocy, obiecując, że jutro skontaktujemy się ze sobą, po czym weszłam do środka, czując lekki zamęt w głowie z powodu tego wszystkiego.

Pogasiłam zewnętrzne światła, następnie weszłam do salonu i tu zamarłam. Matka, w jednym ze swoich dziwacznych kaftanów, suto zdobionym świecidełkami, siedziała na kanapie, piastując na podolku głowę pana Greera. Oboje chrapali głośno. Na stoliku do kawy przed nimi poniewierały się pozostałości wspólnej uczy: shaker do koktajli, rżnięte kieliszki, okruszyny sera, ogonki truskawek, krakersy, zwilgotniałe, rozmiękłe w nocnym powietrzu, zmiętoszone papierowe serwetki, przepelnione popielniczki i niemal całkowicie opróżniona butelka bourbona. Pojęcia nie miałam, co teraz zrobić; w końcu zostawiłam cały kram i wycofałam się do kuchni, wziąć sobie szklanek mleka i jakąś kanapkę. Tu czekała mnie kolejna niespodzianka w postaci Millie siedzącej przy stole i czytającej książkę. Podniosła głowę, obrzucając mnie byстрыm spojrzeniem.



- No i co ja czuję? - zapytała, przyglądając mi się podejrzliwie.

- Elixir Miłosny Numer Dziesięć, Panno Ciekawska. Czekasz, żeby mnie obsztorcować? - Stałam przed nią z rękami na biodrach, udając, że jestem obrażona.

- *Humph* - odchrząknęła. - Raczej oszczędzę sobie głosu. Czy twoja matka nadal zabawia tego faceta w salonie?

- Coś ty, padli obydwójce i teraz chrapią niczym dwa buldogi.

- Nie wiem, co naszło tę rodzinę. Widać wiosna w powietrzu. - Millie zamknęła książkę, wstała i przeciągnęła się. - *Yeah*, żałuj, że nie widziałas swojego brata, kiedy zobaczył tego rudzielca. O mało nie wyrznął o podłogę.

- Rusty? - Otworzyłam masło fistaszkowe i sięgnęłam po chleb.

- A co, ten facet nie dał ci jeść?

- Dał, ale nadal jestem głodna. No i co z tą Rusty?

Millie uniosła w górę brwi, wiedząc doskonale, że nie zjadłam porządnej kolacji.

- Zostawiła sweter albo coś, no i wróciła po niego. Akurat napatoczył się twój brat, otworzył jej drzwi i wystarczyło. Muszę iść obudzić Miss L. Pokręci jej kark i będzie chodziła skrzywiona przez cały jutrzejszy dzień.

- Ja to zrobię, Millie.

- Nie, dziewczyno, ty pomaszerujesz prosto do łóżka. - Zmierzyła mnie od stóp do głów i z wyraźną dezaprobatą powęszyła w powietrzu. - Dziś nic nie przeszkodzi ci w spaniu, *yanh*?

- Millie! Wiesz, jakie to irytujące, mieć do czynienia z kimś, kto wie wszystko?

Millie przechyliła głowę na bok i zacisnęła wargi.

- A ty, Caroline, z każdym dniem stajesz się podobniejsza do Lavinii.

- O, to nie była miła uwaga. Jeśli chcesz zaleźć mi za skórę, nie potrzebujesz już nic dodawać.

- Miła to ona może nie była, za to prawdziwa z całą pewnością. Idź na górę, do swojego chłopca. Myślę, że śpi, a jednocześnie czeka na ciebie, nawet przez sen.

Wahadłowe drzwi zakołysały się, kiedy wychodziła. Napiłam się wody i wstawiłam szklankę do zlewu. Czy Millie miała rację? Podobna do matki! Boże wielki, tylko nie to! To przecież niemożliwe! Tylnymi schodami weszłam na górę i zajrzałam do pokoju Erica. Mój syn spał, trzymając na piersi otwartą książkę. Zdjęłam mu okulary, pocałowałam go w czoło i zgasiłam światło.

W swoim pokoju usiłowałam skupić się na słowach Millie, szybko jednak pozwoliłam myślom poszybować w stronę Josha. To był o wiele przyjemniejszy temat. A to co powiedziała Millie? Pomyślę o tym jutro. Jutro środa, kolejny dzień. Tra-la-la, Scarlett O'Hara, maszeruj do łóżka.

## Rozdział 34

### *Na gorącym uczynku*

#### *Piątek*

Postanowiliśmy z Joshem poprzestać na przyjaźni. To było najlepsze z rozwiązań. Matka uznała moją nową znajomość za szalenie zabawną. Pomacała włosy Josha i stwierdziła, że to gąbka. Nie muszę dodawać, że momentalnie zaakceptowała ten punkt widzenia - Wyłącznie na Jedną Noc - choć oczywiście nie pisnęłam jej ani słowa. Millie obstawała przy swoim, że takie włosy wskazują na związek z narkotykami, a Eric był zbyt pochłonięty zabawą, żeby się nad nimi zastanawiać. Od czasu do czasu Josh i ja wypuszczaliśmy się gdzieś we dwoje.

Ericowi od urodzenia chyba pisane było stać się prawdziwym chłopcem z Lowcountry; od pierwszej chwili po przyjeździe pograżył się w odkrywaniu tego wszystkiego, co Wysokie Sosny miały do zaoferowania. Jeśli nie przebywał z Jenkinsem, uczącym go zarzucać sieci, z pewnością można go było zastać na rzece z Tripem, którego ruchy ostatnio jakoś podejrzanie nabrały wigoru. Matka nauczyła Erica picia słodkiej herbaty i udzielała nauk na temat roli, jaką nasza znakomita rodzina odegrała w historii; były to nauki całkowicie w stylu Lavinii, mocno ubarwione i równie mocno przesadzone. Od Millie poznał nazwy wszystkich ziół i innych roślin, rosnących w Wysokich Sosnach, i teraz co najmniej raz dziennie powtarzał: *Mamus', tutaj jest jak w rajku*. Mój syn naprawdę dobrze się tu czuje, myślałam wówczas z ulgą i satysfakcją. W takim razie urządzajmy się dalej.

Nasze rzeczy przyjechały poprzedniego dnia i teraz Josh, Millie i Jenkins pomagali mi przeglądać zawartość kartonów. Nagle dotarło do mnie, że wcale nie potrzeba nam wiele. Eric chciał wyciągnąć swoje zabawki i gry

komputerowe, ja książki, płyty i dokumentację zawodową, cała reszta natomiast wydała mi się zbędna, przynajmniej na razie. Zbyteczne okazało się niemal wszystko to, co zgromadziliśmy przez piętnaście lat naszego życia. To było dziwne uczucie, tak niewiele potrzebować. Większość rzeczy mogła spokojnie powędrować do przechowalni.

- Dobrze, że macie stajnie - zauważył Josh.

- *Yeah*, niestety, składować się w nich nie da. Za dużo wilgoci.

Obrazy sfałdują się i spleśnią.

Nie przesadzałam. Wysokie Sosny mogły czarować urodą, ale aby zachować ich piękno, niezbędne były urządzenia klimatyzacyjne. Wielkie rozpakowywanie odbywało się w stajniach. Ręce mieliśmy ubrudzone po łokcie. Eric kursował od stajni do domu i znowu do stajni, dźwigając całe naręcza komiksów, plastikowych pudełek, wypełnionych klockami lego i innych skarbów. Tę samą drogę pokonywał Jenkins z taczkami, przewożąc cięższe rzeczy. Mniej więcej co godzina pojawiała się matka, kręciła głową i cmokała.

- Jeszcze się w tym grzebiecie? Doprawdy, Caroline, powinnaś była urządzić wyprzedaż w Nowym Jorku.

Przed odejściem rzucała Joshowi wystudiowane, uwodzicielskie spojrzenie Miss Lavinii. Kiedy znikwała, zaczynaliśmy chichotać niczym małe dzieci.

- Matka to flirciara - ostrzegałam.

- Niebezpieczna?

- Tylko jak ją sprowokować.

- Znalazłam firmę zajmującą się przechowywaniem rzeczy. Mogą przyjechać w sobotę, jeśli chcesz gdzieś upchnąć cały ten kram - oznajmiła

Millie, wychodząc ze składziku. - Czeka ją przy telefonie. Pytają, jak długo chcesz u nich składować. - Ołówek wsunęła w spleciony warkocz, na czubku nosa miała okulary do czytania, a w ręku notes. - Powiedziałam, że nie mam pojęcia, ale zaraz się dowiem. Wysokość opłat zależy od czasu, sama rozumiesz. - Westchnęła, jakby chciała powiedzieć: „Nie rozumiem, dlaczego robisz to wszystko. Marnujesz swój czas i mój”.

- Czas to pieniądz - obwieścił Eric, wpadając do środka. - Tak twierdzi babcia. Choć zdaje się, bardziej stara się wpoić we mnie znaczenie ważkości czasu niż pieniędzy.

Takiej okazji nie mogłam przepuścić.

- Cóż, kochanie, dzięki Bogu nie musi się kłopotać o... Co się stało? Wszyscy jakby zamarli w wpatrywali się w Erica.

- Wpoić, ważkość - powtórzył Josh. - Synu, ile ty masz właściwie lat?

- Jest tak samo mądry, jak jego mama - powiedział Jenkins.

- To mój chłopiec - dorzuciłam, rozburzając włosy na głowie Erica.

- Twoja babcia ma rację, chłopcze - pouczyła Millie. - No, *missy*, co mam powiedzieć tym w firmie? Miesiąc? Trzy miesiące? Dziesięć lat?

- Nie wiem, Millie. Pozwól mi się zastanowić przez chwilę.

Jak długo tu zostanę? Czy mój powrót do matki jest równoznaczny z klęską, z poddaniem? Czy ja rzeczywiście chcę się przenieść do Charlestonu? Może kiedyś.

Nie, żeby zdecydować o moim dalszym losie, potrzeba mi więcej niż kilku minut. Mogłam sobie wyobrazić, że zostanę tu przez całe lato i wyprowadzę się z nadejściem jesieni. Przede wszystkim jednak chciałam się przekonać, jak Ericowi posłuży nauka w domu. Dopiero później

podejmę ostateczną decyzję. Na razie rozpieszczanie przez matkę i Millie bardzo mi odpowiadało.

- Skarbie, lepiej się na coś zdecyduj, bo przecież muszę coś odpowiedzieć tamtym. - Lekko poirytowana Millie zbierała się do odwrotu. Nie gniewała się naprawdę, po prostu demonstrowała, kto tu ważniejszy, pokpiwała sobie ze mnie, że wreszcie powinnam się nauczyć posługiwać rozumem, a nie tkwić w marazmie.

Jej życzeniem było, abyśmy zostali. Na zawsze. Doskonale o tym wiedziałam. Tak, takie rozpieszczanie było bardzo miłe.

- Powiedz, żeby trzymali wszystko tak długo, aż dam im znać! - zawołałam do jej pleców. - Może do sierpnia, zgoda?

Przystanąła, odwróciła się i spojrzała wprost na mnie. Niezadowolone na jej twarzy malowało się aż nazbyt wyraźnie.

- No, zobaczymy, co zobaczymy - powiedziała i odwróciła się znowu.

Czasami jej zdolności psychiczne działały mi na nerwy. Pozwoliłam tej myśli ulecieć z wiatrem i zwróciłam się ku przyjemniejszym tematom.

Siedziałam na podłodze w stajni - uosobienie całkowitej niewinności - zwijając i składając papier pakunkowy, przeznaczony na makulaturę, i z bezpiecznej odległości zastanawiałam się nad tonem żarcików Josha; niczym druga Mrs. Robinson, w rzeczywistości traktująca mężczyzn jak przedmioty, choć nieobnosząca się z tym na wynos. No i co z tego? Czyż kobiet nie traktowano w ten sposób przez całe wieki? Gęsi i gąsiory. W nagłym olśnieniu dotarło do mnie, że nawet jeśli nie jestem Lavinia, to wkroczyłam na śliską ścieżkę, wiodącą prosto do przejęcia jej zachowań seksualnych.

Pochylony nad kartonem z książkami Josh wyjmował je jedna po drugiej, odczytywał tytuły z grzbietów, przewracał kartki.

- „Rozkosz gotowania” - przeczytał na głos.

Jego zdeprawowany umysł w pewnością rozważał jakieś inne rozkosze, więc pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

- Ta akurat bywa bardzo przydatna.

- Można się wiele dowiedzieć o człowieku na podstawie książek, które posiada - zauważył Josh.

-No to szukaj dalej. Komplet dzieł Balzaka powinien stać gdzieś w pobliżu Flauberta.

- „Historia tkanin”.

- Zechce mi pan wybaczyć, Panie Tybetańska Księgo Umarłych, ale jak panu wiadomo, pracowałam jako dekoratorka wnętrz.

- Wiem o tym i jestem pełen szacunku.

W mojej głowie natychmiast odezwał się dzwonek alarmowy. Jeśli zamiarem Josha było wykpić płytki i powierzchowny sposób, w jaki zarabiałam na życie, nasza przyjaźń nie przetrwa długo. Zaczęłam badać jego twarz w poszukiwaniu śladów szyderstwa.

- O co chodzi? - zapytał.

- O mój zawód. Mój odstręczający małżonek utrzymywał, że to płytkie zajęcie i że ja też jestem płytka. Nie umiem o tym myśleć bez...

Okazał się na tyle subtelny, by zrozumieć od razu, że jeśli tylko zaczniesz żartować na temat mojego zawodu dekoratorki, wybuchnę.

Podszedł do mnie i ujął mnie za rękę.

- Caroline, bynajmniej nie myślę, że jesteś płytka. Zimna być może, ale powierzchowna w żadnym wypadku.

- Dziękuję panu, Panie Parzące Wargi.

Te jego cholerne tęczówki, migocące złocistymi iskierkami w popołudniowym słońcu. Poczulałam się jak świętoszka. Wielka, głupia świętoszka.

- A tak naprawdę to chciałem cię zapytać, czy znasz jakąś firmę, zajmującą się rekonstruowaniem tapet według historycznych wzorów? Jedną z tapet w jadalni uszkodziła mi wilgoć.

- Och. - Poczulałam zakłopotanie, że tak pośpiesznie wystawiłam mu negatywną cenzurkę. - Jasne, Scalamandre. Po prostu daj mi próbkę i możemy im ją wysłać ekspresem federalnym choćby i w tym tygodniu.

- Znakomicie, to byłoby coś.

Spoglądał na mnie tak, jakby było mu mnie żal. Litość? Może w pewien sposób było mu przykro, może poczuł ukłucie rozczarowania, że mojego ducha krępuje tak wiele ziemskich przywar - niewiara w siebie, niepewność, wybuchowy temperament, cała lista ludzkich wad, równie długa, jak spis bielizny do pralni. Poczulałam się strasznie niedojrzała. A przecież nie byłam taka. No więc?

Żyjąc z Richardem, wytyczyłam dla siebie ciasny, ściśle ograniczony obszar i nigdy nie przekraczałam jego granic. Moje zwykłe, codzienne czynności koncentrowały się wokół potrzeb Erica, potrzeb Richarda, wreszcie potrzeb moich klientów. A może taki sposób na życie był tylko uchylaniem się od wszelkiego wyzwania, odmową jego przyjęcia? Może to, co uważałam za dojrzałość, było jedynie oporem przed jakąkolwiek głębszą introspekcją? Na przykład taki Josh. Jego zachowanie od początku do końca nacechowane było życzliwością, a ja mimo to nie przestawałam wypatrywać pułapek z jego strony.



Już ponad miesiąc nie medytowałam ani nie ćwiczyłam jogi. Najwyższy czas powrócić do tych pożytecznych nawyków. Odkąd przekroczyłam próg Wysokich Sosen, nie robiłam nic poza pić wina, jedzeniem tłuszczu zwierzęcego i pieprzeniem się z Joshem tamtej jednej, pamiętnej nocy. I jeszcze mnóstwo czasu poświęciłam prowokowaniu go do rozmyślań, czy ma szansę na repetę. Nie! Chociaż. .. jakby się tak bliżej zastanowić, to przez całe lata nie bawiłam się równie dobrze, jak teraz. Ale swoją ciemną stronę też to miało. Poruszając się tą ścieżką, szybko będę musiała opuścić szczyt Wzgórza Moralnej Przewagi. A, do diabła ze Wzgórzem Moralnej Przewagi, zdecydowałam. Rozrywka, oto czego mi teraz potrzeba.

To było zaskakujące, ale większość przedmiotów, które przez całe lata mieszkania w Nowym Jorku gromadziłam wokół siebie niczym chomik, mogłam spokojnie zostawić w pudłach. Czyżby był to pierwszy krok w kierunku swego rodzaju dojrzałości? Teraz najważniejsze dla mnie było mieć przy sobie Erica i być z daleka od bagna Richarda i Lois.

Zabrałam się do rozpakowywania kolejnego pudła. Podniosłam głowę, spoglądając na mojego syna, bawiącego się w pobliżu. Zauważyłam, że wchodząc do stajni, zerkał podejrzliwie na Josha. Musiał wyczuć moje spojrzenie, bo podszedł do mnie i wyszeptał mi wprost do ucha:

- Mamuś, mogę cię o coś zapytać?

- Nie szepcz, Eric, to nieładnie, skarbie. Bez względu na to, co masz mi do powiedzenia, jestem pewna, że możesz uczynić to w obecności Josha.

Od razu się najeżył. Błąd z mojej strony. Pewne rzeczy zawsze będą dotyczyły wyłącznie mnie i jego, tymczasem ja postawiłam go w kłopotliwej sytuacji, każąc mu zwierzać się w obecności kogoś, kogo ledwie znał. Popatrzył na podłogę, potem na mnie, wreszcie wydusił:

- Po prostu zastanawiałem się, czy dzisiaj wieczorem znowu idziesz gdzieś z Joshem, to wszystko.

Na szczęście dobry Bóg obdarzył Josha sporą porcją zdrowego rozsądku, więc nie wtrącał się do naszej rozmowy, tylko zajął się pudłem po drugiej stronie stosu.

- Tak, pewnie się gdzieś wybierzemy. - Eric momentalnie się nachmurzył. Wystarczyło, bym na niego spojrzała, a już wiedziałam, jak bardzo pragnie, bym została z nim w domu. Objęłam go ramieniem. - Coś ci powiem.

- Co? - zapytał z taką rezygnacją w głosie, jakby przypuszczał, że zaraz mu oznajmie, że wyjeżdżam na cały miesiąc.

- Mama miło spędza tu czas. I ty też, przyznaj sam. Wiem, że jest ci trudno zrozumieć, że mama potrzebuje przyjaciela, kogoś do towarzystwa...

- Wcale nietrudno. Wszyscy potrzebujemy przyjaciół.

- Świetnie. Nie mam ci za złe, że zastanawiasz się, co się dzieje, i pewnie to racja, że ostatnio dużo czasu spędzam poza domem. Coś ci zaproponuję - nie musisz zgadzać się od razu, po prostu zastanów się.

Popatrzył na mnie, a we mnie momentalnie stopniało serce, jak zawsze, kiedy w jego oczach malowała się prośba.

- No dobrze - powiedział.

- Jutrzejszy dzień spędzimy tylko we dwoje. Ja i ty, i nikt inny. Co powiesz na wycieczkę łodzią wokół Charlestonu, z przystankiem w Fort Sumter?

- Z lunchem?

- *Yep*. A potem wypożyczalnia kaset, łóżko, popcorn, coca-cola, no i rano wylegiwanie się do późna. Jak ci się to podoba?

- Świetnie. To łapówka, ale biorę. - Zarzucił mi ręce na szyję i mocno mnie uściskał.

Poczułam jego zapach, słodki zapach potu chłopca, który się nabięgał.

- Zaklepane. W takim razie zabieraj się do tego pudła. Nie mamy całego dnia, a ja już jestem znudzona.

- *No problemo*.

Podszedł do nas Josh, niosąc oprawione w ramki zdjęcie. Jeszcze zanim je ujrzałam, wiedziałam, co to takiego. Ja i Richard w dniu naszego ślubu. O Boże.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że on tak wyglądał - zauważył.

- On też nigdy by nie przypuszczał, że ty będziesz tak wyglądał.

Roześmialiśmy się wszyscy - Eric, Josh i ja. Było dobrze.

- Wiecie co? - powiedziałam. - Dosyć już mam tej zakurzonej stajni i tych wszystkich papierzyk. Proponuję coś innego - szybki prysznic, potem, Josh, jedziemy do ciebie, bierzemy próbkę tapety, idziemy coś przekąsić i wracamy tu na noc. Eric, wybierzesz się z nami?

- Nie, jedźcie sami. Przywieziecie mi pizzę?

- Pokój gościnny? - zainteresował się Josh.

- Jasne - odparłam, grożąc mu palcem.

Jechaliśmy do Charlestonu autostradą numer 17 północną, w wygodnym milczeniu, zwalniając na służących ograniczeniu prędkości pułapkach i potem znowu przyśpieszając. Josh zerkał na mnie od czasu do czasu. W przytłumionym, popołudniowym świetle Lowcountry ponownie narzucało na siebie płaszcz romantyzmu. Westchnienia silnika, kiedy Josh naciskał pedał gazu, leciutkie podmuchy słodkiej, przedwieczornej bryzy, wszystko promieniowało subtelnym, ale nieodpartym urokiem. Senna pora - czas na refleksję, na swobodne krążenie myśli.

Myślałam o Joshu, o tym, jak pozwoliłam mu wkroczyć w swoje życie, rozpanoszyć się w nim. Nie powinniśmy podtrzymywać tej znajomości - nawet jako przyjaciele. Chociaż, z drugiej strony, nie widziałam nikogo, komu moje przebywanie w towarzystwie tego najmniej prawdopodobnego ze wszystkich kandydatów na przyjaciela miałoby przynieść krzywdę. Co ryzykowałam? Reprimendę matki, Millie i Erica? Zgoda, to było łatwe, stanowiło rodzaj ulegania własnej słabości, nie przeczę. Ale właśnie samopobłażania było mi potrzeba. Ludzie, czy ja musiałam tak wszystko racjonalizować?

Kiedy znaleźliśmy się w domu, Josh bez ceremonii nalał wina, oderwał kawałek tapety i włożył do plastikowego woreczka. Właśnie zajęta byłam umieszczaniem go w torebce, kiedy zawołał z kuchni:

- Na kolację wychodzimy czy zostajemy? Jak wolisz?

To było ostrzeżenie, choć ubrane w szaty zwykłego pytania. Odpowiadając, przyznawałam jednocześnie, do jakiego stopnia jestem zaangażowana. Przebywanie z Joshem i jego włosami w zaciszu domowym to jedno. Zupełnie czymś innym było pokazać się w towarzystwie mężczyzny z dredami na ulicach Charlestonu. W tym wypadku nie

obejdzie się bez gadania. Zastanowiłam się przez moment. Miasto było pełne turystów, a ja mieszkałam daleko stąd już od tak dawna, że o ile nie zdecydujemy się na Yacht Club, szansa spotkania kogoś znajomego jest doprawdy niewielka. Jeśli wybiorę lokal odwiedzany przez turystów, uniknę gapienia się i następnie pytań.

- Chodźmy gdzieś! - zawołałam do Josha. Proszę bardzo, przemknęło mi przez myśl, z jaką łatwością wzięłam tę przeszkodę. Josh nie będzie czuł się zakłopotany, a mnie nie przypadnie w udziale zmywanie naczyń po kolacji. Poza tym z dala od domu łatwiej mi przyjdzie odpieranie pokus. Znakomicie się składa.

- SNOB?

Slightly North of Broad, Nieco na Północ od Broad. Za nic w świecie. Za bardzo tam lokalnie.

- Może raczej Magnolia? - zaproponowałam. - Mam wielką ochotę na krabowe ciasteczka.

- Świetnie, Magnolia, doskonały wybór.

Była siódma trzydzieści i na dworze panował już niemal całkowity mrok. Szliśmy starymi, wąskimi uliczkami, w cieniu mirtowych drzewek, przy dźwiękach zamierającego ruchu, otoczeni zapachem jaśminu. Wokół roztaczała się cudowna wiosenna noc, jedna z tych, dla których człowiek mieszkał w Charlestonie i które wspominał z utęsknieniem, gdy na dworze panoszyło się lato ze swoimi zabójczymi upałami. To właśnie takie noce usprawiedliwiały fakt wybierania Charlestonu na miejsce zamieszkania. W sierpniu można się było wyłącznie modlić o chwilę wytchnienia od prażącego nieubłaganie słońca i wilgoci tak gęstej, że wystarczyło wyciągnąć

rękę, żeby jej dotknąć. Przypomniałam sobie, że jako mała dziewczynka szłam tędy z tatusiem i matką do Dock Street Theater.

Niebawem byliśmy na miejscu. Josh przytrzymał przede mną drzwi i wkroczyliśmy w świat przyćmionych świateł Magnolii. Wnętrze lokalu wypełnione było ludźmi ubranymi w płótno, niezważającymi na coraz to nowe zmarszczki i zagniecenia, pokrywające materiał niczym hiszpański mech pień dębu. Wszędzie panował ogłuszający hałas; w gościnnej atmosferze popularnego lokalu wszyscy zdawali się wyśmienicie bawić. Wokół baru tłoczyły się ze trzy rzędy gości, rozgadanych, wznoszących toasty.

Josh zamienił kilka słów z jowialnym właścicielem, który zapewnił, że nasz stolik będzie gotowy za dziesięć minut; może zechcemy przez ten czas napić się czegoś w barze. Jakoś udało nam się wymanewrować przez tłum i precyzyjnie do miejsca, gdzie kończył się dębowy, wypolerowany na wysoki połysk blat. Zdołałam przebić się do baru i zamówić dwa kieliszki chardonnay, tak abyśmy mieli co popijać, obserwując gości.

Dobry nastrój nas nie opuszczał. Postanowiliśmy zjeść skromną kolację i wrócić do Wysokich Sosen.

- Żadnych przystawek, żadnych deserów, dobrze? Nie chciałabym znaleźć się w domu zbyt późno.

- Rozumiem. Eric pewnie tęskni do swojej mamy, żeby go utuliła.

- Właśnie - przytaknęłam z wdzięcznością, że Josh podzieliła moje uczucia. Przypatrywałam mu się przez dłuższą chwilę. Tak, w nim wreszcie znalazłam przyjaciela obdarzonego duszą. Postanowiłam pójść się odświeżyć. Zanim wrócę, stolik powinien być gotowy.

- Ty trzymaj miejsce - powiedziałam - a ja zaraz wracam.

Skinął głową i odebrał ode mnie kieliszek. Właśnie przeciskałam się przez tłum, do holu, gdzie znajdowały się toalety, kiedy dostrzegłam znajomy tył głowy. Mój brat. Mój brat Trip w towarzystwie kobiety, bynajmniej nie Frances Mae. Rusty! Nauczycielka Erica. Ręka Tripa wyciągnięta nad blatem stolika, trzymająca jej dłoń. Oboje pogrążeni byli w rozmowie.

Jakby mi kto przycementował stopy. Szczękę miałam na podłodze. Potrafiłam tylko spoglądać przed siebie, oczami szeroko otwartymi z niedowierzania. Moją pierwszą myślą było uciec stąd. Niestety, nogi za nic w świecie nie chciały mnie posłuchać. Josh i ja mogliśmy po prostu wyjść, pójść na kolację gdzie indziej, mogliśmy też zostać, licząc na to, że tamci nas nie zauważą. Ale mogłam również wykorzystać to spotkanie, potraktować jako cenne doświadczenie, łączące mnie z bratem, uznać za początek wspólnej konspiracji przeciw tej obmierzłej kreaturze Frances Mae. Nie, żadne z tych rozwiązań mi nie odpowiadało. Tak naprawdę wolałabym po prostu nigdy ich tu nie spotkać. Stanowczo miałam w sobie coś z ostrygi.

Wreszcie precisnęłam się do garderoby. Co mam z tym wszystkim począć? - zapytywałam samą siebie. Pozwoliłam sobie na dłuższy wykład w tej kwestii. Nie co innego, tylko jajniki Frances Mae od samego początku wbijały klin między matkę, Tripa i mnie. Trip ożenił się z nią kierowany poczuciem obowiązku, uważając, że jego powinnością jest zostać ojcem dziecka, które spłodził. Oczywiście nikt nie mógł przewidzieć, że te dzieciaki stanowią będą taki dopust. Małżeństwo mojego brata było postępkim honorowym i szanowałam go za to. Natomiast niewierność wydawała mi się czymś niewybaczalnym. Sypiać z

żoną i w tym samym czasie z inną kobietą? Gdzie szukać usprawiedliwień? Czyż nie tak właśnie postępował Richard, który twierdził, że jego potrzeby są znacznie ważniejsze niż nasza umowa? Czy Trip zachowywał się teraz tak samo? Nie, nie uwierzę w to ani przez moment.

Umyłam ręce i przejrzałam się w lustrze. Muszę przecież zaaranżować na nowo moją twarz, wyraz kompletnego zaskoczenia zastąpić spokojem i całkowitym opanowaniem. Dzięki Bogu, że Rusty nie przyszło do głowy, żeby pójść umyć ręce akurat teraz. Przekopywałam torebkę w poszukiwaniu puderniczki, myśląc jednocześnie o swojej rzekomej pogoni za prawdą, odkrywaniu siebie i o tych wszystkich rzeczach, których pozbawiło mnie małżeństwo z Richardem albo których ja sama się pozbawiłam (która wersja była prawdziwa, nie potrafiłam na razie rozstrzygnąć). I pomyśleć, że poprzednio przyjechałam tu z misją sprawdzenia, co z matką. Dlaczego nie dostrzegłam wówczas, co z Tripem? Czy cała moja rodzina wyczekiwała ratunku ode mnie?

Pociągając usta pomadką Coco Chanel, zaczęłam chichotać. Nie potrafiłam nawet porządnie nałożyć szminki na rozedrgane wargi. Matce trafił się numer w postaci prywatnego nauczyciela języków, ja obnosiłam się z korepetytorem, facetem o idealnym motorze, ciągnącym niczym Bentley, a Trip nadział się na Rusty. A to ci dopiero dowcip.

- Nie uwierzysz, kogo spotkałam - powiedziałam, wracając do Josha i opowiadając mu wszystko.

Czułam zakłopotanie, Joshowi natomiast nie sprawiło to żadnej różnicy. Że też Trip odważył się na taki krok, wprost nie mogłam w to uwierzyć. Ale jednego byłam pewna; nie będę miała mu niczego za złe.



- Z tego, co mi opowiadasz, wnoszę, że pozostaje nam do zrobienia tylko jedno.

- Mianowicie?

- Okazać miłosierdzie. Zerknijmy do karty win.

Po chwili butelka mummsa wylądował na stoliku kochanków.

Dołączony do niej bilecik głosił: „Wszystko w porządku. Nikomu ani słowa. Caroline”.

RS

## **Dziennik Miss Lavinii**

*Na Boga, sama nie potrafię uwierzyć, że pozwoliłam temu mężczyźnie z włosami przenocować w moim pokoju gościnnym. Nigdy też nie sądziłam, że kiedykolwiek wypowiem te słowa, ale zaczynam wierzyć, że Caroline zrobiłaby o wiele lepiej, zostając z Richardem. O wiele lepiej. Wiem, coś im się tam nie układało, ale, Matko Przenajświętsza, Richard przynajmniej był psychiatrą. A tego szaleńca jak mam przedstawiać moim przyjaciółom? Gotowi są pomyśleć, że się z nich naigrawam. Już sobie wyobrażam te wszystkie gęby w Cotillionie. Ale - i to trzeba mu przyznać - potrafi się zachować. Zawsze przytrzymuje przede mną drzwi, a w końcu dobre maniery mogą zrekompensować wiele innych niedoskonałości. W rozmowie też potrafi być bardzo interesujący - te jego opowieści na temat karmy - wyobrażam sobie, że dla Caroline musi stanowić to przyjemną odmianę. Zupełnie inaczej mój Peter. Zaraz, czy ja powiedziałam: mój Peter? Och, Lavinia, ty niedobra dziewczynko. Koniecznie muszę opowiedzieć o tym Sweetie i Nancy.*

## Rozdział 35

### Rodzinne klejnoty

Każda rodzina ma swoje sekrety - historie naszych słabości i naszych z nimi zmagania. Przyłapanemu na łasuchowaniu Tripowi niezręcznie teraz będzie używać sobie na nas. Zresztą wszystkim nam będzie trudniej wystawiać sobie cenzurki. Najlepiej zebrać wszelkie nasze kwaśne niedyskrecje i przyrządzić z nich cytrynową lemoniadę.

Josh przenocował w Wysokich Sosnach, ale w osobnej sypialni, na szczęście całkiem sporej. Wielkie rzeczy.

W sobotę rano zerwałam się o szóstej, po czym przystąpiłam do zaparzania kawy - ziarnistej, ze szczyptą czegoś tam jeszcze, prosto z Kostaryki. Ostatni matki zakup *on-line*.

Po chwili płyn zaczął skapywać, napędzając kuchnię aromatem rozkosznej obietnicy. Pachniał istotnie pięknie. Matka odkryła w Internecie całe mnóstwo rzeczy uprzyjemniających człowiekowi życie i teraz dosłownie codziennie zasypywały nas paczki, od których ciężaru doręczyciele omal nie dostawali przepukliny.

Zaczęłam przesiewać mąkę do należącej do matki starej ceramicznej miski do ucierania. Skoro miałam zamiar rozpocząć autoanalizę, potrzebny mi był rytuał, tak aby mój umysł łatwiej ruszył z miejsca. Postanowiłam zrobić biskwity - coś, czego nie robiłam już od lat. W Nowym Jorku wsadzałabym teraz zamrożonego bajgla do kuchenki mikrofalowej albo przygotowywałabym kromkę pełnoziarnistego chleba z obniżoną zawartością tłuszczu. Za to tutaj pędziłam jak szatan po śliskiej drodze nasmarowanej tłuszczem, i w dodatku rozkoszowałam się tą jazdą.

Za pomocą dwóch widelców, tak jak mnie tego nauczyła Millie, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką, odcięłam kawał zimnego masła i Crisco. Jeszcze nie całkiem rozbudzona, pomyślałam nagle o Ericu. Mój aniołek śpi jeszcze w swoim pokoju. A jeśli wkrótce zbiegnie na dół? Co powie na śniadanie w towarzystwie Josha? Z pewnością nie będzie zachwycony.

Nad moje miasto nadciągały obłoczki troski, drobne chmurki na ciemniejącym niebie, podobne znakom ostrzegawczym. Ależ ze mnie idiotka. Przecież tu właśnie tkwił powód, dla którego ludzie rozwiedzeni albo przed czy w trakcie separacji - do licha, sama nie wiedziałam, do której z tych kategorii mogłabym się zaliczyć -zwlekali całą wieczność, zanim decydowali się przedstawić dzieciom nowego przyjaciela czy przyjaciółkę. Była to zwyczajnie niezręczna sytuacja.

A w dodatku czy ten naprawdę wątlutki stosunek, łączący mnie z Joshem, wart był tego, by narażać Erica na dyskomfort? A niech to piekło pochłonie. Matka zabawiająca się z tym staruszkiem Greerem, Trip grający w łapki z Rusty i ja, obściskująca się z Rastamanem. Rzeczywiście dobrane z nas towarzystwo. Czy to całe moje chodzenie z Joshem rzeczywiście było tego warte? Na litość boską, Josh miał przecież uczyć mojego syna. To się musi skończyć, postanowiłam w duchu, jednocześnie modląc się, by Eric spał jak najdłużej. *Yeah*, pogoń za szczęściem; rzeczywiście doskonale to sobie zaplanowałam.

Rozgrzałam piekarnik, nalałam kawy do kubka i zajęłam się biskwitami. Wylałam surową masę na podsypany mąką marmurowy blat i zaczęłam wyrabiać ciasto. Za suche, zdecydowałam, dodając śmietany. Do diabła z kaloriami. Zawinęłam ciasto w folię, włożyłam do lodówki, żeby

je oziębici, wyjęłam jajka do smażenia i rozbiłam je w osobnej misce. Nad paterą z owocami unosił się słodki zapach dojrzałej kantalupy. Sięgnęłam po owoc, obrałam, pokroiłam na cząstki i ułożyłam je na matczynym talerzu od Herenda Rothchilda, tym ręcznie malowanym w ptaki i owady.

Piekarnik rozgrzał się dostatecznie, więc wyjęłam z lodówki schłodzone ciasto, rozwałkowałam je na blacie i zaczęłam wycinać biskwity omączonym brzegiem szklanki do soków. Ile pokoleń kobiet przede mną wstawało rano, kiedy cały dom przeniknięty był jeszcze chłodem, rozpalało piec i w samotności przystępowało do przygotowywania śniadania dla swoich mężów i dzieci? Ile tysięcy biskwitów upiekły? Czy czuły ból w rękach od wilgoci zimowego poranka?

Ciekawe, jak wyglądałabym w długiej nocnej koszuli, peniuarze i czepeczku z czasów wojny secesyjnej, zamiast w dżinsach i T-shircie. Nagle zatęskniłam za przeszłością, która wydała mi się tak oddalona.

Muszę poprosić matkę, żeby dała mi do przeczytania dziennik mojej prapraprababki. Może wreszcie zmądrzałam i dojrzałam do tej lektury?

W Nowym Jorku byłam zwolenniczką oszczędnych, nieskomplikowanych dań, zwłaszcza w obecności Richarda, którego obiady składały się najczęściej z przypieczonego na grillu kawałka mięsa, sałaty i skrobi w jakiejś postaci. To wszystko. A kiedy naprawdę nauczyłam się czerpać radość z gotowania, nasz tryb życia skrócił mój czas przebywania w kuchni i naszego wspólnego przesiadywania przy stole do tego stopnia, że posiłki stały się niczym więcej, niż tylko uzupełnianiem paliwa. Romantyzm gotowania zagubił się gdzieś po drodze.

Dom, Lowcountry objawiły mi nową wizję przygotowywania i spożywania jedzenia. Eric złowi i oczyści rybę, a potem przyniesie ją do mnie, żebym ją przyrządziła. Ja ją zamarynuję albo natrę oliwą i ziołami. Będzie naprawdę pachniała świeżą rybą, tak jak powinna, zupełnie inaczej niż owe wymoczki, kupowane przeze mnie w Food Emporium w Nowym Jorku, leżące na lodzie dwa tygodnie albo i dłużej. Tutaj jedzenie zbliży nas do siebie, przywróć akt wspólnego spożywania posiłków - to intymne, prywatne, czysto rodzinne doświadczenie. Nie mogłam się przy tym nie roześmiać na myśl o tej zbędnej celebrze, jaka towarzyszyła stołowi matki. Nie będę wpajała w Erica, że jestem królową, nauczę go natomiast, że posiłek przyrządziliśmy razem i że tak należy go zapamiętać - jako wspólnie spędzoną chwilę.

Drzwi do kuchni otworzyły się. Josh.

- Dzień dobry - odezwałam się przyciszonym głosem, bo nie chciałam, żeby usłyszano mnie na górze. - Masz ochotę na małe śniadanko?

Ubrany był w biały T-shirt i szorty. Stopy gołe, ramiona gołe. Jezus, ile w nim było ognia. Zbliżył się do mnie. W jego łagodnych, szczęśliwych, brązowych oczach odbijał się cały charakter.

- Dzień dobry - powiedział, całując mnie w oba policzki. - Wypoczęłaś?

- *Yeah*. Wiesz, co właśnie sobie uświadomiłam? Że w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin każdy z członków grona pedagogicznego, zaangażowanego przecież do edukowania mojego syna, w ten czy inny sposób związał się z kimś z mojej własnej rodziny. A zatem zerwałam się

z łóżka i zajęłam tym, czym zajęłaby się każda dziewczyna z Południa, postawiona w mojej sytuacji.

- To znaczy? - Śmiał się, w duchu śmiał się ze mnie; mogłam niemal słyszeć jego chichot.

- Włożyłam płytę „Ironie” do odtwarzacza, umalowałam usta i zagniotłam ciasto na biskwity. Znasz jakieś lepsze sposoby? -Otworzyłam piekarnik, wyciągnęłam blaszkę i położyłam na blacie. - Umieram z głodu. W obliczu kryzysu zawsze robię się głodna.

- Nie powinnaś tak się tym wszystkim przejmować. No, zabierajmy się do jedzenia. Co za boski zapach!

Rzeczywiście, całą kuchnię wypełnił zapach roztopiającego się masła na chlebowym cieście. Ślinka napłynęła mi do ust. Nie mogłam się powstrzymać. Oderwać gorący biskwit palcami od blaszki i wpakować sobie do ust zaraz, natychmiast, nie zważając na poparzone wargi i opuszki. Josh posługiwał się łąpatką; odrywał biskwity, smarował je masłem i NCDNNP dżemem truskawkowym Miss Sweetie i pochłaniał w całości. Napychaliśmy się, przewracając oczami, oblizując palce i wzdychając z rozkoszy do unoszących się obłoczków pary. Ludzie, wierzcie mi, że nie ma nic lepszego nad świeży, parujący jeszcze biskwit.

Przed ósmą naczynia powędrowały do zmywarki, a ja i Josh pożegnaliśmy się na frontowych schodach. Jego odejście sprawiło mi ulgę; odejście i jednocześnie świadomość, że między nami nic się nie zmieniło. Nasz wzajemny stosunek okazał się zupełnie nieskomplikowany. No i dobrze, skwitowałam w myślach, taki przyjaciel na niepełny etat to akurat tyle, ile mi potrzeba i z czym dam sobie radę.

Podświadomie przez cały czas wyczekiwałam Tripa, że zaraz się pojawi, żeby wyruszyć na rzekę, ale tego ranka mojego brata jakoś nie było widać. No tak, widać układa sobie, co ma mi powiedzieć przy spotkaniu, i jeszcze się nie zdecydował na żadną z wersji. To na pewno to; tylko tak paskudna wpadka, jak przyłapanie *in flagranti* mogło go zatrzymać z dala od Edisto.

Ciekawe, jak też nasze grono nauczycielskie nawiąże współpracę w poniedziałek, kiedy przyjedzie rozpocząć naukę z Erikiem. Pożyjemy, zobaczymy. Od rozmyślań oderwał mnie telefon. Rzuciłam się do słuchawki, bo nie chciałam, żeby dzwonek zbudził matkę albo Erica. Dzwonił Trip.

- Już na nogach? - zapytał.

- Od szóstej. Co się stało? - Owinęłam spiralny przewód telefoniczny wokół palca, przygniatając pęcherz wielkości stanu Oregon.

- Sama jesteś?

- Tak, matka i Eric jeszcze w betach. Gorące Wargi pomaszerowały do domu.

Cisza po tamtej stronie przewodu.

- Trip, na miłość boską, przestań zachowywać się jak dziecko. Chcesz usłyszeć, co sędzę na temat ostatniej nocy? - Czyżbym rzeczywiście miała zamiar mu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę?

- Caroline, czy będę musiał kupić twoje milczenie?

- Prędzej odciąłabym sobie język, niż powiedziała o tym komukolwiek.

- Gdyby Frances Mae dowiedziała się, że jadłem kolację z Rusty, zgotowałyby mi to samo, czym ja raczę swoich klientów.



- Trip, a może po prostu przyjeżdż i wyprawimy się łodzią. Chyba powinniśmy pogadać.

W pół godziny później, niepewny i zdenerwowany, Trip ciężko władował się do kuchni. Nalałam kawy do termosu i podgrzałam kilka biskwitów.

- No więc? - zaczął.

Zawinęłam jego śniadanie w papierowy ręcznik i popatrzyłam mu prosto w twarz.

- Chciałabym rozpocząć nasze spotkanie od pewnego stwierdzenia natury ogólnej - powiedziałam, naciągając denimową kurtkę.

- Mianowicie?

- Że w naszej rodzinie wszyscy jesteśmy pokręceni, i to solidnie. Chodź, postraszymy aligatory.

Chwyciłam butelkę wody z lodówki. Wyszliśmy z domu tylnymi drzwiami. Miałam nadzieję, że do mojego braciszka dotrze wreszcie, że jestem jego siostrą bardziej, niż mógłby przypuszczać.

Silnik zaskoczył i wraz z powiewem bryzy doleciał nas zapach paliwa. Trucizna, a dla nas pachniała niczym perfumy. Trip, z ustami wypchanymi biskwitem, popijał kawę i jednocześnie zdejmował linę z pachołka. Odepchnęłam łódź od nabrzeża obcasem gumowca i włączyłam tylny bieg.

- Ja steruję. Płynmy do Ashepoo - zaproponowałam. - A teraz chcę usłyszeć, co się dzieje.

- Dzieje się mnóstwo.

To były znamienne słowa. Ja czekałam, aż on sam mi powie, on -aż zacznę pytać. Zwolniłam nieco i zwróciłam się twarzą ku niemu.

- No, Trip, wywal to z siebie.

- Mam pytanie.

- Strzelaj.

- Zamierzasz zostać na plantacji czy myślisz raczej o przeniesieniu się do Charlestonu?

- Czemu pytasz? To znaczy, nie wiem jeszcze. Dopiero co zostawiłam męża i w mojej głowie ciągle wszystko wiruje niczym karuzela. Miałam nadzieję, że przez lato zdołam to sobie jakoś uporządkować.

- Eric to świetny dzieciak.

Zanurzyłam dłoń w wodzie, potem otrzepałam ją i wytarłam o spodnie.

- Dzięki - rzuciłam, zastanawiając się, do czego właściwie Trip zmierza.

- Zwróciło się do mnie kilku gości z handlu nieruchomościami - mruknął. - Chcą kupić tysiąc akrów i zbudować osiedle domów -wiesz, takich jak te grodzone plantacje na Hilton Head.

- Matka w życiu się na to nie zgodzi. To jej ziemia.

- *Yeah*, ale po niej my ją dziedziczymy. Byłaby to prawdziwa gratka.

Przyglądałam mu się, mrużąc oczy i usiłując odgadnąć bieg jego myśli. Zupełnie jakby kierował nim jakiś przymus. Wyczułam to już podczas naszej rozmowy telefonicznej i teraz także, może nawet silniej. Nie chciałam pakować nosa w nie swoje sprawy, z drugiej jednak strony, miałam nadzieję, że uda mi się coś z niego wydusić.

- Trip, co ty kombinujesz? To posiadłość matki i może z nią robić, co zechce. Zapisać nam, przekazać Naturę Conservancy. Przecież wiesz, jak

mocno zaangażowana jest w działalność tego towarzystwa. Nie liczyłabym na nic. Matka uznała za swój obowiązek zachować ziemię w całości i traktuje tę kwestię niezwykle poważnie. Rozmawiałeś z nią o swoim pomysłe?

- Woląłem zacząć od ciebie. Byłoby to warte około czterech milionów dolarów, Caroline, z zależności od tego, ile akrów zdecydowalibyśmy się odsprzedać. To mnóstwo pieniędzy. Dwa miliony dla mnie, dwa dla ciebie. Zastanów się.

Gwizdnęłam przeciągle. To była fortuna. Dziesięć lat temu nie pomyślałabym, że plantacja może być warta aż tyle. Ceny nieruchomości bardzo wzrosły w ciągu ostatnich lat, i to z wielu powodów. Coraz więcej ludzi pracowało w domu, urodzeni w latach wyżu demograficznego szli na wcześniejsze emerytury i tak dalej. Trip miał rację, ale jednocześnie kompletnie ignorował jeden istotny punkt - to nie była gratka dla nas, tylko dla matki.

- Przesuń się - powiedział. - Chcę posterować. Oddałam mu koło.

- Posłuchaj, Trip, przecież to do ciebie zupełnie niepodobne. Skąd nagle taka desperacka potrzeba zdobycia pieniędzy, że aż chcesz matkę namawiać na sprzedaż ziemi?

Popchnął wajchę do przodu, tak że pędziliśmy teraz na pełnych obrotach.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Zwolnij, ty pieprzony Hossie, pozabijasz nas przecież.

Zakręcił dopływ paliwa i łódź wyhamowała raptownie, kołysząc się na wywołanej przez siebie fali.

- Zabity mogę zostać i tak - rzucił. Popatrzył na mnie i wówczas po raz pierwszy zobaczyłam na jego twarzy prawdziwy strach.

- Trip, jeśli władowałeś się w jakąś brudną aferę, musisz mi powiedzieć!

- Może nawet byłoby lepiej, gdyby wpakowali mi kulkę. Sam zresztą myślałem, żeby ze sobą skończyć. - Sięgnął do chłodziarki, wydobył puszkę heinekena i duszkiem wychylił połowę zawartości.

Pomyślałam o jego wątrobie; w ten sposób też kończył ze sobą, tyle że na raty. Powoli jednak zaczęło do mnie docierać, że mój brat mówi śmiertelnie poważnie. W co on się wpakował?

- Jak głęboko się wkopałeś? No, zdradźże choć tyle. Spoglądał na wodę, prawdopodobnie bijąc się z myślami, czy zwierzyć mi się, czy nie. Pikujące w powietrzu ptaki nawoływały się przenikliwie. Trip śledził je wzrokiem z takim natężeniem, jakby sądził, że ogląda je po raz ostatni, zupełnie niczym skazaniec usiłujący zapisać w pamięci wszystko to, co sprawiało mu w życiu najwięcej radości. Ze strachu zaczęłam płakać. Co on takiego zmalował?

- Wpakowałem się po samą szyję. Popłynąłem na prawie pięćset tysięcy dolarów. Brzydki dług, przegrana. No i teraz obawiam się, że mogą mnie za to sprzątnąć. A skoro już dumam o swoim życiu, które pewnie i tak ulegnie skróceniu, to wreszcie ośmielę się przyznać, że z całego serca nienawidzę swojej żonusi.

- Jezu Chryste, co ty opowiadasz? Hazard? Czeka, zaraz dojdziemy i do Frances Mae, ale hazard? Mój brat, ostry jak brzytwa prawnik, hazardzista?

- Znasz te automaty do pokera na stacjach benzynowych?

- Nie. To znaczy, nie jest to coś, co rzuciłoby mi się w oczy.

- *Yeah*, mnie się też nie rzuciło w oczy, że mam naturę hazardzisty.

Zacząłem się od futbolu. Do diabła, zakłady piłkarskie obstawiają wszyscy.

Nie w moim świecie, pomyślałam, ale nie był to moment, by mu o tym przypominać.

- Nie potrafiłeś przestać, tak?

- Tak, ale wyobraź sobie, że trafiały się i takie tygodnie, kiedy wygrywałem po trzydzieści tysięcy dolarów. Niesamowite uczucie.

- Myślę, że tak właśnie usprawiedliwiają się narkomani.

- O, dzięki, Caroline, wielkie dzięki.

- Czekał, ty palancie, przecież chcę ci pomóc jakoś się z tego wykaraskać. Nie możesz jednak oczekiwać mojej aprobaty. A teraz Frances Mae...

- *Yeah*, Frances Mae. Postaw się w moim położeniu. Babka taka jak Rusty Peretti - piękna, seksowna, bystra, kulturalna...

Położyłam mu rękę na ramieniu.

- Trip, niech mi Bóg wybaczy, nienawidzę zdrady i uważam ją za nikczemność. Ale nie sądzę, by ktokolwiek na ziemi mógł mieć ci ją za złe. Cokolwiek postanowisz, będę cię popierać. Ale nie posuwaj tej Frances Mae w nieskończoność. To prostackie. Rusty Peretti jest zbyt miłą i wartościową dziewczyną, by wciągać ją w jakieś trójkąty.

- Masz rację. Wydaje mi się, że od Rusty też już zdążyłem się uzależnić.

- Weź na wstrzymanie, *bubba*. Frances Mae cię przyłapie i ona dopiero przefasonuje ci buziuchnę.

## Rozdział 36

### *Złowrogie piętno*

Zanim Trip wysadził mnie na przystani koło domu, spędziliśmy na rzece jeszcze z dobrą godzinę, podczas której uszy dosłownie mi napuchły od szczegółów, jakimi uraczył mnie mój braciszek. Postanowiłam, że nim zrobi się na dobre gorąco, popracuję trochę w ogrodzie. Zajęcie dla rąk pozwoli mi uporządkować myśli. Skierowałam się w stronę szopy, w której Jenkins trzymał narzędzia, nie mogąc się uwolnić od natrętnego obrazu Tripa i jego sytuacji. Naprawdę paskudnie się wpakował. Żeby spłacić długi, najpierw brał pieniądze z procentów od posiadanego pakietu, potem jednak musiał naruszyć także kapitał. Na szczęście starczyło mu rozsądku, by nie zwierzać się z tego Frances Mae. Doprawdy nie mogłam go za to potępiać. Popłynął na pół miliona i jej histerie nie były mu do niczego potrzebne. Chodziło o jakieś rozwiązanie sytuacji, a tu -co do tego byliśmy całkowicie zgodni - nie można było na nią liczyć. I pomyśleć, że wydawało mi się, że to ja mam kłopoty.

Sięgnęłam po narzędzia schludnie uporządkowane na półkach, wzięłam rękawice, papierową torbę na śmieci, wiadro na ścięte kwiaty, parę ogrodowych nożyc i przez trawnik mokry jeszcze od rosy pomaszerowałam do różanego ogrodu matki. Krzewy osypane były pąkami. Ścinałam je z furją, usiłując jednocześnie znaleźć jakieś rozwiązanie kłopotów Tripa. Faktycznie nie miał wielkiego wyboru. Faceci od ściągania należności i wypłat wygranych najwyraźniej byli całkowicie wyprani z poczucia humoru, za to zakres ich działania

przedstawiał się nad wyraz różnorodnie - hazard, narkotyki, zbrodnia. Na razie sprytnie odcięli Tripa od zakładów i zapowiedzieli, że jeśli w ciągu tygodnia nie zorganizuje pięćdziesięciu tysięcy dolarów, spotka go przykrość. Niedobrze. Jakoś musiałam mu pomóc.

Pięćdziesięciu tysięcy nie miałam, a zresztą nawet gdybym dysponowała podobną kwotą, czy to rozwiązałoby cokolwiek? Nie sądzę. Sytuacja mnie przerastała i przerażała jednocześnie. Cholernie przerażała. Ale coś wymyślę, obiecałam Tripowi, wyskakując z łódki. Problem sam się nie rozwiąże; jakieś wyjście trzeba znaleźć, i to jak najprędzej.

Usunęłam już chyba ze sto pąków, a drugie tyle kwiatów nacięłam, żeby zabrać do domu, kiedy zorientowałam się, że ktoś stoi za mną i przygląda mi się. Spojrzałam za siebie i pod dębem ujrzałam Millie. Co tu robiła?

- Dzień dobry, Millie! - krzyknęłam w jej stronę.

Podeszła do mnie i dopiero wówczas odpowiedziała na moje pozdrowienie.

- To ty mi powiesz, czy ten dzień można nazwać dobrym. -

Przewiercały mnie oczy, w których malowało się tysiąc lat frasunku. -  
Więc?

I chociaż wątpiłam, aby coś z jej repertuaru mogło posłużyć jako remedium na dręczący mnie problem, a Tripowi przysięgłam milczenie, wzięłam głęboki oddech i opowiedziałam jej wszystko. Przecież i tak zobaczyłaby to w herbacianych fusach. Nie posiadała się z oburzenia.

- Co za głupota! W co ten chłopak się wpakował? Hazard? Stłukę go tak, że przez miesiąc nie usiądzie. - Gniewnie krążyła po ścieżce, mamrocząc pod nosem: - Panie miłosierny, zupełnie jakby nie wiedział, że

ma dzieci, którym musi zapewnić byt. Wiem, że Frances Mae to wrzód na dupie i prawdziwe utrapienie, ale przecież przysięgał jej przed Bogiem i nie godzi się teraz zrywać więzów tylko dlatego, że mu się odwidziało. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Wcale a wcale. Ale ja nie dopuszczę do tego, by mój chłopiec dostał się we władanie Ajoguna. Nie dopuszczę za nic na świecie.

Ajogun był duchem, rodzajem czarta, który wybierał sobie ludzi, żeby ich zniszczyć.

- Millie, boję się o niego - powiedziałam; broda mi się trzęsa, a Millie tylko popatrzyła na mnie i pokiwała głową.

- Chodź ze mną, *yanh*. Musimy uprzętnąć ten bałagan. I nie płacz. Łzy oszczędź na później.

Pomogła mi zebrać poprzycinane paki i gałązki do papierowej torby, a kiedy już się z tym uporałyśmy, poszłam za nią do jej domku. Niedbale rzuciłam narzędzia na ganek, po czym ściągnęłam z rąk rękawiczki i wytrzepałam je o poręcz, patrząc, jak pył opada na kwiatowe grządki poniżej.

- Wchodź, Caroline.

Kiedy Millie kazała mi wchodzić, wchodziłam bez zwłoki.

Jeszcze zanim moje oczy zdążyły oswoić się z półmrokiem, zobaczyłam, że ołtarzyk jest otwarty. Millie gdzieś zniknęła, ale zaraz pojawiła się, ubrana w biały kaftan i przepasana w talii czerwoną szarfą. W rękach niosła misę z ziołami. A więc miała zamiar odprawić modły. Kiedy Millie się modliła, zawsze uzyskiwała odpowiedź.

Rozpoczęła rytuał - zapalanie świec, potrząsanie grzechotkami, pokłon do ziemi na prawym biodrze i lewym łokciu, a potem na drugą



stronę. Między kolejnymi inwokacjami mocno zaciskała szczęki. Spod wpeł przymkniętych powiek widać było źrenice poruszające się w górę i w dół, tak jak wznosiła się i opadała modlitwa. Klęczała z rozpostartymi ramionami, coraz bardziej pogrążając się w transie. Takiej nie widziałam jej od czasu śmierci tatusia, kiedy byłam małą dziewczynką. Może praktykowała przez cały czas? Nie wiedziałam. Czekałam cierpliwie, widząc, jaka jest skoncentrowana, jak usilnie o coś błaga. Upłynęło dalszych kilka minut i Millie wymamrotała coś bez związku, wreszcie przysiadła na piętach i opuściła ramiona. Trans minął.

Z widocznym wysiłkiem dźwignęła się na nogi, pogasiła świece, zamknęła drzwi szafy, po czym zwróciła się do mnie:

- Dla twojego brata błagałam o pomoc, a tamtym ześlę haga - oświadczyła z powagą niezwykłą nawet jak na nią. - Idź teraz do domu, a kiedy twój brat powróci znad rzeki, zaraz przyślij go do mnie. Niech nie marnuje czasu na łowienie ryb i inne głupstwa. Niech go poświęci ratowaniu samego siebie.

- Martwisz się, prawda? - zapytałam.

- A ty nie? A teraz idź już, pozostaw sprawę mnie. Nie pomożesz mi na razie, bo wiedzy masz zaledwie ociupinę, nawet naparstka nią nie napelnisz.

Coś zaczęło mnie dławić. Słowa przeprosin za to, że jestem taka bezużyteczna dla Tripa, dla niej, więzły mi w gardle. Co mogłam zrobić?

Szłam do domu, nie przestając myśleć o moim bracie. Co mogłam zrobić? Zanieść róże do pokoju matki i przygotować śniadanie dla Erica. Codzienne obowiązki też przecież trzeba wypełnić. Jezu Chryste i wszyscy święci w niebie! A jeśli naprawdę załatwią Tripa, wówczas rodzina

zmuszona będzie pomóc Frances Mae wychować dziewczynki. Rodzina, czyli ja!

A weźże się w garść, Caroline, upomniałam się na głos, i pomyśl, co wtedy zrobisz.

Nagle zapragnęłam podzielić się wszystkim z matką. To tyle, jeśli idzie o dane Tripowi słowo, że będę milczała. A może nie będę musiała nawet otwierać ust, może wyczyta wszystko z moich myśli, przeobrażona w ciągu jednej nocy w Sylvię Brown? Nie licz na to, Caroline.

Otworzyłam kuchenne drzwi i zobaczyłam Erica zajadającego tost, popijającego sok pomarańczowy i oglądającego kreskówki w telewizji. Zegar wskazywał dziesiątą.

- Cześć, skarbie - powiedziałam, całując go w czubek głowy. - Starczy ci tego śniadania?

- Co? O, *yeah*. Kiedy zobaczyłem suva wuja Tripa, od razu sobie przyszykowałem jedzenie. Pomyślałem, że jesteś z nim na rzece.

- Dzięki, kochanie - powiedziałam, wstawiając róże do zlewu. - Czy babcia już wstała?

- Jeszcze nie - odparł i roześmiał się, całkowicie pochłonięty tym, co rozgrywało się na ekranie. - Patrz, mamusiu, patrz.

Wstawiłam róże do wazonu.

- Teraz nie mogę, skarbie. A ty nie siedź tak blisko ekranu. Zepsujesz sobie oczy. - Zignorował kompletnie moją uwagę. - Zaniosę mamie kwiaty, zaraz wracam.

Zupełnie jak w Nowym Jorku, nic do niego nie docierało. Idąc po schodach na górę, myślałam o tym, z jaką łatwością mój syn odnalazł się w Karolinie Południowej.

Problemy Tripa - obrzydliwe, niebezpieczne - wyszły na światło dzienne. Teraz czeka nas jeszcze pożalowania godny spektakl odkrywania kart przed Frances Mae, ale to wszystko pestka w porównaniu z sytuacją, w jaką uwikłał się mój brat. Uporamy się z tym wszystkim, Millie i ja. Jakoś. A może matka też coś doradzi?

Weszłam do jej sypialni. Już nie spała, była w garderobie. Postawiłam róże na komodzie.

- Kto tam? - zawołała z przyległego pomieszczenia.

- Komisja do spraw Moralności, aby przedyskutować kwestię twojego najnowszego podboju.

Matka pojawiła się w sypialni z promiennym uśmiechem młodziutkiej studentki, przyłapanej na gorącym uczynku.

- Dzień dobry, mamó - to właśnie zamierzałaś powiedzieć, prawda? O, róże. Dziękuję ci, kochanie. Czy wszyscy już wstali?

Wzięła wazon i odwróciła się, żeby go zanieść do garderoby. Na plecach, powyżej talii, prawie między łopatkami, miała czarne znamię.

- Mamó, co to jest? Co ty masz na plecach?

Nie zatrzymała się nawet, tylko rzuciła przez ramię:

- Nic takiego. Znamię. Paskudny, mały pieprzyk.

Nawet z tej odległości widziałam, że nie jest to żaden paskudny mały pieprzyk. Poszłam za nią do łazienki. Matka malowała się, stojąc przed wielkim lustrem, otoczonym rzędem hollywoodzkich świateł.

- Mamó, czy pokazywałaś to jakiemuś specjaliście?

Znamię jątrzyło się obrzydliwie, zupełnie jakby w tym miejscu kilkakrotnie pękła skóra.

- Och, Caroline, nie zwracaj sobie tym głowy. Zobaczysz, jak doczekasz mojego wieku, też ci zaczną wyskakiwać na skórze różne świństwa, o jakich ci się przedtem nie śniło i o jakich z pewnością nie będziesz chciała rozmawiać. Jadłaś śniadanie? Powiedz mi, co sądzisz o doktorze Greerze?

- Tak, śniadanie jadłam, myślę, że nie powinnaś zabawiać się z nauczycielem Erica i zdecydowanie niepokoi mnie to, co masz na plecach. Stój spokojnie, chciałabym obejrzeć tę narośl.

Była wielkości mniej więcej ćwierćdolarówki, nieregularna, czerwonawa, gdzieniegdzie przechodząca w czern, na obrzeżach wypuszczająca zaostrome macki, rozpełzające się niczym chwasty po trawniku. Nie byłam wprawdzie lekarzem, ale wyglądała dokładnie tak, jak czerniak z plakatów ostrzegających przed rakiem skóry.

- Przestań zwracać głowę. W zeszłym roku usuwali mi to świństwo, ale sama przecież wiesz, że czasami się odnawia. Paskudna uciążliwość, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Może być, ale gdyby to były moje plecy, poszłabym do lekarza.

Najpierw Trip, a teraz jeszcze i to. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wysokie Sosny nie były moje, bym mogła decydować o ich sprzedaży, plecy matki także nie należały do mnie. Matka narzuciła szlafrok - bladozielony, wykończony satyną, z aplikacjami w różowe kwiaty - demonstrując tym gestem swoje niezadowolenie z powodu mojego wścibstwa.

- Wy młodzi! Pojęcia nie mam, co w was wstąpiło. Wyobrażacie sobie, że na każdy temat, jaki wam przyjdzie do głowy, od razu musicie się wypowiadać. Moja matka w takiej sytuacji z miejsca by się wściekła.

Nie ustępowałam, naprawdę zaniepokojona sprawą narośli.

- Mamo, przecież ty wściekasz się przez cały czas. Skoro to odrasta w takim tempie, załatwię ci wizytę u jakiegoś dobrego specjalisty od spraw skórnych. Co za konował usuwał ci to za pierwszym razem?

- Lekarz. Szalenie przystojny, wysoki, ciemny, o wyjątkowo pięknych oczach. - Wycisnęła na dłoń trochę kremu i zaczęła go rozsmarowywać po ramieniu. - Chcesz odrobinę? Magnolia. Pachnie bosko.

-Nie.

Matka uniosła w górę brwi.

- Ale dziękuję bardzo - dorzuciłam dla świętego spokoju. Zdecydowałam się skierować rozmowę na Tripa i wy badać, czy może wie to i owo na jego temat. - Czy zauważyłaś ostatnio coś dziwnego w zachowaniu Tripa?

Matka podeszła do szafy z butami i wyciągnęła jedną z szuflad. Wszystko miała tak celowo rozplanowane. A ta szafa była wręcz wspaniała.

- Mamo, kto ją zaprojektował?

Odbiegałam od tematu, ale jakoś nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, by wykorzystać podobne rozwiązanie choćby w jednej z rozlicznych szaf, które zaprojektowałam sama.

- No przecież ja, nie pamiętasz? Twój ojciec zawsze powtarzał, że powinnam zostać dekoratorką wnętrz. - Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. - Tak jak ty, Caroline. Zresztą jak ci się wydaje, po kim odziedziczyłaś dobry gust?

Nagły emocjonalny szok - zupełnie jakby z okna spadł mi na głowę balon wypełniony wodą. To po matce miałam wycucie przestrzeni i oko do rysunku. A niech to diabli.

- Po tobie, tak? - Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

Nagle po raz pierwszy w życiu ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby ją przytulić. Poszłam za jego głosem. Przez dłuższą chwilę stałyśmy we wzajemnym uścisku - tego samego wzrostu i budowy, tej samej krwi, tych samych upodobań i antypatii, z tym samym zwariowanym gustem, jeśli szło o mężczyzn - tylko że ta prawda nigdy przedtem nie chciała do mnie dotrzeć. Łzy żalu spływały mi po policzkach. Tyle miałyśmy sobie do wyjaśnienia, tyle do wybaczenia. Uda się nam, na pewno. Kiedy wreszcie oderwałyśmy się od siebie, zobaczyłam, że matka też płacze. Łzy jakoś zbyt łatwo lały się w tym domu ostatnimi czasy, a przecież obie nie należałyśmy do łatwo płaczących kobiet.

- No już, wytrzymaj nos - odezwała się matka w swój charakterystyczny sposób, w jaki karciała nas za zbytne okazywanie emocji. - Pytałaś o Tripa. Niepokoję się o twojego brata. Leży mi to na sercu i nie wiem, co mam robić. - Opadła na szeszlone i złożyła ręce na kolanach, spoglądając na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. - Czy jest coś, o czym nie wiem?

- Przysięgłam dochować tajemnicy - powiedziałam bez przekonania.

- Chrzanienie. Mów, i to już. Ciągle jeszcze jestem głową tej rodziny i mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Chrzanienie. Najbardziej wulgarne wyrażenie, jakie kiedykolwiek skalało jej wargi, przynajmniej w mojej obecności.

- Ma kłopoty finansowe.

- No, to przynajmniej coś wyjaśnia.

Pomyślałam, że więcej dowiem się, milcząc - technika, jakiej nauczyłam się od starego, poczciwego Richarda. Usiadłam na brzegu łóżka i czekałam.

- Przecież ten chłopak wydrenował mnie na prawie sto tysięcy dolarów. Czy to rodzina Frances Mae? Narkotyki? Caroline, o co tu chodzi?

- Trip okazał się hazardzistą, w dodatku pechowym. - Proszę bardzo. Wypowiedziałam to.

- Do jakiego stopnia pechowym?

Matka wydawała się zadziwiająco spokojna, więc zdecydowałam się pójść na całość.

Kiedy opowiedziałam jej wszystko, przycisnęła dłonie do serca i jęknęła:

- Wielki Boże!

- Mamo, proszę, nie denerwuj się. Ani trochę nam to nie pomoże w szukaniu jakiegoś rozwiązania.

- To on zamierzał usunąć mnie z domu i sprzedać rodzową posiadłość, żeby pospłacać swoje hazardowe długi? Co ja za łotra wychowałam! Jego ojciec nie wahałby się go oćwiczyć.

- Mamo, uspokój się. Hazard to nałóg, to choroba. Trip potrzebuje pomocy.

Matka zaczęła krążyć po pokoju.

- Musimy położyć temu kres - powiedziała w końcu głośno.

- Jego wierzyciele już to poniekąd uczynili, a nasz dobry gubernator szczęściem dla nas zarządził, że od pierwszego czerwca wszystkie

automaty do pokera znikną z tego stanu. Ale Trip powinien zapisać się do jakiejś grupy terapeutycznej dla hazardzistów, gdzie otrzymałby pomoc.

- Caroline, dzwoń do Richarda. On będzie wiedział, co w tej sytuacji robić. No już, natychmiast. Skorzystaj z mojego aparatu -tam stoi. -  
Wskazała w kierunku stolika podbródkiem, bo nigdy nie zwykła używać palca do tego celu.

Opadłam na łóżko i wlepiłam wzrok w sufit. Wolałabym raczej zatelefonować do samego Belzebuba. Podniosłam się i popatrzyłam na nią.

- Poczekaj, muszę to najpierw przemyśleć. Pójdę do Millie, ona też coś szykuje. Korzenie.

Kiedy zamykałam drzwi sypialni, usłyszałam, że woła za mną:

- Tylko mi nie mów, co mam robić. Nadal jestem twoją matką.  
Znaczyło to: chłosta będzie kontynuowana, dopóki nie nastąpi poprawa morale. Jednak nie mówiła tego złośliwie, tego mogłam być pewna.

Zdradziłam zaufanie Tripa, ale przecież moje milczenie mogłoby oznaczać dla niego wyrok śmierci z rąk gangsterów. Richard, Trip, matka z zaniedbanym znamieniem na plecach. Mój ojciec z pewnością przewracał się w grobie.



## **Rozdział 37**

### ***Prawdziwe kolory***

Zaraz po wyjściu od matki zatelefonowałam do Miss Sweetie i poprosiłam ją, aby dowiedziała się o najlepszego dermatologa i chirurga plastycznego w Charlestonie. Oddzwoniła jeszcze przed upływem dwóch minut.

- Jack Taylor. Jest ordynatorem oddziału dermatologicznego w Medical University. A w sprawie operacji plastycznej, powiedz Lavinii, żeby zwróciła się do Davida Olivera w Savannah. Jedyny, któremu powierzyłabym swoją skórę. Oczywiście, gdybym miała zamiar w ogóle coś z nią wyczyniać.

Nie, skądże, nic, jedynie podbródek, biust, pachy, uszy, czoło i co tam jeszcze zdołała wymyślić. Ona i Miss Nancy naciągały się i wygładzały regularnie raz do roku, awansując do funkcji głównych podpór Klubu Posiadaczek Pikowanej Skóry.

- Jasne. David Oliver? - zapisywałam w pośpiechu.

- Tak, Oliver. Jest, co prawda, laryngologiem, ale to geniusz. Wierz mi, wybitny talent. Caroline? Bez końca wbijałam jej do głowy, żeby wkładała coś z długimi rękawami, kiedy pracuje w ogrodzie, ale od niej każde moje słowo odbijało się jak od ściany. Musiała stroić się w te kuse topy, wszystko dla pięknej opalenizny. I po co jej to było? Po to właśnie?

- Wiem, Miss Sweetie, wiem. Zadzwonię do pani zaraz po wizycie u doktora. Niech się pani pomodli za matkę, dobrze? Zawiadomi pani Miss Nancy?

Obiecała, że tak, oczywiście, będzie się modliła jak szalona, po czym rozłączyłyśmy się. Z doktorem Taylorem z pewnością nie uda mi się umówić przed poniedziałkiem. Serce przynaglało mnie do pośpiechu.

Wyszłam przed frontowe drzwi, bo chciałam iść do Millie. U szczytu schodów coś kazało mi się zatrzymać i objąć wzrokiem dębową aleję. Przeszłość jawiła się przede mną niczym fala odjazdów i powrotów, zawsze w cieniu rozpostartego parasola ich koron - błyskawiczne zrywy samochodu wzbijającego tuman kurzu albo bryzgającego błotem w strugach ulewnego deszczu, wyprawy do szkoły, powroty z randek, opuszczanie domu przed powrotem do Nowego Jorku, ekipa przyjeżdżająca zabrać szczątki tatusia. Zupełnie jakby w mojej głowie przewijał się film. Moja prababka, dwunastoletnia wówczas Olivia, wraz ze swoją matką, Elisabeth Bootle Kent, sadzące trzydzieści małych dębów zaraz po zakończeniu wojny secesyjnej. Każde następne pokolenie moich amerykańskich przodków korzystało z ich cienia. Chwila refleksji i zadumy nad miejscem, którego nie potrafiłam nawet nazwać, gdyż to, w co pragnęłam wierzyć, mieszało mi się z tym, co prawdziwe. Starłam się zwalczyć tę myśl, stłamsić ją w sobie, ale nie udało się -w tej jednej chwili uderzyła mnie z całą siłą. Te drzewa nie są wyłącznie drzewami mojej matki, droga - drogą moich przodków. To także moja droga do domu. Do mojego domu. Do miejsca, gdzie mam prawo przebywać.

I druga myśl, równie wyrazista: stan mojej matki jest znacznie poważniejszy, niż ktokolwiek z nas mógłby przypuszczać. Straciła apetyt, odczuwała ustawiczne zmęczenie, skarżyła się na bóle w żebrach. Stanowczo działo się z nią coś niedobrego.

Pobiegłam do Millie, mijając przystań, gdzie tkwiła przycumowana łódź Tripa. Widocznie mój brat też do niej poszedł. Pewnie spotkała go, kiedy wracał, i z punktu przystąpiła do zmywania mu głowy. A może i matkę u niej spotkam? Zaraz się przekonamy. Pośliznęłam się na wilgotnej trawie i omal nie upadłam, dosłownie w ostatniej chwili łapiąc równowagę. Otworzyłam drzwi, a serce waliło mi w piersiach jak oszalałe. Ołtarzyk był otwarty, w powietrzu unosił się intensywny zapach kadzidła. Millie zajmowała miejsce po jednej stronie składanego stolika do kart, matka i Trip po przeciwnej.

- Siadaj na sofie i ani słowa - rzuciła Millie.

Usiadłam, milcząc i przypatrując się. W czymś im przeszkodziłam. Millie trzymała rękę Tripa w swoich dłoniach i przesuwała po niej palcami, jakby usiłowała coś wyczytać z jego kości. I chyba tak właśnie czyniła.

- Podpisz to - nakazała Tripowi. - Najpierw odczytaj, a potem podpisz.

- „Ja, James Wimbley III przysięgam przed Bogiem i wszystkim, co święte, że będę współpracował z władzami w celu położenia kresu zakłętemu kręgowi hazardu w Columbii, zerwę wszelkie kontakty z ludźmi parającymi się hazardem, podam ich nazwiska odpowiednim władzom i nigdy nie będę się zakładał. Jeśli zaś nie wypełnię tej przysięgi, gotów jestem ponieść wszelkie konsekwencje”.

W życiu zdarzało mi się widzieć niejedno, ale przecież nie Millie zmuszającą kogoś do złożenia przysięgi. Widocznie uznała, że Trip wymaga szczególnej ochrony, skoro żegluje po tak zdrażliwych wodach. Millie odchrząknęła, wręczyła Tripowi pióro, a on podpisał.

- Ilu z nich wie, jak się nazywasz? - indagowała.

- Dwóch - odparł Trip. - Wszystkich jest około pięćdziesięciu, ale nazwiska kontroluje właśnie tych dwóch. Poza właścicielem, Jimmym Brownem. To on zbiera forszę.

- Zapisz mi tutaj ich nazwiska - zażądała Millie, wręczając mu drugą kartkę papieru. - A ilu z nich zna twój numer telefonu?

- Ci sami dwaj - odparł Trip żalnym, załamującym się głosem. -I Jimmy.

Zrobiło mi się go żal. Trip przez całe życie nie splamił się niczym niehonorowym, a tu nagle coś takiego. Nie mogliśmy się temu nadziwić, a przecież żadna z nas nie zapytała, co go do tego popchnęło. Najważniejsze było znaleźć rozwiązanie.

- Obaj mieszkają w Columbii? - dopytywała się Millie.

- O ile wiem, to tak.

Millie coś sobie jeszcze zanotowała, po czym zażądała:

- Daj mi jakieś monety.

Trip sięgnął do kieszeni i wyciągnął całą garść drobnych. Millie wybrała jedno-, pięcio- i dziesięciocentówkę. Podniosła się i stanęła przed ołtarzem. Zapaliła świecę, tym razem czerwoną, świecę Oyi. Oya jest królową świata duchowego, boginią wojowników i nieustraszoną obrończynią swoich dzieci. Jest także boginią sprawiedliwości, panującą nad sztormami i huraganami. Dzisiaj na ołtarzu stała misa czerwonych winogron, ogromny bakłażan i pęk wyschniętego żywokostu, przewiązany czerwoną wstążką. Millie wyciągnęła ramiona i zaczęła odmawiać modlitwę:

*Gwałtowniejsza od wichru,*

*Srożąca się bardziej niż burza,  
Oyo, uchron tego człowieka od diabelskich palców,  
Ocal go od zagłady.*

Trip zaczął szlochać, siedząc z głową ukrytą w dłoniach i z łokciami opartymi o kolana. Matka otoczyła go ramieniem, prosząc, żeby się opanował, i zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Ja nie odzywałam się wcale - siedziałam na sofie Millie, patrząc i słuchając, i bojąc się w głębi duszy, że nie wszystko potoczy się gładko. Przeczucie tak mi właśnie podpowiadało.

Millie skończyła odmawiać modlitwę, zdmuchnęła świecę i odwróciła się do Tripa, podając mu momenty, które uprzednio zawinęła w papier.

- Włóż je do kieszeni, do tej, w której trzymasz portfel, i noś przez trzy dni, a potem oddaj Edisto. A gdyby papier rozwinął się jeszcze przed upływem trzech dni, jak najprędzej wrzuć go do wody.

- A potem co? Co mam robić?

- Rób to, co przysięgałeś, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre - powiedziała Millie. - Bo jeśli tego nie wiesz, to naprawdę żal mi ciebie, chłopcze, *yanh*.

- Dziękuję ci, Millie. - Trip włożył monety do tylnej kieszeni i wyszedł.

Millie i matka podeszły do okna i spoglądały za nim, kiedy się oddalał.

- Głupi - sarknęła Millie, okraszając to jeszcze donośnym *humph*.

- To mój jedyny chłopiec, Millie - zauważyła matka.

- *Yeah*, ale głupi.

- *Yeah*, głupi jak but. Czy to go ocali?

- Jego ocalenie nie ode mnie zależy - mówiła Millie. - Wyłącznie od niego samego.

Kiedy tak stały obie przy oknie, matka położyła rękę na barkach Millie, a ta objęła ją w talii. Były sobie bliższe niż przyjaciółki, bardziej zżyte niż siostry. Ich wzajemne uczucie było czymś niemal namacalnym - potężną siłą, wypełniającą przestrzeń między nimi ciepłem dającym się niemal chwytać w dłonie. Zapraǳełam doświadczyć tego samego, co one. Pomyślałam, że w moim życiu nie ma nikogo, gdy nagle dotarło do mnie, że przecież to właśnie jest moje życie, że ich miłość jest dla mnie, że mogę z niej czerpać. Muszę tylko okazać im, że tego pragnę.

- Millie, masz trochę herbaty w lodówce?

Popatrzyły na mnie obie. Pragnienie, aby należeć do nich, aby być z nimi razem, aż nazbyt wyraźnie malowało się na mojej twarzy. Stałam, pocierając ramiona i czekając na ich odpowiedź.

- Uważałaś, co się tutaj działo? - zapytała Millie.

- Mogłabym powtórzyć każde słowo - powiedziałam, wiedząc, że pyta mnie o to, czy zostanę, czy nadal jestem zainteresowana przejęciem jej dziedzictwa.

- W takim razie nalej dla nas wszystkich.

- Podjęłam decyzję - oświadczyła matka. - Millie, zainspirowałaś mnie.

Wyjęłam z kredensu trzy szklanki i napełniłam lodem. W karafce z mrożoną herbatą pływały listki mięty. Nalewając, słuchałam odpowiedzi Millie w sąsiednim pokoju.

- Co takiego?

- Cóż, skoro nie dysponujemy magiczną różdżką, która sprawiłaby, by tamci faceci z Columbii zapomnieli, że kiedykolwiek słyszeli nazwisko mojego syna, pozostał mu do spłacenia ogromny dług, *yanh*.

- Posłałam tamtym haga, ale tak naprawdę niczego to nie rozwiąże. Tyle tylko, że mnie samej zrobiło się od tego lepiej.

Podalam Millie szklanekę, drugą wręczyłam matce.

- Niedobra z ciebie dziewczynka, Millie.

- *Humph*, jeśli ja jestem niedobra, to co dopiero oni, czorty wcielone, żerujące na słabościach innych. Diabeł osobiście maczał w tym paluchy, dziewczyno, nie zapomnij o tym, *yanh*.

- Caroline, czy dzwoniłaś do Richarda, jak prosiłam? Pokręciłam głową.

- Tak przypuszczałam. Ale pomyślałam o czymś innym. Ten chłopak, ten Strickland, który został policjantem.

-1 co z nim?

- A może by się tak dla odmiany zainteresować, co on wie? Cotowa jestem się założyć, o co tylko chcecie, że słyszał o tych gościach z Columbii. Co o tym sądzisz?

To rzeczywiście był pomysł. Wysączyłam herbatę do ostatniej kropelki i powiedziałam:

- Millie? Wracam do domu i dzwonię do Matthew Stricklanda. A ty, proszę, obejrzyj tymczasem to jątrzące się znamię na plecach matki. Może potrafiłabyś je jakoś wysuszyć? Niebawem wrócę.

- Spłacę jego długi - obwieściła nagle matka.

- Wielki Boże. - Więcej nie potrafiłam z siebie wydobyć.

- Ale przedtem każe mu przysiąc, tak jak ty to uczyniłaś, Millie. Po pierwsze, odejmę to od jego części masy spadkowej, po drugie, dam mu pieniądze pod warunkiem, że podejmie terapię w grupie anonimowych hazardzistów albo jakiejś podobnej. Wyznaczę kary za każdorazowe złamanie przyrzeczenia i udział w hazardzie, wreszcie będę nalegała, aby zasięgnął porady prawnej.

- Mamo, to niewyobrażalnie hojne rozwiązanie z twojej strony - byłam zszokowana, że dysponuje aż taką gotówką - ale prawdopodobnie rzeczywiście jedyne.

- *Znaleźć* się na dnie jeziora Murray z nogami w łańcuchach też nie zrobiłoby dobrze mojemu jedynemu synowi - zauważyła matka, wzdychając ze smutkiem. W jej westchnieniu brzmiało głębokie rozczarowanie i stoicka rezygnacja - uczucia, jakich na co dzień nie ujawniała. - Może powinniśmy też zarządzić, aby dopóki się całkowicie nie wyleczy, jego dochodami dysponował pełnomocnik i wypłacał mu pensję.

- Tym mogłaby się zająć Frances Mae. Ta przynajmniej jest wolna.

- Wolna, za to mózdzek ma niczym najdrobniejsze ziarnko kukurydzy - zauważyła Millie.

- *Okay*, cokolwiek postanowisz, Trip i tak będzie całował twoje stopy - zakończyłam. - No, do zobaczenia za moment.

Millie i matka odezwały się unisono:

- Powinien.

Niebo wydało mi się bardziej niebieskie, bardziej świetliste, niż kiedy szłam w tę stronę. Czy stan ducha może oddziaływać także na percepcję kolorów? Na wszystko inne oddziaływał z całą pewnością. Co



powiem Matthew Stricklandowi? Może tak: *Słuchaj, Matthew, co byś zrobił, gdyby się okazało, że ktoś ci bliski ma dość niemiłych „przyjaciół” i jest im winien pół miliona dolarów przegranych w zakładach, a teraz owi „przyjaciele” zagrozili mu, że jeśli do końca tygodnia nie odda im dziesięciu procent tej sumy, chwycą go za gardło?* Nie dość subtelnie. No to może: *Matthew, kłopoty, słyszałeś może o czymś takim?* Na co on zareaguje prawdziwie po męsku: *Kłopoty to moja specjalność, to znaczy...*, a wtedy ja przerwę mu szybko: *O, Matthew, mam przyjaciela, który wpakował się w kłopoty finansowe przez opryszków z Columbi, i przysięgam, że my, to znaczy matka i ja, nie mamy pojęcia, jak powinien się z tego wykaraskać. To człowiek najlepszy na świecie, ale ma swoje słabostki.* No tak, wystarczająco afektowane, bym mogła zaprodukować jakieś chwytły w stylu Scarlett i Melanii. Choć nie, wiem już, jak to rozegram.

Poszukałam numeru Matthew i zadzwoniłam do niego, zostawiając mu numer mojej komórki na jego poczcie głosowej. Postanowiłam pójść do ogrodu i popracować jeszcze trochę. Osiągalna jestem, będzie chciał mnie złapać, to mnie złapie. Rzeczywiście złapał. Akurat ręce miałam ubabrane po łokcie, bo dzieliłam funkie, kiedy telefon zadzwonił.

Ściągnęłam rękawiczki i wcisnęłam guzik.

- Jesteś aresztowana - oświadczył Matthew.

- Pod jakim zarzutem? - zachichotałam.

- Niedotrzymania obietnicy skontaktowania się ze mną - ciągnął ze śmiertelną powagą.

- Znakomicie, wobec tego aresztuj mnie. Gdzie jesteś?

- Na twoim podjeździe. Pragniesz towarzystwa?

- Jasne. Jestem w ogrodzie różanym, wchodź.

Odgarnęłam włosy z czoła i zanim jeszcze zdążyłam się wyprostować i obciągnąć T-shirt, Matthew szedł już do mnie przez trawnik.

- Hej! - zawołał, machając ręką.

- Hej! Chcesz coś zimnego do picia?

Skinął głową, przystanął i czekał, aż do niego podejść. Pocałowałam go w policzek.

- Dzięki, że oddzwoniłeś. *Gosh*, jak to dobrze cię znowu zobaczyć. - Zachowywałam się z całkowitą swobodą, zupełnie jakbyśmy byli starymi, dobrymi przyjaciółmi. - Chodź, dam ci kanapkę z pomidorem.

- Dlaczego wszystkie kobiety od razu usiłują mnie nakarmić? Czy wyglądam na biednego? Niedożywionego?

- Ależ skąd, skarbie.

Przystojny był jak lichy i natychmiast dopisałam sobie dwie sekundy smażenia się w piekle za to, co pomyślałam na jego widok. Dwie, nie więcej; z piekłem też nie należy przesadzać.

W kuchni Matthew rozsiadł się na krześle, a ja podałam mu dwie pajdy chleba z pomidorem i majonezem, obficie posypane pieprzem i solą, oraz całą historię Tripa do przetrawienia. Najpierw błagałam go o dyskrecję, a potem pozwoliłam słowom popłynąć. Matthew słuchał z uwagą.

- Cóż, powiem tak. Synchronizacja wyszła nam znakomicie.

- A cóż to ma znaczyć, na Boga?

Matthew rozparł się wygodnie, wytarł usta czerwono-żółtą serwetką Pierre Deux, którą położyłam obok jego talerza. Jego oczy ani na moment nie przestawały obserwować mojej twarzy.

- *Okay*, skoro rozmawiamy w zaufaniu, uchylę ci rąbka tajemnicy.

Ale to tak tylko między nami, zgoda?

- Oczywiście. - Usiadłam przy stole, obok niego, i dolałam mu herbaty.

- W Jacksonboro wyglądamy niczym patrol zastawiający pułapki na kierowców przekraczających dozwoloną prędkość.

- Do licha, Matthew, przecież połowa Karoliny Południowej o tym wie.

- *Yeah*, w tych naszych lasach mamy do patrolowania o wiele więcej. Narkotyki, opuszczone lotniska, pasy startowe na plantacjach, dostawy drogą wodną - a wszystko za pieniądze z nielegalnego hazardu.

- Boże, to jest tak odległe od mojego świata, że nie wiem nawet, co powiedzieć.

- Od dłuższego czasu współpracujemy z FBI, aby postawić w stan oskarżenia owych chłopców z Columbii, a wraz z nimi chłopców z Atlanty, podejrzanych o konszachty z chłopcami z Miami, którzy bez wątpienia mają powiązania z chłopcami z Ameryki Południowej. Ta sama stara gra, w którą zabawiali się już w latach sześćdziesiątych. Zmieniły się sposoby realizowania dostaw, zmieniły się nazwiska, ale nadal wszystko wiedzie do tego, co przedtem - do narkotyków i nielegalnych interesów. Do twojego brata może dotąd nie dotarło, że prawa człowieka jego „przyjaciele” mają w jeszcze głębszym poważaniu niż rząd Chin. Nafaszerują mu głowę pieprzonym ołowiem, ot tak, dla zabawy. O, pardon, wybacz, wymknęło mi się.

- Jezusie! - Tyle tylko potrafiłam wykrztusić.

Matthew wyrzucał z siebie te rewelacje z pewnego rodzaju obojętnością, co wydało mi się dość zastanawiające. Może ów zblazowany ton miał skłonić mnie do tego, bym przestała w nim widzieć zwykłego gliniarza z patrolu, a dostrzegła kogoś, kto stawia czoło śmiertelnym zasadzkom, kogoś znacznie bardziej atrakcyjnego? Jakby to w ogóle było ważne.

- A więc jak mogę ci pomóc? - zakończył. - Chłopcy z Columbii i chłopcy z Atlanty lada moment zostaną zwinieci i postawieni w stan oskarżenia.

- Cóż, moja matka ma zamiar spłacić długi Tripa, pod warunkiem jednak, że on wyzna wszystko, co wie, odpowiednim władzom, dołączy do grupy terapeutycznej dla hazardzistów, zerwie z zakładami i zasięgnie porady prawnej. Pomyślałam, że ty mógłbyś odegrać rolę odpowiednich władz.

- Caroline, w wieku lat czterdziestu jesteś jeszcze milsza niż jako dwudziestolatka, a poza tym o wiele bystrzejsza i nie taka roztrzepana. Powiedz mi jedno, dlaczego właściwie miałbym oszczędzić tyłek twojego brata, zamiast przykładowie faceta zapuszkować?

- Ponieważ nasza rozmowa jest poufna, ponieważ to by złamało mu życie, ponieważ dla matki oznaczałoby to hańbę, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi.

Popatrzył w sufit, zabębnił palcami po stole, upił wielki łyk herbaty, wreszcie znów skierował wzrok na mnie. Po chwili, która zdawała się trwać rok, zapytał:

- Gdzie jest twój brat?

- Nie mam pojęcia, gdzieś w pobliżu.

- Chodźmy go poszukać.

Podniósł się zza stołu, a ja ruszyłam za nim, kuchennymi drzwiami na dwór, potem przez trawnik w kierunku przystani. Matthew nie powiedział wprost, że nie aresztuje Tripa, że nie weźmie go na przesłuchanie. Ryzykowałam, ale przecież w grę wchodziło bezpieczeństwo mojego brata. Gorąco wierzyłam, że Matthew ograniczy się do wysłuchania tego, co Trip ma do powiedzenia, pozwoli mu zapłacić chłopcom z Columbii ich dołę, tak aby dla nas cała sprawa mogła się zakończyć. Jeśli Trip znajdzie się w więzieniu, wykluczą go z palestry. Co wówczas poczniesz?

Na przystani kołysała się łódź, samego Tripa natomiast nigdzie nie było widać. Poszliśmy poszukać go w stajniach. Jenkins siedział przy starym biurku taty i czytał katalog Burpee. Po raz pierwszy zobaczyłam go z czymś drukowanym w ręce. Na myśl o uczynku matki poczułam nagły przypływ dumy.

- Dzień dobry, panie Jenkins. To mój przyjaciel, Matthew Strickland.

Jenkins wstał, a Matthew z szerokim uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

- Pan Jenkins? Ciągle tutaj? I nadal na nogach od świtu do zmierzchu.

- Matthew Strickland - powtórzył Jenkins. - Właściwie powinienem powiedzieć pan Strickland. Nie widziałam pana od czasów, kiedy był pan młodym kawalerem. Mój Boże, skoro pan jest już dorosły, ze mnie musi być prawdziwy staruch.

- Wcale nie jest pan stary, panie Jenkins, po prostu trochę posunął się pan w latach.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie, wspominając dawne czasy. Ja także powędrowałam myślami w przeszłość - Matthew

I ja, nasze przejażdżki konne, jazda na nartach wodnych, śmiech, przekomarzanie się, radosne zabawy, jakim oddawaliśmy się przed laty. Matthew roztaczał wokół siebie atmosferę uczciwości, rzetelności i kompetencji, a męskości miał w sobie tyle, że starczyłoby jej dla wszystkich męskich mieszkańców sporego miasteczka. Z trudem usiłowałam sobie przypomnieć, czego też mu brakowało, że nie zdołał zainteresować mnie na stałe. A może do tego stopnia ogarnięta byłam potrzebą ucieczki z domu, że ta przysłoniła mi obraz Matthew na ekranach moich radarów? Tak, to musiało być coś równie idiotycznego. Matthew nie należał do mężczyzn, których można potraktować lekko, jako chwilowy kaprys, w niczym nie przypominał Josha. Nie był kimś, kogo mogłabym trzymać krążącego wokół mnie po orbicie i przyciągać do siebie w przyływie dobrego humoru, a potem odpychać, kiedy chwilowo mi się znudzi.

- Idziemy - rzucił Matthew.

- Co takiego?

- Nie słyszałaś, co powiedział pan Jenkins? Trip zabrał Erica na tereny strzeleckie. Kochana dziewczynko, czyżbyś zamierzała mi uciec?

- Nie, przez moment myślałam o czymś innym, przepraszam.

Wyszliśmy na dwór. Matthew ujął mnie za ramię.

- Najpierw twój nierozsądny braciszek i jego problem, potem Charleston i cocktail party, a na koniec kolacja u mnie. Odpowiada?

Moje wnętrze zamieniły się w galaretę. Kolacja z pewnością oznacza seks. Seks w zamian za ratowanie Tripowego tyłka? Czy słusznie

się domyślam? Bałam się, zwyczajnie bałam się prawdy. Tej nocy raczej nie będę miała wiele do powiedzenia.

- Matthew, z przyjemnością spędzę z tobą wieczór. I bardzo bym chciała, żebyś pomógł Tripowi. Ale do jednego muszę ci się przyznać. Boję się. - Zdecydowałam, że prawda będzie najlepszą taktyką.

- Powinnaś. - Uśmiechnął się jedną stroną ust. - Pozwól, że z twoim bratem sam porozmawiam.

- Pójdę z tobą i zabiorę Erica.

Ruszyliśmy ramię w ramię; nasze kroki były idealnie dopasowane.

Później, kiedy Eric znalazł się z powrotem z domu, Matthew poszedł, a Trip, wyraźnie odprężony, pojechał do Walterboro, uprzednio wysłuchawszy w gabinecie tatusia i przy szczelnie zamkniętych drzwiach kazania matki grożącej mu wszelkimi możliwymi sankcjami, później, kiedy brałam prysznic i ubierałam się w oczekiwaniu na Matthew, który miał wstąpić po mnie o szóstej, udało mi się odsłonić niewielki fragment prawdy dotyczącej mnie samej. Nie pozwalałam sobie potraktować Matthew serio, ponieważ przez całe życie starałam się unikać mężczyzn takich jak on.' Powierzchowni byli bezpieczni. Matthew bezpieczny nie był.

Naprawdę nie miało to nic wspólnego z faktem, że ja dorastałam w arystokratycznym domu, a on był synem sklepikarza i księgowej, kwestia dotyczyła raczej ryzyka. Czyżbym miała wzorem matki wybrać drogę łatwych podbojów seksualnych, służących podbudowaniu własnego ego? I czy rzeczywiście postępowanie matki można było określić w ten właśnie sposób? A może czuła się po prostu samotna? A ja? Czy ja także?

W sypialni otworzyłam francuskie okno. Cały pokój wypełnił się wonią japońskiego kapryfolium. Dłuższą chwilę stałam, przyglądając się rzece i rozmyślając o tych wszystkich problemach, z którymi w ciągu ostatnich kilku krótkich tygodni przyszło mi się zmierzyć.

Musiałam im stawić czoło i potrzebowałam siły: na pragnienia Millie, kłopoty Tripa, zachowanie Frances Mae, przypuszczalną chorobę matki, edukację Erica i - co najważniejsze - moje dziedzictwo.

Może rzeczywiście nadszedł czas, abym stała się córką mojego ojca. On w rozwiązywaniu problemów był niezrównany - zdobywca, nieustraszony. Ja natomiast w zetknięciu z kłopotami z miejsca zaczynałam trząść się jak galareta. Dopiero dzisiaj, zwracając się do Matthew, po raz pierwszy odważyłam się zaryzykować - zaufałam uczciwości przyjaciela. Dzięki tej decyzji coś, co zdawało się kwestią życia i śmierci, zostało zredukowane do nic nieznaczącej masy banieczek powietrza, rozpędzanych z każdym podmuchem wiatru znad rzeki. Tak, wreszcie zaczynało być dobrze. Z Tripem wszystko się ułoży. Pracowałyśmy nad tym wspólnie - matka, Millie i ja - czyniąc wszystko, co mogłoby wygładzić brzydką, niedobłą skazę na charakterze mojego brata.

Wiedziałałam, że w hazardzie objawia się jego bunt. Buntował się przeciw Frances Mae, kurateli matki, śmierci tatusia i Bóg wie przeciwko czemu jeszcze. Logika podpowiadała mi, że gdyby zlikwidować przyczyny, które wywoływały w nim odruch sprzeciwu, hazard straciłby w jego oczach wiele ze swojego uroku. Może, zobaczymy.

Wciągnęłam głęboki haust słodkiego powietrza. A potem następny. Po raz pierwszy od wielu lat czułam radość z prostego faktu, że żyję, i



niemal polubiłam samą siebie. Nie byłam niczyją ofiarą, nie byłam niczym zbawcą. Wreszcie przestałam się zadowalać życiem według schematów, które układał dla mnie ktoś inny, i wreszcie stałam się kobietą, wartościową kobietą. Czas, aby zagrać. Postawić wyzwanie losowi, kładąc na jedną szalę swój charakter.

Do diabła, Caroline, pomyślałam sobie. Jako dziecko byłaś świadkiem, jak twój tatuś wylatuje w powietrze, od własnej matki nie otrzymałaś wówczas żadnego wsparcia emocjonalnego, w gniewie opuszczałaś dom. A potem wyszłaś za mąż za najmniej normalnego osobnika, z jakim zetknął cię los, bo wydawało ci się, że tym sposobem wskrzesisz własnego ojca. Zbyt długo samotnie borykałaś się ze wszystkimi problemami.

Teraz schroniłaś się w ciasnym kąciuku i stąd dopiero uczyniłaś pierwszy nieśmiały krok w kierunku zaopiekowania się matką i udzielenia pomocy bratu.

Ale dokonałam tego. Do czego jeszcze okażę się zdolna? I czy rzeczywiście jestem taka mądra, jak bym tego pragnęła? Prawdopodobnie nie, ale być może obdarzona zostałam w zamian inną siłą. Z pewnością nie była to magia, owszem, przeczuwałam, że pewne rzeczy nastąpią, i one istotnie następowały. Rzeczy, o których śniłam, także potrafiły się urzeczywistnić. A czasem - niezmiernie rzadko - zdarzało się, że widziałam i słyszałam różne rzeczy. Nie proście, abym wam je opisała. I tak długo trwało, zanim w ogóle przyznałam się do tego. Kiedy już uporamy się z problemem Tripa, kiedy okaże się, że matce nic nie dolega, kiedy Eric odnajdzie swoje mocne strony, wówczas dopiero będę mogła skoncentrować się na zasłonach pojmowania i urzeczywistniania, które

podnosiły się tak błyskawicznie, że nie nadążałam z rozróżnianiem ich kolorów.

Powitam Matthew z ulgą i wdzięcznością, zaprzyjaźnię się z nim od nowa. Potrzebuję przyjaźni. Wszyscy jej potrzebujemy.

RS

## Rozdział 38

### Rodzinna potrawka

O szóstej dzwonek u drzwi rozdzwonił się gwałtownie. Z uznaniem oceniłam moją manhattańską zbroję - mała czarna, proste, rozpuszczone włosy, minimum makijażu, ręcznie robione klapki na niskim obcasie od Manolo Blahnika. Nogi gołe, ze starannie nakremowanym każdym calem kwadratowym skóry. Niewielka czarna torebka, kryjąca w swoim wnętrzu pastylki miętowe, pomadkę do ust, klucze, grzebień i banknot dwudziestodolarowy na wszelki wypadek.

Eric na złamanie karku popędził do drzwi.

- Ja otworzę! - wołał na cały dom.

Słyszałam, jak wita się z Matthew i prowadzi go do salonu, pewnie, żeby go tam poprzypiekać na ruszcie. Ostatnio tak właśnie postępował. Chronił mamę.

- Zaraz schodzę! - zawołałam z góry. Chciałam jeszcze powiedzieć matce dobranoc.

Zajrzałam do jej pokoju. Spała, wyciągnięta na szezlongu, trzymając na piersiach rozłożony magazyn.

- Mamo, wychodzę - szepnęłam do niej.

- Perfumy - powiedziała przez sen. -Co?

Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie.

- Idź i umyj szyję. Wypachniłaś się zupełnie niczym sama wiesz kto.

- A ty wiesz kim jesteś? Swarliwą, starą kokotą. Nie mogłaś na przykład powiedzieć: *Caroline, świetnie wyglądasz. Może te perfumy są*

*odrobinę za ciężkie, choć zapach mają przyjemny, przyznaję.* Coś w tym stylu.

- Po prostu chcę, abyś była świadoma. - Usiadła. - Podejdz tutaj. Dotknij. - Ujęła moją rękę i położyła na swoim żebrze, z lewej strony. - Czujesz? Mam to już od roku, ale ostatnio zaczęło rosnąć i boli jak sto diabłów.

Na jednym z żeber miała zgrubienie. Poczułam, że coś mnie dławi w gardle. Jeśli ktoś ma czerniaka na plecach i zgrubienie z przodu, nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Ze wszystkich sił zapragnęłam to zignorować. Matka także. Cała ona, chciała, żebym wiedziała, ale rozmawiać na ten temat - co to, to nie.

- Mamo, poniedziałek zaczynamy od wizyty u lekarza.

- W moim wieku nie potrzebuję, żeby obmacywali mnie jacyś lekarze. Postaraj się wrócić o przyzwoitej porze, dobrze?

- Na pewno.

Skierowałam się ku drzwiom.

- Caroline?

Odwróciłam się i czekałam.

- Wyglądasz prześlicznie. Baw się dobrze i powiedz kapitanowi Stricklandowi, jak bardzo jesteśmy mu wdzięczne. Nie okazuj tego - absolutnie nie na pierwszej randce, kochanie - po prostu mu to powiedz. Zrozumiałaś?

- Mamo, że też w żaden sposób nie możemy cię uciszyć! Posłałam jej pocałunek i wyszłam. Już na schodach usłyszałam Erica i Matthew.

- Więc czy mogę nalać panu scotcha? - pytał Eric.

- Nie, synu, dziękuję - odparł Matthew.

- Czy pan ma zamiar ożenić się z moją mamą?

- Jak na razie wybieramy się razem na przyjęcie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Spurpurowiałam.

- Eric, na miłość boską!

Eric odwrócił się ku mnie. W lewej ręce trzymał karafkę ze scotchem, szczękę miał zaciśniętą. Był wyraźnie wzburzony.

- Chcę po prostu ustalić, o co w tym wszystkim biega, i tyle!

Mieliśmy pojechać dzisiaj do Charlestonu i nie pojechaliliśmy.

Boże drogi, rzeczywiście.

- Masz rację - powiedziałam. - Przykro mi.

- Dla tego faceta to znalazłaś czas, tylko dla mnie nie.

- Eric, gdzie twoje maniery?

Byłam wstrząśnięta jego wybuchem. Nigdy przedtem tak się nie zachowywał.

- Posłuchaj, Eric - wtrącił Matthew - a może miałbyś ochotę pojechać z nami. Wybieramy się na koktajl do Charlestonu do moich przyjaciół, a potem do mnie do Ashepoo na kolację. Będzie mi bardzo miło, jeśli do nas dołączysz. Pomożesz mi w smażeniu steków.

- Moja mama jest wegetarianką - oświadczył Eric tonem, który w rzeczywistości oznaczał: *Widzisz, facet, nie masz o niczym pojęcia.*

- Teraz już nie - pośpieszyłam z zapewnieniem. - Z przyjemnością zjem stek.

- Chcesz jechać? - powtórzył Matthew. - Ostatnia szansa. Błagać cię nie będę.

- Ale ja jestem cały brudny. Może następnym razem? - Popatrzył na mnie.

- Ja też bym chciała, żebyś się z nami wybrał - powiedziałam. - Szybko, prysznic, szorty, czysta koszulka.

- Naprawdę? - Jego niebieskie oczy zaczęły tańczyć z podniecenia.

- Naprawdę. No, gazu. Masz dokładnie dziesięć minut albo jedziemy bez przyzwotki - zakończył Matthew.

Eric runął po schodach, łomocząc niczym stado słońi.

- Nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Przykro mi.

- Ależ on jest świetny. A może jednak scotcha? Słabiutkiego.

W piętnaście minut później pędziliśmy buickiem Matthew.

I przedtem w salonie, i teraz w samochodzie zaczęłam dziękować wylewnie za wszystko, co uczynił dla Tripa, Matthew jednak najwyraźniej nie miał ochoty wracać do tego tematu. No i świetnie, pomyślałam. Skończmy z tym, i tyle. Szczegóły nie są mi potrzebne. Dowiedziałam się tylko, że pieniądze, które Trip otrzyma od matki, zostaną odpowiednio oznakowane, żeby łatwiej można było potem dotrzeć do rąk, które je przejmą.

Eric siedział z tyłu, bez reszty pochłonięty Game Boyem. W miarę jak zbliżaliśmy się do Charlestonu, ruch gęstniał, ale kiedy mineliśmy Citadel Mail, znowu się przerzedził. Matthew pojechał autostradą numer 7 aż do Cosgrove Avenue Bridge, potem międzystanową numer 26, wreszcie skierował się na zjazd East Bay Street.

- Szybciej niż przez śródmieście - zauważył.

Jadąc wzdłuż East Bay Street, co chwila pokazywaliśmy sobie coś, co przywoływało w nas wspomnienia.

- Nasze potajemne wyprawy do Big John's.

- Któraż szanująca się nastolatka nie skosztowała tu swojego pierwszego piwa? - powiedziałam.

- Mamuś, wszystko słyszałem

- No wiesz, akurat, że ja to zrobiłam, nie oznacza jeszcze, że ty też powinieneś spróbować.

- A co z moim szacunkiem dla samego siebie? - zaprotestował Eric. - Tu cię mam.

- Bystry chłopak - rzucił Matthew.

Eric zachichotał, a ja przewróciłam oczami. I w tym momencie dotarło do mnie, że nie wiem nawet, do kogo jedziemy.

- A do kogo my się właściwie wybieramy?

- Susan Hayes, Queen Street. Znasz ją? Trochę starsza od nas.

Wydaje przyjęcie dla córki mojego przyjaciela, która wychodzi za mąż. Powinno być fajnie.

- Nie, chyba nie znam. Wyjechałam tak dawno temu, że nie sposób, abym pamiętała wszystkich.

Skręciliśmy w prawo, w Queen Street, i podjechaliśmy do rzędu zaparkowanych samochodów, zajmując ostatnie wolne miejsce.

- To ten dom po lewej - wskazał Matthew. - Na pewno polubisz Susan. Znakomity kompan.

- *Yeah?*

- *Yeah.* Jej mąż zwiął do innej babki, więc samotnie wychowuje dziecko.

- Brzmi to przeraźliwie znajomo - zauważyłam.

- Jej eks zachorował na raka prostaty, o mało co nie umarł, ale jakoś się wywinął. Podobno cudem, zresztą kto go tam wie. Razem z przyjaciółką przeniósł się do Kalifornii. A Susan związała się ze swoją sympatią z czasów dzieciństwa. Simon. Rifkin, jak mi się zdaje. Jego spotkałem dwa, góra trzy razy.

- Cóż, brzmi nieźle. Eric, zostaw grę w samochodzie, dobrze?

- *Okay* - zgodził się jękliwie, rzucając grę na tylne siedzenie.

Przeczesałam włosy palcami i poinstruowałam Erica.

- Nie zapomnij o dobrych manierach. Patrz ludziom w oczy i podawaj im rękę, zgoda? I trzymaj się blisko mnie, jak dobry chłopiec.

Zadzwoniliśmy do drzwi. Otworzyła nam jakaś nastolatka.

- Cześć, jestem Beth Hayes - przywitała nas. - A wy?

- Ja jestem Eric - powiedział mój syn, którego młodzieńcza uroda dziewczyny wprawiła w kompletne osłupienie.

- Chodź, chcesz pograć? Mamy Simsów - powiedziała. - Moi kuzyni są na górze, w moim pokoju. Kompletnie poszaleli.

- Simsów? *Cool. Yeah*, mamuś, zobaczymy się później. - Eric popatrzył na mnie i ruszył po schodach.

- Wszystkie dzieci siedzą na górze. Jedzą pizzę i bawią się we własnym gronie - wyjaśniła Beth. - Bar jest w salonie.

Musiałam zachichotać. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat.

- Dzięki, Beth - powiedziałam, kierując się za Matthew do sąsiedniego pokoju, szczelnie wypełnionego gośćmi.

Przeważały osoby koło czterdziestki, choć było też i trochę młodszych albo trochę starszych.



- Białe wino? - zapytał Matthew. Skinęłam głową.

- Skąd ja to wiedziałem? Zaczekaj, zaraz będę z powrotem.

Zaczełam się przedzierać przez ciasno stłoczony tłumek, usiłując dotrzeć gdzieś bliżej ściany, gdy nagle moja pierś została mocno przyciśnięta do czyichś pleców, obciągniętych granatowym blezerem. Ich właściciel odwrócił się w moją stronę i wówczas ujrzałam jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, z jakimi zdarzyło mi się w życiu zetknąć. Az jęknęłam.

- Proszę wybaczyć - odezwał się. - Entuzjazm gości może się okazać szkodliwy dla pani zdrowia.

- Jest pan lekarzem? - zapytałam idiotycznie.

Spoglądał oczyma w kolorze płynnej czekolady, był mniej więcej mojego wzrostu i miał bujną szpakowatą czuprynę.

- Czyżby potrzebowała pani doktora, *ma'aml* - powiedział, uśmiechając się szeroko.

- Ja nie, ale moja matka potrzebuje - odparłam, usiłując odsunąć się nieco, ale zaraz zostałam przyciśnięta do niego, tym razem piersią w pierś. Zbladłam, a potem przez moją twarz przetoczyła się cała łuna, od lekkiego różu, przez głęboką czerwień, po ognisty szkarłat. - Zna pan może Jacka Taylora?

- Grywamy razem w tenisa trzy razy w tygodniu. Może chciałaby pani odejść gdzieś na bok i porozmawiać? Czy też będziemy stali tutaj, czekając, aż połamia nam żebra?

- Byłabym szczęśliwa, gdyby udało nam się znaleźć jakiś kącik. Ujął mnie za rękę i ruszył przez tłum. Zatrzymał się w kuchni, gdzie pracownicy firmy cateringowej zwijali się jak w ukropie, układając na srebrnych

tacach kanapki i ustawiając całe piramidy z kieliszków, które następnie wynosili, trzymane wysoko nad głowami. Profesjonalny, doskonale zorganizowany dom wariatów. Mój towarzysz chwycił dwa kieliszki, korkociąg i butelkę, po czym wyszliśmy na trawnik na tyłach domu.

- Bomba - powiedziałam. Kolejna inteligentna uwaga. Na pewno zrobię wrażenie na tym facecie, mam to jak w banku.

- Udało się - przyznał. - Może być białe? - Jasne.

Odkorkował butelkę, napełnił dwa kieliszki i jeden wręczył mnie.

- Zdrowie! A teraz opowiedz mi o swojej matce i dlaczego potrzebny jej jest Jack Taylor.

- Nie powinniśmy raczej wrócić do środka?

- Za minutę. Nienawidzę tłumów.

- Ja też nie. No więc tak...

Opowiedziałam mu o przypuszczalnym czerniaku i o zgrubieniu na żebrze. Mówiłam, a czekoladowe oczy ani na moment nie opuszczały mojej twarzy. Zapragnęłam dotknąć jego włosów, przekonać się, czy rzeczywiście są takie miękkie, na jakie wyglądają. Bez obrączki. Dobry znak. Ty mała dziwko, a Matthew, pomyślałam przelotnie, choć tak naprawdę nic mnie to w tej chwili nie obchodziło.

Z początku byłam przekonana, że skoro facet przyprowadził mnie tutaj, to wyłącznie po to, aby spowodować przyływ moich wezbranych wód hormonalnych, on jednak spoglądał na mnie z taką powagą, że w końcu do mojego zakutego łba zaczęło docierać, że mój rozmówca bynajmniej nie jest w nastroju fallicznym. Kiedy wreszcie przestałam kłapać dziobem niczym Chatahoochee, odstawił kieliszek na piknikowy

stolik, wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer i położył palec na ustach, dając mi znak, żebym siedziała cicho.

- Jack? To ja. Słuchaj, wyjdź na chwilę na tył domu. Tak, jestem z kimś, kto chciałby się w tobie spotkać. Kieliszek weź ze sobą. *Yeah*, jasne.

Zamknął telefon i uśmiechnął się do mnie.

- Jack jest tutaj, na przyjęciu.

- Och, dzięki. - Kolejna romantyczna odpowiedź, od której za-tchnie go ze wzruszenia. - No i co sądzisz? To znaczy, co sądzisz o mojej matce? Czy jesteś żonaty?

Wymknęło mi się. O Boże, jak ja mogłam? Kompletna kretyńska. Mój rozmówca uśmiechnął się.

- No tak, przecież ja ci się nawet nie przedstawiłem. Simon Rifkin, gospodarz tego przyjęcia. Nie, nie jestem żonaty. Jestem gorzej niż żonaty.

W otwartych drzwiach pojawił się mężczyzna, prawdopodobnie Jack Taylor, prowadząc pod rękę piękną kobietę. Oboje zeszli po schodach na trawnik.

- Cześć, kochanie - powiedział Simon Rifkin, który nie nazwał mnie idiotką, choć powinien. - Chciałbym, abyś poznała moją narzeczoną - zwrócił się do mnie, jednocześnie wyciągając do niej rękę. - Oto kobieta moich marzeń, Susan Hayes.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

- Tak czule zachowuje się tylko wówczas, kiedy coś zmaluje. -  
Roześmiała się.

- A pan to, jak sądzę, Jack Taylor? - zagadnęłam mężczyznę. Kiedy już prezentacja została dokonana, Susan zwróciła się do mnie:

- Czy my się znamy?

- Nie wydaje mi się. Przyjechałam z Matthew Stricklandem. Piękny dom.

- Coś ty, kobieto, mam rozwalającą się rudere, ale za to wspaniałego mężczyznę. Zachowuję się paranoicznie, wiem, lecz gdybym pomyślała, że wyciągnęłaś go na dwór, żeby z nim poplirtować, zdarłabym ci z nóg pantofle i jeden z tych ostrych czubków wepchnęła prosto w ucho. Gdzie je kupiłaś? Są rewelacyjne.

Kiedy mówiła, uśmiech nie schodził jej z warg, niebieskie oczy błyszczały radośnie, ale wiedziałam, że jeśli idzie o Simona Rifkina, Suzan bynajmniej nie żartuje. Zresztą nie miałam gospodyni przyjęcia wcale tego za złe. Jej sposób wyrażania się momentalnie wzbudził moją sympatię. Wyobraziłam sobie, że kiedy wybierają się gdzieś razem, ona na tylne siedzenie samochodu pakuje kawał kija do odpędzania natrętnych kobiet. Zdecydowałam, że chciałabym w niej mieć przyjaciółkę. Bo wroga - za żadne skarby w świecie. Pierścionek zaręczynowy miała takich rozmiarów, że dog by się nim udławił.

- Jaki rozmiar nosisz? - zapytałam. Obrzuciłam spojrzeniem moje ukochane buty, wiedząc, że pójdą do adopcji.

- Połowa kanonierki, skarbie, dziewięć i pół.

- Jezusie, ja też.

Tymczasem Simon odciągnął Jacka na bok. Jack od razu spoważniał. Gdy tylko Simon skończył mówić, zwrócił się w moją stronę. Na widok skupionej twarzy Simona Susan momentalnie umilkła.

Jack odezwał się pierwszy:

- Caroline - z tylnej kieszeni spodni wyjął portfel i grzebał w nim przez chwilę - tu masz moją wizytówkę. Przyprowadzisz matkę do mnie w

poniedziałek o ósmej trzydzieści. Na wypadek, gdybyś przyszła przede mną, powiedz Trudy - to moja pielęgniarka - że kazałem wam się zgłosić. I nie martw się o matkę. To mój zawód. Cokolwiek jej dolega, skorzystamy ze wszystkich naszych umiejętności, by ją od tego uwolnić, *okay?*

- *Okay*, dzięki, Jack.

- Nie masz za co dziękować. Normalna sprawa.

Po raz pierwszy przyjrzałam się jego twarzy. Nie odznaczała się niczym szczególnym, może poza tym, że była niemal doskonale symetryczna. Jack miał zielone, sympatyczne oczy, jasne włosy, przyprószone siwizną, i niewiarygodnie długie rzęsy. I choć nie zauważyłam ani jednej zmarszczki, domyśliłam się, że musi być koło pięćdziesiątki. Bez obrączki.

Widziałam, że Jack także mi się przygląda. Nie tak pożądliwie, jak Josh, nie spoza obłoku testosteronu, jak Matthew. Po prostu w miły, sympatyczny sposób. Był wysoki, choć nie tak szczupły, jak Richard, mocno zbudowany i wyglądał, jakby większość czasu spędzał, grywając w futbol. Kiedy się do mnie uśmiechnął, poczułam onieśmienie. Ta cholerna nieśmiałość. Ale polubiłam go, więcej, miałam do niego zaufanie.

Susan odezwała się:

- Wiecie co, tam w środku odbywa się przyjęcie.

O, mówić to ona potrafiła. Kiedy koło ósmej Matthew, Eric i ja opuszczaliśmy party, postawiłam moje buty na stole w holu, wraz z kartką: *Susan, cieszę się, że mogłam poznać Ciebie i Simona. Jeśli tylko będą pasowały, noś je. Zadzwoń do mnie, umówimy się na lunch. Caroline Levine, 843-890-4499.*

- Jestem pewien, że istnieje jakiś powód, dla którego występujesz teraz boso - skomentował Matthew.

- Polubiłam tę kobietę - powiedziałam. - Lepiej chodźmy już. W samochodzie Eric zasnął. Wybawił się za wszystkie czasy.

Obiecałam, że jutro kupię mu Simsów, pod warunkiem, że teraz przestanie mnie zanudzać.

- Ty jesteś niczym Bóg albo co, mamuś. Przysięgam.

- Nie przysięgaj, Eric, nie należy tego robić.

- Ale ta gra jest niesamowita. Normalnie mózg staje.

- To świetnie, Eric. Jutro jej poszukamy, dobrze?

- Ale mamuś, powiem ci tylko jedno. Miałem już zbudowany dom, kiedy...

-Eric!

Zrozumiał. Zerknęłam na Matthew siedzącego za kierownicą i uśmiechającego się od ucha do ucha.

- Chłopcy - powiedziałam.

- Chłopcy są wspaniali - ogłosił, rzucając w lusterku porozumiewawcze spojrzenie Ericowi.

Później, po kolacji, którą zjedliśmy u niego w domu - steki z grilla i mnóstwo wina - wybraliśmy się na spacer nad rzekę, a potem Matthew odwiózł nas do domu. Eric wpadł do środka, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Będę musiał zwrócić mu uwagę.

Popatrzyłam na Matthew stojącego w bezpiecznej odległości pięciu stóp ode mnie.

- Caroline, dziękuję za mile spędzony czas.

- O, Matthew, cudownie było widzieć cię znowu. I jeszcze raz chciałabym ci bardzo podziękować... - Spróbowałam otworzyć drzwi. Zamknięte na głucho; zatrzasnęły się.

- Tylko nie zaczynaj znowu o swoim bracie, zgoda?

- Chodź, musimy pójść do tylnego wejścia.

Zeszłam po schodach. Matthew stał na dole i przyglądał mi się. Nie próbował mnie objąć, przytulić, pocałować. Nic. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam zmienić pasty do zębów.

- W porządku, mój panie - powiedziałam, podchodząc bliżej niego.

Przechylił głowę na bok i zauważył:

- Chcesz, zdaje się, żebym cię pocałował, prawda?

- Nie, chyba że ty tego pragniesz, Matthew - odparłam, zastanawiając się jednocześnie, czy aby w wolnych chwilach nie studiuje, z zamiarem zostania duchownym. - Raczej nie będziemy tego odkładać na inną okazję, co? To łatwo psujący się towar.

W pierwszej chwili najwyraźniej nie zrozumiał moich intencji, bo zaczął:

- Co?... - Aż wreszcie zaproponował: - A może byś tak podeszła do mnie?

I wówczas nastąpił ten wspaniały moment, opromieniony blaskiem księżycy i feromonów, kiedy Matthew Strickland przyciągnął mnie do siebie, położył swoje usta na moich wargach i przystąpił do pracy. Boże Wszechmogący. Miałam wrażenie, że lada chwila oderwę się od ziemi. Z pewnością w czasach szkolnych nie całował w ten sposób, bo przecież zapamiętałabym to. Kolana ugięły się pode mną, w żołądku poczułam trzepotanie. Słodki Jezu, co za facet. Niewiele brakowało, a zdarłabym z

niego ubranie na tylnym ganku matki, gdy w kuchni nagle zapaliło się światło. Oderwaliśmy się od siebie i popatrzyliśmy w stronę drzwi. Otworzyły się powoli i ukazała się miotła matki, z budzikiem dyndającym na końcu kija. Jedenasta.

- Porządni ludzie muszą spać - oświadczył głos z niewidzialnego źródła.

Spojrzałam na Matthew. Niemal zjadał własne wargi, usiłując stłumić śmiech.

- Dobranoc, Matthew, dziękuję za wspaniałe spędzony wieczór.
- Zadzwoń do ciebie jutro - odparł, ruszając w stronę samochodu.

RS



## **Rozdział 39**

### ***Pan doktor***

Ale przekonać matkę, żeby wsiadła do samochodu, okazało się wcale nie takie proste. Ze strony Millie, Tripa i mnie wymagało to pełnej współpracy, okraszonej dodatkowo wielkim, tłustym plastrem poczucia winy. Za godzinę mieli się pojawić korepetytorzy Erica, nasi „rodzinni kochankowie”. Na szczęście Millie zgodziła się nimi dyrygować, zdejmując z moich barków ten dodatkowy kłopot. Przyjęłam jej pomoc z prawdziwą wdzięcznością.

Siedzieliśmy w kuchni, jedząc śniadanie. Przy kawie, tostach i sadzonych jajkach matka rozstawiała nas po kątach.

- Bo wam się wydaje, że moje ciało to wasz interes. Zupełnie nie pojmuję, na jakiej podstawie. Żyję, jak mi się podoba, i dobrze mi z tym, wam też pozwalam żyć zgodnie z własnymi upodobaniami. A jeśli już ktoś z nas miałby prawo pokazywać palcem, to tylko ja, a nie ty, ani nie ty.

- Mamo - próbował Trip - wiem, że nienawidzisz lekarzy. Ja też ich nie znoszę. Ale skoro masz jakieś zgrubienie na ciele, a do tego jeszcze wielkie, paskudne znamię na plecach, dlaczego nie zgodzisz się, żeby obejrzał je specjalista?

- Bo to zbyt ciężkie - odparowała. - Cały kłopot z lekarzami polega na tym, że u pacjenta w moim wieku z pewnością się czegoś do-grzebią. Jestem gotowa się założyć o ostatniego dolara.

- No, co znowu, Miss L., rozum pani straciła, czy jak? - powiedziała Millie.

- A gdyby to chodziło o mnie, czy nie kazałabyś mi iść do lekarza? - wtrącałam.

- To zupełnie co innego. Ty jesteś moją córką. Nie mogłabym nie zareagować, widząc, że coś ci dolega. ...

- No więc, babciu - powiedział Eric, unosząc głowę znad talerza - poznałem cię dopiero niedawno i pewnie zaraz mi powiesz, że jestem tylko dzieckiem i mam się nie wtrącać, ale nie mogę nie reagować, widząc, że coś ci dolega. Kocham cię.

To rozstrzygnęło. Kuchnię wypełniła nagła cisza, podczas której wszystkie oczy spoczęły na Ericu, niepewnie kręcącym się w krześle, w obawie, że zaraz na jego głowę opadnie olbrzymi topór matriarchalnego kata, rujnując uczesanie Abercrombie & Fitch.

- Jedz jajko, synu - powiedziałam, w nadziei, że może uda mi się zatuszować jego występek. - To pokarm dla mózgu.

Niewiele pomogło, ale topór jakoś nie opadał. Matka podniosła się z miejsca i zbliżyła do Erica, poruszając się z gracją łyżwiarki figurowej, jadącej w tańcu po olimpijskie złoto.

- Dla ciebie, skarbie, pojedę do tego szarlatana, dla ciebie. - Po-całowała go w czubek głowy. - Mój ty mały, słodki, kochany chłopcze - powiedziała do niego donośnym szeptem, po czym zwróciła się do nas: - Słyszeliście? Mój wnuk mnie kocha. Ubieram się. Za kwadrans ruszamy.

Opuściła pokój z podobnym wdziękiem, z jakim w latach pięćdziesiątych Loretta Young schodziła po schodach w każdym swoim filmie. Wahadłowe drzwi, niczym partnerujący gwiazdzie aktor, zamknęły się za nią. My potrafiliśmy tylko spoglądać na siebie i kręcić głowami. Drzwi

otworzyły się ponownie i matka wetknęła głowę do kuchni, spoglądając na mnie z uniesioną w górę brwią.

- Ile ma lat?

- Kto taki? - zapytałam.

- No, przecież ten lekarz. Czy jest przystojny? Powinnam może włożyć coś ekstrawaganckiego? Na przykład kapelusz?

- Mamo, proszę. Po prostu ubierz się zwyczajnie. Najlepiej coś z dzianiny, przynajmniej nie pomnie się w samochodzie. Owszem, doktor jest bardzo przystojny.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Matka nie znosiła lekarzy, stąd jej pragnienie, aby ktoś ją przekonał, dlaczego musi poddać się natrętnym spojrzeniom i badawczym rękóm obcego. Lekarzy nie znosiła, mężczyźni natomiast kochała.

O ósmej czterdzieści pięć znaleźliśmy się w gabinecie Jacka Taylora. Przyjął matkę od razu, niczym jakąś królową. Kwadrans po dziewiątej, kiedy ubierała się w pokoju przyjęć, poprosił nas do swojego gabinetu. Szłam z duszą na ramieniu. Emocje, jakie mnie przepełniały, były tradycyjne w naszej rodzinie. Po pierwsze, nigdy nie polubię tego doktora, po drugie, od razu zażądam konsylium, żeby ktoś inny sprawdził wszystko, co on ustalił.

- Siadajcie państwo, proszę - odezwał się Jack Taylor, wskazując dwa wielkie skórzane fotele, stojące na wprost biurka.

Wykorzystałam chwilę, kiedy przekładał papiery, żeby rozejrzeć się po gabinecie. Wyglądał dokładnie tak, jak zazwyczaj człowiek wyobraża sobie gabinet lekarza mężczyzny. Lata używania wyżłobiły i zmatowiły powierzchnię mahoniowego biurka, ale przedmioty na blacie - etui na

pióra, bibularz i kubek, w którym tkwiły ołówki - były starannie poustawiane. Wizytówki spoczywały w starej muszli, ozdobionej dekoracjami dawno temu, zapewne przez któreś z jego dzieci. Na ścianach rozwieszono były dyplomy, świadectwa i fotografie ze Stambułu i Grecji, przedstawiające zatłoczone ludźmi targowiska pod gołym niebem. Jack Taylor najwyraźniej lubił podróżować. Na półkach, wśród książek i innych materiałów dotyczących dermatologii, zauważyłam też niewielki zbiorek klasyków - stare, oprawne w skórę tomiki, prawdopodobnie pierwsze wydania. Kolekcjonował książki, nie mógł więc być taki zły.

Teraz zanotował coś na receptariuszu i odchrząknął.

- Po wyjściu ode mnie proszę zaprowadzić matkę do Medical University na badania krwi. Pielęgniarka państwa umówi. - Odchrząknął raz jeszcze, przenosząc wzrok z twarzy Tripa na moją. -Niestety, to, co państwu powiem, nie zabrzmiało optymistycznie.

- Co to znaczy? - zapytał Trip.

- Przykro mi, że akurat mnie przypada w udziale poinformować państwa o tym. Praktykuję jako lekarz od dwudziestu lat i z całą pewnością potrafię zdiagnozować stan zdrowia państwa matki i przewidzieć rokowania.

Ciągle nie chciało do mnie trafić, że matka może być poważnie chora.

- Jednakże - zaczęłam - to dopiero początek i nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem. Czy życie matki jest w niebezpieczeństwie?

- Pani Levine...

- Caroline - poprawiłam.

- Caroline - powtórzył - proszę posłuchać. Znamię na plecach matki to bez wątpienia czerniak. A zgrubienie, które ma na boku, bezsprzecznie ma z nim coś wspólnego. Powiedziałbym, że nowotwór zaczął dawać przerzuty około roku temu. Matka ma wszystkie klasyczne objawy choroby - brak apetytu, zachwiania równowagi, drętwienie, bóle w nodze. Badania krwi okażą się rozstrzygające, tak więc proszę je wykonać. Pogonię laboratorium i gdy tylko będę znał wyniki, skontaktuję się z państwem. A tymczasem zadzwonię do mojego przyjaciela Jima Thompsona - to najlepszy onkolog, jakiego znam - i powiem mu, żeby zarezerwował dla nas termin na jutro.

- Dziękuję - powiedziałam, czując, jak ogarnia mnie odrętwienie. Nie wiedziałam, o co mogłabym jeszcze zapytać. Popatrzyłam na Tripa. Szok odcisnął się na jego twarzy niczym maska.

- Czy możecie być z matką u doktora Thompsona jutro koło czwartej?

Nie mogłam się powstrzymać. Łzy popłynęły mi po policzkach. Podniosłam się i przechyliłam w stronę biurka.

- Czy chce pan powiedzieć, że ona może umrzeć?

Wyciągnął rękę i nakrył moją dłoń. Uścisnął ją pełnym łagodności i współczucia gestem, który przyjąłam z całkowitym zaskoczeniem. Trip także wstał i otoczył mnie ramieniem.

- Co możemy zrobić? - zapytał.

- Najpierw musimy poznać fakty, a potem zadecydujemy - powiedział doktor Taylor. - Być może uda się zastosować leczenie, które spowoduje remisję. Ile matka ma lat?

- Gdybym zdradziła jej wiek, zastrzeliłaby mnie od razu - powiedziałam, ocierając oczy chusteczką i usiłując się uśmiechnąć. Hałaśliwie wytarłam nos. - Przepraszam.

Jack Taylor i Trip także się uśmiechnęli i przez jeden krótki moment wspólnie oddaliśmy hołd kobiecej tajemnicy matki i moim emocjom.

- Jest wystarczająco młoda, żeby walczyć - powiedział Trip.

- Tak też sądziłem - zgodził się doktor Taylor.

- O czym z panem rozmawiała? - zapytałam. Wiedziałam, że to nie moja sprawa, że nie powinnam jej o nic podejrzewać, ale przecież zbyt dobrze ją znałam.

- Och, zwykłe osobiste pytania. Czy jestem żonaty? Nie, jestem wdowcem. Czy mam dzieci? Tak, syna, kształci się w Citadel. Czy chciałbym się ponownie ożenić? Oświadczyłem jej, że jestem zbyt zajęty, aby się nad tym zastanawiać. I na koniec, czy wiem, że ona jest wolna?

- O mój Boże, kiedy ta kobieta wreszcie przestanie? - powiedziałam, z trudem tłumiąc chichot. Co za niepoprawna flirciara.

- *Yeah, boy*, ona jest naprawdę kimś - powiedział Trip. - To tylko jedna z jej twarzy.

- Co mamy jej powiedzieć? - zapytałam.

- Że musi zrobić badania krwi. Nie ma powodu jej niepokoić. Nawet jeśli sprawa okaże się tak poważna, jak podejrzewam, poczekajcie, aż sama was zapyta. Uczyni to z pewnością.

Cały gabinet wypełnił się nagle nieznośnym ciśnieniem; poczułam, że głuchnę. To moje ciśnienie tak mi podskoczyło. A więc stracę matkę. Nie dzisiaj, ale wkrótce. To właśnie lekarz usiłował mi przekazać. Nie pogodzę się z tym nawet za milion lat. Nie chciałam zaakceptować jego

diagnozy ani tego, co oznaczała. Nadciąga koniec. Już wkrótce. Nie pogodzę się z tym, to zbyt okropne. Popatrzyłam na Tripa. Czuł dokładnie to samo co ja, a przyjęcie straszliwej nowiny przychodziło mu chyba z jeszcze większym trudem. Zachowaliśmy się jak tchórze. Podziękowaliśmy doktorowi, poszliśmy po matkę do poczekalni i opuściliśmy gabinet.

Matka wiedziała. Nie pytajcie mnie skąd, ale wiedziała. Nie zadawała jednak żadnych pytań, a my także milczeliśmy.

- Może wybierzemy się do Shem Creek i zjemy lunch nad wodą, kiedy już te wampiry wyssają krew z mojej żyły? - podsunęła.

Była to propozycja, którą zrobiłaby każdego normalnego dnia. Ale o poranku, gdy dzwon zwiastujący jej odejście zabrzmiał po raz pierwszy? Mieliliśmy prawo być głusi na jego dźwięk. Kiedy już będziemy zmuszeni to uczynić, zmierzmy się z nieuchronnym, spojrzymy mu prosto w twarz. Ale ani chwili wcześniej.

Później, siedząc przy stoliku nad wodą w Shem Creek Bar and Grill, lokalu, który wybieraliśmy najczęściej, gdy przyszła nam chęć pokosztować owoców morza, obserwowaliśmy mewy zataczające kręgi i ostro pikujące w dół, ku łodziom do połowu krewetek, wracającym z nocnych łowisk. Powietrze przesycone było świeżym zapachem soli i lekkim odorem rozkładu, unoszącym się nad wodą. Światło słoneczne, igrające na jej powierzchni, wywierało efekt wręcz hipnotyczny. Wpatrywaliśmy się w srebrzyste plamki, grzebiąc sennie w talerzach pełnych smażonych krabów, krewetek z rusztu i flądry. Matka prawie nie tknęła jedzenia.

Nie wiem, o czym myśleli matka i Trip; ja snułam wizje letnich wakacji z tatusiem: szaleństwa na nartach wodnych po Edisto, pikniki na Otter Island, wybuchy radosnego śmiechu, opromienionego jasnością letniego, południowego słońca, ja opalona, lepiąca się od potu, bez przerwy adorująca tatusia. Kiedy byłam mała, stanowił cały mój świat. Dobro, radość, miłość, słowa pochwały i zachęty spływały z jego ust z równą łatwością, co napomnienia i rozkazy z ust matki. Nigdy nikogo tak nie kochałam, jak jego. Poza Erikiem. Postaram się zachować w pamięci te wspomnienia, ocalić je dla mojego syna.

Dla jakichś sobie znanych tylko powodów, być może pragnąc zatrzymać dzieci przy sobie, matka nauczyła nas bać się życia, bać się ryzyka. Złorzeczyła Nowemu Jorkowi. Richard był do niej podobny - dopiero teraz to sobie uświadomiłam. W oczach tych dwojga wiecznie mi czegoś nie dostawało. Z biegiem czasu przyzwyczaiałam się do tego uczucia, że według ich norm, jestem kimś pośledniejszym. A jakie były moje normy?

Trip odwiózł nas z powrotem do Wysokich Sosen. Siedziałam z tyłu i udawałam, że drzemię, ale mój umysł pracował bez przerwy, usiłując zgłębić istotę naszych charakterów. Jakie umiejętności, jakie niedostatki były głównym motorem naszych działań?

Odnosiłam wrażenie, że matka nie bała się życia, jeśli idzie o nią samą, natomiast bardzo się go obawiała, jeżeli szło o nas. Kwestionowała każdy nasz wybór. Po śmierci tatusia zaakceptowaliśmy jej autorytet bez słowa sprzeciwu. Pogodziliśmy się też z tym, że pragnie naszego odejścia z domu. Sama, bez męża, nie chciała już dłużej być rodzicem, uznała, że ta rola ciąży jej zbyt wielkim brzemieniem. Stąd też przemieniła się w Attyle,



a my znienawidziliśmy ją z całego serca, stwarzając emocjonalny dystans także i wobec siebie nawzajem. Nikomu z nas to nie posłużyło.

Tak, matka po śmierci tatusia miała swoje momenty kobiecego szaleństwa, klasycznego protestu przeciw roli rodzica, ale ograniczały się one wyłącznie do Wysokich Sosen. Dopiero teraz, kiedy przyglądałam się wszystkiemu z bliska, dostrzegłam, że przecież cierpiała na agorafobię. Od śmierci ojca nie wsiadła do samolotu. Stała się niczym jej własna matka, która także wmówiła w siebie pogardę dla świata zewnętrznego, kolejno odrzucając większość rzeczy ofiarowywanych przez życie, takich jak ryzyko i przygoda, zasklepiając się we własnym świecie dobrych manier, konwenansów i wyciszenia. Przedtem tatuś wszędzie mamę zabierał, ale odkąd go zabrakło, otoczyła się kokonem żałoby, jakby świadomie wybierając taki tryb życia, jaki wiedli jej rodzice. Czy tak bardzo tego potrzebowała: wyrzec się świata? Aby zachować przeszłość? Aby przywrócić życiu tatusia? Czy Trip i ja byliśmy jej winni ślepe posłuszeństwo? Czy moim zadaniem było kontynuować jej dzieło, tam gdzie ona je przerwie?

W ciągu ostatnich kilku lat świat matki skurczył się do kilku zaledwie miejsc - domy przyjaciół, sklepy na King Street, kilka lokali w centrum Charlestonu i w Sheem Creek, wystawy ogrodnicze, udział w działaniach na rzecz zachowania niecki ACE. Poruszając się wyłącznie po udeptanych ścieżkach znanych miejsc, zaufanych twarzy, czuła się całkowicie bezpieczna. One nie niosły żadnego zagrożenia.

Dawniej jeszcze wykładała historię malarstwa amerykańskiego w Gibbs Art Museum w Charlestonie i na University of South Carolina w Columbii. Teraz nie pamiętałam już nawet, kiedy ostatni raz do mnie

zadzwoiła, żeby mi oznajmić, że jej wykład znowu okazał się sukcesem; jakże dawno to było!

I wreszcie myśl najbardziej przerażająca. Jeśli matka tak głęboko ukrywała swoje lęki i fobie, tak bardzo nie chciała ukazywać ich światu, z nikim ich dzielić, czy teraz będzie bała się umierać - jeśli faktycznie doszła do kresu drogi? Jej choroba - prawdziwa czy podejrzewana - uczyniła mnie ślepą. Nie byłam gotowa pozwolić jej odejść. Nie byłam gotowa sprostać moim własnym potrzebom. Coś mi jednak mówiło, że nie mam wyboru.

Dochodziła niemal szósta, kiedy skręciliśmy w podjazd wiodący do Wysokich Sosen. W cieniu rozłożystego parasola dębów napomniałam siebie samą, że chociażby przez wzgląd na Erica muszę poskromić jakoś swój lęk. Tylko Millie powiem, choć ona i tak już pewnie wie, już wszystko zobaczyła w swojej głowie. Oczywiście nie myliłam się. Kiedy samochód zakręcał przed domem, frontowe drzwi otworzyły się. Na werandę wyszła Millie.

## Rozdział 40

### Gwiazdny pył

W jadalni czekała przygotowana przez Millie przekąska - mrożona herbata, pokrojony na kwadraty placek marchwiowy, ułożony na talerzu, kawał jarlsberga i wodne krakersy. Millie zawołała Erica. Nawet nie usiedliśmy, tylko jedliśmy na stojąco, usiłując prowadzić beztroską konwersację na temat matki wizyty u lekarza i pierwszego dnia domowej nauki Erica.

- Powiadam ci, Millie, że doktor Taylor jest męski do szaleństwa.

- O Boże, nie! - jęknęła Millie.

- Sama byś zobaczyła - ciągnęła matka. - Gdybym tylko była ze dwadzieścia lat młodsza, to wtedy ohoho. Ech, ten zapach prawdziwego piżma. - Głos jej skrzył się humorem, ale oczy pozostawały zachmurzone. Nie oszukała ani Millie, ani mnie.

Wpakowałam sobie do ust wielki kawał ciasta.

- Mhmm, Millie, pychota. - Pożulałam chwilę, przełknęłam, po czym zwróciłam się do Erica: - I jak, skarbie, który z nauczycieli spodobał ci się najbardziej?

- Rusty - odparł natychmiast, zlizując z palców bitą śmietaną. - Ona jest fajna. Wszyscy inni zadali mi coś na następny raz, tylko ona nie.

- Synu, proszę, użyj serwetki, dobrze? - Tak naprawdę wcale nie miałam mu za złe, że posłużył się językiem. Wszystko było takie pyszne, że gdybym była teraz w domu, sama najchętniej wylizałabym półmisek. - No dobrze, najpierw przekąska, a potem pomogę ci trochę w lekcjach, zgoda?

- Zgoda. Babciu, czy jesteś pewna, że nic ci nie dolega? - zwrócił się Eric do matki.

- Tak pewna, jak pewna jestem własnego imienia. Poczekaj, skarbie, mam dla ciebie siurpryzę.

- Siurpryzę? A co to takiego? - zapytał Eric lekko załamującym się głosem - czyżby początki mutacji? - i popatrzył na mnie, szukając wyjaśnienia.

Matka wymknęła się do holu po torebkę.

- Niespodzianka - powiedziałam, zastanawiając się jednocześnie, co też mogła mu przywieźć.

- Chyba już czas na mnie - rzucił Trip w przestrzeń, ale jakoś nie ruszał się z miejsca.

Matka wróciła, ukrywając coś za plecami.

- Z której ręki?

- Z tej - wskazał Eric.

Ku jego radości, matka podała mu baton Hersheya.

- Tylko nie zjedz całego od razu, bo potem nie będziesz chciał jeść kolacji - upomniała go. - Wybrałam go przy barze, kiedy byliśmy w restauracji.

Był to nasz stary rodzinny zwyczaj, tyle że pielęgnowany przez tatusia, nie przez nią. Teraz - zupełnie jakby ręka ojca wyciągnęła się z grobu - matka podała Ericowi taką samą czekoladę, jaką tatuś, kiedy dopisywał mu humor, zwykł przywozić Tripowi i mnie. Baton Hersheya. Drobnym symbol jego bezgranicznej pobłażliwości wobec nas.

Oczy Tripa spotkały się z moimi. Mogłam się założyć, że pomyślał dokładnie to samo, co ja - przez matkę przemawia teraz tatuś, dając nam znak, że wszystko się ułoży, że mamy się nie martwić. Pewnie.

- Kolację przygotuję na ósmą - zapowiedziała Millie. - Liściasta kapusta i kurczęta.

- Liściasta kapusta! - Eric skrzywił się i popatrzył na mnie, przewracając oczami. - Zdaje się, że nie jestem ani trochę głodny - wymruczał pod nosem.

- Ale kapustę zjesz i zobaczysz, jak ci będzie smakowała - pośpieszyłam z zapewnieniem. - To pokarm bogów.

- O Jezu - westchnął Eric - rano pokarm dla mózgu, wieczorem pokarm bogów. A nie mógłbym dostać jakiegoś zwykłego pokarmu? Chińskiego na przykład?

- Chodź, synku, pomóż mi wynieść do kuchni cały ten bałagan. - Millie przejechała ręką po jego włosach. - Jak nie zasmakujesz w mojej kapuście, to przyrządzę ci włoską.

- Włoską? Fuj! - Eric złapał się za gardło. - Mamuś!

- Pomóż Millie - poleciłam. - Nikt jeszcze nie umarł od jej kapusty. To kwas foliowy. Dobrze ci robi.

Eric nie przestawał krzywić się za moimi plecami, swoimi minami rozładowując trochę napięcie, które daremnie usiłowaliśmy ukryć.

Wreszcie, niosąc całe naręczce szklanek i serwetek, ruszył za Millie do kuchni.

Trip sam już nie wiedział, czy chce jechać, czy zostać. Kręcił się niespokojnie i ociągał bez końca, aż wreszcie matka zapowiedziała, że idzie na górę się odświeżyć i przy tej okazji odprowadziła go do drzwi.

Wreszcie po wielokrotnych pożegnaniach i zapewnieniach, że gdy tylko doktor Taylor da znać, zaraz do niego zadzwonimy, Trip zdecydował się wrócić do domu, do Frances Mae i do dzieci. Jego niechęć do rozstania się z nami wręcz unosiła się w powietrzu niczym nadmiar wilgoci. Nawet stary, poczciwy Trip czuł potrzebę przebywania z matką tak długo, dopóki telefon nie zadzwoni.

Wróciła Millie z kuchni i wspólnie odprowadzaliśmy wzrokiem matkę wchodzącą po schodach. Poruszała się wolno, zniechęcona, nawet jej plecy - sposób, w jaki wspierała się na poręczy, trzymała ramiona - zdradzały jej pełną rozczarowania słabość. Pełną rozczarowania, gdyż jej ziemski czas miał ulec skróceniu, w dodatku przez to, co najbardziej w życiu ukochała - dotyk słońca na skórze, pracę w ogrodzie, przesiadywanie nad rzeką. To wszystko, co sprawiało, że czuła się naprawdę żywa, w końcu miało pozbawić ją życia. Trudno sobie wyobrazić większą zdradę.

Wiedziała. Wszyscy wiedzieliśmy. Nikt z nas nie odezwał się ani słowem.

Po kolacji i w długi czas potem, kiedy już położyłam Erica spać, zdecydowałam się zadzwonić do Richarda. Musiało być chyba dobrze po jedenastej. Zamierzałam go poprosić, aby popytał wśród swoich kolegów, skonsultował opinię doktora Taylora z innymi lekarzami, ale tak naprawdę był to tylko pretekst. Dzwoniłam, bo przepełniał mnie niepokój, więcej, prawdziwy lęk. To idiotyczne dziecko tkwiące we mnie w środku, nigdy niedające się do końca uciszyć, domagało się pocieszenia, zapewnienia, że wszystko będzie dobrze. Richard odebrał po piątym dzwonku. Głos miał przepity i ciężki od snu.

- Halo - rzucił do słuchawki i odchrząknął. To był jego stały zwyczaj - zawsze chrząkał, ilekroć miał zamiar przejechać się po kimś. Zanim zdołał otworzyć usta, już słyszałam kazanie: *Czy wiesz, do diabła, która godzina?* - Halo - powtórzył.

Poczułam, że jeszcze chwila, a rzuci słuchawką.

- Richard, to ja. Przepraszam, że dzwonię o tak niehumanitarnej porze, ale...

- Nie, wszystko w porządku - powiedział. - Caroline, jestem taki szczęśliwy, że dzwonisz. Bałem się, że już nigdy się nie odezwiesz. Czy coś się stało? Z Erikiem może?

Mogłam go sobie wyobrazić, jak przewraca się na bok, sięga po okulary, zapala lampkę przy łóżku, które kiedyś było naszym łóżkiem. Od kiedy to tak troszczy się o Erica?

- Z Erikiem wszystko dobrze. - I nagle dałam upust słowom, a wraz ze słowami pojawiły się łzy, zdławiony szloch, pociąganie nosem i jeszcze więcej łez, tych okropnych oznak kobiecej słabości. Pragnęłam odwołać się do jego siły, bo wydawało mi się, że ja sama jej nie posiadam, czego płacz był najlepszym dowodem. - Nie jestem gotowa, aby ją stracić, Richard, po prostu nie jestem gotowa. Przepraszam, zachowuję się jak dziecko.

- No, Caroline, cicho już, cicho. Otrzyj łzy. To nic, że płaczesz. Przecież to twoja matka. Sam jestem bliski łez. Uwielbiam Lavinie. Cholerny świat. Ale to przecież niemożliwe, żeby już nic nie dało się zrobić. Jutro spróbuję sam zadziałać. Z samego rana, obiecuję.

- Dobrze, Richard, dziękuję ci. Naprawdę.

- A teraz pozwól nam trochę odpocząć. Zadzwonię do ciebie przed dziesiątą.

Nacisnęłam przycisk kończący rozmowę i opadłam na poduszkę, pograżając się w komponowaniu łzawego scenariusza. Z każdym dniem matka będzie słabsza i słabsza, a straszliwych ponizeń, związanych z rozwojem nieuleczalnego nowotworu będzie przybywało, zupełnie jakby szatan mścił się na niej za to, że jej życie układało się tak szczęśliwie. Stanie się niczym biblijny Hiob, ze skórą pokrytą otwartymi wrzodami, i odebrana jej zostanie wszelka ziemską radość. A moim przeznaczeniem będzie przypatrywać się temu ze złamanym sercem, obserwować każdą kolejną zapowiedź nieuchronnego. Będę świadkiem jej cierpienia, a potem śmierci. Chyba że da się uczynić coś, aby ją ocalić.

Miotałam się w pościeli, wreszcie otworzyłam oczy. Do licha, przecież ja jeszcze nie wiem nic na pewno, nie znam nawet wyników badań krwi. Jeszcze dobrze nie znalazłam się na moście, a już wyciągam rękę, by płacić mostowe. Głupia jestem. Głupia i zbyt litująca się nad sobą. Wstałam, żeby obmyć twarz i włożyć koszulę nocną.

Już miałam wśliznąć się między prześcieradła, kiedy usłyszałam jej głos. Matka z kimś rozmawiała.

*Wiem, wiem, wszystko będzie dobrze. Nie, nie jestem. Dlaczego miałabym się bać, skoro ty mnie poprowadzisz? Dlaczego miałabym...*

Tu głos jej się załamał. Popatrzyłam na telefon - żadna linia nie była zajęta. Myślałam, że może zadzwoniła do Miss Sweetie albo Miss Nancy, ale nie. Rozmawiała z kimś innym. Podkradłam się w stronę jej pokoju, jak tylko potrafiłam najciszej. Drzwi były uchylone. *Och, kochany...*



Pchnęłam drzwi. Matka stała przed lustrem, ustrojona w suknię ślubną, tę samą, w której przed nią szła do ołtarza jej matka, a jeszcze wcześniej matka jej matki.

- Mamo? - Nie da się ukryć, szok był spory.

- Chcę, aby skremowano mnie w tej sukni. Czy to jasne, Caroline?

- Tak, ale na razie nigdzie się nie wybierasz. - Wkroczyłam do jej pokoju w koszuli nocnej i boso. - A poza tym czy nie chcesz jej zostawić dla dziewczynek Tripa i Frances Mae?

- Może zostawię, a może nie. I chcę, aby moje prochy rozsypano z urwiska, podczas gdy goście będą raczyli się szampanem. Potrafisz to załatwić?

- Oczywiście, ale po co mówisz takie rzeczy, mamo? Nie podoba mi się to. To... to nie jest miłe.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie z takim gniewem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałam.

- Nie. Jeśli chcesz usłyszeć, co nie jest miłe, to ja ci powiem, co nie jest. Strach. Najgorszy z demonów pod słońcem szatana. Chodź ze mną. Porozmawiamy, mam ochotę na rozmowę.

Podreptałam za nią niczym posłuszna dziewczynka, przez hol, schodami na dół i dalej, na dwór. Szła - a ja wciąż za nią - przez zalany księżycowym światłem trawnik, a wiejąca od rzeki bryza igrała z jej spódnicą, owijając ją wokół nóg. I tak podążałyśmy w kierunku przystani - ona w ślubnej kreacji, ja w nocnej koszuli. Musiałyśmy przedstawiać niezły widok.

Stanełyśmy przy barierce. Na kilka chwil stopy matki znalazły się dokładnie na moim ulubionym miejscu. Nie dbałam o to teraz. W gęstym,

nocnym powietrzu wyraźnie czułam jej oddech. A może to ona sama brała w posiadanie całe powietrze, jakie nas otaczało? Powietrze Lavinii, przesycone zapachem kapryfolium, gardenii i jej duszy. Noc Lavinii, ciepła i miękka, niczym pled otulający małą dziewczynkę, spoczywającą w ramionach matki. Złoty księżyc Lavinii i niebo z ciemnogrnatowego aksamitu, przestrelonego milionami diamentów, tak aby ona i jej córeczka miały się czym bawić, czym cieszyć, co podziwiać. Ta chwila była zbyt piękna, by skazać ją słabością, umieraniem. W powietrzu unosił się magiczny gwiazdny pył, rzeka pulsowała rytmem własnej siły, kołyszące się konary dębów szeptały słowa obietnicy - prawdziwy przedsiomek nieskończoności, należący do nas, żyjących.

Pojmowałyśmy doskonale, jak doniosły jest to moment. Czas prawdy, czas przemiany, która nadciąga wraz z koniecznością zmierzenia się z czyjąś śmiertelnością i własnym intelektualnym i duchowym dziedzictwem. Jeśli matka stała u kresu drogi, a ja miałam pomóc, ofiarowując jej coś cennego, coś wartościowego, musiałyśmy być wobec siebie zupełnie szczerze.

- Caroline, tylu rzeczy nie pojmowałam dawniej, kiedy byłaś mała, i dopiero teraz je dostrzegam. Dlaczego, aby je zrozumieć, musiałam przejść przez to wszystko? - Zawiesiła głos, jak ktoś, kto w natłoku myśli szuka tej jednej, od której pragnąłby zacząć.

Milczałam, pozwalając, by sama odnalazła słowa, które pozwolą jej zrzucić ciężar, jaki dźwigała w sercu.

- Jestem głupią kobietą, wiem - powiedziała wreszcie.

- Przepraszam, mamó, ale ja nie uważam cię za głupią.

- Och nie, teraz nie, dawniej. Kiedy byłaś mała, byłam bardzo głupią kobietą. - Jej głos brzmiał rzeczowo; zmierzała do sedna prosto i otwarcie.  
- Umieram, jak wiesz.

- O niczym takim nie wiem.

- A może tak przestałybyś mi przerywać, bo stracę wątek.

- Przepraszam.

-1 jeszcze jedno, przestań tak bez przerwy przeproszać za wszystko. - Popatrzyła na mnie, mocno zaciskając wargi i potrząsając głową. - A teraz dobrze uważaj. Nie mam zamiaru umierać niczym jakaś żalosna Dama Kameliowa. Nic z tego. Pragnę odejść w pełnym blasku, rozkoszując się każdą dobrą rzeczą, jaką uznam za wartą tego, by się nią cieszyć. Zbyt wiele lat żyłam, lękając się własnego cienia. Kiedy twój ojciec stracił życie w tym straszliwym wypadku, bałam się wsiąść do samolotu, w obawie, że mogłabym zginąć. Bałam się, że z ciebie i z twojego brata wyrośnie Bóg wie co. Bałam się, że zorientujecie się, jak bardzo się boję, więc wysłałam ciebie do Ashley Hall, a jego do St. Andrew's. A potem, sama przyznaję, trochę zaszalałam. Zbyt wiele piłam, zbyt wiele zadawałam się z dżentelmenami, którzy pod żadnym względem nie dorównywali twojemu ojcu. - Urwała i przewróciła oczami, a ja zaczęłam chichotać. Roześmiała się także. Jej jasny śmiech brzmiał niczym małe dzwoneczki. Od dawna już nie słyszałam, aby śmiała się w ten sposób. - No więc tak, Caroline - ciągnęła - odpracowałam sumiennie swój życiowy przydział błędów i omyłek, a teraz być może umrę od złośliwego znamienia, które mam na plecach, albo od zgrubienia na żebrze, ale skoro muszę pożegnać ten świat, chcę sama pokierować swoim odejściem. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Coś w rodzaju, że zbyt długo żyłaś tak, jak inni tego od ciebie oczekiwali, zamiast być sobą? Znadto starali się tobą kierować? Bałaś się nawet własnego cienia?

- Tak, dokładnie tak i jeszcze gorzej. Twój ojciec, niech Bóg zachowa jego cudowną duszę, był naprawdę wspaniałym człowiekiem, ale przez całe nasze wspólne życie robiłam wyłącznie to, czego chciał on. Zdawałaś sobie z tego sprawę? Ani jedna opinia nie była moją własną, żadna myśl, żaden zamiar, żaden plan - wszystko jego.

- Tak jak Richard i ja?

- Twój ojciec zostawił mnie na pastwę losu. Dosłownie. Chowając go, pochowano także mój mózg. Nie miałam pojęcia, co mam robić jako matka, od czego mam zacząć. Żyłam, jak umiałam, jak chciałam, a skutek był taki, że kompletnie utraciłam kontakt z tobą i z Tripem. Na Tripa przez całe lata nie potrafiłam nawet popatrzeć; w jego oczach był cały mój Nevil, tylko jego w nich widziałam. A ty tak bardzo mnie potrzebowałaś. Nie rozumiałaś tego, że gdybym ci pozwoliła siebie potrzebować, gdybym zbliżyła się do ciebie, a później cię utraciła, oszalałabym. Z Tripem było tak samo, a nawet jeszcze gorzej, gdyż stanowił wykapany obraz swojego ojca. Chciałam, abyście oboje byli silni, abyście się nie bali, tak jak bałam się ja. Tymczasem spowodowałam jedynie, że zaczęłaś się zastanawiać, czy aby na pewno cię kocham, i szłaś przez życie w poszukiwaniu rodziców. Dopiero teraz to widzę.

To była prawda, ale przecież nie mogłam tego potwierdzić.

- A twój brat? Uczyniłam z niego idiotę, który ożenił się z nikim. Gdyby ją utracił - niewiele by go to kosztowało, nie finansowo, oczywiście, emocjonalnie. Uczyniłam z niego kogoś, kto pustkę w sercu

starał się wypełnić hazardem. Ponieważ gdyby był silny i niezależny finansowo, on także by mnie nie potrzebował.

Bardzo się bałam pozwolić wam odejść, ale jeszcze bardziej bałam się was zatrzymać. Widzisz, gdybym was zawiodła, nie potrafiłabym żyć z tą świadomością. Tak strasznie czułam się opuszczona po śmierci Nevila. Nie potrafiłam zapanować nad tym uczuciem, nie potrafiłam zapanować nad niczym. Tak że przynajmniej nad dniami, jakie mi jeszcze pozostały, chcę sprawować pełną kontrolę.

Matka - sylwetka rysująca się na tle nocnego, kobaltowego nieba - stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dawniej stawałam ja, snując upajające marzenia o przyszłości i usiłując odegnać wyimaginowane koszmary młodego jutra. Stała dokładnie na moim miejscu i po raz pierwszy w życiu otwierała przede mną swoje serce. Nie wiedziałam, jak zareagować. Zastanawiałam się, co tak naprawdę usiłuje mi przekazać.

- Czy chcesz powiedzieć, że mnie naprawdę kochasz?

- Och, dziecko moje drogie, czy kiedykolwiek myślałaś, że cię nie kocham?

Moje lzy już, już miały wytrysnąć. Jej także. Oto ja, dziecko współczesnego pokolenia, w którym rodzin nie łączą żadne głębsze więzy, zagubiona, dezorientowana, święcie przekonana o swoich racjach, przeświadczona, że matka scedowała troskę o nas na obcych, ponieważ sama nie chciała pobrudzić sobie rąk, teraz płakałam. Ja także się myliłam.

Tymczasem prawda wyglądała zupełnie inaczej. Ona tylko chciała uczynić nas silnymi i oschłymi, aby - kiedy naszym sercom pierwszy raz zostanie zadany ból - potrafiły go znieść. Chciała nas wyposażyć w grube

skóry, nie w powłokę rozedrganych emocji. Zbłądziła, a teraz uświadomiła to sobie i mocno żałowała. Jej płacz zaś był błaganiem o wybaczenie.

-Widzisz? Od moich dzieci żądałam dokładnie tego samego, czego moi rodzice żądali ode mnie. Mnie ich reguły, ich wymagania pomogły przejść przez życie, tobie natomiast i Tripowi nie pomogły ani trochę. Myślę, że zraniłam cię nawet bardziej, niż potrafię pojąć. A przecież nigdy nie miałam zamiaru wyrządzić nikomu krzywdy.

- Wszystko w porządku, mamó. Naprawdę. Nigdy nie myślałam, że jesteś zła. Chyba każde dziecko czuje się trochę niezrozumiane przez rodziców. A ty starałaś się, jak potrafiłaś najlepiej; wiem, że się starałaś.

- No cóż - powiedziała, pociągając nosem i ocierając go wierzchem dłoni - kocham cię, Caroline, naprawdę cię kocham. A nasz mały Eric jest najwspanialszym podarunkiem, jakim mogłaś mnie obdarzyć. Nasz najdroższy chłopiec. I nie martw się o niego. Wszystko będzie dobrze, wiem to. Tak samo Millie i Trip. Millie mówi, że nauczyciele nie mogli się nadziwić jego zdolnościom, a z kolei Trip twierdzi, że Eric to urodzony dżentelmen z Południa.

- W porządku, mamó, ja też cię kocham. Bardzo, bardzo. I pomogę ci przejść przez to wszystko, z czym jeszcze przyjdzie nam się zmierzyć.

- Masz na myśli, że mnie nie opuścisz, tak jak ja opuściłam cię?

- Mamó, ty nigdy mnie nie opuściłaś. To ja sama od siebie odeszłam, zdezerterowałam. Ale już się odnalazłam. - A potem powiedziałam swojej matce to, co każde dziecko pragnie usłyszeć od swoich rodziców: wszystko będzie dobrze. - Objęłam ramieniem jej kruchą figurkę. - Już jest dobrze. Jestem z tobą.

Później, kiedy otuliłam ją kołdrą i właśnie miałam zgasić światło, odezwała się jeszcze:

- Rozmawiałam z twoim tatusiem.

- Cicho już, cicho.

- Ja nigdy nie przestaję z nim rozmawiać. Bezszelestnie zamknęłam drzwi, szepcząc:

- Kocham, cię, mamo.

Spulchniałam poduszkę, na której pragnęłam złożyć skołataną głowę, gdy nagle zauważyłam, że obok nocnej lampki leży Biblia, umieszczona tam przez czyjeś ręce. Podniosłam ją i otworzyłam. Była to stara Biblia tatusia, mocno już zaczytana przez te wszystkie lata, z dedykacją od matki, która ofiarowała mu ją w prezencie ślubnym. Lavinia podarowała tatusiowi Biblię. Moja matka! Szok. A skąd teraz owa księga wzięła się w mojej sypialni? Przed godziną jeszcze jej tu nie było. Zaraz z rana muszę wziąć matkę na spytki.

Zaczęłam przewracać kartki, w nadziei, że moje oczy padną na jakieś słowa, które przyniosą mi pocieszenie. I rzeczywiście, mój wzrok zatrzymał się na fragmencie tak znaczącym i ważnym, że zadrżałam z wrażenia. Ewangelia według świętego Marka, ustęp o uzdrowieniu trędowatego, który przyszedł do Jezusa i powiedział: „Jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić”. A Jezus dotknął go i ten człowiek natychmiast został uzdrowiony.

- Och, świetnie - powiedziałam na głos, a włosy dosłownie stanęły mi dęba. - Teraz to już na pewno nie zasnę.

No bo i jak miałabym spać? Znak z zaświatów? Nie, raczej podstawowa, karmiczna synchronizacja, o której nauczał New Age. Jasne.

Trąd? Rak skóry? Jak dla mnie wystarczająco bliskie. Wracam na łono Kościoła. Im wcześniej, tym lepiej. Najlepiej od razu. Miałam zamiar prosić, nie, błagać Boga o wybaczenie, że przez ostatnich dwadzieścia lat go ignorowałam. Od tego zacznę. A może, pomyślałam, ty leniwa, rozpieszczona, cyniczna, arogancka grzesznico, czas, abyś zrobiła użytek ze swoich kolan? Do licha, przecież miliony wierzących nie mogą się mylić. Jeśli Bóg rzeczywiście spoglądał w moją stronę od czasu, gdy po śmierci tatusia dobrowolnie odseparowałam się od reszty jego wyznawców, nie zaszkodzi, jeśli zobaczy mnie teraz na klęczkach.

Modliłam się, modliłam jak szalona - za matkę, za tatusia, o pomoc, o przebaczenie, o wyrozumiałość, o cierpliwość, współczucie, akceptację i oczywiście za Erica. Nastrój skupienia mnie nie opuszczał, więc modliłam się za Tripa i Frances Mae i za Richarda, tak, za niego także. Dla równowagi dorzuciłam jeszcze Lois i Harr/ego, a także Josha. Nie zaszkodzi.

Nie otrzymałam odpowiedzi, nie doświadczyłam psychicznego przesłania, nie doznałam cudu. Ale w końcu była pierwsza w nocy, a modlitwa mnie w pewien sposób pokrzepiła.

Nie wiem, co mnie podkusiło, ale zadzwoniłam do Josha. Telefon dzwonił przez dłuższą chwilę, zanim odezwał się zaspany głos:

- Co znowu?

- Josh? Tu Caroline. Słuchaj, przykro mi...

- Która godzina?

- Późna. Słuchaj, Josh, właśnie dzisiaj dowiedziałam się, że matka jest śmiertelnie chora. Ona umiera i po prostu muszę z kimś porozmawiać...



- Hej, Caroline, to przecież jej karma. Zadzwoń jutro.

Odłożył słuchawkę, zanim zdołałam dodać choć słowo. Jej karma? Zadzwoń do mnie jutro? *Okay*, Josh, możesz sobie uczyć Erica, ale tylko dopóki nie znajdę kogoś, kto cię zastąpi. Karma. Już ja ci pokażę karmę.

Kiedy wreszcie znalazłam się w łóżku, moją ostatnią myślą, zanim zapadłam w sen (oczywiście po tym, jak wymyśliłam tysiąc rzeczy, które miałam zamiar wygarnąć Joshowi), było, że my - cała nasza rodzina - nie przestajemy się zapewniać, że wszystko jest dobrze. Tymczasem dobrze nie jest i nie będzie. Rozpacзлиwa modlitwa, jakie to żalosne. Muszę zdobyć się na coś więcej. Ale chociaż rozpaczliwe modlitwy do Boga nie zmieniają przeznaczenia, mogą przecież zmienić mnie.

RS

## **Rozdział 41**

### ***Dobre chwile, złe chwile***

W ciszy poranka usłyszałam zajeżdżające samochody. Jedno trzaśnięcie drzwiami, za nim następne. Wyplątałam się ze skłębionych prześcieradeł i zerknęłam na zegarek. Siódma. Co się dzieje?

Zbiegłam po schodach, nie czekając, aż cały dom zerwie się na nogi. Zobaczyłam Miss Sweetie zaglądającą przez okno na lewo od drzwi i Miss Nancy zerkającą przez okno po przeciwnej stronie. Czemu tak wcześnie?

Otworzyłam drzwi, a one dosłownie wpadły do środka.

- Lavinia już na nogach? - zapytała bez tchu Miss Nancy.

- Nie, a przynajmniej nie wydaje mi się.

- Oczywiście, że Lavinia nie mogła jeszcze wstać, Nancy. Popatrz tylko na Caroline. Mówiłam ci, że to za wcześnie.

- Ależ nie, wszystko w porządku, naprawdę - zapewniłam. -Kawy?

Ruszyłam do kuchni, a one za mną. Włączyłam ekspres i otworzyłam lodówkę w poszukiwaniu soku.

- Chciałam poczekać do dziewiątej, ale Sweetie powiedziała, że o tej porze mogłabyś już wyjść albo co, i powiem ci szczerze, Caroline, przez całą noc żadna z nas nie zmrużyła nawet oka. Jak było u lekarza, opowiadaj.

Wszystko wróciło do mnie falą - że matka jest chora, że umiera, nawet jeśli nie zostało to jeszcze potwierdzone. Wiedziałam o tym i one też wiedziały. Inaczej nie pojawiłyby się tu z samego rana.

Postawiłam na blacie trzy kubki i trzy szklanki, potrząsnęłam kartonem pomarańczowego soku i zaczęłam go nalewać. Od czego powinnam zacząć?

- Angielskie muffinki? - zapytałam.

- Jasne - odparła Miss Sweetie.

-Żadnych węglowodanów - sprzeciwiła się Miss Nancy. -A więc?

- Na razie nic nie wiemy na pewno - powiedziałam. Sięgnęłam w stronę ekspresu, lecz kawa nie była jeszcze gotowa. - Ale niczego dobrego nie możemy się spodziewać.

Milczały, znieruchomiały, od czasu do czasu tylko mrugając oczami.

- Wczoraj w Medical University miała robione badania krwi i tomografię komputerową.

Wolałam nie wspominać o rozmowie, jaką odbyłyśmy nad rzeką wczorajszej nocy, i o moich odczuciach. Byłam szczera, ale oszczędnie dawkowałam słowa. Najpierw niech się wszystko wyklaruje; przecież tak naprawdę nie mamy jeszcze żadnych potwierdzeń. Poza tym to były matki przyjaciółki, nie moje.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do kuchni wpłynęła matka.

- Poczulałam zapach kawy i usłyszałam jakiś harmider. Stare kwoki, co robicie tutaj o tak ранней godzinie? Ja mam wnuka do wyedukowania, więc muszę wcześniej zaczynać dzień. Przyszłyście pożyczyć trochę kawy czy też może posłuchać najnowszych wieści ze świata medycznego? - Podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek. - Dzień dobry, kochanie, smacznie spałaś?

- Lavinio? - zaczęła Miss Sweetie. - Dlaczego nas nie zawiadomiłaś? Zamartwiałyśmy się na śmierć.

- Sweetie ma rację, Lavinio. Powinnaś była do nas zadzwonić - wtórowała jej Miss Nancy.

Nalałam dla matki kubek kawy i szklanę soku i postawiłam wszystko na małej tacy.

- O, kochane - sprzeciwiła się matka - gdybym miała o czym mówić, natychmiast złapałabym za słuchawkę. Na razie nie ma się czym przejmować.

Muffiny jedna po drugiej wyskakiwały z tosterka, więc wyłożyłam je na talerz, dodałam masło i dżem i wręczyłam wszystko matce.

- Mamo, a może zabierzesz Miss Sweetie i Miss Nancy na górę, do jadalni, a ja przygotuję śniadanie dla Erica? Potem do was przyjdę.

- *C'est une excellente idee* - zachwyciła się Miss Nancy.

- Znakomicie, Nancy - rzuciła matka, zbierając się do wyjścia. - Chwała Bogu, że nie zainteresowałaś się Rumunią.

Miss Nancy wstała od stołu i zwróciła się w moją stronę:

- To po francusku, a oznacza „wspaniały pomysł”.

- Na litość boską, Nancy, przecież ona wie, mieszkała w Nowym Jorku - zirytowała się Miss Sweetie.

- *Sorrrrrrry!* - Miss Nancy na to - nie wiedziałam, że w Nowym Jorku mówią po francusku.

Drzwi zamknęły się za nimi.

Zamknięcie jednych drzwi - otwarcie innych. Przyjaciółki matki, przygnane tutaj instynktem, jeszcze pełne niedowierzania, ale przeczuwające, że z ich przyjaciółką dzieje się coś niedobrego. A skoro z nią, to może z nimi także?

Tak właśnie reagowali prawdziwi przyjaciele. Pojawiali się, chociaż nikt ich nie wzywał, przynosili radość, przynosili światło, jeśli tylko potrafili. Byli gotowi przejąć część brzemienia na swoje barki. Trzy głowy to lepiej niż jedna albo dwie.

Przyjaciółki matki nie pozwolą się wykluczyć. Będą stanowiły część jej śmierci, tak samo jak stanowiły część jej życia. Nie pozwolą jej zostać samej, jeśli wyrazi najdrobniejszą choć potrzebę, spełniają, a jeśli nie potrafią, znajdą kogoś, kto to uczyni.

Siedziałam przy kuchennym stole, popijając kawę, gorącą, mocną. Taka byłam zadowolona, że przyszły. Wsparcie, ratunek, na to każdy czas był odpowiedni. Każą matce wziąć się w garść, myśleć pozytywnie, będą jej przypominały przeszłość, upiększając ją jednocześnie.

Niebawem Millie otworzy tylne drzwi i rozpocznie się nowy dzień. Niebawem pójde obudzić mojego małego chłopca, który tak szybko wkroczył na drogę dorostania i stawania się mężczyzną. Na razie nie powiedziałam mu o matce. Czas na to nadejdzie wówczas, kiedy doktor Taylor potwierdzi swoje przypuszczenia - dopiero wtedy przyjdzie mi wybrać chwilę, określić sposób, dobrać odpowiednie słowa.

Nie, na razie zwierzyłam się tylko Richardowi. Richard obiecał pomóc. I Joshowi, który w mojej księdze okazał się najbardziej nieudanym rozdziałem. Przestało mnie dręczyć poczucie winy z powodu tego, co wydarzyło się między nami. W pewien sposób ja i Josh byliśmy skwitowani.

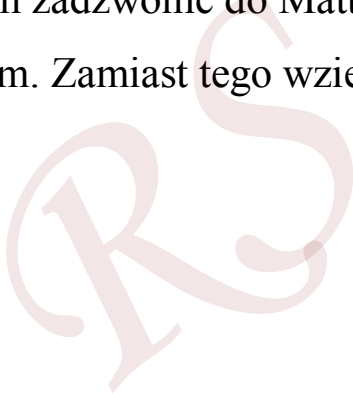
Skierowałam się ku drzwiom na tylną werandę i wyszłam na dwór. W oddali ujrzałam Millie, zmierzającą w stronę domu. Spojrzałam na rzekę - błękitną, potężną, pełną mocy, niezmienną. Zwały chmur powoli

przesuwały się po niebie, śpiew ptaków dobiegał mnie ze wszystkich stron.

Przypadkowy przechodzień nigdy by się nie domyślił, że w tym miejscu może rozgrywać się coś niedobrego. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak wczoraj. *Świat niecki ACE w Karolinie Południowej ściele się do twoich stóp. Tu nigdy nic się nie zmienia. Oprócz naszych serc.*

Pokiwałam Millie i wróciłam do środka.

Miss Sweetie i Miss Nancy przyjechały, żeby pocieszyć matkę, żeby stać przy niej w chwili, kiedy będzie odczytywany wyrok. Czy ja miałam takich przyjaciół? Powinnam zadzwonić do Matthew. Powinnam opowiedzieć mu o wszystkim. Zamiast tego wzięłam prysznic.



## **Rozdział 42**

### ***Głębokopod skórą***

Atmosfera poranka byłaby bardzo ponura, gdyby nie obecność w domu małego chłopca, którego przecież trzeba było nakarmić i przygotować do lekcji. Ponadto z jakiegoś niewiadomego powodu czułam w sobie siłę gladiatora. Może dlatego, że Miss Sweetie i Miss Nancy były z matką na górze, pozwalając mi przez chwilę skoncentrować się na Ericu.

Siedzieliśmy we dwójkę w kuchni, przygotowując śniadanie i omawiając jego zadania domowe. Ostatnio oboje odkryliśmy w sobie nowe upodobania: płatki kukurydziane z kawałkami brzoskwiń i wyciskane soki. Matka okazała się królową kuchennych gadżetów. Pastelowo żółty robot KitchenAid, królujący na kuchennym stole, wyposażony był w mnóstwo najrozmaitszych przystawek. O większości z nich nie wiedziałam nawet, do czego mogłyby służyć.

Natomiast Eric wiedział. Może zawdzięczał to swoim fascynacjom Transformers i lego, ale rozszyfrował je wszystkie co do jednej. Metodą prób i błędów nauczył się wyciskać sok z melona, smakujący niczym nektar. Wypróbował też soki z brzoskwiń, jagód, truskawek i najrozmaitszych kombinacji owoców, ziół i warzyw.

- Skosztuj tego - powiedział, podając mi szklankę napelnioną prawie zupełnie czarnym płynem.

- A co to takiego? - zapytałam.

Już widziałam nagłówek: SYN OTRUŁ WŁASNĄ MATKĘ. Ujęłam szklankę i czekałam, aż Eric zdradzi mi, co ona zawiera. Po

doświadczeniach z koktajlem szpinakowo-czosnkowym wolałam nie ryzykować.

- No, mów - ponagliłam go.

. - Dobrze już, dobrze. Jagody, jeżyny, jabłko i odrobina mięty.

Chyba moje najlepsze połączenie, jak do tej pory. Widzisz? - Wyjął mi z rąk szklanę i upił z niej trochę. - Och, pycha. I wcale mnie nie zabiło.

Rzeczywiście napój okazał się bajeczny.

- Wiesz co, synu? To ty powinieneś zostać uczniem Millie. Posiadasz naturalny dar łączenia składników, ten sam styl, co ona.

- Wezmę to pod uwagę - oznajmił.

- Mówisz zupełnie niczym wuj Trip.

- Gadanie, mamuś.

Popatrzyliśmy na siebie z uśmiechem, po czym ja powiedziałam:

- Najmilszy sposób rozpoczęcia nadchodzącego dnia, jaki można sobie wyobrazić.

- O tak, te niesamowite brzoskwinie.

- Tak samo niesamowite jak ty, kochanie. - Potargałam mu włosy i skierowałam się w stronę zlewu, żeby trochę posprzątać. Zerknęłam na ścienny zegar. - Dochodzi ósma trzydzieści, lepiej biegnij umyć zęby.

- Myłem wczoraj - zaprotestował, wiedząc doskonale, że moja odpowiedź zabrzmiała: *Eric!* - Już leczę, już leczę - dorzucił szybko, podsuwając mi szklanę.

Wahadłowe drzwi zamknęły się za nim, a ja ponownie popatrzyłam na zegarek. Lada moment mógł się odezwać doktor Taylor. Może Richard także zadzwoni.



Millie przyszła dzisiaj wcześniej, ale minęłyśmy się. Wiedziałam, że jest w gabinecie tatusia i załatwia rachunki. Może coś wymyśliła?

Weszłam do niej, spragniona pociechy, ale z wyrazu jej twarzy mogłam wyczytać, że nie ma dla mnie dobrych nowin.

- Dzień dobry - przywitałam ją.

-*Humph*, jaka szkoda, że moja matka już nie żyje - powiedziała, wstając z krzesła i podnosząc z podłogi brązową, wypchaną torbę na zakupy, stojącą za biurkiem. - Ona by wiedziała, co robić.

Dokończyłam za nią, choć właściwie nie było to potrzebne:

- Ponieważ ty nic tu nie potrafisz zdziałać?

- Zostało jeszcze trochę kawy?

- Niewiele, ale chodź, zaparzę świeżej. Miss Sweetie i Miss Nancy są z matką na górze.

- Wiem.

- Przekaz psychiczny?

- Nie, zobaczyłam ich samochody na podjeździe. Otwierając kuchenne drzwi, uśmiechnęła się do mnie, ale nie była to ta sama Millie, co zawsze. Wyglądała na bardziej niż kiedykolwiek zmęczoną. Postawiła torbę na krześle i nalała sobie kawy do kubka. Podałam jej karton z mlekiem z lodówki i sięgnęłam po więcej ziaren do zmielenia. Cisza. Nie potrzebowałam czekać, aż zadzwoni Jack Taylor i potwierdzi to, co już właściwie wiedzieliśmy. Millie usiadła przy stole, podmuchała na parującą kawę i zaczęła ostrożnie pić. Wylałam resztkę kawy z dzbanka do swojego kubka i zajęłam się parzeniem świeżej. Usiadłam naprzeciw Millie. Cisza. Wreszcie odchrząknęła i zaczęła mówić:

- Widzisz, sprawa wygląda następująco. Praktykowana przeze mnie medycyna i samoistne wyleczenia, do których potrafię doprowadzić za pomocą ziół, zależą od pewnych czynników. System odpornościowy człowieka reaguje na wiele rzeczy - szczęście, miłość, radość - to wszystko są rzeczy dobre. Ale w ten sam sposób reaguje na rzeczy negatywne - smutek, zmartwienie, stres i tak dalej. Zanim choroba znajdzie na człowieka, tak jak nasza na Lavinie, mija po drodze strażników w systemie immunologicznym. Jeśli ci nie dali rady tej choroby zawrócić, ty też jej nie powstrzymasz.

Nazwała matkę po imieniu. Pierwszy raz usłyszałam, żeby to uczyniła. Może zrobiła to podświadomie, pragnąc oddzielić siebie samą od swojego związku z matką. Westchnęłam, rozważając to wszystko.

- A może poczekamy, aż zadzwoni doktor Taylor, zanim zaczniemy się zadreczać?

Millie kompletnie zignorowała moją uwagę. Zaczęła coś mówić, najpierw normalnie, jakby się nad czymś głośno zastanawiała, ale niebawem jej słowa popłynęły nieskładną, rwącą strugą, urywając się i mącąc.

- Wszystko przepatrzyłam. Zebrałam wszystko, co tylko mam, co mogłoby pomóc. Kiedy obejrzałam wtedy plecy Miss L., pomyślałam, że padnę. Sama siebie ostrzegałam: *Millie, jakim sposobem chcesz udaremnić plan boży? Ale później dotarło do mnie: To nie jest ręka boża, to czart napiętnował Miss L. tym znamieniem, a on jest silniejszy niż ta kobieta. Yeah, ale od Tego na górze silniejszy przecież być nie może.* Tak więc użyjemy wszystkiego, czym dysponujemy, i zobaczymy, co z tego wyniknie. Jeśli to Bóg umieścił Miss L. na swojej liście, bo chce ją przyjąć

do siebie, nic na to nie poradzimy. Pozostanie nam tylko modlić się i czekać. - Znowu podmuchała na kubek i upiła kolejny łyk kawy. - Zobaczymy. I to wszystko.

Mówiąc, spoglądała w przestrzeń, co najdobitniej świadczyło o tym, jak bardzo jest strapiona.

- Co masz w torbie? - zapytałam. Wreszcie podniosła na mnie wzrok.

- Gdzie jest malakser? W moim coś zastrajkowało, bo inaczej zmiksowałabym wszystko w domu.

Otworzyłam dolną szafkę i postawiłam urządzenie na blacie. Też bladożółte, z KitchenAid. Musieli mieć nielichą wyprzedaż. Millie opróżniała torbę, wykładając na stół małe plastikowe woreczki.

- Najpierw zrobimy okład, żeby wyciągnąć z pleców truciznę. Żywica piniowa, olej z oliwek, łój, żywokost, czerwona koniczyna, ptasie ziele, korzeń szkarłatki i jeszcze parę innych dodatków. -Mówiąc, nie przestawała wyjmować kolejnych torebek i porządkować ich na stole.

- Gdzie ci to podłączyć?

Rzuciła mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że jest jej to dokładnie obojętne. Postawiłam malakser, jak mogłam najbliżej, i podłączyłam do prądu.

- Które ostrze?

- Najpierw rozdrobnimy korzeń, potem wymieszamy wszystko razem, a oliwa z oliwek pomoże nam zrobić z tego pastę.

- A czosnku nie dodajesz? Czy czosnek nie oczyszcza krwi?

- Oczywiście, że dodaję czosnek. Czosnek dodaje się do wszystkiego.

Mówiła z irytacją, agresywnie, zupełnie niepodobna do tej Millie, którą kochałam.

- Millie, dobrze się czujesz?

Popatrzyła na mnie i podbródek zaczął jej drgać. Nie widziałam Millie płaczącej, odkąd umarł tatuś. Musiała być przerażona, że teraz straci matkę. I rzeczywiście, łzy wolno zaczęły spływać po jej policzkach.

- Nie, nie czuję się dobrze, wcale a wcale. W nocy nie zmrużyłam oka, tylko przez cały czas frasowałam się o twoją matkę. Jest moją najlepszą przyjaciółką, a teraz obawiam się, że nie jestem w stanie przyjść jej z pomocą. Jak Bóg mógł do tego dopuścić, bym pomagała różnym półgłówkom wykaraskać się z miłosnych kłopotów i leczyła ich z rozmaitych błahostek, podczas gdy tuż pod nosem miałam Lavinie, która mnie potrzebowała, a ja nie miałam o niczym pojęcia.

Z pudełka z chusteczkami stojącego przy telefonie wyciągnęłam jedną i podałam Millie, jednocześnie kładąc jej rękę na ramieniu.

- To przecież nie twoja wina, Millie, i ty doskonale o tym wiesz.

Na jej twarzy wyraźnie odbił się stres; drobne zmarszczki, których do tej pory nie zauważałam, teraz rysowały się na czole i wokół oczu.

- Millie - zaczęłam - ja ci pomogę. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, obie. Wczoraj nawet zadzwoniłam do Richarda; może coś wymyśli. Dziś rano ma się odezwać. Proszę, nie płacz.

- Do tego faceta? Zrobiłaś to? - Millie chwyciła głęboki oddech i wytarła nos. Popatrzyła na mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami, wreszcie uśmiechnęła się. - Ależ musiało cię wziąć.

- To prawda, wzięło. Słuchaj, ona jest twoją najlepszą przyjaciółką, ale moją matką. I chciałabym, aby chodziła po tym świecie wystarczająco długo, by moją najlepszą przyjaciółką mogła stać się także. Wiesz o tym.

Millie, odrobinę odprężona, pokiwała głową, spoglądając najpierw na podłogę, a potem w sufit.

- Ale przecież powinnam była o tym wiedzieć! Dlaczego nie dopatryłam sprawy?

Oparłam się o kuchenny blat i założyłam ręce na piersiach.

- Nie wiem. Zwykle dostrzegasz wszystko. Być może dobry Pan w ten sposób pragnął ci przypomnieć, że to on jest tutaj zarządzającym, a nie ja ani nie ty.

Słyszając te słowa, zerknęła na mnie podejrzliwie.

- Wracasz do Jezusa?

- Nie wiem. Buddyzm i hinduizm to jedno, ale cały ten New Age to przecież kupa bzdur. Nie wierzę w Boga dlatego, że ktoś mi powiedział, że muszę wierzyć, bo inaczej będę się smażyła w piekle. Wierzę w Boga, ponieważ w niego wierzę. A jeśli potrafię zaakceptować całą koncepcję Boga, i czynię to, dlaczego nie miałabym przyjąć Jezusa także? Nasza rodzina to grono najbardziej leniwych, najbardziej pobłażających sobie agnostyków, z jakimi kiedykolwiek przyszło mi się zetknąć. Wystarczył jeden powiew trwogi, a ja natychmiast pobiegłam po Biblię. To znaczy, tak naprawdę to Biblia przybiegła po mnie.

- O czym ty mówisz?

- No, znalazła się przy moim łóżku, a jeszcze parę godzin wcześniej jej tam nie było. Po prostu zmaterializowała się.

Millie zacisnęła wargi i obrzuciła mnie nieżyczliwym spojrzeniem. Można było żartować z nią na każdy temat, ale nigdy na temat Boga.

- Nie pytaj mnie, po prostu leżała sobie. Paf! Klęczałam potem na kolanach Bóg wie jak długo, błagając o jakąś wskazówkę. Ktoś w naszej rodzinie musi przyjąć taką pozycję w chwili kryzysu, a jakoś nie widzę, żeby za drzwiami ustawiała się kolejka wolontariuszy, prawda?

- Masz w stu procentach rację. Chodź, trzeba wrzucić kwiaty przytulii do garnka, żeby się zagotowały, a potem dodać korzenie i całą resztę. Postanie z tego wywar, dzięki któremu nowotwór będzie się obkurczał.

Rzuciłam jej spojrzenie, jedno z tych, jakim obdarzyła mnie wcześniej.

- Co znowu? - obruszyła się i ujęła pod boki.

- Guz się obkurczy? Zawsze myślałam, że mówiłaś, że to działa moczopędnie.

- Oplucz korzenie z brudu. Moczopędnie działa także. Dobre też na to, co ciebie swędzi. Na pewno nie zaszkodzi.

- Och - powiedziałam, podstawiając garnek pod zlew i nalewając do niego może na cal wody.

- *Yanh*, dołóż także i tego. - Millie wrzuciła do garnka garść bluszczu.

- Bluszcz? Czy to nie jest trujące?

Nie zdążyłam jeszcze wypowiedzieć do końca tych słów, a już wiedziałam, że zaraz nastąpi wybuch.

- Wiesz co, dziewczyno? Ja tu zaraz przez ciebie zwariuję, *yanh*. Dodamy także trochę miodu, i to powstrzyma wzrost raka. Oczyści

wątrobę, woreczek żółciowy, wypłucze wszystkie toksyny. A teraz idź i otwórz drzwi.

Nawet nie słyszałam pukania. Millie miała rację. Nie powinnam wtrącać się do tego, na czym się znała; powinnam zostawić troskę o matkę jej. Zanim dotarłam do drzwi, Eric już dopadł klamki i teraz witał się z Rusty. Niemal widziałam jego serce, walące jak opętane pod T-shirtem. I ten zapach wody do ust, bijący od niego. Pierwsza miłość. Nic nie da się z nią porównać.

- Witaj, Rusty. Miło cię widzieć - przywitałam się z nią. - Napijesz się kawy? A może gorącej herbaty?

- Och nie, dziękuję, pani Levine - odparła. - Przyniosłam ze sobą termos.

- Ty idź już, mamuś. Jeśli będzie czegoś potrzebowała, to ja jej przyniosę - ponaglił mnie Eric, spoglądając na nią promiennie, niczym Alfalfa na Darię. Poszedł za nią do salonu, gdzie Millie już przygotowała dla nich stół.

- *Okay* - zgodziłam się i powędrowałam z powrotem do kuchni. Telefon rozdzwonił się nagle. Popatrywałyśmy na niego razem

z Millie, wreszcie, gdy już przebrzmiał czwarty dzwonek, sięgnęłam po słuchawkę. Gabinet doktora Taylora, pielęgniarka. Czy mogłabym przyjechać razem z bratem? Czy odpowiada mi termin popołudniowy?

- Nie, nie odpowiada mi. Chciałabym rozmawiać z doktorem Taylorem natychmiast.

- Ma w tej chwili pacjenta - oznajmiła grzecznie, ale zdecydowanie.

-Zaczekam. - Zachowałam się niczym typowa arogantka z New York City, ale naprawdę zdecydowana byłam wisieć przy telefonie tak długo, dopóki doktor nie podniesie słuchawki.

- To niemożliwe - odparła tonem osoby Czyż Nie Jestem Kimś Szczególnym, mającym podkreślić tę nic niewartą odrobinę władzy, w którą ją wyposażono.

Wczoraj nienawidziłam lekarzy. Dziś gotowa byłam dorzucić pielęgniarce do tej grupy.

- Wręcz przeciwnie, całkowicie możliwe - oznajmiłam ze słodyczą, zapewniając, że jeśli mnie rozłączy, dam jej się we znaki niczym gargantuiczny wrzód na tyłku.

- Wobec tego proszę czekać - skapitulowała.

Czekałam, czekałam i czekałam, w nieskończoność, a Millie spoglądała na mnie, jakby sądziła, że postradałam zmysły.

Wreszcie w przebłysku geniuszu odłożyłam słuchawkę i wystukałam drugi numer gabinetu. Odebrała.

Odezwałam się niezwykle pewnym tonem, podobnym do tego, jakim posługiwałam się w rozmowach z dawnymi nauczycielami Erica, prowadzonych przed lustrem w łazience.

- Jeśli natychmiast nie połączy mnie pani z doktorem Taylorem, będę dzwoniła co pięć minut, aż pani od tego zwariuje.

Połączyła mnie bez słowa. Jack Taylor podniósł słuchawkę.

- Caroline?

- *Oui! C'est moi. Que pasa?*

- Boże, ależ z ciebie poliglotka. Posłuchaj, Caroline, pewnych spraw nie lubię omawiać przez telefon, ale rozumiem twój niepokój, tak że



przejdę od razu do rzeczy, a potem, jeśli będziesz chciała, możesz przyjechać i odpowiem na każde pytanie, jakie może ci się nasunąć.

- Dobrze, dziękuję.

- Jest tak, jak się obawiałem. Tomografia pokazuje powiększoną wątrobę, śledzionę, przerzuty do kości i do mózgu. Wyniki badań krwi świadczą o tym, że wątroba już praktycznie przestaje funkcjonować.

Nowotwór z przerzutami. Matka ma przed sobą sześć do ośmiu tygodni w miarę normalnego życia, potem zacznie gasnąć. Leczenie praktycznie nie istnieje - jedynie łagodzenie bólu. Chciałbym, abyś pozostawała ze mną w kontakcie. Możesz dzwonić choćby codziennie. Przykro mi, Caroline, naprawdę jest mi przykro. Jima Thompsona sam zawiadomię. Nie ma sensu poddawać jej dodatkowym badaniom.

Nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Świat odpłynął ode mnie, pokój pograżył się w mroku, a ja osunęłam się na podłogę. Następną rzeczą, jaką pamiętałam, to Millie, klęcząca przy mnie.

- Powiedziałam mu, że zadzwonimy później - oznajmiła, ocierając mi twarz mokrą ściereczką. - Ja miałam swój płacz, a ty masz swoje omdlenie. Czas dzwonić do Tripa, co trzy głowy, to nie dwie, i wspólnie zastanowić się, co począć z tą nowiną.

Podniosłam się na nogi. Twarz miałam chmurną.

- O czym teraz myślisz, dziewczyno?

- To jakaś straszliwa pomyłka - powiedziałam, wysuwając do przodu podbródek, uporczywie kręcąc głową, i wpatrując się w Millie oczami błyszczącymi od łez. - To przecież nie może być prawda.

- Chodź, kochanie, pozwól łzom płynąć.

Wyszliśmy na dwór i usiadliśmy na stopniach prowadzących na tylny ganek. Siadywałyśmy tak dawniej, kiedy jeszcze byłam podlotkiem, obierając buszle fasolki szparagowej, łuskając kukurydzę albo - gdy byłam mniejsza - obrywając główki krewetkom. Teraz, dwie przyjaciółki połączone wspólnym nieszczęściem, zaniosłyśmy się płaczem niczym małe dzieci.

RS

## Rozdział 43

### *Lekarz w domu*

#### *Piątek, po południu*

Richard zadzwonił we wtorek wieczorem. Jego koledzy nie odkryli nic, czego nie wiedziałyby Jack Taylor. Te same procedury, te same rokowania, te same prognozy.

- Do diabła, Richard, nie jest dobrze - powiedziałam, zrelacjonowawszy mu wyniki badań krwi. - Jestem załamana. Zupełnie jakbym rozpadała się na kawałki.

- Ze wszystkich paskudnych rzeczy akurat to. Chcesz, żebym przyjechał?

Co takiego? Czy ja chcę go tutaj? Rady - jasne, odwiedzin - pewnie, ale przyjazdu? Spania w moim łóżku? Czy to właśnie miał na myśli? Zwariował czy raczej doszedł do wniosku, że bliskość śmierci działa niczym afrodyzjak? Uważa, że go potrzebuję i daję mu to do zrozumienia? No dobrze, potrzebuję, nie będę się wypierać. Ale jako przyjaciela, który mnie pocieszy, nigdy jako męża.

- Przyjechać *tutaj*? - zapytałam. Tylko na tyle potrafiłam się zdobyć. Wystarczyło mi przeżyć jak na jeden tydzień.

- Caroline - ciągnął Richard - to nie ja odszedłem od ciebie, kochanie, to ty mnie opuściłaś. Ja nadal cię kocham. Jeśli mnie potrzebujesz, przyjadę.

Zatkało mnie.

W ciągu kilku ostatnich tygodni, wypełnionych nieustanną szarpaniną, udało mi się na powrót poukładać wszystko w moim życiu, a

cały nowy porządek zawdzięczałam jego obrzydliwej zdradzie i odrażającym preferencjom seksualnym, tymczasem masz! Czy on zwariował? A może to ja byłam wariatką?

- Richard, o czym ty mówisz?

Westchnął głęboko. Zawsze to robił, zastanawiając się nad doborem najodpowiedniejszych słów.

- Miałem wystarczająco dużo czasu, aby wszystko przemyśleć i uporządkować. Uświadomiłem sobie, że zaprowadziłem cię na nieznany ci teren. Miałaś prawo wyrazić swoje oburzenie. Zdaję sobie sprawę, że widok mnie i Lois mógł cię zdenerwować. Caroline, przyznaję, zbłądziłem. Nie w pragnieniu tego, czego pragnąłem, ale w tym, że moje pragnienia cię zraniły.

- Co? To pragnienia różnią się od zdrady? - Nie zbłądził, że pragnął, czego pragnął, tylko w tym, że mnie zranił. To znaczy co? Dalej gierki? Wiódł podwójne życie, które okazało się błędem z jednego tylko powodu - że go przyłapałam? Bo pod osłoną płóciennego namiotu Lois omal nie zadusiła mu ptaka?

- Mówię, że mógłbym spróbować raz jeszcze, gdybyś zechciała, to wszystko.

- A co się stało z Lois?

- Związała się z chirurgiem szczękowym.

- Specjalista od korzenia? - Nie mogłam się nie roześmiać. Co za pyszny freudowski zbieg okoliczności.

- Jak widać - odparł. - Zdaje się, że oboje traktują sprawę poważnie.

- No to masz pecha. - Poczułam dla niego odrobinę współczucia.

Sam, samiuteńki w Nowym Jorku, bez nikogo, kto pod osłoną serwetki w

restauracji rozegrałby rundkę wrestlingu z jego małym przyjacielem.

Okropność. - Czasami cygaro okazuje się tylko cygarem.

- Bardzo zabawne - powiedział.

- No to wróć do ogłoszeń „osobiste” z ostatniej strony „New York Timesa”. No wiesz, biały, żonaty, sado-maso poszukuje kobiety w celu bzykania w miejscu publicznym, preferowana robota ręczna. Jak mawia Eric, odrób rachunki.

- No cóż, do pewnego stopnia zasłużyłem na to.

- *Yeah*, to tkwiące we mnie dziecko czasami lubi się po kimś przejechać.

Milczenie, ciężkie westchnienie i znowu cisza.

- Do diabła, Richard, nie wiem... nie potrafię myśleć...

- Tak, kochanie, tak, masz rację. To nie jest odpowiednia chwila. Po prostu pamiętaj, że gdybyś mnie potrzebowała, będę przy tobie w ciągu kilku godzin.

Podziękowałam mu, pragnąc zakończyć naszą rozmowę jakimś miłszym akcentem, i oddałam słuchawkę Ericowi, żeby mogli sobie pogadać. Wszystko dosłownie przewracało mi się w żołądku.

Minęło kilka dni. Przez cały tydzień matka zachowywała się podejrzanie spokojnie. Głównie siedziała w swoim pokoju, ze słuchawką telefoniczną przy uchu. We wtorek po południu uparła się, że sama zadzwoni do doktora Taylora i zaprosi go na kolację w piątek. Oznajmiła, że pragnie porozmawiać z nim na swoim własnym terytorium, we własnym salonie, że dodając sobie kurażu Bourbonem, będzie się czuła znacznie swobodniej, zadając mu pytania, niż w śmierdzącym lekarstwami gabinecie. *Z pewnością potrafi to zrozumieć.* Biedny doktor Taylor w

starciu z nieodpartym urokiem matki nie miał żadnych szans. Przyjął zaproszenie i za godzinę powinien się pojawić w Wysokich Sosnach. Doktor Śmierć. Na górze matka stroiła się i muskała, zupełnie jakby lada moment do drzwi miał zastukać kochanek z bukietem.

No dobrze, przyznaję, że Jack Taylor był miły, i w końcu nie było jego winą, że matka zachorowała na raka skóry, który miał ją zabić. Nie było też jego winą, że przypadło mu w udziale zwiastować nam tę złą nowinę. Mimo to był Doktorem Śmiercią, i tyle.

Razem z Erikiem, pod baczynym okiem Millie, postanowiliśmy zająć się przyrządzaniem posiłku.

- Ja tam znowu nie jestem taka zachwycona, że wróciłaś i próbujesz zawłaszczyć moją kuchnię - mówiła Millie.

-I bardzo dobrze, że wróciłam. Gdybym wam pozwoliła, ty i matka kupiłybyście każdy gadżet, dostępny przez Internet. - Nie zdążyłam nawet dobrze wypowiedzieć tych słów, a już zapragnęłam je cofnąć. Jeszcze trochę i matka przestanie kupować swoje gadżety. Jej dni w sieci są już policzone. Odsunęłam na bok tę myśl i ponownie zabrałam z Erikiem do pracy.

- Czy położyłeś na stole łyżki do zupy? Te okrągłe?

- Tak, na prawo od łyżeczek do herbaty, tak jak mi pokazywałaś. A jaka będzie zupa?

- Krem pomidorowy z knedelkami z krabiego mięsa i odrobiną sherry.

- Moją porcję poproszę bez sherry. Ja nie piję.

Leciutko uniosłam kąciki ust, zerkając przy tym na Millie. Pokiwała głową w uznaniu dla kolejnej błyskotliwej wypowiedzi Erica.

- Niech no sprawdzę to mięso. Mogliście przeoczyć kawałki skorupek.

Przez cały tydzień z determinacją wtrącała swoje trzy grosze do wszystkiego, do czego się tylko wzięliśmy. Rozumiałam ją. Świadomość, że matka niebawem odejdzie, wszystkich nas uderzyła niczym obuchem. W środę pojawiła się nawet Frances Mae, dzierżąc w zagięciu prawego łokcia bukiet kwiatów, a na lewym biodrze podtrzymując swoją szkaradną, czerwonogłową, najmłodszą pociechę.

- Cześć, wejź - przywitałam ją, otwierając drzwi.

- Nie, nie będę wchodziła. Kwiaty są dla Matki Wimbley. Jak ona się czuje?

- Nie chce rozmawiać na temat swojego samopoczucia. Ale prawie bez przerwy przesiaduje u siebie w pokoju i gdzieś wydzwania. Na pewno nie chcesz herbaty?

- Nie, dzięki. - Odebrałam od niej kwiaty, a ona przesadziła moją brataniczkę, Małego Czerwonego Rottweilera, na drugie biodro. - Dziewczynki mają balet po południu, więc muszę się śpieszyć jak diabli. Przysięgam na świętego Piotra, że przez cały dzień nic nie robię, tylko kręcę kierownicą - mówiła, już w pół drogi do samochodu. - Cześć, powiedz Matce Wimbley, że przesyłam jej wielkiego całusa.

Krojąc pomidory na zupę, rozmyślałam o mojej bratowej. Nawet ona okazywała teraz wielkoduszność i sympatię, bynajmniej niecechujące jej na co dzień. Coraz rzadziej też ją widywaliśmy. Chwila wytchnienia w oku cyklonu szalejącego w naszych sercach.

Tripa i Frances Mae miało nie być na obiedzie i do stołu zamierzaliśmy zasiąść tylko we czwórkę - matka, Jack Taylor, Eric i ja. Gdzieś

w połowie tygodnia postanowiłam bez reszty poświęcić się kuchni i cały mój ból zagłuszyć gotowaniem.

Reprezentowałam absolutny dyletantyzm i amatorszczyznę w tej dziedzinie, ale w miarę kolejnych prób coś tam sobie przypominałam. Kupiłam też „Gourment” i starałam się jak najwierniej odtwarzać tamtejsze przepisy. Podobnie czyniłam z wyszukanymi w sieci, przy czym bardzo pomagały mi obrazki.

Policzyłam porcje mięsa, myśląc, że znowu przygotowałam ich za dużo. Mieliśmy zupę pomidorową, sandacza z grilla na liściach młodej kapusty, medaliony z polędwicy wieprzowej z puree ziemniaczanym, a na deser brzoskwińowe lody własnego wyrobu. Naprawdę nie potrzebowaliśmy czterech funtów mięsa, nawet jeśli podczas smażenia miało się trochę skurczyć.

- Pięknie pachną te twoje ziemniaki - zauważyła Millie, unosząc pokrywkę podwójnego garnka i pociągając nosem. - Czosnek?

- Ty wiedzmo, przecież ten sposób podłapałam właśnie od ciebie. Obsmażyć, zgnieść i posiekać. Wszystko gotowe - rybę trzeba będzie jeszcze szybko podgrzać. Mięso też już miękkie. Ciekawa jestem, jak ten świat sobie radził, zanim poznano czosnek.

Odwróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Millie wkłada palec do puree ziemniaczanego i szybko oblizuje.

- Mmm - powiedziała. - A co z przystawką? Ten doktor jest samotny?

- A jeśli nawet, to co? Nie dbam o to. Przystawka? Wielkie nieba, Millie, kompletnie zapomniałam o przystawce. *Yeah*, owszem, jest



samotny, ale jest też zwiastunem nieszczęścia. Wiesz, jak nienawidzę lekarzy.

- A ty jesteś głupia, *yanh*. Przypuszczam, że jest na czym zawiesić oko, co?

- No owszem, jeśli ktoś gustuje w takich karawaniarskich typach.

- A ty myślisz, że nie będziesz mnie już potrzebowała?

- Millie, przecież potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek. Przez dobrą minutę mierzyłyśmy się wzrokiem, pogrążone w myślach. Dokończymy robić obiad przed przybyciem doktora Taylora czy rozplączemy się?

- Zajrzę do lodówki. Mam maliny i ser brie zapiekany w phyllo. Nastaw piekarnik na czterysta stopni i idź się wreszcie przebrać. Wyglądasz niczym przywleczony przez kota zewłok. Co z Erikiem?

- Nie wiem, ale poszukam go. Gdzie się ten chłopak podział? Zaczęłam wołać po całym domu. Dopiero na górze usłyszałam jego głos, dochodzący z pokoju matki. Stałam w drzwiach i przypatrywałam się im obojgu. Ten widok przynosił mi ukojenie. Matka leżała na sofie, w kimonie, perfekcyjnie uczesana i umalowana. Zachwycony Eric zwinął się na podłodze u jej stóp.

- Tak, tak właśnie zwabiano insekty w czasach mojej babki.

- Na cukier?

- Żebyś wiedział. Sam przeczytaj w jej pamiętniku. - Podsunęła mu pomięte, pożółkłe stronice. - Namydlano gąbki, wyciskano je niemal do sucha, skrapiano cukrem trzcinowym i kładziono na parapetach. Mrówki lały do tego jak głupie. Potem brało się taką ruszającą się gąbkę,

wrzucało do garnka z wrzątkiem, i po mrówkach. - Wyciągnęła rękę i połaskotała Erica po żebrach, wywołując salwę donośnego chichotu.

- Przestań, przestań, zabijasz mnie.

Eric dosłownie pokładał się ze śmiechu, matka zresztą też. Zapragnęłam, aby obecna chwila stała się dla niej jedną z tych, które przechowa w pamięci i z których będzie czerpała siłę w godzinie próby. Weszłam do sypialni i podniosłam oprawiony w skórę tomik z pożółkłymi kartkami.

- A ty gdzie się zadekowałeś, młody człowieku? Zabawiasz się głupstwami u babci?

- No - przytaknął. - Czytałaś to kiedyś, mamuś?

- Nie, nigdy, ale bardzo bym chciała. - Popatrzyłam na matkę. Przez całe życie trzymała dzienniki pod kluczem. - Mogę? A ty idź i pomóż Millie.

Matka uśmiechnęła się, jakby tak naprawdę zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu. Dobrze wiedziałam, co jej chodzi po głowie. Że napędzając Erica do jego obowiązków, postępuję tak, jak powinna postępować matka, tak jak ona sama czyniła to po wielekroć. Że w swoim zachowaniu jestem do niej podobna, wreszcie, że częśćka jej żyje we mnie, tak samo jak częśćka mnie żyje w Ericu.

- No i co? - rzuciłam, bo chciałam, aby potwierdziła moje przypuszczenia.

- To niegrzeczne czytać w cudzych myślach - oznajmiła, znów uśmiechając się. - Wiem, wydaje ci się, że jesteś podobna do ojca, ale ilekroć otworzysz usta, żeby upomnieć Erica, mówisz moim głosem.

Usiadłam na drugim końcu kanapy, a ona pochyliła się w moją stronę i ujęła mnie za rękę.

- To prawda - powiedziała, poklepując mnie lekko po dłoni, do której przyłożyła swoją.

- Mam twoje paznokcie - zauważyłam.

- Czy to nie cudowne? Chodzi mi o ten cały przekaz genetyczny. Im więcej z siebie odkrywam w tobie, tym łatwiejsze staje się to dla mnie.

- Co staje się łatwiejsze? - Wiedziałam, że mówi o śmierci, ale nie chciałam tego zaakceptować.

- Caroline, posłuchaj mnie, przecież nie jestem głupia. W tym tygodniu dzwoniłam do swego prawnika i teraz omawiamy pewne zmiany w moim testamencie. - Jej oczy poszukały moich. - O tyle spraw muszę się zatroszczyć - ciągnęła, opadając na poduszkę. - Przecież nie zostawię Wysokich Sosen, ot, tak sobie, nikomu. Mojemu synowi także nie mogę ich zapisać. Mógłby je stracić; tego się boję. A ty? Co z twoim życiem? Nie powinnam przywiązywać cię do miejsca, którego nie kochasz. Nie wiem po prostu, co z tym począć. Chciałabym, żeby wszystko potoczyło się inaczej, naprawdę. Moja choroba nadeszła w najmniej oczekiwanym momencie, nie uważasz?

- Mamo, o twojej przyszłości porozmawiamy, kiedy przyjedzie doktor Taylor; ja nie jestem żadnym ekspertem w dziedzinie medycyny. A Wysokie Sosny są twoje i ty nimi dysponujesz, nie ja. Powinnaś z nimi uczynić, co uznasz za słuszne. Ja rzeczywiście mam naturę obieżyświata. Życie tutaj mogłoby mnie znużyć, choć przecież nie mogę twierdzić z całym przekonaniem, że tak będzie. Zresztą kto z nas zastanawiał się nad tym?

- Cóż, jedno wiem na pewno. Nie zezwolę na to, żeby banda developerów rozszarpała moją ziemię na kawałki. To już prędzej muzeum albo pensjonat. Ale osiedla? Na ziemi moich przodków, którzy przelewali krew, aby ją zachować? Nigdy! Straszylabym ich wszystkich aż do sądnego dnia.

Widziałam, że za bardzo się podnieca, co przecież nie było dla niej wskazane, zwłaszcza kiedy oczekiwaliśmy gościa. Pochyliłam się, pocałowałam ją w policzek i odgarnęłam z jej twarzy kilka niesfornych kosmyków.

- Mamo, przecież ja jestem tutaj. Nikt nie zrobi krzywdy Wysokim Sosnom, ani teraz, ani nigdy. To ci obiecuję. - Wyraźnie się odprężyła. - Za pół godziny przyjedzie doktor Taylor, tymczasem ja wyglądam, jakbym cały dzień przepracowała w polu.

- Owszem, tak właśnie wyglądasz, więc bądź uprzejma wziąć prysznic. I nie zapomnij się umalować.

Uśmiechnęłam się, myśląc o tym, jak bardzo kocham tę złośliwą część jej natury.

- Tak jest, Miss Lavinio, żeby cię uszczęśliwić, gotowa jestem nawet włożyć sukienkę.

- Dobra dziewczynka. I jeszcze jedno.

- Tak, *ma'am*?

- Dzienniki. Weź, proszę. Tylko przyrzeknij mi, że będziesz je miała w poszanowaniu.

Wyciągnęła w moim kierunku pojedynczy tomik. W jej ruchu były jednocześnie duma i kapitulacja. Przekazanie dziennika. Symboliczny gest, wyraz największego zaufania, jakim kiedykolwiek mnie obdarzono.

- Możesz na mnie polegać, mamó. Nie tylko o niego zadbam; przechowam go jak skarb.

- Wiem, a teraz idź już, kochanie, przygotuj się. Czas podawać koktajle.

Wzięłam prysznic, zrobiłam lekki makijaż, włosy zwinęłam w węzeł, skropiłam szyję i przeguby wodą kolońską - Chanel nr 5, jedyną, dla której moskity zdawały się mieć szacunek. Kiedy zesłam na dół, matka i doktor Taylor siedzieli w salonie i gawędzili niczym para starych przyjaciół. Matka szczerą ręką naląła mu drinka, a sama rozkoszowała się bourbonem, sącząc go niczym debiutantka. Włożyła kostium: Pucci, rocznik 1970, w orientalne wzory, świecący jaskrawymi barwami, i także turban, do tego odpowiednie pantofle, przybrane piórkami. I jeszcze tysiąc bransoletek, i oczywiście perły.

- A oto Caroline - odezwała się. - Kochanie, ślicznie wyglądasz. Chodź, przywitaj się.

Doktor Jack Taylor wstał z fotela z podnóżkiem, tego samego, w którym zwykł siadywać mój ojciec. Teraz mogłam mu się dobrze przyjrzeć. Wyglądał całkiem, całkiem. Podałam mu rękę, czując zapach jego wody po goleniu. Bardzo przyjemny, pomyślałam. Zdecydowanie męski.

- Cześć - powiedziałam - miło cię zobaczyć.

I znowu zwróciłam uwagę na jego oczy. Zielone, wyraziste. Czy w gabinecie i podczas party nie nosił przypadkiem okularów? Nie byłam pewna. Miał na sobie granatową marynarkę o sportowym kroju, biały jedwabny T-shirt i spodnie khaki. Wyglansowane buty na bosych stopach. Elegancja Lowcountry w wydaniu współczesnym. Nieźle, nawet jeśli był

lekarzem. Tak naprawdę prezentował się wspaniale, ale nazwałabym kłamcą każdego, kto utrzymywałby, że mogłam coś takiego choćby pomyśleć.

- Też się cieszę. - Uśmiechnął się, bynajmniej nie zalotnie, tylko zwykłym, miłym uśmiechem, mówiącym: *Wiem, że dla twojej matki będzie to trudny czas, i cieszę się, że jesteś przy niej.*

Był skupiony głównie na sprawach zawodowych. Odpowiadało mi to.

- Kochanie, w lodówce jest butelka wina, a w szufladce korkociąg - oznajmiła matka. - Widzi pan, Caroline woli wino, bo pija się je w Nowym Jorku; tak jest szykowniej.

- O mamó! - Zabrałam się do otwierania butelki, na co Doktor Zwiastun Nieszczęścia wystąpił naprzód.

- Ja to zrobię.

Jego gest nie miał żadnego seksistowskiego podtekstu, nie było w nim nic władczego; po prostu miła oferta pomocy. Przyjęłam ją.

- Dziękuję, pójdę zobaczyć, co z przekąskami - powiedziałam. I, oczywiście, nie zdążyłam nawet wyjść z pokoju, kiedy

w drzwiach pojawił się Eric, niosąc okrągłą srebrną tacę. Pulchne, dymiące, przyrumienione na brązowo kruche paszteciki Millie tworzyły okrąg, w środku którego tkwił bukietik szczypiorku, rozmarynu i mięty, obsypany drobnymi kwiatkami i przewiązany kuchenną nitką, uroczym wiązanką panny młodej. Skąd Millie czerpała pomysły do tych przybrań czy dekoracji, czy jak się je tam nazywa w gastronomii? A mnie się wydawało, że komponując zupę pomidorową z mięsem z krabów, dorównałam samej Julii Child, a zastępując krakersy Waverly wodnymi

herbatnikami Carra osiągnęłam szczyty wytworności w zakresie przystawek.

- Uważajcie na palce - powiedział Eric. - To jest gorące jak piekło.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparł Jack Taylor. - Jesteś synem Caroline?

- Tak, to mój wspaniały wnuczek, Eric - przedstawiła go matka. -

Kochanie, zawsze częstuj najpierw kobiety, zaczynając od najstarszej, a dopiero później mężczyzn.

Wzięła z tacy pasztecik, a Eric zwrócił się do mnie, wznosząc wzrok ku niebu.

- Uczymy się przez całe życie - dorzuciłam, także sięgając po jeden.

- Zupełnie, jakbym miał zostać kelnerem, kiedy dorosnę - szepnął Eric do mnie, ale tak, że wszyscy mogli go usłyszeć.

- Nie popisuj się za bardzo - powiedziałam szybko, zanim matka zdążyła wtrącić swoje trzy grosze.

- A kim zamierzasz być? - zapytał Doktor Ciekawski. - Masz jakieś plany?

- Jasne - odparł Eric. Postawił tacę na stoliku do kawy i stanął, szeroko rozstawiwszy nogi i ujmując się rękami pod boki. - Będę pediatrą. Albo paleontologiem.

- Boże święty, w życiu nie słyszałam takiego wyrazu - powiedziała matka, kładąc rękę na sercu. - Ależ ty jesteś mądry, Eric. Przysięgam. Paleonto... co?

- Na twoim miejscu wybrałbym paleontologię - zauważył Doktor Doradca do spraw Kariery Zawodowej.

- A to dlaczego? - zapytałam z czystej uprzejmości, marząc jednocześnie, byśmy wreszcie zasiedli do stołu.

- Z powodu HMO. Dawniej medycyna była lukratywnym i przyjemnym zajęciem, obecnie HMO odebrała jej ten aspekt.

- A czyż zachęty nie powinno stanowić samo leczenie ludzi? Nie pieniądze?

- Caroline - wtrąciła matka - co za niesamowite rzeczy opowiadasz!

- Będę w kuchni - oznajmił Eric i wychodząc, podniósł triumfalnie kciuk w moim kierunku.

- Przykro mi - powiedziałam. Ale naprawdę wcale nie było mi przykro. Nienawidziłam tego człowieka, z którego ust padło, że moja matka jest śmiertelnie chora. Wiedziałam, że takie zachowanie jest dziecinne, ale nic na to nie mogłam poradzić.

- Wszystko w porządku - odparł Doktor Jack Palant. - Pytanie jest słuszne, a odpowiedź na nie brzmi: nie. Nie po to przez dwanaście lat zakuwałem w szkole, a przez następne pięć harowałem jak osioł, żebym teraz miał marnować czas na użeranie się z towarzystwami ubezpieczeniowymi, czy aby ustalić dla pacjenta odpowiednią kurację, rzeczywiście potrzebne są te albo inne badania. Dawniej lekarz był kimś w rodzaju Boga, dziś jego rolę przejęła HMO.

- Tak, słyszałam o tych nieprawidłowościach - powiedziałam, wycofując się odrobinę. - Mój eks-mąż także miewał pacjentów wymagających intensywnej terapii, tymczasem towarzystwa ubezpieczeniowe nie chciały pokrywać jej kosztów, podobnie jak kosztów niezbędnych im leków.

- Co tylko potwierdza moją opinię - zauważył Doktor Wąż w Kieszeni. - Obecnie praktyka lekarska zależy od łaskawości wielkiego biznesu, od dobrej woli bezdusznych kreatur, nieposiadających nawet



doświadczenia medycznego, ale dyktujących lekarzom z za biurka, czego ich pacjent potrzebuje, a czego nie. To absurdalne. I niespecjalnie skuteczne.

W drzwiach ukazała się Millie.

- Obiad będzie dosłownie za dwie minuty - zaanonsowała. Zmierzyła Doktora Kandydata do Wzięcia od góry do dołu, po czym obdarzyła mnie wymownym spojrzeniem: *A ty jesteś jeszcze głupsza, niż przypuszczałam. To miły człowiek, więc dlaczego go nie lubisz? Bo przyniósł niedobre wieści? Chcesz zabić posłańca?*

- Przejdźmy do jadalni, dobrze? - zaproponowała matka. Kiedy wstawiała, jej kaftan przymarszczył się nieco. Doktor

Jack Dupek podał jej ramię, które przyjęła, mrugając do mnie znacząco, zupełnie jakby chciała powiedzieć: *A widzisz, mój urok nadal działa nieodparcie. Mogłabyś się ode mnie uczyć, głuptasie. Niczym grzeczna dziewczynka podreptałam za nimi do jadalni, myśląc przy tym, że Jack Taylor jest wyższy, niż mi się wydawało, i że podoba mi się sposób, w jaki dotyka matczynej ręki. Z taką delikatnością, jakby dotykał rzadkiego, egzotycznego kwiatu. Tak też było.*

Obiad rozpoczął się od odprawienia zwykłego ceremoniału. Eric odsunął krzesło dla mnie, Doktor Nieskazitelne Maniery dla matki. Przy zupie toczyliśmy lekką konwersację, a potem Eric i ja zebraliśmy talerze i odnieśliśmy je do kuchni, gdzie Millie już szykowała rybę.

- I jak idzie? - zapytała.

- Mama tego nie zauważyła, ale gdy tylko ona popatrzy na mnie albo na babcię, ten facet natychmiast wlepia w nią gały - powiedział Eric.

- Co takiego? - zdumiałam się.

- Dokładnie o to mi chodziło, *yanh* - ucieszyła się Millie. - Eric, chłopcze drogi, zostaw dorosłym ich nudne rozmowy i zostań tu ze mną. Pomożesz mi przy deserze.

- Jasne - odparł mój syn i popatrzył na mnie pytająco, czy zgadzam się na jego odejście od stołu.

- W porządku, ale deser zjesz razem z nami.

Wróciłam do jadalni. Rozmowa tamtych dwojga przybrała teraz poważniejszy charakter.

- Czy wierzy pan w Boga? - pytała matka.

- O tak, *ma'am*, z pełnym przekonaniem - powiedział Doktor Biblijny Kaznodzieja.

- Naprawdę? - wtrąciłam. - A nie sądzi pan, że większość tego, co ludzie określają mianem przeżycia religijnego, można wytłumaczyć w kategoriach naukowych? Wizje? Głosy?

Popatrzył na mnie. Nie mógł nie zauważyć, że matka i ja zajmujemy wprawdzie miejsce w przedziale „akceptacja”, ale raczej bliżej wyjścia. A gdyby się jeszcze dowiedział, jak bardzo miotam się to w tę, to w tamtą stronę, z pewnością doszedłby do wniosku, że jestem niezdolna do sformułowania własnych przekonań. Niech sobie myśli, co chce, nie obchodzi mnie to.

- Tak, nauka tłumaczy wiele, ale równie wielki jest obszar, którego nie tłumaczy wcale, a obszar wymykający się nawet próbom wytłumaczenia jeszcze większy. Przez lata praktyki zbyt wiele widziałem, bym mógł nie wierzyć.

- Na przykład? Czy mogę państwu jeszcze coś podać? - zaproponowałam, w nadziei, że Taylor zajmie się jedzeniem.

- Nie, ja już dziękuję. Cóż - zaczął powoli - kiedy praktykowałem na internie, pracowałem również na intensywnej terapii. Niejednokrotnie zdarzało mi się towarzyszyć pacjentom w ich ostatniej drodze. Wielu umierających twierdziło, że widzi Chrystusa. Bardzo często.

Wziął do ust kawałek ryby i sałaty i zamyślił się na chwilę.

- A nie sądzi pan, że ludzie wyobrażają sobie to, co pragnęliby zobaczyć?

- Nawiasem mówiąc, wyborna jest ta ryba - skomplementował danie.

- Może, ale nie w stanie śpiączki.

- Śpiączki? - W porządku, udało mu się mnie zainteresować.

- Święte słowa. Mój wnuk sam ją złowił. Ale nie zbaczajmy z tematu. Te rozważania mogą się przydać umierającej kobiecie.

Na ułamek sekundy wstrzymaliśmy oddech. Oto nadchodził moment kulminacyjny.

- Która w dodatku utrzymuje, że nie wierzy w Boga - ciągnęła matka brawurowo.

Do jadalni wpadł Eric i usiadł na swoim poprzednim miejscu, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi.

- Pani Wimbley...

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Lavinia, doktorze Taylor.

- I nawzajem, Jack. Lavinio, każdy, kto wątpi w obecność realnie istniejącego, żywego Boga, powinien spędzić kilka dni u mnie na oddziale. Widziałem ludzi wielkiej wiary, złożonych śmiertelną chorobą, którzy odzyskiwali zdrowie, i niedowiarków, umierających z powodu błahostki.

- Połączenie między umysłem a ciałem? - Drzemiący we mnie cynik już podnosił głowę.

- Nie - odparł, ocierając kąciuki ust serwetką - to nie jest aż takie proste.

- A co może być prostego w połączeniu ciała i mózgu? Naoglądał się pan Billa Moyesa?

- Caroline, jesteś dzisiaj wyjątkowo kłótniwa. Co cię napadło?

- Przepraszam, mamó, przepraszam, panie doktorze.

- Jack, proszę.

- Eric, poproś Millie o więcej pieczywa, dobrze? - Poczekałam, aż mój syn wyjdzie z jadalni. - Mamó, chyba nie mówiłaś nic Ericowi?

- Owszem, mówiłam - odparła. - Zapytał mnie, czy umrę, więc powiedziałam mu, że nie, jeśli tylko będę umiała temu zapobiec. Przyjął to w sposób najzupełniej naturalny. Nigdy przecież nie napędziłabym mu stracha, powinnaś o tym wiedzieć.

- Jack... - zaczęłam, myśląc jednocześnie, że to ja powinnam przekazać Ericowi nowinę o matce. Wszystko mi się poplątało, więc w końcu powiedziałam po prostu: - Nasza rozmowa sprawia mi przykrość. Twierdzisz, że matka jest bardzo chora, tymczasem na mnie robi wrażenie zupełnie zdrowej. Siedzisz z nami przy stole i chociaż wiem, że jest to absolutnie nieracjonalne, pragnę cię znienawidzić. Jesteś bardzo miły, zachowujesz się jak prawdziwy dżentelmen, tymczasem ja nie potrafię znieść nawet tego, że muszę przebywać z tobą w jednym pokoju. Rozmawiacie o Bogu. A kilka dni temu na moim stoliku nocnym zmaterializowała się Biblia, pojawiła się zupełnie znikąd...

- Jack, wybacz jej, proszę. Caroline przeżyła ostatnio spory stres - wtrąciła matka, mierząc mnie spojrzeniem ostrym niczym szpikulec do lodu.

- Wszystko w porządku, Lavinio. - Doktor wstał i dolał wina mnie i sobie. - Co masz na myśli, mówiąc, że Biblia zmaterializowała się znikąd?

- Dokładnie to, co powiedziałam. - Odwróciłam się ku matce. - Chyba że to ty ją tam położyłaś.

- O czym ty mówisz? - zdumiała się.

- Biblia tatusia. Ta sama, którą mu ofiarowałaś, kiedy się pobieraliście. Znalazłam ją na stoliku przy łóżku.

Wszystkie kolory odpłynęły matce z twarzy. Zaczęła zsuwać się z krzesła. Traciła przytomność, i tym razem bynajmniej nie udawała. Mdląła naprawdę.

- Mamo!

Jack zerwał się z krzesła i chwycił ją, kiedy osuwała się na podłogę. Zanurzyłam serwetkę w karafce z wodą, wyżełam i zaczęłam przecierać jej twarz. Zawołałam Millie, która w okamgnieniu znalazła się w jadalni.

- Co się stało? - dopytywała się.

- Wody, szybko!

Jack trzymał głowę matki na kolanach i uderzał ją lekko po policzkach. Po chwili otworzyła oczy.

- To niemożliwe - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

- Lepiej ci? - zapytał Jack.

- To niemożliwe... Ja... ja pochowałam tę Biblię razem z jego szczątkami - oświadczyła i zaczęła płakać, prawdziwymi łzami przestachu i troski.

Powiedzieć, że to zwarzyło nam humory, byłoby największym niedomówieniem roku. Ja miałam gęsią skórę wielkości piłek do golfa i nawet opanowanie Jacka Taylora zdawało się pękać tu i ówdzie. Przy

pomocy Millie zaprowadził matkę na górę i zaaplikował jej łagodny środek uspokajający. Wyjęłam z szafy koszulę nocną, a Millie pomogła się matce rozebrać. Odsunęłam róg kołdry i matka wśliznęła się między prześcieradła. Millie zgodziła się przy niej posiedzieć, a ja zesłam z Jackiem na dół.

- Może podam coś do picia? Kawa, herbata, jakiś alkohol?

Pomyślałam, że trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. W powietrzu wyraźnie wisiało coś dziwnego.

- A może tobie także przydałoby się dziesięć miligramów, co? - zapytał. - Dobrze się czujesz?

Staliśmy w holu, tuż przy drzwiach frontowych, zastanawiając się, czy Jack ma już pójść, czy byłoby lepiej, gdyby został jeszcze trochę. Nagle ogarnął mnie nastrój do zwierzeń.

- No więc, dobrze, rozważmy to. Biblia przybyła do mnie prosto z grobu ojca.

- Widywałem już dziwniejsze rzeczy.

- A według wszelkich prognoz matka ma jeszcze przed sobą jakieś sześć tygodni, zanim...

- To spoczywa w rękach Boga, nie w naszych.

- *Okay*. Mój były mąż zadzwonił kilka dni temu z propozycją złożenia mi małżeńskiej wizyty. Odmówiłam. Z entuzjazmem.

- Dziękuję, że mi to mówisz.

- Mój najnowszy romans zakończył się piekłem karmy

. -Tak?

- Nie wiem jeszcze, gdzie za kilka miesięcy będę się podziewała.

- A co złego byłoby w zamieszkaniu tutaj?

Kolejno wyliczałam na palcach wszystkie moje porażki. Tylko nieszczęście Tripa postanowiłam zachować dla siebie. Na koniec litanii jeszcze raz policzyłam wystawione palce.

- Pięć. Tyle podsumowania. Co ty na to?

- Niech pomyślę. Pomijając chorobę twojej matki, z całą resztą można się jakoś uporać.

- Żebym tylko potrafiła!

- Wydaje mi się, że mogłabyś poprosić o pomoc przyjaciela. A co z tym gościem, z którym przyszłaś na przyjęcie, to, na którym się poznaliśmy? Jakie jest jego miejsce w tym trzęsawisku niezdecydowania i zagubienia?

- Trzęsawisko niezdecydowania i zagubienia - dobre. Matthew? Nie, to po prostu dawny przyjaciel z czasów szkolnych. Nic nas właściwie nie łączy. Przyjemny chłopak, którego znałam wieki temu.

- Aha - skwitował.

Kiedy tak staliśmy, tylko we dwoje, w przyćmionym świetle holu, feromony zaczęły z lekka skwierczeć, nie bacząc na to, że Biblia mojego zmarłego ojca nadal unosiła się między nami. Reakcja chemiczna nie zaiskrzyła niczym fajerwerk, raczej rozbłysła bladym światłem brylantu. Mogłam ją wyczytać z barwy jego głosu - teraz lekko obniżonej. Tak mówią kochankowie dzielący się sekretami.

- A co znaczy owo „aha”? - Mój głos także przycichł.

- Że może chciałabyś pójść na kolację? Nie wiem, ale wydaje mi się, że być może potrzebny ci ktoś, kto wie, co jest grane. To znaczy, przyjaciel, ktoś w tym rodzaju.

Twarz miał poważną. Jego słowa brzmiały prawdziwie i szczerze. Miał rację, ale ja - jak to zwykle ja - nie potrafiłam się oprzeć pokusie, żeby mu trochę nie podokuczać.

- Lekarz? Wiesz przecież, że nienawidzę lekarzy.

- *Yeah*, mam o tym niejakić pojęcie.

- Bo wy zawsze doszukujecie się w człowieku jakichś choróbsk. Mój były mąż był psychoanalitykiem ze szkoły Junga. W jego świecie ludzie rzadko bywali zdrowi, o ile w ogóle zdarzali się tacy.

- Dziewięćdziesiąt procent mojej praktyki to chirurgia kosmetyczna. Melanomy stanowią dziesięć procent zaledwie. Naprawiam bulwiaste nosy i wszystko, co obwisa.

- Och, to sprawia, że zaczynam spoglądać na ciebie przychylniej. Mówisz, że chciałbyś zaprosić mnie gdzieś na kolację od czasu do czasu? Czy tak?

- Tak. - Uśmiechnął się szeroko.

Jak to się stało, że przedtem nie zauważyłam tych dołeczków?

- *Okay*, bardzo mi się podoba ten pomysł.

Dlaczego poczułam się tak, jakbym znała go przez całe życie?



## Rozdział 44

*Lavinia oświadcza: sama tym pokieruję.*

Zaraz po obudzeniu przyniosłam sobie do łóżka laptop i połączyłam się z Internetem. Zamierzałam wejść na stronę Watykanu i spróbować złapać jakiegoś księdza, może nawet kardynała, żeby mi wytłumaczył, dlaczego Biblia Nevila opuściła jego grób. Nie miałam jednak szczęścia. Podpisałam się w księdze gości i poprosiłam o modlitwę. Wyznanie protestanckie stwarza pewne niedogodności. Nie mamy Watykanu, choć nie mogę powiedzieć, aby w moim przypadku Watykan bardzo pomógł. No cóż, próbowałam, nie udało się, co dalej? Weszłam do chat roomu i zaczęłam rozpytywać o linki do stron, które dałyby mi jakieś pojęcie o tym, co będzie się działo z moim ciałem i moją duszą, ot co!

Zbytnią przenikliwością się nie popisałam, sądząc, że w sobotę o siódmej trzydzieści rano spotkam tam internetową *creme de la creme*. Kilku świrów i nikogo więcej. Po godzinie poddałam się i postanowiłam zadzwonić do Sweetie i Nancy. Niech przyjadą, niech mnie jakoś rozweselą, bo naprawdę stanowiłam jeden kłębek nerwów. Ale zanim się wylogowałam, weszłam jeszcze do BNcom, i zamówiłam wszystkie książki Elisabeth Kubler-Ross i taśmy Billa Moyesa. Skoro czeka mnie podróż do Wiecznej Chwały, chcę tam zajechać w charakterze dobrze poinformowanego obywatela. Zapłaciłam nawet za przesyłkę ekspresową. Nie mam czasu do stracenia.

Zaraz, przecież muszę poinformować Nancy i Sweetie, że wyrok zapadł. Nie, nie jestem jeszcze gotowa. Ech, powiem im tylko, że muszę

się poddać kolejnym badaniom. Kupią to, jak dwa razy dwa jest cztery. A zresztą komu się będzie chciało poruszać tak okropne tematy? O Boże, Boże. Tak, obecnie wszystko, co potrafię z siebie wydobyć, to jedno wielkie westchnienie. Jestem tak zmęczona, że potrafiłabym przespać i następnych dziesięć godzin.

Zdaje się, że ten miły doktor Taylor poczuł miętę do Caroline. Przynajmniej tak mi się wydaje. Chciałabym wierzyć, że należy do tych lekarzy, którzy nie odmawiają pacjentowi morfiny. Z pierwszym ukłuciem bólu rozwrzeszczę się na całe gardło.

Zamknęłam Windowsa i pozwoliłam laptopowi zsunąć się na podłogę. Do diabła z tym.

O Boże, Nevil, czy mnie słyszysz? Wróciłeś tu po mnie? Czy to dlatego twoja Biblia krąży po domu niczym zjawa z zaświatów?

Muszę przestać, muszę skończyć z tym natychmiast! Wpadnę w depresję, a to mi na pewno nie wyjdzie na zdrowie.

Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Sweetie. Odebrała po piątym dzwonku.

- Sweetie, ty śpiochy przebrzydły, tu królowa Wysokich Sosen. Jakie masz plany na dzisiaj?

Z całą pewnością ją obudziłam, ale przecież nie dałaby mi tej satysfakcji, żeby się do tego przyznać. Sweetie uwielbia wylegiwać się w łóżku niczym królowa Syjamu.

- Och, wybierałam się właśnie poćwiczyć trochę na ruchomym chodniku - oświadczyła, łząc jak z nut.

- Bo ja najchętniej zagrałabym w karty - powiedziałam tak słodko, jak tylko potrafiłam. - Masz ochotę?

- Jasne, czemu nie? Poćwiczyć mogę później. Chcesz, żebym zadzwoniła do Nancy?

Powiedziałam, że chcę, więc odłożyła słuchawkę i po chwili dzwoniła ponownie, żeby mi powiedzieć, że będą koło dziesiątej. Zdecydowałam, że najwyższa pora wstać i trochę się ogarnąć. Nie wiedziałam, ile dobrych dni mi jeszcze pozostało, i trochę się bałam. Chciałam usiąść, więc przekręciłam się na bok i wówczas poczułam gwałtowne zawroty głowy. No tak, zaczyna się, pomyślałam. Powoli, siostró, upomniałam się, po czym podniosłam się, jak tylko potrafiłam najwolniej.

W nogach odczuwałam zabawne mrowienie. Koniecznie muszę zadzwonić do doktora Taylora i zapytać go, skąd się to bierze. Może za dużo czasu spędzam w łóżku? A właśnie, o której ja się wczoraj położyłam? Jakoś przed dziesiątą. O tak, teraz sobie przypomniałam. Doktor Taylor dał mi zastrzyk na uspokojenie, bo byłam w stanie najwyższego wzburzenia. Na moim miejscu każdy by był.

Ubieranie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Wpatrywałam się w swoją twarz, odbitą w lustrze, i chciało mi się płakać. Nie wyglądałam na chorą, tylko na śmiertelnie przerażoną. Byłam, naprawdę byłam. Nie, nie będę się snuła z kąta w kąt z wisielczą miną, bo przecież nic mi to nie pomoże. Zebrałam wszystkie siły, zrobiłam makijaż i wyszłam naprzeciw nadchodzącemu dniu.

Otworzyłam drzwi do kuchni, a tu proszę - już siedział tam cały trybunał - Trip, Millie i Caroline. Gdy mnie tylko zobaczyli, rozmowa ucichła jak nożem uciął.

- Dzień dobry wszystkim. Czyżbyście rozmawiali o czymś, co nie jest przeznaczone dla moich uszu?

Wiem, nie było to grzeczne, ale takie skradanie się i poszeptywanie za moimi plecami też nie należało do dobrego tonu. Jeden tylko Trip znalazł się jak należy, bo wstał i pocałował mnie. Oczy miał czerwone niczym królik.

- Chłopcze drogi - powiedziałam - daruj sobie te łzy. Czuję się wyśmienicie.

- Kocham cię, mamó.

Uściskał mnie tak mocno, że zaczęłam się obawiać o żebra; nie jego, moje.

- A to co znowu, Jehoshaphat! Uważaj, to boli. Ja też cię kocham, synu.

Wreszcie mnie puścił, więc odsunęłam się pośpiesznie, żeby nalać sobie filiżankę kawy. Niestety, dostały mi się fusy, czego nienawidzę.

- Dzień dobry, mamó - odezwała się Caroline.

- Zaparzę świeżej - poderwała się Millie.

- Wytrzymaj nos, synu; dziękuję, Millie; dzień dobry, Caroline. A gdzie Eric?

- Łowi ryby z Jenkinsem.

Powiodłam wzrokiem od twarzy do twarzy, powoli i z namysłem, tak aby dotarło do nich, co chcę im przekazać, a potem jeszcze, żeby nie było najmniejszych wątpliwości, czy mnie dobrze zrozumieli, wyłożyłam im prosto z mostu.

- Swojego stanu jestem w pełni świadoma. Nie życzę sobie natomiast dyskutować na ten temat. Nie życzę sobie, abyście wy na ten temat dyskutowali za moimi plecami. Kiedy już będę gotowa do dyskusji, dam wam znać. Czy wyrażam się jasno?

Skinęli głowami, odchrząknęli i popatrzyli na mnie tak, jakbym miała dwie głowy.

- Biblia Nevila nie znalazła się w domu bez powodu, wie o tym. Ale na razie czuję się doskonale. O dziesiątej Nancy i Sweetie przyjeżdżają na brydża, a ty, Caroline, zagrasz jako czwarta, dobrze? Dasz radę bez przelewania łez i rozdzierania szat?

- Mamo, brydż to ostatnia rzecz, na jaką mam dzisiaj ochotę. Przechyliłam się przez stół i wlepiłam w nią wzrok.

- Caroline, zważywszy na moje szwankujące zdrowie, odmówienie mi tej drobnej przyjemności doprawdy można uznać za szczyt egoizmu z twojej strony.

- Chętnie zagram, mamo, naprawdę chętnie - powiedziała, odchrząkując lekko.

- Kochanie, proszę, nie chrząkaj. Świnie chrząkają.

Przewróciła oczami z irytacji, a ja ze wszystkich sił zapragnęłam ją pocałować. Ta dziewczyna z każdym dniem robi się coraz bardziej podobna do mnie. Moje dziecko.

- Millie, czy przyrządzimy sałatkę jajeczną dla dziewcząt? - zapytałam.

- Nie, sama przyrządzę sałatkę jajeczną - odparła. Takie rozwiązanie odpowiadało mi jak najbardziej. Dzwonek u drzwi zabrzmiał punktualnie z wybiciem dziesiątej.

Lubię, jak moi goście szanują godzinę, na którą zostali zaproszeni, i przybywają punktualnie. Caroline i ja jednocześnie znalazłyśmy się w holu.

- Sweetie, kochanie, Nancy, kochanie. W samą porę, w samą porę - przywitałam się z nimi.

- Lavinio, coś ty taka rozświergotana? - zapytała Sweetie.

- Aż ci oczy błyszczą z ukontentowania - dorzuciła Nancy.

- No, no, moje staruszki. Mamy piękny dzień. Słońce świeci, moje dwie najdroższe w świecie przyjaciółki są przy mnie, tak samo jak moja jedyna córka. Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa? - powiedziałam, otwierając szeroko ramiona i okręcając się na pięcie.

Poszły za mną do salonu, gdzie Caroline przygotowała stół karciany. Nalałam wszystkim herbaty, a Caroline podsunęła kanapki.

Żadna nie odmówiła, choć na lunch było jeszcze za wcześnie.

Poplotkowałyśmy o tym i owym, wreszcie Sweetie wystrzeliła z pytaniem dnia:

- A teraz, Lavinio, mów, co powiedział lekarz.

- Jeśli koniecznie chcecie wiedzieć, to powiedział, że jak na kobietę w moim wieku, mam znakomite nogi.

- No to wspaniale - skwitowała Nancy.

- On jest uroczy - ciągnęłam. - Żałuję, że nie mam już w sobie dość wigoru, żeby się nim zająć.

- Mamo, jesteś niepoprawna.

- A ty nieznośna, kochanie - odparowałam, kradnąc Caroline wiatr z żagli. - A teraz serio. Porobił różne badania, a wyniki będą gotowe w poniedziałek. Zdaje się, że chce usunąć znamię, ale to się jeszcze okaże.

- No cóż, skoro nic więcej nie masz nam do zakomunikowania w tej sprawie, wobec tego tasuj i rozdawaj - powiedziała Nancy.

Zacząłyśmy grać. Następne dwie godziny upłynęły nam na brydżu - najlepszym, jaki rozegrałam do tej pory. Kiedy odjeżdżały, wyciąłowałyśmy się wszystkie, przy czym Sweetie i Nancy pilnie zaglądały w oczy mnie i Caroline, żeby z nich wyczytać, co nam właściwie wiadomo. Ale Caroline była nieprzenikniona niczym gruby mur, a ja tak samo.

Doskonale wiem, że moje najlepsze przyjaciółki wiedziały, że je okłamuję, mówiąc o swojej chorobie. Wszystkie to wiedziałyśmy. Kiedy uznam, że są gotowe na przyjęcie prawdy, natychmiast się nią z nimi podzielę. Po prostu chciałam, żeby choć jeden poranek upłynął mi tak jak, zwykle. Myślę, że to zrozumiały. Ale już sam fakt, że nie naciskały, uświadomił mi, że wiedzą.

Nie mówiąc im, do pewnego stopnia kierowałam się zwykłym egoizmem. Gdyby jednak dowiedziały się straszliwej prawdy, musiałabym brać pod uwagę także i ich uczucia, tymczasem ja ledwo sobie radziłam z kontrolowaniem swoich.

## **Rozdział 45**

### ***Rzeczywistość***

W ciągu następnego tygodnia matka czuła się stosunkowo nieźle. Dręczyło mnie, że pewnego dnia znajdę ją na podłodze, z rozwaloną czaszką, wstrząśnieniem mózgu i Bóg wie czym jeszcze. Ale jedyną zmianą, jaką w niej zauważyłam, było zażółcenie skóry -a i to nie codziennie; niekiedy jej cera przybierała barwę ochry, ale później to znikało. Ponadto z rana miewała zawroty głowy i nic nie pozostało z jej dawnego apetytu i energii. Zadzwoiłam do Jacka, żeby mi wytłumaczył, co znaczą te objawy. Niestety, tylko potwierdził moje przypuszczenia; kolor skóry zawdzięczała żółtacze spowodowanej uszkodzeniem wątroby, utrata apetytu i energii również miały źródło w postępach choroby.

Jack sprowadził jeszcze jednego lekarza, niejakiego doktora Harbina z Charlotte w Karolinie Północnej, onkologa specjalizującego się w leczeniu raka skóry, szczególnie u chorych w starszym wieku. Gdyby tak matka dowiedziała się przypadkiem, że jej nazwisko znalazło się na liście pacjentów geriatrycznych, dopiero podniosłaby krzyk. Harbin przepisał środki przeciwbólowe na cały miesiąc, a Jack miał przyjeżdżać na wizyty i regulować ich dawkowanie.

Jenkins awansował teraz do roli osobistego szofera matki; zawoził ją do gabinetu Jacka i do Medical University. Millie doglądała jej niczym troskliwa kokosz. Ja z kolei doglądałam Millie i Erica, a Trip wpadał co najmniej raz dziennie i doglądał nas wszystkich. Boże, byliśmy niczym oddział straży! Ta dodatkowa troska, jaką obdarzaliśmy siebie wzajemnie,



promieniowała ciepłem, podtrzymywała na duchu. Rzeczy nie układają się, jak powinny, ale my uczynimy wszystko, co do nas należy.

Matka ciągle jeszcze nie zdobyła się na to, żeby powiedzieć swoim najlepszym przyjaciółkom, jak się sprawy mają. Oczywiście Miss Sweetie i Miss Nancy coś podejrzewały, bo wydzwaniały codziennie, i kiedy trafiały na drzemkę matki, wówczas ja musiałam z nimi rozmawiać i zapewniać, że z jej zdrowiem wszystko w porządku. Marzyłam, żeby móc im wreszcie powiedzieć prawdę, ale stanowczo nie był to mój interes, zwłaszcza że matka zapowiedziała wyraźnie, żebym się do tego nie mieszała.

We wtorek wieczorem wybierałam się z Jackiem na kolację. Tego samego dnia matka zawołała mnie do siebie. Tym razem wcale nie wyglądała dobrze. Ale charakter nic a nic jej się nie zmienił; nadal była pełna życia i złośliwości.

Przyniosłam jej szklanekę jednego z Ericowych koktajli - marchew, jabłko, seler i pietruszka. Matka leżała w łóżku, czytając „Obdarzonych miłością” Josephine Humphrey.

- Dobrze, że przyszłaś. - Usiadła, zdjęła okulary do czytania i wzięła z moich rąk szklanekę. - Trucizna na szczury?

- Tak, dobrze ci robi. - Przysiadłam na brzegu łóżka. - Jak się czujesz dzisiaj rano?

- Oberwałaś przekwitłe róże?

- Przecież wiesz, że tak. - Poklepałam ją po nodze. - Eric jest na dole z Rusty, robi do niej maślane oczy. Ona każe mu konstruować rakiety i obliczać pojemność walca. Gdyby sobie zażyczyła, połknąłby nawet ogień, a potem sporządził wykres bólu.

Matka uśmiechnęła się.

- Jakie to słodkie. - Przyglądała mi się przez chwilę, jakby oceniała, na ile starczy mi umiejętności i siły. - Potrzebna mi twoja pomoc.

Powiedziała mi, w jaki sposób zamierza podzielić się z Nancy i Sweetie smutną nowiną. Jej pomysł był niesamowity i zarazem wspaniały. Przyjęcie. Oczywiście sama będzie wszystko nadzorować, ale ostatnio czuje się bardzo słaba, więc czy bardzo protestowałabym, gdyby gros roboty spadło na mnie? Zapewniłam ją, że absolutnie nie, że wymyślona przez nią niespodzianka jest najodpowiedniejszą i w ogóle najnormalniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek wykoncypowała.

Zadzwoiłam do Miss Sweetie i Miss Nancy i zaprosiłam je na sobotę rano. Niech przyniosą magnetofon i aparaty fotograficzne. Miilie i Jenkinsa też zapędziłam do pomocy, a wszystko miało się odbyć w wielkim sekrecie.

Z Jackiem byłam umówiona na szóstą w jego gabinecie i teraz jechałam do Charlestonu. W planie mieliśmy wczesną kolację, a potem może jeszcze drinka u jego przyjaciół, Susan i Simona.

Gabinet świecił pustkami - żadnych pacjentów, nikogo z personelu. Jack siedział za biurkiem i odbierał pocztę elektroniczną.

- Cześć - odezwałam się łagodnie, bo nie leżało w moich planach go wystraszyć. - Jak tam działania wojenne?

- Och, Miss Caroline, witaj. - Wstał i pocałował mnie w policzek.

Był taki miły, taki... nie wiem, jak to nazwać... taki normalny. Nie byłam przyzwyczajona do normalności.

- Rhett Butler, witam pana. Jak ci minął dzień? Przyznaję, lubiłam go, nawet bardzo. Najzwyczajniej w świecie był miły i przyjacielski.

- Niech się zastanowię - powiedział, pocierając podbródek i spoglądając na podłogę. - Po południu usunąłem sześć brodawek, czternaście znamion i złamany paznokieć dużego palca u nogi. A rano zmagalem się z przypadkiem wyjątkowo uporczywego trądziku. Tak więc można powiedzieć, że dzień minął spokojnie. A co u ciebie? Jak nasza Lavinia?

- Hm. Kolorem skóry dopasowała się do cytrynowych prześcieradeł. To chyba nie świadczy zbyt dobrze o jej stanie, prawda?

- Wezwałaś Harbina?

- Nie, nie skarżyła się, więc dałam facetowi spokój. Środków przeciwbólowych ma cały zapas.

- To dobrze. - Zdjął lekarski kitel i włożył marynarkę. - Posłuchaj, Caroline, w pewnym momencie zaczniesz odczuwać bóle, kiedy przerzuty dojdą do kręgosłupa. A gdy zaatakują mózg, może się zdarzyć, że zaczniesz się zachowywać tak, jakby nie była sobą.

- Ból rozpoznam. Jakby nie była sobą? Nie masz nawet pojęcia, jak potrafi się zachowywać, kiedy jest sobą.

Roześmiałam się sucho, a Jack pokręcił głową.

- No, no, Miss Caroline, zachowuj się jak należy. Zbyt ładna jesteś, żeby mówić brzydkie rzeczy.

Ten bez wątpienia południowy, łagodny, grzeczny sposób udzielenia reprimendy w jakiś niewytłumaczalny sposób napełnił moje serce cieplejszym uczuciem. Jack był lekarzem, a ileż posiadał w sobie wrażliwości. W moich oczach czyniło go to wyjątkiem. Oczywiście w kwestii bliższych kontaktów z lekarzami moje doświadczenia ograniczały się do Richarda.

Przed uruchomieniem systemu alarmowego Jack zaczął wyłączać światła i zamykać drzwi, a ja postępowałam tuż za nim.

- Najpierw wpadniemy do Simona i Susan, dobrze? Chcieli się z tobą spotkać. Susan mówiła coś o jakichś butach.

- Zostawiłam u niej swoje buty - powiedziałam.

- Dobrze, przypomnę ci, żebyś je odebrała.

Kiedy już znaleźliśmy się na zewnątrz, przystąpił do wciskania kodu alarmowego, po czym starannie zamknął tylne drzwi na dwa zamki.

- Nie, to był prezent. Zostawiłam je na stole w holu, razem z kartką.

- Czy w podobnych sytuacjach nie przynosi się raczej wina?

Popatrzył na mnie dziwnie, zupełnie jakby między uszami ziała mi wielka, czarna dziura.

- Och, między nami, siostrzyczkami - powiedziałam. - Dziewczętom zdarza się postępować niekonwencjonalnie.

Oczy Jacka zamigotały w złotawym świetle późnego popołudnia.

- Hojność to wspinała rzecz. Zostaw swój wóz, pojedziemy moim.

Chodź.

W drodze na parking wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

- Hej, *bubba*, no więc mam już tę kobietę i teraz wybieramy się zakosztować waszej gościnności, odpowiada? - Pauza. - Kolacja? -Pauza. - *Yeah*, lepiej tak. - Przykrył ręką słuchawkę i popatrzył na mnie z uśmiechem. - Idzie zapytać głowy rodziny.

Patrzyłam z podziwem - rozmawiając z przyjacielem robił się zupełnie inny, bardziej ożywiony. Podobał mi się jego sposób bycia, ostrożny, wyważony, nieodsłaniający od razu zbyt wiele. A jednak widać

było, że wierzchnie warstwy jego statecznej osobowości skrywają sporą dozę ciepła i poczucia humoru.

- *Okay, yep*, może być. Jasne! - Wcisnął guzik kończący rozmowę i wrzucił telefon do kieszeni marynarki. - Chcą, żebyśmy przynieśli jakieś wino. Simon mówi, że Susan nakupiła dość żarcia, żeby wykarmić całą dzielnicę. Pojęcia nie mam, w jaki sposób udaje im się zachować linię. Potrawy w wydaniu Susan są najczęściej przedziwne, wszystko poowijane w grube warstwy ciasta, z którego na wszystkie strony sterczą jakieś czułki. Jej obsesja na punkcie wypieków kojarzy mi się z moją matką, która z kolei miała bzika, jeśli idzie o zupę grzybową. Jedynie śniadanie mogło się bez niej obyć.

- A wiesz, to zabawne - powiedziałam - ostatnio ja również zabawiam się gotowaniem.

- Lubisz gotować?

- Przede wszystkim lubię jeść. Korzystam z książek kucharskich, z obrazków i gotowych przepisów. Wyszukane potrawy nie są moją najmocniejszą stroną.

- Moją też nie, ale jeśli chcę coś zjeść, muszę to sobie sam przyrządzić. W weekendy odwiedza mnie syn i wtedy najczęściej gdzieś się razem wypuszczamy.

Tak, Jack pod każdym względem był typowo amerykańskim, czarującym mężczyzną, niewinnym i czystym. Dla mnie była to całkowita nowość.

Miał też świetny samochód, czarnego mercedesa, rocznik 1998, pięćsetkę, z pojemnym bagażnikiem. Podobało mi się, że wybrał sedana, który kojarzyłam z serdecznym przyjęciem, z tweedowym sportowym

płaszczem, zupełnie inaczej niż ekstrawagancki wóz Josha, przypominający modną suknię bez ramiączek, noszoną z wielkim kapeluszem.

Josh okazał się zwyczajnym dupkiem. Z wielką starannością unikałam go przez cały ostatni tydzień. Mimo że nie miałam na oku nikogo, kto mógłby go zastąpić, i że jako nauczyciel gimnastyki okazał się świetny. Nauczył Erica łapać piłkę baseballową, co do tej pory dla mojego syna stanowiło umiejętność nie do opanowania. Ale jak dla mnie, mógł przestać istnieć.

*Yeah*, powoli, powoli z Jackiem zaczynałam czuć się coraz pewniej i milej. Teraz poszedł do Harrisa Teetera kupować wino, a ja czekałam w samochodzie, słuchając Raya Charlesa. W kwadrans później pojawił się, dźwigając trzy wielkie torby.

- Wydawało mi się, że idziesz po jedną butelkę wina.
- *Yeah*, ale pomyślałam, że skoro już jestem w sklepie...
- O, co do mnie, robię to nagminnie.

Uśmiechnął się, a ja wyszczerzyłam zęby, zadowolona, że mamy jakąś wspólną słabostkę. Pojechaliśmy East Bay Street aż do Queen, a tam skręciliśmy w prawo, mijając po drodze imponujące, stare domy, niektóre nadal należące do tych samych rodzin, które je pobudowały w czasach boomu gospodarczego Charlestonu w początkach osiemnastego wieku. Wszystkie były starannie odrestaurowane. Pochylone, stare ganki na palach, niskie drzwi wejściowe od ulicy, potężne dęby, rozsadzające chodniki korzeniami, każdy z tych elementów dawał świadectwo autentyczności i wartości historycznej posesji. Skręciliśmy w wąski

podjazd i powoli objechaliśmy trawnik za domem. Simon właśnie dokładał węgla do grilla.

- Jak się macie? - przywitał nas głośno.

Już miałam sięgnąć do klamki po mojej stronie, kiedy Jack przechylił się ku mnie i nakrył moją dłoń.

- Caroline, dama nie powinna sama otwierać drzwi samochodu.

- A do środka też mnie wniesiesz, suh?

No tak, odwykłam od męskiej dżentelmenerii, zapomniałam nawet, że coś takiego istnieje, za to język nadal miałam niewyparzony. Teraz poczułam zawstydzenie.

- Z pewnością dałbym radę, jeśli tylko zechcesz.

Te same słowa, wypowiedziane przez innego mężczyznę, natiychmiast odebrałabym jako kolejną reprimendę za moje niewłaściwe zachowanie, ale Jackowi obcy był ten rodzaj krytycyzmu. Jack to najnormalniejszy w świecie facet, dżentelmen z Południa, którego w młodości mamusia nieźle wytresowała. To tylko ja zapomniałam o tym charakterystycznym dla południowców sposobie traktowania kobiet - owej pełnej szacunku uległości, z jaką zwracali się do tych, które uważali za prawdziwe damy. To nie był żaden kopniak w seksistowską głowę, tylko komplement, i to cholernie romantyczny.

Czekałam, aż otworzy mi drzwi, wykonując różne niepotrzebne gesty, jak szarpanie się z torebką i poprawianie włosów, byleby tylko zająć czymś ręce, byleby nie okazać zakłopotania, nie wyjść na niewdzięcznicę, niepotrafiącą docenić jego gestu kretynekę. Walcząc z klamką, Jack odwrócił się i przez ramię zawołał coś do Simona, teraz jednak ujął moją dłoń, pomagając mi wysiąść, i spojrzał w oczy. Wrażenie było

niesamowite. Kiedy byłam w towarzystwie Jacka, jednocześnie znajdowałam się pod jego opieką. Dziwne, trudne do pojęcia, ale przyjemne. Wyprostowałam się, a on się uśmiechnął, zamknął drzwi wozu i puścił moją dłoń.

- Wyjmę torby z bagażnika - powiedział, obchodząc samochód dookoła.

- Pomogę ci.

- Nie, nie - zaprotestował. - Moja matka zwykła powtarzać, że wystarczy, że musi rozpakowywać zakupy. Noszenie toreb to męska sprawa, *ma'am*.

- Bomba! - rzuciłam kretyńsko, stając z boku. - Musi być nietuzinkową kobietą.

- Osiemdziesiąt trzy lata, nadal pracuje w ogrodzie, sama jeździ do kościoła, robi na drutach. Mieszka w Monck's Corner, ciągle tryska energią. Z pewnością by ci się spodobała.

- Założę się, że tak.

Jack zaniósł torby do kuchni, a ja z Simonem przywitaliśmy się przez szerokość trawnika.

- Susan jest w kuchni - obwieścił Simon.

- Świetnie, to do zobaczenia za chwilę - odparłam. Otworzyłam kuchenne drzwi. Chwilę to trwało, zanim moje oczy przywykły do przyciemnionego światła. Susan tkwiła głową w lodówce, czegoś w niej szukając. Na odgłos moich kroków wyprostowała się i uśmiechnęła promiennie. Pierwsze słowa skierowała do Jacka:

- Hej, Jack, ty stary kundlu, mam nadzieję, że zachowywałeś się jak należy. - Wyminęła go i zarzuciła mi ręce na szyję. - Przyszła do mnie,



moja dobra pantofelkowa wróżka. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo te buty odmieniły moje życie.

Oczywiście miała je na nogach. Poza tym włożyła czarną płócienną sukienkę do kostek, a włosy upięła w węzeł na karku. Jeśli kiedykolwiek w życiu spotkałam szczęśliwą kobietę, to z pewnością była nią Susan Hayes.

- Bardzo się cieszę, że ci się spodobały - powiedziałam. - Mogę ci jakoś pomóc w gotowaniu?

Jack sięgnął do lodówki i wyjął piwo.

- Idę do Simona do ogrodu. Jeśli będziemy potrzebni, krzycie - oznajmił, otwierając puszkę.

Pomachał Susan ręką i wyszedł.

- Jest uroczy - skonstatowała Susan. - I bardzo miły.

- Przemiły - zgodziłam się chętnie. - Nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni spotkałam kogoś równie sympatycznego. A gdzie twoja córka? Mój Eric oszalał na jej punkcie.

- Naprawdę? Poszła do kina, więc przez cały wieczór możemy bawić się jak dorośli.

- Eric ma dopiero dwanaście lat. No więc, jak mogę ci pomóc?

- Pomóc? Czekał, możesz wziąć te sałatki i poprzekładać z opakowań na półmiski, żeby wyglądało, że sama je przyrządziłam. Ta jest pomidorowo-ogórkowa, ta z czerwonej cebuli, a tu masz tortellini. O, i jeszcze dip krabowy do krakersów. Jeśli chodzi o gotowanie, noga ze mnie.

Miotła się po kuchni, trzaskając drzwiami szafek i klnąc pod nosem, ilekroć nie mogła czegoś znaleźć. Zabawnie było spoglądać na ten wulkan

energii. Przełożyłam sałatki na półmiski, po czym zaczęłam grzebać w torbach przyniesionych przez Jacka. W pierwszej znalazłam dwa sześciopaki piwa, w kolejnej trzy butelki czerwonego kalifornijskiego wina, wreszcie w trzeciej chipsy taco i czekoladowy mrożony jogurt.

- Popatrz, co za przysmaki - powiedziałam, wykładając wszystko na blat. - Rzuć tylko okiem.

- Świetnie, bo nigdzie nie mogłam znaleźć krakersów. Rozerwała torebkę doritos, przesypała chipsy do koszyczka, po czym wręczyła mi go wraz z miseczką krabowego dipu.

- Tylko powiedz chłopakom, że dip przyrządzałam sama, rozumiemy się?

- A dlaczego miałabym mówić cokolwiek? Jakby co, do niczego się nie przyznawaj. - Wyniosłam wszystko na dwór, myśląc jednocześnie, że doritos z dipem krabowym to jedno z najfatalniejszych połączeń kulinarnych, jakie istnieją.

Czując swąd spalenizny, zerknęłam w stronę grilla. Kurczak był całkowicie czarny. Postawiłam chipsy i dip na piknikowym stoliku i podeszłam dokonać dokładniejszej inspekcji. Jack wręczył mi kieliszek wina. Wzięłam z rąk Simona szpikulec i dziabnęłam nim mięso - bezkształtny, nieprzypominający niczego kawałek, absolutnie nienadający się do spożycia.

- Myślę, że ma dosyć - orzekłam, usiłując jakoś uprzejmie określić jego stan - a tobie jak się wydaje?

- Jeszcze kilka minut - zawyrokował Simon. - To specjalność Susan, a ona lubi wypieczone. Przynieś mi pędzelek do tłuszczu.

Jack przewrócił oczami i popatrzył na mnie. Wybuchnęłam śmiechem.

- Jasne, cokolwiek rozkażesz - powiedziałam i wróciłam do kuchni.

Oparta o kuchenny blat Susan paliła papierosa, popijając wino i zerkając przez okno w stronę panów.

- Czy Simon nie jest wspaniały? - zapytała. - Mogę zamarynować tego kurczaka, spalić go na węgiel i zamordować na tysiąc innych sposobów, a on przełknie go bez mrugnięcia okiem, niczym najsmaczniejszą w świecie potrawę. Niech go Bóg błogosławi.

- Kocha cię - powiedziałam.

- Musi. - Jeszcze raz rzuciła okiem w stronę okna, zastanowiła się przez chwilę, po czy odwróciła się do mnie. - Znałam żonę Jacka. Można powiedzieć, że była niby to kimś w rodzaju mojej przyjaciółki.

- Co to za osoba? Czy mam nakrywać do stołu?

- Nie, już nakryte. Chcesz jeszcze wina?

- Chętnie - zgodziłam się, podsuwając jej kieliszek. - Dzięki.

- Jesteśmy przyjaciółkami?

- No, chyba żartujesz? Przecież nosisz buty ode mnie.

- Jasne. Przysięgnij, że nie powiesz.

- Przysięgam. Jaka była?

Susan zgasiła papierosa, zaczerpnęła głęboko powietrza i wydeła policzki.

- No cóż, odcierpię tysiąc lat mąk czyścicowych za mówienie źle o zmarłych, ale gdyby podłość była chorobą, ta kobieta byłaby martwa już lata temu.

- Aż tak źle?

- Ani ja, ani ty z pewnością nie znałyśmy większej zdziry niż ta baba. Stanowiła klasę samą w sobie. Siedziała Jackowi na karku, szastała jego forszą na prawo i na lewo, łąła jak z nut, a jego matkę traktowała gorzej niż pomiotło. Nie znosiłam baby, zresztą nikt jej nie trawił. To, co teraz powiem, zabrzmii okropnie, ale kiedy okazało się, że ma raka krtani, uznaliśmy, że dostała to, na co zasłużyła.

- Jezus, Susan, to okropne wygadywać takie rzeczy.

- Owszem, wiem, ale nie znałaś jej. Jaka matka zostawi swojego pięcioletniego syna samego w domu w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy mąż ma dyżur w szpitalu, żeby iść się upić i potem dać się przelecieć jednemu z jego kolegów? Zaprawili się do tego stopnia, że rozwalili samochód i wylądowali na pogotowiu, akurat podczas dyżuru Jacka.

- A niech to wszyscy diabli. - Cholera, nie spodziewałam się, że to aż tak.

- To jeszcze nawet nie połowa. Chcesz papierosa? Podsunęła mi paczkę marlboro lights, ale machnęłam ręką, że nie.

- Nie, dzięki - powiedziałam. - Skończyłam z tym.

- O, ja również. Palę tylko nocami i nigdy w obecności Simona. Zapaliła, wydmuchując kłęb dymu i jednocześnie zerkając na ogród, czy panowie przypadkiem nie wybierają się do środka.

- *Yeah*, stara Valerie. Zaliczyła połowę Medical University, zanim do Jacka cokolwiek dotarło. Był zdruzgotany. Dobrze się złożyło, że umarła, bo inaczej nigdy by się od niej nie uwolnił. Rozwód nie wchodził w grę.

- Dlaczego? Żartujesz chyba?

- Bynajmniej. Bardzo kochał swojego syna. Bałby się, że jeśli jej przyznają opiekę nad dzieckiem, wywiezie małego do innego stanu.

- Tak, to jest dokładnie to, co ja uczyniłam swojemu mężowi, tyle że jemu odpowiadało takie rozwiązanie.

- O Boże, Caroline, jakże mi przykro. Nie wiedziałam, naprawdę nie miałam pojęcia. Nie chciałam...

- Wszystko w porządku - zapewniłam ją. - Naprawdę. Patrząc na nią, nie potrafiłam powstrzymać wesołości. To jej przejęcie, że mogła mnie urazić! Wreszcie Susan także parsknęła śmiechem. Usłyszałyśmy nadchodzących panów. Susan szybko zgasiła papierosa pod kranem i wrzuciła niedopałek do śmieci.

- Zawsze miałam niewyparzony ozór - skostatowała. - A może otworzyłybyśmy jeszcze jedną butelkę? Żeby strawić wszystko, co nagotowałam, potrzeba nam będzie wiele kwasu.

Nie przesadzała. Spalonego na węgiel kurczaka w żaden sposób nie dawało się przełknąć. Przesuwałam go z jednego końca talerza na drugi, ograniczając się do sałatek, a te - jak wiadomo - nie absorbują alkoholu. Tym też należy tłumaczyć, że się upiłam, i to jak. Zajęta rozmową, nie kontrolowałam, ile w siebie wlewam.

A potem nagle zrobiłam się śpiąca i marzyłam tylko o jednym, żeby choć na chwilę przymknąć oczy. Pamiętałam jeszcze, że Jack przerzucił mnie przez ramię niczym worek kartofli i gdzieś niesie, ja mówię wszystkim dobranoc, a Susan i Simon zaczynają się śmiać, oczywiście ze mnie.

Natomiast jazdy nie przypomiinałam sobie wcale. Wiem tylko, że obudziłam się w chwili, kiedy Jack pakował mnie do łóżka ze słowami:

- Zadzwoń do twojej mamy i powiem jej, że zdecydowałaś się zostać. Nie przejmuj się niczym, po prostu śpij. Tak, Miss Caroline, musisz najpierw odzyskać formę, jeśli chcesz stanąć na nogi.

Spałam tak mocno, że obudził mnie dopiero blask słońca o poranku. Na sobie miałam górę od męskiej piżamy. Jacka. O cholera! Co ja zrobiłam? Rozejrzałam się dookoła. Miły pokój, pełen plakatów z wyścigów samochodowych i trofeów sportowych. Prawdopodobnie sypialnia jego syna. No tak, przynajmniej nikt mnie nie zgwałcił, pomyślałam, majtki i stanik nadal mam na sobie. Dzięki Bogu. Sama też ich nie ściągnęłam. Może jeszcze kiedy wynosił mnie z party, przerzuconą przez ramię, głośno się przechwalałam swoją nienaganną moralnością?

Opadłam z powrotem na poduszki, przeklinając samą siebie. Co za idiotka, co za beznadziejna kretynka! Jack był naprawdę sympatyczny i z każdą chwilą lubiłam go coraz bardziej. Ale teraz koniec, więcej go nie zobaczę. Drzwi otworzyły się, a ja nie miałam gdzie się schować.

- Żyjesz? - zapytał. - Może kawy?

Jęknęłam, zanurkowałam pod poduszkę i naciągnęłam prześcieradło na głowę.

- Tak strasznie mi wstyd, że mogłabym umrzeć.

Usiadł na skraju łóżka i zaczął szukać mojej dłoni między prześcieradłami. Ujął ją w swoje obie ręce, pochylił się nad poduszką z kaczego puchu, obleczoną w bawełnianą poszewkę, nakrywającą teraz moją głowę, i wyszeptał:

- Miss Caroline, gdybyś potrafiła pić jak tamci, miałbym poważne zastrzeżenia do twojego charakteru. Fakt, że nie dotrzymałaś im kroku, to dobry znak.

- Naprawdę? - wymamrotałam spod poduszki.

- Naprawdę, a teraz wyłaź, bądź grzeczną dziewczynką i wypij to.

Zalecenie lekarza.

Wiedziałam, że wyglądam fatalnie, a jeśli nawet nie wyglądałam, to z pewnością fatalnie się czułam. Wzięłam od niego kubek. Kawa smakowała wyśmienicie.

- Dzięki. Co to? Palone ziarna z Gwatemali z odrobiną odmiany kolumbijskiej, wyhodowanej małymi rączkami samego Juana Valdeza?

- Nie, Maxwell House - powiedział, uśmiechając się. Pachniał bosko.

- Żartujesz! Słuchaj, Jack, przykro mi - powiedziałam, starając się nie zionąć cuchnącym oddechem w jego kierunku.

- Nie bądź dziecinna, nie masz za co przepraszać.

Pozbierałam się i usiadłam. W głowie czułam lekki zamęt.

- Muszę wziąć prysznic.

Wstał i poderwał mnie na nogi.

- Aspiryna w apteczce.

Po dwudziestu parujących minutach, już ubrana, poczułam zapach bekonu. Jack przygotowywał śniadanie. Co za facet! Zasłałam łóżko jego syna i powędrowałam do kuchni. Piękne, nowoczesne wnętrze, wykończone z dbałością o każdy szczegół. Popatrzyłam na zegarek. Ósma.

- Nie pracujesz dzisiaj? - zapytałam, chrupiąc plasterek idealnie przysmażonego bekonu. Wiedziałam, że powinnam zadzwonić do domu, do Erica.

- Pokaż mi lekarza, który pracuje w środy, a ja ci pokażę desperata. Środa w Charlestonie to dzień golfowy.

- Grywasz?

- Nie. - Wskazał mi miejsce przy stole, więc usiadłam. Na widok sadzonych jajek ślinka sama pociekła mi do ust.

- Wyglądają znakomicie - powiedziałam. - Dzięki. To takie miłe.

- To ty wyglądasz znakomicie.

W jasnym świetle poranka, kiedy słońce wzbijało się na niebo, a upał rósł nieubłaganie, całkowicie trzeźwi mierzyliśmy się wzrokiem, długo, twardo. Tak, to było właśnie to. Zaraz miało się spełnić. Jeszcze chwila, a Jack Taylor zabierze mnie do łóżka, i nie po to, abyśmy spali. Ujął mnie za rękę, a ja poszłam za nim bez wahania.

Był olśniewający. Wszystko między nami okazało się olśniewające. Pasowaliśmy do siebie. Pokochałam jego wygląd, jego zapach, jego smak. Miał chłodną, gładką skórę, mocne, piękne ramiona i tors. Ogarnęło mnie zdumienie. To stało się naprawdę - w jednej chwili, tu i teraz, jednocześnie pogrążyliśmy się w otchłani czegoś, co przypominało prawdziwą miłość. Taką, której nie sposób odrzucić, nie sposób udawać, taka, która przetrwa wieki. Niepodrabiany towar. Byłam jak porażona. Wiedziałam, że istnieje prawdziwa miłość, ale nie przypuszczałam, że może ona istnieć także i dla mnie. Tak przynajmniej sądziłam do tej pory. Oparłam policzek o jego pierś, wsłuchana w bicie serca, podczas gdy on głaskał moje włosy. To nie był wyłącznie seks. Nie, to byłam ja, opuszczająca ostatnie zapory obronne, dająca mu dostęp do mego serca, to był on, otwierający przede mną swoje. Z jakichś powodów wybraliśmy dokładnie ten sam moment, żeby się poddać. Wiedziałam, że Jack będzie się mną opiekował, że ja będę troszczyła się o niego. Że moja miłość do niego będzie tylko rosła.

- Gdzie ty się podziewałaś przez całe moje życie? - zapytał, unosząc mój podbródek.



- Och, najwyraźniej w niewłaściwym miejscu, Doktorze Frazes. Raz jeszcze uśmiechnął się do mnie.

- Mówię serio.

- Zdumiewające.

## **Rozdział 46**

### ***Dalej, dalej, z prądem w dół rzeki***

W piątek po południu Jack i Eric wybrali się z Tripem na łódź, podczas gdy Millie, matka i ja kończyłyśmy przygotowywać przyjęcie, zaplanowane na sobotę rano. Byłam dosłownie wykończona nieustanną krzątaniną i gromadzeniem wszystkich niezbędnych rekwizytów.

Urządzałyśmy party na wodzie - trzy pontony, połączone we flotyllę - wolno płynące po Edisto; symbol życia matki jako nieustannej celebry.

Dwa wypożyczyłam z firmy w Summerville, trzeci od przyjaciela Tripa. Teraz dekorowałam je wraz z Millie, podczas gdy matka, odpoczywająca na ogrodowym krześle, ustawionym na przystani, zasypywała nas wskazówkami. Odpowiadałyśmy na nie „tak, oczywiście”, po czym natychmiast puszczałyśmy je mimo uszu. Na relingach zawiesiłyśmy girlandy z lekkiej, przezroczystej materii w barwach Karoliny Południowej, czyli bieli i granacie. Pierwsza łódź w szeregu niosła flagę USA, druga stanową, trzecia wreszcie flagę angielską, przez pamięć o naszych przodkach. Za to bez flagi konfederatów.

Na pokładzie pierwszej była też muzyka i głośniki, a drugiej - wiadro z lodem, napoje i mikrofon do przekazywania komunikatów na brzeg. Wszystkie trzy wreszcie udekorowane zostały sztucznymi drzewkami *palmettos* i ogromnymi bukietami prawdziwych róż, żeby podkreślić

miłość matki do tego miejsca i do kwiatów hodowanych przez nią z taką pasją i oddaniem. Wynajęty gość z kamerą miał płynąć razem z matką (siedzącą w swoim ukochanym krześle z ażurowym oparciem) w ostatniej łodzi i filmować pozostałe.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie chcesz popłynąć z przodu - mówiłam.

- Bo chcę widzieć całą moją rodzinę i wszystkich przyjaciół, oto dlaczego. Czy Frances Mae i dziewczynki też się wybierają?

- A jakże. Frances Mae szykuje nawet sałatkę z szynki i sandwicze na tę okazję.

- Ojciec w niebiesiech, proszę, natchnij ją, aby nie dodała do niej oliwek, bo ich nienawidzę.

- Każdy pretekst, żeby powiedzieć Frances Mae, że znowu coś spieprzyła, jest mile widziany - podchwyciłam ochoczo. Stare rany bynajmniej się nie zagoiły.

Matka uniosła w górę brwi.

- No, no, tylko bez wysuwania pazurków. Nie życzę sobie żadnych kłótni. Czy zaprosiłyście wielebnego Moore'a?

- Osobiście do niego dzwoniłam - zapewniła Millie.

- Dobrze. Zadbajcie, aby nie brakło mu jedzenia ani picia. Duchowni lubią sobie golnąć, a poza tym chodzą wiecznie głodni - pouczyła nas matka. - To znana prawda.

- Co z niej za ekspertka od spraw duchowieństwa - mruknęłam do Millie.

- Nie żartuj sobie, *missy*, ponieważ ostatnimi czasy twoja matka gruntownie odmieniła serce, jeśli idzie o wiele spraw. Bardzo wiele. Tak właśnie się godzi, *yanh*.

Oznaczało to, że matka się modli. A ja to się może nie modliłam? Zwłaszcza odkąd Biblia nie przestawała się pojawiać na moim stoliku nocnym. Mogłam zamknąć ją w szafie, z nadejściem nocy leżała na stoliku, włożyłam ją do szuflady - tak samo. Możecie więc sobie wyobrazić, jak gorliwie się modliłam.

Modliłam się, żeby matka nie cierpiała, żeby moje uczucie do Jacka nie wygasło, żeby on sam nie okazał się kolejnym dewiantem rodem z seksualnego piekła. Modliłam się, żeby Eric zrozumiał chorobę i śmierć swojej babki, żeby nie zaciążyła ona nad nim traumatycznym przeżyciem, żeby Frances Mae wreszcie się jakoś ucywilizowała, żeby Trip - doceniając metamorfozę żony - nie wyrzucił jej z domu, żeby zerwał z hazardem. Modliłam się o długie życie dla Millie i o to, aby wszystko ułożyło się pomyślnie. Modliłam się, aby wrócił na ziemię mój tatuś, żeby trzymał matkę za rękę. Modliłam się wreszcie i o to, aby ktoś, może sam Bóg, wysłuchał tych błagalnych próśb.

Moje myśli ustawicznie krążyły wokół jednego tylko tematu. Oto na moich oczach umiera moja własna matka, a nie mogę dla niej zrobić dosłownie nic. I na dodatek z jej ust nie pada ani jedno słowo skargi.

Poczynając od soboty, cały świat stanie się inny. Sama wybrała sobie ten dzień jako początek odchodzenia od nas. Mnie wydawała się zupełnie niezmieniona, tyle tylko, że nie chciała jeść śniadania, które jej przyniosłam. Ale nie wyglądała na osobę dręczoną bólem; przynajmniej nic nie mówiła.

- Czy to przestępstwo, że nie mam ochoty na śniadanie?

Szczotkowałam włosy przed lustrem na toalecie. Rozglądając się za miejscem, gdzie mogłabym postawić tacę, obesłam dookoła *Siwe* i torebki zwisające z jego ramion.

- W gruncie rzeczy to bardzo praktyczne rozwiązanie - zauważyłam.

- Dziwaczne, ale praktyczne.

Nie musiałam nawet patrzeć na matkę, żeby wyczuć, że się uśmiecha. Kiedy jednak nasze oczy spotkały się w lustrze, dostrzegłam w jej spojrzeniu jakiś grymas, nagłe skrzywienie. Matka pochyliła się do przodu, chwytając za krawędź toaletki, żeby nie upaść.

- Nic mi nie jest - zapewniła szybko.

- A właśnie, że jest - sprzeciwiłam się. - Gdzie twoje lekarstwa?

- W szafce w łazience, trzecia półka po lewej.

W pośpiechu przyniosłam stojącą tam buteleczkę. Matka zażywała darvoset. Jack uprzedzał mnie, że niebawem ten środek przestanie wystarczać i trzeba będzie sięgnąć po morfinę.

Podalam jej dwie tabletki i szklanekę wody. Matka chwiała się z lekka, jej czoło zrosiły krople potu.

- Usiądź. - Pomogłam jej podejść do łóżka. Matka usiadła posłusznie.

- Jak się czujesz? Chcesz o tym porozmawiać?

- A o czym tu rozmawiać? Że boli? Owszem, boli, ale jak długo boli, tak długo żyję.

Milczałam. Matka poszukała wzrokiem moich oczu i wzięła mnie za rękę.

- Moja kochana córka - powiedziała. Łzy powoli spływały jej po policzkach. - Nie podoba mi się to wszystko, wiesz o tym, prawda? Zdaję

sobie sprawę, że życie upłynęło mi wspaniale, i jestem za to wdzięczna opatrzności. Ale kiedy wreszcie na powrót odnalazłam drogę do ciebie, muszę cię opuścić. To nie w porządku.

Zacząłam cicho płakać. Matka nie przestawała mówić. Złapałam się na tym, że staram się zapamiętać każde wypowiedziane przez nią słowo. Ogarnął mnie straszliwy lęk, że ta rozmowa jest naszą ostatnią, podobnie jak ostatnią jest czekająca nas parada na łodziach. Nasze dawniejsze parady, te, o których myślałam, że są dla mnie poniżające, jawiły mi się teraz niczym cudowne wspomnienie. Kostiumy matki, jej dziwaczne zachowania, wszystko to stanowiło po prostu część jej samej. I kiedy uświadomiłam sobie niepowtarzalność tamtych chwil, jeszcze bardziej zaczęłam się bać. Odchodziła, a ja nie mogłam jej towarzyszyć. Kończyło się coś, czego kresu nigdy tak naprawdę nie brałam pod uwagę. Uklękłam przed nią i położyłam głowę na jej kolanach. Zaczęła gładzić mnie po włosach, obdarowując pieścizotą, do której tak rozpaczliwie tęskniłam jako dziecko po śmierci tatusia. Płakałam, wsłuchana w jej słowa.

- Wiem, że nie byłam dla ciebie taką matką, jakiej potrzebowałaś. Ale kochałam, cię, Caroline, zawsze cię kochałam. Na każdego przychodzą chwile całkowitego zamroczenia i głupoty. O, ja swoich wykorzystywałam cały przydział albo i więcej. Byłaś moją małą dziewczynką, a ja cię znienawidziłam, kiedy zaczęłaś dorastać. Potrafisz to zrozumieć?

- Tak, *ma'am*, potrafię - odparłam.

- Kiedy widzę cię z Erikiem, czuję ulgę w sercu. Jesteś lepszą matką, niż ja nią byłam kiedykolwiek, i napełnia mnie to dumą.

- Och, proszę, nie mów tak. Może nie byłaś zbyt miła i serdeczna, ale przecież jesteś Miss Lavinia. Jak ten świat da sobie teraz radę bez Miss Lavinii? Pojęcia nie mam.

Uniosła w górę moją twarz. Z policzkami mokrymi od łez i zaczerwienionymi oczami przedstawiałyśmy żałosny widok, ale kiedy uśmiechnęła się do mnie, natychmiast odpowiedziałam jej uśmiechem.

- Ten świat da sobie radę, moje drogie dziecko. Będzie miał Miss Caroline.

- Nie, przecież ktoś taki jak ty może być tylko jeden. - Znowu zbierało mi się na płacz.

-I chwała Bogu za to, *yanh*. Sama będziesz musiała dojść do tego, jak być Miss Caroline, bez niczyjej pomocy.

Na myśl o tym zanosłyśmy się chichotem niczym serdeczne przyjaciółki.

- Bądź grzeczną dziewczynką, sięgnij do górnej szuflady i podaj mi błękitny irchowy woreczek z perłami.

Zrobiłam, jak kazała, wyjęłam naszyjnik i wręczyłam jej.

- Dziękuję - powiedziała.

Perły załśniły w porannym słońcu. Matka przesuwiała je między palcami, dotykając każdej po kolei, wreszcie na moment zastygła bez ruchu. Wiedziałam, że myśli o tatusiu.

- Kiedy znów zobaczę mojego Nevila, jeszcze raz mu podziękuję za ten dar. - Włożyła perły na szyję, tak jak czyniła to przedtem tyle razy. - Opowiem mu też, jaką wspaniałą mamy córkę. Znowu poczułam dławienie w gardle.

- Przestań płakać, dobrze? Wypłaczesz wszystkie łzy i potem podczas pogrzebu nie zdołasz wydusić z siebie ani jednej. A ja bardzo liczę na to, że będziesz szlochała.

Jej oczy rzucały błyski. W nadchodzących tygodniach wisielczy humor matki niejednokrotnie miał nam pomóc przetrwać.

- Zabijesz mnie - powiedziałam.

- Może się zdarzyć. A teraz, na miłość boską, idź i umaluj się choć trochę. Fotografę tylko patrzeć, tymczasem ty wyglądasz wypisz wymaluj jak podkuchenna.

- Miss Lavinio!

-Tak?

- Jesteś niemożliwa.

Pokazała mi, że mam się wynosić, więc uczyniłam, jak kazała. Poszłam do swojego pokoju. Biblia leżała na stoliku przy łóżku. Po-  
stanowiwszy poddać księgę jeszcze jednej próbie, wepchnęłam ją pod poduszkę i zamknęłam drzwi na klucz, a sama udałam się do łazienki.

Myjąc zęby, czyszcząc je nicią dentystyczną, przepłukując usta, nakładając na twarz kwas owocowy i krem nawilżający, aplikując sobie dezodorant i kremując nogi, zapomniałam o niej kompletnie.

Wyszczotkowałam włosy, usuwając z nich szatana, po czym spojrzałam w lustro. Matka miała rację; moja twarz aż się prosiła o makijaż. Kiedy wreszcie uporałam się z codzienną toaletą, dochodziła dziewiąta. Właśnie przeszukiwałam szafę w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do włożenia, czegoś, co nie byłoby czarne, kiedy zadzwonił telefon.

Matthew.

- Coś długo się nie odzywałaś.

- Och, Matthew. - Opadłam na brzeg łóżka, podczas gdy mój umysł pracował gorączkowo. Wiedziałam, że jestem mu winna wyjaśnienie, dlaczego nie odpowiadałam na jego telefony. - Nawet nie uwierzysz, co ja tu przeżywam.

- Więc spróbuj mi wytłumaczyć. Jesteś córką Miss Lavinii, siostrą Tripa i w tym wszystkim kryje się jakaś niesamowita historia.

Po raz tysięczny podziękowałam mu za to, że wybawił Tripa z kłopotów, po czym opowiedziałam o chorobie matki.

- Och, nie, nawet mi tego nie mów - jęknął.

-Niestety. Na dzisiaj zaplanowała przejażdżkę łodziami po Edisto i podzielenie się z przyjaciółkami smutną nowiną.

- Zaskakiwanie przyjaciół czymś takim podczas przyjęcia nie wydaje mi się najlepszym pomysłem, ale przecież nikt nie pyta mnie o zdanie.

Milczałam. Miał rację.

- Matthew, jesteś aniołem, więcej, jesteś archaniołem. Dzięki ci.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Wygląda na to, że do końca życia przyjdzie mi za coś ci dziękować.

- *Yeah*, na to wychodzi. Słuchaj, Caroline, ogromnie mi przykro z powodu twojej mamy. Jeśli tylko mógłbym ci w jakiś sposób pomóc, byłbym zaszczycony.

- Matthew, zadzwonię do ciebie, przysięgam.

Odłożyłam słuchawkę. Koniecznie muszę to zrobić, pomyślałam. Może zaprosić go na kolację? Tak, to dobry pomysł. Miał dla mnie cierpliwość świętego, Bóg mi świadkiem, więc przynajmniej raz mogę coś dla niego ugotować. A o Jacku nic mu na razie nie powiem.



Zabrzmiał dzwonek u drzwi. Z pewnością któraś z przyjaciółek matki, Miss Sweetie, Miss Nancy albo nawet obie. Koniecznie muszę powstrzymać matkę. Rzeczywiście niech ich nie informuje o swojej chorobie w taki sposób. Po drodze do drzwi zerknęłam na stolik. Biblia oczywiście leżała na zwykłym miejscu.

Nie czas teraz na zjawiska nadprzyrodzone. Pobiełam do pokoju matki. Nie było jej tam; właśnie schodziła po schodach, ubrana w biały, suto marszczony jedwabny kaftan. W uszach miała kolczyki z pereł z mórz południowych, stanowiące komplet z naszyjnikiem, i wyglądała anielsko i niewinnie.

- Mamo?

Eric pędził z kuchni ku drzwiom, ślizgając się w samych skarpetkach po wyfroterowanej sosnowej podłodze. Matka przystanęła w pół kroku i popatrzyła na mnie.

- O co chodzi? Przecież zaraz rozpocznie się przyjęcie na moją cześć.

- Mamo, proszę. Eric, otwórz drzwi.

- Przecież i tak miałem zamiar to zrobić! - zawołał. Przeżyłam chwilę zaskoczenia. Oto troje ludzi równocześnie znalazło się w jednej przestrzeni, przy czym każdy poruszał się w zupełnie innym świecie.

Zaciągnęłam matkę do mojego pokoju i zaczęłam jej wyluszczać sprawę. Kiedy skończyłam, wzięła głęboki oddech, jednym westchnieniem zasysając w płuca cały zapas powietrza hrabstwa Charleston, po czym wypuściła je na powrót.

- No dobrze - oznajmiła - w takim razie powiem im później.

Jak się potem okazało, wcale nie musiała tego robić. Ruszyliśmy w stronę przystani, matka, Miss Sweetie, Miss Nancy, Eric i ja. Fotograf i

Frances Mae z Amelią czekali na nas nad wodą, a Trip, Millie i wielebny Moore (z chudymi, owłosionymi nogami, wystającymi z nogawek bermudów z madrasu) w łodzi.

Frances Mae runęła ku nam, otwierając szeroko ramiona.

- O, Matko Wimbley, ilekroć przypominałam sobie, że tę sałatkę szynkową przyrządzam dla ciebie po raz ostatni, tyle razy łzy same napływały mi do oczu.

Miss Sweetie i Miss Nancy popatrzyły najpierw na siebie, a potem na matkę.

- Powiedziałam coś niewłaściwego? - zapytała Frances Mae.

- Frances Mae, przysięgam na Boga, że najchętniej skreśliłabym ci kark.

Przynajmniej miała na tyle wstydu, żeby się zarumienić. Amelia skryła się za jej plecami. Matka ujęła przyjaciółki pod rękę i we trzy skierowały się ku ogrodowym krzesłom.

- Do licha - powiedziała Frances Mae - ja zawsze coś palnę. Czemu nie zatkam sobie gęby piętą?

- Bo dupa z ciebie, i tyle - rzuciłam, gwiżdżąc na jej uczucia.

Bryza znad wody nawiewała mi włosy na twarz. Stałam, wlepiając wzrok we Frances Mae i myśląc, że z rozkoszą wytrzaskała-bym ją po gębie. Mała Amelia wysunęła się zza pleców matki. Przez moment wydawało mi się, że chce jakoś załagodzić sytuację.

- Ciociu Caroline, moja mamusia to wcale nie dupa. Dupa to jesteś ty.

Oczy powiększyły mi się do rozmiarów półmisków. Pochyliłam się, tak że moja twarz znalazła się tuż obok twarzy mojej bratanicy.

- O, Amelio, nie sędzę, żeby tak było. Ale twoja matka to dupa. - Teraz już zupełnie nie dbałam o to, co wypada, a co nie. - Twoja matka to jedna wielka dupa, a ty druga.

- Co? Ja nigdy!... - Frances Mae porwała córkę, w której złości było tyle, że wszystkie aligatory w okolicy na jej widok gotowe były pierzchać do Everglades i jeszcze dalej, okręciła się na pięcie i runęła w stronę przystani, wrzeszcząc wniebogłosy:

- Trip! Kochanie! Bo twoja siostra...

- A spadaj stąd, ty stara dupo, i to już.

Nie dosłyszała moich słów, za to ja po ich wypowiedzeniu poczułam się znacznie lepiej. Sama nie byłam pewna, co one właściwie znaczą, ale to nieważne.

Zbliżyłam się do matki i jej przyjaciółek.

- ... bez was nie chciałam tego robić - mówiła matka. - Tu masz chusteczkę, trzymaj.

Miss Sweetie i Miss Nancy, obie zapłakane, wzięły chusteczki i otarły sobie oczy. Otoczyłam ramieniem Miss Sweetie, której pierś wznosiła się ciężko, jakby przygniatał ją kamień.

- Widzisz, Lavinio, my przecież wiedziałyśmy - mówiła Miss Sweetie - tylko nie byłyśmy do końca pewne.

- Przecież znamy cię nie od dzisiaj. Oczywiście, że wiedziałyśmy - wtórowała jej Miss Nancy.

- Powiedziałam Frances Mae coś brzydkiego - oznajmiłam.

Podniosły na mnie wzrok. - Coś naprawdę brzydkiego. Poszła na-skarżyć na mnie bratu.

- Świetnie - orzekły chórem.

- Gdyby mnie kto pytał o zdanie, to Frances Mae przydałaby się porządna chłosta - oświadczyła Miss Nancy.

- Ona nie ma w swoim ciele ani jednego wrażliwego miejsca -dodała Miss Sweetie.

- Inteligentnego też nie - dorzuciłam.

- *Jeee*, tej to mi naprawdę będzie brakowało, *yanh* - podsumowała matka. - Chyba zacznę straszyć tę szpetotę.

Chóralny wybuch śmiechu złagodził ból i napięcie. Miss Sweetie i Miss Nancy jeszcze nie straciły przyjaciółki, ja nadal miałam matkę. Do diabła z rozczulaniem się nad sobą; szkoda na to każdej chwili.

Odwróciłam się, słysząc szum silnika. Frances Mae odjeżdżała z maksymalną prędkością, wzbijając tuman kurzu. Zaczęłyśmy chichotać.

- Mam nadzieję, że nie zapomniała zabrać ze sobą swej obrzydliwej sałatki - powiedziałam.

- O, jedzenia przywiozłam tyle, że wystarczyłoby dla pułku wojska - rzuciła Miss Sweetie.

- A ja przyrządziłam kurczaka według mojego specjalnego przepisu. Tuczący jak diabli.

- Świetnie - zawyrokowała matka. - Chodźcie.

Zajechał kolejny samochód. Wsiadł z niego Matthew, w szortach i w koszulce z krótkimi rękawami. Prezentował się zabójczo.

- Patrzcie, patrzcie, kogóż my tu mamy - odezwała się Miss Nancy, naśladowując powolny sposób mówienia robotnika drogowego z reklamy, strzelającego oczami do ładnej dziewczyny w piękny letni dzień.

- O, ten z pewnością dysponuje odpowiednim rozmiarem - dorzuciła Miss Sweetie, kiedy Matthew podszedł bliżej.

- Patrzcie tylko, jak się porusza. Założę się, że ma ośmio-, nie, dziesięciocalowego - popisała się matka.

- Mamo!

Jezus, te dziewczyny zachowywały się skandalicznie. Matthew przyjechał; jakie to miłe.

- Witam panie. - Skłonił się przed nimi, a mnie pocałował lekko w policzek. - Przyszło mi do głowy, że twój brat może potrzebować barmana.

- Jestem przekonana, że przyjmie twoją pomoc.

Ramię w ramię ruszyliśmy w stronę łodzi. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy matka i jej przyjaciółki idą za nami. Szły, a jakże, cmokając, wysyłając mi piątki i odmierzając rękami w powietrzu odpowiednią długość, jakby w szortach Matthew krył się co najmniej węgorz. To dopiero były diablance, a niech je licha.

Weszliśmy na pokład. Jenkins i Matthew troskliwie podtrzymali damy, żeby przypadkiem nie powpadały do wody. Odbiliśmy od brzegu. Trip włożył okulary przeciwsłoneczne i siedział, niemal się do nas nie odzywając. Na temat Frances Mae nie padło ani jedno słowo. I dobrze, nie miałam ochoty wysłuchiwać jego komentarzy.

Dzień zapowiadał się prześliczny; ani śladu wilgoci, ożywczy wiaterek, śpiew ptaków nakładający się na „La vie en rose” Edith Piaf. Popijaliśmy szampana, zajadaliśmy się kurczakiem z grilla Miss Nancy, jajkami faszerowanymi krewetkami, najpyszniejszy-mi, jakie w życiu jadłam, kruchutkami szparagami, owiniętymi w plasterki prosciutto, i wreszcie truskawkami Miss Sweetie, polanymi śmietaną. A matka

zażyczyła sobie nawet Sonny's Barbecue z pojedynczym krążkiem cebuli, na cienkiej hamburgerowej bułce. I dostała, możecie w to uwierzyć?

- Mamo, jakim sposobem to zdobyłaś?

- Jenkins pojechał do Charlestonu specjalnie dla mnie. Jenkins spojrział na matkę z błogością, prezentując uśmiech tak szeroki, że niemal mogłam policzyć jego zęby co do jednego. Kochał matkę i z pewnością domyślał się wszystkiego.

- Jest pan wspaniały, panie Jenkins - zwróciłam się do niego. -Czy ktoś już to panu powiedział?

- Nie, ale przecież gdyby nie Miss Lavinia, nie potrafiłbym nawet przeczytać menu. Gdyby mi kazała, poszedłbym dla niej nawet do piekła, o tak.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się musiał tam udawać, żeby mnie odnaleźć.

Teraz, kiedy choroba nie stanowiła już żadnej tajemnicy, matka postanowiła zaprezentować nam w pełni swój wisielczy humor.

Z niedowierzaniem kręciliśmy głowami. Jej czarowi nie sposób było się oprzeć. Nawet teraz, w obliczu rychłego odejścia, nie przestawała zadziwiać, nadal promieniowała wdziękiem i urodą.

Wstała, żeby przejść do drugiej łodzi. Jenkins odwrócił od niej załzawione oczy i skierował wzrok ku rzece, przyglądając się namorzynom, milionom drobnych stworzeń, zamieszkujących brzegi, wreszcie błękitnemu niebu bez jednej chmurki. Wiedziałam, że myślami jest o tysiąc mil stąd. Położyłam mu rękę na ramieniu i ścisnęłam lekko.

- Wszystko będzie dobrze, panie Jenkins.

- Nie należy igrać z wolą Boga, Miss Caroline, w żadnym razie. Nie znaczy to jednak, że musi nam się ona podobać. Ale zaakceptować ją trzeba, prawda, Millie?

- Słyszałam, co mówiłeś, Jenkins. Rozpuszczasz naszą Miss L. - zażartowała Millie. - O *yeah*, Jenkins znowu wyciąga swoją filozoficzną księgę. Lepiej byś uważał.

- To Biblia, a nie byle jaka księga, Millie. Biblia, słyszysz?

- Nie mówcie przy mnie o Biblii - poprosiłam. - Ostatnio stale mam do czynienia z jedną, która posiada nogi.

Opowiedziałam im o tych wszystkich niesamowitych wydarzeniach. Zaczęli się śmiać, głośno i szczerze, odrzucając do tyłu głowy.

- To wcale nie jest śmieszne - zaprotestowałam - to poważna sprawa.

- Racja, to nie jest śmieszne - zgodził się Jenkins. - To tatuś panienki przyszedł zabrać mamę.

- *Yeah* - powiedziała - pana przyjaciółka uważa tak samo. Millie wzniosła oczy ku górze, po czym popatrzyła na Jenkinsa.

Znowu wybuchnęli śmiechem. Postanowiłam zaakceptować takie wyjaśnienie. W końcu mogło mi się przytrafić coś znacznie gorszego. Nie na darmo byliśmy w Lowcountry.

Millie, Jenkins i ja płynęliśmy pierwszym pontonem. Matthew, Wielebny Poszukiwacz Złota - który znalazł się tutaj z jakichś matce tylko znanych powodów natury duchowej - i gość obsługujący kamerę siedzieli w drugiej łodzi, razem z Tripem. Rozprawiali o czymś żywo, co chwila sobie potakując. Od czasu do czasu Matthew zerkał w moją stronę i uśmiechał się. Nigdy nie przyszło mi do głowy przejmować się, że Matthew mógłby się krzywić z powodu moich spotkań z Jackiem. Teraz

nagle ogarnął mnie niepokój, że Jack mógłby się poczuć urażony, widząc mnie z Matthew. Powinnam go była zaprosić, ale przecież Matthew też nie zapraszałam. Po prostu tak jakoś wyszło.

Ludzie na brzegu i w mijanych łodziach uśmiechali się i machali do nas rękami. Słynna Miss Lavinia znowu postanowiła wystąpić. W dodatku razem z córką! Matthew podniósł się, podszedł do mnie z butelką szampana i napełnił mój kieliszek.

- Spotykasz się z kimś, prawda?

- Tak. Miałam zamiar ci powiedzieć.

Gestem uniesionej ręki nakazał mi milczenie. Przez chwilę przyglądał się wodzie, wreszcie przeniósł wzrok na mnie.

- Caroline, kochałem cię, kiedy byliśmy dziećmi, i pewnie do samej śmierci nie przestanę cię kochać. Ale tym razem zaczęliśmy jak para przyjaciół. Przyjaźń to nie najgorsza opcja, nie sądzisz?

- O, Matthew! - Zarzuciłam mu ręce na szyję. - Bardzo pragnę, abyśmy pozostali w przyjaźni.

Pewnie Trip mu wypaplał. W porządku. Matthew miał wiele uroku, ale to nie był Jack. Siedząc w pontonie i popijając szampana w samo południe, uświadomiłam sobie nagle, że jestem zakochana szczerze i głęboko, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Trzeba było zwariowanej parady matki, aby otworzyły mi się oczy.

Plan matki, żeby podczas przejażdżki pozostać wyłącznie obserwatorką, całkowicie spalił na panewce. Miss Sweetie i Miss Nancy obsiadły ją z obu stron na składanych krzeselkach, Eric zwinął się w kłębek u jej stóp. Lewa ręka matki przez cały czas spoczywała na jego



głowie albo na ramieniu. Objąśniała mu wszystko, o czym opowiadały. Eric był matką zafascynowany, podobnie jak ona nim.

No i co z tego, że miała na sobie jeden ze swoich dziwacznych kompletów, że odśpiewaliśmy wszystkie piosenki, zawierające słowo „róża”, jakie tylko potrafiliśmy wygrzebać z pamięci? Wiem, tradycyjne parady na wodzie przeżyły się wieki temu. Ale wieczorem, kiedy ognista kula słońca zanurzała się w wodach Edisto, byłam już pewna, że najpiękniejszą rzeczą, jaką życie ma nam do zaoferowania, jest znaleźć się w miejscu, które człowiek ukochał najbardziej, w otoczeniu osób najbliższych sercu.



## **Rozdział 47**

### ***Drugie podejście***

Jack zadzwonił następnego dnia, w niedzielę koło dziesiątej, kiedy szykowałam się do kościoła.

- Jak się miewasz?

- Jak się miewam, dobre pytanie. Chyba nieszczególnie. Właśnie wybieram się do kościoła, prosić Boga o zmiłowanie.

- Potowarzyszyć ci?

- Jasne, czemu nie.

Obiecałam, że zajmę mu miejsce. Mniej więcej w kwadrans po rozpoczęciu nabożeństwa pojawił się u mojego boku. Eric i ja ścieśniliśmy się w ławce, żeby mógł usiąść. Jack wyglądał wspaniale, a pachniał tak zabójczo, że miałam ochotę go schrupać.

Matka została w domu. Wyczerpana wczorajszymi uroczystościami, dzisiaj chciała tylko spać. Miss Sweetie i Miss Nancy siedziały za nami.

Mały kościółek wypełniony był po brzegi. Wielebny Moore omiatał wzrokiem swoją trzódkę. Kiedy ujrzał Jacka, w jego oczach pojawił się błysk zdziwienia.

Nawet podczas nabożeństwa nie potrafiłam się odprężyć. Na zewnątrz pozostawałam opanowana, ale w środku wszystko we mnie dygotało. Świadomość, że niebawem przyjdzie mi utracić matkę, zimnym dreszczem wędrowała wzdłuż mojego kręgosłupa. Nie będzie żadnej ucieczki od tego, co nas czeka.

Rozklejałam się. Teraz, w kościele, mogłam się do tego przyznać. Jednego dnia byłam silna i opanowana jak nigdy, następnego ledwo

mogłam się pozbierać. Dlaczego ten wstrząs musiał nadejść akurat teraz? Od tej chwili nasze życie nigdy już nie będzie takie, jak dawniej.

Wreszcie pozbyłam się dwu bez końca odkładanych prac dekoratorskich w Nowym Jorku - po prostu przekazałam je koledze. Dla mnie stały się bez znaczenia. Mogłam ich dokończyć bez trudu - nie wymagały wiele zachodu, ale chciałam zdecydowanie zamknąć tamten rozdział mojego życia. Kolejne zerwanie, kolejna ulga.

Między mną a Matthew rozkwitła spokojna przyjaźń i byłam szczęśliwa, że mój związek z Jackiem nie zdołał jej zniszczyć. Postanowiłam znaleźć Matthew jakąś wspaniałą dziewczynę, którą mógłby pokochać. Naprawdę był jednym z najwartościowszych mężczyzn, jakich znałam.

Zdarzały się noce, które przesypiałam pogrążona w głębokim śnie, ale nie brakowało i takich, podczas których bez końca przemierzałam pokoje, czytając Biblię, usiłując nawiązać kontakt z tatusiem i prosząc go, aby on z kolei poprosił Boga, by zostawił nam matkę jeszcze na trochę.

Jakby czytając w moich myślach, Jack nakrył ręką moją dłoń, spoczywającą na oparciu ławki przed nami. Kątem oka zanotowałam, że Eric zauważył ten ruch i na jego twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech. Lubił Jacka. Jack nigdy nie traktował go z góry i zawsze słuchał uważnie, co Eric ma do powiedzenia. Widać było, że lubi towarzystwo małych chłopców. Jego własny syn był na ostatnim roku w Citadel, więc początkowo sądziłam, że to kwestia tęsknoty za nim. A jednak nie.

Dlaczego ja zawsze musiałam się przed czymś bronić? Cóż, powodów mi nie brakowało. Mimo to musiałam przyznać, że Jack jest po

prostu wspaniały. Lubił Erica dla samego Erica. I to sprawiło, że jeszcze mocniej go pokochałam.

Kiedy zbliżył się do nas kościelny z tacą, Jack wręczył Ericowi pięciodolarowy banknot. Eric zerknął na mnie, więc skinęłam głową. Po raz pierwszy byłam w kościele w towarzystwie mojego syna i mężczyzny, którego kochałam. Nie mogłam opanować wzruszenia.

Po nabożeństwie zatrzymaliśmy się na chwilę na dworze, witając się ze znajomymi. Eric szalał z nowo poznanymi dziećmi; koszula w jednej chwili wysunęła mu się ze spodni, a na nogawkach w okolicach kolan pojawiły się plamy z trawy. Dojrzałam Miss Sweetie w czerwonym, płóciennym kostiumie i wielkim słomkowym kapeluszu, obwieszoną złotą biżuterią. Stała z Miss Nancy, która miała na sobie białą jedwabną tunikę i spodnie z suwakami, i obie zawzięcie flirtowały z wielebnym. Ten jednak niewiele sobie robił z ich awansów, tylko uśmiechając się szeroko, zaczął zbliżać się do nas.

- Dzień dobry, Miss Caroline, witam - rozpoczął. - Czy ja znam pani przyjaciela? Witam, witam - zwrócił się do Jacka, energicznie potrząsając jego dłonią, zupełnie jakby chciał ją oderwać i cisnąć w żywopłot.

- Wspaniałe kazanie, pastorze. Jestem Jack Taylor.

Miss Sweetie i Miss Nancy natychmiast przystąpiły do szturmu.

- Doktorze Taylor, jestem Nancy, najstarsza przyjaciółka Lavinii. Jak to miło, że pan do nas dołączył.

- Ona wcale nie jest najstarszą przyjaciółką Lavinii, doktorze Taylor. To ja nią jestem, ja, Sweetie. A Caroline znam od chwili, kiedy przyszła na świat.

- No dobrze, Sweetie, znasz ją raptem sześć miesięcy dłużej niż ja, wielkie mecyje - uściśliła informację przyjaciółki Miss Nancy, po czym zwróciła się do wielebnego Moore'a:

- No tak, niedzielne nabożeństwo ledwo się skończyło, a my już się czubimy. Czy jest pan gdzieś zaproszony na śniadanie, pastorze?

- Nie, moje panie, nie jestem. Spotkamy się... gdzie?

Miss Sweetie i Miss Nancy porozumiały się wzrokiem, podniecone bliską perspektywą zabawiania wielebnego Moore'a.

- Może w country clubie? - zaproponowała Miss Sweetie.

- Znakomicie. Zatem za godzinę, dobrze? Muszę tu jeszcze trochę uprzątnąć.

- Doskonale, pastorze. Caroline, powiedz Lavinii, że później do niej wpadniemy - zwróciła się do mnie Miss Nancy, mrugając znacząco.

Znaczyło to: *Powiedz Lavinii, że upolowałyśmy wielebnego*. Cóż, wielebny Moore był dużym chłopcem i wchodził w ten układ z szeroko otwartymi oczami. Założę się, że uważał, że w country clubie nic mu nie grozi.

- Powiem jej, oczywiście, że jej powiem - zapewniłam, całując je w policzki.

Odwróciłam się do Jacka.

- Widziałeś gdzieś mojego chłopca?

- Zaraz go poszukamy.

Niemal słyszałam westchnienia Miss Nancy i Miss Sweetie, pełne ulgi, aprobaty i szczęścia. Oto wreszcie spotkałam mężczyznę swojego życia. Doprawdy matek miałam w nadmiarze: Miss Lavinia, jej obie przyjaciółki, Millie. Pożegnawszy się z paniami, ramię w ramię ruszyliśmy

na poszukiwanie Erica. Z boku za kościołem Jack przystanął i okręcił mnie dookoła.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Czy to możliwe?

- Ale co takiego?

- To, co do ciebie czuję.

Nie żartował, nie żartował ani trochę. W jego głosie brzmiała całkowita powaga. Nagle, nie wiadomo skąd, powiała bryza, delikatne przypomnienie Matki ACE, że obecnej chwili nie wolno nam przegapić. Patrzyliśmy sobie w oczy, widząc w nich nawzajem swoje odbicie. Roześmialiśmy się obydwój.

- Ma pan zamiar oszaleć na moim punkcie, doktorze?

- Tak, *ma'am*, dokładnie taki jest mój plan.

- Podoba mi się. Nie chciałabym być tą jedyną, która oszalała. Przez kilka minut nie ruszaliśmy się z miejsca. Był to jeden z tych bezsensownych momentów, kiedy człowiek szacuje partnera, usiłuje przewidzieć przyszłość, skalkulować ryzyko, zdecydować, czy warto je podjąć, zupełnie jakby ów namysł miał zapobiec stoczeniu się w otchłań.

- Chciałbym, abyś poznała mojego syna - powiedział Jack.

- O Boże, to zupełnie jak końcowy egzamin - westchnęłam, a w moim umyśle przelotnie pojawił się obraz nachmurzonego kadeta, wymachującego rewolwerem.

- Zobaczysz, że cię pokocha - zapewnił Jack, spoglądając na mnie roześmianymi oczami.

- A co sprawia, że jest pan tego taki pewien, panie Doktorze Geniuszu?

- Ponieważ ja cię kocham.

- Kochasz mnie? - Nie wierzyłam własnym uszom. Jack zakochany? We mnie? Skąd w nim ta pewność? Ja też go kocham, ale przecież jeszcze nie wyznałam mu miłości.

- Tak, kocham.

Słońce ogarnęło nas oboje, oślepiło, oślepił nas widok siebie nawzajem. Kątem oka dostrzegłam biegnącego ku nam Erica.

- Już czas do domu? - pytał. - Mamuś, dobrze się czujesz?

Z wysiłkiem oderwałam wzrok od pięknej twarzy Jacka. Wyglądał niczym wizerunek na greckiej monecie. Jak to możliwe, że z każdym spojrzeniem wydawał mi się przystojniejszy? Chciałam, aby ta chwila nigdy się nie skończyła.

- Mamuś?

Przyjęłam ramię Jacka, drugie podałam Erickowi. Z Jackiem po prawej i Erikiem po lewej stronie mogłam zawojować cały świat. Czytałam, że w Tybecie mnisi buddyjscy potrafią lewitować. Teraz przysięgłabym, że kiedy szłam przez trawnik, moje stopy nie dotykały ziemi. Bez żadnej blagi.

## Rozdział 48

### *Nareszcie wolna*

#### *Sierpień*

Podczas następnych tygodni wszystko koncentrowało się wokół matki. W jakiś niewytłumaczalny sposób jej choroba nas zdawała się leczyć z naszych dolegliwości. Millie nadal przygotowywała dla niej ziołowe okłady, łagodzące gwałtowne mdłości, których ataki przytrafiały się coraz częściej. Modliła się razem z nią i śpiewała jej, wypełniając ostatnie dni matki miłością i oddaniem. Stała przy niej niczym siostra gwardianka, nadzorując wizyty odwiedzających. Codziennie dzwoniła do Miss Sweetie i Miss Nancy i zdawała im raporty.

*Tak, dzisiaj miała dobry dzień. A może przyjechałyby panie i zagrały z nią w brydża, co? Tylko, na miłość boską, trzymajcie ją z dala od chat roomu, yanh?*

Przyjeżdżały i potem przez kilka najbliższych godzin z pokoju matki dochodził gromki śmiech, jakieś naszeptywania i kolejne wybuchy wesołości, kiedy zabawiały się we trójkę - matka, siedząc w łóżku, z włączonym laptopem. Karty do brydża leżały nietknięte, a one wyruszały do [LoveChat@aol.com.](mailto:LoveChat@aol.com), zabawić się w swoją ulubioną grę - udawanie dwudziestoletnich studentek z nieposkromionym apetytem na seks. Śmiech dobrze matce robił.

Kiedy odjeżdżały, odprowadzałam je do drzwi.

- Wiesz, Caroline, dusza płacze we mnie z rozpaczy - mówiła Miss Sweetie.



- Moja także - dodawała Miss Nancy.

- Zupełny koszmar - przyznawałam - ale przynajmniej ma was. Nie jest samotna.

Stałyśmy w holu, obok drzwi wejściowych i żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. Tak naprawdę pragnęłyśmy uzyskać odpowiedź na jedno tylko pytanie, jak długo matka pozostanie jeszcze z nami i co możemy dla niej uczynić.

Prawnik matki odwiedził ją kilkakrotnie. Zawsze pozostawialiśmy ich samych, nie wtrącając się do niczego. Matka dokonywała poprawek w testamencie. Konsultowała się też z Richardem, który kilkakrotnie ponawiał ofertę przyjazdu do Karoliny Południowej.

- Chciałbym ją zobaczyć, dopóki jeszcze jest w miarę sprawna - tłumaczył mi.

- To zależy wyłącznie od ciebie. Eric na pewno z radością cię powita.

Z chwilą, kiedy udzieliłam mu przyzwolenia, stracił jakby zainteresowanie przyjazdem.

- Najpierw będę musiał sprawdzić mój rozkład zajęć. Zadzwonię później.

Nie telefonował jednak i nie potwierdził swojego przybycia.

Za to Jack stał się stałym elementem w naszym życiu. Po kilku tygodniach, kiedy matka przestała opuszczać łóżko, kazał mi zaangażować pielęgniarkę, która podłączałaby matce kroplówkę i dozowała morfinę. Matka traciła czucie w nogach i coraz trudniej jej było się poruszać, tak że ktoś musiał ją prowadzić do łazienki.

- Nie chcę, nie zostanę narkomanką.

- Miss Lavinio, nie uzależni się pani - tłumaczył Jack. - Na to jest pani zbyt wielką damą.

Wiedzieliśmy, co znaczą jego słowa: nie pożyje pani wystarczająco długo, aby się uzależnić. Pragnęliśmy uchronić ją przed bólem.

Wprawdzie matka nadal nie skarżyła się na nic, jednak jej protesty przeciw kroplówkom brzmiały coraz słabiej. Tak więc stanęło na morfinie podawanej przez pielęgniarkę, Carolyn Nelson, wspaniałą osobkę, utrzymującą, że sprawowanie opieki nad matką to jej zadanie i przywilej. Była to starsza pani, obdarzona niezwykle spokojnym charakterem, która spędzała czas, czuwając przy łóżku matki i między kolejnymi zastrzykami robiąc na drutach różne rzeczy dla swoich wnucząt. Obmywała matkę gąbką, zmieniała jej koszule nocne, szczotkowała włosy, a jednocześnie - co najważniejsze - nie odsunęła Millie na bok.

Raz ustalony porządek dnia był skrupulatnie przestrzegany. Millie nadal pojawiała się w pokoju matki, przynosząc na pięknych tacach jej ulubione potrawy i wymuszając pochlebstwami, by skosztowała choć trochę. Eric nadal się uczył, choć oficjalnie zakończył już całoroczny program. Rusty zaraziła go miłością do przedmiotów ścisłych, zwłaszcza astronomii i botaniki. Letnie niebo wabiło czarownymi widokami nawet nieuzbrojone oko, umysł domagał się teleskopu. Rusty miała teleskop przenośny, z dziesięciocalowymi soczewkami. Zainstalowała go na przystani i teraz oboje mieli pyszną zabawę. W ogrodach Millie i na rojących się od rozmaitych stworzeń brzegach rzeki pod nadzorem Rusty zdobywał też Eric szlify przyrodnika; obecnie potrafił już nazwać znakomitą większość roślin i zwierząt i rozpoznawał główne gwiazdozbiory na nocnym niebie.

Rusty i ja zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą. Przez czas choroby matki Rusty zgodziła zaopiekować się Erikiem. Jej głęboka miłość do Tripa dla nikogo nie stanowiła tajemnicy, podobnie jak jego uczucie do niej.

Wiem, należało to potępić, ale przecież pod jej wpływem Trip zmienił się tak bardzo, że wszyscy zgodnie orzekliśmy, że Rusty wydobywa z mojego brata lepszą część jego natury. Uczęszczała z nim na spotkania anonimowych hazardzistów. Nic nie wskazywało na to, by hazard nadal go kusił - przeciwnie, niejednokrotnie dziękował matce za to, że wyrwała go z jego szponów, i mnie, że poprosiłam Matthew o pomoc w najtrudniejszym.

Matthew? Cóż, odwiedzał mnie raz, czasami dwa razy w tygodniu. Jadaliśmy obiad w kuchni, w towarzystwie Erica i Millie; zdarzało się, że dołączał do nas Jack. Obaj panowie zaprzyjaźnili się ze sobą.

Jakoś nie wydawało nam się właściwe spożywać posiłki przy stole matki. Wszystkie nasze myśli koncentrowały się wyłącznie na jednym, żeby jakimś cudem wyzdrowiała. Siedzieć w jej jadalni? Jej miejsce albo musiałoby pozostać puste, albo ktoś by je zajął. I jedna, i druga możliwość zdawała nam się świętokradztwem. Przestaliśmy brać je pod uwagę i żyliśmy, ze wszystkich sił życząc jej ozdrowienia, a jednocześnie patrząc, jak umiera.

Również Frances Mae starała się jakoś załagodzić nieporozumienia między nami. Przesyłała matce ręcznie malowane kartki i bileciki od dziewczynek, fotografie wnuczek do postawienia przy łóżku i twarde cukierki do ssania, łagodzące wysychanie śluzówki w ustach.

Ale matka większą część czasu przesyiała, nieświadoma tego, co dzieje się wokół niej. Czasami spała dwa albo i trzy dni z rzędu. Ja

mnóstwo czasu spędzałam w swoim pokoju, czytając Biblię, która nabrała zwyczaju chodzenia za mną z pomieszczenia do pomieszczenia.

- Mam wiadomość - ogłosiłam w powietrze, siedząc w salonie, kiedy zmaterializowała się na stoliku do kawy.

Otwierałam ją w dowolnym miejscu i zaczynałam czytać, uporczywie natrafiając na fragmenty traktujące o miłosierdziu bożym. Wreszcie dotarło do mnie, że łaska boska polega na wybaczeniu nam naszych niedoskonałości i rozumieniu naszych słabości.

W sobotę zadzwonił Jack i zaproponował, że wpadnie. Matka spała, Millie i Jenkins pojechali do Charlestonu, a Eric z Tripem wybrali się na ryby. Na kolację miała przyjechać Frances Mae z dziewczynkami. Spotkanie z nią było nieuniknione. Ale przynajmniej miała przywieźć casserole. Zaproponowałam Jackowi, żeby przyjechał koło czwartej. Zdrzemnę się trochę, a potem zjemy razem na dworze.

- Dobrze - zgodził się od razu. - Caroline...

-No?

- Wszystko w porządku? Może ci coś przywieźć?

- Nie, nie trzeba, ale miło, że pytasz.

- Susan i Simon przesyłają ci pozdrowienia.

- Powiedz Susan, że zadzwonię do niej.

- Jasne. Chciała przyjechać ze mną, ale wytłumaczyłem, że jej wizyta wprowadziłaby zbyt wiele zamieszania.

- Jak ty o mnie dbasz, dziękuję ci.

Jack doskonale pojmował, że w obecnej sytuacji nie może szukać u mnie szczególnych oznak zaangażowania. Kochałam go z każdym dniem bardziej i on o tym wiedział. Miłość taka jak nasza nie potrzebowała

wielkich słów. Stanowiła prawdziwy dar i z każdym dniem jej przybywało. Jednak w tej chwili komfort i wygoda matki były dla mnie czymś nieporównanie ważniejszym. Stres wyczerpał mnie do tego stopnia, że zwykle wchodzenie po schodach wydawało mi się zdobywaniem górskiego szczytu. Nogi ciążyły mi nieznośnie, a powieki opadały same. W sypialni otworzyłam francuskie okno, wpuszczając do środka świeże powietrze, i wśliznęłam się między prześcieradła, niemal natychmiast zapadając w sen.

Obudził mnie deszcz, dźwięk kropeł uderzających w dach. Śnił mi się tatuś. Młody i przystojny, przyszedł nas odwiedzić. Tak to było? Tak. We śnie wiedziałam, że istnieje jakiś powód, dla którego ojciec już nie mieszka z nami, jednak nie potrafiłam go sobie do końca uzmysłwić. Wręczył mi batonik Hersheya. *To dla ciebie*, zdawał się mówić. *Ale ja już jestem dorosła*, zaprotestowałam. *Więc daj go Ericowi*. Wszystko to działo się w holu, w pobliżu frontowych drzwi. W pewnym momencie ojciec podniósł wzrok na schody i popatrzył w górę. Na jego twarzy malowało się zdumienie. Po schodach schodziła matka, z promienną, jasną twarzą, przepelnioną radością z jego widoku. Obudziłam się. To tylko sen, usiłowałam sobie wmówić. Ale to nie był sen.

Zerknęłam na budzik. Trzecia. Postanowiłam zajrzeć do matki.

- Śpi? - zapytałam pannę Nelson.

- Tak, śpi. Może posiedzi z nią pani przez chwilę, a ja przyniosę mrożonej herbaty?

- Oczywiście.

Wyszła z pokoju. Przysunęłam sobie krzesło bliżej łóżka i usiadłam. Matka była taka szczupła, taka krucha. Ujęłam jej rękę w swoje dłonie i po

prostu patrzyłam na nią. Czas mijał, matka poruszyła się lekko, oblizując spieczone wargi.

- Chcesz wody, mamó?

Skinęła głową, więc napełniłam szklankę i wsunęłam jej słomkę między wargi.

- Lodu - poprosiła.

Pogmerałam w wiaderku i wyłowiłam kawałek lodu na końcu łyżeczki.

- Proszę - powiedziałam, wkładając jej łyżeczkę do ust. Zaczęła ssać lodowe okruchy, a ja poszłam do łazienki po mokrą ściereczkę.

Wycierałam jej twarz, wolno, ostrożnie. Nie wiem, co kierowało moją ręką, może pamięć o tym, że kiedy byłam mała i zachorowałam na infekcję wirusową, matka pielegnowała mnie w identyczny sposób, a ja od razu poczułam ulgę.

- Jak się dzisiaj czujemy, Miss Lavinio? Otworzyła oczy. Widać było, że mnie poznaje.

- Caroline?

- Tak, *ma'am*.

- Caroline? - powtórzyła słabym głosem.

- Tak, *ma'am*.

- Perły, weź je. Nazywaj mnie matką. Zawsze matką.

- Zawsze - powtórzyłam, dławiąc się łzami, których nie potrafiłam opanować.

Podeszłam do komody i wyjęłam perły z szuflady. Pewnie chce je włożyć, pomyślałam. Właściwie dlaczego nie?

Oczy miała zamknięte, więc wsunęłam jej naszyjnik do rąk. Kiedy poczuła go w dłoni, przez jej twarz przemknął lekki uśmiech.

- Włóż je - powiedziała - bo ja już ich nie potrzebuję.

- Mamo, ja... ja nie wiem...

- Włóż je - powtórzyła.

Szlochałam, wiedząc, że rozmawiamy ze sobą po raz ostatni. Nie miałam kogo zawołać, jedynie pielęgniarkę. W samolubnym odruchu pomyślałam, że nie chcę z nią dzielić tej chwili. Z nią ani z nikim innym. Włożyłam perły na szyję.

- Będę o nie dbała, mamo. Dziękuję ci.

Znowu otworzyła oczy i popatrzyła na mnie wzrokiem tak pełnym miłości i oddania, że łzy pociekły mi po policzkach strumieniem. Matka poklepała mnie po ręce.

- Nie płacz, dziecino - rzekła czule, niemal szeptem. - Ja wracam do domu. - Mówienie przychodziło jej z trudem.

- Mamo, proszę, nie zostawiaj nas. Nie jestem jeszcze gotowa. -

Złożyłam głowę na poduszce, tuż obok jej twarzy.

- Eric - wyszeptała.

Uniosłam głowę, usiłując zrozumieć, co ma na myśli.

- Co Eric?

- Chciałam zobaczyć, jak dorasta - westchnęła, przymykając oczy. -

Żal mi. Mój jedyny wnuk.

- Będę się modliła za ciebie każdego dnia.

- Caroline? - Mówiła głośniej, jakby sądziła, że wyszłam z pokoju.

- Tak, *ma'am*?

- Moje róże. Czujesz zapach?

- Nie, mamuś, nie czuję.

- Mamuś, podoba mi się to. Mamuś.- Usiadła prosto na łóżku, spoglądając na coś, co dla moich oczu pozostawało zakryte.

- Och! - wykrzyknęła ze zdumieniem. - Co to? Co to jest?

- Mamo? - Czyżby to była halucynacja? Po chwili ustąpiła, a matka popatrzyła na mnie przytomnie i z powrotem opadła na poduszki.

- Pielęgnuj moje róże - dodała.

Całe zdanie, wyszeptane za ledwie, ale przecież wymówiła je. Znowu odpłynęła w sen albo może tak mi się tylko wydawało.

O trzeciej trzydzieści panna Nelson zadzwoniła po Jacka. Właśnie był w drodze do Wysokich Sosen. Millie i Jenkins wrócili z Charlestonu i dołączyli do mnie, czuwającej przy łóżku matki. Trip i Eric z triumfem przynieśli do domu wiadro pełne ryb. Trip momentalnie zorientował się w sytuacji i zabrał Erica z powrotem na przystań pod pretekstem oczyszczenia zdobyczy. Pojawiła się Frances Mae z dziewczynkami. Millie pozwoliła im zajrzeć na chwilę do matki, po czym przepędziła je na dwór.

Jack zbadał matkę i zawyrokował, że to już nie potrwa długo.

- Dni? - zapytaliśmy.

- Raczej godziny. - Jego współczucie nie było udawane. - Zostanę.

Oddech matki stał się głośny i ciężki. Millie i ja popatrzyliśmy na siebie z przestraciem.

- Może zadzwońmy po Miss Sweetie i Miss Nancy - powiedziałam.

- Ja to zrobię, ty zostań z matką.

Godziny mijały. Millie podniosła prześcieradła i obejrzała stopy matki.



- Co robisz? - zapytałam.

- Nogi sztywne, krew zaczyna zastygać - wyjaśniła, wskazując na ciemniejące plamy na łydkach. - Słodki Jezu, nadchodzi pora.

Zdenerwowana do granic wytrzymałości, zadzwoniłam do Richarda. Po raz ostatni dawałam mu szansę, aby ocalił coś ze swojego człowieczeństwa.

- Doktor Levine. - Odebrał telefon, przedstawiając się tytułem i nazwiskiem. Zignorowałam to.

- Richard - mój głos zadrżał po raz tysięczny w ciągu tego dnia - Richard, matka umiera.

-Wiem, Caroline, wiem. Z pewnością musi to być dla ciebie ciężkie przeżycie.

- Ale posłuchaj, ona umiera właśnie teraz. Umrze jeszcze dzisiaj albo jeszcze tej nocy. Możesz przyjechać?

- Kochanie, rozumiem twój ból, jednakże dzisiejszy dzień absolutnie nie wchodzi w rachubę. Już prawie pierwsza, a jutro o siódmej trzydzieści mam spotkanie.

- Powiedziałeś, żebym cię wezwała, kiedy będę cię potrzebować. Potrzebuję cię teraz.

- Caroline, przykro mi, ale nie dam rady. Przyjadę, kiedy będzie po wszystkim.

Odłożyłam słuchawkę bez słowa pożegnania.

Czuwaliśmy niemal do północy, po kolei wchodząc do pokoju matki i znowu wychodząc. Tylko Frances Mae uznała, że lepiej będzie trzymać dziewczynki na dole. Pewnie miała rację.

Millie zaparzyła kawy, tak mocnej, jak się tylko dało. Wypiliśmy ją wszyscy. Miss Sweetie poczęstowała nas plackiem truskawkowym, a Miss Nancy krążyła od pokoju do pokoju, zbierając naczynia, byleby tylko mieć jakieś zajęcie.

Trip szczerą ręką dolał sobie bourbona do kawy i puścił w obieg butelkę. Nikt z nas jednak nie reflektował na alkohol, więc sam przypiął się do niej. Przynajmniej raz nie mogłam go o to winić. Nie był nam potrzebny jako mężczyzna. Jack i Jenkins zajmą się wszystkim jak należy. Straszliwa prawda jawiła nam się bez osłonek; nasze starania dobiegły kresu, teraz wszystko spoczywało w rękach natury.

Koło pierwszej w nocy zostaliśmy we trójkę w pokoju matki, Millie, Jack i ja.

- A może pójda panie położyć się na chwilę? - zaproponował Jack. - Jeśli coś się będzie działo, zawołam.

- Ja nie - sprzeciwiła się Millie. - Nie ruszę się stąd.

- Ja także nie. Zresztą i tak nie potrafiłabym zasnąć.

- W takim razie może zejde na dół i przyrządzę sobie filiżankę kawy - powiedział Jack.

- *Humph* - odezwała się Millie po jego wyjściu - czy ten facet ma zamiar bałaganić w mojej kuchni? Zaraz wracam. Lavinio, tylko nigdzie nie odchodź.

Oddech matki stawał się coraz głośniejszy, niczym u chorego na krup. I nagle ucichł. Po prostu. W jednej minucie matka była tutaj, w następnej już jej nie było. Zupełnie jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Kompletnie oszołomiona, nie wiedziałam, co począć. Czekałam.

Chwyciłam jej dłoń, ale matka nie reagowała, więc ułożyłam jej rękę wzdłuż boku. Wiedziałam, że powinnam zawiadomić pozostałych.

Musiałam zebrać wszystkie siły, aby to uczynić. Przedtem jednak pochyliłam się nad matką i pocałowałam ją w czoło.

- Kocham cię, Miss Lavinio - powiedziałam. - Kocham cię.

Spoglądałam na nią przez kilka chwil, wreszcie wyszłam, przekazać innym tę straszliwą wieść, najgorszą od czasów, kiedy umarł mój ojciec. Tak się akurat złożyło, że kiedy schodziłam po schodach, wszyscy zebrali się w salonie i w holu. Wyraz mojej twarzy powiedział im to, czego moje usta nie zdołały wymówić.

- O Boże, odeszła, prawda? - zapytała Miss Sweetie.

- Tak - potwierdziłam. Jack wbiegł na schody i przytulił mnie mocno.

- O Boże.

- Zajmę się wszystkim - powiedział.

Mogłam go za to ucałować. Moje oczy wędrowały przez pokój w poszukiwaniu Millie. Nasze spojrzenia spotkały się. Jenkins otaczał ją ramieniem. Trip siedział na krześle tuż obok Frances Mae. Oboje szlochali. Frances Mae utkwiała wzrok w mojej szyi. Perły. Zupełnie zapomniałam, że mam je na sobie.

- Matka nie zdążyła nawet ostygnąć, a ta już wyciąga rękę po jej rzeczy. Wstydu nie masz - rzuciła.

- Zamknij jadaczkę, Frances Mae - odwarknął Trip. - Po prostu się zamknij. - Podniósł się i podszedł do mnie.

- Ofiarowała mi je - broniłam się słabo.

- Wiem, że ci je ofiarowała - powiedział. Objął mnie ramieniem, a ja rozplakałam się niczym dziecko, tak samo jak wtedy, kiedy umarł tatuś. Nawet nie przypuszczałam, że gdzieś we mnie w środku istnieją odgłosy, które wydawałam z siebie w tej chwili.

- Wyjdźmy na dwór - zaproponował Trip. W kuchni czekał Eric.

- Chodź z nami, dziecko - odezwałam się. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Babcia nie żyje, prawda?

- Tak, chodź.

Opuściliśmy dom - mój brat, mój syn i ja - i udaliśmy się tam, gdzie udawaliśmy się zawsze, kiedy nasz ból stawał się zbyt wielki. Nad rzekę, wsłuchać się w jej pieśń i wypatrywać znaków pokoju na niebie.



## Rozdział 49

### Szczegóły

Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale czas czuwania przy zwłokach matki był jednym z najwznieściejszych momentów w całym moim życiu. Nie potrafię opisać tego uczucia, jakie ogarnęło mnie na widok setek ludzi przychodzących i odchodzących, mówiących, jak bardzo kochali moją matkę i mojego ojca także. Byłam ich córką i w duchu przysięgam sobie, że będę żyła tak, aby okazać się godną nazwiska, które noszę.

Hałas panował wręcz ogłuszający. Ludzie mówili jeden przez drugiego, opowiadali rozmaite historie. Wiedziałam, że matka znajduje się między nami, że przysłuchuje się rozmowom, tatuś zresztą także. Od czasu do czasu wyczuwałam nawet jej sprzeciw wobec jakiejś przedstawianej właśnie wersji wydarzenia.

- Tak, pamiętam, jak mi opowiadała, że zadzwoniła do niej Jackie Kennedy z zaproszeniem na weekend do Białego Domu, żeby przedyskutować kwestie protokołu - opowiadał jeden z przyjaciół - a Lavinia jej na to: *Ma'am*, jeśli potrzebuje pani porady w kwestii etykiety, z pewnością w Bibliotece Kongresu znajdzie pani niejednego podręcznik na ten temat. Tak, Lavinia była naprawdę kimś. Odmówić Jackie Kennedy, możecie to sobie wyobrazić?

Duch matki wyraźnie się najeżył, czułam to. Pojechała wówczas do Waszyngtonu i udzieliła wskazówek prezydentowej, a fotografia obu pań zajmowała poczesne miejsce w salonie, odkąd tylko sięgałam pamięcią. Matka opowiadała tę historię nieskończoną ilość razy. Ale musiałam przyznać, że nowa wersja też jest zabawna.

Matka rzeczywiście była kimś niezwykłym i jeśli jej przyjaciele przybyli teraz licznie, by uczcić jej pamięć, moi uczynili to samo. Richard przyleciał z samego rana, szczerze przeprasząc i z naręczem kwiatów w ramionach. Bardzo ubolewał, że nie zdołał przybyć tego dnia, kiedy dzwoniłam. Teraz było mi to kompletnie obojętne.

Akurat kiedy się pojawił, byłam z Erikiem w holu.

- Caroline? Nie wiedziałem, że ona umierała akurat wtedy, kiedy dzwoniłaś. Opacznie zrozumiałem twoje słowa. Kochanie, czy możesz mi wybaczyć?

- Oczywiście. Słuchaj, Richard, rozpakuj swoje rzeczy w pokoju gościnnym. Eric, pomóż ojcu, dobrze?

Załatwiłam to w ten sposób.

Teraz mignął mi gdzieś w sali domu pogrzebowego Bagnal's, rozmawiający z Jackiem. Susan i Simon także przyjechali. A co tam, pomyślałam, niech sobie gadają. Ale kiedy po chwili zobaczyłam, że dołącza do nich Josh, szybko podążyłam ku nim, by spróbować zapobiec skutkom ewentualnej katastrofy.

- Josh, jak miło z twojej strony, że zechciałeś przyjść. - Uścisnęłam jego dłoń i pocałowałam go w policzek.

Richard, Jack i Simon zamilkli jak na komendę, patrząc w naszą stronę i zastanawiając się, kim może być ten facet z dredami.

- Hej, Caroline, przykro mi z powodu twojej mamy - zwróciła się do mnie Susan.

- Dzięki. Wszyscy jesteście kochani, że przyjechaliście. Simon pocałował mnie w policzek, a Josh zaczął się wpychać pomiędzy nas.

- Caroline, jak się czujesz? To znaczy, przykro mi. Twoja matka była naprawdę *cool*.

- Dzięki, dla niej ty też byłeś *cool*. - Zwróciłam się w stronę Jacka i Richarda. - Josh jest jednym z nauczycieli Erica. Ma wielki talent.

- Och - powiedział Richard. - Mój syn zdażył mi już wszystko o panu opowiedzieć. Cieszę się, że mogłem pana poznać. Naprawdę wdzięczny jestem za przybycie.

Zaczęli rozmawiać. Ujęłam Richarda po ramię.

- Pozwól ze mną, dobrze? Frances Mae potrzebuje przyzwoitki.

Frances Mae kulila się na kanapie, karmiąc piersią małego Szakala, Chloe. Matka, gdyby tylko potrafiła, podniosłaby się z trumny i osobiście pozapinała jej bluzkę, niestety, nie mogła, więc mnie przypadło w udziale to zadanie.

- Frances Mae, spójrz, przyjechał Richard. Och, jesteś zajęta, przepraszam. Ale może zechciałybyś przejść do pokoju dla pań?

Popatrzyła na mnie bez zażenowania, odstawiając Chloe od piersi, czemu towarzyszył donośny odgłos, przypominający cmoknięcie, po czym przeniosła wzrok na Richarda.

- Mój drogi, ty i ja nigdy nie będziemy pasowali do tej rodziny.

- No, no - łagodził Richard, pomagając jej się podnieść. - To pogrzeb Lavinii, więc niech go nie zakłóca żadne niesnaski. Pozwól ze mną, Frances Mae, i powiedz mi, co...

Poszli sobie. Chwała Bogu.

Musiałam jeszcze pójść sprawdzić, czy Josh uraczył Jacka pikantnymi szczegółami naszego *liason*. Ale nie; rozmawiał z Matthew. Nie bacząc na miejsce, w którym się znajdowałam, wybuchnęłam

śmiechem. Ależ tu się nazbierało mężczyzn, z którymi łączyło mnie to i owo. Zresztą do diabła z tym, niech sobie gadają, nic mnie to nie obchodzi.

Spojrzałam w stronę wejścia i zobaczyłam Petera Greera wpisującego się do księgi żałobnej, wyłożonej przy drzwiach. Widać było, że jest złamany bólem. Zanim zdążyłam do niego podejść, zaczął się przeciskać w stronę trumny. Stał nad nią, samotny, i pochylił głowę. Przemawiał do matki. Kiedy się zbliżyłam, dobiegły mnie jego słowa.

- Byłaś niesamowitą kobietą, Lavinio Boswell Wimbley, i mnie, staremu, będzie cię bardzo brakowało.

- Dzień dobry, panie Greer. Dziękuję, że pan przyszedł. Opromienił pan szczęściem ostatnie dni mojej matki, wie pan o tym, prawda?

- Ona także uczyniła mnie szczęśliwym, Miss Caroline. Przywróciła mi młodość.

- Darzyła pana uczuciem; ale o tym pan przecież wie. Z pewnością to panu powiedziała.

- Och, jeszcze więcej, Miss Caroline, okazała mi to. Tyle wspaniałych rzeczy dla mnie uczyniła. Nigdy przedtem nie znałem kogoś równie czarującego i nigdy więcej nie poznam. Ona była kimś naprawdę niezwykłym.

- Och, panie Greer, dziękuję panu. Mam nadzieję, że po czuwaniu dołączy pan do nas. Poczęstunek odbywa się u Tripa i Frances Mae.

- Droga damo, pani matka nie spocznie, dopóki wszyscy nie wychylimy toastu za jej zdrowie. Nie chciałbym przecież, aby straszyla mnie dama w pawim kaftanie.



Załkał. Poczułam dławienie w gardle. Miał słuszość. Wielu nas będzie na przyjęciu.

Po nabożeństwie goście zaczęli się rozchodzić. Byłam jedną z ostatnich. Jack czekał na mnie, za co byłam mu wdzięczna.

Podszedł do mnie.

- No i jak? Zmęczona?

- *Yeah*, Boże, pewnie. Cieszę się, że jesteś przy mnie.

- Wolę być z tobą niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi - odparł. - Chodź, zawiozę cię do Tripa. Eric już tam pojechał.

Nie mogłam mieć za złe Ericowi, że jak najprędzej chciał się wyrwać z domu żałoby.

- Za chwileczkę, dobrze? Powiem tylko matce dobranoc. Zatrzymał się przy drzwiach wielkiej sali, zostawiając mnie na moment samą. Podeszłam do trumny i spojrzałam na matkę. Nie, przecież to nie była ona. Przede mną spoczywała żaloszna imitacja tej, która kiedyś była moją matką. Nie było innej prawdy. Matka odeszła. Wiedziałam jednak, że stoi tuż za mną albo znajduje się gdzieś całkiem blisko, więc z szacunkiem odgarnęłam z jej czoła kosmyk włosów. Matka miała tylko swoją najskromniejszą biżuterię - obrączkę ślubną i maleńkie kolczyki z perłami. Ubrana była w swój ulubiony kaftan, lawendowo-błękitny w orientalne wzory, Puccini z lat sześćdziesiątych. Suknię ślubną zdecydowała się jednak zachować dla dziewczynek Frances Mae. Prezentowała się wspaniale.

Tyle myśli wirowało w mojej głowie, że w końcu poczułam w niej całkowitą pustkę. Stałam nad trumną zawierającą zwłoki mojej matki, ale przecież nie ją samą. Potrafiłam myśleć wyłącznie o jednym. Dokąd się udała?

Wreszcie odwróciłam się do Jacka. Nie istniało nic, co mogłabym jeszcze zrobić, więc równie dobrze mogłam opuścić dom pogrzebowy. Ujęłam Jacka pod ramię i razem ruszyliśmy w stronę samochodu. Otworzył przede mną drzwi i troskliwie usadowił mnie w środku. Obszedł samochód dookoła, wsiadł, zapuścił silnik i popatrzył na mnie.

- Spokojnie, dziewczyno - powiedział. - Obiecałem twojej matce, że się tobą zaopiekuję, i zamierzam dotrzymać słowa.

Zaczął wyjeżdżać tyłem z parkingu, a ja poczułam, że się uśmiecham. Jack podniósł moją dłoń, spoczywającą na siedzeniu, i pocałował. Tej chwili nigdy nie zapomnę. Nigdy dotąd nie spotkałam mężczyzny tak silnego i tak czułego zarazem.

- Jest pan wspaniały, doktorze Taylor, czy wie pan o tym?

Przyjęcie u Tripa i Frances Mae przewyższało wszystko, co zdarzyło mi się widzieć do tej pory. Obsługa z Columbii parkowała samochody gości, kelnerzy w czarnych frakach witali nas z tacami zastawionymi kieliszkami szampana i czarkami z julepem miętowym. Goście spacerowali, trzymając w rękach talerze, na których pysznił się rostbef, pieczeń i rozmaite klasyczne przystawki z Południa. Trip i Frances Mae dosłownie przewrócili dom do góry nogami, żeby wszystko wypadło jak najokazalej. Ze zmęczenia ledwie trzymałam się na nogach, wypadało mi jednak zamienić kilka słów z moim bratem i bratową, pochwalić ich, tak jak na to zasłużyli.

Tripa znalazłam przy barze. Wielkie zaskoczenie. Przedarłam się do niego, przystając co chwila przy którymś z gości i dziękując za przybycie.

- Hej, Trip, doskonale się sprawiłeś, *bubba*. Pożegnanie matki odbywa się naprawdę w wielkim stylu.

- Myślisz, że by to zaaprobowała? Zresztą bez Millie nie dałbym sobie rady.

- Byłaby zachwycona, serio. A gdzie Millie?

- A tam, zobacz sama. - Machnął ręką w kierunku tylnej werandy. Ujrzałam Millie w objęciach Jenkinsa. Wspaniale.

Wieczór okazał się sukcesem od początku do końca. Zdobyłam się nawet na to, żeby pocałować Frances Mae w policzek i powiedzieć:

- Matka byłaby zachwycona, Frances Mae, naprawdę.

- Cóż, starałam się, jak mogłam. A jutro zbierzemy się wszyscy, żeby obrzucić Miss Lavinie błotem.

- Obrzucić błotem? - powtórzyłam.

- No tak, tak się przecież mówi, może nie? W Meskin, kiedy umiera któryś z zakonników, pozostali nakrywają jego twarz kapturem i składają go do grobu, a potem podchodzą kolejno i szuflą sypią ziemię na leżące w dole ciało. U nich tak się to odbywa, prawda, Trip?

- Matka zostanie skremowana, a ściślej, jest kremowana dokładnie w tej chwili.

- To okropne! Trip, skarbie, czy to prawda?

Zanim odeszłam, puściłam do Tripa oko.

Millie i Jenkins odwieźli mnie i Erica do Wysokich Sosen. Żeby tak wreszcie móc się położyć i odpocząć! Richardowi dałam zapasowe klucze od drzwi wejściowych, gdyż zamierzał zostać aż do końca. Tłumaczył mi, że robi, co w jego mocy, aby pomóc Tripowi i Frances Mae. Od kiedy to tak się o nich troszczył? A może zbierał materiały do książki?

Za chwilę przyjdzie mi się zmierzyć z kolejnym problemem, jak poruszać się po Wysokich Sosnach, kiedy zabrakło w nich matki, jak

położyć spać Erica, który po raz pierwszy w życiu widział zmarłego człowieka. Podczas jazdy do domu zasnął na tylnym siedzeniu samochodu, z głową na moich kolanach. Jego oddech, wolny i miarowy, działał na mnie uspokajająco. Potrafiłam myśleć tylko o jednym: mój syn mnie potrzebuje.

Millie i Jenkins prowadzili cichą rozmowę o pożegnalnym wieczorze i o tym, jak zdumiona byłaby matka, widząc te wszystkie wspaniałości na jej cześć.

Gdy zajechaliśmy przed dom, potrząsnęłam Erikiem, żeby go obudzić, i kuchennymi drzwiami weszliśmy do środka. Millie i Jenkins powiedzieli nam dobranoc, a ja podziękowałam im za pomoc. Eric włókł się po schodach, jęcząc, że jest wykończony, i błagając mnie, żebym jutro pozwoliła mu dłużej pospać. Pozamykałam drzwi, zostawiłam kilka świateł dla Richarda i poszłam do pokoju Erica.

Leżał pod kołdrą, zwrócony w stronę drzwi.

- Dobranoc, dziecino, kocham cię.

- Nie mogę zasnąć - poskarżył się.

- Chcesz spać ze mną?

- Pewnie! - Natychmiast ruszył w stronę mojego pokoju.

- Czekał - powstrzymałam go. - Idź do pokoju babci. Zamierzam się tam przenieść.

- Będiesz od teraz Miss Caroline - powiedział i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wreszcie byliśmy w domu.

- *Uśnij już, dziecino ma, bo ci mama w ucho da* - zacytowałam, śmiejąc się. - *Twoja mama kocha cię.* - Była to kołysanka z Lowcountry, śpiewana w kiepskim gullah.

Oboje zasnęliśmy jak anioły.

RS

## **Rozdział 50**

### ***Pogodny dzień***

Poranne słońce zalało pokój matki. Obudził mnie odgłos przesuwanych drzwi samochodów dostawczych. Przewróciłam się na bok. Głowa Erica spoczywała na poduszce tuż obok mojej. Leżeliśmy w łóżku matki. Tak, chyba od dzisiaj przeniosę się tu na stałe.

W moim pokoju spał Richard; jego chrapanie, niczym odgłos rogu mgielnego, biegło stamtąd przez całą noc. W pewnej chwili wsunął nawet głowę do pokoju matki, ale widok Erica ostudził jego zapędy. No i dobrze. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam w noc poprzedzającą pogrzeb, to pijany eks-mążzonek w moim łóżku.

Uchroniła mnie przed tym obecność Erica. Wszyscy potrzebowaliśmy czyjejs obecności, by dała nam schronienie. Eric przeżywał swoje pierwsze zetknięcie ze śmiercią. Przez całą noc obejmowałam go ramieniem, by czuł, że jestem przy nim, że nad nim czuwam.

Wiedziałam, że muszę wstać i spojrzeć w twarz nadchodzącemu dniu. Byłam do cna wyczerpana. Ceremonia czuwania przebiegła gładko, ale zbyt długo się przeciągnęła. Trip kompletnie zignorował Frances Mae i przez cały wieczór tkwił u mego boku albo rozmawiał z Richardem, Jackiem i Joshem.

Wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić przygotowania do pogrzebu. Wszystko znajdowało się pod kontrolą. Na trawniku otaczającym ogród różany matki stanęły namioty, przy których mieliśmy się zebrać po ceremonii rozsypania popiołów. Sam pogrzeb zaplanowany był skromnie - najbliższa rodzina, dwie najlepsze przyjaciółki matki, no i oczywiście

Millie i Jenkins. Właśnie tak sobie życzyła. Część prochów miała zostać rozsypana przy grobie tatusia i tam też miała się znaleźć odpowiednia tablica. Potem była przewidziana stypa, a po niej odczytanie testamentu.

Umyłam twarz i kiedy ją wycierałam, przypadkiem zerknęłam w lustro. Wielkie nieba! Ujrzałam matkę, spoglądającą na mnie moimi własnymi oczami. Moje oczy, choć nie udzieliłam im pozwolenia, naśladowały jej sposób mrugania. Nie wiem, chyba z dobrą godzinę spędziłam przed lustrem, studiując własne odbicie. Im bardziej usiłowałam zwalczyć w sobie przekonanie, że jakaś jej część znalazła sobie mieszkanie w moim ciele, tym usilniej ono we mnie narastało.

Boże, ależ to było niepokojące uczucie! Ubierałam się w pośpiechu. Jak najszybciej do Millie, zapytać ją, co to ma znaczyć. Czyżbym zaczynała tracić zmysły? Wkładając ubranie, wybuchnęłam śmiechem. Nagle straciłam ochotę na dzinsy czy szorty. Sięgnęłam do szafy matki i wyjęłam z niej letnią sukienkę, która wydała mi się najodpowiedniejsza. A przecież nie była nawet czarna! Była czerwona! Nie należała do mnie! Nie miałam żadnych pasujących do niej pantofli, więc uczyniłam coś, czego - jak sądziłam - nie zrobię nawet za milion lat. Otworzyłam szafę matki z butami, przejrzałam zdjęcia sandałów i wybrałam na wszelki wypadek kilka odpowiednich par.

W mojej głowie tłukł się fragment wiersza:

*Kiedy umrę,*

*Noś purpurę.*

*Ja – umarły*

*? Co za bzdury.*

Skąd mi się to przyplątało?

Kiedy wreszcie oderwałam się od matczynych szaf i powędrowałam na dół, po drodze studiowałam swoją twarz w każdym napotkanym lustrze. Na Jowisza, to przecież cała ona. Patrzyła prosto na mnie. Zaczęłam się śmiać jak wariatka.

Przed wejściem do kuchni zdołałam się trochę opanować. Spodziewałam się, że w środku zastanę Millie miotającą się na wszystkie strony, rozstawiającą po kątach kucharzy i kelnerów. Niewiele się pomyliłam. Siedziała pochylona nad stołem, przeglądając bez końca jakieś kartki. Kiedy weszłam, nawet na mnie nie spojrzała.

Nalałam sobie kawy do kubka i usiadłam obok niej.

- Daj mi jakieś zajęcie - powiedziałam. - W czym mogę ci pomóc?

Wreszcie podniosła wzrok i nagle jej źrenice rozszerzyły się, przesuając się po mojej sukience aż do sandałów.

- Co... - Urwała i zajrzała mi głęboko w oczy, a ja mrugnęłam do niej. - Jezusie Nazareński. A niechżeż ci się przyjrzę.

- Dziwne, prawda?

- Nie, dziecino, wcale nie. Wszyscy stajemy się naszymi matkami.

Wszyscy.

- Odwiedza nas.

- Miejmy nadzieję, że nie.

- Chce się upewnić, że nie skrewimy podczas pogrzebu.

- *Humph* - mruknęła Millie. - Bogu niech będzie chwała - dodała szybko.

Pogrzeb odbył się z modlitwą i śpiewami. Stałam przy rodzinnej kaplicy w czerwonej sukni matki, dużym, czerwonym, słomkowym kapeluszu i sandałach, z perłami na szyi, obejmując ramieniem Erica. Z



lewej strony miałam Tripa i Frances Mae, tulącą w ramionach paskudne, skrzywione niemowlę. Obok mojej bratowej stały dziewczynki, a za nią, w towarzystwie Miss Sweetie i Miss Nancy, Richard. Po przeciwnej stronie płyty nagrobnej Millie i Jenkins trzymali się za ręce.

Helena McKay śpiewała pięknie. Nie sądziłam, by ktoś potrafił jej dorównać. Przyjechała w towarzystwie swojego męża, starego znajomego matki z Charlestonu. Kiedy umilkła, Millie i Jenkins także zaśpiewali.

*Ogród rajskich rozkoszy  
I chór duchów świetlistych,  
W białych szatach, z palmą w ręku każdy kroczy.  
Wszystko to, co Jezus dla nas nagotował,  
Widzą teraz zachwycone moje oczy.  
Rzeki żywota wiecznego,  
Drzewa ogrodu rajskiego.*

Jenkins wyjął z kieszeni harmonijkę i zaczął grać, a Millie wtórowała mu śpiewem. Wiedzieliśmy, dlaczego śpiewają. Pomagali matce pokonywać drogę do rajskiej wieczności. Rzeki żywota wiecznego? Czy nasze rzeki były nimi także? Ashepoo, Combahee i przede wszystkim Edisto.

Pierwszą pieśń odśpiewali wolno, z namaszczeniem. Po niej zaintonowali kolejną, pełną wesela, aby pokazać Panu i nam wszystkim, że droga do nieba - dokąd matka zdążyła już zawędrować i skąd teraz spogląda na nas - jest wydarzeniem szczęśliwym i radosnym.

- *A odpocznij sobie wreszcie* - zaczął Jenkins.

- *Nie, nie dla mnie odpoczynek* - odpowiedziała Millie, kręcąc głową.

I znowu on:

- *Wszak odpocznij, mówię ci*

Ona:

- *A ty zostaw mnie nareszcie, Bo nie dla mnie odpoczynek. Bo do nieba ja podążam, Więc spoczywać mi nie pora.*

Zaczelismy klaskać do taktu. Millie powtórzyła całą zwrotkę, a za trzecim razem wszyscy dołączyliśmy do niej, śpiewając z całego serca i wiedząc, że po tamtej stronie matka śpiewa razem z nami.

Wcześniej wyraziła życzenie, by jej prochy zostały wrzucone do Edisto, i teraz mieliśmy to uczynić. Ponton już czekał, udekorowany białą, lekką materią i bukietami białych lilii, przewiązanych złotymi wstążkami. W wiaderkach chłodził się szampan, a obok stały matki najpiękniejsze kieliszki Lalique.

Już miałam skierować się ku rzece, kiedy Miss Sweetie dotknęła mojego ramienia.

- Czy mogę powiedzieć kilka słów?

- Boże, jasne.

Miss Sweetie stanęła u szczytu płyty, tymczasowo zaznaczającej ten dzień i miejsce obok tatusia, odchrząknęła i zaczęła:

- Lavinia Ann Boswell Wimbley była moją najdroższą przyjaciółką i będzie mi jej bardzo brakowało, podobnie jak nam wszystkim. Lavinio, jeśli mnie słyszysz, to pragnę, abyś wiedziała, że cię kocham i będę się za ciebie modliła. Naszą przyjaźnią wzbogaciłaś moje życie po wielekroć. - Oczy Miss Sweetie wypełniły się łzami.

Miss Nancy podeszła do niej natychmiast, zaofiarowała wyjętą z kieszeni chusteczkę i troskliwie otoczyła przyjaciółkę ramieniem. Biedna Miss Sweetie zaczęła szlochać.

- Lavinio - powiedziała Miss Nancy, zwracając się w stronę błękitnego nieba - widzisz nas? Uczyń znak, żebyśmy wiedzieli, że nie odeszłaś. Nie potrafię się z tym pogodzić. - Tu głos jej się załamał.

Dokładnie w tym momencie, zupełnie niespodziewanie, spadł deszcz. Przelotny, ciepły. Przysięgłabym, i wszyscy zgromadzeni przy grobie pomyśleli pewnie to samo, że to łzy matki, rozpaczającej, że musi opuścić tych, których ukochała. Ustał tak samo szybko, jak się rozpoczął. Powiodłam wzrokiem od twarzy do twarzy; na wszystkich, nie wyłączając mojej, malował się wyraz niedowierzania.

Millie pierwsza odzyskała głos:

- Diabeł tłucze żonę za kuchennymi drzwiami.

Zawsze cytowaliśmy to porzekadło, ilekroć padał deszcz, a jednocześnie świeciło słońce. Stare przysłowie gullah, dzięki któremu nasza rozpacz przemieniła się w wiarę w istnienie innego życia poza naszym, w to, że kiedy umieramy, Bóg w niebiesiech już nas wyczekuje.

- No więc - powiedziała Millie - chodźmy raz jeszcze uczcić Lavinie Boswell Wimbley.

- Za chwilę - odparłam. - Odrobina Królowej Wysokich Sosen musi pozostać tutaj. - Otworzyłam wieko urny i rozsypałam część prochów na mogile tatusia. Nikt nie odezwał się ani słowem. Zamknęłam wieko, uśmiechnęłam się i ruszyłam ku przystani, niosąc urnę. Wszyscy podążyli za mną. Szliśmy wolno, pogrążeni w myślach.

- Jak sądzisz, gdzie ona teraz jest? - zapytał Eric.

- Tutaj i wszędzie, i w każdym z nas - odparłam. - Czy czujesz jej ducha?

- *Yeah*. Chcesz usłyszeć coś niezwykłego?

- Jasne, ale będziesz się musiał mocno nagimnastykować, żeby powiedzieć mi coś, co uznam za niezwykle, skarbie.

- Nie ma problemu - odparł, przystając.. Pozwoliliśmy innym się wyprzedzić.

- Miałem zeszłej nocy sen, ale wydaje mi się, że to nie był sen.

- Mów dalej.

- Babcia siedziała na skraju mojego łóżka. Powiedziała: *Eric, kocham cię*, a ja popatrzyłem na nią i powiedziałem: *Ja też cię kocham*, a ona popatrzyła na mnie i powiedziała: *Synu, to jest twój dom*, a ja pomyślałem: *O cholerka*

- Eric, jak możesz używać takich słów, kiedy stoję obok ciebie z jej popiołami w dłoniach?

- To tylko prochy, mamuś, to nie jest ona.

Zerwał się wiatr, zaszumiały liście. Popatrzyłam na innych, daleko przed nami.

- Masz rację, synku, ale najpierw czeka nas praca. Popatrzył na mnie wyczekująco.

- Za chwilę musimy rozsypać jej prochy, a później zastanowić się, jak podjąć zadanie tam, gdzie ona je przerwała. Chodź, tamci czekają.

Zamykając małą procesję, zbliżyliśmy się do przystani. Jenkins uruchomił silnik, Trip otworzył i nalewał szampana, Dom Perignon, oczywiście. Millie zaczęła nucić i kiedy popłynęliśmy w dół Edisto, podjęła śpiew:

*Wysoko wznosi się brzeg Jordanu,*

*I tylko jedna rzeka została nam do przekroczenia.*

Trąciliśmy się kieliszkami i wznieśliśmy toast. Za Lavinie, Królową Wysokich Sosen, Królową Edisto. Kochamy cię, Lavinio.

- Te kieliszki dostała w prezencie od senatora Holligana - powiedziałam. - Doskonale pamiętam dzień, kiedy jej je ofiarował. Była zachwycona.

- Caroline - przerwał mi Trip. - Zamówiła je z katalogu Ross-Simonsa.

- Niech będzie - zgodziłam się ze śmiechem.

Trip popatrzył na mnie i jego twarz przybrała zabawny wyraz. Odpowiedziałam mu słynnym „mrugnięciem Miss Lavinii”, a on z niedowierzaniem pokręcił głową i też się roześmiał.

Otworzyłam urnę, podczas gdy Millie nie przestawała śpiewać:

*Podąża z nami żołnierz mężny wielce,*

*I tylko jedna rzeka została nam do przekroczenia.*

Zwróciłam się do Tripa:

- Chodź, zrobimy to razem.

Stanęliśmy na rufie, przytrzymując niewielką urnę i pozwalając, by wiatr rozwiął prochy matki.

*Strumienie Jordanu nie wyschną po wieki,*

*I tylko jedna rzeka została nam do przekroczenia.*

*Widzę wzgórze po mojej lewicy, a On ujmuje moją prawą dłoń,*

*I tylko jedna rzeka została nam do przekroczenia.*

Była to wspaniała ceremonia. Odpowiednia danina, złożona wielkiej kobiecie. Matka przekroczyła Edisto, przekroczyła Jordan, ale wiedzieliśmy, że tak naprawdę na zawsze pozostanie z nami.

Wracalam do domu w glębokiej zadumie, rozmyslajac nad natura nieskończoności. Wkrótce mieli zacząć zjeżdżać goście.

- Jak sądzisz, czy deszcz bardzo zamoczył trawę? - zapytała Frances Mae. - Bo wiesz, wiele osób będzie wolało zostać na trawniku, nie w namiocie.

Pomyślałam, że przy tym słońcu do pierwszej - a na tę godzinę zaproszeni byli goście - trawa zdąży już dawno wyschnąć, niemniej jednak słusznie zwróciła mi uwagę.

- Nie wydaje mi się, ale gdybyś zechciała sprawdzić, byłabym ci wdzięczna.

Popatrzyła na mnie, wyraźnie zmieszana.

- Caroline, pojęcia nie mam, co mnie napadło, że powiedziałam ci o tych perłach. Dobrze wiem, że było jej życzeniem, abyś je dostała. Czasami moje usta mówią coś zupełnie wbrew rozumowi.

Nigdy przedtem nie usłyszałam od niej czegoś równie zbliżonego do przeprosin. Zmierzyłam ją wzrokiem, szukając w myślach repliki, która nie zabrzmiałaby wrogo.

- Frances Mae, po prostu zapomnijmy o tym, zgoda? Matka poprosiła mnie, abym podała jej perły, a potem powiedziała: *Proszę, weź je, bo ja już ich nie potrzebuję*. Nawet nie masz pojęcia, jak trudna była dla mnie ta chwila.

- O, z pewnością niezmiernie trudna.

I znowu ten głos pełen jadu. Niepomna na perły matki na swojej szyi, niepomna na okoliczności, gorąco zapragnęłam nadzieć moją bratową na szpikulec. Zmierzyłam ją ostrym wzrokiem, pozwalając matce przemówić przeze mnie. Odezwałyśmy się jednocześnie, Lavinia i ja:

- Na jedną rzecz nic nie poradzisz, Frances Mae. Gen Litchfieldów zawsze będzie dominował.

Odwróciła się. Paskudnie jej przygadałam, ale od razu poprawiło mi to humor.

Zajrzałyśmy z Millie do kuchni, żeby sprawdzić, czy wszystko jest pod kontrolą. Eric wyszedł na dwór pobawić się z dziewczynkami, Richard z Tripem gdzieś się zapodziali, natomiast zaczęli się już pojawiać pierwsi goście. Wyszłam na ich powitanie.

Idąc w kierunku namiotów, przystanęłam przy różach matki. Wszystkie krzewy obsypane były pełnymi, pachnącymi kwiatami. Kolejny podarunek z tamtej strony. Przyjęcie trwało do trzeciej -z szampanem, julepem miętowym, miętową mrożoną herbatą i ponczem. Kelnerzy roznosili tace z ptifurkami, wędzonym łososiem, marynowanymi krewetkami na wykałaczkach, homarem w cieście ptysiovym i Sonny's Barbecue na cienkich bułkach hamburgerowych, matki ulubionych. Znowu potoczyły się opowieści, te same, co zawsze, nasze ukochane, dzieci biegały wokoło, powiewając wyłożonymi ze spodni koszulami i końskimi ogonami, z buziami spurpurowiałymi z wysiłku. Dorośli po raz kolejny zapewniali nas o swoim współczuciu, obiecywali, że nas odwiedzą.

Kiedy ostatni goście odjechali, nadszedł czas odczytania testamentu. Zebraliśmy się w gabinecie tatusia - my i prawnik. Richard oddalił się pod pretekstem spaceru z Erikiem. Zajęliśmy miejsca i czekaliśmy.

Prawnik matki, Frederic Babbit, odchrząknął i rozpoczął:

- W dniach poprzedzających jej odejście pani Wimbley poczyniła pewne zmiany w swojej ostatniej woli. Obecnie chciałbym jedynie w

ogólnych zarysach przedstawić państwu, w jaki sposób zadysponowała swoim majątkiem, jeśli zaś chodzi o wszystkie kwestie szczegółowe, proponuję spotkanie za kilka dni w mojej kancelarii.

- Początek brzmi obiecująco - skomentował Trip, wyrzucając ręce do góry. Znowu był pijany.

- Tak, bardzo proszę, tak właśnie zrobimy - powiedziałam.

- Zaczniemy od pana Jenkinsa. Zmarła zapisała mu w dożywocie dom, który zajmuje obecnie, pensję, także dożywotnio, powiększaną o pięć procent rocznie, wszystkie książki ze swojej biblioteki, wreszcie sumę dwustu tysięcy dolarów w gotówce. Wyraziła także życzenie, aby dwie godziny tygodniowo poświęcał na głośne czytanie jej wnukowi.

Jenkins wstał i złożył ręce jak do modlitwy.

- O Jezusie, o Miss Lavinio, dziękuję, dziękuję z całego serca. O Boże, jestem taki wdzięczny.

Na widok jego wzruszenia uśmiechnęliśmy się wszyscy. Millie poklepała go po ramieniu. Pan Babbit kontynuował:

- Pani Smoak. Zmarła zapisała pani dom, który obecnie pani zamieszkuje, wraz z pięcioma akrami ziemi, dożywotnią pensję, powiększaną rocznie o pięć procent, srebrny serwis do herbaty, którym tak się pani zachwycała, wreszcie sumę trzystu tysięcy dolarów gotówką.

- To Tiffany - zauważyła Frances Mae, odrobinę zbyt głośno.

- Zamknij się, Frances Mae - usadził ją Trip.

- Dla każdej ze swoich wnuczek zmarła przeznaczyła sumę dwustu tysięcy dolarów, złożonych jako fundusz powierniczy do chwili osiągnięcia przez nie wieku trzydziestu lat. Procenty od kapitału mają



zostać przeznaczone na ich edukację, a kapitałem będzie zarządzał prawnik wybrany przez kancelarię Merrilla Lyncha.

- Nam nigdy nie ufała. Trip, słyszałeś?

- Zamknij jadaczkę, na miłość boską - sparował Trip.

- Swojemu synowi Jamesowi Nevilowi Wimbleyowi III zmarła zostawiła sumę trzech milionów dolarów w gotówce, akcjach i obligacjach. Cała kwota ma pozostać nienaruszona, dopóki James Nevil Wimbley III nie będzie pozostawał wolny od nałogu alkoholowego i hazardu przez okres pięciu lat.

- Skurwysyństwo - skomentował Trip, poziewując.

- Trip, wynajmiemy prawnika i obalimy ten testament. Trip? Trip? Trip?

- Jeszcze coś? - zainteresował się Trip, kompletnie ignorując Frances Mae.

- Tak. Procent od zainwestowanego na siedem procent kapitału będzie przynosił przeciętny roczny dochód w wysokości około dwustu dziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Zmarła zapisała panu także zegarek należący do pańskiego ojca i wszystkie jego rzeczy osobiste, łącznie z listami, jakie pańscy rodzice pisywali do siebie. Dodatkowo zapewniła panu dożywotnie użytkowanie przystani w Wysokich Sosnach.

Trip podniósł się do wyjścia. Frances Mae zerwała się również.

- Reszta, jak przypuszczam, przechodzi na moją siostrę?

- Tylko pod warunkiem, że tu zamieszka. Jeśli Caroline opuści plantację na okres dłuższy niż trzy lata, posiadłość natychmiast przejdzie na własność Nature Conservancy. Ponadto pani Levine przypada całe umeblowanie domu, biżuteria matki i wszystkie jej rzeczy osobiste.

Zmarła ustanowiła także dodatkowy fundusz, przeznaczony na utrzymanie domu i zabudowań; o jego użytkowaniu decydować mają pan Jenkins i pani Smoak. Pani Levine otrzymuje wreszcie dwa miliony dolarów w gotówce i dwieście tysięcy dolarów dla swojego syna, Erica.

Zamurowało mnie. Rozbiła bank czy jak? Wiedziałam, że do nędzy jej daleko, ale pojęcia nie miałam, że posiadała aż taki majątek. Słowo honoru.

- W powiernictwie i pod zarządem jakiegoś gościa od Merrilla? - zainteresował się Trip.

- Nie. Pani Levine może samodzielnie dysponować pieniędzmi.

- Wychodzę. Raz na zawsze wynoszę się z tego domu i od tej rodziny - powiedziała Frances Mae. Wyparowała z pokoju, sycząc gniewnie i mamrocząc coś do siebie.

Wszyscy, nie wyłączając Tripa, siedzieli cicho, czekając na trzaśnięcie frontowych drzwi. Bum! Poszła sobie. Boże, wybaczyć, ale przez całe lata czekałam na ten rozkoszny dźwięk.

- Wiesz co? - zapytał Trip.

- Co takiego?

- Z matki była spryciara nad spryciary.

- Owszem - przytaknęłam. - A jaka zasobna! Nie miałam pojęcia.

- Ja też nie. Kurczę, znacznie więcej, niż się spodziewałem - mówił Trip z szerokim uśmiechem. - Coś mi się wydaje, że będzie lepiej, jeśli pójdę poszukać Miss Litchfield i zabiorę ją do domu.

- *Yeah*, też tak uważam.

Odprowadziłam mojego brata do drzwi, pożegnałam, wyrażając swoje współczucie wobec tego, co niechybnie czeka go w domu, wreszcie

poszłam zrobić sobie gorącej herbaty. Padałam ze zmęczenia. W kuchni zastałam Richarda z Erikiem. Spakowana walizka Richarda czekała koło tylnych drzwi.

- Jak poszło? - zagadnął Richard.

- Lepiej, niż się spodziewałam - odparłam, nie wdając się w szczegóły.

- Eric, pójdź na chwilę na dwór i pozwól mi zamienić słówko z twoją mamą.

- Jasne - zgodził się Eric, wybiegając na dwór.

Richard wstał, podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach.

- O ósmej mam samolot do Newark - powiedział.

- Jestem ci wdzięczna za przyjazd, Richardzie. - Jego oczy szukały moich, a ja stałam przed nim, ta sama, stara Caroline, jednak tym razem uzbrojona. - Naprawdę.

- Chyba domyślam się, co to oznacza. Wolisz, żebym sobie pojechał.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Wszystko to było takie trudne.

Należy mi się tydzień albo i dwa solidnego wypoczynku, takiego prawdziwego nicnierobienia.

Richard podniósł swój bagaż.

- W porządku, rozumiem. Co z naszym rozwodem, mam kontynuować?

- Naprawdę uważasz, że to fair pytać mnie o to akurat dzisiaj?

A skąd, do diabła, miałam wiedzieć, co z naszym rozwodem? Jezus, nie dosyć przeżyć, jak na jeden dzień? Czy dzień, w którym rozsypałam prochy matki, miał być jednocześnie zapamiętany jako ten sam, w którym zezwoliłam mojemu mężowi na złożenie wniosku rozwodowego? Dzień,

w którym odziedziczyłam Wysokie Sosny? Jak on mógł być taki niewrażliwy? A może rzeczywiście był to dobry moment na ostateczne zerwanie? Niechby sobie zakonotował w pamięci, że to jego nieczułość i jego inklinacje doprowadziły go do utraty wszystkiego, co posiadaliśmy.

- Zależy mi na uporządkowanym życiu - oświadczył Richard, uśmiechając się z afektacją.

Otworzyłam drzwi, niech sobie idzie. Samochód z wypożyczalni czekał przed domem. Stałam bez ruchu.

- Jeśli chcesz pożegnać się z Erikiem, zawołam go.

- *Okay* - odparł, opuszczając szybę po stronie kierowcy. - No więc?

- Wypełnij wniosek, Richardzie. Miej to swoje uporządkowane życie. Za porządkiem idzie czystość, a ta bliska jest pobożności, czyż nie?

Zaskoczyłam go, choć Bóg mi świadkiem, pojęcia nie miałam dlaczego.

- Miło mi było poznać twoich przyjaciół - tego gościa od tantry, Josha. Interesujący i bardzo kontaktowy. A Jack? Sprawia sympatyczne wrażenie i z całą pewnością uważa cię za kogoś szczególnego.

- To groźba?

- Skądże znowu. Pomyślałem tylko, że może zechcesz wiedzieć, że podczas czuwania uraczyli mnie sporą dawką informacji. -Twarz Richarda przybrała chytry wyraz.

Pomachałam mu palcami uniesionej dłoni, tak jak to robią dzieci.

- *Bye, bye*, Richard. Dziękuję za przyjazd.

- Wiesz co, Caroline? Jak człowiek na ciebie popatrzy, od razu widzi twoją matkę.

Tego już nie skomentowałam, tylko w milczeniu odprowadziłam go wzrokiem. Podobna do matki; najwspanialszy komplement, jaki mogłam sobie wyobrazić. Choć oczywiście w zamierzeniu Richarda miało to zabrzmieć obraźliwie.

Nawet nie zawołał Erica, ażeby mu powiedzieć: „Do widzenia, synu”.

Po prostu wsiadł do samochodu, najmniejszego, najtańszego, najszpetniejszego autka z wypożyczalni, jakie kiedykolwiek widziałam, i odjechał. Patrząc na tuman kurzu, jaki wzbił za sobą, powiedziałam głośno w przestrzeń:

- Wszyscy jeszcze wróćcie, *yanh*.

Bo taka była prawda. Koło ósmej trzydzieści kładłam Erica do łóżka.

- Czy tatuś niedługo przyjedzie? - zapytał.

- Na pewno przyjedzie, jeśli będziesz chciał. Albo ja cię zabiorę do Nowego Jorku i tam się spotkacie.

- Nie, lepiej niech przyjedzie do nas. Tu jest przyjemniej. Miasto śmierdzi!

- Eric! - skarciłam go z udanym zgorzeniem. Uśmiechnęłam się, skrobiąc go po plecach. Miał rację.

- Myślisz, że babcia jest w niebie? - dopytywał się.

- Z całą pewnością. W swoim życiu uczyniła wiele dobra, więc Pan na pewno będzie szczęśliwy, mając ją u siebie, nie uważasz? Zresztą wiesz, wydaje mi się, że w ostatnich dniach życia przeżyła prawdziwe nawrócenie.

- Co masz na myśli? - Popatrzył na mnie, jednocześnie moszcząc się na boku.

Właściwie sama nie byłam do końca pewna, co chciałam przez to wyrazić. Ale przecież błagała Boga o wybaczenie, wyrażała skruchę, starała się odkupić winy, zmieniała się w sercu, pojednała się sama ze sobą i ze swoją duszą.

- Widzisz, synu, żaden ze mnie ekspert w tej dziedzinie, ale chyba można powiedzieć, że pojednała się z Bogiem.

- To dlaczego my nie chodzimy do kościoła?

- Ponieważ zawsze stanowiło problem, czy wychowywać cię na żyda, czy na chrześcijanina.

- I tak wychowałam mnie na nikogo. Na agnostyka.

Widziałam już, że łatwo mi nie pójdzie, więc wyciągnęłam się na łóżku obok niego. Każda kość, każdy mięsień w moim ciele wołały o odpoczynek.

- Nie, starałam się wychowywać cię tak, abyś był świadom istnienia wielu religii. Z chwilą, kiedy wyraziłbyś swoje zainteresowanie, kiedy dokonałbyś wyboru, tatuś albo ja poprowadzilibyśmy cię dalej.

- W takim razie wybieram chrześcijaństwo.

Przekręciłam się na bok i popatrzyłam na niego. Ten dzieciak nigdy nie przestanie mnie zdumiewać.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Lepsze notowania.

- Co takiego?

- *Yeah*, znalazłem Biblię przy moim łóżku.

- Oho, zaczyna się. Młody człowieku, dzisiaj idziesz już spać. Jutro będzie mnóstwo czasu na dalszą dyskusję. - Podniosłam się i otuliłam go starannie. - Kocham cię, Eric.

- Ja też cię kocham, mamusi.

Dzień obfitował w emocje i teraz marzyło mi się tylko łóżko.

Przelotnie pomyślałam, żeby zadzwonić do Jacka. Jego twarz mignęła mi w tłumie, udało mi się też zamienić z nim parę słów. Ale samo wybranie numeru wydało mi się teraz zbyt męczące. Zadzwonię do niego jutro.

Zeszłam na dół pogasić światła, kiedy zobaczyłam reflektory zbliżającego się samochodu. Zmrużyłam oczy, wypatrując jego sylwetki. Suv Tripa. Zatrzymał się przed frontowym wejściem. Trip wysiadł, obszedł wóz dookoła i podniósł klapę bagażnika. Auto wypełnione było po sam dach. Widząc mnie, mój brat przystanął, położył rękę na biodrze i zawołał w moją stronę:

- Hej, znajdzie się tu pokój dla niepijącego, wolnego od nałogowego hazardu faceta?

- Co takiego? Chcesz swój dawny pokój?

- Byłoby niezłe go dostać. Pomóż trochę. - Kiwnął na mnie ręką.

- Nigdy w życiu. Jutro.

Chwilę jeszcze pomedytowałam, po czym zatrzaskałam drzwi i wszedłam na werandę.

- Nie potrafiłem jej strawić ani minuty dłużej - powiedział.

- No to jedziemy na jednym wózku. Mnie Richard też nie mógł strawić ani minuty dłużej.

- A może jest w tym domu chłopiec, który potrzebuje wujka na pełny etat?

- O tak, i kobieta, która potrzebuje dobrego brata.

Otoczył mnie ramieniem i przygarnął do siebie. Objęłam go w pasie i uściskałam mocno. Światła w domu zamigotały i przygasły.

- Dobranoc, mamó - powiedziałam i roześmiałam się.

- Co za kobieta! - zdumiał się Trip. Weszliśmy do domu, gasząc po drodze światła.

- Dzisiaj na pewno będę dobrze spała - oświadczyłam z przekonaniem.

Idąc na górę z bratem przy boku, czułam się tak dobrze i bezpiecznie, jak chyba nigdy w życiu. Matka nie żyła, ale wyłącznie w sensie czysto dosłownym, a w moim świecie wszystko układało się pomyślnie.





## *Epilog*

Dzięki Rusty tuż przed Świętem Pracy Eric rozpoczął naukę w szkole publicznej w Jacksonboro. Na zakończenie pierwszego semestru przyniósł do domu świadectwo od góry do dołu ozdobione najwyższymi notami. Myślałam, że pękne z dumy. Oprócz tego z prawdziwą pasją i zaangażowaniem grał w futbol w szkolnej drużynie juniorów, wszystkie swoje frustracje wyładowując na boisku. W jego życiu pojawiła się też kobieta, trzynastoletnia Tracey, z piegami na nosie i przezroczystymi klamerkami na zębach. Wystarczyło, by Eric znalazł się przy piłce, natychmiast wybuchała radosnym chichotem i kręciła młynka. Była cheerleaderką. Rusty nadal przychodziła dwa razy w tygodniu i pomagała Ericowi ze wszystkich przedmiotów. Wiąż wzajemnego zaufania między Tracey, Rusty a moim młodym mężczyzną zacieśniała się z każdym dniem.

Mój brat Trip i Rusty stali się parą, ledwo zdążył wyschnąć atrament na orzeczeniu Tripa o separacji. Rusty uwielbiała Tripa i Erica, a oni odpłacali jej tym samym uczuciem.

Zanim nadszedł wrzesień, doszłam do wniosku, że dla Tripa, Erica i mnie nasz dom jest po prostu za mały. Sam Trip, owszem, ale Trip, jego romans, jego psy, jego pociechy, przychodzące w odwiedziny, to wszystko dawało nam się mocno we znaki. Wydzwaniająca Frances Mae, psy pod oknami, obwieszczające donośnym szczekaniem każdy wschód słońca i każdego królika przebiegającego przez trawnik. Jak dla mnie, za dużo namnożyło się nam zwierząt i dzieci. I ja, i Eric preferowaliśmy spokojniejszy tryb życia. Zresztą sam Trip także dość szybko zdał sobie z

tego sprawę i widać było, że jest mu przykro. Nie wiedział jednak, jak się z tym uporać; niedawne odejście matki, moje i jego życie przewrócone do góry nogami, zbyt wiele tego było, jak na jego głowę.

Tak więc mnie przypadło ująć wodze. Zadzwoiłam do prawnika matki. We dwoje starannie przestudiowaliśmy plan plantacji, dyskutując zawzięcie. Poleciłam mu przygotować kilka dokumentów.

Z moich zamiarów zwierzyłam się Ericowi, a ten aż podskoczył z radości, usłyszawszy, co chowam w zanadrzu.

- A jeśli się zgodzi, będę mógł mieć własnego psa? Nie musi być wielki labrador, wystarczy malutki labrador szczeniaczek.

- Z małych labradorów szczeniactków wyrastają potem wielkie labradory - powiedziałam, ale widząc jego posmutniałą buzię, dodałam pośpiesznie: - Zobaczymy najpierw, co powie wuj Trip, zgoda? I żadnych psów w domu. Nie zapominaj o dywanach.

Po południu Eric i ja czekaliśmy na Tripa na przystani.

- Komitet powitalny? A co to za okazja? - zapytał mój brat z humorem.

- Cóż, braciszku, pomyślałam, że wypijemy drinka na werandzie i podyskutujemy o przyszłości świata. Złowiłeś coś?

-Nic poza podmuchem bryzy. Eric, bądź dobrym chłopcem i złap tę cumę. Pomożesz mi umyć łódź?

- Mowa.

- No to za godzinę spotykamy się wszyscy w domu - powiedziałam.

- Dobrze - odparli obaj.

Eric zawsze pomagał wujowi zabezpieczyć łódź na noc. Bardzo mi się to podobało. Spędziliśmy w Wysokich Sosnach kilka krótkich

miesiący, a ile nowych rzeczy nam one przyniosły i jakich wspomniały; sama myśl o nich kazała mi z radością wyczekiwać nadejścia każdego poranka. Najwyraźniej zapuszczaliśmy korzenie.

Przez moment przyglądałam się Tripowi i Ericowi, po czym odwróciłam się i ruszyłam w stronę domu. Czułam przepelniającą mnie satysfakcję. Z wzajemnej bliskości i mój brat, i mój syn czerpali coś, czego przedtem im brakowało. Zrozumienie, poświęcenie, lojalność; czyli postawy szczęścia, gdyby ktoś chciał poznać moje zdanie. Obdarowywali się nimi szczodrze z równą naturalnością, z jaką dzień zamienia się w noc, a noc w dzień. Trip nigdy nie opuścił meczu, w którym grał Eric, Eric nigdy nie zapomniał przywitać Tripa w drzwiach wejściowych albo na przystani. Wkrótce stał się jego przyszywanym synem, a Trip jego przybranym ojcem.

Ja w końcu uporałam się z matki szafami. Znaczną część jej ubrań podarowałam działowi mody i kostiumów Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Matka, mimo wszystkich swoich dziwactw, okazała się wytrawną zbieraczką i posiadała wspaniałą kolekcję kostiumów Wortha, Chanel i Balenciagi z lat pięćdziesiątych, co w połączeniu z setkami nienoszonych butów, niemal nieużywanych torebek, licznymi pudłami, zawierającymi robione na zamówienie kapelusze i puzderkami z biżuterią przyniosło Wysokim Sosnom sporą sumkę, odjętą od podatku.

Kilka sztuk ubrań matki zachowałam - niektóre szlafroki, parę swetrów - głównie dlatego, że przesiąknięte były jej zapachem. Kiedy ogarniała mnie tęsknota, zarzucałam sobie na ramiona taki sweter albo otulałam się szlafrokiem.

Tego jesiennego popołudnia, tym razem we własnym ubraniu - czarnych spodniach, brązowym swetrze i pantoflach - szłam w stronę domu, rozmyślając o nowej roli, jaką przyjął na siebie - roli pani Wysokich Sosen. Wkrótce miałam zmienić ich historię, podobnie jak zmieniła ją matka, ofiarowując Millie i Jenkinsowi domy, które zamieszkiwali.

W połowie drogi przystanąłam, by jeszcze raz popatrzeć na dom. Ileż on miał w sobie zuchwałej dumy. Usytuowany na wzniesieniu gruntu, górował nad nim niczym forteca, przyzywając z daleka, bym objęła go w posiadanie. Nie mogłam się oprzeć pragnieniu pokochania każdej cegły, każdej jego belki. Przez ile prób musiał przejść, by pozostać niezmienionym? Ilu moich przodków - zarówno mężczyzn, jak i kobiet - żyło i umarło w jego murach? Ten dom sam też żył, pulsował przeszłymi wydarzeniami, które ja dopiero miałam odkryć dzięki kolekcji pamiątek matki. Do tej pory ledwo zdołałam do nich zerknąć; zbyt wiele rzeczy stało mi na przeszkodzie.

Moje terminowanie u Millie zeszło na dalszy plan. Millie doszła do wniosku, że śmierć matki bardzo mnie zmieniła, do gruntu przeorała moją osobowość.

- Daj mi lepiej twojego chłopca. Zresztą i tak jest o wiele mądrzejszy, niż ty kiedykolwiek byłaś - rzekła do mnie pewnego ranka podczas picia kawy.

Trzasnęłam dłonią w kuchenny blat i popatrzyłam na nią, wytrzeszczając oczy.

- Czy sądzisz, że pozwolę ci zrobić z mojego chłopca uzdrawia-cza voodoo?

- Nie. Mam zamiar pomóc mu zostać uzdrowicielem i naukowcem. -  
Uśmiechnęła się, jak na mój gust trochę zbyt szeroko, co oznaczało, że  
zaraz wystąpi z jakąś złośliwością. - A zresztą, Miss Lavinio, ty jesteś zbyt  
zajęta byciem Miss Caroline, czy też może odwrotnie.

- Millie Smoak, za takie słowa matka z pewnością natarłaby ci uszu.  
- Czasami Millie udawało się dokuczyć mi naprawdę boleśnie. - Ty stara  
złośliwa jędzo - dodałam, przykładając dłoń do serca - zraniłaś mnie do  
żywego, nie żartuję. - Faktycznie poczułam lekkie ukłucie w klatce  
piersiowej. Boże, co jeszcze mi się przydarzy?

- Mmm, hmm... - Millie wzniosła wzrok ku sufitowi. Roześmiałyśmy  
się obie. Lavinia rządziła tu nadal.

- A co z tobą i panem Jenkinsem?

- Wyobraź sobie, że ten stary głupiec przyszedł do mnie wczoraj  
wieczorem i zaczął mi czytać poezje jakiegoś gościa, który nazwał sam  
siebie Amiri Baraka. Co to za nazwisko? Wiersze Sonji Sanchez i Paula  
Genega o wiele bardziej mi się podobają. - Uśmiechała się, zataczając  
palcami niewielkie kółeczka na kuchennym blacie i wpatrując się w drugi  
jego koniec. - *Yeah*, wypiliśmy trochę wina i siedzieliśmy na ganku, aż  
księżyc wzbił się wysoko na niebo. Kto by przypuszczał, że w naszym  
wieku...

- *Humph* - skomentowałam - dziewczyno, przecież jeszcze nie  
umarłaś. A użyjże trochę życia.

A użyjże trochę życia, poradziłam Millie, a ta skwapliwie skorzystała  
z mojej rady. W ciągu kilku następnych tygodni nie zdarzyło mi się  
widzieć jej wieczorem, chyba że Jack zapowiedział się na kolację. A nawet

wówczas nie byłam pewna, czy Millie przychodzi pomóc, czy raczej podsłuchiwać pod drzwiami. Pewnie jedno i drugie.

Teraz też, kiedy dotarłam do domu, kuchnia świeciła pustkami. Millie wyjęła z zamrażalnika naczynie z lasagną i napisała mi na karteczce, jak mam ją podgrzać, mimo że sama doskonale potrafiłam to zrobić. Podejrzewała mnie o aż taką nieudolność? O schrzanienie nawet mrożonej lasagnii? A może zwyczajnie miała randkę z Jenkinsem?

Stół nakryty był na trzy osoby; sałata i pokrojony chleb - jedno i drugie pod przezroczystą folią - czekały na bocznym stoliku. Dzbanek słodkiej herbaty schładzał się w lodówce. Przygotować resztę to drobnostka.

Włączyłam piekarnik, żeby go nagrzać, zgodnie z instrukcją, i poszłam na górę, do pokoju matki, gdzie zdażyłam się już na dobre zainstalować. Kochałam tu każdy drobiazg i poza posągiem Siwy, który przeniosłam na strych, ponieważ, nazwijmy to łagodnie, dostawałam dreszczy na jego widok, nie wprowadziłam żadnych zmian.

Wyszczotkowałam włosy przed lustrem próżności, zwijając je w węzeł na karku, ujęty złotą opaską. Zdecydowałam się przebrać do kolacji - czarne jedwabne spodnie, czarne zamszowe pantofle, czarny, kaszmirowy, rozpinany sweter. Moja ręka sięgnęła po perły, zupełnie bezwiednie. Na widok swojego odbicia w lustrze uśmiechnęłam się, myśląc, że nie obejdzie się bez szminki. Zupełnie jakbym słyszała matkę, nakazującą mi umalować usta. Usatysfakcjonowana ponownym spojrzeniem w lustro, zabrałam dzienniki i powędrowałam na werandę. Zanim lasagna będzie gotowa, zdążę sobie trochę poczytać.

Świat Elisabeth Bootle Kent pochłonał mnie bez reszty. Podczas wojny domowej miała dwadzieścia kilka lat, a jej córeczka Olivia zaledwie trzy.

*Kwiecień 1863*

*Mała Olivia i ja spędziłyśmy rano na modlitwie za nasze waleczne oddziały. Kiedy zbierałam jajka na lunch, moja córeczka nie opuszczała mnie ani na chwilę. Olivia lubi jajka na twardo - z żółtkiem posypanym okruszynami chleba, solą, zieloną pietruszką i z odrobiną masła. Czasami też ucieram żółtka na zimno z odrobiną śmietany i później podgrzewam. Jedzenia zaczyna brakować, a innych rzeczy jeszcze bardziej. W spiżarni mamy wciąż zapas słodkich ziemniaków i parę baryłek mąki i ziarna, ale przecież nie starczy nam tego na zbyt długo. Łasce bożej i sprytowi służby zawdzięczamy malowane tablice z ostrzeżeniem o ospie, rozmieszczone wokół całej posiadłości, gdyż dzięki nim wojska, których inaczej po upadku Columbii byłoby tu pełno, trzymają się od nas na odległość. Drżymy na myśl, że ta nieszczęsna wojna daleka jest od zakończenia. Wielu służących odeszło wraz z armią generała Beauregarda, wznosić barykady na James Island. Krążą pogłoski, że w Port Royal gromadzą się okręty Unii. Nawet jeśli ten straszliwy Sherman dojdzie do zatoki, Charleston nie podda się nigdy! Przenigdy!*

Jak potężny ładunek emocji zawierały jej słowa. Podziwiałam męstwo i odwagę tej kobiety. To musiało być straszne przeżycie - tkwić w posiadłości otoczonej pierścieniem wojsk Unii, wiedząc o gwałtach i rabunkach towarzyszących upadkowi Vicksburga. Wielu charlestończyków dla bezpieczeństwa umieściło swoje srebra i kosztowności w podziemiach banków Columbii, które Sherman następnie

złupił i podpalił. W ten sposób ludzie utracili wszystko, co miało dla nich jakąkolwiek wartość - materialną albo sentymentalną. W 1865 roku w dzienniku zaczynają się pojawiać wzmianki o jankeskich żołnierzach, plądrujących dom, zabierających wszystko, co im wpadnie w ręce, miotających pogroźki. Przez cały ten czas Elisabeth nosiła pod spódnicą pistolet zatknięty za pasek i woreczek z nabojami, przysięgając, że gdyby ktokolwiek odważył się dotknąć jej Olivii, natychmiast zrobiłaby z nich użytek. Nie wątpię, że by się nie zawahała.

O nas, współczesnych, także myślałam. Pozbyliśmy się Richarda i - Boże, wybaczone - Frances Mae, więc mój brat i ja możemy próbować wspólnie odbudować nasze życie. Mnie dodatkowo dano możliwość wprowadzenia elementu ładu do naszej przyszłości, więc wykorzystam ją.

Godzina miała się ku końcowi. Wiedziałam, że niedługo pojawi się Trip z Erikiem. Przyniosłam trzy szklanki, wiaderko z lodem, cytrynę w plasterkach i dzbanek z herbatą. Wyłożyłam na talerz cheddar i krakersy wraz z ćwiartkami jabłka, do niebieskiej szklanej miseczki nasypałam herbatników Goldfish i czekałam na ich nadejście.

I oto stanęli w otwartych drzwiach na taras, i Trip, i Eric, obaj wykapani, w czystych spodniach i koszulach, gotowi do posiłku.

- Jak ja pachnę? - zapytał Eric, pochylając się w moją stronę.

- Tak rozkosznie, że chętnie bym cię schrupała. - Pocałowałam go w policzek. - Zaaplikowałeś mu wodę po goleniu? - zwróciłam się do Tripa.

- Doprowadza kobiety do szaleństwa - oznajmił mój brat.

- Świetnie, to właśnie chciałam usłyszeć. Świętowaliśmy naszą nową, bezalkoholową godzinę koktajlową, plotkując o różnych miłych błahostkach.



- Caroline, ale przecież fakt, że ja nie piję, nie oznacza wcale, że ty nie możesz strzelić sobie jednego.

- Och, nie wiem... to bez znaczenia...

- Bourbon z lodem?

- Ale nieduży - przystałam w końcu, z pewną ulgą, że skoro postanowił zachować trzeźwość, ja mogę sobie pozwolić na pewien luz.

Za chwilę Trip był z powrotem na werandzie, wręczając mi karafkę wypełnioną pokruszonym lodem i bourbonem z odrobiną wody. A co tam, nie będę odwlekać, zaraz mu powiem.

- Słuchaj, mam coś dla ciebie - oznajmiłam, wręczając mu kopertę. - Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

- *Yeah*, ta niespodzianka jest naprawdę *cool* - natychmiast wmieszał się Eric. Obecnie był na etapie wtrącania *cool* co drugie słowo. Szczerze mówiąc, byłam zadowolona, że posługuje się tym samym slangiem, co jego rówieśnicy. Gdyby wyrażał się niczym mały profesorek, nie pomogłoby mu to zdobyć przyjaciół wśród kolegów w szkole.

- A co to takiego? - zapytał Trip, z ustami pełnymi krakersów i sera. Powoli otworzył kopertę i przeczytał akt notarialny.

- Wydaje mi się, że matka zaaprobowałaby moją decyzję, nie uważasz?

- Caroline! Wielki Boże, dzięki ci, dzięki, dzięki. - Zerwał się z krzesła, chwycił mnie i okręcił dookoła. *Cmok, cmok, cmok*, ułożył trzy szybkie, wilgotne całusy na mojej twarzy, po jednym na każdym policzku i jeden na samym środku czoła. Eric zanosił się od śmiechu.

- Przestań, bo zwymiotuję. Puść mnie, ty wielki połciu mięsiwa. Kiedy to zrobił, świat zawirował mi dookoła.

Przepisałam na Tripa sto akrów ziemi nad rzeką, z wystarczającym dostępem do wody, by mógł zbudować własną przystań. Trip wpadł w zachwyty.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtarzał, z trudem panując nad wzruszeniem.

- Kiedy to prawda, wuju. Mogę pomóc ci zaprojektować duży dom albo domek rybacki, co wolisz. Mam specjalny program komputerowy.

- Tylko nie oczekuj ode mnie zbyt wiele na Gwiazdkę - powiedziałam ze śmiertelną powagą.

- Zdumiewające - powtórzył Trip. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Żebyśmy potem mogli żyć długo i szczęśliwie. I ponieważ kocham cię, Trip. Naprawdę.

- A ja myślałem, że kochasz Jacka.

- Co do starego doktora Jacka, to zobaczymy z czasem. Owszem, kocham dobrego doktora do szaleństwa. Jednak przyszło mi do głowy, że skoro ja czuję się posiadaczką Edisto, ty musisz mieć podobne odczucia. Potrzebujesz własnego miejsca na ziemi. Możemy wybudować drogę i wysypać ją muszelkami. Oznaczyłam już teren. Chcesz pójść zobaczyć? Jeden warunek: sprzedać ci tego nie wolno.

- Do licha, kto by to chciał sprzedawać? - wykrzyknął Trip nadal zdumiony i podekscytowany. - Chodźmy, chodźmy tam zaraz.

- Wyłączyć piekarnik? - zapytał Eric.

- O tak, kochanie, dziękuję.

Eric zniknął w kuchni, a Trip zaczął krążyć po werandzie, w zdumieniu potrząsając głową. Łyknęłam bourbona i podeszłam do niego,

zaglądając mu głęboko w oczy. W tym momencie bardziej niż kiedykolwiek utożsamiałam się z matką.

- Nie kraż tak, działasz mi na nerwy.

- Ciągłe nie mogę pojąć, co cię skłoniło do takiej decyzji.

- Boże drogi, jeśli moi poddani mieliby być nieszczęśliwi, jakiś sens miałyby moje panowanie w Wysokich Sosnach? Ponadto obiecałam matce na łożu śmierci, że będę cię miała na oku.

- No to wsiadaj do powozu, królowo, i jedźmy zobaczyć, co szykuje nam przyszłość.

- Jeśli ja jestem królową Wysokich Sosen, ty musisz być królem Edisto.

- Wariatka - skostatował Trip.

- A ja? Kim ja jestem w takim razie? - dopytywał się Eric.

- Szczęśliwym dzieckiem - powiedziałam.

Nie przestawaliśmy się śmiać przez całą drogę. Minęliśmy domek Millie, domek Jenkinsa, stajnie, kaplicę na cmentarzu, starą wędzarnię i pola. Na granicy lasów zaczynał się mój prezent, oznakowany pomarańczowymi wstążkami z plastiku, poprzyczepiany-mi do gałązek. Wkroczyliśmy tam. W gęstwinie ujrzeliśmy jelenia, ze zdumieniem spoglądającego na intruzów, którzy znienacka wtargnęli między drzewa. Wuj Erica miał zamieszkać o dwie minuty drogi stąd. Ależ był podniecony!

Wkrótce drzewa ustąpiły miejsca prześwitowi na skarpie nad wodą. Na prawo od tego miejsca widać było naszą przystań, gdzie cumowała łódka Tripa.

- Caroline, to jest piękne. Powiedz mi dlaczego, ale tak na serio.

- Ponieważ obydwójce nosimy nazwisko Wimbley, Trip, i kiedy w żyłach zaczyna nam brakować wody z Edisto, nasze serca nie biją jak należy.

- Że też matka nie dożyła tego dnia, żeby to zobaczyć!

- Nie wątpię ani przez chwilę, że wie dokładnie o wszystkim - powiedziałam.

Staliśmy na krawędzi klifu, cała nasza trójka. Zmierzchało się powoli. Spoglądaliśmy na słońce nurzające się w purpurowych smugach rozlanych po niebie. Zawróciliśmy jednocześnie, kierując się ku domowi, na kolację. Czuliśmy, że nawet gdyby reszta świata odwróciła się od nas, my troje, nasza mała, niezwykła rodzina, pozostanie wierna sobie, Wysokim Sosnom i Edisto.

RS

### *Od autorki*

-Inspiracją do napisania tej historii stała się dla mnie wizyta na dwóch plantacjach, z których jedna należy do moich wieloletnich przyjaciół - Florence i Luciusa Fishburne'ów (Flo i Bootsa). Kiedy zawitałam do ich domu, podczas jednego z licznych spotkań towarzyskich, Boots ujął mnie za ramiona, spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział, że jestem *bush baby*. Podejrzywałam, że pierwotnie określenie to miało sens pejoratywny, ale w ustach Bootsa zabrzmiało niczym: „Witaj w domu”. I tak też było. Boots pokazał mi swoją wspaniałą kolekcję rzadkich ksiąg, udostępnił własne rękopisy, podzielił się ze mną wspomnieniami z życia Lowcountry. Zobaczyć to magiczne miejsce jego oczami było niezwykłym przeżyciem, które w znaczący sposób wpłynęło na kształt tej książki.

Drugą plantacją, gdzie mnie podobnie witano, okazało się Ravenwood, należące do serdecznych przyjaciół mojej rodziny, Franka i Niny Burke'ów. Ich entuzjazm dla tej historii wywołał prawdziwy grad opowieści, wycieczek, objaśnień, przesiadywania do późna w noc na ganku u mojej siostry - powietrze przesycone słodkim zapachem oliwek i jaśminu, pełne słów. Frank zadał sobie wiele trudu, aby pomóc mi w zrozumieniu wszelkich „co, jak i dlaczego” w strzelaniu do rzutków, Nina otworzyła przede mną wszystkie drzwi, pokazała każdy budynek pamiętającej jeszcze czasy sprzed wojny secesyjnej plantacji, nie szczędząc objaśnień na temat ich przeznaczenia, materiałów, z jakich zostały wykonane, wreszcie sposobów, w jaki zaadaptowano je do

współczesnego życia. Oboje mieli naprawdę wielkie zasługi w powstaniu tej książki.

Jestem głęboko wdzięczna obu rodzinom za ich pełną życzliwości pomoc.

Potrzeba wiele czasu, aby w pełni zrozumieć znaczenie niecki ACE. To nie jest zwykły park tematyczny - to tysiące akrów moczarów, gdzie sektor prywatny i publiczny połączyło autentyczne współdziałanie dla zachowania i ochrony środowiska naturalnego mnóstwa dziko żyjących gatunków zwierząt, czystości wód, mokradeł i łąd. Cel ten realizowany jest dzięki programom edukacyjnym, publicznym i prywatnym fundacjom i wreszcie dzięki dobrej, staroświeckiej, z serca płynącej miłości do tego zdumiewająco pięknego miejsca. To zakątek, do którego może udać się każdy, kto powątpiewa w realne istnienie istoty wyższej. Wróci stamtąd pełen pokory i zachwytu, na zawsze wzbogacony.

Mam nadzieję, że opowiedziałam historię wystarczająco dobrze, aby zadowolić moich południowych mentorów, jeśli nie, następnym razem *bush baby* gorliwiej przyłoży się do pracy.

Jeśli pragniecie dowiedzieć się czegoś więcej o niecce ACE, spędzić tam wakacje albo wesprzeć któryś z projektów, służących jej zachowaniu, zwróćcie się do tych poczciwców, którzy ją zamieszkują, i weźcie odrobinę Lowcountry jako nagrodę dla waszych dusz.

Aby dowiedzieć się czegoś o niecce ACE, odwiedźcie stronę internetową [www.walterboro.org/ace-basin](http://www.walterboro.org/ace-basin) albo napiszcie do ACE Basin National Wildlife Refuge P. O. Box 848, Hollywood, S. C. 29449. Jeśli chcecie przyczynić się finansowo do zachowania naturalnego środowiska

niecki ACE, możecie wpłacać pieniądze na konto: ACE Basin Fund., Bank of South Carolina, P. O. Box 538, Charleston, S. C. 29402

RS